



JANE JOHNSON

PODARUNEK
Z PRZESZŁOŚCI

Jane Johnson



Podarunek z przeszłości

Niesamowita podróż po lądach i morzach współczesnej Anglii, 17 wiecznej Kornwalii i Maroka. Barbarzyńscy piraci, stara księga i tajemnica, której strzegą duchy przeszłości. Julia Lovat otrzymuje podarunek, starą książkę, która na zawsze zmieni jej życie. Z zapisków na marginesie Julia poznaje niezwykłą historię porwania Catherine Ann Tregenny.

Zaintrygowana i poruszona historią Julia decyduje się na wyprawę do Północnej Afryki, by potwierdzić autentyczność perypetii bohaterki książki i być może odkryć ciąg dalszy tej fascynującej historii. Wśród egzotycznych ruin i lejącego się z nieba żaru, mając za przewodnika charyzmatycznego Marokańczyka, Julia dotrze do głęboko skrywanych tajemnic, czytelnik zaś będzie się zastanawiał jak historie kobiet, które dzieli prawie czterysta lat, mogą być tak nierozzerwalnie związane.

*Do wielce szanownych członków
Tajnej Rady Jego Królewskiej Mości
Pilne.*

*Plymouth, dnia osiemnastego kwietnia, godzina ósma wieczór
— Thomas Ceely, burmistrz*

Pragnę zawiadomić mości Panów, że oto dziś doszły mnie słuchy, iż jakowyś Turcy, Maurowie i Holendrzy z miasta Sale w Berberii krążą wokół naszych wybrzeży, napadając i łupiąc nasze statki. Doniósł mi o tym niejaki William Knight, w którego relację jestem skłonny uwierzyć tym bardziej, że dwie ze wspomnianych przez niego łodzi rybackich znaleziono ostatnimi dniami dryfujące na morzu bez żywej duszy na pokładzie.

Z innych wiarygodnych źródeł wiem także, iż w Sale szykuje się do wypłynięcia ze trzydzieści okrętów, które planują dotrzeć do wybrzeży Anglii z początkiem lata. Jeśli więc prędko nie poczynimy jakichś kroków, by temu zapobiec, może się zdarzyć nieszczęście.

Uznałem, że moim obowiązkiem jest poinformować o tym Szanownych Panów.

*Pozostaję z poważaniem
Burmistrz Thos. Ceely
Plymouth, 18 kwietnia roku 1625*

ROZDZIAŁ 1

„**L**os człowieka ma tylko dwa albo trzy warianty, ale każdy jest przeżywany z takim przejęciem, jakby nigdy nic podobnego się nie zdarzyło. Podobnie skowronki śpiewają tu od niepamiętnych czasów wciąż te same pięć nut.”*

Wynotowałam te słowa z pewnej książki, którą czytałam wieczorem w przeddzień spotkania z Michaeliem i miałam zamiar wpleść je w rozmowę podczas kolacji, choć dobrze wiedziałam, jaka będzie reakcja (negatywna, lekceważąca - Michael zawsze odnosił się sceptycznie do wszystkiego, co choć trochę zalatuje romantyzmem). Wykładał literaturę europejską na uniwersytecie i przejawia wobec niej postawę bezkompromisowego poststrukturalisty, tak jakby książki były po prostu mięsem przeznaczonym do rzeźni - same mięśnie, ścięgna, kości i chrząstki, które należy porąbać, rozebrać i zbadać. Natomiast moje podejście do literatury uważał za zbyt emocjonalne i pobłażliwe, co w początkach naszej znajomości stanowiło powód zażartych kłótni, które tak bardzo brałam do siebie, że czasem chciało mi się płakać. Teraz jednak, po siedmiu latach, nauczyliśmy się traktować tę kwestię z żartobliwym dystansem. No i dzięki temu mogliśmy unikać rozmów na temat Anny albo naszej przyszłości.

Niełatwo było tak żyć - ukradzione chwile, wiecznie niepewna przyszłość - ale z czasem się przyzwyczaiłam i można

* W. Cather, *Drzewo białej morwy*, tłum. A. Demkowska-Bohdziewicz, Książka i Wiedza, Warszawa 1977.

powiedzieć, że moje życie funkcjonowało w jako takim rytmie. Może i było nieco wybrakowane w sferach, które ktoś inny uznałby za kluczowe, ale mnie to odpowiadało. A przynajmniej tak sobie nieustannie wmawiałam.

Na tę kolację wyjątkowo starannie dobrałam strój: włożyłam bluzkę z prześwitującego jedwabiu, obcisłą czarną spódnicę, która ledwie zakrywała kolana, pończochy (w tych kwestiach Michael nie różni się niczym od reszty facetów), zamszowe szpilki zapinane na kostce, w jakich akurat dam radę przebyć te pół kilometra do restauracji i z powrotem, no i wreszcie moją ulubioną, ręcznie wyszywaną w bratki chustę z czarnego kaszmiru.

Zawsze twierdziłam, że dobra hafciarka musi być z natury optymistką. Ozdobienie rzeczy o dużych rozmiarach (jak ta chusta) to kilka miesięcy do roku mozolnej, twórczej pracy. Wymaga to też determinacji, wytrwałości alpinisty, który umie posuwać się małymi kroczkami, zamiast panikować na myśl o czekających go polach szczelin czy ścianach lodowych. Może pomyślicie, że przesadzam - kawałek materiału, igła i kordonek: co w tym takiego trudnego? Ale jeśli się wydało majątek na kaszmir lub jedwab, do tego goni termin, bo zdenerwowana klientka za chwilę ma ślub, i trzeba nie tylko zaprojektować wzór, lecz także wykonać milion ruchów igłą, to wierzcie mi, presja rośnie.

Umówiliśmy się w Enoteca Turi, małej tokańskiej restauracji przy południowym krańcu mostu Putney, którą zwykle wybieramy na specjalne okazje. O ile wiem, w najbliższym czasie nie szykują się niczyje urodziny, publikacja ani wystawa. Zresztą o to ostatnie byłoby w moim wypadku trudno, ponieważ absorbuje mnie prowadzenie własnej firmy (jeśli to nie za duże słowo jak na jednoosobową działalność gospodarczą), a mianowicie niewielkiego sklepiku z artykułami plastycznymi w pobliżu Seven Dials. To bardziej hobby niż źródło utrzymania. Pięć lat temu zmarła moja ciotka, zostawiając mi spory spadek; dwa lata po niej odeszła moja mama, a jestem jedynaczką. Utrzymanie sklepu spadło na mnie. Dzierżawa wygasa za niecały rok i jesz-

cze nie zdecydowałam, co z nim dalej zrobię. Więcej zarabiam na indywidualnych zamówieniach, a i one są w zasadzie formą zabijania czasu, odliczaniem minut w oczekiwaniu na kolejną schadzke z Michaeliem.

Przyszłam przed umówioną godziną. Mówią, że ciężar związku nigdy nie rozkłada się równomiernie na obie strony; w naszym przypadku to chyba ja dźwigałam siedemdziesiąt procent. Po części z racji okoliczności, a po części z powodu naszych temperamentów. Michael jest raczej powściągliwy, za to ja emocjonalnie rozrzutna.

Usiadłam przy stoliku plecami do ściany i obserwowałam pozostałych gości niczym zwierzęta w zoo. Były to głównie podobne do nas pary po trzydziestce: ludzie nieźle sytuowani, nieźle ubrani, elokwentni, choć momentami trochę zbyt głośni. Docierały do mnie strzępki rozmów:

- Co to takiego: fagioli occhiata di Colfiorito? Jadłeś to kiedyś?

- Słyszałam o Alice i Justinie. Przykra sprawa... tacy fajni ludzie... co teraz zrobią z domem?

- Może w przyszłym miesiącu polecimy do Marakeszu, chyba że wolisz znów do Florencji?

Mili, sympatyczni, normalni ludzie, którzy mają porządną pracę, mnóstwo pieniędzy i solidne małżeństwa. Wiodą przykładowe, uporządkowane i wygodne życie. Zupełnie odwrotnie niż ja. Patrzyłam na nich, skąpanych w złotawym świetle i zastanawiałam się, co by sobie o mnie pomyśleli, siedzącej samotnie w najlepszej bieliźnie, nowych pończochach i butach na wysokim obcasie, czekającej na męża swej niegdyś najlepszej przyjaciółki.

„Pewnie by ich skrzyć z zazdrości” - odpowiedział złośliwy głosik w mojej głowie.

Chyba jednak nie.

Gdzie ten Michael? Minęło już dwadzieścia po ósmej, a on przed jedenastą musi być w domu, o czym zawsze z ciężkim

sercem przypomina. Szybka kolacja, szybki seks - to wszystko, na co mogłam liczyć, i to w najlepszym wypadku. Czując, że cenne chwile uciekają, robiłam się nerwowa. Wolałam się za bardzo nie zastanawiać, z jakich to szczególnych powodów wybrała tę, a nie inną restaurację. To drogi lokal, którego nie wybiera się ot, tak sobie, zwłaszcza kiedy człowiek żyje z pensji wykładowcy, dorabiając od czasu do czasu handlem książkami, albo - tak jak Michael - liczy się z każdym groszem. Żeby się oderwać od tych rozmyślań, zamówiłam butelkę wina Rocca Rubia, a potem siedziałam przy stoliku, ściskając w dłoniach ogromny kieliszek niczym Święty Graal i czekając na przybycie mego niedorobionego sir Lancelota. W świetle świecy wino wyglądało jak świeża krew.

Wreszcie wpadł do środka przez obrotowe drzwi, rozczochny i czerwony, jakby biegł całą drogę. Niecierpliwie strząsnął z siebie płaszcz, przekładając z ręki do ręki teczkę i czarna reklamówkę, kiedy usiłował się wyplatać z rękawów, a potem podbiegł do mnie, szczerząc zęby jak wariat, choć raczej unikając mego wzroku, musnął mnie lekko w policzek i klapnął na krześle, które usłużnie podsunął mu kelner.

- Przepraszam za spóźnienie. Możemy od razu zamówić? Muszę być w domu przed...

- ...jedenastą, wiem. — Powstrzymałam się od westchnienia. - Miałeś ciężki dzień?

Fajnie byłoby się dowiedzieć, dlaczego się tu znaleźliśmy, przejść do sedna, ale Michael zajął się studiowaniem menu, pilnie przeliczając, która z ofert specjalnych opłaca się najbardziej.

- Nawet nie - odparł w końcu. - Jak zwykle stado baranów, którzy tylko siedzą i czekają, aż wleję w nich wiedzę. No i jak zwykle trafił się jeden wyszczekany mądrala, który chce się popisać przed dziewczynami, prowokując wykładowcę. Ale z nim to sobie szybko poradziłem.

Bez trudu sobie wyobraziłam, jak Michael przewierca przemądrzałego dwudziestolatka swym przenikliwym spojrzeniem,

po czym bezlitośnie sprowadza go na ziemię w stylu, który gwarantuje wybuch śmiechu u żeńskiej części audytorium. Kobiety go uwielbiają. To jest silniejsze od nas. Nie wiem, czy chodzi o to srogie oblicze, błysk czarnych oczu, ostro zarysowane usta czy niespokojne dłonie. Już dawno straciłam do tego dystans.

Kelner przyjął zamówienie i odszedł. Skończyły się wymówki do unikania rozmowy. Michael nachylił się nad stołem i nakrył ręką moją dłoń, unieruchamiając ją na białym obrusie. Z miejsca przeszył mnie znajomy dreszcz podniecenia. Mój mężczyzna miał tak poważną minę, że aż zachciało mi się śmiać. Wyglądał jak Puk, który ma zamiar przyznać się do jakiegoś niecnego występuku.

- Uważam... - zaczął ostrożnie, wpatrując się w punkt o jakieś pięć centymetrów na lewo ode mnie - ...że powinniśmy się przestać widywać. Przynajmniej na jakiś czas.

Czyli nie porozmawiamy o skowronkach. Śmiech, który we mnie wzbierał, wybuchł teraz z całą siłą. Ściągnęłam na siebie spojrzenia ludzi.

- Co takiego?

- Jesteś młoda. Jeżeli teraz to przerwiemy, zdążysz jeszcze kogoś poznać. Ustatkujesz się, założysz rodzinę.

Michael wzdygał się na samą myśl o posiadaniu dzieci. Fakt, że mi tego życzył, tylko dowodził, jaki dystans chciał między nami wytworzyć.

- Oboje nie jesteśmy już młodzi - odparłam. - Zwłaszcza ty. - Odruchowo dotknął czoła. Jakiś czas temu zaczął łysieć, a jest na tyle próżny, że strasznie się tym przejął. Przez ostatnie kilka lat przekonywałam go, że wcale tego nie widać, a potem, kiedy już musiałabym kłamać, stwierdzałam, że to jest nawet sexy i nadaje mu bardziej dystyngowany wygląd.

Kelner przyniósł zamówienie. Jedliśmy w milczeniu. To znaczy Michael jadł, ja głównie przesuwałam widelcem po talerzu swój makaron z krabami i piłam dużo wina.

W końcu nakrycia ze stołu sprzątnięto, pozostawiając między nami ziejącą pustkę. Michael chwilę wpatrywał się w ob-

rus, jakby ta przestrzeń sama w sobie stanowiła zagrożenie, po czym nagle się ożywił.

- Mam coś dla ciebie - powiedział i rozchylił reklamówkę. Dostrzegłam w środku dwa identyczne pakunki zawinięte w szary papier. Zupełnie jakby przyniósł dwa pożegnalne prezenty dla dwóch różnych kobiet. Co wcale nie jest wykluczone.

- Przepraszam, trochę mało elegancko zapakowany, strasznie się śpieszyłem. - Podsunął w moją stronę jeden z nich. - Ale liczą się intencje. 'Ib jest coś w rodzaju *memento mori*; a przy okazji przeprosiny. - Tu uśmiechnął się tym swoim zniewalającym krzywym uśmiechem, który tak mnie ujął, kiedy go poznałam. - Ponieważ chciałbym cię przeprosić. Za wszystko.

Powodów miał wiele, ale nie czułam się na siłach, żeby mu je wymienić w twarz. *Memento mori* - pamiętaj o śmierci. Te słowa odbiły się echem w mojej głowie. Ostrożnie odwinęłam papier, czując, jak kraby i sos chili podchodzą mi do gardła.

W środku była książka. Bardzo stara, oprawiona w cielęcą skórę w miodowym kolorze, z prostymi tłoczeniami na okładce i czterema beleczkami na grzbiecie. Przesunęłam po niej palcami z namaszczeniem, jakbym dotykała czyjś ciało. Izolując się na chwilę od tych strasznych rzeczy, które mówił Michael, pozwoli odchyliłam okładkę, uważając, by nie załamać delikatnego grzbietu. Strona tytułowa była wyblakła i poplamiona.

Skarbczyk hafciarki - głosił napis tłustym drukiem. A pod nim kursywą:

Zbiór wzorów hafciarskich do wyszywania złotem, jedwabiem lub wełną, wedle upodobania.

Wydany drukiem po raz pierwszy nakładem Henry'ego Warda z Cathedral Square w Exeter w roku 1624.

I na samym dole odręcznie:

Drożej kuzynce Cat, 27 maja 1625 roku

- Och! - wykrzyknęłam oczarowana. Na następnej stronie widniał skomplikowany schemat. Obróciłam go do światła, żeby lepiej widzieć, ale niewiele to dało.

Michael tymczasem coś do mnie powiedział, ale cokolwiek to było, nieszkodliwie przeleciało ponad moją głowę.

- Och - westchnęłam znowu. - Coś niesamowitego.

Michael zamilkł. Zapadła ciężka cisza, ewidentnie wymagająca ode mnie jakiejś reakcji.

- Słyszałaś w ogóle, co przed chwilą mówiłem?

Patrzyłam na niego w milczeniu, nie chcąc odpowiadać.

Jego czarne oczy nagle zrobiły się niemal brązowe. Wypełniły się współczuciem.

- Wybacz mi, Julio - powtórzył. - Dotarliśmy z Anną do przełomowego momentu w życiu i musieliśmy odbyć szczerą rozmowę. Postanowiliśmy dać sobie jeszcze jedną szansę, spróbować od nowa. Nie mogę się z tobą dłużej spotykać. To koniec.

Tej nocy leżałam samotnie w łóżku i szlochając, tuliłam do siebie książkę - ostatnią rzecz, która będzie mnie łączyła z Michaellem. W końcu zmęczenie wzięło górę i zasnąłam. Ale to było jeszcze gorsze, śniły mi się bowiem okropne rzeczy. Budziłam się o wpół do trzeciej, trzeciej, czwartej nad ranem, mając przed oczami fragmenty obrazów: krew i połamane kości, człowiek wyjący z bólu, krzyki w jakimś zupełnie niezrozumiałym języku. Najbardziej wyrazisty był sen, w którym naga paradowałam przed tłumem obcych ludzi, a oni śmiali się i wytykali palcami moje liczne mankamenty. Wśród widzów znajdował się też Michael. Miał na sobie długą szatę z kapturem, ale rozpoznałam go po głosie, kiedy rzekł: „Ta wcale nie ma piersi. Dlaczego przyprowadzacie mi kobietę, która nie ma piersi?”. Zerwałam się spocona i upokorzona, nędzna istota, która sama zasłużyła na swój los.

A jednak, brzydząc się samej siebie, miałam zarazem wrzenie oderwania, jakbym to nie ja przeżywała ponizającą sytu-

ację, lecz jakaś inna Julia Lovat, która znajduje się daleko stąd. Znowu zasnęłam, ale tym razem nie pamiętam, czy coś mi się śniło. Gdy się w końcu obudziłam, okazało się, że leżę na książce. Zostawiła na moich plecach odcisnięty ślad — cztery beleczyki, niczym blizny.

ROZDZIAŁ 2

Odezwał się dzwonek domofonu. Michael podszedł do okna i wyrzwał na ulicę. Przy bramie stał mężczyzna nerwowo przestępujący z nogi na nogę, jak gdyby pilnie musiał skorzystać z ubikacji. Był za grubo ubrany jak na tę pogodę - w wełniane płaszcz i sztruksowe spodnie. Patrząc z góry, Michael po raz pierwszy dostrzegł, że Stephen jest prawie całkiem łysy na czubku głowy, jeśli nie liczyć nieszczęsnej „pożyczki”, która sprawiała wrażenie przyklejonej do skóry. Wyglądał komicznie nie na miejscu w tym rejonie Soho, gdzie ulicami krążą młodzi, zadbani mężczyźni w obcisłych T-shirtach, skórzanych spodniach lub porwanych dżinsach, ze znaczącymi uśmiechami na twarzach.

Kiedy Michael wprowadzał się do tego mieszkania, Old Compton Street nie była jeszcze tak ekstrawaganckim, barwnym i tętniącym życiem miejscem. Dzisiaj, gdy patrzył na tę falę młodości przelewającą się za oknem, czuł się, jakby podglądał cudzą imprezę, na którą jest i za stary, i zbyt heteroseksualny. Zwłaszcza teraz, gdy nawrócił się na właściwą drogę i starał się odgrywać idealnego męża.

- Stephen! - zawołał. Łysiejący mężczyzna podniósł głowę, osłaniając oczy przed słońcem. - Tutaj! Ostatnie piętro. - Rzucił mu przez okno klucze.

Klucze, które nie należą tylko do niego - pomyślał ze smutkiem w chwili, gdy opuszczały jego dłoń. Także do Julii. Teraz, gdy wszystko między nimi skończone, chyba powinien je zwrócić. Ale to mu się wydawało takie... ostateczne.

Przybycie Stephena Bywatera przerwało te rozmyślania.

- Mogliśmy się umówić w księgarni - powiedział z wyrzutem, ocierając pot z czoła. Cztery kondygnacje stromych schodów, a przecież nie był już najmłodszy. - Do Bloomsbury's masz dziesięć minut piechotą. - Energicznie wyplątał się z płaszczem, jakby chcąc podkreślić swe poświęcenie.

- Wołałem, żeby nam nikt nie przeszkadzał - odparł pośpiesznie Michael. - Zaraz zobaczysz dlaczego. Siadaj.

Odsunął stertę gazet i skryptów z siedziska sfatygowanej kanapy, żeby zrobić gościowi miejsce. Stephen Bywater spojrzął niepewnie na poplamione obicie, jakby w obawie, że pobrudzi sobie spodnie, po czym przycupnął na samej krawędzi. Kościste kolana i łokcie sterczały mu na wszystkie strony jak u modliszki.

- Nie będziesz żałował - ciągnął z przejęciem Michael. - Poczekaj tylko. To niezwykła rzecz, prawdziwy skarb, unikat. Zresztą, co ci będę opowiadał, spójrz sam.

Z czarnej reklamówki leżącej na stoliku wydobył niewielką szarą paczuszkę. Bywater delikatnie odwinął papier i wyjął starą książkę w nieco wypłowiałej oprawie z cielęcej skóry z resztkami złotych liter na grzbiecie. Zamruczał z podziwu, obracając ją w dłoniach. Obejrzał ze wszystkich stron, sprawdził szycie, przesunął palcem po chropowatych krawędziach kart.

- Przepiękna. Jakiś szesnasty, siedemnasty wiek. — Z najwyższą ostrożnością odchylił okładkę i zajrzał na stronę tytułową. - Tysiąc sześćset dwudziesty czwarty. Niesamowite. *Skarbczyk hafciarki*. Oczywiście słyszałem o niej, ale nie miałem okazji mieć jej w ręku. Bardzo ładna. Widać ślady używania, trochę plam, zażółcenia, ale ogólnie jest w świetnym stanie. - Uśmiechnął się do Michaela, ukazując zęby żółte jak u szczura. - Powinna być sporo warta. Co najmniej tysiąc funtów. Mówiłeś, że skąd ją masz?

Michael nic mu nie mówił.

- A od znajomej. Sprzedaje w imieniu swojej koleżanki. — To nie była do końca prawda, ale blisko. - Zajrzyj do środka,

przypatrz się dokładnie - nalegał niecierpliwie. - Jest bardziej niezwykła, niż się na pierwszy rzut oka wydaje.

Patrzył w napięciu, jak księgarz dmucha w kartki i delikatnie je rozdziela, robiąc przy tym dziwne miny.

- No cóż, rysunki, wzory, ściegi... Wszystko, co ma być. Michael się załamał.

-Tylko tyle masz do powiedzenia? Stary, przecież to... palimpsest! Nie widzisz ukrytego tekstu na marginesach i między rysunkami? Przynaję, trudno go dostrzec, ale niemożliwe, żebyś nie zauważył!

Bywater zmarszczył brwi i jeszcze raz pochylił się nad książką. W końcu ją zamknął i dziwnie spojrzął na przyjaciela.

- Mój drogi, z pewnością nie ma tu żadnego palimpsestu. To papier, nie pergamin. Nie ma śladów ścierania, żadnego *scriptio interior*. Ja przynajmniej nic takiego nie widzę. A marginalia... No wiesz, to jest zupełnie inna sprawa, zresztą znasz się na tym. Gdyby to były własnoręczne zapiski autora, może zwiększyłyby wartość, nawet dwukrotnie, ale...

- Głupcze, to nie autor, to pisała jakaś dziewczyna. Ta książka jest unikalnym, prawdopodobnie bezcennym dokumentem historycznym! Chyba musisz sobie sprawić okulary...

Michael ze złością wyrwał mu ją z rąk i zaczął gorączkowo wertować, jakby chciał sprawdzić, czy zapiski, które wczoraj widział, w jakiś tajemniczy sposób nie zniknęły.

Po chwili w wściekłością zamknął ją z powrotem i pobiegł do telefonu.

ROZDZIAŁ 3

Z Anną, żoną Michaela, znamy się od czasu studiów. Byłyśmy wtedy jak Trzej Amigos: ja, ona i moja kuzynka Alison, a różniłyśmy się od siebie tak bardzo, jak tylko można sobie wyobrazić: Anna drobna, śliczna jak laleczka, a my dwie dorodne kornwalijskie dziewoje chowane na mleku i mące. Ja, kiedy rozpuściłam swoje blond włosy, mogłam na nich usiąść, podczas gdy Anna miała czarne, krótkie i zawsze idealnie ułożone jak u modelki. Alison natomiast nosiła włosy do ramion i miały one kolor kasztanowy, potem rudy, czarny, szkarłatny i wreszcie znów brązowy, zależnie od tego, czy akurat uczyła się angielskiego czy aktorstwa. Razem tworzyłyśmy doskonale symbiotyczny twór, co pomogło nam przetrwać trudy studiowania i późniejsze pierwsze doświadczenia w pracy - Anny w księgarni, Alison w szkole, a moje w niezliczonych barach i kawiarniach.

Alison i ja wiodłyśmy wesołe życie: chodziłyśmy na imprezy, próbowałyśmy narkotyków, piłyśmy, podrywałyśmy facetów, natomiast Anna wytrwale pracowała nad sobą. Gromadziła doświadczenia po to, żeby je wykorzystać do zbudowania czegoś sensownego. Ciężko pracowała i widać efekty. Obecnie jest redaktorką w poczytnym czasopiśmie o modzie, zarabia mnóstwo pieniędzy, choć paradoksalnie tylko ona z naszej trójki nigdy ich właściwie nie potrzebowała. Z tego, czego zdołałam się domyślić, jej rodzina była dosyć zamożna, choć Anna niechętnie wypowiadała się na temat swego pochodzenia, a przy nas i naszych wiecznych kłopotach z forszą zawsze czuła się trochę zakłopotana.

Wydawało się nieuniknione, że nasze drogi po studiach się rozejdą. Przede wszystkim Alison poznała Andrew i szybko się pobrali. Muszę przyznać, że nieszczególnie za nim przepadałam. To było taki typowy macho, wylewny i zanadto pewny siebie, ze skłonnością do chwytania cię w trakcie rozmowy za kolano lub inną część ciała, zależnie od stopnia nietrzeźwości. Miał jednak złośliwe poczucie humoru i mało co go peszyło, no a przede wszystkim Alison była z nim szczęśliwa (przynajmniej przez jakiś czas), więc starałam się z nim zaprzyjaźnić. Przygarniali mnie za każdym razem, gdy złamał mi serce kolejny nieodpowiedni facet, wlewali we mnie alkohol, a potem Alison przyglądała się wyrozumiale, gdy Andrew niezdarnie próbował ze mną flirtować, podczas gdy ja się śmiałam, płakałam i krztusiłam winem. Kiedy pewnego razu ją zdradził i przybiegła do mnie we łzach, przekonana, że jej życie legło w gruzach i nie da się go już odbudować, wpadłam w furję i nie odzywałam się do niego prawie przez dwa lata.

Co za ironia losu: zaraz potem poznałam Michaela.

Doskonale to pamiętam. Pewnego dnia Anna, nieco zdenerwowana, zarumieniona i zakłopotana, powiedziała do mnie:

- Julio, zapraszam cię na drinka, chciałabym ci kogoś przedstawić. Konkretnie mojego narzeczonego.

To ci dopiero niespodzianka. Byłam zaskoczona, a raczej urażona, że trzymała to przede mną w tajemnicy. Na studiach nawet nie miała chłopaka. Gdy my korzystałyśmy na całego ze świeżo zdobytej wolności, Anna pisała eseje, czytała skrypty, wkuwała materiał. Gdy ja radośnie eksperymentowałam z seksem, Anna skupiała się na nauce i żyła w celibacie. Traktowała życie znacznie poważniej niż reszta. Po studiach całą energię włożyła w budowanie kariery zawodowej. Powiedziała, że ma swój plan i chyba faktycznie się go trzyma. Pamiętam, kiedy zapowiadała: „Wyjdę za mąż po trzydziestce, jak już będę miała ustabilizowaną pozycję w firmie i będę mogła sobie zrobić

przerwę na urodzenie dzieci". Wtedy się z niej podśpiewywałam, przypominając słowa Johna Lennona, że życie to jest to, co nam się przytrafia, kiedy jesteśmy zajęci snuciem innych planów. A tu proszę, dopięła swego: w wieku trzydziestu jeden lat ogłasza zaręczyny. Kolejny odhaczony punkt na liście.

- A co, w ciąży jesteś? - zażartowałam.

Oburzyła się, ale twarz oblał jej rumieniec.

- Jasne, że nie - odparła.

Zastanawiałam się, czy w ogóle się z nim przespała.

W tym idealnym wizerunku musiało się pojawić pęknięcie, ponieważ ideały w naturze nie istnieją. Doskonałość kusi los. Czytałam kiedyś, że dawni japońscy ceramicy w każdym zrobionym przez siebie naczyniu umieszczali gdzieś małą ryskę w obawie przed gniewem bogów. Anna też widocznie sprowokowała jakiegoś złośliwego ducha, że ją ukarał za tę pychę w związku z Michaeliem. I podsunął jej mnie za przyjaciółkę.

Na nieszczęście dla nas wszystkich między mną a Michaeliem zaiskrzyło niemal od razu. Wystarczyło jedno spojrzenie. To było jak uderzenie pioruna. W pewnym momencie w zatłoczonym barze w Covent Garden, gdzie się tego wieczoru spotkaliśmy, Michael umyślnie otarł dłonią o moje pośladki, a ja o mało nie zemdlałam. Po trzech tygodniach wymieniania znaczących spojrzeń i ukradkowych dotyków, poszliśmy ze sobą do łóżka.

- Anna nie może się o rym dowiedzieć - powiedział do mnie tamtego popołudnia, ucinając ewentualną dyskusję, a ja, tracąc ostatnią i najlepszą okazję, żeby zdusić problem w zarodku, leżałam otumaniona seksem i wyrzutami sumienia, i się zgodziłam. Potem sprawy zaszły za daleko i nie było już mowy, abyśmy się przyznali do naszej zdrady.

Byłam druhną na ich ślubie.

W któreś ze środowych popołudni, gdy nie miał zajęć, leżeliśmy w łóżku u niego w mieszkaniu na Soho, a on mi się zwierzył:

- Wiesz, Anna jest dość powściągliwa w sprawach seksu. Zawsze mam wrażenie, że jej się narzucam.

Wtedy odczułam satysfakcję, ale moja pewność siebie była nieuzasadniona: Michaela ten chłodny dystans Anny intrygował, stanowił wyzwanie. Ona wciąż pozostawała dla niego niezdołanym łupem, daleką egzotyczną krainą, na której nie zdołał zatknąć flagi. Mnie zaś zaanektował, podbił, zniewolił - nierzadko w sensie dosłownym. Czasem, gdy się kochaliśmy, owijał sobie moje długie, jasne włosy wokół dłoni i używał jak cugli. Raz w hotelu nawet przywiązał mnie nimi do łóżka. Tak je zaplątał, że musiał mnie odcinać za pomocą miniaturowych nożyczek krawieckich, które noszę przy sobie w torebce razem z zestawem do haftowania.

Teraz, cztery lata później, przypomniało mi się tamto zdarzenie. Dobra metafora - a może zapowiedź? - tego, co się stało z moim życiem: Michael najpierw solidnie je poplątał, a potem jednym cięciem mnie uwolnił. Byłam na niego zła, wręcz wściekła, ale sama przed sobą musiałam przyznać, że w równym stopniu ponoszę odpowiedzialność za tę sytuację. W końcu Anna to moja przyjaciółka. Od samego początku wstydziałam się tego romansu, lecz wstyd to niewygodne uczucie i nic lubimy go sobie uświadamiać. Intensywne życie zawodowe Anny znacznie ułatwiało nam sprawę, a ja stałam się mistrzynią w wymyślaniu wymówek, żeby tylko uniknąć krępujących spotkań sam na sam z nią albo kolacji we trójkę. Udręczona świadomością, jak strasznie ją oszukuję, każdego dnia, w każdej minucie czułam, że nie mogę spojrzeć jej w oczy. Była taka szczęśliwa, a tylko ja znałam prawdę, która mogła to szczęście zburzyć.

Teraz, gdy związek z Michałem się skończył, nie wiem, czy kiedykolwiek będę w stanie się z nią zobaczyć.

Następnego dnia po zerwaniu wyczerpana płaczem uciekłam z Londynu na tydzień, żeby sobie pochodzić po klifach południowego wybrzeża. Przez większość czasu miałam ochotę rzucić się do morza, ale jakoś nie zdobyłam się na odwagę. Specjalnie nie zabrałam ze sobą komórki, żeby przypadkiem w chwili słabości nie zechciała zadzwonić do Michaela. Kiedy natomiast nie snułam się nieprzytomnie ścieżkami nieczuła na

otaczające mnie widoki, poświęcałam czas wyszywaniu. Realizowałam projekt, który chodził za mną od paru tygodni.

To miał być gobelin na ścianę, więc musiałam zastosować grubsze płótno i wyszywać raczej kolorową włóczką niż jedwabiem. Ta technika już od czasów elżbietańskich i jakobińskich jest znana pod nazwą „crewel” od walijskiego słowa „wełna”. Naszkicowałam już na materiale zarys wzoru: jednobarwne, stylizowane liście akantu, ożywione gdzieś tam kolorowymi kwiatami. W bardzo tradycyjnym stylu, na wzór werdiur flamandzkich, które oglądałam w Muzeum Wiktorii i Alberta. Do zrobienia delikatnego wypełnienia liści zainspirowały mnie misterne weneckie koronki igłowe. Gobelin będzie spory i bez problemu zasłoni w sypialni puste miejsce po czarno-białym zdjęciu Michaela. Już tam nie wisi, ponieważ przed wyjazdem uroczyście je spaliłam w ogrodzie, ale na ścianie pozostał irytujący ślad, który stale przypominałby mi o braku zarówno fotografii, jak i sfotografowanej osoby.

Haftowanie to trochę niespotykane hobby u osoby tak nieuporządkowanej jak ja, lecz właśnie ta dokładność mnie w nim pociąga, złudzenie kontroli, które mi daje. Kiedy skupiam się nad nowym wzorem, nie potrafię myśleć o niczym innym. Chandra, poczucie winy, tęsknota - wszystko odpływa, zostaje tylko piękny mikroświat w moich dłoniach, błysk igły, tęcza kolorów nici, uspokajający reżim dyscypliny. Tylko dzięki temu gobelinowi nie postradałam zmysłów w pierwszych dniach po rozstaniu z Michaeliem.

Po tygodniu doszłam do siebie i wróciłam do Londynu. Lampka na automatycznej sekretarce migotała jak szalona. „Masz dwadzieścia trzy nowe wiadomości” - poinformowała elektroniczny głos. Serce mocniej mi zabiło. Może Michael prze-myślał sprawę, może chce do mnie wrócić. Stanowczo odrzuciłam tę ewentualność. Zachował się jak ostatni drań i nie chcę mieć z nim nic wspólnego. Żeby mnie nie kusiło, skasowałam hurtem wszystkie wiadomości. Jeżeli ktoś miał do mnie waż-

na sprawę, zadzwoni *jeszcze* raz. Wiedziałam, że gdybym tylko usłyszała głos Michaela, cała moja silna wola by uleciała.

Weszłam do sypialni, gdzie wciąż panował bałagan, który zostawiłam, wyjeżdżając: skotłowana pościel, porozrzucane wszędzie ciuchy. Zebrałam je, zaniósłam do łazienki do prania i wróciłam posłać łóżko.

Książka, którą sprezentował mi Michael, leżała w pościeli. Wzięłam ją do ręki: poczułam miły ciężar w dłoni i miękkość cielejcej skóry — jakby wciąż była żywa. Otwarłam ją na pierwszej lepszej stronie, ostrożnie rozchylając delikatne kartki, i trafiłam na rysunek z powtarzającym się motywem roślinnym - delikatną, pnącą się winoroślą - przewidziany do wykonania techniką haftu czarnego, który jak sugerował autor, „najlepiej nadaje się do ozdobienia kwefu, czepka czy chusteczki”. Resztę instrukcji ktoś pokreślił ołówkiem. Co za pech. Przyniosłam książkę bliżej lampki i przyjrzałam się dokładniej.

Cała strona była pokryta drobnym, starodawnym pismem - „s” w formie „f” i tak dalej. Tekst był bardzo niewyraźny, a miejscami pokryty kleksami i wyblakły, ale sądząc po słowach, które zdołałam odczytać, nie miał nic wspólnego z hafciarstwem. Chyba że autor lubował się w motywach związanych ze śmiercią i okrucieństwem. Wyjęłam z biurka lupę, przyniosłam notes, ołówek i spróbowałam spisać to, co uda mi się odcyfrować.

Dnia 27 maja Roku Pańskiego 1625 umarł nasz drogi król Jakub, a 19 lat temu przyszłam na świat ja, jego wierna podwładna, Catherine Anne Tregenna. Dziękuję za to Bogu, a kuzynowi Robertowi za prezent w postaci tej książki i ołówka, którym jak radził, będę mogła uwieczniać swe własne wzory haftów. Tak też uczynię, lecz idąc za przykładem mojej pani Lady Harris z Kenegie, zamierzam umieszczać tutaj swoje przemyślenia, gdyż według niej to dobry nawyk i ćwiczenie dla umysłu tak wprawiać się w pisanie...

ROZDZIAŁ 4

Catherine
czerwiec 1625

Matty obudziła ją tuż po wschodzie słońca.

- Zejdź do salonu - powiedziała. - Przyszedł Jack Kellynch z Thomem Samuelsem i twoim kuzynem Robem.

- Robert? - Cat zamruwała powiekami, wciąż na wpół śpiąca, i z trudem podniosła się na łóżku. Białe światło przeciskało się przez zasłony, które uszyła ze starej spódnicy, aby zakryć nieszczelne okno na poddaszu. - A co on robi w towarzystwie tych nicponi.

- Nie mów tak - skrzywiła się Matty. - To dobre chłopaki.

Bracia Kellynch mieli w porcie w Market Jew własną łódź do połowu sardynek i czasem ruszali na morze, dołączając do większych kutrów, by powrócić z sieciami pełnymi ryb. Częściej jednak znikali na całe tygodnie, nikt nie wiedział gdzie, i po jakimś czasie pojawiali się w mieście znacznie bogatsi. Uśmiechali się chytrze i puszczali oczka do dziewcząt, obnosząc się z zagranicznym złotem. Matty miała słabość do Jacka; według Cat był on głupcem i łachudrą, choćby i przystojnym. Thom Samuels pozbawiony był nawet tej zalety: twarz szpeciły mu czarne, zrosnięte krzaczaste brwi.

- Zbóje i szmuglerzy, ot co — zaśmiała się Cat.

Ale Matty już zdążyła wyjść. Cat słyszała skrzypienie drewnianej podłogi, a potem ciężkie stąpanie po schodach. Pokoje Sir

Arthura i Lady Harris znajdowały się w zacisznym, zachodnim skrzydle domu; służba zaś zamieszkiwała wschodnie skrzydło, tam gdzie najbardziej doskwierały hałasy z pobliskiego gospodarstwa. Gdyby Matty nie obudziła Catherine, zrobiłyby to psy i kogut. Wygramoliła się z łóżka. Sztynna ciemnozielona suknia, którą wkładała na co dzień do pracy, oraz gorset wisiały na oparciu krzesła, a na nich para płóciennych pończoch, które wyglądały jak dwie puste nogi. Szkoda czasu na to całe wiązanie i sznurowanie: Cat wygładziła nocną koszulę i zarzuciła na plecy chustę - wyraz próżności, wszak była to jej najlepsza, w dzikie róże, ręcznie haftowana krzyżykami za pomocą najprzedniejszej wełny.

Po co Robert zjawił się tutaj o tej porze? Cat wiedziała, że Margaret Harris ma słabość do jej kuzyna i zachęca go, by odwiedzał ich dom znacznie częściej, niż tego wymagają jego obowiązki na gospodarstwie. Wysoki, niebieskooki, z bujną blond czupryną, był od niej wyższy o dobre piętnaście cali. Wzrostem górował zresztą nad większością osób. Lady Harris żartowała, że jest potomkiem olbrzymów z Carn Brea, którzy podobno zaciągali swe ofiary na szczyt wzgórza i tam mordowali je na wielkich płaskich głazach, po czym ograbiali ze złota i klejnotów, a te następnie ukrywali głęboko w granitowych jaskiniach. Ale Cat nijak nie umiała sobie wyobrazić, jak jej spokojny kuzyn mógłby kogokolwiek zniewolić, a co dopiero roztrzaskać mu głowę o skałę. Już i tak dziwne, że zjawił się w towarzystwie Kellyncha i Samuela, i to w porze, gdy pani zwykle jeszcze śpi.

Zaciekawiona, wsunęła bosc stopy do zimnych butów i zeszła na dół. Zobaczyła, że Matty i dojarka Gruba Grace zaglądają ukradkiem do salonu przez szparę w drzwiach. W korytarzu unosiły się stłumione męskie głosy, silna woń cienkuszka i zapach dymu z kuchennego paleniska. Jeden z mężczyzn coś powiedział, ale tak cicho, że Cat nic nie rozumiała. Dziewczęta pilnie nadstawiały uszu, starając się wyłapać każde słowo. Grace ścisnęła Matty za rękę i wymieniły przerażone spojrzenia. Cat

uśmiechnęła się, podeszła na palcach po kamiennej posadzce i oparła się o ramię Marty, by także zerknąć przez szparę. Wystraszona dziewczyna pisnęła przeraźliwie niczym królik schwytany przez lisa.

Drzwi gwałtownie się otworzyły i stanął w nich Jack Kellynch. Ciemnowłosa, szczupły, miał śniadą cerę i błyszczące oczy Hiszpana - podobno po matce, jak wieść niesie, uratowanej ze statku handlowego, który rozbił się o skały u wybrzeży Kornwalii. Wraz z nią przejęto ładunek wina, kufer pełen sreber i złota oraz bale dalekowschodniego jedwabiu, które miały trafić do królowej. Większość srebrnej zastawy dotarła na dwór, jedwab również, lecz alkohol w tajemniczy sposób zniknął, podobnie jak córka hiszpańskiego kupca.

- No, moja droga Matty - rzekł, karcąc ją wzrokiem - powinnaś wiedzieć, że podsłuchiwaniami cudzych rozmów można sobie napytać biedy.

Matty oblała się jaskrawym rumieńcem i spuściła wzrok, niezdolna wykrztusić słowa. Gruba Grace tylko ścisnęła ją za rękę, stojąc z wytrzeszczonymi oczami i otwartą buzią. Miała dopiero trzynaście lat, była troszkę nierozgarnięta i wbrew przewisku całkiem drobnej postury.

Cat postąpiła naprzód.

- A pan co tu robi, Jacku Kellynch? Matty i Grace tu uczciwie pracują i mają prawo przebywać w tym domu, ale pana, o ile mi wiadomo, nikt tu nic zatrudniał i nie wiem, czego pan szuka w naszym salonie o tak wczesnej porze.

Kellynch zmierzył ją drwiącym spojrzeniem.

- Co ja tu robię, to wyłącznie moja sprawa i nie powinno to obchodzić jakiejś duńskiej pokojówki.

Cat odrzuciła do tyłu swe długie rude włosy, które zapewniły jej ten niezasłużony przytyk, i minąwszy go, weszła do salonu z zamiarem zrugania kuzyna za to, że wpuścił tych łotrów do domu. W zadymionym pomieszczeniu oświetlonym tylko ogniem z kominka znajdowały się jednak trzy postacie: oprócz

Roberta Bolitho i Thoma Samuelsa, siedzącego przy stole, w mrocznym kącie pod ścianą stał jeszcze jeden mężczyzna. Miał na sobie zakurzony płaszcz podróżny i ubłocone buty. Dopiero gdy zrobił krok w przód i padło na niego światło latarni, Cat zobaczyła, że to właściciel dworu sir Arthur Harris we własnej osobie. Minę miał srogą.

- Ci panowie, Catherine, przyszli tu na moje zaproszenie. Mają dla mnie pewne informacje.

Cat zawirowało w głowie, pośpiesznie dygnęła.

- Najmocniej przepraszam, sir, myślałam, że pan jest na zamku...

- I to cię upoważnia do tego, by pokazywać się w towarzystwie w niekompletnym stroju?

Tego argumentu nie mogła zbić, więc go przemilczała. Odwracając wzrok, dostrzegła kątem oka, jak Robert delikatnie przesuwa porzucony na stole kapelusz, żeby zakryć nim jakiś przedmiot, który błysnął na tle ciemnego dębowego blatu.

Gdy skierowała na niego pytający wzrok, spojrzął na nią bardzo wymownie: „Idź stąd” - mówiły do niej jego płonące niebieskie oczy. Przez chwilę się wahała, lecz w końcu wydusiła:

- Proszę mi wybaczyć, sir - i wybiegła z salonu.

Cały czas, nawet już będąc na schodach, czuła na sobie wzrok Jacka Kellyncha.

- Moja droga Catherine - rzekła Margaret Harris tonem jak najbardziej stanowczym. - Mąż doniósł mi, że dziś rano zachowałeś się niestosownie, pokazując się jego gościom zaledwie w nocnej koszuli. Prosił, bym się z tobą rozmówiła w tej sprawie. Nie chcemy tu w Kenegie skandalu, a poza tym przyrzekłam twojej matce, że zastąpię ją w roli wychowawcy.

Na wspomnienie matki Cat spuściła głowę. Jej ojciec, John, który służył w milicji Sir Arthura w garnizonie stacjonującym na St. Michaels Mount, umarł w czasie zarazy, która przed dwoma laty ogarnęła ten rejon, i pozostawił Jane Tregenna wraz z córką

bez środków do życia. Ludzie szeptali po kątach, że spriggany* rzuciły urok na panią Tregenna, bo po Catherine nie urodziła już ani jednego dziecka. Sama Cat podejrzewała, że między rodzicami po prostu nie było żadnego uczucia. Margaret Harris zaoferowała im obu pracę w swej posiadłości, lecz Jane czuła się damą i uważała, że powrót do roli służącej byłby poniżej jej godności. Wolała zamieszkać w wygodnym domu swego brata Edwarda w Penzance, a córkę zostawiła pod skrzydłami Lady Harris w majątku Kenegie. Cat zyskiwała przez to nie tylko hojne wynagrodzenie osobistej służącej, lecz także edukację i wsparcie, o jakich dziewczyna z jej pochodzeniem mogłaby tylko marzyć. Zdawała sobie sprawę, że matka pokłada w niej wielkie nadzieje i wiąże z nią ambitne plany, prawdopodobnie też ostrzy sobie zęby na jednego z synów Margaret jako przyszłego zięcia, więc jeśli teraz straci tę posadę, już do końca życia nie uwolni się od jej gorzkich wyrzutów.

- Proszę pani, ja bardzo przepraszam, nie chciałam w niczym uchybić. Matty... Usłyszałam na dole zamieszanie i bałam się, że ktoś wtargnął do domu...

- Nie sądzę, aby w takiej sytuacji zejście na dół w neglizżu należało do najrozsądniejszych pomysłów. Gdyby tam byli jacyś opryszkowie, naraziłabyś się na niebezpieczeństwo, a mnie, swoją opiekunkę, postawiłabyś w niezwykle trudnej sytuacji. Czy zdajesz sobie z tego sprawę?

Cat powoli skinęła głową.

- Ale, proszę pani, ja nie byłam w neglizżu. Okryłam się skromnie chustą, przysięgam.

Lady Harris się uśmiechnęła.

- Czy aby tą najlepszą, w róże?

Dziewczyna się spłoniła.

- Tak, proszę pani.

* Mitologiczne kornwalijskie małe, złośliwe gnomy zajmujące się rabunkiem i strzegące skarbów ukrytych w ruinach i pieczarach [przyp. tłum.].

Margaret w milczeniu przyjrzała się podopiecznej. Dziewiętnastoletnia Cat należała do panien bardzo urodziwych, mimo tego nieszczęsnego, rudawego koloru włosów. Jej matka była niską brunetką, zniszczoną przez życiowe niepowodzenia, natomiast zmarły ojciec - opryskliwym szatynem o drobnych rysach twarzy jak u mieszkańców przylądka Lizard (którzy jak wiadomo, poruszali się na czworakach, dopóki załoga pewnego zamorskiego statku, który rozbił się u wybrzeży, nie osiedliła się wśród nich, wpływając korzystnie na ich wzrost i posturę). Było to dziwne małżeństwo i raczej wskazywało na kompromis zawarty pod presją: Jane pochodziła z Coode'ów, starej, szanowanej, bogobojnej kornwalijskiej rodziny. Tregennowie natomiast byli rolnikami z okolic Veryan i Tregear. John był ich trzecim synem, który nawet nie miał własnego kawałka ziemi, żeby się z czegoś utrzymywać, dlatego zaciągnął się do milicji. Nie najlepsza partia dla ładnej dziewczyny z dobrego domu. No i zdecydowanie nie można się było dopatrzeć w tej parze źródeł pochodzenia ognistorudych włosów Catherine ani jej długich smukłych nóg. Dziewiętnaście lat to niebezpieczny wiek. Dziewczyna powinna wyjść za mąż, i to jak najszybciej. Margaret widziała, jak jej syn Thomas patrzy na nią, kiedy się krząta po domu.

- Spotkałaś się rano ze swoim kuzynem?

Cat zmarszczyła brwi.

- Tak, proszę pani.

Margaret Harris wygładziła spódnice.

- Robert to dobry pracownik. Mój mąż często to powtarza. Nie zdziwiłabym się, gdyby mu zaproponował posadę zarządcy majątku, kiedy Georgie Parson odejdzie. - Przyglądała się dziewczynie, czekając na jej reakcję. - Oczywiście łatwiej by mu było o awans, gdyby miał tu rodzinę, zapuścił korzenie - naciskała.

- Och, Robert ma bardzo liczną rodzinę - machnęła ręką Cat. - W każdym przysiółku od Gulval i Badgers Cross po

Alverton i Paul mieszkają jacyś Bolithowie albo Johnowie. On nigdy stąd nie wyjedzie, nie ma takich ambicji.

- Niezupełnie to miałam na myśli. To szlachetny i zaradny młody człowiek. Mówiąc wprost, całkiem niezła partia dla wiejskiej panny. - Wbiła w Cat świetliste oczy, aż znaczenie jej słów stało się dla dziewczyny jasne.

- Ach... - Cat spuściła wzrok i patrzyła na wzorzysty dywan, który leżał u jej stóp. Podobno turecki. Kunsztownie utkany z bajecznie kolorowej wełny w przepiękne motywy w barwie kremu, purpury i umbry lśnił jak żywy na tle ziemistych odcieni dominujących w tym ponurym wnętrzu: wyłożonych boazerią ścian, granitowej posadzki i ciemnych, ciężkich mebli z orzecha i mahoniu. Wszystko by oddała, żeby zdobyć taką wełnę do haftu. Jakże wspaniałe muszą być orientalne tkaniny. Marzyła, by je kiedyś zobaczyć, ale zapewne ten dywan pozostanie dla niej pierwszym i jedynym kontaktem z tą sztuką. Uniosła głowę i spojrzała Margaret prosto w oczy.

- Mój kuzyn to dobry człowiek, ale kocham go jak brata - ucięła.

Lady Harris doszła do wniosku, że za wcześniej, aby drażyć ten temat, lecz przyrzekła sobie, że nim skończy się lato, Catherine Tregenna zostanie panią Catherine Bolitho.

Robert odszukał ją później tego samego dnia.

- Cat, czy dasz się zaprosić na spacer? - spytał.

Była czwarta po południu. Lady Harris wraz z córkami Margaret i Alice pojechały do Trevailor w odwiedziny do pastora Véale. Przed wyjściem zaznaczyła z uśmiechem, że Catherine może sobie zrobić wolne, dopóki nie wrócą po kolacji.

Cat przysłoniła ręką oczy i spojrzała w dal ponad jego ramieniem. Słońce odbijało się w odległych wodach zatoki, zaś zamek na Mount wyglądał jak z bajki. Wysoko nad wzgórzami od strony Lescudjack krążyła pustułka, szybując leniwie prądem ciepłego powietrza w chaotycznej pogoni za królikiem, a może

myszą. Na błękitnym niebie rozłożyły się pierzaste obłoki: zapowiadał się kolejny pogodny dzień, a delikatny wietrzyk od morza migotliwie poruszał liśćmi jaworów i dębów okrywających dolinę Rosemorran. Cat nie widziała powodu, by odmówić prośbie Roberta, zresztą nie chciała. Prawdę mówiąc, w te gorące letnie dni w domu bywa zbyt duszno, a Robert stanowi atrakcyjne towarzystwo. Nie miała zamiaru go poślubić, lecz pokazywanie się z nim u boku w niczym nie ujmowało jej godności. Poza tym była niezmiernie ciekawa, jakie to sekrety omawiano w zaciszu salonu dziś rano.

Przeniosła wzrok na kuzyna. Robert wpatrywał się w nią tak, jak pustułka w swą zdobycz: chciwie, przenikliwie. Bystre niebieskie oczy badały jej twarz w poszukiwaniu jakiegokolwiek reakcji.

- T a k , Robercie - odezwała się w końcu, przeciągając ten moment. - Z wielką przyjemnością. Zaczekaj tu, pójdę się tylko przebrać.

W połowie schodów znajdowało się małe okienko. Cat zerknęła przez nie i zobaczyła, że kuzyn energicznie miętosi w rękach kapelusz, jakby ukręcał łeb kurczakowi. Wsunął go na głowę, zdjął, wcisnął do kieszeni, a potem otarł czoło wielką kolorową chustką.

Denerwuje się - pomyślała z zadowoleniem. Ma powód, ponieważ nigdy nie usłyszy od niej słowa „tak”.

W pokoju, nie śpiesząc się, zdjęła codzienne ubranie i włożyła nową spódnicę z białego bawełnianego płótna, ozdobioną flamandzką koronką. Kupiła ją na targu w Penzance za to, co zdołała odłożyć, wysyłając matce prawie całą pensję. Na to przywdziała wierzchnią suknię z błękitnego sukna ze sznurowanym gorsetem i szerokim białym kołnierzem, a na ramiona narzuciła haftowany szal. Szkoda było psuć ten delikatny efekt pastelowych odcieni, zakładając ciężkie skórzane buty, lecz nawet Cat nie była tak próżna, by ryzykować zniszczenie jedynej pary satynowych pantofelków podczas spaceru po trawie i błocie. Wes-

tchnąwszy, zasznurowała ciasno trzewiki i wtarła odrobinę wody różanej w szyję i dekol. Pod wpływem słońca jej woń na pewno uniesie się w powietrze i dotrze do nozdrzy Roberta.

Rob przechadzał się niecierpliwie po podjeździe, gdy w końcu się pojawiła, lecz miał na tyle rozumu, żeby jej nie zrugać za opieszałość. Rzekł za to przytomnie:

- Wyglądasz prześlicznie, Cat.

Obdarzyła go za to uśmiechem, lecz sprostowała:

- Catherine.

Zmarkotniał. Cat niemal fizycznie odczuła zmianę w wyrazie jego twarzy, kiedy go mijała, wychodząc na drózkę biegnącą obok wiejskich zabudowań. To było jak dreszcz na plecach.

- Chodźmy na Castle an Dinas - rzuciła przez ramię.
- Muszę odświeżyć umysł.

- Jesteś pewna? To bardzo daleko.

- Mam dwie nogi, gdybyś nie zauważył - odcięła się i przyspieszyła kroku, energicznie wymachując rękami.

Zauważył, jakżeby nie. Drżał w środku na samą myśl o nich. Posłusznie pobiegł za Catherine.

- A l e muszę wrócić przed zachodem słońca, bo obiecałem pomóc Willowi przy krowach.

- Nie traćmy więc czasu na próżne rozmowy - powiedziała Cat. Ruszyła przed siebie, powiewając spódnicami.

Obrali drogę przez łąkę w kierunku Gariss i Hellangrove. Trawa niczym nocne niebo usiana była jaskółczym zieleń, gwiazdnikami i złocieniami. Cat wyobraziła je sobie wyhaftowane drobnymi krzyżkami z żółtych, białych i błękitnych nici na szmaragdowym tle.

Teren po lewej wznosił się łagodnie od gęstwiny jeżyn po zalesione wzgórza wypełnione ptasim śpiewem. Pośród krzewów wyrastały kremowe kwiatostany trybuli leśnej i powojnika, a prażące od rana słońce uwolniło intensywny pieprzny aromat bodziszka i ostrą woń dzikiego czosnku. W dali rozciągały się porośnięte trawą wapienne wzgórza Gulval, złocące się od kwiatów

kolcolistu. W górze niewidoczne skowronki wylewały swe żale lazuruwemu niebu. Cat odwróciła się i rozchylając wierzbową wioską łodygi wyższych kwiatów, spojrzała na swego towarzysza.

- No chodźże! Ale z ciebie guzdrała, masz ołów w butach?

Puściła się biegiem. Gdyby matka ją teraz zobaczyła, byłaby zgorszona.

Po czterdziestu minutach znaleźli się na szczycie wzgórza. Od morza nadchodził porywisty południowy wiatr, który kładł trawę na cyplu i nadawał drapieżne kształty krzewom kolcolistu. Silne podmuchy targały włosami Catherine, kiedy siadała na kopcu z granitowych kamieni. Otaczające ją zarysy dawnych obwałowań ziemnych, przez wieki uległe erozji i zarosłe trawą, zatraciły ślady swej pierwotnej funkcji. Zacieśniały wokół niej swe kręgi, jakby siedziała zamknięta w dłoni przeszłości. Na ten widok coś wezbrało w sercu Roberta.

- Wyglądasz jak wojownicza królowa na tronie. Poczekaj tu chwilę, zaraz wrócę.

Patrzyła, jak się oddala, aż zniknął jej z oczu. Zdziwiona zmarszczyła brwi, a potem skierowała wzrok na skrzącą się taflę morza, która rozpościerała się przed nią i zdawała sięgać samego krańca świata. Co też może się znajdować za horyzontem, zastanawiała się. Na pewno skarby bezcenne i niewyobrażalne potwory, egzotyczne krainy i życie, w którym ambitne kobiety obdarzone talentem i wyobraźnią nie są skazane wyłącznie na zmiatanie, cerowanie i karmienie kur...

Z zamyślenia wyrwał ją Robert, który niósł w ręku wianek upleciony z paproci, róży rdzawej i kolcolistu, tak że złotożółte kwiaty lśniły wśród strzępiastych liści niczym klejnoty.

- Oto korona dla królowej - powiedział. Skłonił się i kłękając na jedno kolano, wręczył wianek Catherine. Słońce migotało w jego niebieskich oczach niczym płynne niebo.

- W takim razie mnie ukoronuj - odparła rozkazującym tonem, choć gest ten sprawił jej przyjemność.

Robert wstał i ostrożnie założył jej wianek na głowę. Zaraz potem podmuch wiatru porwał pasmo włosów, które powiewało niczym wielki czerwony proporzec. Robert złapał je i owinał sobie wokół dłoni, zachwycając się jedwabistą gładkością i podziwiając płomienne refleksy.

- Te fortyfikacje zbudowano w czasach króla Artura, żeby się bronić przed duńskimi najeźdźcami. Ty musiaś być trofeum zabranym z jakiegoś okrętu wikingów - powiedział z uśmiechem. - Nie wyglądasz jak my, prawdziwi Kornwalijszczy.

Zirytowana tą uwagą wyrwała się z jego uchwytu.

- I bardzo dobrze. Nawet bym nie chciała. Kornwalia to mały, biedny kraj pełen rozbójników, głupców i wścibskich starych kobiet.

Robert posmutniał.

- A ja kim jestem, rozbójnikiem czy głupcem?

Cat zbyła pytanie wzruszeniem ramion.

- O czym rozmawialiście dziś rano z Sir Arthurem?

Zmrużył oczy, przybierając ostrożny wyraz twarzy i odparł wymijająco:

- O niczym ważnym. Jack i Thom mieli mu coś przekazać, to wszystko.

- Od kiedy Sir Arthur utrzymuje z nimi kontakty? Zapominasz, że cię widziałam. Próbowaleś coś ukryć.

Rob jednak nie dał się podpuścić.

- W i d a ć stąd Carn Galva - rzekł z zaciekawieniem, patrząc na groźną, poszarpaną sylwetkę mającą w oddali na tle nieba. - „Tron olbrzyma”. Nawet nie wiedziałem. - Odwrócił się. Blond włosy owiewały jego szeroką twarz. - Wzgórza Trencrom, Tregoning i Godolphin też. Nic dziwnego, że wódz, który budował tu fortecę, wybrał właśnie ten punkt. - Przystłonił ręką oczy. - Widzę nawet wyspy Scilly. Trudno byłoby przeoczyć zbliżającego się wroga, czy to od strony lądu, czy morza. Słyszałem, że aby ostrzec króla o niebezpieczeństwie, rozpalano kolejno ogniska, poczynszy od St. Michael's Mount, potem tutaj i dalej

na wzgórzach Trencrom, Carn Brea, St. Agnes Beacon, Great Stone, St. Bellarmine's Tor, Cadbarrow, Rough Tor i Brown-willy*, aż do samego Tintagel. Artur i pozostali dziewięcioro królów po dwudniowym wyczerpującym marszu dotarli do przylądka Land's End i starli się z wrogiem w bitwie niedaleko Vellan-Druchar. Wielu ludzi wtedy zginęło, powiadano, że tego dnia koło młyńskie napędzało krew zamiast wody. Żaden Duńczyk nie uszedł z życiem.

- Szkoda, że nie mieliśmy takiego króla, kiedy trzeba było ratować Mousehole i Newlyn przed Hiszpanami - odpowiedziała Cat. Owego feralnego dnia w lipcu 1595 roku pod przywództwem Sir Francis Godolphina stanął między innymi jej wuj do walki przeciwko Hiszpanom, którzy najechali wioskę rybacką Mousehole i spalili kościół w Paul. Pod wpływem przewagi liczebnej wroga Kornwalijszczy, którzy w dodatku byli kiepsko uzbrojeni, musieli się wycofać i pod ostrzałem armat z galeonów czekać na przybycie posiłków. Najeźdźcy tymczasem spalili większość z czterystu domów w Newlyn i Penzance. Ludzie pokolenia jej rodziców wciąż ściszą głoś, ilekroć o tym wspominają: to był wstrząs, zniewaga, że obcy najeźdźcy ośmielili się postawić stopę na kornwalijskiej ziemi, zwłaszcza po triumfalnym zwycięstwie nad hiszpańską Armadą, zwycięstwie, do którego w dużej mierze przyczynili się właśnie mieszkańcy tych rejonów kraju. - Ale ty wciąż nie odpowiedziałeś mi na pytanie - dodała, mierząc kuzyna przenikliwym spojrzeniem.

Robert z zaciśniętymi ustami wpatrywał się w dal.

- Korzystasz z książki, którą ci podarowałem?

- T a k . Bardzo to miłe z twojej strony, że pamiętałeś, jak się nią zachwycałam u Lady Harris. Cieszę się, że mogę mieć własną. - odparła sztywno. - Niektóre wzory są bardzo przydatne, opracowałam też kilka własnych. Pani bardzo się spodobały.

* Wszystkie to nazwy wzgórz, na których znajdują się prehistoryczne obiekty kultu lub budowle pełniące funkcje obronną (przyp. tłum).

- Świetnie. Miło mi słyszeć, że rozwijasz swoje umiejętności.

- Chciałabym zdobyć stopień mistrzowski i dostać się do cechu.

Rob nie mógł się powstrzymać od uśmiechu.

- Catherine, jakże zamierzasz to osiągnąć, żyjąc na tej odległej prowincji? Obawiam się, że geografia ci nie sprzyja. A płęć? Zmienisz ją? Cech Hafciarzy zrzesza mistrzów hafciarstwa, nie mistrzynię, tam nie ma miejsca dla młodych panien, choćby i najbieglejszych w tej sztuce.

- Ach, więc dałeś mi tę książkę tylko po to, aby mnie poniżyć?

Rob ujął jej palce w swe wielkie dłonie.

- Bynajmniej, Cat, wierz mi. Jestem więcej niż dumny, że dostałaś zamówienie od hrabiny Salisbury.

Cofnęła ręce jak oparzona.

- Skąd to wiesz? To miała być *tajemnica*. Zabroniono mi o tym komukolwiek mówić.

- Lady Harris się wymknęło. Nie potrafiła ukryć radości. Wyhaftowanie antepedium do prywatnego kościoła rodziny Howardów to wielki zaszczyt, a dodatkowej satysfakcji dostarcza jej fakt, że to poniekąd za jej sprawą hrabina zdecydowała się powierzyć tak prestiżowe zadanie dziewczynie z Kornwalii.

Cat zarumieniła się i przygryzła wargi.

- Tak, to ogromna odpowiedzialność. Nigdy nie podejmowałam się tak dużej i ambitnej pracy. Nie mam jeszcze nawet pomysłu.

Brwi Roberta gwałtownie się uniosły.

- Sama chcesz je zaprojektować?

- Oczywiście. - Spojrzała na niego wyzywająco, jakby kwestionował jej prawo do tego.

To niespotykane, żeby kobieta brała na siebie stworzenie tak poważnego projektu. W naturalnym porządku rzeczy jest to domena mężczyzn. Właśnie dlatego Robert podarował jej książ-

kę: aby ułatwić jej pracę, aby mogła czerpać wzory od mistrzów. Każdy wie, że kobiety nie potrafią myśleć abstrakcyjnie. W tej, jak i wielu innych dziedzinach, prym wiodą mężczyźni.

Podejrzewał, zresztą słusznie, że choć Lady Harris istotnie poleciła hrabinie swą podopieczną, to wedle uzgodnień Cat miała być tylko wykonawczynią wzoru opracowanego przez jednego z mistrzów rzemiosła, którzy zarabiają na życie, objeżdżając bogate domy i sprzedając swe usługi. Niestety nikt jej o tym nie powiedział. Pewnego dnia - pomyślał - zagalopuje się w swoich ambicjach i boleśnie upadnie. Oby był wtedy przy niej, by ją podnieść.

- Skoro uważasz, że możesz... - dodał cicho.

- Tak, ale dopóki się nie upewnię, wolałabym o tym nie rozmawiać. Pogadajmy lepiej o dużym zakrzywionym sztylcie, który dziś rano usiłowałeś przykryć kapeluszem.

Zaskoczony Robert wstrzymał oddech.

- Pan zastrzegł, że nie wolno nam o tym z nikim rozmawiać.

- Ze mną chyba możesz. Przecież nie jestem kimś obcym.
- Spojrzała mu głęboko w oczy.

- Dobrze, ale błagam, przez wzgląd na Sir Arthura nie mów o tym Matty, bo jeszcze przed świtem dowie się o tym całe hrabstwo.

Cat przeżegnała się z powagą:

- Przysięgam na prochy mego ojca - powiedziała.

- Słyszałaś o „Constance”, łodzi rybackiej z Newlyn, która zaginęła tydzień temu?

Kiwnęła głową.

- Osiem osób załogi, w tym Elias, kuzyn Nan Simons? Czyżby wreszcie wróciła? Wszyscy cali i zdrowi? Nan niemal się pochorowała ze zmartwienia.

Robert pokręcił głową.

- Niestety nie mam dobrych wieści. Łódź dziś rano przydryfowała we mgle do Mousehole. Jack i Thom akurat tam byli,

załatwiali... jakieś sprawy. Zauważyli, jak obją się o skały wyspy St. Clement's. Na pokładzie nie było żywej duszy, żagle zwiślały bezwładnie, a sieci były puste.

Cat zmarszczyła brwi.

- Przecież przez cały tydzień była ładna pogoda. Fale nie były tak duże, żeby przewrócić łódź.

- I to taką solidną jak „Constance”. Thom mówił, że kadłub był poharatany, ale to mogły być skały, natomiast Jack zarzeka się, że nadburcie było rozłupane jakby hakiem.

Cat otwarła szeroko oczy.

- A sztylet?

- Tkwił w dnie kadłuba.

- Nigdy takiego nie widziałam.

- Ani ja. I wcale mi się to nie podoba.

- Co na to Sir Arthur?

- Ostatnio nasiliły się ataki korsarzy na statki wypływające z południowego wybrzeża, ale dotąd były to zwykłe napady na samotnych kupców, którym rabowano ładunek. Nic w tym niezwykłego, a poza tym wszyscy dobrze wiemy, że i nasi chłopcy mają na sumieniu podobne czyny wobec francuskiej i hiszpańskiej floty handlowej na całym Morzu Brytyjskim. Nie mogę jednak pojąć, cóż można zyskać, napadając na małą łódź rybacką.

- Może to był tylko nieszczęśliwy wypadek? - wzruszyła ramionami Cat.

Robert się skrzywił.

- Może, ale w takim razie skąd się tam wziął turecki sztylet?

- Turecki?

- Posłuchaj, Cat, ja naprawdę nie mogę nic więcej zdradzić. Naraziłbym się na gniew Sir Arthura. Już i tak za dużo powiedziałem. Tutaj plotki rozprzestrzeniają się niczym pożar, a pan Harris obawia się wybuchu powszechnej paniki z powodu czegoś, co może się okazać tylko odosobnionym incydentem.

Catherine chwyciła go za ramię.

- Rob, chcesz mi powiedzieć, że po naszych wodach pływają tureccy piraci? - Oczywiście zabłąsły. - Ależ to... egzotyczne. Chciałabym takiego zobaczyć.

Robert spojrzął na nią z niedowierzaniem.

- Jestem pewien, że mówisz takie rzeczy tylko po to, aby sprawić mi przykrość. Ja tam modłę się do Boga, żebym nigdy nie musiał spotkać kogoś takiego na swej drodze, bo oni niewiele się różnią od zwierząt. Czego ja się nasłuchałem... - Pokręcił głową, widząc żarliwe spojrzenie Cat. - Chodźmy już. Zaczyna zmierzchać, a muszę cię odprowadzić do domu. Poza tym mam robotę przy krowach, a i ty pewnie musisz się przygotować na powrót Lady Harris. I koniec rozmów o piratach.

Cat zdjęła z głowy wianek i przy kolejnym porywie wiatru rzuciła go hen w stronę morza. Oboje patrzyli, jak frunie miotany wiatrem, aż rozpadł się w powietrzu i obsypał kwieciami skały.

13 lipca. Tego dnia nasz nowy król Karol poślubił Henriette, księżniczkę królestwa Francji i Nawarry, a u wybrzeży Mousehole znaleziono dryfującą łódź rybacką „Constance”. Cała załoga zniknęła, żagle zaś odcięto. Nikt nic nie wie o losie tych ludzi, ale na pokładzie znaleziono turecki sztylet. Rob kazał mi przysiąc, że nie pisnę słowa o Turkach i piratach, gdyż wieść się roznieśli wśród ludzi. Umieszczam więc ten sekret tutaj i tylko ja oraz ta księga będziemy go znali. Podobno ci Turcy mają ciemną skórę, ogolone głowy i okrutne obyczaje. Rob mówi, że nie są lepsi od zwierząt, ale ja bardzo chciałabym ujrzeć kiedyś takiego na własne oczy...

Zaskoczona odłożyłam książkę. Nie wiem, czego się spodziewałam poza notatkami na temat zamieszczonych wzorów, uwagami co do koloru, rodzaju nici czy ściegu, lecz to niespodziewane okno w przeszłość było jak klejnot błyszczący na dnie morza.

Ciekawe, czy Michael przeczytał choć fragment zagadkowych zapisków Catherine, czy tylko rzucił na nie okiem i uznając za wadę, starał się zbić cenę u antykwariusza. To typowe dla niego: wynajduje wymaginowane skazy, wiecznie szuka okazji, sposobu na zaoszczędzenie pieniędzy. Nie umiem zliczyć, ile to razy zażenowana odwracałam głowę, kiedy się targowałam z jakimś nieszczęsnym sprzedawcą na pchlim targu. Gdy sobie wyobraziłam, jak grzebie w ulubionych antykwariatkach przy

Cecil Court, żeby wyszukać dla mnie odpowiedni prezent po-
żegnalny, zrobiło mi się niedobrze. Jak długo przygotowywał
się na tę chwilę? Od kiedy znów jest „w dobrych stosunkach”
z Anną - i co właściwie znaczy to mętne określenie? Czy to zbli-
żenie następowało stopniowo, równoległe z naszymi randkami?
Zacząło się tydzień temu, miesiąc, jeszcze wcześniej? Pobiegłam
do łazienki i tak długo wymiotowałam, aż oczy i nos zaczęły
mnie piec od żółci.

Gdy roztrzęsiona wróciłam do łóżka, książka czekała na
mnie na nocnej szafce. Obok leżał *notes* zapełniony moimi
próbami interpretacji wpisów z pamiętnika Catherine. Ponad
trzy godziny ślęczałam nad tym tekstem, rozszyfrowując oso-
bliwą pisownię i składnię sprzed wieków. Zapełniłam sześć
stron notesu, choć mój charakter pisma nie jest ani w połowie
tak staranny jak młodej hafciarki: pełno skreśleń i podkreśleń,
znaków zapytania w miejscach, gdzie nie zrozumiałam jakiegoś
słowa. Niezbyt atrakcyjne znalezisko dla kogoś, kto go odko-
pie za czterysta lat. Mimo różnic dzielących nasze epoki poczu-
łam jednak dziwną więź z Catherine, i to nie tylko z powodu
wspólnej pasji. Ja także wychowałam się w Kornwalii i tak jak
ona marzyłam, by stamtąd uciec.

Na nowej kartce wypisałam jej imiona i nazwisko i zaczę-
łam szkicować wokół inicjałów pnąca winorośli: prosty wzór
krzyżkowy dobry do umieszczenia na wzorniku, którym pew-
nie młoda dziewczyna w jej czasach rozpoczynała przygodę
z haftem. Ciekawe, czy Catherine tak właśnie zrobiła: najpierw
wyszyła swoje imię nicią w jakimś stonowanym kolorze, a po-
tem przyozdobiła je kwiatami i liśćmi. Z tego, co wiem o haf-
cie jakobińskim, mało prawdopodobne, żeby przy pierwszych
próbach dysponowała jakimiś szlachetnymi materiałami. Jeżeli
pochodziła z biednej rodziny, choćby i z wysokimi aspiracjami
towarzyskimi, ćwicząc umiejętności, musiała się raczej ograni-
czyć do juty i płótna wołowego, a jako nici używać zgrzeb-
nej wełny, którą zapewne sama farbowała, uzyskując barwniki

z roślin i ziół: niebieski z urzetu, czerwony z marzanny, a żółty z żarnowca lub łupin cebuli. A już z całą pewnością nie miała dostępu do delikatnych nici jedwabnych, takich jak te, które jako dziecko obsesyjnie układałam kolorami w pudełku i które tak gładko prześlizgiwały się przez dziurki w kanwie na szkolnych zajęciach z wyszywania.

Skończyłam rysować i przyjrzałam się swemu dziełu. Nagle dotarło do mnie to, co cały czas miałam przed oczami: wyróżnione inicjały nazwiska Catherine Anne Tregenna - CAT. Roześmiałam się. Nawet się zastanawiałam, czemu nie pisze o sobie Kate albo Cath. To dość nowocześnie brzmiące imię jak na dziewczynę z siedemnastego wieku. Poczułam do niej sympatię. Sama je sobie wybrała i narzuciła światu. Ciekawe, czy posiadała jakiegokolwiek kocie cechy*. Czy była zwinna i przebiegła? Miała lekko skośne, czujne oczy? Poruszała się bezszelestnie po domu, w którym służyła, śmiejąc się w duchu z głupoty innych? Wyobraziłam ją sobie, niską, ciemnowłosą, jak w smudze światła wpadającego przez wąskie okienko siedzi zgarbiona na dużym drewnianym krześle wyłożonym poduszkami, które sama uszyła i na długim prostokącie jasnego płótna haftuje ogon bajecznie kolorowego ptaka. Pewnie to serweta na toaletkę albo bordiura narzuty, a może nawet antepedium, o którym wspomniała w zapiskach. Zaintrygował mnie ten wątek. Jakże wspaniale byłoby je teraz odnaleźć, kiedy się co nieco wie o jego pochodzeniu. A przez lekturę kolejnych stron pamiętnika będzie można nawet prześledzić proces jego powstawania.

Delikatnie przesunęłam dłonią po stronie tytułowej. Tysiąc sześćset dwudziesty piąty rok: prawie czterysta lat temu. W siedemnastym wieku jako trzydziestosześcioletnia niezamężna kobieta byłabym obiektem drwin i zarazem współczucia. Nikomu niepotrzebna stara panna, dla której nie ma miejsca w społeczeństwie. Czyli w zasadzie tak jak teraz, co jest mało pocieszające.

* *Cat* - ang. kot (przyp. tłum.)

jące. Ale co ja właściwie wiem o życiu w początkach siedemnastego wieku? Dla mnie to mglisty okres między epoką Tudorów a wojną domową i Restauracją. Stwierdziłam, że zanim przystąpię do dalszego tłumaczenia pamiętnika Catherine, powinnam się postarać osadzić go w nieco szerszym kontekście.

Przejrzałam regały z książkami, żeby sprawdzić, czy nie mam tam czegoś, co mogłoby mnie oświecić. Tomiki poezji i dramaty Szekspira z opracowaniami z czasów studiów, przewodniki po literaturze Penguina, parę przystępnie napisanych książek o filozofii - nic ciekawego. Na samym dole w bibliotece stojącej w nieużywanym pokoju znalazłam zakurzony komplet encyklopedii dla dzieci pochodzący chyba z czasów, gdy moja babcia chodziła jeszcze do szkoły. Wytargałam je na podłogę. Zaleciało pleśnią i pudrem do twarzy - te zapachy zawsze kojarzą mi się z dzieciństwem i chwilami spędzonymi w domu babci, który dzieliła ze swą zrzędliwą starszą siostrą. Nie wiem, czy były autentyczne czy wymaginowane. Może to tylko wspomnienie, które drogą skojarzeń nałożyło się na przedmiot. Uwielbiałam te encyklopedie i potrafiłam całymi godzinami gapić się na rozkładane ilustracje ukazujące przekrój jabłka, żaby czy muchy, budowę maszyny parowej, średniowieczny zamek. Przekartkowałam jeden z tomów, znajdując w nim obszernie i szczegółowe artykuły z dziedziny historii sztuki, mitologii greckiej, anatomii człowieka, wojny trojańskiej i ustroju feudalnego w Anglii. Dwa tomy dalej (po odkryciu penicyliny, zwierzętach sawanny, Chaucerze i Galileuszu), trafiłam dokładnie na to, czego szukałam.

Pozostałe pięć tomów odłożyłam na półkę, a z szóstym poszłam do salonu, usadowiłam się wygodnie na skórzanej sofie i zaczęłam czytać.

Czterdzieści minut później czułam się przesycona informacjami. Wydawnictwo, które w założeniu miało być kompendium wiedzy dla dzieci, w rzeczywistości okazało się pasjonują-

ca, wręcz pikantną lekturą pełną zaskakujących szczegółów. Wiedziałam, że Jakub I był synem Marii Stuart, Królowej Szkotów, ale nie miałam pojęcia, że miał duńską żonę oraz afiszował się z taką liczbą męskich faworytów, iż gdy obejmował angielski tron, otwarcie mówiono: „Elżbieta była królem, Jakub jest królową!”*. Nie wiedziałam też, że wstępując na tron, był ubogi i nielubiany. Był też potwornie rozrzutny, przez co wpędził kraj w poważne długi. W końcu zaczął wyprzedawać tytuły szlacheckie i ziemię oraz przestał finansować marynarkę wojenną. Wykorzystując fakt, że miał boskie prawo robić, co mu się żywnie podoba, zamiast narażać się na krytykę, rozwiązał parlament. Swojego syna Karola, następcę tronu, próbował ożenić z bogatą hiszpańską infantką w momencie, gdy Anglia była wybitnie protestancka. Hiszpanie bezwzględnie odrzucili oświadczyzny, a upokorzony Karol poślubił w końcu księżniczkę francuską Henriettę Marię. Stało się to na kilka miesięcy przed śmiercią ojca. Tron objął w marcu tysiąc sześćset dwudziestego piątego roku, mając dwadzieścia pięć lat, czyli zaledwie sześć więcej niż Catherine Tregenna.

Jeszcze ciekawszy jest fakt, że głównym doradcą króla Jakuba był Robert Cecil, hrabia Salisbury. Czy to nie hrabina Salisbury zleciła Cat wyszycie antepedium? Ogarnięta nagłym podnieceniem, czując się jak detektyw amator, w te pędy pobiegłam po *Skarbczyk*.

10 lipca. Dziś był najbardziej nieznośny dzień w moim życiu. To wszystko doprowadza mnie do szaleństwa. Cały gniew Sir Arthura skupił się na mnie, jakby należała mi się kara za to, że jestem tak nierozważna, by pragnąć dla siebie lepszego życia. Ależ jestem wściekła, nie umiem zebrać myśli. W dodatku żona Willa Chigwine'a, Nell,

"Gra słów: queen to po angielsku także „ciota”, „pedał” [przyp. tłum.]

*nazywa mnie kusicielką i Wielką Nierządnicą, a Lady
Harris staje po jej stronie i jeszcze próbuje mnie swatać
z kuzynem...*

Catherine Czerwiec 1625

Cat pogładziła okładkę *Skarbczyka hafciarki*. Pierwsze promienie porannego słońca wpadały przez okno i oświetlały jej skupioną twarz, tworząc z rudych włosów świetlistą aureolę. Obudziła się dziś z pewną wizją, która rozrastała się w jej głowie niczym pęd winorośli, natrętny, ale zarazem delikatny. Miała wrażenie, że wystarczy mrugnąć, aby się rozwiała, a do tego stanowczo nie mogła dopuścić. Już bowiem wynurzając się ze snu, wiedziała, co to jest: projekt antepedium, który spłynął na nią niczym objawienie z nieba.

Sprawa ta od tygodni nie dawała jej spokoju. Czuła na sobie ogromny ciężar odpowiedzialności. Nie chodziło tylko o wyzwanie estetyczne, ta praca mogła oznaczać szansę na wyrwanie się z tego miejsca i być może awans społeczny. Marzyła w duchu, że jeśli uda jej się zrobić wrażenie na hrabinie Salisbury, owa szacowna osoba dojdzie do wniosku, iż Catherine Tregenna jest niezbędnym dodatkiem do jej życia, i zechce ją zabrać do swej wspaniałej posiadłości w Londynie. Wobec takiej szansy Cat bez wahania zrezygnowałaby ze służby w Kenegie i wyjechała z Penwith. Opuściłaby rodziną Kornwalię, nawet się nie oglądając. Z radością zamieni południowe wiatry, migotliwe wody oceanu, wzgórza złocące się kwieciem i granitowe głazy upstrzone porostami na życie w prawdziwie arystokratycznym domu. Męczyła ją duszna, zaściankowa atmosfera Kenegie. Obowiązki,

które wykonywała dla Lady Harris, osoby skądinąd bardzo miłej, nużyły ją, a na myśl o tym, że Robert to prawdopodobnie najlepszy kandydat na męża, na jakiego może liczyć, zbierało się jej na płacz. Została stworzona do czegoś lepszego: tak zawsze powtarzała jej matka i Cat mocno w to wierzyła.

Wczoraj, kładąc się spać, myślała o antepedium. Zastanawiała się, co na nim umieścić, jakich nici użyć, i najwyraźniej w ciągu nocy nastąpiła jakaś alchemiczna przemiana: pragnienie oraz inspiracja połączyły się i przybrały formę wizualną. Obraz majaczył jej w głowie, lecz czy zdoła go uchwycić i odtworzyć, nim zniknie? Od tego może zależeć jej przyszłość. Ta myśl przyprawiała ją o drżenie rąk.

Wzięła głęboki oddech, skoncentrowała się i zamasztyłym ruchem nakreśliła cienką, wijącą się kreskę przez całą długość kartki. A potem już poszło; rysunek sam zaczął wypływać jej spod palców. Wkrótce pojawił się zarys pnia drzewa, z którego wyrastały konary i gałęzie, tu i ówdzie wiązka liści, kiść jagód, pąki, kwiaty. Wzór rozwijał się niczym młody liść paproci, z gracją, harmonijnie, a symetria w nim zawarta przydawała całości wyrazu i zarazem niosła spokój. Od podstawy ze splełanych korzeni, wśród których przysiadły drobne zwierzęta - zając, żaba, ślimak — pięło się ku górze Drzewo Poznania Dobra i Zła. Po jednej stronie stał Adam, po drugiej Ewa, a nad nimi wisiało jabłko. Wśród gałęzi tuż nad głową Ewy wił się uśmiechnięty chytrze wąż.

- Cat! Cat! - Przez szparę w drzwiach dobiegało czyjeś wołanie. - Czemu jeszcze nie zesłaś? Żle się czujesz?

Catherine z westchnieniem zamknęła książkę i wsunęła ją pod pościel. Pozostałe dziewczęta i tak już uważały, że się wywyższa. Zepsułyby sobie dzień do reszty, gdyby jeszcze musiała znosić ich kąśliwe uśmiechy.

- Już schodzę! - odpowiedziała.

- Pośpiesz się, potem kucharka nie wpuści cię do kuchni. Pan ma wieczorem gości i trzeba dla nich przyrzędzić kolację.

Nie zostanie ci nic na śniadanie, a już zapowiedziano, że obiadu dzisiaj nie będzie, więc teraz musimy się najeść tyle chleba i sera, żeby wytrzymać do wieczora.

Matty zdawała się przerażona tą perspektywą: dla niej, dziewczyny dosyć pulchnej, opuszczenie posiłku to niemal tragedia.

- A kto przyjeżdża? - zainteresowała się Cat.

W korytarzu zapadła pełna zakłopotania cisza, po czym Matty odparła:

- Dokładnie to nie wiem. Jacyś ludzie mają sprawę do pana komendanta. Pośpiesz się, bo nic dla ciebie nie zostanie.

Cat wywróciła oczami. Akurat uwierzy, że Matty się nie dopytywała.

- Wiesz, właściwie nie jestem głodna - odparła, wkładając czystą koszulę. Zawahała się. Skoro Sir Arthur ma dziś gości, może powinna się bardziej postarać? Odłożyła na bok skromny codzienny ubiór i z dębowej skrzyni wyjęła suknię ze szkarłatnej wełny należąca kiedyś do jej matki. - Lepiej chodź tu i pomóż mi zawiązać gorset! - Dwóm parom rąk będzie łatwiej ścisnąć już i tak wąską talię.

Matty ostrożnie uchyliła drzwi.

- Na pewno nie jesteś chora? - Przyglądała się bacznie starszej koleżance, jakby szukała w niej oznak dżumy albo ospy.

Cat to zauważyła.

- Nie, głuptasie. Pośpiesz się, bo Lady Harris zaraz wstanie, a wiesz, jak ona nic lubi, kiedy się spóźniam.

Lady Harris rzeczywiście była w dość nerwowym nastroju, ale to nie z powodu porannej opieszałości służącej.

- Doprawdy wołałabym, aby mój szanowny mąż uprzedził mnie, kiedy zamierza zaprosić do domu ważnych gości. - oświadczyła, gdy Cat z patyczkiem w dłoni rozpoczynała mozolny proces układania krezy wokół jej szyi. - Cały dzień miałam zaplanowany, a teraz muszę doglądać kucharki i przy-

gotować należycie stół, a najlepsze obrusy są głęboko schowane i pewnie dawno zjedzone przez mole. Do tego Polly się przeziębowała i nie będzie mogła obsługiwać gości, a ja muszę się ubrać stosownie do pozycji męża. Aha, no i trzeba przyciąć bukszpan. Odkąd zabrakło biednego Daveya, ogród jest strasznie zaniedbany. Co sobie o nas pomyśli Sir Richard, kiedy przyjedzie tu ze swojej rezydencji w Lanhydrock i zobaczy, w jakich warunkach mieszkamy?

Cat uniosła brwi. Sir Richard Robartes mieszka o dobry dzień drogi na wschód od Kenegie, zaraz przy granicy miasta Bodmin, stolicy hrabstwa. Ciekawe, co go sprowadza aż tutaj. Zawsze bardzo się interesowała życiem wyższych sfer, stąd wiedziała, że ów dżentelmen kilka lat temu nabył zaniedbaną posiadłość Lanhydrock i z miejsca zatrudnił armię ogrodników do urzędzenia na nowo otaczających ją rozległych ogrodów. Wydał na projekt tyle pieniędzy, że całe hrabstwo kręciło z niedowierzania głowami. Opowiadała jej o tym matka z charakterystyczną drwiącą miną, którą przybierała, ilekroć prawiła o kimś, czyjego zachowania nie pochwałała. „Zdeklarowany purytanin, a tu proszę: wyrzuca pieniądze, próbując ulepszyć to, co dostaliśmy od Boga w całej tego surowej prostocie! Oni wszyscy są hipokrytami, na zewnątrz fałszywa skromność, a w środku pycha i próżność. Sto razy wolę uczciwego biedaka od takiego obłudnika jak on”.

Cat zręcznym ruchem ściągnęła fałdy krezy, związała kokardki i żęby nie były widoczne, wetknęła je pod suknię, która była uszyta ze szlachetnego włoskiego brokatu.

- Szanowna pani, nie wydaje mi się, aby Sir Richard jechał taki szmat drogi, żeby skontrolować stan naszego ogrodu - zauważyła nieśmiało. - Ani wyszukiwać dziur w obrusach.

Margaret Harris uśmiechnęła się nerwowo.

- Oczywiście, masz rację, Catherine. Tak czy owak nie powinniśmy się kompromitować. Mój dom może i nie jest najbogatszy w okolicy, lecz ci mężczyźni to ludzie wpływowi i oby

w świecie. Nawet jeśli nie skrytykują czegoś otwarcie, możesz być pewna, że złe wrażenie pozostanie. Stanowczo uważam, że prędzej będą skłonni wysłuchać Sir Arthura i zaferować mu pomoc, jeżeli zobaczą, że to dobry gospodarz i człowiek godny zaufania. - Zatarła ręce i wstała, by przejrzeć się w lustrze. - Czy wyglądam wystarczająco dobrze, Catherine?

Cat w milczeniu przyjrzała się swej pani. Lady Harris była ubrana jak najbardziej stosownie, lecz komuś, kto przywiązuje dużą wagę do najnowszych stylów w modzie, krój jej sukni musiał się wydawać nieciekawym i mocno przestarzałym. Uszyto ją z włoskiego brokatu, a więc tkaniny dostatecznie szlachetnej, lecz kołnierz był za wysoki, a spódnica zbyt obszerna. Nikt już się tak sztywno i formalnie nie ubiera, nie mówiąc o krezie, z którą tyle się trzeba namęczyć, żeby ją uprać i wykrochmalić. Cat bardzo tego nie lubiła. Zachowała jednak swe myśli dla siebie i pokiwała głową z aprobatą.

- Doskonale, Lady Margaret. Sir Arthur będzie z pani dumny.

Bez wątplenia. Choć obowiązki komendanta St. Michaels Mount zmuszały go do częstego przebywania poza domem, pozostał oddany rodzinie i zawsze w obecności żony obdarzał ją o wiele czulszymi spojrzeniami, niż kobieta tak szara i nieciekawa jak ona mogłaby oczekiwać. To chyba prawda, co Polly mówiła o małżeństwie Harrisów: nie wytrwali ze sobą tyle lat, płodząc ośmioro zdrowych dzieci (prócz sześciorga, które nie przeżyły), li tylko z czystego obowiązku.

Margaret podeszła do okna. Za drzewami, w oddali, St. Michaels Mount wynurzała się z nieruchomego morza niczym legendarny Avalon. Turkusowe wody zatoki lśniły w blasku słońca. Westchnęła.

- Żałuję, że tu w ogóle przyjechałam - rzekła znienacka z nienawiścią w głosie.

Cat odjęło mowę. Wiedziała, że to właśnie Lady Harris nalegała, by zostać w Kenegie, zamiast przeprowadzać się do zamku,

czego Cat zwyczajnie nie mogła zrozumieć. Kenegie nie było złe - solidna, duża posiadłość zbudowana z szarego granitu, pięknie położona wśród drzew na wzgórzach Gulval - ale gdyby ona była żoną takiego człowieka, natychmiast zażądałaby opuszczenia rodzinnego majątku i zamieszkania w zamku, gdzie mogłaby w wielkim stylu przyjmować gości w przestronnych salonach, ściany ozdabiać wspaniałymi gobelinami, a stoły nakrywać kryształową zastawą i srebrem. Wyprawa łodzią przez zatokę, by się dostać do zamku położonego na szczycie góry, zrobiłaby wrażenie na niejednym gościu, choćby i bywałym w świecie.

Cat postąpiła kiedyś nierozsądnie i wspomniała o tym swej pani, za co została surowo upomniana. „Moja droga, moim zdaniem w żadnym zamku nie da się stworzyć domowej atmosfery, a ten przypadek jest szczególny: trudno się tam dostać, wokół same skały, a do tego jest stale wystawiony na silne wiatry. Poza tym Mount widać z wielu mil, zarówno od strony lądu, jak i morza, co czyni ją naturalnym celem wrogów, a z tego co słyszę od męża, jest stanowczo za słabo strzeżona i źle uzbrojona”. Zadrzała, mówiąc te słowa. „Wierz mi, Catherine, nigdy nie zamieniłabym skromnych wygod, jakie mam tutaj, na cały ten pałacowy przepych”.

Odwróciła się od okna. Miała zaciśnięte usta.

- To miejsce powoli niszczy zdrowie mego męża — powiedziała. - Jest dla niego ciężarem i źródłem trosk, podczas gdy w jesieni życia powinien odpoczywać. Od trzydziestu lat lojalnie służy Koronie, lecz ona niczym mu się nie odwdzięczyła. Pięknymi słowami człowiek się nie naje, a piękne sztandary może i czynią króla, lecz nie ocalą jego królestwa.

Król Jakub w nagrodę za „wzorową i oddaną służbę” przysłał komendantowi swą królewską flagę unijną i polecił wywiesić ją w najwyższym punkcie Mount jako symbol uznania od władcy. Cat patrzyła na swą panią, zdumiona nie tylko niezwykłą gwałtownością jej wybuchu, lecz powodem gniewu. Przyznanie flagi było bez wątpienia wyróżnieniem: jej słowa zakrawały na obrazę stanu. Lepiej, żeby ich była nie usłyszała.

- Chętnie zastąpię Polly w podawaniu do stołu - odezwała się, żeby wypełnić niezręczną ciszę, która zapadła w pokoju — jeżeli to miałyby jaśnie panią uspokoić. Nie mam takiej wprawy jak ona, ale zapewniam, że nie przyniosę wstydu.

Lady Harris pokręciła głową.

- Nie mogę tego od ciebie wymagać, Catherine. To będzie długa i męcząca praca, no i mogłabyś sobie zniszczyć ubranie. - W jej oczach pojawił się jakiś błysk. Przy swojej nieśmiałości była bystrą kobietą i natychmiast dojrzała zbieżność między włożeniem przez jej osobistą służącą najładniejszej czerwonej sukni a wieczorną wizytą zamożnych gości. - Ale możesz mi pomóc wysprzątać jadalnię.

I tak przez następne dwie godziny Catherine okutana w szkaradny lniany fartuch uwijała się jak w ukropie pod dyktando swej pani, zamiatając posadzkę, trzepiąc dywany, polerując krzesła, szkło i sztucce. Zmieniła też kwiaty i wytrzepała z holenderskich obrusów mole, które się w nich zagnieździły, mimo że poprzekładano je wstrętne pachnącymi ziołami. Potem usiadła w najjaśniejszym miejscu i za pomocą cienkiej igły oraz białych jedwabnych nici cerowała tysiące maleńkich dziurek wygryzionych przez owady. Matty co chwila wbiegała i wybiegała z kuchni, niosąc to ścierkę, to miotłę, to znów żelazko pełne rozgrzanych węgielków. Margaret pilnie doglądała prac w kuchni, gdzie kucharka i Nell Chigwine piekły barana, ucierały ciasta, warzyły zupę rybną, przygotowywały sery i owoce. Ogromny maślany pudding nadziewany bakaliami zrobiła własnoręcznie.

- Biegnij do Grace i przynieś mi śmietanki - zawołała do Nell. Ta posłusznie otrzepała ręce z mąki o fartuch i przez jadalnię wybiegła na dziedziniec, gdzie po drugiej stronie mieściły się zabudowania gospodarskie.

Widząc Cat, która na czworakach kończyła szorować podłogę, przystanąła w progu z drwiącym uśmiechem. Obie kobiety szczerze się nie cierpiały.

Cat podniosła głowę i spojrzała Nell prosto w oczy.

- Nie masz nic lepszego do roboty, tylko mnie szpiegować? - zapytała ze złością. Wstała i zdjęła z siebie wreszcie ten brudny fartuch.

Nell skrzywiła usta i zmierzyła ją wzrokiem z nieskrywaną odrazą.

- Widziałam całą próżność tego świata, Catherine Tregenna. „Widziałem wszelkie sprawy, jakie się dzieją pod słońcem. A oto: wszystko to marność i pogoń za wiatrem”. Księga Koheleta, rozdział pierwszy, wers czternasty.*

Cat wybuchnęła śmiechem.

- Nell, oszczędź sobie tych cytatów z Biblii. Spływają po mnie jak woda po kaczce, a poza tym i tak nie rozumiem z nich ani słowa. Mów normalnie, o co ci chodzi, albo zostaw mnie w spokoju.

- Powinnaś błagać Boga o zmiłowanie, nim będzie za późno. Niczym się nie różnisz od pogańskich stworzeń. - Podparła się pod boki, dumna i pewna siebie. - Widziałam zeszłej niedziele, jak na mszy robiłaś słodkie oczy do kawalerów i gryzmołałaś coś w tej swojej książeczce, zamiast się modlić do Boga i prosić o przebaczenie za frywolne myśli i bezbożne czyny. A nie dalej jak wczoraj widziałam cię w sadzie, jak sięgałaś wysoko po kwiat jabłoni dla twego biednego, niewinnego kuzyna, specjalnie, żeby mu pokazać kawałek nagiej kostki. Kusicielka.

Cat wzruszyła ramionami i zrobiła krok w stronę kuchni.

- Nic takiego nie robiłam, a sumienie mam czyste - odcięła się.

Nell się cofnęła, jakby w obawie, że przez samo dotknięcie czerwonej sukni mogłaby się zarazić grzechem.

- Jesteś bezbożnicą i będziesz potępiona.

Cat minęła ją z podniesioną głową niczym statek na pełnych żaglach.

- Przynajmniej nie jestem starą, zrzędliwą wiedźmą - mruknęła pod nosem.

* Wszystkie cytaty wg Biblii Tysiąclecia (przyp. tłum.)

Nell tego nie usłyszała, bowiem była nieco przygłucha, lecz odprowadziła ją podejrzliwym wzrokiem.

Cat miała nadzieję, że pracując tak ciężko przy sprzątanu jadalni, zyska przychyłność Lady Harris. Niestety, ta odesłała ją do alkierza, gdyż zażyczyła sobie, aby jej uszyć nową parę pantalonów. Zarówno charakter tej czynności, jak i pora, wprowiły Cat we wściekłość, lecz jedyne, co mogła zrobić, to posłusznie skinąć głową i szybko się odwrócić, żeby nikt nie zauważył jej miny. Pobiegła na górę i kipiąc ze złości, wyjęła kupon materiału, koszyk z przyborami do szycia i usiadła na krześle. Skroila materiał, biorąc za wzór stare pantalone, i przez chwilę próbowała się skupić na pracy, ale poczucie krzywdy nie dawało jej spokoju. Jak pies, który uporczywie drapie w drzwi. Myśl, że teraz na dole głupiutka Matty i wredna Nell, wypucowane i wystrojone, przygotowują się, by zamiast niej podawać gościom do stołu, była bardzo frustrująca. Nie ma sensu pytać później Matty, o czym rozmawiano przy kolacji - ma pamięć jak sito - a zagadywanie o to Nell Chigwine nawet nie wchodzi w rachubę. Cat przygryzła wargi aż do krwi, lecz zauważyła to dopiero w chwili, gdy pojedyncza kropla spadła na białe płótno i rozlała się jak rana.

- A niech to! - zezłościła się. Cisnęła robótkę na podłogę. Była już prawie skończona, zostało tylko przewlec w pasie jedwabną wstążkę. Teraz będzie musiała zaczynać wszystko od nowa, mając nadzieję, że skrupulatnej Lady Harris nie przyjdzie do głowy mierzyć tkaniny, bo odkryje niedobór. Wówczas Cat będzie musiała się przyznać do winy i zapłacić te trzy pensy za zmarnowany materiał. Westchnęła ciężko, podniosła pantaloney i podeszła do okna.

Przez zniekształcone szyby ujrzała czterech mężczyzn zbliżających się konno do majątku. Przemierzali trawiaste połacie, jakby płynęli po morzu. Na czele jechał Sir Arthur. Poznała go po Kerrierze, roslým siwku z ich stajni. Za nim podążały dwa

gniadosze niosące na grzbietach mężczyzn otulonych w ciemne peleryny, jakiś starszy dżentelmen na kasztance, w którym Cat rozpoznała sąsiada, Sir Francisa Godolphina, częstego gościa w Kenegie, oraz mężczyzna ubrany od stóp do głów na czarno, w kapeluszu fantazyjnie ozdobionym piórami. Sir Arthur wjechał z łoskotem na dziedziniec, zsiadł z konia i rzucił cugle Jimowi, chłopcu stajennemu. Cat otworzyła okno, żeby lepiej widzieć, i w tym momencie, prawdopodobnie usłyszawszy szczęk zasuw, mężczyzna w kapeluszu odwrócił głowę i napotkał jej spojrzenie. Wpatrywał się w nią ciekawie przez całą drogę przez dziedziniec, a z twarzy nie schodził mu dziwny półuśmiech. Następnie zamaszystym ruchem zeskoczył z konia, aż spadł mu z głowy kapelusz, ukazując kasztanową czuprynę i starannie przyszytą rudą brodę. Ten człowiek nie wyglądał na kogoś, z kim Sir Arthur mógłby chcieć konsultować jakąkolwiek ważną sprawę.

Po chwili goście zniknęli wewnątrz domu, pozostawiając Cat z niezaspokojoną ciekawością. Musiała użyć całej siły woli, aby powrócić do przerwanej zajęcia.

W końcu, kiedy spruła wszystkie szwy, wycięła zaplamiony kawałek materiału i zszyła bieliznę od nowa, odłożyła ją na bok, dziękując Bogu, że Margaret Harris jest szczupła i raczej nie zauważy różnicy między tymi a poprzednimi pantalonami, które dla niej szyła. Schowała igłę z nitką, wstała i przeciągnęła się, aż jej w kościach zatrzeszczało. Za oknem zauważyła Roberta, jak przemierzał dziedziniec. Zapukała w szybę, po czym cicho zbiegła na dół i zamiast skierować się w stronę wygodki, by w razie czego mieć dobrą wymówkę dla przerwania pracy, prześlizgnęła się obok kuchni wprost pod salon, gdzie zebrali się goście. Przestrzeń wypełniał gwar ich głosów, lecz drzwi od strony jadalni były zamknięte. Przez chwilę nasłuchiwała przez szparę, ale nie pochwyciła niczego istotnego. Mężczyźni rozprawiali o zaletach różnych typów armat, przeplatając to pochlebnymi komentarzami na temat spożywanych dań. Kiedy

w pewnym momencie zapadła cisza, Cat z obawy, że zostanie nakryta, uciekła. Więcej się dowie od Roberta, niż zdoła podsłuchać w ciągu paru sekund. On zawsze był dobrze poinformowany o wszystkim, co się dzieje w posiadłości i na zamku. Ludzie mu ufali, powierzali sekrety, trudne zadania, swój majątek. Taki właśnie był: słowny, sumienny, lojalny. Jakaś inna dziewczyna z pewnością znajdzie w nim wspaniałego męża.

- Robercie! - Cat wyszła na dziedziniec i dała mu znak ręką, żeby poszedł za nią w ustronniejsze miejsce, z dala od głównych zabudowań.

Był trochę zaskoczony, ale posłuchał.

- Co się stało, Cat... Catherine?

- Kim są ci czterej panowie, którzy jedzą teraz kolację z Sir Arturem?

Rob spojrzął na nią z ukosa.

- A czemu pytasz?

- Czy to dziwne, że jestem ciekawa, jacy to ważni goście byli przyczyną takiego zamieszania w domu? Jaśnie pani od rana zamęczała nas tysiącem obowiązków.

- Taka byłaś zapracowana, że zdążyłaś włożyć najładniejszą suknię, co?

- Wcale nie najładniejszą - skłamała. — A w ogóle, co ty możesz o tym wiedzieć, Robercie Bolitho?

- Niewiele - przyznał, lekko się rumieniąc.

- No więc kim oni są i po co tu przyszli? Słyszałam, że z Lanhydrock przyjechał Sir Richard Robartes - powiedziała, by pokazać, że jest trochę zorientowana. - Oczywiście rozpoznałam też Sir Francisa. Ale dwóch pozostałych widzę pierwszy raz.

- Ten starszy to polityk i dworzanin Sir John Eliot, który przyjechał tu aż z Port Eliot - rzekł z szacunkiem w głosie. - Słynie z tego, że jasno wyraża swoje zdanie, także przed królem, i ma wielkie wpływy w Londynie.

Cat kiwnęła głową, notując w myślach tę informację. Kawałek wielkiego świata w Kenegie: to było coś. A fakt, że Sir

John przemierzył pół kraju, aby się widzieć z Sir Arturem, oznaczył, że sprawa musi być wielkiej wagi.

- A ten drugi? - dopytywała się. - Rudowłosa, w śmiesznym kapeluszu?

- John Killigrew z Arwenack.

- Ten pirat? - wykrzyknęła z przejęciem Cat.

- Komendant zamku Pendennis - poprawił ją surowo Robert, choć wszyscy wiedzieli, że Killigrewowie to piraci, złodzieje i szubrawcy, którzy wspięli się wysoko po szczeblach drabiny społecznej dzięki pokażnej ilości zdefraudowanego złota. To oczywiście czyniło z nich bohaterów w oczach wielu Kornwalijszczyków, zwłaszcza tych, którzy wciąż opłakiwali śmierć królowej Elżbiety I i tęsknili za czasami, gdy Korona nierządno przymykała oko na co bardziej przedsięwziętych marynarzy.

Matka Catherine trzy lata służyła we dworze w Arwenack, niedaleko Kenegie, nad rzeką Helford, i do dziś właściwie o niczym innym nie opowiada, jakby ten krótki okres był złotym wiekiem w jej życiu, a następne dwadzieścia lat należało do jakiejś innej kobiety. Bez śladu wyrzutów sumienia, że pracowała dla ludzi, którzy działali na granicy prawa, Jane Tregenna rozkoszowała się szalonymi opowieściami o rodzinie Killigrew. Szczególnie lubiła przypominać córce, za każdym razem wzbogacając o nowe szczegóły, historię Jane, małżonki pierwszego Sir Johna, który dożył swych dni, siedząc za długi w londyńskim więzieniu Fleet, zostawiwszy ją z tłumem wierzycieli na karku, których nie miała jak spłacić. Ta rezolutna kobieta postanowiła w końcu wziąć sprawy w swoje ręce i kiedy pewnego razu dwa holenderskie galeony z hiszpańskim złotem na pokładzie, unieruchomione z powodu złej pogody, schroniły się w zatoce Pendennis, Jane Killigrew na czele grupy wiernych służących uzbrojonych w dzidy i szpady napadła na statki, obezwładniła załogi, zabijając na miejscu obu hiszpańskich pośredników, i uciekła z kilkoma beczkami złota. I właśnie za zabójstwo hiszpańskich grandów wielu uczestników tej akcji zawisło na szu-

bienicy w więzieniu w Launceston, ale pojawiły się pogłoski, że królowa Elżbieta osobiście wstawiła się za Lady Jane. Wydała akt ułaskawienia, dzięki czemu wdowa Killigrew uniknęła szubienicy. Obecny Sir John to jej syn.

- Czy to nie ten, który zbudował latarnię morską na Lizard's Point? - spytała Cat, dobrze znając odpowiedź.

- Ten sam - mruknął Robert.

Nie pałał sympatią do Johna Killigrew, a Cat specjalnie chciała się z nim podroczyć. Z błyskiem w oku dodała:

- Przecież to wielce chrześcijański gest zbudować latarnię, żeby ostrzegała żeglarzy przed zabójczymi skałami na naszych niebezpiecznych wodach.

Rob prychnął.

- O, z pewnością. Gdyby nie to, że pobiera opłaty od każdego statku, który opływa przylądek. - Albo wręcz gasi latarnię, kiedy zanosi się na sztorm i zbiegiem okoliczności nadpływa właśnie okręt wyładowany szczególnie cennym łupem, dodał w myślach.

- Rzutkość iście godna podziwu - stwierdziła rozbawiona Cat. - Może i Sir Arthur pragnie zbudować latarnię na Mount i dlatego potrzebował jego porady?

- Nie sądzę, żeby nasz pan był w stanie się posunąć do zalegalizowanego okradania swoich sąsiadów i rodaków - odparł cierpko Robert. - Wręcz przeciwnie, on chce nas wszystkich obronić. Szuka kontaktu z osobami, które mogą go wesprzeć w pertraktacjach z Tajną Radą, aby przyznała fundusze na dozbrojenie zamku. Killigrew jest jedną z nich. Jakimś cudem zdobył przychylność króla i załatwił nowe armaty dla zamku Pendennis, choć twierdzi, że to wciąż za mało.

- Czyżby znowu zasadzali się na nas Hiszpanie? — spytała Cat. - A może tym razem mamy się bać Francuzów?

- Równie dobrze Turków, Holendrów czy piratów. Jest wielu wrogów, których może przyciągnąć widok kawałka niestrzeżonego wybrzeża.

- Ale tu nie ma co kraść! Co, porwą nasze sardynki? - roześmiała się Cat, nachylając do niego głowę. - A może Nell Chigwine i jej matkę? Och, jakże chciałabym ujrzeć, jak zabierają je do domu jakiejś katolickiej arystokratki. Wyobrażasz sobie, drogi kuzynie, ich zgrozę, gdyby musiały pójść na łacińską mszę?

- Nie należy kpić z czyjejs wiary - rzekł surowo Robert, lecz pod tymi słowami krył się lekki uśmiech. — To nie po chrześcijańsku.

- Żebyś wiedział, bardzo często się czuję jak ta pogańska grzesznica, za jaką Nell mnie uważa - powiedziała Cat, poważniejąc.

Zgorszony Robert zakrył jej usta ręką.

- Puść to dziewczę, łajdaku!

Spłoszeni odskoczyli od siebie. Głos należał do rudowłosego brodacza, który stał w pobliżu z fajką w jednej ręce i skórzaną sakiewką w drugiej. Nasypał z niej porcję tytoniu do fajki, ubił i ocenił wzrokiem. Cat i Rob obserwowali go w milczeniu. W końcu Rob się skłonił i powiedział:

- Pan wybacz, sir, to moja kuzynka Catherine.

- Co ty powiesz? - John Killigrew ostentacyjnie zmierzył ją wzrokiem z góry na dół. - I to ci daje prawo, żeby ją napaść?

- Nie, sir. Ale...

- Żadne „ale”, smarkaczu - podniósł zniecierpliwiony głos Killigrew. - Zmiaataj stąd i zostaw to biedne dziewczę w spokoju. Zaraz doniosę Sir Arturowi o twoim zachowaniu. No, idź!

Rob spojrział na Cat w nadziei, że stanie w jego obronie, lecz ona z wielką uwagą wpatrywała się w swoje stopy, tym razem wyjątkowo milcząca. Rozgniewany oddalił się dumnym krokiem.

- Nic ci nie jest? - zapytał Sir John. - Nie zrobił ci żadnej krzywdy ten twój... kuzyn?

Cat posłała mu najładniejszy z uśmiechów.

- O, nie, sir, bynajmniej. Rob tylko próbował mnie nauczyć manier.

- J a k dla mnie, to wyglądasz na bardzo dobrze wychowaną młodą damę, Catherine. Catherine... jak? Muszę znać nazwisko kobiety, którą ocaliłem. - Postąpił krok naprzód, a kącki jego ust uniosły się w chytrym uśmiechu. Cat dostrzegła u niego głębokie zmarszczki wokół oczu; był starszy, niż pierwotnie oceniła.

- Tregenna, sir.

- Catherine Tregenna. Ładne nazwisko dla ładnej dziewczyny.

Cat przygryzła policzki od środka, żeby powstrzymać śmiech.

- Dziękuję, sir.

Killigrew schował fajkę, nie zapaliwszy jej w końcu, i wziął Cat za rękę. Poczuła twarde zgrubienia na jego palcach i przypomniała sobie, że ludzie mawiali, iż jako przemytnik miał własną łódź, którą sam wiosłował. Pochopnie zagadnęła go o to.

Ryknął śmiechem.

- Czyżby fascynowali cię szmuglerzy i rabusie? A może leżąc wieczorami w swym ciasnym panieńskim łóżku, marzysz skrycie o szalonych wyprawach?

Cat spróbowała wyswobodzić dłoń.

- Nie, sir - odparła, lecz rumieniec na buzi mówił co innego.

Killigrew ścisnął ją jeszcze mocniej.

- Coś mi się wydaje, że nasze rozmowy potrwać dłużej, niż sądziliśmy, i przyjdzie mi spędzić noc w Kenegie. Liczę, że będę miał okazję poznać cię bliżej, panno Catherine. Potraktuj to jako obietnicę, rodzaj weksła, który wystawiam teraz, a spłacę później. - I nim Cat zdążyła zaprotestować, przyciągnął ją do siebie i przywarł do niej mięsistymi czerwonymi ustami. Poczuła woń wina, gdy językiem próbował się przedrzeć przez zaciśnięte wargi. Wiła się i wrywała, lecz daremnie. Wykręcił jej ramię do tyłu, drugą ręką zaś chwycił ją za pierś i mocno ści-

snął. Nikt wcześniej nie dotykał jej w ten sposób; przez chwilę myślała, że zemdleje. Kopnęła go w kostkę, ale miał na sobie buty z grubej skóry, więc nic nie poczuł. Za to jeszcze mocniej ją do siebie przyciągnął. Jego śmiech zawibrował jej w piersiach: opór zdawał się tylko wzmacniać chuć mężczyzny.

Wybawienie nadeszło w najbardziej nieoczekiwanej formie.

W przestrzeń wdarł się nagle czyjś chrapliwy głos:

- „I zaniósł mnie w stanie zachwycenia na pustynię. I ujrzałem Niewiastę siedzącą na Bestii szkarłatnej, pełnej imion bluźnierczych, mającej siedem głów i dziesięć rogów”!

W drzwiach wychodzących na dziedziniec stała Nell Chigwine z dzbankiem pod pachą i oskarżycielskim gestem wskazywała na parę grzeszników.

Zaskoczony tą osobliwą przemową, Killigrew odsunął się od swej zdobyczy.

- Precz z tobą, blade stworzenie! Idź prawić swoje kazania świniom i kurom, one na pewno docenią je bardziej niż ja!

- I odszedł, nie obejrawszy się nawet na Cat, która tymczasem osunęła się na kolana, nie bacząc na kurz i brud.

Lecz cóż Nell obchodził jakiś szlachcic: całą pogardę skierowała na Catherine. Postawiła dzbanek na ziemi, wyszła z progu, oparła ręce na biodrach i zaczęła recytować na cały głos, jak ci kaznodzieje, którzy ostatnio licznie nawiedzali te rejony:

- „A Niewiasta była odziana w purpurę i szkarłat, cała zdobna w złoto, drogi kamień i perły, miała w swej ręce złoty puchar pełen obrzydliwości i brudów swego nierządu. A na jej czole wypisane imię - tajemnica: »Wielki Babilon. Macierz nierządnic i obrzydliwości ziemi«. Wstydz się, Catherine Anne Tregenna, albowiem swym rozwiązłym prowadzeniem się dowodzisz, że jesteś prawdziwą córą Babilonu!

- A cóż tu się wyprawia? - Margaret Harris stała w drzwiach z dłońmi zaciśniętymi w pięści. Jednym spojrzeniem ogarnęła sytuację: John Killigrew z fajką w dłoni oddalał się w stronę stajni, zarumieniona Catherine z włosami w nieładzie klęczała

na ziemi, a Nell Chigwine sterczała nad nią niczym uosobienie moralnego triumfu.

- Bójcie się Boga, Sir Arthur próbuje prowadzić kulturalną rozmowę, a wy tu jakieś hałasy wyprawiacie - skarciła jej Lady Harris.

- Służąca jaśnie pani to się na pewno Boga nie boi - prychnęła Nell. - Ta suknia, którą ma na sobie, samego diabła by sprowokowała.

- Zgadza się, że nie wszyscy goście mego męża są aniołami, lecz chyba nie zasłużyli na takie traktowanie. Mów lepiej po ludzku, Eleanor, i wyjaśnij mi, czemu tak przeraźliwie krzyczałaś?

Oczy Nell Chigwine zrobiły się małe i czarne jak jagody.

- Wysłałam nabrać wody i zaszłam Catherine, jak bezwstydnie i na oczach wszystkich cudzołożyła z mężczyzną.

Cat poderwała się na nogi.

- Nieprawda! - krzyknęła oburzona.

- Przysięgam na wszystkie świętości - zaklinała się Nell, kładąc rękę na sercu. - Wiem, co widziałam. A każdy wie, że ona zrobi wszystko, żeby tylko znaleźć sobie bogatego męża.

- Uśmiechnęła się chytrze. - Choćby i bezbożnego rozwodnika, co wpędził się w długi.

- Eleanor, zajmij się lepiej tym, co do ciebie należy - rzekła ostro Margaret - i ani słowa o tym, co tu zaszło. Jeżeli do mych uszu dotrze choć jedna plotka, będę wiedziała, kto jest jej autorem.

Nell obrzuciła Cat pogardliwym spojrzeniem, wzięła dzbanek, podeszła do studni, napełniła go, celowo się nie spiesząc, po czym zniknęła wewnątrz domu. Przez dwie długie minuty nikt się nie odzywał.

Gdy drzwi wreszcie się za nią zamknęły, Margaret odwróciła się do Cat. Była blada i zdenerwowana.

- Nie będę o nic pytać, Catherine, ale jedno ci powiem: to człowiek o fatalnej reputacji. - Wskazała wzrokiem oddalającego się Killigrewa, którego ruda czupryna lśniła w słońcu owiana

kłębam tytoniowego dymu. - Jest bardzo wiele powodów, dla których byłoby lepiej, gdybyś się trzymała od niego z daleka.

- Proszę pani, cokolwiek twierdzi Nell, nie prowokowałam jego zalotów - powiedziała cicho Cat.

- Jesteś jeszcze młoda i mniej wiesz o świecie, niż ci się wydaje. Nic każdy szlachcic jest dżentelmenem, a już na pewno nie Killigrew. Mogę tylko mieć nadzieję, że nie powiedziałaś mu, kim jesteś...

- Powiedziałam, że nazywam się Catherine Anne Tregenna. W oczach Margaret pojawił się jakiś błysk.

- Gdybyś powiedziała Coode, odwróciłby się na pięcie i uciekł. Wracaj teraz na górę i się przebierz. W garderobie przyzwoitej kobiety nie ma miejsca na szkarłat.

- To suknia mojej matki - mruknęła Cat.

- Obawiam się, że mnie to nie dziwi. Może to niesprawiedliwe, że dzieci płacą za grzechy rodziców, lecz w wypadku twojej matki grzech osobisty dołożył się do pierwotnego i nawet nie wiesz, jak bardzo na tobie ciąży. Dla twego własnego dobra powiadam ci, że są na tym świecie mężczyźni pozbawieni tytułów szlacheckich, posiadłości czy majątku, lecz sto razy więcej walczy niż taki Killigrew. Na przykład twój kuzyn Robert. Radzę ci, zakręć się koło niego, póki jeszcze możesz, zanim bezpowrotnie zrujnujesz sobie reputację.

Cat nie miała wiele czasu na przemyślenie tej dziwnej przemowy: po kolacji zjrzała do niej Polly. Miała oczy jak spodki i nos zaczerwieniony od kichania.

- Pani mówi, że masz natychmiast do niej przyjść. Pan Harris też tam jest, przeprosił na chwilę gości.

Gdy jednak Catherine pojawiła się w niewielkiej izbie z belkowanym stropem, która służyła pani domu za prywatny salonik, oprócz niej i męża znajdował się tam także Robert starannie uczesany i ubrany w swój najlepszy dublet. Nie śmiał spojrzeć Cat w oczy, kiedy ta wpatrywała się w niego pytającym wzrokiem.

Dziesięć minut później znalazła się z powrotem w długim ciemnym korytarzu, drżąc z oburzenia. W uszach wciąż dźwięczały jej słowa Sir Arthura.

- W przyszłą niedzielę ogłosimy zapowiedzi. Zamieszkacie z Robertem w domku za oborą. Jutro Matty zacznie ci pomagać w przygotowaniach.

A więc tak będzie wyglądało jej życie: zostanie żoną nudnego kuzyna, zamieszka w jakiejś ruderze obok bydła i już nigdy nie wyrwie się z Kenegie. Tej nocy modliła się, aby Bóg zabrał ją do siebie we śnie. Pragnęła już nigdy się nie obudzić.

Po kilku godzinach przewracania się z boku na bok, zapaliła świecę, wyjęła szkic projektu antepedium, zaostrzyła ołówek specjalnie do tego celu przeznaczonym nożykiem i przy migotliwym świetle dorysowała wężowi złośliwą gębę Nell Chigwine.

ROZDZIAŁ 7

A więc tak będzie wyglądało moje życie? Zostanę żona tego nudziarza Roberta i na zawsze utknę w Kenegie. Będę mieszkała w chałupie za oborą, co rok wydając na świat dziecko, dochowam się gromady bachorów i umrę w zapomnieniu. Nawet myśleć o tym mi ciężko. Muszę się stąd wydostać. W sierpniu przyjeżdża z wizytą do Lady Harris hrabina Salisbury. Jeżeli zdążę do tego czasu dokończyć antepedium i tym sposobem przekonać ją, by zabrała mnie ze sobą, może jeszcze jest dla mnie ratunek...

Przeraźliwy dzwonek telefonu brutalnie przywrócił mnie do współczesności.

Weszłam do kuchni i wpatrywałam się w aparat, jakby zaraz miał z niego wyskoczyć Michael. Ale głos, który zaczął się nagrywać na sekretarce, nie należał do niego. Ani w ogóle do żadnego do mężczyzny.

- Julia?

Była to moja kuzynka Alison.

- Alison! Cześć, jak miło cię słyszeć. Co u ciebie? Wiesz co, nawet miałam do ciebie dzwonić. Życie mnie ostatnio nie rozpieszcza i...

- Julio, zamknij się na miłość boską i daj mi coś powiedzieć...

Zatkało mnie. Alison zwykle była bardzo spokojną osobą. Przyłożyłam słuchawkę do ucha i usłyszałam, jak ciężko oddycha, jakby przebiegła kilka kilometrów.

- Andrew... - wykrztusiła i zaczęła spazmatycznie szlochać.

Milczałam, nie wiedząc, co powiedzieć. Czyżby znowu ją rzucił? Andrew Hoskin to był zawsze pies na baby. Przeprowadzili się do Kornwalii między innymi dlatego, że wdał się w romans w pracy, ale to już jakiś czas temu. Może to ona odeszła? Od lat groziła, że to zrobi, ale wątpię, czy by się naprawdę odważyła.

- Nie żyje.

- Co? To niemożliwe, co ty opowiadasz! Boże, jak to się stało?

Nastała dłuższa cisza i w końcu Alison zdołała się uspokoić.

- On się... powiesił. Na strychu. Ja... - Jej słowa przerosły się w żałosne zawodzenie. Aż mnie ciarki przeszły.

- Boże, to straszne. Ale proszę cię, uspokój się. To na pewno nie była twoja wina.

Co ja gadam? Po drugiej stronie zapadła złowroga cisza.

- Alison? Przepraszam, nie wiem, czemu to powiedziałam. Alison?

Odłożyła słuchawkę. Później kilkakrotnie w ciągu dnia próbowałam się do niej dodzwonić, ale za każdym razem włączała się sekretarka. W końcu zostawiłam wiadomość, w której jeszcze raz ją przeprosiłam, i dałam za wygraną.

Tego wieczoru nawet nie zajrzałam do pamiętnika Catherine, odłożyłam go na bok. Zamiast rozmyślać o dziewczynie nieżyjącej od czterystu lat albo o własnej smutnej egzystencji, cały czas myślałam o mojej biednej kuzynce. Jak to jest, kiedy dzielisz z kimś życie i ten ktoś nagle bez ostrzeżenia i z niewiadomych przyczyn znika, i to bezpowrotnie, na zawsze? Jakkolwiek źle się działo w ich małżeństwie, nie mam pojęcia, co mogło popchnąć zwykle pełnego optymizmu i odpornego psychicznie Andrew do odebrania sobie życia w tak brutalny sposób. Na dodatek w tym samym domu, który wiele lat temu kupili i wspólnie, własnymi rękami podnieśli z kompletnej ruiny?

A jednak, gdy w końcu zgasiłam światło i położyłam się do łóżka, nie przyśniła mi się ani Alison, ani kołyszący się na sznurze Andrew, lecz Cat Tregenna. Pamiętam, że działo się z nią coś złego, ale nie umiałam wychwycić charakteru tego zagrożenia. W głowie nieustannie dźwięczały mi słowa: „Ratuj nas, Panie”, a kiedy się obudziłam, czułam ogromny niepokój i mrowienie na całym ciele. Zwykle budzę się powoli, jak nurek wynurzający się z głębin, lecz tego ranka było inaczej. Miałam dziwne wrażenie, że ktoś mnie obserwował, gdy spałam. Wystraszona odrzuciłam kołdrę, zerwałam się z łóżka i uważnie rozejrzałam po pokoju, jakby licząc na to, że przyłapię ewentualnego intruza. Oczywiście nikogo nie było. Przeklinając się za tak irracjonalne zachowanie, poszłam do kuchni, zaparzyłam sobie kawy i ponownie wykręciłam numer Alison.

Tym razem odebrała.

- Słucham? - Jej głos brzmiał cicho i niewyraźnie, jakby nadchodził z bardzo daleka i po bardzo kiepskich łączach.

- To ja, Julia. Słuchaj, przepraszam cię za moją wczorajszą gafę. Nie wiem, co mi odbiło...

- Nic się nie stało. Po prostu nie byłam już w stanie z tobą rozmawiać. W ogóle z nikim. Musiałam na chwilę uciec od tego wszystkiego. Od niego, od domu.

- Ale już wróciłaś - palnęłam głupio.

- Tak. - W jej głosie brzmiała niepewność.

- Słuchaj - rzuciłam bezmyślnie - a może przyjadę do ciebie i pomogę ci przy pogrzebie i w ogóle? Odpoczniesz, wypłaczysz się. Co ty na to? To dla mnie żaden kłopot.

Po dłuższym milczeniu odparła:

- A mogłabyś? Ja tu sama wariuję. Przyjedziesz jeszcze dzisiaj?

- J a s n e . - Ustaliwszy kilka szczegółów praktycznych, odłożyłam słuchawkę. I po co ja się zaofiarowałam? Wcale nie miałam ochoty jechać na drugi koniec świata. W Kornwalii czaiły się na mnie duchy przeszłości, i nie mam tu na myśli Andrew.

Niemniej jednak dwie godziny później stałam przy kasie na stacji Paddington i kupowałam bilet powrotny otwarty do Penzance.

Ostatni raz odwiedzałam rodzinne strony prawie trzy lata temu. Dojeżdżałam wtedy z Londynu, żeby być przy mamie. To był szczególnie trudny dla mnie okres. Mama, która do dotąd była kobietą nad wyraz krzepką i energiczną — sześćdziesiątki biegała w maratonach, po siedemdziesiątce jeszcze pływała - doznała nagle udaru i w jednej chwili utraciła nie tylko władzę nad połową ciała, lecz także niezależność i całą osobowość. Trafiła do domu opieki, gdzie wiecznie śmierdziało moczem i lizolem.

To wyrzuty sumienia popychały mnie do częstych wizyt u niej. Wyrzuty sumienia i lęk wynikający z uświadomienia sobie, że wszystkich nas czeka to samo. No i poza tym mama mogła przynajmniej od czasu do czasu poczuć się bezpiecznie, mając przy sobie rodzinę i przyjaciół. Przez to, że byłam samotna i bezdietna, perspektywa starości oraz utraty sprawności fizycznej i umysłowej przerażała mnie szczególnie mocno, choć miałam wówczas dopiero trzydzieści trzy lata. Dlatego chwyciłam się kurczowo Michaela, bo musiałam wypełnić czymś pustkę. Szybko stało się to dla niego męczące, przestał odbierać moje nocne telefony i coraz częściej wyjeżdżał z miasta. Wszystko dlatego, podejrzewam, żeby nie wysłuchiwać mojego biadolenia i nie zarazić się moim cierpieniem. Dopiero po kilku miesiącach zrozumiałam, że między moim zachowaniem a jego coraz częstszą nieobecnością - fizyczną i emocjonalną ~ zachodzi bezpośredni związek, ale nawet wtedy nie miałam dość odwagi, aby spojrzeć prawdzie w oczy.

Gdy pociąg mijał dworzec w Liskeard, skąd wzdłuż krętego koryta rzeki między zalesionymi wzgórzami biegnie malownicza linia kolejowa do miasta Looe nad samym morzem, przypomniało mi się, jak pewnego razu Michael uległ moim namolnym prośbom i przyjechał tu ze mną na cały weekend.

Jego rodzina dawno temu wyprowadziła się z Sc. Austell, więc z Kornwalią nic go już nie łączyło prócz złych wspomnień ze szkoły i z biwaków na torfowiskach. Ilekroć mi o rym opowiadał, nie przebierał w słowach. Pamiętam, że nie mogąc znieść moich łez, gdy wróciłam z odwiedzin u mamy, niespodziewanie wyszedł na długi spacer, zostawiając mnie samą w hotelowym ogrodzie. Nie wiedziałam wtedy, czy jeszcze kiedykolwiek wróci. Nie lepiej jednak żyć samej niż u boku takiego mięczaka i egoisty? Przez dłuższy czas moje myśli były posępne niczym torfowiska ciągnące się za oknami pociągu i nie mogłam się skupić na robótce, którą wzięłam na drogę.

Kiedy jednak zbliżaliśmy się do Camborne i zobaczyłam na horyzoncie ruiny starej kopalni, serce dziwnie mi załopotało. Smagane wiatrem wzgórza porośnięte gąszczami paproci i krzewami kolcolistu oraz rozległe wrzosowiska poznaczone pojedynczymi głazami i kopcami z kamieni stopniowo ustępowały miejsca terenom rolniczym, za którymi wyczuwało się ogromną pustą przestrzeń. Specyficzne, rozproszone światło wskazywało na bliskość oceanu. Zaraz za tym horyzontem kończyły się tory, kończył się ład.

Nasza rodzina, stary kornwalijski klan, pochodzi właśnie stąd: z Penwith, najdalej na zachód wysuniętej części Anglii. Moja matka zawsze mówiła, że to „prawdziwa Kornwalia”, tak jakby część południowo-wschodnia była zarezerwowana tylko dla przyjezdnych oraz zdrajców, ludzi, którzy byli silniej związani (nie daj Boże) z hrabstwem Devon i całym światem współczesnym niż z wielowiekową przeszłością Kornwalii, kraju niezależnego, który miał własny język, własnego króla i własne prawo dawstwo. Nasi przodkowie wydobywali cynę, dopóki nie upadł przemysł, a wraz z nim rodzinne fortuny. Wielu rozjechało się po kraju i po świecie. Trafili do Argentyny, Australii, Kanady i Chile. Wszędzie tam, gdzie wciąż w cenie był górniczy fach.

Nie utrzymywałam bliskich kontaktów z nielicznymi krewnymi, jacy tu jeszcze pozostali. Niektórzy z nich, dalekie ciot-

ki i kuzynostwo, zjawili się na pogrzebie mojej matki, ale poza wymianą kondolencji nie bardzo mieliśmy o czym rozmawiać. Alison znała ich lepiej. Nosili tradycyjne kornwalijskie nazwiska (Pengelly, Bolitho, Rowie czy Tucker) i wiedli życie krańcowo różne od mojego: jakby się zatrzymali przed półwieczem. Dziwiłam się, czemu Alison i Andrew wynieśli się aż tak daleko od Londynu (pomijam ten drobny skandal, jakim był biurowy romans Andrew), ale kiedy pociąg zbliżał się do celu, zaczęłam rozumieć. Alison potrzebowała wsparcia rodziny, ale mówiła też, gdy tylko zamieszkała w tej części Kornwalii, że to miejsce magiczne, emanujące jakąś niesamowitą energią. Podejrzewam, że chciała sobie ułatwić wejście w nowe środowisko, dorabiając do niego mistyczną otoczkę. Zobaczyłam w oddali osnutą mgłą i niskimi chmurami St. Michael's Mount, która wyłaniała się z oceanu niczym baśniowy zamek z epoki legend. Poczułam, jak ciarki przebiegają mi po plecach.

ileż to razy nazwa tej góry przewijała się w zapiskach Catherine. Patrząc na nią, wyczuwałam obecność przeszłości. Przeszedł mnie dreszcz. Mój Boże, dojeżdżaliśmy do Penzance, a ja cała się trzęsłam i byłam nieźle wystraszona. I jak tu w takim stanie przywitać moją biedną, zrozpaczoną kuzynkę?

Szybko zostałam sprowadzona na ziemię. Gdy pociąg wjechał na stację, przywitał mnie duży wiktoriański budynek dworca, szary i odpychający, a do tego przenikliwa kornwalijska mżawka, która zanim zdążyłam dobiec pod wiatę, doszczętnie zmoczyła mi włosy. Alison czekała przy dworcowym bufecie. W jaskrawym świetle jarzeniówek jej blada twarz wyglądała upiornie.

Niezdarnie rzuciłyśmy się sobie w ramiona. Czułam, jak jej wiotkie ciało drży. Smutno mi się zrobiło, kiedy sobie pomyślałam, że ta odważna i rozrywkowa dziewczyna, jaką znałam mając dwadzieścia parę lat - ta sama, która naćpana biegała na golasa po parku; o drugiej nad ranem pełzała na czworakach po cmentarzu, bo wypłała za dużo tequilii i nie była w stanie utrzymać się na nogach, ale koniecznie chciała mi pokazać ta-

blice ku czci Kita Marlowe'a i słynnego siedemnastowiecznego szkutnika Johna Addeya; tańczyła na dyskotekach, imprezowała do rana i przysięgała, że nigdy się nie zestarzeje - zamieniła się w istotę tak kruchą i niepewną. W jej włosach pojawiły się pasma siwizny, a twarz porały zmarszczki.

Odkąd zamieszkała z Andrew w Kornwalii, podtrzymywałyśmy naszą przyjaźń poprzez długie rozmowy telefoniczne i sporadyczne wizyty Alison w Londynie. Mogła się wtedy znowu poczuć niezamężną kobietą, włączyć się ze mną po pubach i udawać, że podrywamy młodszych facetów. Do siebie nigdy mnie specjalnie nie zapraszała. Teraz miałam zobaczyć ich dom po raz pierwszy nie licząc setek zdjęć z czasów przed i po remoncie.

Był to przerobiony budynek gospodarczy dawnego majątku ziemskiego, zbudowany na nieregularnym planie, położony na wzgórzu na północny wschód od Penzance. Zakochała się w nim od pierwszego wejrzenia, choć był opuszczony i zaniedbany. Od lat nikt w nim nie mieszkał. Musiała niemal sterrować Andrew, żeby zgodził się na kupno, a od razu dostrzegła w nim ogromny potencjał. Andrew w ramach wyrzutów sumienia w końcu uległ i pozwolił jej robić z tym, co chce. Za jego pieniądze. Włożyli w ten dom wiele wysiłku, wyobraźni i czasu, co widać od razu przy wjeździe na podjazd. Założyli sobie ogród francuski - koncentryczne kręgi z bukszpanu wypełnione lawendą i wawrzynem, a między nimi żwirowe alejki. Na środku patio, wyłożonego białymi kamieniami ułożonymi promieniście na ciemnym tle, stała fontanna, obecnie nieczynna. Krople deszczu mąciły nieruchomą taflę wody.

W środku było jasno i świeżo - ściany w kolorze złamanej bieli, na podłodze pastelowozielona wykładzina. Do tego dywaniki w etniczne wzory o chłodnych barwach, a na ścianach współczesne malarstwo: wizerunki ryb i pejzaże morskie. Wyglądały na oryginalne. Solidne meble z ciemnego drewna, żadnych zbędnych bibelotów, raczej dużo przestrzeni. Nie wyczułam tam

ani śladu obecności Andrew. Panowała atmosfera przemyślane-
go porządku i harmonii. Nie chciało się uwierzyć, że całkiem
niedawno ktoś tak brutalnie odebrał sobie tu życie.

- Ulokowałam cię w naszej sypialni. Mam nadzieję, że to
nie problem... Ja sobie nie wyobrażam, żebym w tej chwili mo-
gła tam spać. Będziesz miała osobną łazienkę i wspaniały widok
z okna - dodała przepraszająco.

- Nie ma sprawy - skłamałam, choć skóra mi ścierpła.

Kiedy szłyśmy na górę, zauważyłam, że jej wzrok odrucho-
wo ucieka w stronę schodów na strych.

Potem zaparzyła dzbanek herbaty i zabrałyśmy go do ogro-
du. Tam wśród zapachów mięty i tymianku usłyszałam całą opo-
wieść, jak to we dwójkę remontowali ten dom pokój po pokoju,
w miarę możliwości finansowych. Strych wykończyli dopiero
w tym roku. Z podwórka usunęli stary bruk i beton, a zasadzi-
li drzewa, posiali kwiaty i zioła. I to przez jakiś czas wystarcza-
ło: ciężka fizyczna praca absorbowała ich siły i czas, łączył ich
wspólny projekt, z którego byli dumni i w którym pogrzebali
trudną przeszłość. Ale remont strychu okazał się chyba dla An-
drew kroplą, która przelała czarę. Odkąd go skończyli, zamknął
się w sobie, stawał się coraz bardziej mrukliwy i wybuchowy
- zupełnie niepodobny do tego wesołego, rubasznego faceta,
którego znałam - zaczął pić i zaniedbywać najpierw rodzinę,
potem pracę. Zajmował się handlem internetowym i niebawem
interes zaczął podupadać, a długi rosły.

- Nie zauważyłam, co się święci - odezwała się w końcu
Alison. - Widziałam, że chodzi przygnębiony, namawiałam,
żeby poszedł do lekarza, ale się zawziął. Nie chciał rozmawiać
ze mną ani ze swoją siostrą, z przyjaciółmi, z nikim. Powtarzał,
że to i tak nie ma sensu, że co się stało, to się nie odstanie. Nie
miałam pojęcia, o co mu chodziło, nadal nie mam. Ale żeby
samobójstwo... Jak mogłam być tak ślepa?

Przytuliłam ją mocno, a ona wybuchła płaczem i długo
szlochała w moich ramionach.

- Tęsknię za nim! - jęczała. - Brakuje mi jego zapachu w domu, brakuje mi nawet jego zimnych stóp w łóżku.

W końcu odsunęła się ode mnie, żeby wytrzeć napuchnięty, zaczerwieniony nos.

- Al, skarbie, zrozum, to nie twoja wina, i tak nic byś nie poradziła. Czegoś takiego nie da się przewidzieć. Swoją drogą, nigdy nie podejrzewałam, że Andrew bierze życie aż tak serio.

Spojrzała na mnie.

- Ja też nie. Nawet kiedy mi się oświadczył, myślałam, że żartuje. - Uśmiechnęła się słabo. - Szczerze mówiąc, sądzę, że tak właśnie było. Oboje byliśmy wstawieni, a potem nagle wszyscy zaczęli o tym gadać, no i jakoś tak nie dało się już wycofać. Później zaszłam w ciążę, no i wiesz...

Idąc do ołtarza, była w czwartym miesiącu, ale oprócz mnie, Andrew, jej matki i najbliższej przyjaciółki nikt o tym nie wiedział. Suknia odcinana pod biustem i bukiet trzymany na odpowiedniej wysokości załatwiły sprawę. Obeszło się bez głupich i krępujących docinków. No i dobrze, bo dwa tygodnie później poroniła, omal nie przypłacając tego życiem, a potem już nigdy nie mogła zająć w ciążę, przynajmniej w naturalny sposób.

- Bo wiesz co... - zaczęła, spuszczać wzrok, jakby chciała wyznać coś wstydlivego. - Wieczorem tego dnia, kiedy... umarł, usiłowałam go przekonać, żebyśmy spróbowali zapłodnienia in vitro. W życiu nie widziałam go tak wściekłego. Naprawdę myślałam, że mnie zaraz uderzy. „Nawet nie próbuj ze mną takich sztuczek!” - krzyczał. - „Mało ci, że mnie uwięziłaś na tym zadupiu, w tym cholernym domu? Po cholere jeszcze przekazywać komuś w genach całe ro nasze popieprzone życie?”. A potem wybiegł z sypialni i zaszył się u siebie na górze. To były jego ostatnie słowa. Nie zdziwiłam się więc, kiedy nie zszedł na kolację. Nawet się ucieszyłam, bo nie miałam siły na kolejną kłótnię. Skubnęłam trochę sałatki i położyłam się wcześniej spać. O trzeciej nad ranem nagle się obudziłam. Wiesz, jakby mnie coś tknęło. Serce waliło mi tak mocno, że nie mogłam oddy-

chać. I wtedy już wiedziałam. — Spojrzała na mnie. - Po prostu czułam to. Ale nie byłam w stanie pójść na górę. Dopiero kiedy się przejaśniło. - Przełknęła ślinę, starając się opanować. - Lekarz policyjny stwierdził, że Andrew nie żyje co najmniej od północy, więc i tak nic bym nie zrobiła. Ale mam okropne wyrzuty sumienia, że nie próbowałam jakoś załagodzić sprawy, nie zaniósłam mu na górę cowieczornej szklaneczki brandy, cokolwiek... - umilkła.

Patrzyłam na nią, nie wiedząc, co powiedzieć. Pogrzebała w kieszeni i wyjęła pomiętą kartkę.

- To tylko ksero. Policja zabrała oryginał, ale obiecała, że później odda. Zresztą to bez znaczenia, znam go na pamięć.

- Jesteś pewna? - Już biorąc od niej list, wiedziałam, że nie chcę go czytać. W tym momencie jakby na zawołanie rozległo się donośne burczenie w moim brzuchu, przerywając ten grobowy nastrój. Spojrzałam na niego z wyrzutem jak na niesforne dziecko. - Boże, przepraszam.

Alison zerknęła na zegarek.

- To ty jeszcze dzisiaj nic nie jadłaś? Gdybym wiedziała...

- W wagonie restauracyjnym już w Plymouth skończyły się zapasy - odparłam, z ulgą zmieniając temat. - Zostały tylko hamburgery z mikrofalówki, ale jak mi go podali i zobaczyłam, że jest jakiś wilgotny, skapciały i pomarszczony, straciłam apetyt.

- Fuj - skrzywiła się Alison. Zastanowiła się chwilę, po czym z kamienną twarzą dodała: - Znałam paru takich facetów. Dobrze, że chociaż nie był owłosiony.

Spojrzałyśmy na siebie i naraz ryknęłyśmy śmiechem. Przez następne dziesięć minut nie mogłyśmy się uspokoić. Zeszło z nas całe napięcie i *świat* znów wydawał się piękniejszy.

Kiedy jednak wieczorem kładłam się spać, wszystkie lęki powróciły. Lekka i cienka kartka papieru z listem ciążyła mi w kieszeni jak ołów. Zapaliłam w sypialni wszystkie światła i leżałam na

łóżku, gapiąc się w sufit. Zaciekało mnie, czy belka, na której powiesił się Andrew znajduje się dokładnie nad moją głową. Szybko odrzuciłam tę myśl.

Wstałam, napuściłam wody do wanny i rozsiałam się w niej z książką, którą kupiłam na dworcu w Londynie. Po trzech stronach stwierdziłam, że jednak nie mam nastroju na czytanie.

Wyszłam, owinęłam się w ręcznik i usiadłam na łóżku. List pożegnalny Andrew leżał obok złożony we czworo niczym cichy wyrzut sumienia. Ostrożnie wzięłam go do ręki, rozwinęłam i wygładziłam zagięcia. Nie sądziłam, że Andrew miał taki drobny, kształtny, raczej staroświecki charakter pisma.

„Droga Alison”, brzmiały pierwsze słowa. Formalnie. Banalnie.

Wiem, że moja śmierć będzie dla Ciebie strasznym szokiem, mimo że to Ty po części odpowiadasz za to, że doszedłem do punktu, z którego nie ma powrotu. Nie mogę już dłużej tego ciągnąć. Ten dom odebrał mi wszystko. Wyssał ze mnie wolę życia. Kiedy znowu zaczęłaś wspominać o dzieciach, wiedziałem, że już dalej nie dam rady. Po co udawać, że istnieje jakaś przyszłość - dla mnie, a co dopiero dla mojego dziecka? Historia lubi się powtarzać: nie jesteśmy w stanie zmienić swojego przeznaczenia i szaleństwem jest myśleć, że możemy kształtować własne życie. Wybacz, że nasze małżeństwo było tylko grą pozorów. Wybacz, że przysporzyłem Ci tyle cierpienia. Ale najbardziej przepraszam Cię za to, że nie dostrzegłem w porę, w jakim kierunku zmierza moje życie i nie zdecydowałem się iść tą drogą sam, zamiast ciągnąć Cię ze sobą. Teraz masz okazję ułożyć sobie życie od nowa. Sprzedaj ten dom i wyjedź stąd. To smutne i przytłaczające miejsce. Uciekaj, póki możesz; ratuj się. Wróć do Londynu, znajdź sobie kogoś i niech moje życie - i śmierć - nie będą Ci więcej ciężarem.

Oby Bóg miał Cię w swojej opiece i obdarzał miłością, bo ja nie potrafiłem.

*Żegnaj
Andrew*

Siedziałam i trzymałam ten list w trzęsących się rękach dobre dwadzieścia minut. Wreszcie wstałam, podeszłam do okna i spojrzałam na ocean. W tym pięknym, słonecznym domu, który zbudował razem z Alison, z jego ślicznym ogrodem i wspaniałymi widokami za oknem, nie czułam się wcale jak w więzieniu czy w klatce. Styl listu i niektóre sformułowania zupełnie mi do Andrew nie pasowały, ale w sumie nie znałam go tak dobrze. Nie miałam okazji widzieć go w sytuacjach ekstremalnych, najwyżej pijanego albo podnieconego, kiedy kipiał humorem i testosteronem. A jednak w głębokich zakamarkach mojej duszy, do których nie bardzo umiałam jeszcze dotrzeć, zabrzmiały dziwnie szczerze.

Wysoko na niebie cienki sierp księżycy świecił niczym dziurka od klucza z widokiem na inny świat. Gdzieś wśród drzew zahuczała sowa. Moja matka zawsze twierdziła, że sowy przemawiają głosem zmarłych. Jako osoba głęboko zakorzeniona w kornwalijskiej tradycji, była bardzo przesądna. Pukała w drewniane przedmioty (ale tylko takie bez nóg, żeby szczęście nie miało jak uciec), a kiedy rozsypała sól, rzucała jej trochę za siebie przez lewe ramię, żeby odpędzić złe moce, choć zarzekała się, że w diabła nie wierzy. Wierzyła natomiast, że istnieje stan pośredni między życiem a śmiercią i duchy zmarłych krążą po ziemi, dopóki nie osiągną spokoju. Podobno niektórym nigdy to się nie udaje.

Choć noc była ciepła, miałam dziwne dreszcze. Mimo to odczułam nagłą potrzebę otwarcia okna na oścież, jak gdybym chciała oczyścić atmosferę, swobodniej odetchnąć. Albo wypuścić ducha Andrew.

ROZDZIAŁ 8

Po kilku dniach, żeby trochę rozerwać Alison i odwrócić jej uwagę od bolesnej rzeczywistości, która teraz, gdy opadła adrenalina po pierwszym szoku i minęło zamieszanie związane z pogrzebem, zaczęła do niej docierać z całą siłą, opowiedziałam jej co zabawniejsze historyjki z mojego życia z Michaeliem.

Ten romans w pewnym stopniu wbił się klinem między nas, zwłaszcza odkąd Alison doświadczyła upokorzenia i bólu po zdradzie Andrew. Nigdy specjalnie nie akceptowała Michaela, nawet jako męża Anny. „On ma w sobie coś takiego, co sprawia, że nie potrafiłabym mu w pełni zaufać”, powiedziała kiedyś na początku ich znajomości. Prawie rok nie miałam odwagi jej wyznać, że się spotykamy, a kiedy już to zrobiłam, zamilkła na dłuższą chwilę, po czym stwierdziła: „Teraz powinnam zadzwonić do Anny. Powinnam podnieść słuchawkę i powiedzieć, że najlepsza przyjaciółka pieprzy się z jej mężem, więc najlepiej zrobi, jeśli spławi ich oboje”.

Poniekąd chciałam, żeby to zrobiła, chociaż wiedziałam, że Anna się wścieknie i mnie znienawidzi. Ale z drugiej strony wiedziałam też, że ani ona Michaela tak łatwo z rąk nie wypuści, bez względu na to, co zrobił, ani on jej nic zostawi, nawet dla mnie. Częściowo z powodu jej pieniędzy, ale nie tylko. Przyczyny były głębsze, lecz wolałam w nie zbyt nie wnikać.

W końcu Alison wygarnęła mi w oczy, co o mnie myśli, potem zrobiła długą przerwę i dodała: „Jeśli kiedyś prześpisz się z Andrew, zabiję cię”. Udało jej się utrzymać kamienną twarz

tylko przez trzydzieści sekund, ale i tak w środku czułam, że nie do końca żartowała.

Potem wspólnym wysiłkiem odbudowałyśmy naszą przyjaźń, ale widmo zdrady zawsze gdzieś nad nami wisiało. Bardzo mnie wzruszyło, że Alison w tak dramatycznym momencie zwróciła się właśnie do mnie, więc w ramach skromnego podziękowania wyciągnęłam z rękawa wszystkie śmieszne anegdoty, jakie zapamiętałam. Opowiedziałam jej, jak na jednej z pierwszych randek Michael zabrał mnie do eleganckiej chińskiej restauracji i strasznie chciałam zrobić na nim dobre wrażenie, tyle że jedząc zupę, tak mocno wciągnęłam makaron, że poparzył mnie w brodę, zostawiając paskudną czerwoną pręgę. Jak kochaliśmy się na łące i Michael potem biegł przez pół kilometra, próbując strząsnąć szczypawkę, która mu wlażała we włosy. Jak Anna wpadła do mnie niespodziewanie w odwiedziny i Michael musiał cztery godziny marznąć z gołym tyłkiem w ogrodowej szopie.

Przyznam, że trochę mnie poniosło z tym odgrzebywaniem przeżyć, które wtedy kosztowały mnie sporo nerwów i zdrowia. Dobrze coś takiego z siebie wyrzucić, tym bardziej jeśli można przy tym zapewnić komuś rozrywkę. Zaczęły mi się przypominać coraz bardziej kompromitujące, także dla mnie, anegdoty i wkrótce Alison nie mogła się powstrzymać od śmiechu.

Wreszcie spuściłam głowę i wbiłam wzrok w stół. Przyglądałam się rysom i plamom, które znaczyły jego stary drewniany blat. Kiedyś był surową sosnową deską w pięknym miodowym kolorze, czystą i zdrową. Ale nawet wtedy widniały na niej naturalne sęki i nierówności. Nikt nie jest doskonały, a życie jeszcze bardziej nas kaleczy. Z żalu nad sobą zachciało mi się płakać.

- No cóż... - odezwała się cicho Alison, widząc, że skończyłam. - On zawsze był dupkiem.

Co do tego byliśmy zgodne. Opowiedziałam jej jeszcze o naszej ostatniej kolacji.

- Na pożegnanie dał mi w prezencie książkę. Spójrz. - Po-grzebałam w torebce i wyjęłam *Skarbczyk hafciarki*.

- Coś podobnego... - powiedziała po chwili, obracając ją w rękach. - Dałabym sobie głowę uciąć, że to jedna z książek, które Andrew parę tygodni temu znalazł na strychu i wysłał Michaelowi, żeby je dla nas sprzedał. Pamiętam, bo były dwa identyczne egzemplarze, co mnie zdziwiło. Niesamowicie, że trafiła akurat do ciebie.

Poczułam się, jakbym dostała obuchem w głowę. A więc nawet jej dla mnie nie kupił, a w dodatku oszukał Andrew i Alison, pozbawiając ich ewentualnych zysków. Czułam się okropnie.

- O Boże. Chyba powinnam ci ją oddać. - I po chwili: - Albo dam ci w zamian coś innego, co?

- Nic bądź głupia. Należy do ciebie. A poza tym zobacz, cała jest pobazgrana. W tym stanie pewnie i tak nikt by jej nie kupił. - Przyjrzała się drobnemu pismu Catherine i nagle gwałtownie wciągnęła powietrze. - Zaraz. To ty pisałaś?

- Skąd! - oburzyłam się, że śmiała mnie posądzić o taki wandalizm.

- No bo... Masz prawie identyczny charakter pisma. Zmarszczyłam brwi.

- Mówisz?

- Oprócz tych wszystkich esów-floresów i staroświeckich liter. To nie jest zwykła kursywa, jest bardziej pochyła, zamasyżysta. Widzisz, jak ogonek tego „g” zawija się jak u ciebie? Poza tym, ona - bo zakładam, że to była kobieta - tak samo jak ty stawia kropki nad „i”, trochę za bardzo na prawo. - Przysunęła książkę bliżej okna. - Zobacz na to pochyłe „a”: nie znam nikogo innego, kto pisałby „a” w ten sposób.

Moje „a” wygląda jak drukowane, nie jak zwykłe „o” z laseczką. Jeszcze bardziej zmarszczyłam brwi.

- Ale numer, w ogóle nie zwróciłam na to uwagi. Mimo wszystko nie jestem przekonana, czy masz rację.

Alison z hałasem odsunęła krzesło od stołu i wyszła do jadalni. Wróciła z notesem i ołówkiem. Wyjęła z bloku kuchenny nóż i porządnie naostrzyła nim rysik.

- Masz. Napisz coś. Tylko maczkiem, jak w książce.
- Ale co mam napisać?
- Co chcesz. Nie, poczekaj. - Otworzyła książkę mniej więcej w środku, obróciła ją bokiem i skupiła wzrok. - Napisz to: „Dziś do drzwi spiżarni zapukała Egipcjanka...” Egipcjanka przez a-e, że pisane z ligaturą.

- Z czym?

Alison wywróciła oczami. Mimo intensywnego imprezowania na studiach skończyła je z bardzo dobrym wynikiem i zawsze uznawała mnie za trochę nierozgarniętą intelektualnie. Z życzliwym pobłażaniem, oczywiście.

- „A” złączone z „e”, głupia. „Dziś do drzwi spiżarni zapukała stara Egipcjanka. Przyjechała na...” Nie umiem odczytać.

Wzięłam od niej książkę.

- Chyba „na mule”. - Oddałam ją z powrotem.

- „...i była dziwacznie ubrana, cała w kolorowych chustach, obwieszona dzwoneczkami. Twarz i dłonie miała niemal czarne...”

Posłusznie wszystko zapisałam. Muszę przyznać, że kiedy przyłożyliśmy moją wersję do Catherine, okazały się zaskakująco podobne.

- Ale ja stawiam bardziej pochyłe literki, a pionowe laseczki są wydłużone - upierałam się.

- Bo miałaś więcej miejsca. Ona musiała się ścieśniać. Ciekawe, że w ogóle umiała pisać. To jakaś arystokratka?

Pokręciłam głową.

- Nie, ale jej matka była chyba wykształcona, a z tego co zdążyłam wyczytać, kobieta, u której służyła, lubiła ją i bardzo motywowała. - Przyjrzałam się jeszcze raz kartce i spytałam z powątpiewaniem: - Egipt leży strasznie daleko od Kornwalii. Jesteś pewna, że dobrze odczytałaś?

- T a k dawniej nazywano Cyganów. Ludzie myśleli, że pochodzą z Egiptu. Niektórzy pewnie tak... Powiedziałaś „Kornwalii”?

Zapomniałam ją poinformować o tym drobnym szczególe.

- Tak. Ta dziewczyna żyła w siedemnastym wieku, nazywała się Catherine Anne Tregenna, zdrobniacie Cat, od pierwszych liter. Była służącą we dworze i to nawet gdzieś tu w okolicy. Nazywał się jakoś na K.

- Kenegie?

Spojrzałam na nią zaskoczona.

- Dokładnie. A co, mówi ci to coś?

Alison zrobiła wielkie oczy.

- Tak się nazywał majątek ziemski z czasów elżbietańskich, w którego dawnych granicach właśnie się znajdujemy. Powiem więcej, nasz strych był zawałony mnóstwem starych gratów pochodzących z wyposażenia dworu. Mój Boże, ta książka musiała tu przeleżeć prawie czterysta lat. Niewykluczone, że ta dziewczyna mieszkała właśnie w tym domu!

Poczułam mrowienie na karku.

- Czy ten dwór jeszcze stoi?

Alison się zawahała.

- Obawiam się, że może cię rozczarować.

Patrzyłam na nią, czekając na odpowiedź.

- Tak, dworek się zachował, ale jest prawie całkowicie przebudowany. Chcą w nim urządzić luksusowe apartamenty. — Pchnęła. — Ciekawe, gdzie znajdą klientów. A z reszty urządzili coś w rodzaju ośrodka wypoczynkowego.

- Co? - przeraziłam się.

Alison rozłożyła ręce.

- Trudno się ludziom dziwić. Kornwalia to najbiedniejsze hrabstwo w Anglii. Jedyne, co nam zostało, to turystyka i rybołówstwo, i to mocno ograniczone, jeśli wziąć pod uwagę te wszystkie unijne przepisy i zagraniczne statki-przerwótnie. Mieszkańcy muszą mieć się każdego zajęcia.

- Pewnie tak. - Przedstawiony przez nią obraz dosyć się różnił od tego, który w sobie pielęgnowałam.

- Możemy się tam potem przejść, sama zobaczysz.

- Mhm - odparłam wymijająco. Ostre odłamki przyzierności zaczynały przekłuwac tę bańkę iluzji, którą sama stworzyłam. Sekretne zapiski Catherine były moją ucieczką od przykrej rzeczywistości. Wizyta w miejscu, w którym mieszkała, oznaczała podzielenie się nią z Alison, a zdałam sobie sprawę, że nie chcę się dzielić Cat z nikim.

- J a k ona się nazywała? - spytała pod nosem Alison, otwierając książkę na stronie tytułowej. - Catherine Anne Tregenna. Wiesz, wydaje mi się, że w naszej rodzinie są jacyś Tregennowie. Albo Tregunnowie. A może to było Tregenza? Właściciel warzywniaka w Penzance nazywa się Tregenza. No i jest też zamek Tregenna w St. Ives. Ciekawe, czy wszyscy jesteśmy spokrewnieni? Gdzieś tu miałam rodzinną kronikę... - Nagle twarz jej stężała.

- O co chodzi?

- J e s t na strychu - powiedziała ponuro.

- O. — Nie miałam najmniejszego zamiaru dobrowolnie iść na górę.

- Kiedyś w końcu będę musiała tam wejść, ale... - zawiesiła głós, jakby oczekiwała, że w jakiś sposób dokończę zdanie.

Milczałam, ale czułam na sobie ciężar jej wzroku.

- Dobra, ja pójdę - złamałam się w końcu. - Tylko powiedz mi, gdzie mam szukać.

Gdy wspinałam się po schodach, ona stała u podnóża, kurczowo zaciskając dłonie na poręczy.

Pokój na poddaszu był równie jasny i widny jak reszta domu, ale panował tu znacznie większy bałagan. Przez duże zachodnie okno dachowe wlewało się dzienne światło, co przyjęłam z ulgą. Przy jednej ze ścian stało biurko Andrew zawalone papierami. Na nim komputer z pustym ekranem, jakby obrażony, że nikt go od dawna nie włączał. Alison mówiła, że kartkę z listem znaleźli opartą o monitor. Przez środek pokoju biegła u sufitu olbrzymia drewniana belka. Zwiisał z niej kawałek sznurka. Reszta była odcięta ostrym nożem, przez policję,

jak sędzę, ponieważ Alison mówiła mi, że nie była w stanie dotknąć ciała. Staralam się na nią nic patrzeć, ale oczy mimowolnie wędrowały w górę. Był jasnoniebieski, zrobiony z jakiegoś sztucznego tworzywa, polipropylenu albo nylonu i na oko wyglądał na sztywny, trudny do zawiązania w supeł. Ciekawe, skąd Andrew wiedział, jaki węzeł należy zrobić, czy ręce mu się trzęsły, kiedy zaciągał pętlę? Wyobraziłam sobie, jak szorstka lina wpija się w delikatną skórę na szyi i natychmiast odpędziłam od siebie tę myśl.

- Znalazłaś pudła? - zawołała Alison. - Powinny leżeć koło szafki na rysunki.

Tę przynajmniej trudno było przeoczyć: zabytkowa drewniana komoda z płytkimi szufladami zajmowała cały jeden kąt pokoju. Obok niej jeden na drugim stały trzy kartonowe pudła. Przykrywała je gruba warstwa kurzu; widać, że dawno nikt do nich nie zaglądał.

Zdjęłam górne pudło i otwarłam. Wyrzała z niego rumiana, uśmiechnięta twarz Andrew i nagle cały pokój wypełnił się jego osobą. Upuściłam pudło i wszystkie zdjęcia wysypały się na podłogę. Alison i Andrew; Andrew i Alison - setki fotografii przedstawiających ich razem i każdego z osobna. Grupowe ze ślubów, z wakacji, na jachcie, w ubraniach roboczych przy remoncie domu: dwadzieścia lat życia uwiecznione na kolorowej kliszy i zamknięte w zakurzonym pudle.

- Przepraszam! - zawołałam. - Coś mi spadło.

Pozbierałam zdjęcia i wrzuciłam z powrotem do pudełka, starając się nie patrzeć na te migawki z innego, lepszego świata. Drugie pudło zawierało stare notesy i kalendarze, spłowieła księgę gości, ale nic, co by wyglądało na kronikę rodzinną. Zostało więc trzecie. Otwarłam je. Pod stertą pozótkłych gazet leżało coś dużego, zalatującego stęchlizną. Wydobyłam to. Skórzana oprawa księgi była wilgotna w dotyku i czuć ją było pleśnią, choć pomieszczenie wydawało się suche i dobrze zaizolowane. Tak jakby przyniosła ze sobą swój własny klimat.

- Znalazłam! — zawołałam. Gdy ją brałam do ręki, zza okładki coś wypadło. Przestraszyłam się, że książka się rozpada, ale to były luźne kartki, poplamione i pożółkłe na brzegach. Na oko jakieś stare listy. Ostrożnie wsunęłam je z powrotem i ostatni raz rozejrzałam się po pokoju, w którym Andrew Hoskin odebrał sobie życie. Mimo dużej ilości światła wpadającego przez okno, sprawiał przygniatające wrażenie. Czułam się, jakby nie tylko belki, legary i dachówki chciały mi się zwalić na głowę, lecz całe niebo i gwiazdy, cały wszechświat. Nagle ogarnęła mnie skrajna rozpacz: jestem tylko drobnym, nic nie znaczącym pyłkiem w kosmosie. Co ja tu robię? Marnuję czas, życie mi ucieka. Nic tu po mnie. Nie mam pracy, rodziny, faceta, dzieci, żadnych perspektyw, a w Kornwalii z całą pewnością tego nie znajdę. Poza tym jestem kobietą, w dodatku wiarołomną. Dotarło do mnie, że muszę stamtąd uciekać, natychmiast!

Ściskając w rękę kronikę, zbiegłam ze schodów, licząc w myślach, ile czasu zajmie mi spakowanie torby, złapanie taksówki i dojazd na dworzec.

- Matko, co się stało? - Alison patrzyła na mnie zapadniętymi oczami, wokół których rysowały się sine obwódki. Wyglądała jak nie ona, jak intruz we własnym domu. Myślałam tylko o tym, żeby ją ominąć i jak najszybciej wybiec na zewnątrz.

Wyciągnęłam rękę, jakbym chciała ją odepchnąć.

- Ja... - I nagle wszystko przeszło. Zamrugałam powiekami.

Alison wzięła ode mnie kronikę: widocznie stałam niepewnie na nogach i bała się, że ją upuszczę.

- Chodźmy na dół - zarządziła, wsuwając sobie opasłe to-misko pod pachę. Drugą ręką objęła mnie za ramię. - Przyda ci się filiżanka mocnej herbaty.

I tak w jednej chwili z poszkodowanej zamieniła się w ratowniczkę, i to ona mną musiała się zaopiekować. W drodze do kuchni przyszło mi do głowy, że może właśnie tego jej było trzeba, takiej zamiany ról?

Na liście nazwisk w kronice nie znalazłyśmy żadnych Tregennów. Było dużo Pengellich, Martinów, Johnsów i Bolithów, kilku Lanyonsów i Stephensów, a nawet jeden Rodda - to nazwisko widziałam na kubku śmietany w lodówce Alison. Ale ani jednej osoby o nazwisku Tregenna. Nie wiedziałam, czy mam odetchnąć z ulgą, czy czuć się zawiedziona.

ROZDZIAŁ 9

Catherine

Lipiec 1625

*Dziś do drzwi spiżarni zapukała stara Egipcjanka.
Przyjechała na mule i była dziwacznie ubrana,
cała w kolorowych chustach, obwieszona dzwoneczkami.
Twarz i dłonie miała niemal czarne...*

Gdy rozległo się pukanie, Catherine w kuchni spisywała listę sprawunków, którą dyktowała jej Lady Harris. Powietrze było aż gęste od słodkiego zapachu puddingu, który kucharka Kate Rowes gotowała od rana. Od samego tego zapachu człowiekowi burczało w brzuchu. Kate dodała do puddingu masło, przyprawy i rum; Cat miała duże wątpliwości, czy zdoła dotrzymać do obiadu.

— Catherine, idź no i zobacz, kto to - poleciła Margaret i zwróciła się do kucharki: - Doprawdy nie mogę pojąć, jak zdołaliśmy zużyć w ciągu miesiąca tyle mąki. - Lady Harris podobnie jak jej mąż była bardzo skrupulatna.

Wizyty obcych ludzi w Kenegie nie należały do rzadkości. Przychodzili z rozmaitych powodów: żebracy po jałmużnę, choć niechętnie widziani, jako że Sir Arthur przekazywał hojne datki do parafii i wolał, by działalnością dobroczynną zajmował się proboszcz, naciągacze usiłujący sprzedać dorodnego zająca albo parę gołębi, rybacy objuczeni kosztami, żądający groata* za makrelę, pensa za dorsza lub trzy pensy za węgorza z dalekich mórz.

* Groat - srebrna moneta o wartości 4 pensów (przyp. tłum]

Za drzwiami stała stara kobieta próbująca uwiązać wychudzonego muła do drzewka laurowego. Cat jeszcze nigdy kogoś takiego nie widziała. Ta przedziwna istota miała na głowie jaskrawą chustę zawiązaną z tyłu, wielkie złote koła w uszach, gorset uszyty z kolorowych kawałków tkanin i bufiaste szarawary ściągnięte w kostkach jedwabnymi szarfami i ozdobione sznurami srebrnych dzwoneczków. Nie chodziło nawet o niestosowność spodniego stroju, Cat zdumiał przede wszystkim kolor skóry kobiety: brązowy jak kasztan. Kilka lat temu przyjechali do Penzance z wędrownym przedstawieniem jacyś włóczędzy, twierdząc, że są Cyganami, ale oni czernili sobie twarze mazidłem z galasu - co wyszło na jaw, kiedy konstabl kazał ich zakuć w dyby i przewrócić na nich beczkę z deszczówką. Dwa dni później wygnano ich z miasta i nikt ich więcej nie widział, czego Cat szczerze żałowała. Prawdziwi czy nie, dostarczyliby trochę egzotycznej rozrywki, pokazali skrawek innego barwniejszego świata.

Uchyliła nieznacznie drzwi.

- Czego pani tu szuka? - wyszeptała. - Proszę lepiej stąd odejść, bo tu krzywo patrzą na takich jak pani.

Kobieta wpatrywała się w nią świdrującymi oczami.

- Dziewczę z włosami jak ogień i dobrocią w sercu... o, to dobry znak w tę pochmurną sobotę.

Cat zmarszczyła czoło.

- Słucham?

Cyganka oparła się o futrynę i zajrzała do izby.

— Ta ława wygląda na wygodną, chętnie dałabym odpocząć moim starym kościom, które są w drodze od świtu.

- Naprawdę nie mogę pani wpuścić - powiedziała Cat z przestraczeniem w głosie. - Choćbym chciała. Narobiłabym sobie kłopotów. Ale w ogrodzie jest ławeczka, tam może pani spocząć, a ja postaram się przynieść coś do jedzenia, żeby mogła się pani posilić, zanim wyruszy w dalszą drogę.

Tamta wciąż jej się przyglądała.

- Kłopoty i tak nadejdą, czy mnie wpuścisz czy nie.

Car się cofnęła.

- Jakie kłopoty?

- Dasz mi jakiej stawy, to ci powiem - odparła Cyganka, poruszając nozdrzami jak myśliwski pies i stawiając stopę za próg.

- O, nie. Niech pani lepiej pójdzie za mną - powiedziała szybko Cat, zanim sytuacja mogłaby się wymknąć spod kontroli. Wyszła na zewnątrz, zostawiając niedomknięte drzwi i odciągnęła kobietę w stronę ogrodu, z dala od kuchennych okien. Cyganka usiadła na ławce pod jabłonią i z westchnieniem ulgi zdjęła wysokie skórzane buty.

- Zdradliwe jak wąż w raju - mruknęła, patrząc się na nie wściekle i rozcierając stopy wielką szponiastą dłonią. - Dałam za nie majątek w Exeter, a już w Plymouth umierałam z bólu... - Przerwała i wyprostowała się. - W Penzance chyba przyjdzie mi kupić nowe.

Gdy Cat nie zareagowała, kobieta wywróciła oczami.

- Zrób dobry uczynek, gołąbeczko, i daj starej kobiecie parę szylingów, a przepowie ci przyszłość.

Cat wstrzymała oddech.

- To pani jest wróżką? Taką, co z dłoni dziewczyny potrafi całe życie wyczytać?

- Duchy obdarzyły mnie tą mocą - odparła skromnie kobieta. - Choć działa ona lepiej w obecności srebra.

- Nie mam pieniędzy, ale jeśli jest pani głodna, mogę przynieść coś do jedzenia. W kuchni jest świeżo upieczony chleb.

- Przecież nie założę bochenków na moje stare, zmęczone nogi - zachnęła się kobieta.

Cat ogromnie zależało, aby się dowiedzieć, co ją czeka w przyszłości. Niestety ostatniego pensa wysłała matce, a następną zapłatę otrzyma dopiero w poniedziałek.

- To bardzo smaczny chleb - przekonywała. - A w garnku warzy się pudding.

Na wzmiankę o puddingu Cyganka rozpromieniła się. Jej usta rozszerzyły się w uśmiechu, ukazując osobliwą kolekcję zębów.

- A, to co innego. Ten jest wart każdych pieniędzy. Ale pamiętaj, jeśli dobre duchy mają nad tobą czuwać w życiu, to musi być mocno zaprawiony trunkiem.

Cat pobiegła z powrotem do kuchni, zachodząc w głowę, jak zdoła wynieść niepostrzeżenie miskę puddingu.

- Kto to był? - zawołała Lady Harris, usłyszawszy skrzyknięcie drzwi.

- Jakaś głodna stara kobieta - odparła Cat, nie patrząc jej w oczy.

Kucharka cmoknęła z dezaprobatą.

- Znowu te przybłędy, co tylko patrzą, jak tu okraść spiżarnię!

Cat uniosła głowę.

- To tylko biedna, przygarbiona staruszka, która podróżuje na najbardziej wychudzonym mule, jakiego widziałam. Posadziłam ją w cieniu na ławce w sadzie.

Lady Harris podeszła do okna.

- Dobry Boże, to zwierzę pożre mi całą lawendę! Kate, idź mi zaraz do młodego Willa, niech mu nasypie trochę jęczmienia. Cat, możesz zanieść tej kobiecie bochenek chleba z wczorajszego wypieku. I nabierz jej wody ze studni. Trudno, to jej musi wystarczyć. I tak powinna być wdzięczna.

Cat sięgnęła po karafkę, lecz Margaret złapała ją za rękę.

- Pomyślże, dziecko: ci ludzie krążą po świecie i roznoszą rozmaite choroby. Nie chcemy tu żadnej zarazy. Ona na pewno ma ze sobą własne naczynie.

Nagle, jakby ze strachu, że jej służąca już się zdążyła zarazić przez kontakt z tamtą kobietą. Lady Harris pośpiesznie wybiegła z kuchni.

Cat porwała jeden z dwunastu świeżutkich okrągłych bochenków chleba stygnących na stojaku, po czym nie bacząc na ryzyko, zdjęła z półki starą cynową miskę i zanurzyła ją w garnku z puddingiem. Garniec z rumem stał na podłodze; dźwignęła go i nalała solidną porcję do puddingu, przy okazji ochlapując sobie buty.

- A niech to!

Teraz będzie musiała je umyć w studni, inaczej cały dzień będzie chodziła, cuchnąc alkoholem. To na pewno by nie poprawiło jej i tak nadwerżonej reputacji. Z chlebem pod pachą i miską w ręce wymknęła się do sadu.

Dłonie Cyganki zacisnęły się na misce niczym szpony sokoła na zdobyczy. Przez chwilę kobiety stały naprzeciw siebie połączone tylko tym cynowym naczyniem. Cat czuła rozchodzące się po ciele dziwne wibracje. Wreszcie Cyganka gwałtownie przerwała to połączenie, nachyliła się nad miską i zaczęła łapczywie jeść, aż pokazało się dno.

- Za mało rumu - zawyrokowała w końcu. Wytarła usta i oddała Catherine pustą miskę. Chleb schowała w jakiejś ukrytej kieszeni w obszernych spodniach.

Cat zacisnęła usta w gniewie. Spodziewała się choć paru słów podziękii za fatygę. Wystawiła dłoń z nadzieją, że może chociaż duchy okażą się bardziej przychylne, lecz Cyganka ją odtrąciła. Cat odniosła wrażenie, że nie chce jej dotykać.

- Obiecała mi pani powróżyć! - powiedziała z wyrzutem. - Dlatego przyniosłam chleb i pudding, narażając się na gniew mojej pani.

- To nie jej gniewu powinnaś się lękać, moje dziecko - odparła tamta i mrugnęła chytrze okiem. - Powróżę ci z kamieni, ale nie wiń mnie, jeśli nie spodoba ci się to, co usłyszysz. - Mówiąc to, zanurzyła rękę w innej przepastnej kieszeni i wyjęła skórzany worek, w którym coś grzechotało. - Dotknij tego, kochanieńka, a potem pomyśl o wszystkich rzeczach, które zaprzatają ci teraz głowę. - Cat wykonała polecenie i pomyślała o Robercie oraz strachu przed nudną egzystencją w Kenegie, o antepedium i marzeniach o ucieczce. Kamienie były zimne i okrągłe, całkiem jak te ze strumyka, tyle że z jednej strony miały wyłobienia.

- Teraz musisz wyciągnąć kolejno cztery i położyć je na ziemi.

Car delikatnie pogładziła kamienie, jakby chciała je najpierw obłaskawić. Potem wyjęła jeden i odłożyła. Na powierzchni miał wyryte trzy kreski tworzące coś na kształt zakrzywionej litery C.

- To twoja przeszłość - wyjaśniła Cyganka. Wpatrywała się w kamień niczym drozd obserwujący robaka. — Hm, ciekawe - rzekła tajemniczo. - W twoich żyłach, moje dziecko, płynie szalona mieszanka krwi, która prędzej czy później da o sobie znać. Bierz następny.

Cat zmarszczyła brwi. Kolejny kamień miał wyryty wzór przypominający dwa rozdzielone ogniwa łańcucha.

- Nadchodzi czas zmian, ale ich efekt zależeć będzie od twojej wytrwałości.

Cat zacisnęła zęby. Jeśli tylko miałyby jej to pomóc się stąd wydostać, to oczywiście, będzie wytrwała. Ale jeśli oni mają zamiar wydać ją za Roberta jeszcze przed końcem lata, na nic wysiłek.

- Jak długo muszę *wytrzymać*? - *dopytywała* się. - Boję się, że są rzeczy, których nie da się zmienić ani cofnąć, cokolwiek bym uczyniła.

- Ale ś ty niecierpliwa - cmoknęła Cyganka. - Wymij trzeci. - Patrzyła, jak Cat kładzie go obok dwóch pozostałych kamieni: miał na sobie wyryty zygzak. - A, błyskawica. - Skrzywiła się. - Potępienie próżności i gniew Boży.

Cat spochmurniała. Kobieta mówiła teraz jak Nell Chigwine.

- Jest pani pewna? Czy to jedyne znaczenie tego symbolu?

- Nie podważaj tego, co mówią kamienie. Chyba że chcesz usłyszeć co gorszego.

- A ja wcale tym pani kamieniom nie wierzę!

- W takim razie nic więcej nie powiem i odejdę w swoją stronę.

Cat westchnęła.

- Nie, proszę zostać. Wysłucham do końca. - Pośpiesznie wyjęła czwarty kamień i położyła na ziemi. Tym razem symbol przypominał literę R, ale bardziej kanciastą.

Cyganka wybuchła śmiechem.

- Wiedziałam! Wiedziałam! - zakrzyknęła. - Przeczucie jeszcze nie zawodzi starej Maggi. Raido, czyli podróż. Udasz się w daleką podróż, moje dziecko. Bardzo daleką. A na końcu tej podróży Ziemia połączy się z Niebem i ziszczą się wszystkie twoje marzenia.

Cat przyjrzała się jej nieufnie. Wprawdzie o tym najbardziej marzyła - wyjechać stąd jak najdalej, przy odrobinie szczęścia może nawet do Londynu - lecz zaniepokoiły ją dziwne słowa o połączeniu Ziemi z Niebem. Czyżby chodziło o to, że podróż symbolizuje drogę życiową człowieka, której kulminacją jest śmierć i wstąpienie duszy do nieba? To oczywiście pomyślna wróżba, ale przecież można ją odnieść do wszystkich dzieci Bożych. Podejrzewała, że Cyganka ma w zanadru całe mnóstwo takich gotowych historyjek, którymi karmi łatwowiernych klientów, licząc na to, że zadowolą ich mętne uogólnienia.

- Catherine Anne Tregenna! Co ty sobie wyobrazasz? Dlaczego zadajesz się z tą kobietą? - Ścieżką zbliżała się ku nim rozsierdzona Lady Harris.

Cat poczerwieniała. Cynowa misa leżała na widoku, pani na pewno ją rozpozna.

- A ty... - cały gniew Margaret skupił się teraz na starej Cygance - odejź stąd natychmiast i zabieraj te swoje szatańskie sztuczki, bo inaczej się z tobą policzę. Wywołuj duchy, a spłoniesz jak czarownica. Masz szczęście, że jestem chrześcijanką i nie popieram tak okrutnych metod karania grzeszników, ale jeśli jeszcze raz cię tu zobaczę, jak próbujesz mamieć moją służbę, zawiadamiam konstabla, a on rzuci cię ze skały wprost do oceanu, gdzie spoczywają kości twoich licznych pobratymców. Zabierz to wyliniate zwierzę i idź precz. I nie próbuj zatrzymywać się w Penzance, bo i tak się o tym dowiem!

Chwyciła Cat za rękę i w tej samej chwili odskoczyła.

- Na miłość boską, Catherine, od ciebie czuję alkoholem! Oj, doigrasz ty się, dziewczyno. Doprawdy pojąć nie mogę, jak

taki przyzwoity młodzieniec jak Robert Bolitho może chcieć kogoś takiego poślubić. Weź się lepiej za siebie, bo zaczniesz się rozglądać za innymi, a ty zostaniesz starą panną albo i gorzej.

Cyganka pobierała kamyki i schowała do woreczka. Potem wyprostowała się i spojrzała Lady Harris prosto w oczy.

- To miejsce nawiedzi wkrótce wielkie nieszczęście i cokolwiek powiem lub zrobię, tego nie powstrzyma. Ty, pani, będziesz żyła długo, ale twój mąż - dodała chrapliwie - wkrótce spocznie w grobie. A ty, moje dziecko - szepnęła do Cat - nie musisz się lękać małżeństwa.

- Jak to? — dziewczyna spojrzała na nią zdziwiona.

- Bo jako Catherine nigdy nie wyjdiesz za mąż, nie pod tym słońcem - odparła tajemniczo i odeszła, kuśtykając.

Leżąc wieczorem w swoim ciasnym łóżku, Catherine zastanawiała się nad słowami starej kobiety. Przepowiednia brzmiała zagadkowo i im dłużej ją analizowała, tym większy mętlik miała w głowie. Chwilami wydawało jej się, że już zdołała wysnuć jakąś nitkę z tej płataniny - na przykład że nie musi się bać małżeństwa, bo nie wyjdzie za mąż. Ale za chwilę tę radosną myśl przesłaniał strach, że jeśli nigdy nikogo nie poślubi, na zawsze pozostanie służącą. Gdziekolwiek trafi, będzie całe dni ciężko harować zdana na czyjąś łaskę i niełaskę. Czy to nie gorsze niż poślubienie Roberta, który choć nudny i majątku żadnego nie posiada, jest przynajmniej porządnym i pracowitym człowiekiem, który zadba o nią i zapewni dostatek na miarę swoich możliwości? Potem przypomniała sobie słowa Cyganki o nadchodzącym nieszczęściu. Czyżby ten zakątek Kornwalii miała znowu nawiedzić zaraza? Jedna już zabrała jej ojca, silnego i krzepkiego mężczyznę: jeżeli jego zdołała pokonać, zmiecie wszystko, co napotka na swej drodze. A może u tych spokojnych wybrzeży wybuchnie kolejna wojna, jak to się zdarzyło w końcu ubiegłego stulecia? Z drugiej strony Cyganka mówiła, że Cat uratuje wytrwałość, zatem ani epidemia, ani wojna na

prawo nie odbiorą jej życia. A co z obiecaną podróżą i tajemniczym zjednoczeniem Ziemi z Niebem? Ze wszystkich pytań to nurtowało ją najbardziej.

Może jednak wyjedzie do Londynu, zamieszka we wspa-
niałym domu i będzie się obracać wśród wyższych sfer? Kto wie,
jaka wtedy czekałaby ją przyszłość? Choć wspomnienie obła-
piającego ją Johna Killigrewa napełniało ją wstydem i odrazą,
incydent ten uświadomił jej, że podoba się takim mężczyznom
na tyle, iż chcą ją całować. Może Cyganka się pomyliła, mó-
wiąc, że Cat nigdy nikogo nie poślubi? Powiedziała tylko, że nie
wyjedzie za męża jako Catherine, „nie pod tym słońcem”. Może
zaświeci ono dla niej gdzieś indziej, na przykład w Londynie,
gdy hrabina Salisbury zabierze ją stąd i uczyni swą hafciarką
i pokojówką. Może też nazwie ją innym imieniem?

To jej przypomniało o antepedium: czy praca nad nim nie
polega właśnie na wytrwałości? Podbudowana tą myślą, wyjęła
płótno spod łóżka i ostrożnie je rozwinęła.

W świetle świecy ujrzała swoje dziecko: piękne, stylizowa-
ne Drzewo Poznania Dobra i Zła, gdzie pośród gałęzi śpiewa-
ły ptaki, rozmaite gatunki kwiatów kwitły w blasku chwały,
a u stóp przycupnęły małe stworzenia. Po bokach stali kobieta
i mężczyzna, pochyleni, skromnie chowający się za pień. Ewa
obejmowała dłońmi zakazany owoc symbolizujący wiedzę i po-
tępienie.

Cat bacznie przyglądała się swemu projektowi, a im dłu-
żej patrzyła, tym bardziej nabierała przekonania, że zawiera on
klucz do rozwiązania zagadki. Wodziła palcem po konturach
haftu i gładziła szorstką kanwę, jakby miała nadzieję, że do niej
przemówi.

~ Długa podróż - szepnęła do siebie. - Połączenie Ziemi
z Niebem.

I nagle doznała olśnienia. Odpowiedź leżała przed nią:
Drzewo Życia z korzeniami ukrytymi w Ziemi i konarami się-
gającymi Nieba, które łączą na nowo jednym symbolem świat

sacrum i świat profanum. Dla Cat był to wystarczający dowód. Ujrzała jasno swoje przeznaczenie.

Postanowiła, że nazajutrz po nabożeństwie całe wolne popołudnie poświęci pracy nad antepedium, które stanie się jej ocaleniem, zabierze ją w daleką podróż i zapewni nowe życie z dala od Kenegie, Roba i Kornwalii. Tak, jak sobie wymarzyła.

ROZDZIAŁ 10

Kilka dni później siedziałyśmy z Alison w ogrodzie, gdy nagle zadzwonił mój telefon. Dopiero co wróciłyśmy z Truro od notariusza, który zajmuje się testamentem Andrew. Byłyśmy wykończone i zestresowane, bo po drodze na autostradzie był wypadek, który spowodował korki, w Truro nie było gdzie zaparkować, a do tego pracownik kancelarii notarialnej zgubił ważny formularz, który wymagał podpisu Alison. Relaks na leżaku z robótką w rękę (tym razem była to prosta chusta ozdobiona w rogach pawimi piórami, które wyszywałam kombinacją łańcuszka i ściegu satynowego) wśród śpiewu skowronków i w towarzystwie lampki schłodzonego chenin blanc, okazał się cudownie krzepiący. I w to wszystko brutalnie wdarł się przeźliwy dzwonek komórki. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, jak bardzo zepsuje mi to dzień.

- Słucham?

Ależ ze mnie idiotka, mogłam spojrzeć na wyświetlacz. Głos Michaela nieprzyjemnie mnie zaskoczył.

- A więc jednak żyjesz. - Wydawał się być odrobinę zadowolony. - Kilka razy zostawiałem ci wiadomość, ale nie odzwoniłaś - dodał z wyrzutem.

Milczałam.

- Gdzie jesteś?

- W Kornwalii, u kuzynki, ale to chyba nic twój zasrany interes.

Po drugiej stronie zapadła cisza, słyhać było tylko jego oddech. Przebojowa, pewna siebie, żeby nie powiedzieć arogancka

Julia, to było dla niego zaskoczenie. Nie taką mnie znał. Potem zaczął się śmiać. Trochę nerwowo, jak mi się zdawało.

- Niesamowite, bo ja też. To znaczy, jestem w Kornwalii. Alison sięgnęła przez stół i wyrwała mi telefon.

- Cześć, Michael. Tak, jest u mnie. Trevarth Farm, tuż za Gulval, na północ od Penzance. - Słuchała przez chwilę, po czym dodała: - Jeśli masz dokładną mapę, to powinno być wyraźnie zaznaczone. W razie problemów spytaj kogokolwiek po drodze albo zadzwoń do Julii, jak będziesz dojeżdżał, to cię naprowadzi. Do zobaczenia za jakieś czterdzieści minut. Na podwieczorek będzie sałatka z krabów, mam nadzieję, że nie jesteś uczulony. - Nacisnęła klawisz kończący połączenie i oddała mi telefon.

Spiorunowałam ją wzrokiem.

- Co to, do cholery, miało być?

- Uważam, że powinniście się rozstać w sposób cywilizowany, przez wzgląd na Annę. Podajcie sobie ręce i zacznijcie się traktować normalnie. W końcu nie możecie się unikać do końca życia. A okazja jest dobra, bo ja mogę odegrać rolę rozjemcy.

- Łatwo ci mówić, ale ja jeszcze nic czuję się gotowa na ponowne spotkanie z nim. Idę pod prysznic - mruknęłam i dźwignęłam się z leżaka.

- Włóż tę czerwoną sukienkę! - zawołała za mną Alison. - Świetnie w niej wyglądasz.

Gdy czterdzieści minut później wróciłam czyściutka i odświeżona, z włosami związanymi do tyłu, w makijażu i czerwonej sukience (którą włożyłam tylko dlatego, że jako jedyna nie wymagała prania ani prasowania), odkryłam z zaskoczeniem, że Michael jakimś cudem już zdążył przyjechać. Siedział tyłem do mnie, rozparty na starym krześle ogrodowym, wychylając kieliszek wina i zaśmiewając się z czegoś, co przed chwilą powiedziała Alison. Zachowywał się irytująco swobodnie, jakby był u siebie.

- Gdzie masz auto? - rzuciłam oschle. - Nie widziałam go na podjeździe.

Na dźwięk mego głosu natychmiast się odwrócił.

- Ja też się cieszę, że cię widzę - odparł, usiłując się podnieść. Modliłam się o rumowisko połamanych desek i kości, lecz zdołał się wyswobodzić z krzesła, nie robiąc sobie krzywdy. Miał na sobie kremową lnianą koszulę i szarobeżowe spodnie - jak zwykle wyglądał elegancko. Przyjrzał mi się z góry na dół z błyskiem podziwu w oku.

- Wziąłem taksówkę. Stwierdziłem, że najrozsądniej będzie zdać się na kogoś miejscowego. Od razu wiedział, gdzie jechać.

Niedoczekanie, jeśli myślisz, że tak łatwo dam ci się oczarować - pomyślałam. Ani nawet pocałować w policzek. Oparłam ręce na biodrach ogarnięta nagłą złością, że on wciąż tak na mnie działa.

- Skąd się tu w ogóle wzięłeś? To znaczy, w Kornwalii.

Uniósł brew i spojrzał na Alison.

- J u ż wiem, co miałeś na myśli.

Przysunęłam sobie krzesło i usiadłam, spoglądając na niego spode łba.

- Mam tu coś do załatwienia. Anna chce sprzedać jakąś nieruchomość. Przy okazji: przesyła pozdrowienia.

Na dźwięk jej imienia przeszył mnie chłód. Anna ma jakieś związki z Kornwalią? Dostałam gęziej skórki na ramionach. Zmierzyłam Michaela przeciągłym spojrzeniem spod półprzykniętych powiek, takim jakim koty obdarzają tych, którymi najbardziej gardzą.

- Uwalniasz kapitał, żeby starczyło na drugi miesiąc miodowy? - zadrwiłam, ale on to przemilczał i odwrócił głowę. — A gdzie jest ta nieruchomość?

- W Mousehole. To tylko mały wiejski domek, właściwie ruina. Anna od lat go wynajmowała, ale lokator właśnie zmarł. Dostała ten dom w spadku na dwudzieste pierwsze urodziny,

ale dopiero teraz mi o tym powiedziała. Ona często lubi być taka tajemnicza.

- To gdzie się zatrzymałeś? - spytała Alison, unosząc brwi.

- W małym hoteliku tam na miejscu. Trochę drogi, ale co będę żałował rodakom z Kornwalii uczciwie zarobionego grosza. Nieuczciwie też.

Spojrzałam na ocean, który rozciągał się za doliną. Przez gęsto ulistnione drzewa można było dostrzec ledwie widoczną wieżę kościoła na nabrzeżu Penzance, a za nią połyskujący pas wody. Wioska rybacka Mousehole leży kilka mil stąd, jest schowana za cyplem, który widać po zachodniej stronie zatoeki. Pamiętałam z zapisków Cat, że to tam znaleziono dryfujący wrak łodzi rybackiej „Constance” z wbitym w pokład „tureckim sztyletem”. Po załodze nie było ani śladu.

- Chętnie obejrzałabym ten domek - zapaliła się Alison.
- Niektóre takie stare, przytulne miejsca mają swój charakter, zwłaszcza jeśli przez jakiś czas stały opuszczone. Mogłabym wam doradzić, jak go wyremontować, żeby dostać za niego dobrą cenę.

Próbowałam ją zmusić wzrokiem, żeby przestała. Wiem, potrzebowała tego, chciała czymś się zająć, żeby nie myśleć o Andrew, ale ja podchodziłam do tego egoistycznie: dla mnie ważne było tylko to, że każdy dodatkowy funt zarobiony na sprzedaży domku to wkład w nowe wspólne życie Michaela i Anne. Jeżeli w ogóle o nich myślałam (a bardzo się starałam tego nie robić), to wyobrażałam ich sobie biednych i sfrustrowanych, a nie bogatych i szczęśliwych.

Ale Michael niesłuchanie się ożywił. Nachylił się przez stół do Alison i poklepał ją po ramieniu, obdarzając tym swoim promiennym uśmiechem, który jak sądziłam, miał zarezerwowany dla mnie.

- Świetnie. Wpadnij jutro. Nie powiem, żebym zamierzał jakoś specjalnie inwestować w ten dom, chciałbym go tylko do-

prowadzić do porządku i jak najszybciej wystawić na sprzedaż, ale z chęcią wysłucham twojej opinii. Julia może potwierdzić, że jeśli chodzi o urządzenie wnętrz, jestem do niczego. Moje mieszkanie na Soho od lat powoli zamienia się w ruinę, ale nie sądzę, żebyś uznała je za przytulne!

Tego już nie mogłam wytrzymać. Szurnęłam krzesłem i uciekłam do domu, czując na plecach wzrok dwóch par oczu.

Pobiegłam na górę i opadłam na łóżko. Puściły mi nerwy i całe opanowanie diabli wzięli. Łzy, które powstrzymywałam od dziesięciu dni, polały się rzęsicie. Szlochałam tak głośno, że nie słyszałam kroków na schodach ani odgłosu otwieranych drzwi, więc gdy materac ugiął się nagle pod czymś ciężarem, o mało nie dostałam zawału.

To był Michael. Wystraszony i zarazem zakłopotany. Wyjął z kieszeni wielką pomiętą chusteczkę i wytarł mi twarz, przy okazji paskudnie rozmazując smarki po policzkach. Z wściekłości odepchnęłam jego rękę i wybiegłam do łazienki, zamykając za sobą drzwi. Tam obmyłam twarz wodą i spojrzałam w lustro. Dienne światło jest bezlitosne: nie rozumiem, czemu ludzie projektują swoje domy tak, żeby go jak najwięcej wpadało do środka. O ile nie masz jędrnej, nieskazitelnej cery dwudziestolatki, ono wydobędzie wszystkie zmarszczki, przebarwienia i wory pod oczami. Poczujesz się jak zmęczona życiem stara baba, choćbyś wcześniej złuszczyła każdy atom martwego naskórka, nawilżyła skórę kremem, którego uncja kosztuje więcej niż czysta żywica olibanowa i starannie się umalowała najdroższym podkładem świata. Wszystkie te czynności wykonałam niecałą godzinę temu, a wyglądałam jak ofiara huraganu.

Z premedytacją wytarłam twarz do czysta i poszłam się pokazać facetowi, który mnie rzucił. Niech zobaczy, co zrobił, ile szkód wyrządził.

Kiedy jednak wyszłam z łazienki, Michael siedział odwrócony tyłem, lekko zgarbiony. Dobrze znam zarys jego sylwet-

ki, więc nawet z daleka mogłam stwierdzić, że jest czymś poruszony.

- Dlaczego tu przyjechałeś? - spytałam cicho i *ucieszyłam* się, że głos mi nie zadrżał.

Spłoszył się, wstał i odwrócił się do mnie. W rękę trzymał książkę, prezent, który dał mi na pożegnanie.

Podeszłam, zabrałam mu ją i przycisnęłam do piersi.

- Alison właśnie mi o niej opowiadała - powiedział i z udawaną nonszalancją z powrotem usiadł na łóżku. - Fascynująca historia.

- Owszem. - Jeszcze mocniej ją przycisnęłam.

- Chciałbym się jej dokładniej przyjrzeć. - Wyciągnął rękę i przez moment wiedziona jakimś zdradzieckim instynktem uwierzyłam, że chce dotknąć mnie.

- Nie wątpię.

Uniósł brwi.

- Julio, nie bądź na mnie zła.

- Wydaje mi się, że mam ku temu wszelkie powody.

- Nie chciałem cię skrzywdzić, naprawdę.

- To po co tu przyjechałeś i rozdrapujesz rany? Że niby sprzedajesz jakiś cholerny domek Anny, tak? Masz tupet, sądząc, że możesz się tak po prostu zjawiać bez uprzedzenia. Przejechałam trzysta mil, żeby od ciebie uciec, a ty nagle stajesz przede mną i czytasz książkę, którą sam mi wręczyłeś na odczepnego!

Straciłam panowanie nad sobą i zaczęłam na niego krzyczeć. Pobladł. Nigdy nie radził sobie dobrze z silnymi emocjami u innych.

- Proszę cię, uspokój się. Chciałem się dowiedzieć, czy masz się dobrze, więc kilka dni temu zadzwoniłem na komórkę, ale odebrała Alison. Powiedziała, że się o ciebie martwi, więc zaproponowałem Annie, że przyjadę i sam się zajmę sprawą tego domu, dzięki czemu będę mógł się zobaczyć z tobą.

Patrzyłam na niego z wściekłością i coś sobie przypomniałam. Kilka dni temu byliśmy z Alison na kąpielisku w Penzance.

To bardzo ładny stary obiekt w stylu art déco. Można pływać godzinami po otwartej przestrzeni wypełnionej morską wodą, gapić się na lazurowe niebo i kościół Św. Marii i udawać, że się jest na Riwierze Francuskiej. Pamiętam, że w którymś momencie, płynąc sobie leniwie żabką na głębokiej wodzie, widziałam Alison rozmawiającą przez telefon, ale wtedy do mnie nie dotarło, że to moja komórka.

- Cóż za wielkoduszność.

- Nie do końca. - Wzruszył ramionami. — Tak naprawdę, to... z pewnych powodów będziemy potrzebowali teraz dodatkowej gotówki.

Musiałam powstrzymać złośliwy uśmiech, który cisnął mi się na usta. A więc nie takie znów usłane różami to życie. Cóż, przynajmniej jakaś pociecha.

- Wiesz co, nie uwierzysz, ale ta książka - wskazał na nią palcem - pochodzi z wyprzedazy strychu jakiegoś starego domu w tej okolicy. Musiała tam leżeć od co najmniej czterystu lat.

- Tak, jest z tysiąc sześćset dwudziestego piątego roku. - Zmrużyłam oczy. Najwyraźniej nie miał pojęcia, że ja wiem, iż pochodzi dokładnie z tego domu, w którym się właśnie znajdujemy. Mogłam mu to odpuścić, ale właściwie dlaczego. - Alison mówiła, że to ona i Andrew wysłali ci ją razem z pudłem innych, żebyś je dla nich sprzedał.

Poczerwieniał na twarzy.

- No tak. Cóż, myślałem, że ci się spodoba, bo jest o haftowaniu i w ogóle. Trzymałem ją dla ciebie przez jakiś czas, a potem zapomniałem o całej sprawie, aż do... no, wiesz. W zasadzie więc dałem ci ją przez pomyłkę. Dlatego myślę, że byłoby fair, gdybyś po przeczytaniu oddała mi ją, żebym mógł ją sprzedać dla Alison. Pogrzeby w dzisiejszych czasach dużo kosztują, a Andrew, z tego co wiem, ostatnio cienko prządl.

Co za szuja. Oczywiście, że by ją sprzedał, gdyby tylko dorwał ją w swoje ręce, tylko założę się, że zysk nigdy nie trafiłby do kieszeni Alison.

- Kiedy skończę, to się zastanowię - skłamałam i obserwowałam, jak twarz mu łagodnieje.

- Chodź do mnie, staruszko - rozłożył ręce.

Jak bezmyślny robot ruszyłam w jego stronę i już po chwili opierałam mu głowę na ramieniu. Czułam zapach wyprasowanej koszuli i nutkę jego ulubionej wody kolońskiej. Objął dłońią moją głowę. Czułam, jak przyspiesza mu tętno. Książka niefortunnie wsunęła mi się między piersi i uwierała. Nagle, uświadomiwszy sobie własną słabość i głupotę, gwałtownie odskoczyłam. Policzki mi płonęły.

- Wyjdź stąd - powiedziałam. - Nie rób mi tego.

Potarł dłońmi twarz. Przypomniało mi się, ile to razy leżałam nad nim oparta na łokciach i opuszkami palców rozmazywałam mu bruzdy na czole.

- Wcale nie jest mi łatwo o tobie zapomnieć, Julio, cokolwiek sobie myślisz. Te ostatnie tygodnie były dla mnie bardzo ciężkie.

- Świetnie. Idź już.

Tego wieczoru zostałam u siebie i zanurzyłam się w lekturze dziennika Catherine. Minęła północ, wzeszedł księżyc, gwiazdy przesuwały się po niebie, lecz ja ich nie widziałam. O drugiej nad ranem w lesie zahuczała sowa, a ja wciąż czytałam. Nagle okazało się bowiem, że zapiski na marginesach nie są tylko zwyczajnym pamiętnikiem młodej służącej, lecz świadectwem dramatycznych wydarzeń historycznych.

ROZDZIAŁ 11

Catherine

Niedziela, 20 lipca

***P**isząc to, nie wiem, gdzie się znajduję. Jest ciemno i bardzo się boję. Żyjemy tu w strachu o swoje życie, ba, nawet i duszę. To już pięć dni, odkąd nas zabrali. Pięć koszmarnych dni i nocy. Widziałam rzeczy, których nie powinny oglądać oczy żadnej kobiety, przeżyłam upokorzenie i grozę, jakich nie powinien zaznać żaden chrześcijanin. Czym to się skończy, jeśli nie męczeństwem i śmiercią - nie wiem. Wokół tylko brud, smród, rozpacz i trwoga. A może już dawno umarliśmy i trafiliśmy do czyśćca? Nie, nawet Piekło nie może być gorsze od okrutnego losu, który nas spotkał. Niech Pan nasz zmiłuje się nade mną i moimi współtowarzyszami i wybawi nas z tej strasznej niedoli. Boję się jednak, że On się od nas odwrócił i nie słyszy naszego wołania...*

- Cac... Catherine!

Odwróciła się raptownie i ujrzała Roberta, który z nieśmiałą miną stał w korytarzu odświętnie ubrany i patrzył na nią błagalnym wzrokiem. Przez ostatnie dwa tygodnie, odkąd państwo Harris wyjawili swoje plany co do jej przyszłości, prawie wcale z nim nie rozmawiała.

- Czego chcesz?

- Przyszedłem cię zabrać do miasta. Podobno wybieracie się z Matty do kościoła w Penzance, żeby posłuchać tego nowe-

go kaznodziei, więc pomyślałem, że mógłbym pojechać z wami. Poza tym nad zatoką zalega gęsta mgła, pewnie nie chciałybyś przemoknąć...

Cat uniosła brodę.

- Dziękuję, ale przejdziemy się pieszo. To tylko dwie mile.
- Z żalem spojrzała na swe najlepsze pończochy, te z haftem na kostkach. Wyszyła go własnoręcznie, wyjątkowo jej się udał. Myśl, że mogą się zmoczyć lub co gorsza, ubrudzić błotem, była frustrująca, ale z dwojga złego wolała to niż jechać z Robertem.

W tym momencie nadeszła Matty. Na widok Roberta Bolitho twarz jej pojaśniała, a usta rozpułnęły się w szerokim uśmiechu.

- Zobaczyłam powóz przed domem. Jedziesz z nami do miasta, Rob? Na dworze solidnie mży, ledwie widać Mount. Nie uśmiechało mi się iść pieszo, choć widzę, że Nell i William już wyruszyli.

Cat westchnęła. Teraz już nie uda jej się wymigać.

- Nell Chigwine wybiera się do kaplicy Najświętszej Marii Panny? Czemu nie jedzie do Gulval z resztą służby? A tak liczyłam, że choć raz będzie mi łatwiej przetrwać spotkanie z matką i wujem Nedom. Że przynajmniej nie będę musiała znosić jej pogardliwych spojrzeń i drwiących uśmiezków, ilekroć pastor wspomni w kazaniu o grzechu Ewy.

Matty uśmiechnęła się do niej.

- Przyda się jakaś odmiana, Cat. Poza tym, gdybym musiała dziś wysłuchać kolejnego długiego kazania pana Veale'a, chyba bym zemdlała. Całą noc nie zmrużyłam oka przez te głupie mewy na dachu. Darły się i darły. Pastor mówi, że pan Bóg stworzył wszystko na ziemi w jakimś celu, ale wytłumaczcie mi, jaki jest pożytek z mew. Wczoraj mało sobie rąk nie zdarłam do krwi, jak zeszkrobywałam ich łajno z dziedzińca. Wstrętne ptaszyska.

Cat nachyliła się do niej i głośnym szeptem powiedziała:

- Podobno przemawiają one głosem zmarłych, którzy jeszcze nie przeszli na tamtą stronę.

Matty aż się wzdrygnęła.

- Ale one są zaraz nad moją głową! - zaczęła lamentować.
- Słyszę, jak tupią po dachu! - Łzy stanęły jej w oczach.

Rob posłał Cat wściekłe spojrzenie i otoczył ramieniem wystraszone dziewczę.

- Chodźmy do powozu, Matty. Jak wrócimy, zobaczą, co da się zrobić z tymi mewami, dobrze?

Matty uniosła ku niemu oczy.

- Dobry z ciebie człowiek, Robercie Bolitho. Cat nawet nie wie, jakie ma szczęście.

Mgła wciąż była gęsta, gdy wyjeżdżali z posesji na drogę wijącą się stromo w dół w kierunku wybrzeża. Zasnuwała całą okolicę, więząc nagrzane powietrze unoszące się od ziemi, więc było duszno i oddychało się z trudem. Takie mgły nie są niczym dziwnym podczas kornwalijskiego lata, ta też z pewnością opadnie, jak tylko słońce wyżej wszędzie, lecz mimo to dla Catherine droga do miasta w tych warunkach była potwornie męcząca. Miała wrażenie, że osaczają ją przydrożne szpalery drzew i krzewów: wiechy szczawiu w kolorze zaschłej krwi i długie łodygi naparstnicy pozbawione o tej porze kwiatów, jakby zerwała je naraz czyjaś złośliwa ręka. Spojrzała ukradkiem na Roba, na jego mocny profil i niesforne kosmyki płowych włosów wystające spod kapelusza. Czy będzie w stanie do końca życia budzić się co rano obok tego mężczyzny, słysząc krowy ryczące za ścianą i krzyk mew nad głową, skazana na wciąż te same widoki z okna? Aż ją ścisnęło w środku. Zanim Sir Arthur wymusił na niej zaręczyny, żywiła wobec kuzyna bardzo ciepłe uczucia, lecz teraz ledwie mogła znieść przebywanie obok niego w powozie i wzrok ludzi widzących w nich parę. Słowa nadziei, które padły z ust Cyganki, okazały się nieprawdziwe: za miesiąc Cat zostanie żoną Roberta, ponieważ ogłoszono już zapowiedzi, a Lady Harris zamówiła u najlepszego sukiennika w mieście (przypadkiem wuja Catherine, Edwarda Coode,

więc nie ma wątpliwości, że zawarła korzystną umowę) tuzin jardów muślinu tak białego jak mgła, która tego dnia spowijała krajobraz. Cat dotąd nie miała serca się za niego zabrać. Szybie własnej sukni ślubnej w sytuacji, gdy każde spojrzenie na materiał wzbudzać będzie żal, że to nie całun, z pewnością nie nasyci jej dobrą energią, tak potrzebną, by szczęśliwie przeżyć długie lata w małżeństwie. A najgorsze, że jedyna droga ucieczki, w postaci wizyty hrabiny Salisbury, została zamknięta. Cat od dwóch tygodni pracowicie haftowała antepedium, a tu w zeszyły czwartek posłaniec przyniósł list od Catherine Howard, w którym pisze ona, iż lato zamierza spędzić w rodzinnej posiadłości w Marlborough, ale ma nadzieję towarzyszyć mężowi jesienią, kiedy przybędzie tutaj ocenić stan uzbrojenia zamku. Wieczorem Cat złożyła płótno i schowała je głęboko pod łóżkiem. Od tamtej pory go nie tknęła.

Gdy powóz sunął wzdłuż nabrzeża, wpatrywała się w zasnu-te chmurami wody zatoki. St. Michael's Mount jawiła się w od-dali jako ogromny czarny cień. Trwał przypływ, lecz na morzu nic się nie działo. W ten świąteczny dzień łodzie stały przycu-mowane do brzegu, nawet mewy wtuliły głowy pod skrzydła. Cat zauważyła na rękawie snującą się nitkę. Normalnie by do tego nie dopuściła, zaraz zacerowałaby ubytek tak starannie, że nikt by nie poznał, ale teraz, szczerze mówiąc, nie umiała znaleźć w sobie ani siły, ani ochoty, by coś z tym zrobić. Mając swój Jos wyłożony na tacy i nie widząc szans na jego odmianę, czuła się jak ten zamek na wyspie: szara i nijaka. Puste i martwe miejsce uwięzione na niespokojnym morzu.

Jechali wzdłuż nabrzeża portowego, mijając składy, cha-ty rybackie i studnię św. Antoniego, aż skręcili w stromą Quay Street, wiodącą do kaplicy Najświętszej Marii Panny zbudowanej na szczycie wzgórza wcinającego się w morze. Po drodze spotkali zdążające w tamtą stronę tłumy ludzi. Niechybnie wszyscy szli posłuchać nowego kaznodziei. Cat słyszała, że to purytanin, któ-ry przyjechał aż z Liskeard. To jeszcze bardziej ją przygnębiło: jej

wuj stał się neofitą i jako głowa rodziny stanowczo domagał się, by wszyscy poszli w jego ślady. Wielu idących do kaplicy było ubranych bardzo skromnie, ale nie wszyscy, jak przypuszczała Cat, z powodu biedy. W tłumie rozpoznała na przykład starego i grubego radcę miejskiego Polglaze'a oraz jego równie grubą żonę Elizabeth, którzy dysząc i sapiąc pięli się pod górę odziani od stóp do głów w czerń, nie licząc białych koronkowych kołnierzyków i mankietów. Co za ironia - pomyślała - gdyby im dodać krezy, jeszcze kilkadziesiąt lat temu wyglądaliby jak ci hiszpańscy katolicy, którymi teraz tak gardzą. Minęli konstabla Jima Carew i starego Thomasa Ellysa z żoną Alice, szkutnika Andrew Pengelly'ego i jego syna Ephraima, Thomasa Samuela i jego siostrę Annę, rodzinę Hoskensów z Market- Jew i starego Henry'ego Johnsa, właściciela dużego domu niedaleko Lescudjack. Zanosiło się na to, że kaznodzieja będzie miał całkiem spore auditorium. Wtem ktoś do nich zawołał. Cat odwróciła się i po drugiej stronie ulicy zobaczyła Jacka Kellyncha, który szczerzył zęby w uśmiechu.

- Witajcie! Robercie, z przyszłą żoną u boku wyglądasz jak prawdziwy szlachcic na przejażdżce. Ale cóż to, biedna Matty siedzi z tyłu zupełnie sama? - To rzekłszy, przebiegł przez ulicę, uchwycił się powozu, odbił od ziemi i wskoczył na siedzenie tuż obok zarumienionej gosposi.

Cat uprzejmie się odwróciła, by mu się ukłonić, choć w środku wrzała ze złości na to, co powiedział.

- Jestem zdziwiona, panie Kellynch, że wybiera się pan posłuchać pastora Trurana. Znając pańskie maniery i nie zawsze przywoite obyczaje, śmiem sądzić, że bardziej pasowałby panu konfesjonał niż kazania tego starego gaduły.

Jack wybuchnął śmiechem.

- Proszę uważać, żeby mój ojciec tego nie usłyszał, bo przełoży panienkę przez kolano i nauczy bać się Boga. On uwielbia tego pastora, nawet mama nie potrafi mu przemówić do rozsądku. O, właśnie nadchodzą. Pomachaj im, Matty, jak prawdziwa królowa!

U szczytu Quay Street szli Isacke Kellynch wraz ze swa, drobną, ciemnowłosą żoną Marią, młodszym synem Jordiem oraz córką Henrietta, którą wszyscy nazywali Kurczaczkiem. Czerwona jak burak Matty nieśmiało podniosła rękę. Isacke Kellynch przez chwilę gapił się bezmyślnie na przejeżdżający powóz, po czym nagle wybałuszył oczy.

- Złaż mi natychmiast z tego wozu! - zagrzmiął do syna.
- Dał ci Pan Bóg dwie nogi, to ich używaj!

Ale Jack tylko odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się.

Kiedy dotarli na miejsce, Robert zatrzymał konie, zeskończył na ziemię i pomógł wsiąść Catherine. Trzymając ją pod rękę, poczekał, aż Jack i Matty znikną w tłumie. Cat ze złością mu się wyrwała.

- No ładnie, Matty poszła beze mnie i zaraz zaczną się docinki na temat jej i Jacka, a wiesz przecież, jaką ona ma do niego słabość, a dla niego to tylko zabawa, nie traktuje tego poważnie, złamie dziewczynie serce i tyle. - Powiedziała to wszystko jednym tchem.

Rob dziwnie na nią spojrział.

- Mało znasz Jacka, prawda?

- Wiem, że to pirat i rozbójnik, do tego wyjątkowy podrywacz, który ma dziewczynę w każdym porcie. - I stanowczo zbyt przystojny dla takiej głupiej gęsi jak Matty, dokończyła w myślach.

- Mylisz się - rzekł Rob, kręcąc głową. - Zawsze jesteś taka nieugięta w swoich sądach, Catherine, że czasami nie dostrzegasz tego, co jest tuż obok.

- Nie dość, że przyjechałam słuchać nudnych kazań starego pastora, to jeszcze muszę wysłuchiwać twoich?

- Jeśli mnie tu nie chcesz, pójdę sobie, ale zapamiętaj moje słowa: Jack jeszcze przed końcem roku ożeni się z Matty. Zobaczysz. - Pogrzebał w kieszeni i wyjął z niej mały pakunek owinięty niebieskim jedwabiem. - Proszę. Chciałbym ci to ofiarować. Możesz otworzyć później, w obecności rodziny lub sama, jeśli wolisz.

Wzięła go do ręki. W środku był jakiś mały twardy przedmiot.

- Co to jest?

- Dowód naszych zaręczyn. Należał do mojej matki - wyjaśnił krótko. - Polubiłaby cię, mimo że tobie ani trochę na mnie nie zależy. - Mówił to przez zaciśnięte zęby. Dużo go kosztowało wypowiedzenie na głos tego, z czego od dawna zdawał sobie sprawę, lecz jeśli niedziela nie jest najlepszym dniem, by wyrazić uczucia, to doprawdy nie wiedział, kiedy mógłby to zrobić. Tak rzadko bywali sam na sam, zwłaszcza teraz, gdy Cat zaczęła go unikać.

Spojrzała na niego z lękiem.

- Tu nie chodzi tylko o ciebie, Robertcie. Chodzi o to miejsce, o Kenegie, o Kornwalię, o całe to życie. Nie tak je sobie wyobrażałam, nie o tym marzyłam. - Opuszkami palców nadal badała pakunek i wyczuła, że przedmiot w środku jest wydrążony. Pierścionek. Zaręczynowy. Weisnęła go Robertowi z powrotem. - Nie dawaj mi go teraz, Rob. Zaczekaj na lepszy moment, kiedy nie będziemy wymieniać przykrych słów.

Spojrzał na nią tak przeszywającym wzrokiem, że była pewna, iż zajrzał prosto w jej duszę. W końcu kiwnął głową. Po chwili milczenia, która świadczyła o toczącej się w nim silnej wewnętrznej walce, rzekł:

- Może mógłbym znaleźć pracę gdzie indziej. Nie chciałbym, abyś przeze mnie musiała rezygnować z marzeń.

A potem odwrócił się i odszedł. Cat stała w osłupieniu i nic wiedziała, co o tym myśleć.

- Catherine!

Odwróciła się i ujrzała nad sobą wuja. Edward Coode był wysokim, łysym i antypatycznym mężczyzną. Za nim stała jego dorodna żona, Mary, okaz zdrowia. Obfite piersi ledwo mieściły się w gorsecie. Ich dwaj mali synkowie biegali wzdłuż muru okalającego teren kościoła i bili się patykami, aż stara wiedźma Anne Badcock łypnęła na nich złym okiem i natychmiast przybiegli schować się pod matczyną spódnicę.

- Usiądziesz dzisiaj w ławce z nami, Catherine - oświadczył surowo wuj, tym samym przekreślając jej nadzieje, że uda jej się zaszyć w tylnym rzędzie obok Matty, gdzie będzie mogła spokojnie robić notatki w pamiętniku i uniknie wścibskiego wzroku Nell Chigwine. W małej sakiewce przytroczonej do pasa miała ze sobą książkę, ołówek i nożyk do jego ostrzenia. Zapiski stały się ostatnio zbyt osobiste, aby ryzykować, że ktoś je przypadkiem zobaczy. Wiedziała, że ani Polly, ani Nell nie umieją czytać, ale gdyby go znalazły, zaraz pobiegłyby pokazać Lady Harris - jedną w dobrej wierze, myśląc, że to zguba, druga z czystej złośliwości. Gdy sobie wyobraziła, że pani lub ktokolwiek inny czyta jej prywatne przemyślenia, aż ją brzuch rozboleł.

- Witaj, córko.

Jane Tregenna nie podporządkowała się wymogowi skromnego ubioru narzuconemu przez jej purytańskiego brata. Miała na sobie szafirową suknię haftowaną z przodu i na mankietach srebrem, a do tego kołnierzyk z misternej koronki.

- Na Boga, zdejmij ten okropny czepek! - I zanim Cat zdążyła rozwiązać troczki, zerwała jej go z głowy. - Włosy są ukoronowaniem kobiecej urody. Nie ukrywaj ich. Och, i ta okropna, wyświechtana suknia - powiedziała pod krytycznym spojrzeniem brata. Wsunęła rękę pod ramię córki i poprowadziła ją w stronę ołtarza. - Wiesz, Catherine, nie do końca podoba mi się ta cała sprawa z panem Bolitho, ale to Ned miał ostatnie słowo. Lady Harris zapewnia mnie, że Robertowi nie będzie się źle powiodło w Kenegie, a po odejściu Parsonsa przejmie rolę zarządcy majątku, co chyba nie jest taką najgorszą posadą. — Cmoknęła i zrobiła grymas, który pogłębił jeszcze bruzdy wokół jej wąskich ust. - Ale muszę wyznać, że jestem nieco zawiedziona: liczyłam, że uda ci się usidlić któregoś z młodych Harrisów.

- Mówisz, jakby to były ryby. które każdy może sobie złowić.

- Podobno zręczny rybak, jeśli tylko chce, potrafi złowić nawet wieloryba.

- Nawet gdybym chciała, Margaret Harris nie dopuściłaby do tego. Obserwuje mnie jak jastrząb i trzyma swoich synów z dala ode mnie, wciąż popychając mnie w ramiona Roberta. Co się stało, to się nie odstanie; nie bardzo mam ochotę roztrząsać ten temat.

Jane ściągnęła usta.

- Nie wątpię, że twój wuj będzie miał więcej do powiedzenia przy obiedzie. Jest wniebowzięty, że niedługo się ustatkujesz.

W tym momencie promienie słońca przebiły się przez mgłę i oblały złotym światłem wieżyczkę kaplicy.

- Bóg się do nas uśmiecha.

Słowa te padły z ust wysokiego podstarzałego mężczyzny, który właśnie wszedł na przykościelny plac. Miał orli nos, łysinę na czubku głowy i białą bródkę.

- „Narody będą się bały imienia Pańskiego, i wszyscy królowie ziemi Twej chwały” - ciągnął. - „Bo Pan wejrzał z wysokiego przybytku swojego, popatrzył z nieba na ziemię...”

Powiódł groźnym wzrokiem po tłumie zebranych i wszyscy zaczęli gęsiego udawać się do kaplicy. Na koniec jego oczy spoczęły na Anne Badcock, która stała po drugiej stronie muru. Jakiś dziwny wyraz przebiegł po jej twarzy pomarszczonej niczym zwiędłe jabłko. Wyglądało to tym bardziej groteskowo, że stara wiedźma miała zeza: ślepe oko patrzyło wprost na niego, a to drugie, widzące, uciekało gdzieś w dal ponad zamgloną zatokę.

- Nie wejdiesz, dobra kobieto i nie ofiarujesz Panu swego serca?

Anne Badcock uniosła twarz i rozciągnęła usta w szerбатыm uśmiechu, takim, co to śni się dzieciom po nocach.

- Nie, Bóg zapłać, pastorze. Jaka tam ze mnie dobra kobieta! Zostanę tutaj jako ta stara grzesznica i sama zbawię własną duszę.

- Tylko Bóg może cię zbawić.

- Wszystko jedno, wracam do swojej chałupy. - Przeniosła zdrowe oko na Catherine. - A ty, dziewczyno, jeśli masz odrobinę rozumu, biegnij za narzeczonym i wracaj z nim do domu. Zapamiętaj moje słowa: pożałujesz, jeśli tego nie zrobisz.

Niektórzy zaczęli sobie podkpiwać z Cat, ale jej wuj był wściekły.

- Idź precz, wstrętna starucho i przestań wygadywać takie bzdury. A kysz!

Kobieta długo jeszcze patrzyła Cat w oczy, po czym zarzuciła chustę na głowę i odeszła.

Jane Tregenna skrzywiła się ze wstrętem.

- Najwyższa pora, żeby i w Penzance otwarto dom dla obłąkanych jaki mają w Bodmin. Można by tam zamykać takie śmiecie.

- Mamo, to nie po chrześcijańsku - zestrofowała ją Cat. O co chodziło tej staruszce? Czyżby znała Roba? A może to on jej kazał to powiedzieć? Z tymi myślami weszła za wujem do kaplicy i usiadła z brzegu ławki.

- Wskażę wam osiem najważniejszych cech człowieka, który żyje bez Chrystusa! - zagrział nagle pastor i wśród wiernych zaległa cisza.

Oni po to tu przyszli, właśnie tego chcieli: prawdziwego nawiedzonego fanatyka, który przemówi do ich sumień i przypomni o ogniu piekielnym i potępieniu.

- Po pierwsze, człowiek bez Chrystusa to prostak. Możesz pochodzić ze szlacheckiego rodu, mogłeś się urodzić księciem, lecz jeśli w twoich żyłach nie płynie królewska krew Jezusa Chrystusa, jesteś tylko prymitywnym głupcem. - I spojrzął po zebranych, przyszpilając ich wzrokiem niczym motyle w gablocie. - Po drugie, człowiek bez Chrystusa jest niewolnikiem. Mówi o tym w rozdziale ósmym Ewangelia świętego Jana: „Zaprawdę, zaprawdę, powiadam wam: Każdy, kto popełnia grzech, jest niewolnikiem grzechu. A niewolnik nie przebywa w domu na zawsze, lecz Syn przebywa na zawsze.

Jeżeli więc Syn was wyzwoli, wówczas będziecie rzeczywiscie wolni".

Jakaś kobieta w środkowym rzędzie zaczęła się kołysać na boki i zawodzić. Donośny głos niósł się po całej kaplicy. To była Nell Chigwine. Cat westchnęła. Wielebny Veale nigdy nie nękał swoich parafian tak ostrymi słowami: namawiał, by traktowali się nawzajem z chrześcijańskim miłosierdziem i łagodnie przeprowadzał ich przez kolejne przypowieści i psalmy. Cat bardzo żałowała, że nie siedzi teraz w swojej ulubionej ławce w kościele w Gulval, gdzie mogłaby spokojnie czytać i robić notatki...

Nagłe uderzenie pięścią w ambonę wyrwało ją z zamyślenia.

- Po piąte, jest kaleką. Człowiek bez Chrystusa jest jak zdeformowane ciało pełne ran i wrzodów, jak dom pogrążony w ciemnościach, jak korpus pozbawiony głowy.

Zniżył głos i powiódł oczami po wiernych z takim smutkiem, jakby nie było już dla nich żadnej nadziei.

- Po szóste, jest człowiekiem głęboko nieszczęśliwym. Kiedy w jego życiu nie ma Chrystusa, cierpiąc, nie zazna pocieszenia. Po siódme, jest człowiekiem martwym! Usuwając Chrystusa z jego życia, odbieracie mu duszę, a człowiek pozbawiony duszy jest tylko martwym truchłem!

Jego słowa odbiły się głośnym echem od ścian kaplicy, aż jakieś dziecko w pierwszym rzędzie wpadło w płacz i matka musiała je uspokajać. W krótką przerwę spowodowaną tym incydentem wdarł się nagle potężny łoskot. Ciężkie drewniane drzwi na tyłach kaplicy odbiły się z hukiem od kamiennej ściany.

Pastor Truran spiorunował wzrokiem spóźnionego przybysza. Pierś wezbrała mu gniewem i już miał wydać z siebie ryk oburzenia, lecz tylko otworzył usta i wytrzeszczył oczy z niedowierzania.

Wierni jeden za drugim odwracali głowy, żeby zobaczyć, kto może być tym intruzem, który zdołał odebrać mowę żarliwemu kaznodziei. Cat wyciągnęła szyję i w tym momencie

z upiornym rykiem wpadła do środka grupa mężczyzn. Mieli ogolone głowy, długie ciemne szaty, a każdy dzierżył w dłoni krótki miecz o szerokim zakrzywionym ostrzu. Taki sam, jaki Cat zauważyła wtedy na stole w Kenegie; taki sam, jaki znaleziono na pokładzie „Constance”. Mieli skórę tak ciemną jak stara Cyganka; widać było tylko błyskające białka oczu. Z tuzin ich wbiegło między ławki, krzycząc „Allah akbar”!

„Piraci” - przebiegło jej przez głowę. Ze strachu nie mogła oddychać. Serce łomotało jej w piersi jak ptak uwięziony w klatce. Tureccy piraci.

Radca Polglaze zerwał się z miejsca.

- Kim jesteście? - zawołał oburzony do przybysza, który stał najbliżej. Tamten w odpowiedzi roześmiał się, ukazując rząd białych zębów. Z siwiejącą brodą na pociągłej twarzy przypominał wilka. Radca przywykł do tego, że inni go słuchają i wypełniają jego polecenia. Miał też słaby wzrok. - jak śmiecie przerywać nam nabożeństwo? Jeśli przysłiście po jałmużnę, zaczekajcie na zewnątrz, aż skończymy. Wynoście się stąd! - Podniósł rękę, jakby chciał zaprowadzić spokój na sali obrad, lecz intruz jednym uderzeniem pięści powalił go na ziemię. Jakaś kobieta krzyknęła. Pani Polglaze uklękła przy mężu, osłaniając go przez spodziewanym ciosem miecza, ale napastnik odwrócił broń i uderzył kobietę ręką tak, że upadła wprost na męża. Leżeli bez ruchu, tworząc górę ciał zamotaną w tkaniny. Ich dzieci zaczęły płakać, a za nimi wszystkie inne obecne w kaplicy. Maluch w pierwszym rzędzie wył histerycznie, coraz bardziej siny na buzi.

Jeden z napastników podszedł, obnażył zęby jak warczący pies i błysnął dziecku przed nosem ostrzem miecza.

- Skaut!

Przerażony maluch natychmiast umilkł i zaczął cichutko pochlipywać.

Tymczasem do kaplicy wpadali kolejni mężczyźni, wymachując bronią i pokrzykując w dziwnym, gardłowym języku.

Konstabl Carew, wiedziony jakimś straceńczym poczuciem obowiązku, pochwylił jednego z nich za rękę i próbował wyrwać mu miecz. Tamten wydobył zza pasa sztylet i przeszył mu szyję. Krew trysnęła fontanną, opryskując wszystkich w promieniu czterech stóp.

Zapanowało istne pandemonium. Przerażeni wierni, którzy do tej chwili zdawali się mieć jeszcze wątpliwości co do charakteru tego wtargnięcia, wpadli w popłoch i zaczęli wołać: „Boże, ratuj!”, „Ocal nasze dusze!”.

W głębi kaplicy Jack Kellynych przeskoczył rząd ławek i ciągnąc za sobą Matty ruszył w stronę drzwi do zakrystii, lecz drogę zagroziła mu grupa śniadych mężczyzn.

- Wracaj, niewierny psie - warknął jeden z nich.

Jack stanął, zmierzył ich wzrokiem, oceniając swoje szanse, ale Matty przytrzymała go za ramię.

- Nie, Jack. Rób, co każe.

Kiedy wydawało się, że nie zamierza rezygnować, jeden z mężczyzn mruknął coś do towarzyszy, a potem z całej siły kopnął Jacka w brzuch. Jack się zatoczył, wpadł tyłem na Matty, a ta z kolei przewróciła trzy osoby znajdujące się za nią.

Tymczasem do środka wdzierali się następni piraci — dwudziestu, czterdziestu, pięćdziesięciu - nie dało się zliczyć. Mały kościółek wypełnił się nagle zgiełkiem i ciepłem ciała. W dusznym powietrzu wyczuwało się strach. W środek tego zamętu wkroczyła nagle wysoka postać, która przecisnęła się przez grupkę mężczyzn tarasujących drzwi i powiewając granatową szatą, pomaszerowała ku ołtarzowi. Piraci rozchodzili się na boki, ustępując jej z drogi. Człowiek ten miał lśniąca skórę barwy kasztanowej, a głowę spowijał mu bordowy turban. Brzeگی materiału opadały swobodnie na ramiona. Miał srebrny pas i ciężkie srebrne bransolety na rękach, a ostrze jego miecza było bogato zdobione. Rozejrzał się wokół, zobaczył ciała leżące na posadzce, płaczące dzieci, strwożone twarze kobiet, mężczyzn o białej skórze. Z twarzą o długim prostym nosie i czarnych

przenikliwych oczach przypominał Cat drapieżnego ptaka: był opanowany, bezwzględny i zdolny do wszystkiego. Przeszedł ją dreszcz. Jej intuicja wkrótce miała się sprawdzić. Mężczyzna krzyknął coś w swoim języku do podwładnych, a ci posłusznie rozbiegli się po kaplicy i otoczyli wiernych. Sam tymczasem przystanął przed pastorem Truranem. Spojrzał mu w oczy, roześmiał się i jednym skokiem znalazł się za jego plecami, przystawiając mu ostrze do gardła.

- Milczeć i nie ruszać się z miejsc, bo zabiję waszego imama!
- odezwał się zabarwioną silnym akcentem angielszczyzną.

Zapadła pełna strachu cisza i wszyscy pokornie usiedli w ławkach jak dzieci upomniane na lekcji przez surowego nauczyciela. Przywódca piratów spojrzał na nich z zadowoleniem.

- Pójdziecie z nami - oznajmił. - Zabieramy was na nasze okręty, nikomu nie stanie się krzywda. Ale jeśli ktokolwiek spróbuje uciekać albo będzie stawiał opór, zostanie zabity. Proste. Zrozumiano?

Ktoś zaczął w pośpiechu odmawiać modlitwę:

- „Od powietrza, głodu, ognia i wojny, od nagłej, a niespodziewanej śmierci - wybaw nas Panie”.

- Panie, zmiłuj się nad nami.

- O, Boże, Boże, Boże...

- J e z u , ratuj.

- To dobrze, że się modlicie. Dusza ludzka jest słaba i trzeba ją wzmocnić modlitwą. Ale koniec z tym waszym Jezusem Chrystusem. To zwykły prorok, taki sam człowiek jak wy czy ja, nie może zbawiać dusz. A teraz wszyscy wstać i niech nikt nie próbuje się opierać. Idziemy. Grzecznie i w milczeniu.

Jeden z piratów dźwignął radcę Połglaze'a jak worek kartofli i przerzucił go sobie przez ramię. Drugi podniósł chwiejącą się na nogach panią Połglaze i pchnął przed siebie.

Nikt się nie opierał, nikt nie śmiał. Wyszli na opustoszałe, zalane słońcem ulice Penzance i na wprost ujrzeni trzy wielkie żaglowce zakotwiczone w zatoce: piękną karawelę, której zwinięte

żagle bieleły się na tle turkusowego morza, oraz dwa nieco mniejsze i cięższe statki z dziwnymi trójkątnymi żaglami. Cat zmrużyła oczy. *Wyostrzone zmysły rejestrowały teraz każdy szczegół otoczenia: mewę krającą sobie jak głyby nigdy nie po błękitnym niebie, czerwone bučki Nan Tippet stukające o bruk niczym osłe kopyta, małą Henriette Kellynch z kciukiem w buzi spoglądająca na pirata, który czubkiem miecza popychał przed sobą jej brata Jordiego, jakby uczestniczyli w jakiejś farsie, a za chwilę z bocznej uliczki miała się wyłonić barwna, roztańczona parada z orkiestrą dętą i akrobatami. Szylkretowego kota siedzącego na kei, który lizząc łapy, obserwował ich jednym okiem. Starego Toma Ellysa pocierającego bez przerwy usta upierścienioną ręką oraz jego żonę, która uwiesiła mu się na ramieniu i pytała: „Co się dzieje, kochanie? Dokąd oni nas prowadzą? Co z nami będzie?”.*

Właśnie, dokąd oni nas prowadzą, zastanawiała się Cat. Ktoś ją mocno pchnął z tyłu, a kiedy się odwróciła, jeden z piratów patrząc na nią, wyzywająco powiedział kilka słów w swoim charkotliwym, niezrozumiałym języku. Złenerwowana pokręciła głową, że nie rozumie, a on znowu ją szturchnął i zaczął się z niej śmiać, ukazując czarną czeluść ust pozbawioną kilku zębów. To było nawet straszniejsze od całej reszty.

Zbliżając się do nabrzeża i widząc żaglowce, burmistrz Maddem zwrócił się nagle do przywódcy piratów.

- Dobry człowieku, mam pieniądze. Niech pan spojrzy, pięć aniolów* i pół tuzina koron, samo złoto, i to najwyższej próby! - Wyjął za pasa sakiewkę i potrząsnął. - Weźcie je sobie, tylko nas wypuście.

Ktoś gwizdnął. Rzadko nosi się przy sobie takie sumy. Ktoś inny mruknął coś o sprzeniewierzeniu pieniędzy podatników, a jeszcze ktoś inny zawołał zza jego pleców:

- To za nas wszystkich, panie burmistrzu, czy tylko za pana i pańską tłustą żonę?

* Rodzaj monety równy dziesięciu szylingom [przyp. tłum].

Maddern poczerwieniał na twarzy - ze wstydu albo z wściekłości - i gwałtownie obrócił głowę, żeby zobaczyć, kto to powiedział. Wódz piratów zaśmiał się szczekliwie. Wyrwał burmistrzowi sakiewkę i wysypał zawartość na dłoń. Spojrzał na towarzyszy, wyrzucił z siebie kilka słów i wszyscy ryknęli śmiechem.

Potem wykonał zamaszysty ukłon.

- Dzięki za wsparcie, tłuściochu. Powiedzmy, że to będzie pierwsza rata.

- Pierwsza rata?

- Okupu.

- Okupu?

Pirat wyszczerzył zęby.

- W pałacu Sułtana widziałem ptaki, które umieją robić takie sztuczki. Podobno są inteligentne, ale ja myślę, że tylko powtarzają dźwięki, nie rozumiejąc znaczenia. - Przerwał, żeby napawać się widokiem przerażenia na twarzy burmistrza, i ciągnął dalej: - Mówię o okupie za twoją żonę. - Zmierzył wzrokiem korpulentną kobietę u boku burmistrza. Miała oczy jak spodki. - Wygląda na dobrze zbudowaną, wielu mężczyzn takie lubi. Można by na niej dużo zarobić. Proponuję czterysta funtów za was oboje.

Co ciekawe, wydawało się, że Madderna bardziej oburzyła suma niż słowa pirata o jego żonie.

- Czterysta funtów? - nie mógł się powstrzymać. - Oszałałeś, człowieku. Przecież to majątek!

- Minus pierwsza rata... - pirat zaczął przeliczać monety na dłoni - w kwocie dwóch funtów, szesnastu szylingów. Czyli trzysta dziewięćdziesiąt siedem funtów i cztery szylingi w walucie waszego kraju. Chociaż z chęcią przyjmę także hiszpańskie reale czy dublony. Zaczynaj lepiej myśleć, jak zebrać forszę, bo inaczej prędko zrzucisz to sadło na galerach!

Pani Maddern wpadła w szloch. Wydawało się, że jej mąż zaraz pójdzie w jej ślady.

Dotarli do brzegu, a na ulicach wciąż było pusto: mieszkańcy, jeśli widzieli piratów, pozamykali okiennice i siedzą ci-

cho jak myszy pod miotłą. Albo są na mszy w kaplicy Św. Rafała lub w kościele Wszystkich Świętych w Market- Jew, nieświadomi rozgrywającego się tuż obok dramatu. „Sir Arthur z rodziną, Rob i cała reszta służby pewnie teraz odśpiewują ostatni psalm w Gulval” - pomyślała Cat. - „Nie mają pojęcia, że w dole, w zatoce, stoją trzy pirackie okręty, które wkradły się tu pod osłoną porannej mgły i czekają, by odpłynąć z sześćdziesięcioma ich współmieszkańcami na pokładzie”.

Przy murze nabrzeża kołysało się na wodzie mnóstwo małych drewnianych szalup pomalowanych na niebiesko. Różniły się od tych, których używają miejscowi rybacy. Piraci, pokrzykując, przystąpili do dzielenia ludzi na grupy, żeby pomieścili się w łódkach, które miały ich przetransportować na statki. Chyba dopiero teraz ponura rzeczywistość dotarła do wszystkich z całą wyrazistością i zrozumieli, że to jest ich ostatni kontakt z kornwalijską ziemią, bo nagle podniósł się krzyk, zrobiło się zamieszanie i w ruch poszły pięści. Prym wiedli Jack Kellynych i jeszcze kilku innych młodzieńców. Jeden z piratów wskoczył z pluskiem do wody, a za nim poszybował jego miecz, błyskając w powietrzu odbitym światłem słońca tak intensywnym, że aż raziło w oczy. Reszta rzuciła się na buntowników i po chwili mała rebelia została bezlitośnie stłumiona. Thom Samuels leżał, jęcząc, na ziemi, jego krew spływała karminem po bruku, a odcięta prawa pięść powolutku się rozwierała niczym kwiat w słońcu.

Zanim się obejrzeni, wszyscy siedzieli w łódkach i płynęli w stronę żaglowców. Byli zbyt wystraszeni tym pokazem okrucieństwa, żeby stawiać dalszy opór.

Cat dała się załadować na pokład jak towar, którym tak naprawdę się stała. Kucnęła na dziobie wciśnięta między dwie zapłakane kobiety. Nie było tu nikogo z jej rodziny. Stwierdziła, że nic jest w stanie znieść widoku dwóch mężczyzn, którzy trzymali wiosła, więc gdy odbijali od brzegu, wołała patrzeć ponad nimi na miasto, z którego od tak dawna chciała uciec. Modli-

ła się przecież o to. Nigdy wcześniej nie widziała Penzance od strony morza ani nie płynęła łodzią, choć była rodowitą Kornwalijką i wychowywała się w otoczeniu tego pięknego oceanu. Teraz przesunął się pod nimi jak żywy, jeszcze bardziej ją dezorientując. Osłoniła oczy przed słońcem i wpatrywała się w oddalający się brzeg. Czy naprawdę nikt nie przyjdzie im na ratunek? Może chociaż ktoś zauważył te ogromne statki i zastanawia się, co tutaj robią? Przecież musiały przepływać obok zamku, mijając strażników i stanowiska działowe, i nikt nie wszczął alarmu? Owszem, była wtedy mgła, lecz teraz żaglowce stały w pełnym słońcu, wielkie i wyzywające, ich bandery powiewały wysoko, na pokładach krzżeli się ludzie. Czyżby cały garnizon także udał się dziś do kościoła, czy może raczej odsypia zbyt duże ilości piwa wypitego pod nieobecność komendanta, który na sobotę i niedzielę wrócił do domu? Gdyby się okazało, że obserwatorzy i kanonierzy byli pijani i smacznie spali, to nie ma większego znaczenia, czy Sir Arthur zdoła wyprosić u króla dodatkowe armaty. Cat przypomniał się tamten dzień sprzed miesiąca, kiedy ważni kornwalijscy panowie zebrali się w tej sprawie w Kenegie.

Nagle przesłonił ich cień największego z żaglowców. Cat zadarła głowę do góry i ujrzała dwie ogromne flagi zawieszono wysoko na masztach: proporzec z trzema półksiężycami i drugą, ciemnozieloną, na której widniała ręka trzymająca zakrzywiony miecz, a obok szczerząca zęby trupia czaszka spoczywająca na skrzyżowanych puszczelach.

ROZDZIAŁ 12

Nie minęła godzina, gdy założono im na ręce zimne żelazne kajdany, zagnano pod pokład i przykuto w grupach po osiem osób do rzędów metalowych ławek biegnących w poprzek ładowni. Nie było wiele miejsca, żeby usiąść, nie mówiąc o położeniu się, a do tego potwornie cuchnęło.

Wierni z kaplicy Najświętszej Marii Panny nie byli pierwszymi, których pojmała banda piratów. Ich wejście obserwoowało pięćdziesięciu, może więcej nieszczęśników, których wcześniej spotkał ten los. Byli to mężczyźni o posępnych, zapadniętych twarzach i oczach szklących się jak w gorączce. Patrzyli, jak nowych wpychają na miejsca, jak sypią się na nich ciosy i przekleństwa, ale milczeli, gdyż zdążyli się już nauczyć, że piratów lepiej nie drażnić.

Gdy kłapa ładowni zamknęła się nad nimi z hukiem i zapadła całkowita ciemność, zaczęły się pytania.

- Z którego statku was zgarnęli? - zagadnął ktoś z obcym akcentem, raczej spoza Penwith. - Musiał być duży, tyle tu kobiet i dzieci...

- Statku? Nie, nie zgarnęli nas ze statku. To było na ładzie, w Penzance - odparł męski głos. Cat zdawało się, że to Jack Kellynch.

- Na ładzie?

- Tak, wpadli do kościoła i zabrali nas prosto z nabożeństwa. Wywołało to duży szok.

- Jak żyję, nigdy o czymś takim nie słyszałem.

- Niedzielny poranek, byliśmy bezbronni. Łatwy łup.

Kadłub zaskrzypiał, po odgłosach i kołysaniu można było poznać, że żaglowiec wypływa w morze. Dużo osób zaczęło wtedy płakać. Wstrząs spowodowany sytuacją pogarszała świadomość, że ich los podzieliło wielu innych: silni i zdrowi mężczyźni z całego zachodniego wybrzeża, którzy nie dali rady przeciwstawić się napastnikom. I którym także nikt nie przyszedł na pomoc.

Po pewnym czasie do ładowni zeszła grupa mężczyzn. Prawie wszyscy byli niscy i żyłaści, mieli lśniąco czarne oczy i ogolone głowy, z wyjątkiem kępki czarnych włosów na czubku. Porozumiewali się między sobą w swoim języku. Długie szaty założyli w ten sposób, że tył przeciągnęli między nogami, a z przodu zatknęli za pas. Stąpając ostrożnie jak kory wśród śmieci i odchodów, rozdawali więźniom miski z wodą, kromki suchego ciemnego chleba i garście małych czarnych owoców. Nikt nie śmiał się do nich odezwać. Każdy wziął jedzenie i czekał, aż sobie pójdą.

- Jedzcie i pijcie wszystko, co podadzą - odezwał się ktoś - inaczej nie przeżyjecie podróży.

Cat upiła trochę wody. Była lekko słońawa i miała dziwnie kwaśny posmak.

— Chleb najpierw moczcie, bo połamiecie sobie zęby — zawołał w ciemność czyjś głos. - Smakiem się nie przejmujcie, to tylko ocet. Przynajmniej tak nam powiedzieli.

Potem Cat spróbowała owocu, ale zaraz go wypluła, ponieważ był jednocześnie i gorzki, i słony, a do tego w środku miał twardą pestkę. W życiu nie jadła czegoś tak wstrętnego.

- Proszę - rzekła do kobiety obok. - Może pani sobie wziąć, ja dziękuję.

Kobieta włożyła owoc do ust i długo przeżuwała, nie zmieniając przy tym ani na chwilę wyrazu twarzy.

— Jadałam gorsze rzeczy - stwierdziła w końcu. - Solone ryby, marynowane śledzie, zgniły ser i focze łapy. Nie wiem, co

to za owoce, ale nie są wcale takie złe. Jeżeli nie będziesz nic jadła, osłabniesz, kochaneczko. A chudziutka jesteś...

- Kim są ci barbarzyńcy i co oni chcą z nami zrobić? - zawołała płaczliwie jakaś kobieta. Zaskoczona Cat zdała sobie sprawę, że to jej matka. Odwróciła się, ale w ciemności trudno było rozpoznać twarz. Sądząc po głosie, była cała i zdrowa, a to przynajmniej jakieś pocieszenie.

Odpowiedział jej męski śmiech.

- To korsarze z Sale. Zabierają nas do samego diabła.

Zapanowało poruszenie, kilka głosów naraz zawołało:

- Gdzie jest Sale?

- Dick Elwith wam powie, on tam kiedyś był. Ten człowiek to prawdziwy Jonasz na statku do Tarszisz. Nie ma chłopak szczęścia. Opowiedz im o sobie, Dick.

W głębi ładowni ktoś zakasłał. Potem rozległ się w ciemnościach gruby, niski głos.

- J a k byłem mały, ojciec mi opowiadał, że ludzie, którzy pływają po morzach, mają okazję widywać najpiękniejsze rzeczy, jakie tylko stworzył Bóg, więc postanowiłem i ja, gdy dorosnę, zaciągnąć się jako marynarz na statek handlowy w Londynie. Tak też uczyniłem. Ale moją prawdziwą motywacją była chęć zarobku i może dlatego Bóg mnie pokarał, bo kierowało mną coś więcej niż ciekawość dla Jego stworzenia, pragnienie poznania Jego dzieł i głoszenia Jego chwały. Chciałem polepszyć swój los i szybko się dorobić, ale nie było mi to pisane. Pierwszy raz porwali mnie w tysiąc sześćset osiemnastym. Nasz statek załadowany solą i wołowiną obrał kurs na Maderę, lecz wczesnym rankiem, jakieś sto mil od przylądka Roca zobaczyliśmy żaglowiec płynący w naszą stronę od nawietrznej. Najwyraźniej nas ścigał. Zaczęliśmy uciekać co sił w żaglach, ale na próżno, z każdą chwilą byli coraz bliżej. W końcu o wschodzie księżyca znaleźli się na tyle blisko, że mogliśmy się słyszeć. Tamten zapytał, skąd jesteście. Powiedzieliśmy, że z Londynu, a kiedy jego spytaliśmy o to samo, odparł: „Z Sale” i zaczął się śmiać. Wte-

dy zrozumieliśmy, że mamy do czynienia z tureckim statkiem pirackim. Poczęstowaliśmy ich salwą z burty, ale zmienili kurs. Potem próbowaliśmy ich zgubić, ale się nie dało. Cały dzień i całą noc siedzieli nam na rufie, a raniem wywiesili turecką banderę. No ty my wywiesiliśmy angielską, a ponieważ skończył się nam zapas prochu, musieliśmy się poddać. Zahaczyli nas, przyciągnęli i na pokład wpadło ze stu chłopów. Poprzecinali liny i unieruchomili nam statek. Pojmali całą załogę, statek zatopili i zabrali nas do Salé, mauretańskiego portu w Afryce...

- W Afryce? - jęknęła jakaś kobieta. - To kraina dzikusów na drugim końcu świata! Och, czy ja jeszcze kiedyś zobaczę swój dom?

Inni też się przyłączyli, wyrażając swój ból po usłyszeniu tak straszliwych wieści. Cat oniemiała, w głowie kłębiło się jej tysiąc myśli.

- Niech opowiada dalej, widzicie przecież, że przeżył, choć pech chciał, że drugi raz dostał się do niewoli.

Cat była pewna, że to głos pastora Trurana, ponieważ wypełnił donośnym echem wnętrzości statku tak, jak zawsze wypełniał kaplicę. I rzeczywiście.

- Bóg niechętnie zszyła na swoje dzieci nieszczęścia i dotyka ich cierpieniem - dodał - ale my Go sami prowokujemy, żeby wyjął różgę i porządnie nas wysmagał. Albowiem inaczej nie da się wygonić tych głupot, które się lęgną w naszych duszach. Tak poprzez niewolę babilońską nauczył Judeę doceniać potem wolność w Kanaan.

- Amen! - zawołał męski głos, a inni zawtórowali:

- A m e n !

- Ja nic złego nie zrobiłem! - poskarżył się ktoś. - Nie zasłużyłem na to, żeby mnie porwali poganie...

- Milczcie, obłudne dusze. Kontynuuj, Dicku Elwith, i powiedz nam, jaki los nas czeka w tym kraju Maurów.

- Zaprowadzili nas na plac targowy i rozebrali do naga. Znałem się na marynarskiej robocie, więc mnie sprzedali ka-

pitanowi pirackiej galery, ale że nie chciałem się przechrzcić, to wylądowałem przy wiosłach. Trzy lata wiosłowałem, przykuty łańcuchami jak zwierzę. Modliłem się o śmierć, ale Bóg miał wobec mnie inne plany. Pewnego dnia przechwycił nas holenderski statek wyposażony w dwadzieścia dział i dowodzony przez rezolutnego kapitana. Przy pomocy swojej dzielnej załogi uwolnił nas, a galere zabrał ze sobą do ojczyzny jako łup. Stamtąd wróciłem do domu wcale nie bogatszy, ale za to o wiele mądrzejszy i poprzysiągłem sobie nigdy więcej nie wypływać w morze.

- Co się więc stało, że drugi raz spotyka cię ten sam los?
Dick Elwith ciężko westchnął.

- Ano sam sobie jestem winien. Zgubiła mnie chciwość. Życie na łądzie bez pieniędzy i perspektyw jest ciężkie, a że chciałem sobie znaleźć żonę, której nie musiałybym w łóżku zakładać worka na głowę, postanowiłem zarobić tyle, żeby móc przebierać. Znowu zamustrowałem na mały statek handlowy, który pływał tylko po wewnętrznych wodach, i jak głupi myślałem, że tam nic mi nie grozi. Kursowaliśmy między Plymouth a wybrzeżem Francji, nigdy nie wypuszczając się dalej, i czuliśmy się całkiem bezpieczni. Dwa tygodnie pływaliliśmy po Morzu Brytyjskim*, gdy spostrzegliśmy na horyzoncie trzy okręty pod holenderską banderą. Nie zwróciliśmy na nie uwagi, bo ich kupcy często pojawiają się na naszych wodach i nic złego z tego nie wynika. No więc pozwoliliśmy im się zbliżyć bardziej niż trzeba i wnet zobaczyliśmy ich prawdziwą twarz. Wołał więc do kapitana, pana Goodridge'a, który siedzi tu obok mnie: „Uciekajmy! Ja znam tych ludzi, to nie są żadni Holendrzy, tylko korsarze z Sale, będą nas chcieli sprzedać do niewoli!”. Przerażony kapitan kazał zrobić zwrot i postawić wszystkie żagle, ale na nic się to nie zdało. Zanim zdążyliśmy dobić do portu, doścignęli nas. Od razu, jak nas zaciągnęli na

* Dawna nazwa kanału La Manche [przyp. tłum.]

swój pokład, wywiesili własną banderę: trzy półksiężycy na zielonym tle i godło Sale z uniesioną ręką trzymającą bułat i trupa czaszką z piszczelami.

Czat zamknęła oczy, pomna wrażenia, jakie wywarł na niej widok tych symboli.

Nagle wtrącił się czyjś głos, prawdopodobnie owego nie-szczęsnego kapitana Goodricha:

— To była robota samego szatana. Tak nas wywieść w pole. Skąd mieliśmy wiedzieć, że to piraci?

— I tak nic byśmy nie wskórali. To świetni żeglarze i bezwzględni ludzie. Nigdy nie dają za wygraną - dodał Elwith.

Po tym nastąpił istny wysyp opowieści. W ładowni siedzieli ludzie porwani z kilkunastu różnych statków, mówiący kilkunastoma różnymi językami. Byli tam Hiszpanie, Flamandczycy, marynarze z Devon, dwóch Irlandczyków i wielorybnik z Nowej Fundlandii, który przypłynął odwiedzić rodzinę w Hartland. Piraci porywali i kutry rybackie, i okręty handlowe, ale najazd na Penzance był pierwszym przypadkiem, kiedy odważyli się wdrzeć do miasta. Wierni pastora Trurana byli jedyną grupą, w której znajdowały się kobiety i dzieci.

— Wybaczcie ten smród i brud - rzekł smutno jakiś człowiek. - Traktują nas tutaj jak świnie w chlewie: sramy tam, gdzie jemy, i śpimy tam, gdzie siedzimy.

Słyszac to, kilka kobiet aż zakrzyknęło z przerażenia, lecz Dick Elwith wybuchnął śmiechem.

— O, nie. Muzułmanin nie trawi wieprzowiny i świń się nie tyka ani w hodowli, ani na talerzu. Jako świnie bylibyśmy w lepszej sytuacji, bo by nas zostawili w spokoju.

— „Wieprz, ponieważ ma rozdzielone kopyto, ale nie przeżuwa - będzie dla was nieczysty” - zacytował pastor. - Księga Kapłańska, rozdział jedenasty. Jeżeli człowiek pragnie się stać istotą niższą, uwłacza tym boskiemu dziełu stworzenia, a duszę swą skazuje na potępienie.

Nagle statek szarpnął i przechylił się na prawą burtę. Wśród marynarzy rozległ się grupowy jęk, rozpoznali bowiem ten nowy rytm i odgłos oceanu.

- Wypłynęliśmy na pełne morze i zmierzamy na południe. Teraz już nigdzie się nie zatrzymają, aż dotrą do lądu - rzekł ktoś ponuro. - Do samego Maroka.

- Ile to może potrwać?

- Miesiąc, przy pomyślnych wiatrach i dobrej pogodzie.

- A jeśli będzie sztorm?

Dick Elwith roześmiał się, lecz nie był to śmiech wesoły.

- Jeśli statek się przewróci, utoniemy. - I dramatycznie potrząsnął łańcuchami, wzbudzając powszechny lament wśród więźniów.

Pastor Truran poprosił o ciszę.

- Opanujcie lęk. Nie pokazujmy oprawcom, że zdołali złamać naszego ducha. Od Boga czerpiemy siłę, to On więc nas pocieszy w nieszczęściu i obroni przed antychrystami, którzy nas porwali. Wysłuchajcie słów psalmu i odnajdźcie w sobie odwagę! „Wysłuchaj, Panie, słuszności, zważ na me wołanie, przyjmij moje modły z warg nieobłudnych! Niech przed Twoim obliczem zapadnie wyrok o mnie: czy Twoje widzą to, co prawe. Choćbyś badał me serce, nocą mnie nawiedzał i doświadczał ogniem, nie znajdziesz we mnie nieprawości. Moje usta nie zgrzeszyły ludzkim obyczajem; według słów Twoich warg wystrzeżę się ścieżek gwałtu...”

W tym miejscu przerwał mu czyjś ochrypły śmiech, lecz pastor tylko podniósł głos i ciągnął dalej.

- „Moje kroki trzymały się mocno na Twoich ścieżkach, moje stopy się nie zachwiały. Wzywam Cię, bo Ty mnie wysłuchasz, o Boże! Nakłoń ku mnie Twe ucho, usłysz moje słowo. Okaż miłosierdzie Twoje, Zbawco tych, co się chronią przed wrogami pod Twoją prawicę...”

Kolejne zakłócenie recytacji było trudniej zignorować. W mrok ładowni gwałtownie wdarło się światło i hałas. Otwar-

to luk i na dół zeszło czterech mężczyzn z mieczami u pasa, przyświecających sobie latarniami. Krzyczeli coś w tej swojej okropnej mowie i wymachiwali na oślep grubym sznurem powiazanym w węzły. Pierwszy cios dosięgnął pastora.

- Milcz, niewierny psie! - krzyknął pirat i zdzielił go smółowaną liną przez twarz.

Niezrażony, wielebny Truran wyprostował ramiona i grzmiał dalej:

- „Strzeż mnie jak źrenicy oka! W cieniu Twych skrzydeł mnie ukryj przed występnyimi, co gwałt mi zadają, przed śmiertelnymi wrogami, co otaczają mnie zewsząd”.

Tym razem przy jego szyi błysnęło ostrze miecza. Pastor przełknął ślinę i w końcu się uciszył.

Któryś z pozostałych piratów odblokował rygiel unieruchamiający więźniów. Wysunął go i gestem nakazał wstać pastorowi oraz trzem jego sąsiadom. Inny w tym czasie uwalniał Catherine i jej towarzyszki.

- Wstawać! Już!

Podniosły się niepewnie, gdyż statek się kołysał, a w półmroku trudno było złapać równowagę. Jedna z kobiet - Cat spotkała ją kiedyś na targu, ale nie znała jej z nazwiska - chwyciła się jej rękawa, o mało go nie odrywając. Cat zatoczyła się i poczuła, jak podeszwa jej buta zapada się w coś miękkim i oślizgłym. Pomieszczenie, w którym i tak nie było czym oddychać, wypełnił straszny fetor. Choć to głupie, Cat w tym momencie myślała tylko o tym, że zniszczy sobie najlepsze pończochy. Trwała w tych myślach, jeszcze kiedy wychodziła na pokład, otrzeźwiło ją dopiero silne uderzenie ostrego, słonego powietrza.

Na śródokręciu na drewnianym rzeźbionym krześle siedział wódz piratów z nogami wyłożonymi na ozdobnym kufrze. Po jego lewej ręce siedział po turecku ubrany na biało człowiek w turbanie na głowie. Na kolanach trzymał deseczkę z jasnego drewna, a w dłoni narzędzie do pisania. Po drugiej zaś *stronie*

stało dziwne naczynie ze szkła, pękate i zwężające się ku górze, wypełnione do połowy przezroczystym płynem. U podstawy i na *szycie* ozdabiały je ażurowe obręcze ze srebra, a mniej więcej z środka wystawała długa rurka owinięta purpurowym jedwabiem z frędzelkami, której srebrną końcówkę wódz trzymał w ustach. Zamknawszy z rozkoszą oczy, zaciągnął się głęboko, a po chwili wypuścił aromatyczny obłok dymu. Na ten widok Cat pomyślała, że to zaiste musi być diabeł wcielony, z tymi ostrymi rysami twarzy i osobliwą ciemną skórą, rozparty niczym na tronie piekieł i triumfujący nad nimi, biednymi grzesznikami.

Wódz skinął na mężczyzn, którzy wyprowadzali ich z ładowni, a ci wystąpili, prowadząc przed sobą więźniów. Jeden boleśnie szturchnął Cat w plecy, ale kiedy się na niego obejrzała, żeby wyrazić swoje oburzenie, zobaczyła, że ma niebieskie oczy, jasną piegowatą cerę i włosy koloru marchewki. Zupełnie niepodobny do reszty załogi. Widząc jej zdziwienie, wyszczerzył zęby i chytrze mrugnął okiem.

- Nie spodziewałaś się tu Anglika, co?

Cat otworzyła usta z wrażenia.

- Nie tylko Anglika, ale sądząc po akcencie, mieszkańca moich rodzinnych stron - powiedziała przerażona. - Na miłość boską, nie może pan wstawić się za nami i uwolnić nas od tych barbarzyńców?

Mężczyzna zaśmiał się i splunął.

- Mnie wasz Bóg obchodzi teraz tyle, co naszego tu raisa*: dwa lata temu przeszedłem na mahometanizm. Nie nazywam się już Will Martin, teraz wołają na mnie Ashab Ibrahim, Rudy Abraham, co chyba lepiej do mnie pasuje. W Plymouth byłem biedakiem i popychadłem, terminowałem u bednarza, aż wcielili mnie siłą do tego, co zostało po Marynarce jej Królewskiej Mości, niech ich piekło pochłonie... Potem zjawili się moi wybawiciele i zatopili nasz wspaniały okręt, a mnie i towarzyszy wzięli

* Rais (reis) - tu: kapitan statku [przyp. tłum.]

do niewoli. Zostałem więc renegatem i pływam z tymi łotrami po morzach. Teraz mam dom w Sale, dwie żony piękniejsze niż wszystkie mieszkanki Devonport razem wzięte i więcej złota, niż zdołałbym zarobić, żyjąc po trzykroć. Allah akbar. Bóg jest wielki! A czy ty wiesz, jak doszedłem do takiej fortuny?

Pokręciła głową, choć podejrzewała, że zna odpowiedź.

Nachylił się do niej konspiracyjnie i rzekł:

- Za to, że brałem udział w akcji, dostanę setną część zysków z każdego sprzedanego niewolnika. Jeśli dowiedzimy was wszystkich całych i zdrowych do Sale, mogę zarobić niezłą sumkę, o tak! - I łypnął na nią lubieżnym okiem. - Może i sam bym cię wykupił, ślicznotko. Założę się, że te ogniste włosy nieźle grzeją męczyznę w nocy!

Cat patrzyła na niego w osłupieniu. Jeśli nawet chrześcijanie potrafiały w tak okrutny sposób zwrócić się przeciwko swoim współwyznawcom, to znaczy, że na świecie nie ma sprawiedliwości.

- Ibrahim? - odezwał się wódz.

Will z Plymouth, obecnie znany jako Ashab Ibrahim, natychmiast się odwrócił.

- Tak, Al-Andalusi?

- Milcz! Teraz ja mówię.

Renegat zwiesił głowę.

- Hej, ty, w czarnej sukni - Wódz wskazał na pastora końcówką tej dziwnej fajki, którą palił. - Jak się nazywasz?

Walter Truran uniósł dumnie głowę i spojrzał mu prosto w oczy.

- Moje nazwisko niech pozostanie znane tylko mnie i mojemu Bogu.

Rais westchnął.

- Jak mam zażądać okupu od twoich krewnych, jeśli nie podasz nazwiska?

Pastor jeszcze bardziej się oburzył.

- Okupu? Sir, moja dusza należy do mnie. Nie pozwolę, żeby szantażowano moją rodzinę i kazano jej wykupywać z ja-

kiegoś zapomnianego przez Boga i ludzi miejsca, do którego nas zabieracie!

- Sir... Panie kapitanie... Nazywam się John Polglaze, zasiadam w radzie miejskiej Penzance. Przywróćcie mnie i żonę na łono rodziny, a przyrzekam, że zostaniecie za to sowicie wynagrodzeni.

AI - Andalusi uniósł brwi oburzony, że ktoś śmiał się odezwać niepytany.

- Aminie, zanotuj to. Każda informacja może się przydać.
- I zwrócił się do rady: - Nie wyglądasz na biednego, sądząc po twoim spasionym brzuchu. Opróżnij kieszenie i pokaż ręce.

John Polglaze zmarszczył brwi, jakby nie zrozumiał polecenia.

- Ibrahim!

Renegat doskoczył do rady i wprawnie przeszukał mu ubranie, znajdując garść monet i dwie obrączki. Potem chwycił go za ręce i pokazał je kapitanowi. Raïs westchnął.

- Takie białe i delikatne, nie nadasz się na galery ani do pracy w polu, nie wytrzymasz tygodnia! To ile mi za ciebie zapłacą?

Radca bardzo się spieszył.

- Ja...yyy... Nie mam pojęcia, sir... to znaczy, panie kapitanie.

- Czteryście funtów?

Polglaze zbladł.

- To niemożliwe! Nigdy.

AI - Andalusi machnął ręką.

- Amin, napisz czterysta. Sto pięćdziesiąt za Johna Pol Gleza i dwieście pięćdziesiąt za jego żonę. Ładna chociaż? Jak się nazywa?

- Elizabeth, sir, ale...

- O, świetnie, jak wasza królowa. Kiedyś bardzo nam sprzyjała, przysyłała do Maroka dużo towarów, drewno do budowy statków, broń, i nie lubiła tych psułatów Hiszpanów. Amin, pisz: dwieście dwadzieścia funtów angielskich za żonę Eliza-

beth Pol Glez, obniżam cenę za imię. - Te słowa powtórzył już w swoim języku, żeby pisarz zrozumiał, po czym ruchem ręki odprawił Polgaze'a. - Następny!

Następny był młody rybak lat około trzydziestu kilku, niski i szczupłej budowy, o twarzy niemal tak ciemnej jak u kapitana. Tylko zmarszczki wokół oczu pozostawiły białe kreski. Pod skórą przeżyły się mięśnie jak postronki. W kieszeniach miał jedynie składany nóż, który rais zważył w ręku i rzucił Ibrahimowi, poszarpaną chusteczkę i parę miedziaków.

- Henry Symons z Newlyn. Moja rodzina jest bardzo biedna, nie dadzą wam za mnie ani pensa.

Rais się roześmiał.

- Potrafiś wiosłować?

- Oczywiście - odparł zdziwiony. - I na żeglownaniu się znam.

Pirat rzekł coś w swoim języku, a pisarz zanotował to z uśmiechem.

Potem przyszła kolej na starego marynarza, który lata służby na morzu miał już dawno za sobą. Cat rozpoznała w nim Thomasa Elysa. Wiek pochylał mu plecy, a artretyzm zniekształcił stawy. W kieszeniach czekała na odebranie srebrna trójpensówka i poźółkły kościany grzebień. Rais obejrzał jego szorstkie, zrogowaciałe dłonie i stwierdził, że to robotnik i nie ma co liczyć na to, że ma jakiegoś bogatego syna. Odwrócił się do pisarza i przez kilka chwil nad czymś debatowali. Potem przywołał jednego ze swych ludzi i krótkim gestem wskazał na starego rybaka. Pirat bez słowa popchnął Thomasa Elysa w stronę burty, bezceremonialnie chwycił go za nogi i przerzucił. Po chwili rozległ się plusk, a potem nastąpiła cisza.

- Ty barbarzyńco! - krzyknął pastor. Spojrzał w dal. Znajdowali się na środku pustego, falującego oceanu. Nawet zdrowy młody człowiek nie zdołałby dopłynąć do najbliższego brzegu.

- Niech Pan nasz, Jezus Chrystus, ma go w swojej opiece.

Rais wzruszył ramionami.

- Mamy za mało prowiantu, żeby go marnować na bezużytecznego starca, którego i tak nikt nie kupi. Jeśli temu waszemu Jezusowi zależy na jego duszy, uczyni cud. - Ze spokojem odpierał wściekłe spojrzenie pastora. - To Rzymianie pierwsi nazwali mój lud barbari, czyli „dzicy”, ale to byli głupcy i każdy, kto po nich to słowo powtarza, też jest głupcem. Mój naród mówi o sobie Imazighen - „wolni ludzie”: jesteśmy Berberami i jesteśmy z tego dumni. W domu w górach mówię językiem swojego narodu, kiedy spotykam się w kazbie z partnerami w interesach, rozmawiamy po hiszpańsku, z podwładnymi na statku rozmawiam po arabsku i w portowym lingua franca. Znam też angielski i trochę holenderski. Przeczytałem od deski do deski Koran, a z ciekawości także fragmenty waszej Biblii. Mam w swoich zbiorach *Podróże** Ibn Battuty, poezje Mawiana Rumiego, Muqaddimah Ibn Khalduna i *Cosmographia Dell Africa* Al-Hasana ibn Muhammeda a l - Wazzana. Wszystkie je przeczytałem. Powiedz mi teraz, kto tu jest barbarzyńcą?

- Porywanie z domów niewinnych ludzi, a zwłaszcza kobiet i dzieci, i sprzedawanie ich jako niewolników, jest aktem barbarzyństwa.

Korsarz uniósł brwi.

- W takim razie to samo można powiedzieć o wszystkich wielkich narodach świata: Hiszpanach, Francuzach, Portugalczykach, Sycylijskich i Wenecjanach. Przez rok pracowałem na sycylijskiej galerze, mam wiele blizn na plecach. A Anglicy? Wasi wspaniali bohaterowie Drake i Hawkins to też barbarzyńcy, i to o wiele gorsi niż korsarze ze Sla, przez ignorantów nazywanego Sale, bo porywali ludzi tylko dla zysku i traktowali ich jak bydło.

- A wy nie?

- Ja jestem al-ghuzat, wojownik Proroka. Ja i moi ludzie prowadzimy dżihad, świętą wojnę na morzu i lądzie, chwytam

* Pełny polski tytuł brzmi *Osobliwości miast i dziwy podróży 1325- 1354*, Książka i Wiedza, Warszawa 1962 [przyp. tłum.]

my w niewolę niewiernych i sprzedajemy ich na targu. Robimy to na chwałę Boga i dla pożytku ludzi; pieniądze na rym zarobione przeznaczamy na polepszenie bytu naszej społeczności. Najwyższy jest zadowolony, gdy bogactwa niewiernych wracają do Allaha.

- A więc jesteś nie tylko barbarzyńcą, ale i heretykiem!
- Oczy pastora płonęły, a broda łopotała na wietrze. Cat stwierdziła, że wygląda jak jakiś prorok ze Starego Testamentu, jak Mojżesz ściągający plagę na Egipt.

A I - Andalusi zerwał się na równe nogi, potracając przy tym fajkę. Woda z dymem wylała się na pokład.

- Nigdy nie waż się używać wobec mnie tego słowa! Hiszpanie nazywali heretykiem mego ojca. Inkwizytorzy łamali mu kołem kości, ale nie zdołali złamać jego ducha. - Odwrócił się i coś krzyknął do swoich podwładnych. Trzech natychmiast pobiegło spełnić rozkaz. Wrócili bardzo szybko. Jeden niósł żelazny pręt z płaską końcówką, a dwaj pozostali niewielki kociołek. Postawili go na pokładzie obok wodza i ten, który trzymał pręt, od razu wsunął go między rozżarzone węgle i trzymał dotąd, dopóki nie zrobił się najpierw czerwony, a potem biały. Walter Truran przyglądał się temu z czymś w rodzaju fascynacji, nie mógł oderwać oczu. Potem zaczął się modlić.

A I - Andalusi wydał rozkaz i mężczyźni zdarli pastorowi buty z nóg.

- Skoro tak mocno wierzysz w swego proroka na krzyżu, będziesz miał zaszczyt do końca życia nosić jego znak.

I skinał na piratów. Jeden powalił pastora na ziemię i przytrzymał, a drugi przyłożył rozpalone żelazo do białych, pomarszczonych podeszew jego stóp. Cat zamknęła oczy, lecz nie dało się odciąć zmysłów od skwierczenia przypiekanej skóry ani woni spalonego mięsa, która rozeszła się w powietrzu.

Gdy pastor, jęcząc, leżał na pokładzie, Ashab Ibrahim przetrząsał mu kieszenie i wydobyl z nich nożyk do owoców z rączką z kości słoniowej, garść drobnych monet oraz mały

oprawiony w skórę psalterz. Al- Andalusci przejął go z ciekawością i rzucił pastorowi z powrotem.

- Jeśli nie powiesz, jak się nazywasz, będziesz figurował w wykazie jako imam.

- Ani się waż nadawać mi jakieś pogańskie tytuły! Nazywam się Walter Turan, a obok możesz dopisać „Sługa Boży”. Ale ostrzegam, nie będziesz miał od kogo wyłudzić okupu.

Rais wzruszył ramionami.

- Masz twardy charakter i mocny kregosłup. Może zechcą cię wziąć na galery. Albo będziesz zabawiał swoimi tyradami sultana Mułaj Zidane'a. Nóg ci nie skujemy, dopóki wszyscy nie zobaczą, co czeka tych, którzy zamierzają mi się przeciwstawiać. Od dziś, ilekroć postawisz stopę na ziemi, zlepczesz symbol swej fałszywej religii. Tak jak powinno być.

Teraz przed oblicze kapitana przyprowadzono Cat. Była tak przerażona tym, co przed chwilą widziała, że nie umiała spojrzeć w oczy oprawcy. Spuściła głowę i modliła się w duchu, żeby to wszystko odchyło się jak najszybciej. Nawet brud, ciasnota i mrok ładowni były lepsze niż to. Nie mogła opanować drżenia kolan.

- Jak się nazywasz?

- Catherine... - wydusiła z siebie ciekim głosem. Jeszcze raz nabrała powietrza i powtórzyła: - Catherine Anne Tregenna.

- Nosisz zieloną suknię, Catrin Anne Tregenna. Dlaczego?

Pytanie tak ją zaskoczyło, że podniosła głowę i nagle jej oczy znalazły się na poziomie oczu raisa. Świdrował ją wzrokiem.

- To... zwykła stara sukienka, sir... - wyjąkała.

- Zielony jest kolorem Proroka. Mogą ją nosić tylko jego potomkowie. Czy ty pochodzisz od Proroka?

Przerażona Cat potrzęsnęła głową. Zaschło jej w gardle.

- Zdejmij to! Kto bezprawnie nosi ten kolor, obraża Proroka. Cat zrobiła wielkie oczy.

- Ale... nie dam rady, jest wiązana na plecach...

Al- Andalusci nachylił się do niej.

- Kobieta, która nie może się sama ubrać, pewnie ma służącą. Czy ty jesteś bogata, Catrin Anne Tregenna?

Co miała odpowiedzieć? Uznała, że najlepiej będzie dać im do zrozumienia, że warto ją zachować całą i zdrową na okup. Nie chciała być wyrzucona za burtę, napiętnowana jak pastor albo co gorsza, potraktowana jako zwykła dziwka i rzucona na pożarcie wygłodniałej żalodze. Wyprostowała się i rzekła:

- Nazywam się Catherine Tregenna, mieszkam w majątku Kenegie i powodzi mi się nie najgorzej.

Rais zaczął to tłumaczyć pisarzowi, a ten szybko notował.

- Odwróć się - nakazał, dobywając zza pasa ozdobny sztylet.

Obawiając się najgorszego, Catherine wykonała polecenie i czekała na dotyk zimnej stali na szyi. Zamiast tego usłyszała szmer przecinanych sznurków, poczuła zwolnienie ucisku i nagle zielona suknia znalazła się u jej stóp, a Cat została tylko w cienkiej bawełnianej koszuli. Odruchowo skrzyżowała ręce na piersiach, czując na sobie oblepiające ją niczym pajęczyna spojżenia żalogi.

Al-Andalusi schylił się i strzepnął suknię. Wypadła z niej sakiewka, którą od razu porwał.

- Co to? Biblia czy jakieś modlitwy do waszego boga? - spytał, wymachując jej ukochaną książeczką.

Z miejsca odezwało się w niej silne poczucie własności. Nikomu nie wolno tego dotykać: ta książka zawiera najskrytsze sekrety. Niewiele myśląc, wyciągnęła rękę i chciała ją odebrać. Przez chwilę patrzyli sobie z raisem w oczy. W końcu on ustąpił.

- To są wzory do wyszywania. - powiedziała cicho.

- O, proszę zobaczyć... - otworzyła na stronie, gdzie nie złążyła jeszcze nic zapisać i pokazała mu piękną arabeskę, która świetnie by się nadawała do ozdobienia pończoch albo mankietu koszuli. - Można je skopiować i wykorzystać. Jak tutaj. - To już był szczyt odwagi: Cat uniosła odrobinę spódnice, żeby mu pokazać wzór na pończosze.

Rais przekrzywił głowę.

- I sama to zrobiłaś?

- Sama.

Rzucił kilka słów do pisarza, który dopisał coś na liście. Potem oddał Catherine sakiewkę.

- Kobiety z dworu sułtana dużo płacą za taką pracę. Mogłabyś je nauczyć nowych wzorów. - Zwęził oczy. - A i sam sułtan pewnie dużo by mi zapłacił za taki dodatek do jego haremu. Zwłaszcza, gdyby zobaczył tę jasną skórę i włosy barwy zachodzącego słońca. Za tak cenną zdobycz wyznaczam cenę ośmiuset funtów.

Osiemset funtów! To była niewyobrażalna suma. Cat przyciskała sakiewkę do piersi i czuła, jak jej serce łomocze. Ty głupia dziewucho, przeklinała się w myślach, sądziłaś, że uda ci się przechytryć kogoś takiego? Teraz wyznaczył za twoją głowę taką cenę, że już nigdy nikogo nie będzie stać na okup i do końca swych dni pozostaniesz na obcej ziemi, usychając z tęsknoty za brzmieniem angielskiej mowy, dotykiem kornwalijskiego deszczu, za Robem i jego dobrocią, i za tymi wszystkimi zwyczajnymi rzeczami, którymi gardziłaś, a wszystko przez swoją próżność. Jeden z piratów zarzucił na nią gruby wełniany chałat z kapturem i odprowadził ją do ładowni. Szła przed nim, potykając się, jakby we śnie, z którego być może nigdy się nie obudzi.

ROZDZIAŁ 13

Ludzie, którzy byli tu wcześniej, nazywają naszych porywaczy Korsarzami z Sale i mówią, że pochodzą z Maroka na Wybrzeżu Berberyjskim w Afryce, ale kiedy Cyganka mi wywróżyła bardzo daleką podróż, której uwieńczeniem ma być połączenie Nieba i Ziemi, nawet nie przypuszczałam, że może chodzić o coś tak straszego. Jakże żałuję, że modliłam się o taki los. Jeżeli Bóg teraz na mnie patrzy, zapewne śmieje się z mej próżności...

Trudno było zasnąć po przeczytaniu ostatnich wpisów Catherine. Już zaczęłam się wciągać w codzienne życie w Kenegie, te drobne frustracje i zazdrości charakterystyczne dla małych, zamkniętych społeczności, coraz lepiej sobie radziłam z archaicznym słownictwem i pisownią, ale to po prostu zważyło mnie z nóg. Tak lubiłam czytać te jej cierpkie uwagi na temat koleżanek i opisy udręki przeżywanej w związku ze zmuszaniem jej do małżeństwa z kuzynem (który nawiasem mówiąc, wydał mi się bardzo przyzwoitym facetem). Nawet czekałam z nadzieją, że może się dowiem, jak w siedemnastym wieku wyglądało wesele, czym dekorowano dom, co się jadło, jak się ubierano. No i oczywiście bardzo mnie ciekawiło, jak sama Cat odnajdzie się w nowej sytuacji kobiety zamężnej. Zafascynowała mnie ta dziewczyna sprzed wieków, wciągnęły mnie jej losy, przejmowałam się jej nadziejami i obawami. Chciałam się też dowiedzieć czegoś więcej o antepedium, czy hrabina Salisbury w końcu ich odwiedziła czy nie. Chciałam się przekonać, czy kiedy wresz-

cie pokazała swe dzieło tej szacownej damie, ona i Lady Harris okazały należyty zachwyt i zdumienie ambitnością jej wizji oraz kunsztem wykonania. Teraz przyznaję, że liczyłam, iż uda mi się odnaleźć to płótno i uczynić je tematem artykułu, oczywiście bogato ilustrowanego. Przez chwilę miałam nawet pomysł - niewiarygodne - żeby poprosić Annę o parę kontaktów do osób, które pomogłyby mi go gdzieś opublikować.

To dramatyczne zdarzenie w kościele było dla mnie sporym zaskoczeniem. Mieszkałam w Kornwalii do osiemnastego roku życia, ale nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek słyszała słowa „Berberowie” i „piraci” występujące jednocześnie. Nie wiedziałam, co myśleć: albo historia regionu, której mnie uczono, opierała się na fałszywych założeniach, albo Cat miała bujną wyobraźnię i za pomocą szalonych opowieści zwalczała nudę i frustrację. Jeżeli to pierwsze, muszę wygrzebać jak najwięcej informacji na ten temat. Postanowiłam, że po wizycie w Mousehole z Alison i Michaelem ulotnię się pod byle pretekstem i pojedę do miejskiej biblioteki w Penzance. Poszperam w Internecie, przejrzę półki z książkami traktującymi o lokalnej historii i spróbuję znaleźć wszystko, co się da o Kornwalii lat dwudziestych siedemnastego wieku.

Dręczyło mnie jednak kilka spraw: jak to się stało, że w czasie napadu piratów Cat miała przy sobie książkę i ołówki, i jak zdołała kontynuować prowadzenie dziennika w tak strasznych warunkach, jakie panowały w ładowni? A jeśli nawet udał jej się taki wyczyn, jakim cudem książka trafiła z powrotem do kraju, a dokładniej na strych domu Alison, tak blisko miejsca, skąd Cat została porwana? Jeżeli jednak było inaczej i rozterki osobiste rzeczywiście skłoniły Cat do ucieczki w fikcję, historia, którą stworzyła, czyniłaby z niej pierwszą angielską powieściopisarkę, wyprzedzającą Daniela Defoe o prawie sto lat. Obojętnie, jak było, książka stanowiła niezwykle cenny dokument. Dlatego tym bardziej postanowiłam ją trzymać z daleka od Michaela.

Zostawiliśmy samochód na obrzeżach i ruszyliśmy piechotą główną ulicą miasteczka. Gdy wyszliśmy za róg i naszym oczom ukazały się nagle szerokie, oblane słońcem wody oceanu, każde z nas wydało okrzyk zachwyty.

- Coś niesamowitego! - Michaelowi aż oczy błyszczały, gdy ogarniał wzrokiem kolorowe łodzie kołyszące się leniwie w bezpiecznych ramionach portowej zatoczki i kłębowisko domków wypełniających otaczające ją strome wzgórza.

Naszła mnie refleksja: gdyby usunąć samochody i jachty, latarnie uliczne i turystów, widok ten w zasadzie niewiele się zmienił od stuleci. Mało jest na świecie takich miejsc, a i one straciły wiele ze swego ducha. Mousehole natomiast zachowało coś z tej rzadko już spotykanej serdeczności typowej dla miast, gdzie mieszkańcy zajmują się swoimi sprawami, a na turystów patrzą jak na pływy morza: przychodzą i odchodzą. Na czarnej tablicy wystawionej przed sklepem spożywczym ktoś nagryzmolił kredą: „Alan, wszystkiego najlepszego z okazji 73 urodzin!”. Na przystanku zebrała się grupka starszych pań ewidentnie chadzających do tego samego fryzjera (i to takiego, który opanował jeden styl uczesania typu siwy hełm z trwałąj) i wesoło sobie plotkowały. Gdy je mijaliśmy, usłyszałam, jak jedna mówi: „...no więc jak zwykle rano wstał i poszedł do łódki, i nawet nie zauważył, że ona nie żyje”, co z jakiegoś powodu wywołało chichoty koleżanek, jakby tego typu przeoczenia zdarzały się tutejszym mężczyznom codziennie.

- To będzie tam - oświadczył Michael, skonsultowawszy się z ręcznie naszkicowaną mapką. Nawet z daleka poznałam rękę Anny. Ta kobieta idealnie się nadaje do tego typu zadań, jest skrupulatna, dokładna i drobiazgową aż do bólu. Gdyby to ona była kartografem w czasach Magellana, nie mielibyśmy na mapach tych wszystkich fantastycznych potworów wynurzających się z głębin, ostrzeżeń „tu żyją smoki”, syren ani innych zbędnych zawijasów, lecz suchy opis „otwarty ocean”. Chyba właśnie

ten kompletny brak wyobraźni ułatwił Michaelowi utrzymanie w tajemnicy naszego romansu przez tak długi okres.

Ulica, którą nas prowadził, była zbyt wąska dla ruchu samochodowego, mieszkańcy więc zapełnili ją kwiatami, które wprost wylewały się ze skrzynek. W donicach rosły ogromne sędziwe eonium o ciemnych mięsistych liściach, a przy jednym z domostw ktoś pomysłowo umieścił przeciętą na pół starą łódź i postawił na ławkach doniczki z pelargoniami. Domek należący do Anny miał ściany bielone wapnem i ładne bładoniebieskie okiennice, okna były upstrzone odchodami mew, a dach zarósł ptasim zielem, lecz mimo to wyglądał jak z bajki.

Kiedy weszliśmy do środka, czar przysł. ledwie Michael otworzył drzwi, w nozdrza uderzył nas odór pleśni, wilgoci i stęchlizny. Było tam ciemno, brudno i wszystko się sypało. Nisko zawieszony sufit pożółkł ze starości i od dymu tytoniowego. Staruszek, który wynajmował ten dom, musiał chyba namiętnie palić fajkę. Fotele były poplamione i wytarte na oparciach. W jednym z tyłu aż wyłażyła gąbka — dzieło kota, który ostrzył sobie pazurki o tapicerkę.

- Biedactwo - powiedziała Alison. - Trzeba mu tylko poświęcić odrobinę troski i uwagi. - W pierwszej chwili myślałam, że wypatrzyła gdzieś rezydującego tu kocura, który po śmierci właściciela na powrót zdziczał, ale potem do mnie dotarło, że ma na myśli dom.

Michael uśmiechnął się kwaśno.

- To samo powiedziała agentka nieruchomości, ale ja zrozumiałem, że wystarczy rzucić trochę świeżej farby na ściany i położyć nową wykładzinę.

- Ach, ci agenci - wyróciła oczami Alison. - Co oni mogą wiedzieć.

Przy ścianie stały sterty pudeł, na których widniały napisy „Książki” i „Naczynia”. Michael od razu ruszył do tej pierwszej, zdjął najwyższe pudło i zaczął je opróżniać na podłodze, przeglądając łakomym wzrokiem zawartość. Czyżby liczył, że znajdzie tam więcej antyków w stylu *Skarbczyka*? Kucnęłam obok

niego, żeby zobaczyć, co tam jest. Na wierzchu leżały kieszonkowe wydania popularnych i modnych niegdyś czytań - powieści z czasów drugiej wojny światowej i amerykańskich kryminałów. Pożółkłe starocie, nic ciekawego.

- Ten dom od dawna należy do rodziny Anny? - zapytałam od niechcenia.

Michael zmarszczył brwi. Wziął do ręki jakiś tom obłożony szarym papierem, chyba wycofany z biblioteki, zajrzał na stronę tytułową, przetrzepał książkę na wypadek, gdyby coś kryło się między kartkami i odłożył ją na bok.

- Chyba tak. Nie wiem.

- Wygląda, jakby utknął w pętli czasu - nie ustępowałam.

- Czy Anna tu kiedykolwiek była?

Spojrzał na mnie z nieszczęśliwą miną.

- Z tego co wiem, nie. A po co miałyby przyjeżdżać?

- No wiesz, ja tam bym wolała mieć oko na swoją własność. To trąci arogancją pobiera co tydzień pieniądze za czynsz i pozwalać, by dom popadał w ruinę. Żal mi tego biednego staruszka, który musiał tu mieszkać.

- Słuchaj, ja z tym nic mam nic wspólnego. Przyjechałem tylko przejrzeć to, co zostało, i się upewnić, że ludzie z firmy przeprowadzkowej nie przeoczyli czegoś ważnego.

- Jak ta książka, którą mi dałeś?

Pamiętnik Catherine cały czas leżał u mnie w torebce. Czulałam go, emanował taką energią, że aż się zdziwiłam, że Michael nie wyczuł jego obecności.

- Ej, skończcie te docinki - wkurzyła się Alison. Chodź, Julio, rozejrzemy się. - Chwyliła mnie za rękę i wyciągnęła z pokoju. Uchyliłyśmy głowy pod belką i znalazłyśmy się w małej ciemnej kuchni.

- Nie możecie się postarać i zachowywać wobec siebie kulturalnie?

Skrzywiłam się. Zaczynałam żałować, że przyjechałam. Ławiej mi leczyć urażoną dumę, kiedy jestem z dala od Michaela.

Poza rym wciąż nie dawała mi spokoju historia Catherine. Odczułam nagłą potrzebę, żeby wybiec na powietrze, usiąść w słońcu i poczytać, co było dalej.

- Wiesz co, chyba pójdę się przejść - powiedziałam do Alison. - Coś mnie głowa boli.

- Aha. No dobra - odparła zdziwiona. - A nie pogniewasz się, jeśli zostanę i jeszcze się porozglądam?

- Rób, co chcesz. - To nic było miłe, ale nie miałam ochoty silić się na uprzejmość. Wciąż byłam na nią zła, że ściągnęła tu Michaela.

Kiedy przechodziłam przez pokój, Michael przeglądał właśnie trzecie pudło.

- I co, znalazłeś coś ciekawego?

Pokręcił głową z ponurą miną.

- Sama makulatura.

- Dobrze ci tak - mruknęłam pod nosem i wyszłam.

Chciałam sobie znaleźć dostatecznie ustronne i słoneczne miejsce, gdzie można by spokojnie poczytać, lecz zdążyłam ująć zaledwie kilka metrów, kiedy zamachała do mnie jakaś drobna staruszka. Gdy się zbliżyłam, spostrzegłam, że ma mocnego zęza: lewe oko uciekało na zewnątrz. Zakłopotana obejrzałam się za siebie, bo nie wiedziałam, czy na pewno chodzi jej o mnie, ale na ulicy nikogo więcej nie było.

- Dzień dobry - zagadnęłam.

Zrównała się ze mną.

- Ty czegoś szukasz, moje dziecko.

- Nie, wyszłam tylko na spacer, podziwiam widoki...

Jej uśmiechnięta twarz była delikatnie pomarszczona jak skóra na starej sofie, jedno oko patrzyło mi przez ramię, a drugie skupiało się na mojej brodzie. Czułam się nieswojo, nie bardzo wiedziałam, gdzie patrzeć. Staruszka nachyliła się do mnie.

- Przecież widzę. - Poklepała mnie po ręce. - Wszystko dobrze się skończy, zobaczysz.

Najwyraźniej jakaś miejscowa wariatka. Uśmiechnęłam się.

- Dziękuję, dobrze wiedzieć. Mieszka pani w przepięknym miasteczku, które zaraz zamierzam dokładnie zwiedzić. - Chciałam odejść, ale ona chwyciła mnie za rękę.

- Jeśli chcesz odnaleźć to, czego szukasz, musisz się udać w daleką podróż. Ale odkryjesz tam nie to, czego się spodziewasz. To będzie... - tu się rozpromieniła, jakby obdarowywała mnie największym błogosławieństwem — o wiele cudowniejsze niż wszystko, co kiedykolwiek sobie wyobrażałaś. Odmieni twoje życie. Jeżeli jednak tutaj zostaniesz, dogoni cię przeznaczenie. Anne Badcock nigdy nie kłamie. - Pojedyncza chmura zasłoniła słońce i staruszka nagle uwolniła moją rękę. - Oni tu byli - mrugnęła porozumiewawczo. - Przypłynęli morzem i porwali ich. Ludzie już zapomnieli. Nie pamiętają najważniejszych rzeczy. Ale przeszłość jest silniejsza, niż myślą. To wielki *czarny* przypływ, który w końcu nas wszystkich pochłonie i pociągnie na dno.

To rzekłszy, pokuśtykała w dół uliczki, nie mówiąc „do widzenia” ani nawet się nie oglądając. Zdumiona odprowadziłam ją wzrokiem. Potrafi czytać z myślach czy jest po prostu stuknięta? A może jednak, podpowiadał mi ten irytujący głosik w głowie, ona naprawdę coś wie. Anne Badcock. Jakbym gdzieś słyszała to nazwisko, tylko gdzie?

- Gdyby zburzyć tę ściankę między jadalnią a kuchnią, zrobiłoby się jaśniej i zyskałbyś sporo miejsca.

Alison aż się oczy świeciły. Wyglądała, jakby za chwilę miała wybuchnąć albo histerycznym śmiechem, albo płaczem. Możliwe, że ta wizyta za bardzo jej przypomniała wspólne odnawianie domu z Andrew. Widać jednak było, że jest zdeterminowana: zależało jej na rym projekcie, jeżeli nie dla pieniędzy, to po to, żeby mieć odskocznnię od rzeczywistości. Siedzieliśmy na tarasie w hotelu Old Coastguard, dopijając butelkę różowego wina po wcześniejszym spożyciu dań z miejscowych ryb i spróbowaniu

komwalijskich serów. Gdy tylko kelner zabrał naczynia, Alison rozłożyła na stole szkice i notatki.

Michael całkowicie się jej poddał, kiwał tylko głową i zadawał pytania.

- I to wszystko, mówisz, ile by kosztowało?

- Szesnaście, siedemnaście tysięcy. Znam paru dobrych lokalnych rzemieślników, a mnie możesz wziąć na kierownika budowy. Z przyjemnością będę nadzorować prace.

- Pogadałam z Anną, zobaczę, co ona na to. Ale moim zdaniem pomysł jest niegłupi. Nikt nie kupi tego domu w obecnym stanie.

- Zwłaszcza zawałonego makulaturą - dorzuciłam.

Zacisnął usta, przez co wyglądał strasznie nadeśto. Jeżeli nie będzie się pilnował i pozwoli, żeby negatywna strona jego osobowości wzięła górę, wróćce się zamieni w starego zgreba. Odwracając się do Alison, tym razem uniósł nieco lewy bark, jakby chciał mnie odciąć od rozmowy. Zabolalo mnie to, ale odezwałam się możliwie najbardziej beztruskim tonem:

- Idę na autobus do Penzance. Zobaczmy się później, Al. Wezmę jakęś taksówkę albo coś.

- Ala - zmarszczyła czoło, jakby czekała na wyjaśnienie.

- Muszę wstąpić do paru sklepów - powiedziałam. Nie chciałam, aby zauważyła, że czuję się odrzucona i smutna. Wstałam i zarzuciłam torebkę na ramię.

- A ze mną się nie pożegnasz? - zapytał Michael z miną urażonego.

- Wydawało mi się, że pożegnaliśmy się już jakiś czas temu - odparłam chłodno. Kiedy odchodziłam, czułam na sobie jego wzrok.

Pół godziny później siedziałam zaszyta na piętrze miejscowej biblioteki, przed starym jak świat komputerem podpiętym do kiepskiego łącza internetowego. Wpisałam do Google'a słowa „berberyjscy piraci Komwała” i kliknęłam. Wyświetliło mi się

ponad dwanaście tysięcy stron zawierających tę nieoczywistą kombinację słów. Wybrałam kilka na chybił trafił i w krótkim czasie poczułam się, jakbym żyła w innym świecie. Okazało się, że pod powierzchnią rzeczywistości, którą znam, kryje się cała nieznaną historią.

Według różnych źródeł, akademickich, historyków amatorów, oficjalnych dokumentów państwowych i nielicznych potomków naocznych świadków tamtych czasów, od początku szesnastego do końca osiemnastego wieku północnoafrykańscy piraci porwali i sprzedali do niewoli ponad milion Europejczyków. To *nie* w porównaniu z około dwunastoma milionami Afrykańczyków wywiezionych do obu Ameryk, ale liczba jest znacząca. Między drugą a czwartą dekadą siedemnastego wieku, Kornwalia i Devon straciły jedną piątą swojej floty, a w samym tylko tysiąc sześćset dwudziestym piątym roku wzięto do niewoli ponad tysiąc żeglarzy i rybaków z Plymouth i innych nadmorskich miejscowości obu hrabstw. Na stronie urzędu miejskiego w Bristolu wyczytałam, że berberyjska flota zdobyła wyspę Lundy na Kanale Bristolskim, zaprowadziła tam islam i uczyniła z niej ufortyfikowaną bazą wypadową, z której korsarze wyruszali napadać na bezbronne wioski i miasta północnej Kornwalii i Devonu. Ich bastionem była muzułmańska osada rybacka Salé w pobliżu Rabatu na północy Maroka, a załogę stanowiła zbieranina zniechęconych i rozczarowanych kaprów z różnych morskich krajów Europy, którzy znaleźli tam schronienie w jednym szeregu z przedstawicielami niezwykle zróżnicowanej populacji zamieszkujących ten region: Berberami, Arabami, Żydami oraz Moryskami, czyli muzułmanami wygnanymi z katolickiej Hiszpanii, kraju, w którym ich rodziny mieszkwały od pokoleń. Na wybrzeżu berberyjskim owi Europejczycy znaleźli ludzi gotowych zemścić się na świecie chrześcijańskim, od którego doznali prześladowań. Ludzi dysponujących środkami, umiejętnościami i wolą, by poprowadzić morską wojnę i zaatakować wroga u jego wybrzeży. Co więcej, była to wojna pro-

wadzona za przyzwoleniem władców, a motywowana nie tylko żądzą bogactwa, lecz i gorliwością religijną.

Jednym z najbardziej operatywnych korsarzy był ponoć Anglik nazwiskiem John Ward, który został renegatem wkrótce po rym, jak król Jakub I podpisał traktat pokojowy z Hiszpanią, zamykając mu jednocześnie możliwość legalnego atakowania hiszpańskich statków przewożących zrabowane skarby. Ward został admirałem pirackiej flotylli z Salé, przyrzekając stać się wrogiem wszystkich chrześcijan, nękać ich flotę i pozbawiać bogactw, wyruszył do północnej Afryki, przeszedł na islam, przyjmując imię Yusuf Reis, i zaczął uczyć miejscowych zasad nawigacji i obsługi małych, zwrotnych okrętów żaglowych. Pewien szczególnie nieustraszony przywódca korsarzy Jan Janz, Holender używający muzułmańskiego imienia Murad Rais, popłynął podobno aż na Islandię i w portowym mieście Reykjavik wziął do niewoli czterystu ludzi, których potem sprzedał na berberyjskich targach niewolników z dużym zyskiem ze względu na ich mleczną karnację i jasne włosy.

Znalazłam też wzmiankę o liście burmistrza Plymouth z kwietnia tysiąc sześćset dwudziestego piątego roku, w którym ostrzeża on Tajną Radę, że rozmawiał z człowiekiem, który na własne oczy widział flotyllę żaglowców („trzydzieści okrętów”) wypływających z portu w Salé w Maroku i kierujących się ku naszym wybrzeżom prawdopodobnie z zamiarem zdobycia niewolników. Widać wyraźnie, że ówczesne władze nic nie zrobiły z tą informacją.

Dopiero jednak ostatni link, który przejrzałam, przyprawił mnie o dreszcze. Pewien libański historyk specjalizujący się w tej epoce, cytując ówczesne gazety, opisał przypadek z lata tysiąc sześćset dwudziestego piątego roku, kiedy to muzułmańscy korsarze wywlekli z lokalnego kościółka w Mounts Bay „około sześćdziesięciu mężczyzn, kobiet i dzieci i załadowali ich na statek”. Przez chwilę nie mogłam opanować drżenia. Przeczytałam ten artykuł kilkakrotnie, aby się upewnić, czy dobrze zrozumi-

łam. Wyjęłam książkę od Michaela i położyłam ją przed sobą na stole. Gapiłam się na nią zdumiona zbieżnością dat. Siedzę sobie oto w bibliotece w Penzance, nad zatoką Mount's Bay, lewa ręka spoczywa na miękkiej skórzanej okładce niezwykłego siedemnastowiecznego pamiętnika, a prawa na twardym i gładkim plastiku komputerowej myszy. Dawna i współczesna technologia połączone ludzkim mostem spinającym cztery stulecia. Mój umysł nareszcie uznał to, co serce dawno przeczuwało: Catherine Anne Tregenna naprawdę została porwana przez okrutnych piratów w trakcie niedzielnej mszy, aby półtora tysiąca mil i dwa kontynenty dalej zostać sprzedaną na targu białych niewolników.

W tym momencie, jakby energia tego połączenia wywołała iskrę, która przeskoczyła inną przepaść emocjonalną, odezwał się mój telefon. Dzwonił Michael.

Powinam się rozłączyć, niechby miał za swoje, ale spanikowałam, widząc wokół zgorzone spojrzenia czytelników i szybko wybiegłam na zewnątrz odebrać.

- Słucham?

- Czemu rak nagle uciekłaś? No i to zdanie na koniec: „Wydawało mi się, że pożegnaliśmy się już jakiś czas temu”. Przykro mi się zrobiło.

O mało nie wybuchnęłam śmiechem.

- Tobie? Biedactwo. A co ja mam powiedzieć? To ty mnie rzuciłeś, nie ja ciebie.

- W i e m , wiem. Ale popełniłem błąd. W ogóle nie powinienem był tego robić.

- Czego?

- Nie powinienem był z tobą zrywać. Julio, ja już dłużej nie wytrzymam. Nie mogę bez ciebie żyć. Tęsknię.

Każda porzucona kobieta marzy, żeby coś takiego usłyszeć. Całymi dniami zastanawia się, co mu wtedy odpowie, żeby facetowi poszło w piętę. Niestety, ja w tej chwili nie umiałam sobie niczego przypomnieć. Dlatego z moich ust wydobyło się tylko żałosne:

- Naprawdę?

- Spotkajmy się dziś wieczorem. Przyjedź do hotelu, zjemy razem kolację. Możesz zostać na noc, jeśli zechcesz. - Potem rzucił jakąś niedwuznaczną aluzję, która wywołała we mnie znajome ukłucie pożądania.

- Wiesz co, to chyba nie jest najlepszy pomysł... - powiedziałam.

- Może i nie, ale w naszym przypadku zawsze się sprawdza. Zgódź się, przecież tego chcesz. Potem możesz mi poczytać do snu parę porad o wyszywaniu z tej swojej książeczki.

To było jak kubeł zimnej wody wylany prosto na głowę.

- Nie mogę - odparłam stanowczo. — To za wcześnie, za bardzo mnie zraniłeś. Najpierw muszę się zastanowić, czego ja w ogóle chcę i co jest dla mnie dobre. A nie sądzę, żeby spędzenie z tobą nocy wyszło mi na zdrowie. Idź na długi spacer, a potem weź zimny prysznic. Do jutra. - I rozłączyłam się.

Cała się trzęsłam. Na wszelki wypadek wyłączyłam komórkę. Gdy wróciłam na swoje miejsce w czytelnii, okazało się, że połączenie z Internetem się zerwało.

ROZDZIAŁ 14

Catherine

1625

Już prawie dwa tygodnie, odkąd jesteśmy na morzu, ale to będzie cud, jeśli dotrzemy żywi, zważywszy na warunki, jakie musimy znosić: niespokojne wody oceanu, ciasnota, głód, choroby i brutalne traktowanie. Już jest nas mniej, gdyż straciliśmy troje dzieci i dwóch mężczyzn, którzy zmarli od ran odniesionych w czasie starć w Plymouth. A nie dalej jak dziś rano wyzionęła ducha pani Ellys, osłabiona i zrozpaczona po stracie ukochanego męża, ale dotąd nikt nie zabrał jej ciała. Leży tu wśród nieczystości, dokładając się do smrodu. Moja matka nie domaga, a ja nijak nie mogę jej pomóc. Nie mamy dostępu do światła i świeżego powietrza, dokuczają nam muchy i robactwo, a na własne uszy słyszałam tupot szczurów po pokładzie. Może i lepiej byłoby, gdyby nas zagłodzili na śmierć, zanim zgnijemy w tym bagnie i robactwie. Kto by nas teraz zobaczył, nie pozna, żeśmy ludzie różnych stanów, bo wszyscy wyglądamy jak obdarci żebracy sfłoczeni w jednym miejscu niczym świnie w chlewie.

Bywały dni, kiedy Cat marzyła, by złożyć głowę na ramieniu sąsiadki i po prostu umrzeć, kiedy już nie mogła znieść smrodu i ciasnoty, bólu brzucha i potwornej, dławiącej atmosfery beznadziei, która ogarnęła cały ten nieszczęsny ludzki ładunek.

Na początku oburzeni traktowaniem więźniowie przebąkaliwali o rewolcie. Chcieli napaść tych, którzy przynosili im jedzenie, powalić ich na ziemię i utopić w odchodach tworzących pod pokładem drugie morze, a potem wykraść im klucze do kajdan, uzbroić się w co się da i przejąć okręt. Z upodobaniem ubarwiali te fantazje najwymyślniejszymi szczegółami: jak to obezwładniliby kapitana i wypalili mu oczy tym samym prętem, którym napiętnowano stopy pastora, jak rozebraliby go do naga i wyrzucili za burtę na pożarcie rekinom, patrząc ze śmiechem, jak rozszarpują mu po kolei wszystkie członki; jak powiesiliby angielskiego renegata Ashaba Ibrahima na rei, pozbawiając go wcześniej przyrodzenia, które przechodząc na islam musiał być poddać pogańskiemu rytuałowi obrzezania; jak pojmaliby resztę załogi i wrzucili do tej cuchnącej ładowni, a potem powróciwszy triumfalnie do rodzimego portu, przekazali ich władzom jako zakładników za biednych rodaków, którzy wciąż są przetrzymywani w Sale.

Kapitan Goodridge opowiadał, że słyszał o udanej próbie buntu na algierskim statku korsarskim. Jeńcy jakimś sposobem zdołali przekupić jednego Europejczyka z załogi, aby ich uwolnił i dostarczył broń. Zabili kapitana i wrócili do Plymouth, wpływając dumnie do portu na pełnych żaglach, a potem upiekli prosiaka i paradowali z nim przed muzumłańskimi piratami, grożąc, że każą im go jeść, aż się popłaczą z obrzydzenia.

Osobiście Cat podejrzewała, że kapitan zmyślił tę historię, aby dodać otuchy sobie i innym. Ale to nie podziałało: na wzmiankę o jedzeniu wiele osób zaczęło się ślinić i jęczeć, przypomniawszy sobie o głodzie, a inni zwymiotowali, powiększając jeszcze warstwę cuchnących nieczystości, które chlupotały pod stopami.

Dość szybko wygasły te buntownicze zapędy. Wystarczyło kilka kolejnych dni spędzonych w niewygodach, nagłe załamanie pogody i sztorm, który ich sponiewierał i posiniaczył oraz niespodziewana śmierć pierwszego z trojga dzieci, małego chłopczyka

pokonanego przez gorączkę i biegunkę, żeby zwątpienie wzięło górę. Matka chłopca lamentowała nad bezwładnym ciałkiem, dopóki piraci nie przyszli go zabrać. Wtedy wpadła w histerię, że go zjedzą i nikt nie był w stanie jej pocieszyć, że to nieprawda, bo właściwie wcale nie byli tego pewni. Echo jej zawożenia jeszcze długo odzywało się w ładowni, we dnie i w nocy.

Później jeden po drugim zaczęli chorować. Następnych dwoje dzieci dostało gorączki - trzyletnia dziewczynka i ośmioletni chłopiec. Cat go znała, grali razem w kręgle w ogrodzie, kiedy w świąteczne dni przychodził z matką do dworu. Męczył się kilka dni, lecz gdy wreszcie umarł, Cat nie była w stanie ani płakać, ani się modlić. Zastanawiała się, czy ta pierwsza niemożność wynikała z tego, że pozbyła się emocji, czy z braku wody przestała wytwarzać łyzy. Co do drugiej kwestii, wiedziała, że wiara ją zawiodła. Bo jak tu wierzyć, że istnieje Bóg, który tak kocha swój lud, że pozwala, aby dzieci umierały w tak straszliwy sposób.

W ciągu tygodnia biegunka albo inne dolegliwości zabrały dziewiętnaście osób: młodych i silnych mężczyzn, krzepkie kobiety, żywotne dzieci. Wśród nich znalazł się Thom Samuels, któremu rana na ręce zaczęła się jątrzyć tak, że całe ramię szczerniało, kapitan Goodridge, którego statek zaatakowano na wodach kanału La Manche, mąż Nell, William Chigwine, mąż Jordie Kellynch, który jeszcze przed porwaniem od wielu dni kasłał, Anne Hoskens z Market - Jew i stary Henry John z Lescudjack, a także jej najmłodszy kuzynek, mąż Jack Coode.

Rany Waltera Trurana pomimo warunków zagoiły się nad wyraz szybko. Byli tacy, którzy wierzyli, że to wypalone piętno go chroni; inni szeptali o cudzie. Tylko matki zmarłych dzieci rzucały mu spojrzenia spode łba, które zdradzały ich prawdziwe odczucia: wołałyby, żeby Bóg oszczędził ich dzieci kosztem pastora.

Wreszcie, wobec widma utraty całego cennego ładunku, przysłano do ładowni medyka okrętowego. Zjawił się raczej wbrew swojej woli. Wysokiemu mężczyźnie z długą szpakowatą

brodą, oświetlonemu wąłym światłem latarni, którą niósł w dłoni, towarzyszyło jeszcze dwóch ludzi, w tym Ashab Ibrahim. Jedną ręką przytykał chustkę do twarzy, a drugą popychał lekarza.

- Kto tu jest chory? - zawołał.

W odpowiedzi podniosła się wrzawa. Medyk był przerażony. Zagadał po arabsku do Anglika, a ten pokręcił głową.

- W takim razie rób, co się da.

Medyk zaczął ostrożnie chodzić między ławkami i ogładał to język, to białka oczu. Niektórych ludzi bał się dotknąć: to znaczyło, że im już nic nie pomoże. Kiedy podszedł do kobiety siedzącej dwa rzędy przed Catherine, wzdrygnął się. Kobieta odwróciła głowę i Cat rozpoznała w niej Nell Chigwine. Z rozchylnych ust ściekały jej na suknię cienkie strużki wmiocin, na czole perliły się krople potu. Oddech miała płytki. Lekarz pokręcił sceptycznie głową i mocno gestykulując, czym prędzej się wycofał. Stał przed Ibrahimem i mówił do niego bardzo wzburzony. Pokazał palcem na chorą kobietę, a potem na podłogę zalaną odchodami. Podnosił głos i wymachiwał rękami. W końcu Ibrahim wzruszył ramionami i pochylił się, aby odemknąć rygiel, który przytrzymywał kajdany.

- Wstawaj! - rozkazał i kopnął mężczyznę z brzegu rzędu, gdy ten nie zareagował. - Rusz się!

Mężczyzna podniósł się ociężale, ból nieużywanych mięśni wykrzywił mu twarz. Stał, kołysząc się w rytm przechyłów okrętu. A więc to rybak - pomyślała Cat, patrząc, jak odruchowo balansuje ciałem. Nell też wstała, ale natychmiast się zachwiała i upadła.

- Wstań! - syknął rybak. - Tu chodzi o twoje życie. - Złapał ją pod ramię i podciągnął do góry. Wczepiła się w niego oburącz. Wyglądało, jakby znów miała upaść, ale jakąś wewnętrzną siłą woli podźwignęła się i stanęła prosto. Przypominała bardziej zwłoki niż żywego człowieka.

Renegat ustawił pierwszą grupę więźniów w szeregu, po czym odwrócił się i powiedział do reszty:

- Medyk kazał was wyprowadzić na pokład, żebyście po-
oddychali świeżym powietrzem. Wychodźcie po kolei grupami.
Kto nie da rady o własnych siłach wejść po schodach, będzie
wyrzucony za burtę. Jedna osoba z każdego rzędu przed wyj-
ściem posprząta wasze gówna, a wracając, przyniesiecie w wi-
adrze wody i zmyjecie podłogę. - Wziął od kompana metalowy
kubek i rzucił w kierunku jednej z kobiet. Kiedy tamta zaczęła
zbierać odchody, Cat odwróciła wzrok i modliła się w duchu,
aby jej nie przypadła w udziale ta przykra czynność.

Patrzyła, jak trzy kolejne szeregi skutych więźniów wyko-
nują polecenie Ibrahima. Wychodzili, po chwili wracali, zmy-
wali podłogę i znów zajmowali swoje miejsca. Bardzo chciała już
wyjść. Niemal czuła to słone powietrze, które czekało na nią na
górze. Wreszcie po jakimś czasie, który zdawał się dłużyć w nie-
skończoność, Ashab Ibrahim podszedł do niej i odpiął kajdany.

- Teraz wy.

Wstali, słaniając się na nogach, i próbowali utrzymać rów-
nowagę. Ku swemu przerażeniu Cat odkryła, że po dwóch tygo-
dniach spędzonych w skulonej pozycji jej nogi nie są w stanie
utrzymać jej ciężaru, mimo że sporo schudła. Upadła na męż-
czyznę w rzędzie przed nią, który w proteście zaklął szpetnie.

Renegat złapał ją za rękę i podźwignął do góry.

- Nie możemy sobie pozwolić, żeby cię wyrzucić za bur-
tę. Jesteś zbyt cennym towarem. - powiedział i obrzucił ją lu-
bieźnym spojrzeniem.

Wzburzona, zebrała wszystkie siły i powłócząc nogami, ru-
szyła wraz z innymi w stronę schodów. Łańcuchy z brzękiem
objały się boleśnie o kostki. Zadanie wysprzątania odchodów
przypadło komuś innemu.

U szczytu schodów uderzył ją w twarz podmuch świeżego po-
wietrza. Zakręciło jej się w głowie i przez chwilę nie wiedziała,
gdzie jest. Musiała zamknąć oczy przed oślepiającym słońcem
i mocno trzymać się ścian. Ktoś z tyłu ją pchnął.

- No idź, nic masz siły?

Pierwsze, co ujrzała, wchodząc na pokład, to bezmiar wszechogarniającego błękitu: u góry lazurowe niebo poznaczone wysokimi pierzastymi chmurami, w dole zaś aż po horyzont ocean, a na nim białe kreski fal. Blask słońca odbijającego się w wodzie i biel nadętych żagli tak bardzo raziły ją w oczy, że musiała spojrzeć w dół na ciemne deski pokładu. Dwa tygodnie - pomyślała (wszyscy obliczali upływ czasu na podstawie zmian natężenia mroku w ładowni) — dwa tygodnie nie widziała świata zewnętrznego i nie oddychała świeżym powietrzem. Zrozumiała, jaką sielanką było życie w Kenegie. To zaiste próżność pragnąć czegoś więcej ponad proste przyjemności.

Chodzili po pokładzie, potykając się o własne nogi, nieczystości wylali za burtę („Tylko błagam, nie pod wiatr” - rechotał renegat), nabrali kilka wiader morskiej wody i zaczęli szorować swe brudne ciała i odzież. Sól wżerała im się w rany: najtwardsi mężczyźni wyli z bólu.

Piraci żartowali między sobą i przyglądali się im takim samym nieprzyjaznym, taksującym spojrzeniem jak dzikie koty mieszkujące na farmie w Kenegie. Ciekawe, co sobie myśleli. Czy wyśmiewali się z tych nieszczęsnych, bladych istot, które zniewolili? Liczyli pieniądze, które dostaną w nagrodę? Szacowali, kogo za ile można sprzedać na targu? A może ich myśli podążały zupełnie innymi, mroczniejszymi ścieżkami? Cat przykucnęła pod chałatem, używając go jednocześnie jako myjki i ręcznika. Jakimż wstrętem musimy ich napawać, myślała, brudni jak zwierzęta, zawszeni, słabi i schorowani. Doprowadzili nas do takiego stanu, żeby nas upodlić i pozbawić człowieczeństwa. I tak nas teraz postrzegają: jako zwykły towar, bezrozumne stado owiec, które trzeba jakoś utrzymać przy życiu, aby cokolwiek na nim zarobić. Cat jeszcze mocniej zaczęła szorować skórę, jakby się bała, że ten brud nigdy z niej nie zejdzie.

Nagle z tej czynności wykonywanej niemal jak w transie wyrwało ją czyjeś nawoływanie. Podniosła wzrok i zobaczyła,

że na dziobie stoi człowiek i zaczyna recytować melodyjnym głosem:

- Allah akbar. Allah akbar. Achehadou ana illah illallah. Achehadou ana mohammed rasoul allah. Haya rala salah. Haya rala salah. Haya rala falah. Haya rala falah. Qad qamatissaa. Qad qamatissaa. Allah akbar. Allah akbar. Laillah ilallah...

Cała załoga przerwała swoje czynności i szybko podbiegła do rozstawionych na pokładzie wiader z piaskiem. Każdy zanurzył w nim ręce i wtarł go w dłonie jak mydło. Potem przesunęli dłońmi po twarzach, trzykrotnie, jakby je myli. Nabrali kolejną garść piasku i w ten sam sposób „umyli” najpierw lewą, potem prawą rękę aż do łokcia. Znow trzykrotnie. Cat przerwała ablucje i przyglądała się temu z zafascynowaniem. Rozejrzała się wokół i zobaczyła, że inni więźniowie robią to samo. Jakbyśmy oglądali misterium - pomyślała. Przypomniało jej się, jak w dzieciństwie ojciec zabrał ją pewnego razu na występy wędrownych aktorów, którzy przyjechali do Truro. Niewiele z tego wtedy rozumiała, ale nie mogła oderwać oczu. Bała się ich, mieli na sobie dziwaczne kostiumy - diabeł z twarzą uczernioną sadzą, czerwonymi włosami i baraniami rogami przymocowanymi do głowy; chór aniołów obleczonych w białe prześcieradła, kołyszający się hipnotycznie i zarazem złowieszczo - ale oni znajdowali się przynajmniej w bezpiecznej odległości, a poza rym wiedziała, że po przedstawieniu wróci do domu.

Piraci odwrócili się teraz ku lewej burcie i stanęli twarzą do starego człowieka odzianego w białą szatę z kapturem. Stali w ciszy, jakby wszyscy byli pogrążeni w myślach, nawet ci spławiający wrażenie najbardziej brutalnych, po czym padli na kolana i trwali tak bez słowa przez minutę, może dłużej. W końcu pochylili się i dotknęli czołami desek pokładu: raz i drugi. Wtedy dotarło do Cat, że oni się modlą, wśród nich także kapitan, który nie różnił się teraz niczym od szeregowych członków załogi.

Wstali i ponownie odprawili ten sam rytuał. Więźniowie niepewnie przestępowali z nogi na nogę. Nie wiedzieli, co ro-

bić. Na statku nie było gdzie się schować, a ucieczka możliwa była tylko w jedną stronę - za burta rozciągał się pusty, bezkresny ocean. Jeden po drugim odrywali wzrok od modlących się korsarzy. I właśnie wtedy John Symons go zauważył.

- Statek - szepnął podniecony, pokazując palcem punkt w oddali.

Cat i reszta, osłaniając oczy przed słońcem, spojrzeli w tą stronę. Rzeczywiście, na północnym horyzoncie, od strony rufy, majaczył duży żaglowiec, ale był jeszcze za daleko, żeby dostrzec, jaka bandera powiewa na maszcie.

- Hiszpański - stwierdził marynarz z okrętu handlowego porwanego przez piratów na kanale La Manche.

- T o , że karawela, jeszcze nic nie znaczy - mruknął Dick Elwith. - Ci arabscy korsarze mają statki wszelkich typów: pinki, szebeki, brygantyny, kogi i karawele też. Pochodzenie nieważne, liczy się to, kto jest na pokładzie. I nie ma sensu wypatrywać bandery, co wiem, niestety, z własnego doświadczenia. Oni sobie mogą wywiesić flagę dowolnego państwa, żeby potem ją zamienić na swój przeklęty symbol. - Lecz mimo to wyteżył wzrok i z zaciekawieniem przyglądał się zbliżającemu się okrętowi.

Co za różnica, jeśli okaże się, że to hiszpański statek? Catherine pamiętała opowieści o Hiszpanach, którzy palili domy w Mousehole, Newlyn, Penzance, a także kościół w Paul. Nic napawały nadzieją na o wiele lepsze traktowanie niż teraz. A co będzie, jeśli zaatakują piratów? Zauważyła teraz armaty sterzące z kadłuba większego statku. Jeśli skierują je na nich, jakie mają szanse? Lepiej zginąć w wybuchu czy zostać sprzedanym na targu niewolników? Nagle ogarnęły ją takie mdłości, że musiała się wychylić za burtę i wymiotować.

Być może ten raptowny ruch zwrócił uwagę raisa, ponieważ oderwał się nagle od modlitwy, wytrzeszczył oczy, skoczył na równe nogi i zaczął wykrzykiwać jakieś polecenia. Natychmiast zrobił się ruch i cała załoga zajęła wyznaczone pozycje

przy żaglach albo przy działach. Dwóch ludzi wspięło się po linach na najwyższy maszt, żeby lepiej widzieć; ktoś pośpiesznie zwinął pirackie flagi.

Więźniowie stali nieruchomo niczym drzewa pośrodku huraganu.

- Na dół z nimi! - krzyknął rais do Ashaba Ibrahima.

Dick Elwith błyskawicznie spojrzął na zbliżającego się renegeata, potem na statek, jakby coś obliczał. Cat zauważyła na jego twarzy lekki, smutny uśmiech. Mrugnął do niej.

- Nie mam zamiaru przechodzić przez to jeszcze raz. Wołę zaryzykować i poddać się Hiszpanom albo pójść na dno, ale nie dam się zachłostać na śmierć na galerach. - To rzekłszy przechylił się przez burtę i skoczył.

Ibrahim natychmiast podbiegł, ale nic już *nie* mógł zrobić.

- Cholerny głupiec! - pieklił się, patrząc w dół na spienioną toń, w miejscu gdzie zniknął Elwith. - A mógłby być z niego całkiem niezły pirat, gdyby nie był taki uparty. Co za problem zostać mużłamaninem, wystarczy wypowiedzieć parę słów i pozbyć się kawałka niepotrzebnej skóry. To niewiele, żeby móc wieść życie sto razy lepsze. Teraz będzie tylko żarciem dla ryb.

- On zamierza dopłynąć do tego statku - powiedziała ze złością Cat.

- Skuty nigdzie nie dopłynie. - Renegat chwycił ją za rękę.
- Złaz na dół, bo nas tu czeka ciężka robota.

W ładowni więźniowie z powrotem stłoczyli się na podłodze i czekali, nasłuchując. Po pierwszym wystrzale z armaty poznali, że statki starły się w walce. Kobieta po lewej stronie Cat, która dotąd niewiele się odzywała, zamknięta we własnym nieszczęściu, znienacka złapała ją za rękę.

- Nazywam się Harriet Shorte - powiedziała. - Jeżeli zginę, proszę zawiadomić mojego męża, co się ze mną stało. Ma na imię Nicholas, Nicholas Shorte, ale wszyscy wołają go Mały Nick. Mieszkamy w Penzance przy Market Street, wszyscy nas

tam znają. W sobotę wieczór przed tym porwaniem pokłóciliśmy się. Powiedział mi, że nie jest żadnym purytaninem i nie ma zamiaru w ten sposób wychowywać naszych synów, więc zabrał ich na mszę do świętych Rafała i Gabriela. - Rozległ się huk i statek zatrząsł się od dzioba po rufę, jak gdyby Bóg zdzielił go pięścią. Po twarzy kobiety zaczęły płynąć łzy; Cat nawet w ciemności widziała, jak błyszcza. - Żałuję, że go nie posłuchałam. Gdybym nie była taka uparta, nie byłoby mnie tutaj. Niepotrzebnie uniosłam się gniewem, trzeba było iść razem z nimi. - Przełknęła ślinę. - Powiedziałam mu... posłałam go do diabła, a potem wybiegłam z domu. - I zaniósł się płaczem.

Cat ujęła jej dłoń.

- Przyrzekam, że jeśli cokolwiek się z panią stanie, dam mu znać. Ale proszę się nie bać, wszystko będzie dobrze... - skłamała. Jeżeli statek znów zostanie ostrzelany, jeśli kula przebije ładownię, jakże uda im się przeżyć, gdy do środka wdrze się woda? Przykuci łańcuchami do żelaznych belek utoną jeden po drugim.

Z prawej strony usłyszeli przeraźliwy zgrzyt, który się rozszedł po całej długości kadłuba, polem serię wystrzałów z muszkietów i stłumione krzyki w oddali. Przez jakiś czas rozlegał się potężny rumor, jakby nad ich głowami przetaczała się burza, potem statek szarpnął, woda w zęzach zachlupotała i zaczęła płynąć, dość szybko, jak się zdawało.

Rozległy się kolejne stłumione wystrzały, tym razem z dalszej odległości, a potem nagle okręt zakołysał się siłą odrzutu od salwy z własnych dział. Wreszcie zapadła cisza, słychać było tylko skrzypienie desek i głuchy szum morza.

- Próbuja im uciec - odezwał się gruby głos. - Nie mają wyjścia, tamci są lepiej uzbrojeni.

- Co to dla nas oznacza? - zapytała Jane Tregenna. - Jeśli nas dogonią, zatopią?

- Raczej spróbują przejąć statek. Jest stary, ale ciągle na chodzie. Niezły łup dla każdego kapitana. Poza tym głowy tych

piratów mają swoją cenę. Tamci dostaną nagrodę za pojmanie jeńców, a potem wykorzystają ich na wymianę za własnych. Z tego co tu niektórzy powiadają, sporo Hiszpanów musi gnść w berberyjskich kazamatach lub krwawić pod biczami nadzorców na galerach.

- Hiszpanie nie przepadają za Anglikami - wtrącił Walter Truran.

- Ty byś im się na pewno nie spodobał - zaśmiał się gorzko inny mężczyzna. Miał irlandzki akcent. - Ale nie bój się, ja im nie wygadam, że nie jesteś katolikiem.

Płynęli i płynęli, aż zapadła noc, ale nikt się nie zjawił, żeby o zwykłej porze przynieść im posiłek.

- Coś się musiało stać - orzekł Isacke Samuels.

Lecz w tej samej chwili luk ładowni się otworzył i na dół zszedł Ashab Ibrahim wraz z dwoma kompanami. Jeden miał na głowie zakrwawiony turban, drugi obandażowane ramię. Gdzie jedzenie?

- Macie dla nas chociaż odrobinę świeżej wody? - burknęła Jane Tregenna.

- Nie przyszlśmy tu spełniać waszych zachcianek - odparł Ibrahim. - Mam do wykonania rozkazy od raisa.

Zapanowało ogromne poruszenie, ludzie zaczęli krzyczeć i złorzeczyć.

- Milczeć, bo sam wam gęby pozamykam! - wrzasnął na cały głos Ibrahim. Podeszedł do rzędu Catherine i odpiął wielki żelazny klucz od łańcucha, którym był opasany. Odblokował rygiel. Mężczyzna z brzegu zaczął się podnosić, lecz Ibrahim usadził go butem. - Siedz, psie! Po dziewczynę przyszedłem.

Cat instynktownie zacisnęła dłonie na zimnym metalu. Obawiała się najgorszego. Ibrahim to zauważył i zaczął się śmiać.

- Głupia gęś. To nie to, co myślisz. Rais chce cię widzieć u siebie.

To było jeszcze gorsze.

- Ale po co? - zapytała słabym głosem. Ten człowiek napawał ją trwogą, ale nie tylko z powodu okrucieństwa, z jakim potraktował pastora. W jego zachowaniu, w jego oczach, było coś przerażającego. Renegat smagnął ją knutem po rękach.

- Puszczaj i rób, co mówię - warknął. - Dżin nie zwierza mi się ze swoich planów.

- Dżin?

- T a k tu na niego mówimy. Dżina stworzył Bóg z ognia, który jest niewidoczny, bo nie tworzy dymu. Oj, trafny to przydomek, bo dżiny to złe duchy, potężne i mściwe. Ale przy nim nigdy go tak nie nazywaj, bo nie będzie ci za to wdzięczny.

Cat wstała z ociąganiem, jakby czekała ją wizyta u samego diabła.

Na zewnątrz księżyc oświetlał pokład ponurym blaskiem, ukazując poharatane nadburcie, złamany maszt, splątany takielunek, osmolone ślady po kulach. Grupa mężczyzn zajmowała się odcinaniem żagla z leżącego masztu, starając się przy tym zachować jak najwięcej zdalnych do użycia lin.

Przeszli na rufę i wspięli się na kasztel, cały czas śledzeni przez liczne pary czarnych oczu.

Stając na górnym pokładzie, Cat ogarnęła wzrokiem ocean, ale nigdzie nie było śladu hiszpańskiego okrętu. Chyba jednak mu uciekli, co dla piratów bez wątpienia było pewnego rodzaju zwycięstwem. Mimo to chodzili wściekli i przygaszeni. Kilku miało widoczne rany na ciele, a niektórzy, jęcząc, leżeli przy burtach. Inni pochyleni nad sznurami paciorków mamrotali pod nosem, jakby się modlili.

Weszli na schody prowadzące do kabiny kapitana. Ściany były wyłożone drewnem, a złotawy blask palących się lampionów oświetlał wyrzeźbione na ścianach liście i żołądzie, jak gdyby dla upamiętnienia dębów, które oddały swe drzewo na budowę statku. Mimo okoliczności, Cat potrafiła docenić miśsterność wzoru. Przypominał jej flamandzkie gobeliny, które

widziała w holu zamku na Mount. To zaskakujące, że te same motywy można znaleźć na pogańskim statku pirackim.

Schodząc w dół, dotarli do niskich drzwi. Ibrahim zapukał i po długim czasie drzwi się uchyliły. Zamienił kilka słów po arabsku z jakimś mężczyzną. Wtedy drzwi uchyliły się szerzej i Ibrahim wepchnął Cat do środka, sam pozostając na zewnątrz.

To był zupełnie inny świat, jak ze snów. Gdziekolwiek spojrziała, zauważała coś niezwykłego: mosiężne ażurowe lampiony u sufitu, które rzucały tańczące refleksy na kolorowe kobierce utkane z czerwonej, niebieskiej i złotej wełny, bogato rzeźbione okrągłe stoliki o blatach inkrustowanych złotem, wysoką srebrną karafkę, kolekcję zdobionych kielichów, szkatułki z kości słoniowej, srebrne podstawki do palenia kadzidełek, jedwabne tkaniny zdobiące ściany i ogromną fajkę wodną, którą przedtem widziała na pokładzie. W głębi na haku wisiała też klatka dla ptaków, ale chyba spały, bo były nieruchome i wcale nie śpiewały.

- Podejdz tu - odezwał się głos w ciemności. Cat aż podskoczyło serce.

Z wrażenie się potknęła i poleciała do przodu w ciemność. Krzyknęła i zamachała rękami, spodziewając się, że zaraz uderzy głową w coś twardego, lecz upadek zamortyzowała sterta miękkich kolorowych poduszek. Mimo to na chwilę odebrało jej oddech. Ostrożnie podparła się na rękach.

- Bardzo dobrze, że padasz przede mną na twarz - powiedział głos - bo jestem panem tego statku, a więc i twoim.

Czyjeś ręce chwyciły ją pod pachy i podźwignęły.

- Przynieście światło - rozkazał rais - żeby widziała, co ma robić.

Cat zrobiło się słabo, ponieważ cel jej przybycia stawał się przerażająco jasny: A1 - Andalusi leżał na łóżku półnagi, przykryty jedynie prześcieradłem.

- Nie! - zawołała. - Zostawcie mnie! To niegodziwość tak traktować biedną służkę i zmuszać ją do czegoś wbrew jej woli!

Nastała cisza, potem rozległ się śmiech, który zaraz przeszedł w spazmatyczny kaszel.

- Myślałaś, że chcę cię zbeczcześcić. - Rais powoli obrócił się na łóżku. Światło padało mu teraz na twarz. Cat zobaczyła, że nie ma turbanu, a ogoloną głowę pokrywa mu nieładna szczecina. Przez to wydawał się niższy i bardziej bezbronny. To wrażenie potęgowała jeszcze niezdrowa bladość cery i lśniące od potu czoło. - Cóż - rzekł, wykonując kurtuazyjny gest ręką. - Chciałbym móc zaspokoić ten kaprys, ale maa ellassaf, niestety, nie mogę. Zresztą cuchniesz jak cap, a to nie jest zbyt podniecające, nawet gdybym czuł się na siłach. Które mam nadzieję, rychło odzyskam, inch'allah. Nie, wezwałem cię tu, bo jestem ranny, a mój medyk nie żyje.

Cat osłupiała.

- Nie rozumiem - rzekła po chwili. - Ja się nie znam na uzdrawianiu.

Rais zamknął oczy.

- Wiem. Za to znasz się na czymś innym. - Rzucił kilka słów do mężczyzny, który wcześniej pomagał jej wstać i ten, delikatniej niż poprzednio, chwycił ją za rękę i zaprowadził w kąć oddzielony od reszty pomieszczenia zasłoną z koralików. Tam znalazła mały kociołek z gotującą się wodą w misce, a obok stos świeżych ubrań.

- Umyj się i przebierz - rozkazał rais. - Nie zwykłem oddawać się w ręce niewiernych, ale taka jest widocznie wola Allaha. Zabrał mi Ibn Hassana, więc nie mam wyboru. Brudne rzeczy oddaj Abdullahowi.

Ostrożnie zdjęła pobrudzoną dźelabę i wystawiła za zasłonkę, skąd ktoś ją odebrał. Stała teraz w samej koszuli i brudnych pończochach.

A1 - Andalusi jakby wyczuł jej wahanie.

- Resztę też zdejmij. Abdullah wypierze i ci odda. Tam masz przygotowane czyste rzeczy. Tylko proszę, umyj się bardzo dokładnie.

Cat posłusznie zdjęła bieliznę. Stała naga i przyciskała do piersi sakiewkę z książką - ostatnią rzecz, która ją jeszcze łączyła z poprzednim życiem. Odłożyła ją ostrożnie na bok, przejrzała ubrania i wybrała sobie białe, szerokie bawełniane spodnie, tunikę bez rękawów, a pod spód długą koszulę z białej wełnki, tak miękkiej w dotyku i delikatnej, że nie mogła się oprzeć i zaczęła ją głaskać, jakby to był któryś z kotów Lady Harris. Potem wzięła czysty ręcznik, który leżał złożony w kostkę obok miski, zanurzyła go w wodzie i zaczęła starannie obmywać całe ciało. To było o wiele przyjemniejsze niż wczorajsza zimna morska woda, która pozostawiła na skórze osad z soli. Delektowała się tym uczuciem, niemalże zapominając, że za tą lichą zasłonką, zaledwie sześć stóp dalej leży w łóżku nagi mężczyzna. Co więcej, mężczyzna, który jest zarazem piratem i poganinem, a więc potwór. W końcu czysta i umyta, pierwszy raz od ponad dwóch tygodni, i ubrana w wygodne odzienie, wyszła zza zasłony.

Rais przyjrzał się jej z zaciekawieniem.

- Znacznie lepiej, Cat'rin. Teraz wyglądasz jak Berberka.

- Catherine - poprawiła go.

Machnął ręką.

- Za trudne. Wolę Catr'in. Kazałem cię tu przyprowadzić, bo potrafisz wprawnie posługiwać się igłą.

Cat spojrzała na niego zdziwiona.

- Mam coś wyhaftować?

- Wyhaftować?

Cat pokazała na poduszkę.

- Haft.

Bez słowa odrzucił prześcieradło.

Cały bok od piersi aż do pasa miał rozplątany - Rana wyglądała okropnie, miała szerokość dłoni i było przez nią widać mięśnie oraz warstwę żółtego tłuszczu. Sączyła się z niej ciemnoczerwona krew.

- To nie wszystko. Odsłoń nogę.

Cat przyklękła i odsunęła prześcieradło. Na udzie pod grubą warstwą bandaży ziała poszarpana dziura.

- To od muszkietu. A tamta od szabli. Obie hiszpańskie.

- Splunął. - Lekarz zabity, a nikt z załogi nie umie postugiwać się igłą. Zszyjesz mi rany.

- Ale... ja nie mogę.

- Zrobisz to. - Jego ton był stanowczy. — Inaczej twoja matka umrze.

- Moja matka?

- Jane Tregenna, tak? Nie jesteście podobne, ale ona twierdzi, że jest twoją matką. Wylądujcie za burta, jeżeli tego nie zrobisz. - Odczekał kilka sekund, żeby wzmocnić wrażenie i dodał: - A jeśli ja umrę, obie was wrzucą do morza.

Przyniesiono jej grubą i nieporęczną igłę żeglarską oraz także nici. Kazała sobie naostrzyć igłę na osełce, a w tym czasie wysnuła kilka nitki z jedwabnej makaty i wygotowała je w wodzie.

- Podaj mi to naczynie - powiedział rais, wskazując na pękatą szklaną karafkę z ciężkim korkiem stojącą na stoliku. — I otwórz.

Cat podniosła karafkę, otworzyła i zmarszczyła brwi.

- Miód?

Skinął głową.

- Nałóż na ranę.

Odruchowo się uśmiechnęła.

- Moja babcia też tak robiła, kiedy ktoś z dzieci się skaleczyło. Mówiła, że wtedy ciało się nie psuje.

Korsarz uniósł brwi.

- Naprawdę? Mnie nauczyła tego moja jeddah. A jaddhi, dziadek, hodował.... jak wy je nazywacie... bzzz? - Zakręcił ręką w powietrzu, naśladując ruch owada.

- Pszczoły. Mój dziadek do dzisiaj je hoduje. - Ogarnęła ją fala nostalgii na wspomnienie małego, przytulnego domku w Veryan, gdzie dziadek palił w kominku, a babcia wędziła

szynki i smażyła konfitury. Nic widziała się z nimi od śmierci ojca, ponieważ matka nie chciała mieć więcej nic wspólnego z rodziną męża. Uważała ich za ludzi niższego stanu i nazywała „wieśniakami”. Po raz pierwszy Cat zdała sobie sprawę, że w tym względzie, jak i w wielu innych, jej matka nie ma racji.

Miód był ciemnobrązowy i bardzo gęsty, zupełnie niepodobny do tego złocistego nektaru, którym po raz pierwszy napisała swoje imię, lejąc ciekłą strużkę z łyżeczki na kromkę świeżo upieczonego babciniego chleba. Przystawiła nos do naczynia i natychmiast go cofnęła. Zapach był niezwykle mocny i intensywny, aż uderzał do głowy.

- Pochodzi od pszcz... pszczoł, które żywią się tylko dziką górską roślinnością - wyjaśnił rais, obserwując jej minę. - Ma wielką magiczną moc.

- Magia? - prychnęła. - Coś takiego nie istnieje.

- Taka jesteś pewna?

- T a k .

- A cuda, przeznaczenie?

Cat przybrała zaciętą minę.

- Moja matka zawsze powtarzała, że każdy jest kowalem własnego losu. Musimy się starać przeżyć życie najlepiej, jak umiemy, bo nikt tego za nas nie zrobi. Raz powróżyła mi Cyganka i powiedziała, że doświadczę zjednoczenia Nieba z Ziemią, że moje marzenia się spełnią, i co? Jestem uwięziona na pirackim statku, który zmierza w jakieś straszliwe miejsce, gdzie pewnie czeka mnie tylko cierpienie i śmierć. A więc nie, nie wierze ani w cuda, ani w przeznaczenie.

- Tylko Allah ma klucz do naszego qadar. On wie wszystko. Nasza dusza nie może zdecydować, kiedy się narodzić czy umrzeć, to woła Allaha. Ma wobec nas plany, dlatego musimy przyjmować wszystko, co nam zsyła.

Cat zastygła z łyżki zawieszoną nad karafką i spojrzała na niego.

- A więc nie ma znaczenia, czy obłożę tym ranę albo czy starannie ją zszyję. Jeżeli pan umrze, to z woli Boga, więc nie

rozumiem, po co zadał pan sobie tyle trudu i sprowadził mnie tutaj, grożąc przy tym mnie i mojej matce, żebym spełniła pańską wolę.

A1 - Andalusi przekreślił się na łożku, mrużąc oczy z bólu.

- Źle, jeśli kobiety próbują się spierać jak mężczyźni, a jeszcze gorzej, jeśli robią to innowierczynie, bo wy nie jesteście w stanie ogarnąć boskich wyroków. Nawet nie próbujcie. Zdenerwowałam mnie. Powiniennem od razu kazać cię wyrzucić za burtę i uwolnić głowę od hałasu, jaki czynisz swoim językiem. A jednak wygląda na to, że sam Allah mi cię zesłał, więc pewnie miał swoje powody. A teraz posmaruj rany miodem i dokładnie zeszyj skórę, a czas pokaże, jakie miał wobec ciebie plany. I wobec mnie.

Cat z zaciśniętymi ustami nabrała trochę miodu i przyłożyła do rany na udzie. Poczowała, jak twardy mięsień drgnął pod jej dotykiem. Zerknęła ukradkiem na raisa, lecz on wpatrywał się w płomień lampionu wiszącego nad głową i nic nie dało się wyczytać z jego ciemnych oczu. Zabrała się za opatrywanie zranionego boku. Skóra w tym miejscu była jaśniejsza niż na twarzy i dłoniach, i gładsza niż u niejednej kobiety - na pewno gładsza niż u Matty. Pod palcami przypominała jedwab. Sama rana wyglądała jednak okropnie. Cat ledwie się przemogła, żeby jej dotknąć i gdy tylko przyłożyła miód, musiała się odwrócić, bo dostała mdłości.

- A teraz to zszyj, jak najdrobniejszym ścięgiem - wychrypiał rais. - To ciało stworzył Bóg i musi być zdrowe, żeby mogło mu dalej służyć.

Cat nawlekła igłę i oczyściwszy umysł ze wszystkich innych myśli, skupiła się na odrażającej czynności.

ROZDZIAŁ 15

Leżę teraz w kabinie kapitana, bo kazali mi tu zostać, żebym go mogła doglądać i opatrywać mu rany, i piszę te słowa w świetle lampionu, ciesząc się wygodami, o jakich może tylko marzyć moja biedna matka, ciotka, wuj i wszyscy inni, którzy zostali na dole. Co oni muszą sobie o mnie myśleć, widząc, że od tylu dni przebywam sam na sam z tureckim raisem, choćby chory był i bliski śmierci? To nie może być nic dobrego. Wielu pewnie uważa, że nie powinnam czekać, aż umrze od ran, lecz skorzystać z okazji i od razu go zabić za te wszystkie okrucieństwa, których się dopuścił na pobożnym ludzie chrześcijańskim, ale kiedy kapitana zabraknie, będziemy skazani na łaskę takich ludzi jak Ashab Ibrahim, co wydaje mi się po sto-kroć gorszą perspektywą. Zrobię więc wszystko, co w mojej mocy, żeby utrzymać go przy życiu i mam nadzieję, że dobry Bóg się nad nami zlituje.

Al - Andalusi był silnym mężczyzną, a jako żołnierz i korsarz odniósł w życiu wiele ran, lecz wszystko wskazywało na to, że ta, którą porządna tolekańska stał zraniła w jego boku, skróci mu życie, bo mimo okładów z miodu i wprawy, z jaką Cat zszyła skórę, jątrzyła się, puchła i za nic nie chciała się zagoić.

Trzy dni walczył ze śmiertelną gorączką. Pocił się i krzyczał przez sen, nie przyjmował do ust nic prócz wody zaprawionej odrobiną cytryny. Potem gorączka spadła i mógł już zjeść gęstą papkę z ciecierzycy i czosnku. Co rano przynosili mu czerstwy

chleb maczany w oliwie i co rano połowę oddawał Catherine, pilnując, by zjadła wszystko co do okruszka.

- Dbam o swoją inwestycję - wyjaśniał, ilekroć chciała odmówić. - Sułtan zapłaci mi majątek za taką zdobycz, a chudych to on nie lubi.

Kabina była przesiąknięta wonią jego potu, która po czosnku stawała się jeszcze gorsza; potem rany zaczęły ropieć i odór był już nie do zniesienia. W chwilach przytomności rozmawiał po arabsku z odwiedzającymi go ludźmi, wydawał rozkazy, pytał o prognozę pogody i położenie statku. Jego oczy nienaturalnie błyszczały na tle coraz bardziej zapadniętej twarzy. Cat siedziała cicho w kącie, jak jej kazał, i obserwowała. Większość mężczyzn wchodzących do kabiny ignorowała ją, ale niektórzy spoglądali na nią z nieukrywaną wrogością, dotykając przy tym amuletów zawieszonych na szyi. Jeszcze inni rozbiegali ją wzrokiem i wtedy zaczynała się bać tej nieuchronnej chwili, gdy rais przegra walkę ze śmiercią.

Kiedy Al - Andalusi w końcu stracił przytomność i zaczął maczać, jego zastępca, groźnie wyglądający brodac z imieniem Rachid, przysłał angielskiego renegata, żeby czuwał przy kapitanie.

- On ci nie ufa, skarbie - powiedział Ibrahim, mierząc ją lubieżnym spojrzeniem. - Myśli, że potajemnie podtruwasz naszego kapitana.

- Niby czym miałabym to robić? - oburzyła się Cat.

- Samą swoją obecnością. Rachid uważa to za obrażę Boga, żeby niewierna przebywała w tym miejscu.

- W takim razie odeślijcie mnie z powrotem do moich towarzyszy.

Renegat wybuchnął śmiechem.

- Och, nie sądzę, żeby hodźy chodziło tylko o to, że jako grzeszna chrześcijanka zatruwasz powietrze w prywatnej kabine raisa, choć możesz być pewna, że tak myśli. Nie, hodźa za obrażę Boga uważa to, że chrześcijanie oddychają tym samym powietrzem co my. Gdyby to od niego zależało, twoja głowa nabita

na dzidę zdołałaby teraz nabrzeże w Penzance, razem z wszystkimi innymi niewiernymi, których zdołałaby zabić. Poza tym jak sądzisz, jak cię przyjmą ci wygłodzeni nieszczęśnicy na dole, kiedy się zjawisz taka czyściutka i dobrze odżywiona, hę? - I zanim Cat zdążyła odpowiedzieć, dodał: - Powiem ci, ślicznotko: pomyśla, że jesteś dziewczką kapitana, że cały ten czas pieprzył się z tobą jak głupi, a odesłał cię z powrotem do tej nory tylko dlatego, że mu się w końcu znudził twój biały tyłeczek.

Łzy stanęły jej w oczach, nie tylko z powodu dużego prawdopodobieństwa takiego scenariusza, lecz od smrodu tego mężczyzny, który coraz mocniej przywierał do niej ciałem. Była to mieszanina potu, uryny, tytoniu i jakichś ostrych ziół, od których zakręciło jej się w głowie.

- Kiedy on umrze... - ruchem głowy wskazał na leżącego bez sił raisa - zabiorę cię do siebie i będę z tobą robił te wszystkie straszne rzeczy, które teraz wyobrażają sobie ci durnie na dole. Tyle że ja, kiedy mi się znudzisz, nie odeślę cię do ładowni. O, nie. Oddam cię chłopakom z załogi, im też się coś od życia należy, nie?

Cat gwałtownie uniosła głowę, tak mocno uderzając go w podbródek, że przygryzł sobie język. Trysnęła krew, Ibrahim zaklął i wystawił pięść.

- Ty suko!

Wtem coś zabłysnęło w powietrzu i Ashab Ibrahim, wyjąc z bólu, padł twarzą na podłogę. Z pleców tuż nad prawą łopatką sterczał mu mały zakrzywiony sztylet. Zdobiący rękojeść czerwony chwost dyndał złowieszczo.

- Okaż trochę szacunku, renegacie! - wycharczał rais. — Ty bezbożny łajdaku, zdrajco, tchórz, który przyjąłeś islam tylko po to, żeby ratować swą zapchląną skórę! Nie będziesz traktował w ten sposób żadnej kobiety ani na moim, ani na żadnym innym statku naszej floty! - Dodał jeszcze kilka obelg w swoim języku, a struchlały ze strachu Ibrahim pozbierał się z podłogi i wybiegł z kabiny, znacząc drogę kroplami krwi.

A1 - Andalusi, ciężko dysząc, opadł na poduszki.

- Cat'rin, zawołaj Abdal-haqqa. Szybko!

Wyszła na schody, ale jej głos uwiązł w wąskim korytarzu. Jeszcze raz wykrzyknęła obco brzmiące imię, cym razem głośniej, aż płomień w lampionach zadrżał, a dźwięk odbił się echem od drewnianych ścian. W końcu usłyszała na górze jakieś głosy i tupot biegnących stóp. Zawołała jeszcze raz i zawróciła do kabiny.

Niestety, kiedy tam weszła, rais już nie żył.

Kilka chwil później do środka wszedł człowiek nazywany Abdal-haqq. Ogarnął wzrokiem widok. Miał czarne żywe oczy, które dziwnie kontrastowały z siwą brodą i postarzałą twarzą.

Kłęcząca przy zastygłym ciele kapitana Catherine, ubrana w białe szaty pobrudzone krwią rannego renegata, wyglądała tak, jak się czuła - na winną tego, co się stało. Zerwała się i odskoczyła na bok, lecz mężczyzna tylko na nią spojrzał i zbył machnięciem ręki. Schylił się nad łóżkiem, potrząsnął kapitana za ramię, dotknął jego czoła, a potem przyłożył dłoń do szyi. Wreszcie powiedział coś do Cat.

- Słucham? Niezrozumiałam.

Brodacz mruknął pod nosem, wyprostował się, minął ją i zniknął w głębi pomieszczenia. Stał przy ozdobnej klatce dla ptaków ukrytej w ciemnym kącie, sięgnął do środka i coś z niej wyjął.

- Ogień - rzucił niecierpliwie. - Gdzie?

Cat, zdziwiona, że na tym nieprzyjaznym okręcie spotyka kolejnego pirata mówiącego po angielsku, zamrugała powiekami.

- Już nosę - odparła. Przytaszczyła z prowizorycznej łazienki kociołek i postawiła go przed Abdal-haqgiem. Ten dmuchnął w węgielki, aż rozżarzyły się do czerwoności, wysunął szczypcy, chwycił nimi to, co trzymał w ręku i z powrotem włożył do ognia.

Cat krzyknęła z przerażenia. To, co uprzednio brała za śpiącego ptaka, okazało się być zupełnie innym zwierzęciem. Chyba gadem, bo miało łuski na skórze jak jaszczurka albo wąż, ale w niczym nie przypominało tych, które widziała w życiu. Zwierzę pod wpływem żaru wiło się i wyginało, z dziwnego, podobnego do dzioba pyska wystawał długi purpurowy język, a niezwykle opancerzone oczy obracały się na wszystkie strony. Łuskowata skóra paliła się z sykiem. Po chwili w kociołku coś jakby wybuchło.

Abdal-haqq pokiwał głową z zadowoleniem.

- Median, median.

Chwycił zwierzę za łapkę, wyjął, zaniósł do łóżka kapitana i przesunął mu nim kilka razy przed nosem. Car domyślała się, że to jakiś specjalny magiczny rytuał. Pomieszczenie wypełniła obrzydliwa, gryząca woń spalonego mięsa, wyciskając jej łzy z oczu. Jaki wpływ może mieć spalona jaszczurka na równowagę humorów krążących w ciele człowieka, zwłaszcza martwego, pojąć nie mogła, lecz nagle raś potężnie kichnął i usiadł na łóżku.

Nogi się pod nią ugięły i aż przysiadła na ziemi. Słyszała o przypadkach, kiedy ciało po śmierci wykonywało nagłe, niekontrolowane ruchy, a w jednym nawet wypowiedziało ostatnie słowo (wszak powszechnie wiadomo, że głowa Marii królowej Szkotów poruszała ustami jeszcze przez dobry kwadrans po egzekucji), lecz nigdy nie słyszała, żeby trup kichał.

- Labas aalik?

Raś opadł na poduszki. Obiema dłońmi chwycił starca za rękę.

- Labas, allhamdullah. Shokran, shrokan. Abdal. Barakallofik.

Przez chwilę rozmawiali po cichu. Potem starzec zwrócił się do Cat.

- Angielski renegat rzuci! urok na naszego kapitana. Alboua, kameleon, na jakiś czas pomoże, ale ten bezbożnik musi

umrzeć. - Poklepał sztylet zatknięty za jedwabny bandolier i dodał. - Z przyjemnością się tym zajmę.

Cat patrzyła, jak odchodził i bardziej niż kiedykolwiek czuła, że znalazła się w innym świecie. Świecie, w którym śmierć spada na człowieka zniemacka jak jastrząb, umarli siadają i mówią, a zwykłe zasady ulegają załamaniu niczym światło przechodzące przez wodę. Świecie, w którym magia nie tylko istnieje, lecz zwycięża nad logiką i rozumem.

A teraz Ashab Ibrahim, który w poprzednim życiu był zwykłym angielskim marynarzem, ma zostać zabity. Myślał, że będzie bezpieczny w tym obcym świecie, bo przejął jego zwyczaje, ubiór, religię, przybrał nowe imię, ale to wszystko było raczej przebraniem niż szczerą przemianą i właśnie dlatego go nie ocaliło. Cat nie czuła współczucia dla człowieka zwanego niegdyś Willem Martinem ani żalu, że musi zginąć z woli raisa. Dręczyło ją co innego: miała wrażenie, że to groźby renegata wobec niej wywołały gniew kapitana. Czemu w takim razie okłamał starca? Z dziwnie pojętego szacunku do niej chciał jej oszczędzić wstydu? Jeżeli jednak Ibrahim nie rzucił uroku na raisa, to jak to się stało, że zadziały czary z jaszczurką? Catherine nie mogła się w tym wszystkim połapać, to było ponad jej siły. Po twarzy zaczęły jej płynąć łzy.

— Czemu płaczesz?

Obróciła się, zaskoczona, że rais jej się przygląda. Miała wrażenie, jakby czytał w jej myślach. Speszona spuściła głowę i ukradkiem otarła łzy.

— Żal ci renegata?

Spojrzała na niego zdumiona.

- Nie, oczywiście, że nie.

— To dlaczego?

Złościł ją. Potrząsnęła głową i odburknęła:

- Nie wiem.

- Bo myślałaś, że umarłem? - zapytał z szelmowskim błyskiem w oku.

- Nie!

- Wiele kobiet opłakiwałoby moją śmierć... - Zawiesił głos i czekał na jej reakcje. - Mam dużą rodzinę.

- Ile ma pan dzieci?

Jego twarz przybrała surowy, nieprzystępny wyraz.

- Nie mam żony ani dzieci. Mam ciotki, kuzynów i ich potomstwo, których muszę utrzymać. Mieszkają w Sła i w górach. Ciężko pracuję, żeby im wszystkim pomóc. Każdej wiosny wyruszam w morze z moją flotyllą, rabuję statki, biorę w niewolę nazarejczyków, a jeśli stawiają opór, zabijam ich. Latem albo jesienią wracam do domu, sprzedaję zakładników na sukach, dzielę pieniądze między załogę, protektorów, marabuta, rodzinę i mieszkańców miasta. Każdy jakoś korzysta, materialnie czy duchowo, na uświęconej działalności ghuza... - Przerwał mu silny atak kaszlu.

- Jest pan osłabiony, powinien się pan przespać.

- Wyśpię się po śmierci, a póki co jeszcze żyję, mimo wysiłków tych hiszpańskich łajdaków. - Splunął obficie i oświadczył: - Chcę zapalić.

- Chyba nie powinien pan...

Pstryknął palcami.

- Przynieś fajkę!

Zezłościł ją ten apodyktyczny ton. Wstała, przyniosła fajkę i wetknęła mu ją w rękę.

- A proszę bardzo. Niech pan pali to świństwo i zatruwa sobie rany śmierdzącym dymem! Jest pan potworem i fanatykiem i choćby miał pan za chwilę umrzeć, nic a nic mnie to nie obchodzi!

Rais chwycił naczynie za szyjkę, ale miał za mało siły w rękach i szisza z hukiem roztrzaskała się o podłogę, bryzgając fontanną szkła, wody i aromatycznych ziół.

A1 - Andalusi ze złości zaklął na głos w swoim okropnym języku. Potem opadł na łóżko, obficie się pocąc.

- Chciałem wziąć cię do siebie na służbę, ale teraz widzę, że jesteś... kambo i głupia i zniszczyłabyś mi wszystko, co mam cennego.

- I bardzo dobrze, bo nie mam najmniejszej ochoty być niewolnicą w jakimś pogańskim chlewie!

Oczy mu się zwiężyły.

- Czy ty mnie obrażasz?

Cat uznała, że bezpieczniej będzie nie wyjaśniać mu dokładnego znaczenia tego słowa. Schyliła się i zaczęła zbierać potłuczone szkło, starając się unikać gniewnego spojrzenia raisa. On jednak nie dawał się tak łatwo zbyć.

- Co powiedziałaś? To słowo na ch...?

Jego wzrok wwiercał się w czubek jej głowy.

- To takie pomieszczenie dla świń - mruknęła po nosem, żałując swego wybuchu złości.

- A więc mną gardzisz, tak? Uważasz, że jestem głupim „poganinem”, który żyje jak świnia, w brudzie i odchodach? A może myślisz, że wszyscy w moim kraju tak żyją, że nie jesteśmy lepsi od zwierząt? — Każde słowo, które wypowiadał, boleśnie dźwięczało jej w uszach.

Przełknęła ślinę.

- Nie.

Z góry dobiegł ich przeraźliwy krzyk. Krzyk, który zawisł w powietrzu, a potem gwałtownie się urwał. Cat zamknęła oczy. Tak oto zakończył swój żywot Will Martin z Plymouth. Jeżeli Catherine z Kenegie nie będzie ostrożna, może ją wkrótce spotkać ten sam los.

Uratowała ją choroba kapitana, jako że zaraz po tym zasnął i spał niespokojnie przez całe popołudnie, wieczór i noc. Rano przestał gorączkować i obudził się sam. Na szczęście nie potrzebował pomocy kolejnego spalonego kameleona, co Cat przyjęła z pewną ulgą. Podała mu posiłek, który o świcie przyniósł pod drzwi jeden z członków załogi, i patrzyła, jak je. Po długim namyśle powzięła pewną decyzję.

- Spytał pan wczoraj, dlaczego płaczę. Powiem panu. Płakałam, bo nie rozumiem waszych obyczajów. Nie rozumiem,

dla czego kazał pan zabić Ashaba Ibrahima. Nie rozumiem tego całego „rzucania uroków” ani jak spalenie kameleona zdołało przywrócić panu życie. Nie rozumiem, dla czego tak bardzo nie-nawidzicie chrześcijan, czemu zabraliście nas z naszych domów i uważacie, że to jest w porządku. Mój umysł tego nie ogarnia. A najbardziej z tego wszystkie nie rozumiem, dla czego trzyma mnie pan w swojej kabinie. Płakałam, bo przywykłam rozumieć świat, który mnie otacza, a teraz całkiem się pogubiłam.

- Wszystko to wyrzuciła z siebie jednym tchem.

Rais przymknął oczy z wyrazem cierpienia na twarzy.

- Ach, te kobiety... Czemu one muszą zadawać tyle pytań? Nie jesteśmy tu po to, żeby rozumieć świat, tylko po to, żeby w nim żyć i okazywać za to wdzięczność. A dopiero co się obudziłem... - Głęboko westchnął. - Powiem ci, dla czego renegat musiał zginąć: bo się zachowywał, jakby moja władza na okręcie się skończyła, jakbym już umarł. Nikt nie ma prawa tknąć moich więźniów bez mojego rozkazu.

Cat wysłuchiwała tego w milczeniu, a po chwili rzekła:

- Abdal-haq powiedział, że on rzucił na pana urok i dla tego kazał pan go zabić.

Rais wykonał nieokreślony gest kawałkiem chleba trzymanym w dłoni.

- Abdal-haq to mądry człowiek. Jeśli powie załodze, że to był powód śmierci renegata, nie będą podważać mojej decyzji. Bardzo boją się klątw i takich tam. Założą mu worek na głowę i utopią w oceanie, żeby i na nich czegoś nie rzucił.

- Ale na czym to właściwie polega? Czy można komuś wyrzucić krzywdę spojrzeniem?

- Jest takie stare berberyjskie powiedzenie: „Złe spojrzenie może doprowadzić człowieka do grobu, a wielbłąda do garnka”.

- Co to takiego wielbłąd?

Al-Andalus się roześmiał.

- Ależ z was ignoranci. Nie umiem ci tego wytłumaczyć. Wielbłąd to wielbłąd i każdy wie, ile jest wart. A złe spojrzenie

jest jak światło. Widzisz je, czujesz i możesz nim komuś zaszkodzić. Przynosi chorobę lub śmierć, ale nie da się go dotknąć ani złapać. Można jedynie starać się go unikać, licząc na szczęście lub łaskę Allaha.

- Czym w takim razie była jaszczurka? Szczęśliwym przypadkiem czy przejawem woli Allaha?

A1 - Andalusiprzewrócił oczami.

- Dyskusje z niewiastami szkodzą zdrowiu. Już czuję, jak mnie siły opuszczają. Teraz *jestem* pewien, że gwiazdy na niebie to kobiety. Biedny księżyc co miesiąc chudnie w oczach wyczerpany ich ciągłym gadaniem. Kameleon ma magiczną moc, ale to Allah decyduje, czy wyleczy kłatwę czy nie. Więcej ci nie powiem, bo jako niewierna i tak tego nie zrozumiesz.

- Czemu pan nas tak nienawidzi i ciągle nazywa „niewiernymi” albo „nazarejczykami”?

- Czy ty nic nie wiesz o świecie? Chrześcijanie od tysięcy lat prowadzą wojnę przeciwko mojemu narodowi. Okrutnie nas prześladują, używając religii jako pretekstu. Moja rodzina zginęła z rąk nazarejczyków i tylko ja jeden zostałem, żeby ich pomścić.

- Aha. A jak to się stało? - spytała nieśmiało Cat.

Odwrócił wzrok.

- Po co chcesz wiedzieć?

- Może wtedy łatwiej mi będzie zrozumieć... - rozłożyła bezradnie ręce - dlaczego to robicie i czemu tu jestem...

Rais chwilę jej się przyglądał.

- Nie muszę się tłumaczyć ze swoich czynów. Poza tym ta historia nie nadaje się dla dzieci. Zwłaszcza chrześcijańskich.

- Nie jestem już dzieckiem. Nawet nie wiem, czy jestem prawdziwą chrześcijanką.

- Wierzysz w proroka Jezusa Chrystusa, tak?

Cat przygryzła wargi. Nell i Lady Harris ciągle jej zarzucały, że niedostatecznie przestrzega chrześcijańskich wartości. Teraz już sama nie wiedziała, w co wierzy ani kim jest. Została

ochrzczona w kościele w Veryan, a w trudnych chwilach modliła się po cichu do małego Jezuska, do Ojca i Syna i Ducha Świętego. Ale to było przed porwaniem. Teraz nie mogła pojąć, jak Bóg, który dba o swój lud, może dopuścić do tego, żeby cały kościół wiernych został porwany przez piratów podczas niedzielnego nabożeństwa, i pozwolić, by ci ludzie - mężczyźni, kobiety, niewinne dzieci - chorowali i umierali w tak potwornych warunkach. To wystawia na próbę wiarę nawet tych najpobożniejszych, a Cat nigdy się za taką nie uważała. Jednak nie była również muzumanką, więc co miała odpowiedzieć. Wzruszyła ramionami.

- Chyba tak.

- Więc jesteś moim wrogiem i powiem ci dlaczego. Ojciec dziadka mojej matki pochodził z Rabatu w Maroku, ale musiał wyjechać do Hiszpanii za chlebem. Zamieszkał w górach, w osadzie Maurów w Estremadurze. Tam urodzili się dziadek i ojciec matki, no a potem moja matka. Rozumiesz? Cztery pokolenia jej rodziny mieszkały w Andaluzji, pracując tam i przyczyniając się do dobrobytu regionu. Mój ojciec był kupcem, jeździł po całym Maroku, z południowego zachodu, z Tafraout, sprowadzał na wybrzeże sól, złoto i kość słoniową i udawał się z tym do Hiszpanii. W zamian kupował znakomitą hiszpańską stal, szable i muszkiety. W czasie jednej z takich wizyt poznał moją matkę, której rodzina udzieliła mu noclegu. Poprosił ją o rękę. Przy następnym jego pobycie się pobrali i wyjechali do Maroka. Zamieszkali w górach Atlasu, gdzie ja się urodziłem. Ale matka bardzo tęskniła za bliskimi i swoim domem w Hiszpanii, nie znała berberyjskiego ani arabskiego, tylko hiszpański, więc kiedy miałem pięć lat, przenieśliśmy się do Estremadury, żeby być bliżej jej rodziny. Wtedy król hiszpański Filip postanowił, że wszyscy Maurowie muszą opuścić kraj, nieważne jak długo tam mieszkali i jak bardzo czują się Hiszpanami. Niektórzy nasi krewni - wuj, kilku kuzynów - już wcześniej doświadczyli przesładowań i wyjechali. Wzięli tyle rzeczy, ile zdołali udźwignąć

i wrócili do Maroka. Ale mój ojciec był wściekły. W Hiszpanii miał cały swój dobytek, powodziło mu się w interesach. Miał wyjechać tylko dlatego, że był muzułmaninem? No więc odmówił. Zmusili go, żeby przeszedł na katolicyzm. To była dla niego hańba, ale matka go ubłagała. Zostali w kraju jeszcze trochę, ale z czasem zaczęło się dziać coraz gorzej. Ojca przestano szanować, traktowano jak psa, oszukiwano w interesach, a na koniec nadeszła Inkwizycja. Zabrali go nocą z domu. Nazajutrz rano matka wsadziła mnie na muła i wysłała górskim szlakiem do kuzyna, który miał odpływać do Maroka. Wszystkie siostry rozpaczały, że wyjeżdżam. Były wtedy małe. „My dojedziemy później” - uspokajała mnie matka, ale przeczuwałem, że już ich więcej nie zobaczę. Przepłakałem całą drogę. I to był ostatni raz, kiedy płakałem.

Cat słuchała tej opowieści, robiąc coraz większe oczy.

- I w końcu udało wam się spotkać?

Przełknął ślinę.

- Przez rok nie wiedziałem nic o ich losie. Wyjechałem z kuzynem do Slá i tam odnalazłem wuja i pozostałych kuzynów. Czekałem na matkę, ojca i siostry, ale na próżno. W końcu wuj pewnego wieczoru mówi: „Chodź ze mną. Jest tu taki jeden człowiek, hiszpański więzień”. Pojechałem do kazby w Nowym Slá, dokąd przyplływały statki z więźniami. Ten człowiek był kiedyś kowalem w Hornachos, ale kiedy Maurowie wyjechali, skończyła się praca, zaciągnął się do wojska. I on mi właśnie powiedział, że inkwizytorzy zamęczyli mego ojca na torturach. Powyrywali mu ręce i tak zostawili w celi, aż umarł. - Zamknął oczy. Widać było, jak drga mu policzek.

Cat spojrzała w dół i zauważyła, że od ściskania spódnicy zbierały jej kostki na dłoniach. Nie odważyła się zadać tego pytania, które chciała zadać, bo bała się odpowiedzi.

- Dwa dni po aresztowaniu ojca żołnierze przyszli po resztkę mojej rodziny. Matkę zgwałcili, a wszystkie siostry pozabijali. Matka umarła z żalu i wstydu. Miałem wtedy dziesięć lat. Moje

siostry dwa, cztery i siedem. Powinienem być zostać, obroniłbym je... Ten kowal, on wszystko widział. Twierdził, że próbował ich powstrzymać, ale wiedziałem, że kłamie. Wuj podał mi nóż. To był pierwszy nazarejczyk, którego zabiłem, w wieku jedenastu lat. Teraz straciłem rachubę. Przysiągłem zemstę, więc kuzy- ni wysłali mnie na termin do sławnego korsarza Yusufa Raisa, kiedyś Anglika nazwiskiem John Ward. Anglicy źle go trakto- wali, nazywając bohaterem, gdy łupił skarby dla Korony, a łot- rem, gdy robił to na własną rękę bez listów kaperskich, więc wyrzekł się chrześcijaństwa, przeszedł na islam i wypowiedział wojnę nazarejczykom. Rzekł raz do mnie: „Jeśli własnego ojca spotkam na morzu, to go ograbię, a potem sprzedam”. Był do- brym nauczycielem. Pływałem z nim pięć lat. Kiedy wyjechał do Tunisu, oddał mi ten statek. Umarł trzy lata temu, niech Al- lah ma go w swojej opiece. Teraz działam na podstawie usanza del mare, czyli Kodeksu Korsarza. Zdobywam dla mojego kraju bogactwa i przywożę dużo niewolników, zabijam Hiszpanów i nazarejczyków, damara'hum Allah, oby Bóg ich pokarał. To jest moja zemsta i zarazem misja. Nie mogę pokonać Inkwizycji ani obalić hiszpańskiego tronu, ale mogę walczyć z ich religią i siać wśród jej wyznawców strach i spustoszenie.

Oczy mu zabłyśły. Cat ze zdumieniem przypomniała so- bie, że ten sam wyraz twarzy widziała u swego dziadka, kiedy opowiadał o Krwawej Marii, przyrodniej siostrze królowej Elż- biety, która spaliła na stosie trzystu protestantów i zagroziła, że sprowadzi do Anglii hiszpańskich inkwizytorów, żeby w ca- łym kraju zaprowadzili katolicyzm. W Kornwalii powszechnie Hiszpanów nienawidzono. Dziadek stracił nawet nogę podczas obławy na hiszpański statek korsarski. Cat przypomniała sobie też, jak mieszkańcy Marazion byli wściekli i oburzeni, gdy dwa lata temu król Jakub wysłał do Hiszpanii delegację na czele ze swym faworytem Georgem Villiersem, księciem Buckingham, w celu pozyskania hiszpańskiej infantki na żonę dla księcia Walii. Thom Samuels groził wtedy, że jeśli królową Anglii zo-

stanie Hiszpanka, chwycąc za broń. Za te słowa oberwał w nos od Jacka Kellyncha, bo jego matka też jest Hiszpanką. To dość zaskakujące twierdzić, że jej pobratymcy mają coś wspólnego z tym okrutnym piratem. Z jeszcze większym zdumieniem i konsternacją odkryła, że bardzo się wzruszyła jego opowieścią. Na chwilę przestał być potworem, a stał się mężczyzną, który ma powody, by robić te wszystkie straszne rzeczy.

Przez cały ten nie odrywała od niego wzroku. Gdy zniecka podniósł głowę i ich oczy się spotkały, intensywność jego spojrzenia speszyła ją i musiała się odwrócić.

- Wciąż jednak nie rozumiem, co ma pan przeciwko nam, Anglikom? - powiedziała w końcu. - Zwłaszcza, że pływał pan z jednym z nich i dostał od niego statek. To nie Anglicy zabili panu rodzinę, tylko Hiszpanie, a teraz znów jesteśmy z nimi w stanie wojny, jak za czasów dawnej królowej, więc są i naszymi wrogami. - Po chwili dodała: - A Kornwalia to niezależny kraj, tak naprawdę nie jest częścią Anglii.

A l - Andalusia zaśmiała się krótko.

- Na hiszpańskim wybrzeżu nie ostała się ani jedna wioska, której byśmy nie spustoszyli. Teraz są silniejsi, mają za dużo broni, więc szukam nazarejczyków, gdzie się da. Twój rodacy są bezbronni, nieprzygotowani, łatwo ich zaskoczyć. - Widząc, jak posmutniała, dodał nieco łagodniej: - Masz tu, Cat'rin, trochę chleba, posil się. Skoro masz się mną opiekować, aż wydobrzeję, musisz mieć siły. - Podał jej resztki czerstwego bochenka. - Maczaj w oliwie, inaczej połamiesz sobie zęby, a wtedy nic na tobie nie zarobię. Zjedz też trochę tych owoców, pomagają na trawienie.

Obok niego na kolorowym talerzu leżało kilka czarnych, słonych owoców, które tak jej nie smakowały, oraz jakieś inne, pomarszczone, które wyglądały dokładnie jak kozie bobki.

Zmarszczyła nos.

- Nie, dziękuję.

- Spróbuj. Są smaczne. - Wziął jeden i podał jej na dłoń, a kiedy się zawahała, przysunął niemal pod nos. - Dla nas

gościnność jest bardzo ważna. Odmowa jest traktowana jak obraza.

Ugryzła kawałek i usta wypełniła jej niebiańska słodycz. Aż westchnęła z zachwytu. Zupełnie nie tego się spodziewała. Ich smak był zadziwiająco podobny do owoców nieszpułki, które każdej jesieni zbierało się w sadzie w Kenegie, a kucharka przygotowywała z nich przetwory.

- Ojej... - Połknęła resztę, aż z kącików ust pociekła jej ślina.

A I - Andalusi przyglądał się temu z rozbawieniem.

- To figa - powiedział. - Według niektórych wierzeń właśnie ten owoc Ewa zerwała dla Adama z Drzewa Poznania Dobra i Zła.

- Biblia mówi, że to było jabłko!

- Nasz Koran też. A kiedy Adam je zjadł, kawałek utkwiał mu w gardle i zrobiło się zgrubienie, które mają wszyscy mężczyźni.

- Jabłko Adama! - wykrzyknęła zdumiona Cat. - My też to tak nazywamy.

- Być może wcale nie różnimy się od siebie tak bardzo, jak myślisz.

Rais mówi, że za dwa dni dopłyniemy do Sale, a wtedy nie wiem, co się ze mną stanie. Wstał już z łóżka i rzadko go ostatnio widuję. Nie odesłano mnie pod pokład, wciąż trzymają mnie tutaj, w kabinie. Miałam nadzieję, że pozwolą dołączyć do mnie mojej matce, ale gdy o to zagadnęłam, rais tylko odwrócił głowę i nie mam odwagi pytać więcej. Lękam się o przyszłość, gdyż z powodu mego lekkomyślnego kłamstwa on wciąż sądzi, że jesteśmy zamożną rodziną, która będzie w stanie zapłacić sowity okup. Ale grozi też, że mnie sprzeda sułtanowi, który jak przypuszczam, jest w ich kraju kimś w rodzaju króla, bo mówi, że za białą dziewczynę o rudych włosach można dostać dobrą cenę na targu w Sale. Och, jak żałuję, że nie postuchałam starej Annie Badcock i nie wróciłam z Robertem do Kenegie..."

- Julio, czemu tak nagle wybiegłaś? Trochę to dziwnie wyglądało.

- J e d n a k nie mogę przebywać w jego towarzystwie.

Alison spojrzała na mnie ze współczuciem.

- Przepraszam. Zdaje się, że narozrabiałam, co? Słuchaj, jak chcesz, wycofam się z tej współpracy. Serio. To tylko kasa.

- Czy Andrew zostawił dużo długów? - Niezręcznie mi było o to pytać. - Mogłabym ci jakoś pomóc.

Uśmiechnęła się i łzy napłynęły jej do oczu.

- Nie wiem, czy sytuacja jest tak zła, jak myślę. Jeszcze nie odważyłam się spojrzeć w papiery. Ale przydałoby mi się coś do roboty, choćby po to, żeby zająć umysł.

- Absolutnie powinnaś się zająć tym remontem, jeśli tylko masz ochotę. Mną się nie przejmuj.

- Tylko wiesz... - Zrobiła zakłopotaną minę. - Obawiam się, czy mnie trochę nie poniosło, kiedy zaczęłam Michaelowi opowiadać, co można w tym domu zrobić. Strasznie się do tego zapalił. No i... zadzwonił do Anny i ona tu jutro przyjedzie, żebyśmy wspólnie wszystko obgadali.

Oślupiałam.

- Anna tu będzie? - Ciekawe, czy Michael wyskoczył z tym pomysłem przed czy po telefonie do mnie. Jeśli przed, to znaczy, że uznał, iż ma ostatnią okazję się ze mną spotkać. Jeśli po... Niedobrze mi się zrobiło. Czyżby w ten sposób chciał mnie ukarać za to, że go olałam? Niby wiedziałam, że chodzi o sprawy domu, ale coś mi podpowiadało, że kryły się za tym jeszcze inne, mroczniejsze powody. - A ona wie, że tu jestem?

- Uhm - odparła Alison. - Nie gniewaj się. Kiedy Michael odłożył słuchawkę, powiedział, że Anna cię pozdrawia i nie może się doczekać spotkania.

- Nie, to ponad moje siły. Wyjeżdżam.

Alison potarła czoło.

- Kurczę, ale się porobiło. A nie lepiej wreszcie pozbyć się tego ciężaru? Spróbować przywrócić wszystko do normy?

Pokręciłam głową.

- Za wcześniej. Nie wyobrażam sobie na razie spotkania z Anną. Jeszcze nie czuję się na siłach. - Usta mi zadrżały; myślałam, że się zaraz rozpłaczę.

Tak się stało. Po chwili i Alison miała łzy w oczach. Objęła mnie.

- Strasznie mi przykro. Jezu, teraz obie będziemy ryczeć.

Uśmiechnęłam się niewyraźnie i wzięłam się w garść.

- Wybacz, zachowuję się załośnie. To tylko głupi romans, który w ogóle nie powinien był się zdarzyć. Sama jestem sobie winna, ale ty...

- Daj spokój - machnęła ręką. - Słuchaj, a może właśnie to by ci pomogło zamknąć raz na zawsze sprawę z Michael'em?

- Nie jestem na to gotowa.

- Z tego co widzę, on też nie. Kiedy cię nie ma, bez przerwy o tobie mówi.

Moje zdradzieckie serce załomotało.

- Aha i pytał też o tę książeczkę o wyszywaniu, czy już ją przeczytałaś. Chyba myśli, że może być dużo warta.

- Jeżeli tak, powinnaś ją dostać z powrotem, Al.

Alison pokręciła głową.

- Nie, Julio. Dał ci ją w prezencie. Jest twoja. Tylko jak będziesz mu pożyczać, weź od niego potwierdzenie na piśmie, dobra?

Uśmiechnęłam się.

- Bo wszyscy wiemy, jaki z niego uczciwy facet, nie? Wiesz co, AJ, ja naprawdę powinnam wrócić do Londynu, sprawdzić, czy sklep jeszcze stoi, siebie doprowadzić do porządku.

Alison wzruszyła ramionami.

- Skoro tak, jedź. - Położyła mi dłoń na ramieniu. - Bardzo się cieszę, że przyjechałaś, Julio. Jestem ci naprawdę wdzięczna.

- A ja się cieszę, że byłam w stanie to zrobić - odpowiedziałam. Zresztą całkiem szczerze.

- Zobaczysz, jeszcze wszystko się ułoży. Przecież to się nie dzieje bez przyczyny, prawda? Czasami mam wrażenie, że istnieje jakiś nadrzędny plan, taki bajecznie kolorowy gobelin pełen powtarzających się motywów, a nasze losy są w niego wplecione. Każdy z nas jest tylko małą nitką w materii. Kiedy indziej znów ogarnia mnie przerażenie, że jesteśmy zdani tylko na siebie, że to wszystko to jeden wielki chaos i sami go sobie stworzyliśmy. - Westchnęła. - Ale patrz, ile tu mamy zaskakujących zbiegów okoliczności. Czy to nie dziwne, że Andrew wysłał książki do Michaela i jedna była akurat o hafcie, czyli dokładnie o tym, co cię interesuje, a w niej znajdują się te tajemnicze zapiski, i że Michael ją zauważył i pomyślał o tobie? Nie

mówiąc o tym, że Catherine nie tylko mieszkała w Kornwalii, ale akurat tutaj, w Kenegie? Na strychu leżało pełno szpargałów z dworu, wiesz, książki, połamane meble. Pewnie zwalili to tam, kiedy zaczynali remont głównego budynku. Musiały tam próchnieć od wieków.

- M h m m - przytaknęłam niewyraźnie. Chciałam już iść.

- To się chyba nazywa synchroniczność.

- Czytałaś, co tam jest dalej? Catherine wciąż pracuje nad tym antepedium dla hrabiny Salisbury? Myślisz, że je w ogóle skończyła?

- T e g o pewnie nigdy się nie dowiemy.

- Ty, a może zanim wrócisz do Londynu, przejdziemy się do dworu i obejrzymy sobie miejsce, w którym żyła?

Niechętnie, ale się zgodziłam.

Już pod wieczór załowałam tej decyzji. Wizyta w dawnym majątku Kenegie była smutnym przeżyciem. Alison uprzedzała, że przekształcono go w kompleks wypoczynkowy, ale nie zastanawiałam się zbytnio, z czym się to wiąże, więc widok kilkunastu szkaradnych domków kempingowych i bungalowów stłoczonych w miejscu, gdzie kiedyś musiał znajdować się ukochany sad i ogrody Lady Harris, był przygnębiający. Efekt pogłębiały kolory urządzeń na placu zabaw dla dzieci, hektarowy parking, dobudowany nowoczesny pawilon mieszczący basen i stojaki z broszurkami dla turystów reklamującymi całe mnóstwo sztucznych atrakcji: zwiedzanie rezydencji z kolekcjami tropikalnych motyli, wystawy pluszowych misiów, przejażdżki kolejką i miniaturowe zoo. Zdaje się, że całe dziedzictwo kulturowe Kornwalii zostanie niedługo sprowadzone do tego typu jarmarcznych atrakcji. Do pawilonu przylegał główny budynek dworu. Charakterystyczne dekoracyjne kominy były chyba jedynym elementem, który świadczył o jego rodowodzie. Kamienną elewację z granitu oczyszczono i uzupełniono braki, wymieniono wszystkie okna i drzwi, a tam gdzie dawniej rosły

żywopełoty i ogród zielny, znajdował się plac wyłożony betonową kostką. Na wielkiej tablicy stojącej u wejścia agencja nieruchomości przechwalała się, że w tym zabytku klasy drugiej niedługo powstaną ekskluzywne apartamenty. U dołu podali numer telefonu dla chętnych umówić się na oglądanie.

- Chodź, zadzwonimy i udamy potencjalne klientki - zaproponowała Alison.

Pokręciłam głową ze znużeniem.

- Ja dziękuję. - Już i tak byłam wystarczająco przybita. Kto mógł tak schrzanić tę piękną zabytkową posiadłość? Jak miejski wydział planowania przestrzennego mógł pozwolić na ten komercyjny policzek wobec jednego z naszych narodowych skarbów? Podzieliłam się tymi myślami z Alison.

- Prawdopodobnie przez te kilkaset lat tyle razy przy nim majstrowano, że niewiele zostało autentycznie zabytkowych elementów - odparła, wzruszając ramionami. Wetknęła głowę przez uchylone drzwi. W korytarzach słychać było odległe odgłosy prac budowlanych. Potem rozległ się dźwięk ciężkich butów stąpających po deskach i nagle ukazał się nam mężczyzna w żółtym kasku i kombinezonie, z młotkiem w ręku.

- Dzień dobry. Pani przyszła obejrzeć mieszkanie? Jest z panią agentka? - zajrzał jej przez ramię.

- Jesteśmy umówione dopiero za godzinę - skłamała z uśmiechem. - Ale pomyślałyśmy, że wpadniemy wcześniej i trochę się rozejrzemy. Wie pan, jacy są ci agenci, zawsze człowieka popędzają, żeby tylko nie zauważył tego, co mogłoby wywołać serię kłopotliwych pytań.

Oboje wybuchnęli śmiechem.

- No cóż, w takim razie zapraszam - powiedział robotnik. - Tu i tak nie ma co ukraść. Chyba że ktoś jest zapalonym kolekcjonerem wiertarek akumulatorowych, ha, ha! - I przepuścił nas do środka, a sam poszedł demolować jakąś kolejną część domu.

Jeżeli wcześniej czułam się przybita, co teraz osiągnęłam dno depresji. Jakież ślad po Catherine i jej siedemnastowiecznym

życiu mógł przetrwać wśród tych nowiutkich gipsowych ścian i instalacji, litrów śnieżnobiałej emulsji i cyfrowych łączы telefonicznych? Nic nie pozostało po poprzednich mieszkańcach. Nawet nadaktywna wyobraźnia nie pozwalała mi dojrzeć sylwetek Sir Arthura i Lady Harris w otoczeniu wykładzin z trawy morskiej i okien z podwójnymi szybami, ani Roberta Bolitho i Jada Kellyncha wśród równiutkich betonowych ścieżek czy Matty i Nell Chigwine w oceanie bezdusznej melaminy i nierdzewnej stali wypełniających piętnaście identycznych sterylnych kuchni. Założę się, że żadna stara Cyganka nie podeszłaby teraz do drzwi, prosząc o parę pensów i miskę puddingu.

Snując się smętnie za Alison od pokoju do pokoju, coraz wyraźniej sobie uświadamiałam, że jeśli gdzieś przebywa duch Catherine Anne Tregenny, to na pewno nie tutaj.

W nocy miałam sen. Nic dziwnego po dniu tak pełnym wrażeń. Żaden z obrazów, które o bladym świetle majączyły mi pod powiekami, nie wyjaśniał dręczących mnie problemów, a zdawał się jeszcze bardziej je uwydatniać: Anna w szacie z kapturem, trzymająca w ręku zakrzywiony sztylet ociekający krwią, jacyś ludzie krzyczący do mnie w niezrozumiałym języku, woń spalenizny, Michael błagający mnie o życie. Zdrzemnąłam się, wróciłam do sytuacji ze snu, potem się ocknąłam, znowu zapadłam w drzemkę i wreszcie całkiem oprzytomniałam, czując ogarniający mnie coraz większy strach.

Alison zapukała do drzwi.

- Nic ci nie jest? Już późno, po dziesiątej.
- O, cholera!

Chciałam złączyć na pierwszy pociąg do Penzance. Na dworzec dotarliśmy w końcu dopiero koło południa. Kiedy stałyśmy na peronie, patrząc, jak pasażerowie pociągu, który właśnie przyjechał z Londynu wysiadają i przeciskają się przez tłum przyjaciół i krewnych, Alison nagle zawołała:

- Czy to nie Anna?

Serce o mało nie wyskoczyło mi z piersi. Z wagonu pierwszej klasy wysiadła ciemnowłosa kobieta w świetnie skrojonym zakiecie i dżinsach z prostymi nogawkami wsuniętych w gładkie brązowe kozaki na szpilkach. Mimo grozy w obliczu nadciągającej niezręcznej sytuacji towarzyskiej, stwierdziłam, że przyglądam się z podziwem jej wrodzonemu wyczuciu stylu.

Odwróciłam się i chciałam uciec, lecz Alison złapała mnie za rękę.

- Bądź dzielna. Co jest lepsze: przywitać się i pogadać pięć minut na peronie, wiedząc, że obok stoi pociąg, którym za chwilę bezpieczne uciekniesz, czy do końca życia kombinować, jak uniknąć z nią spotkania?

W sumie racja, choć nie rozumiem, dlaczego nie miałybyśmy zmychnąć do dworcowej kawiarni i tam przeczekać, aż Anna sobie pójdzie. Zaproponowałam to Alison, ale skrzywiła się.

- Coś ty, głupia. Ona i tak cię zauważy, a wtedy od razu się zorientuje, że chciałaś się przed nią schować. Poza tym, jeśli pomyśli, że jestem w to zamieszana, wątpię, czy tak chętnie mi powierzy remont domku.

Zostałam więc na peronie, czując się jak zwierzę prowadzone na rzeź i świadome zbliżającej się nieuchronnie egzekucji, i patrzyłam, jak żona mojego byłego kochanka zmierza ku nam, ciągnąc za sobą elegancką srebrną walizeczkę. Na jej idealnie umalowanej twarzy nie widniała żadna oznaka, że nas w ogóle widzi.

Przez ostatnie siedem lat widywałam Annę tylko sporadycznie, ale to wystarczyło, by być świadkiem wszelkich zmian w jej życiu i wyglądzie. Przeważnie budziły we mnie zazdrość. Ale gdy zbliżała się w naszą stronę z oczami wbitymi w asfalt, jakby w obawie, czy nie jest zaminowany, z przerażeniem spostrzegłam, że się zestarzała. Farba do włosów i sprytne kosmetyki mogą wiele ukryć, ale nie ukryją spustoszeń dokonanych przez dramatyczne przeżycia. Kąciki jej pięknie umalowanych ust opadały ku dołowi, a wokół widniały głębokie bruzdy. Anna. Minęła nas i wy-

szła na słońce, w ogóle nas nie zauważywszy. Zrozumiałam, że właśnie patrzyłam na głęboko nieszczęśliwą kobietę.

Rozmyślałam o tym później, siedząc w pociągu. Intuicja mi podpowiadała, że cierpienie, które zobaczyłam wyrte na jej twarzy, jest cierpieniem kobiety od dawna świadomej tego, że mąż ją zdradza, ale znoszącej to w milczeniu i zdejmującej maskę tylko w chwilach samotności lub zapomnienia, takich jak dzisiaj. Przejechaliśmy Exeter, potem Taunton, za oknami przesuwają się wspaniałe krajobrazy prastarej równiny Salisbury, a ja przez trzy godziny rozpamiętywałam lata spędzone z Michaeliem. Dotykałam w myślach jego ciała, centymetr po centymetrze, nagiego i w ubraniu, podnieconego i odprężonego. Płakałam cichutko, przytulając twarz do szyby, żeby nikt nie widział. Pociąg przemknął przez Hungerford i kiedy dojeżdżaliśmy do Reading, zdążyłam usunąć Michaela z głowy, wszystkie wspomnienia zapakowałam do pudła i upchnęłam w najdalszym kącie umysłu.

Spędziwszy kilka tygodni w gościnie, z dużą ulgą zamykałam za sobą drzwi własnego domu i czułam, jak powoli otulają mnie znajome kształty i kolory.

Zaniosłam walizkę do sypialni i poszłam zaparzyć sobie herbaty. Później chodziłam od pokoju do pokoju, zaznajamiając się z moim gniazdkiem na nowo. Nie wiem, czy to wina zmęczenia, stresu, czy umysł płatał mi figle, ale co chwila jakiś drobny szczegół zwracał moją uwagę. Czy naprawdę zostawiłam niedzielne gazety rozsypane pod biurkiem? Czy książki na regałach po obu stronach kominka zawsze stały tak krzywo? Nie pamiętam, żebym porzuciła w tym miejscu pudło z dokumentami ani nie zamknęła blatu sekretarzyka. Zmarszczyłam brwi.

W sypialni odkryłam, że szuflada w nocnej szafce nie jest dosunięta do końca: z powodu zepsutej prowadnicy trzeba to zrobić umiejętnie, a tylko ja wiem jak. Ktoś tu był. Ktoś się włamał do mojego mieszkania.

W nagłym popłochu wpadłam z powrotem do dużego pokoju, ale nowiutka srebrna wieża stereo stała na swoim miejscu. Wszystkie obrazy wisiały na ścianach, a stary, wysłużony laptop nadal leżał na biurku. Nikt też nie położył się na skromną kolekcję biżuterii, która została mi po mamie.

Dziwne. Złodziej się raczej nie obłowił.

Kiedy wreszcie dotarło do mnie, co się stało, nogi się pod mną ugięły i klapnęłam na dywan.

Michael tu był. Otworzył sobie drzwi kluczem, który mu dorobiłam sześć lat temu. Dokonał niewybaczalnej inwazji, nie znalazł tego, czego szukał i jeszcze miał czelność pojechać za mną do Kornwalii. Skończony sukinsyn.

Brzuch mnie rozbolał. Naprawdę książka Catherine jest taka cenna? Jeżeli tak, to dlaczego mi ją w ogóle podarował? I co robi, kiedy się dowie, że wróciłam do Londynu? Czy grozi mi niebezpieczeństwo? Byłby w stanie zrobić mi krzywdę, żeby ją zdobyć? Zrozumiałam, że kompletnie nie znam mężczyzny, z którym sypiałam przez ostatnie siedem lat.

Wystukałam numer do Alison.

- Nic się nie martw - uspokoiła mnie. - Zatrzymam ich tutaj. I tak mieli zamiar posiedzieć kilka tygodni. Będziesz mogła swobodnie odetchnąć. Dam ci znać, jeśli Michael wyjedzie.

Następne dwa tygodnie poświęciłam na generalne porządki, pierwszy raz, odkąd kupiłam to mieszkanie. Wyrzuciłam piętnaście worków śmieci i sama też poczułam się dziwnie oczyszczona: istne katharsis. A kiedy już to zrobiłam, wystawiłam mieszkanie na sprzedaż i oddałam klucz agentowi.

Przeniosłam się do wynajętej kawalerki w Chiswick, sklep wydzierzawiłam świeżej absolwentce St. Martin* która potrzebowała miejsca do sprzedawania zabawnych ciuchów własnego

* Central Saint Martin's College of Art and Design - renomowana londyńska szkoła projektowania, część University of the Arts London [przyp. tłum.].

projektu, zaś towar, a właściwie jego resztki, odsprzedalam kobiecie, którą poznałam na targach rzemiosła w zeszłym roku.

Kiedy poczułam się absurdalnie wolna i beztroska, udałam się do księgarni Stanforda przy Long Acre i kupiłam wszystko, co mieli na temat Maroka.

W wieczór przed wylotem dopadły mnie złe przeczucia. Zadzwoiłam do Alison.

- Słuchaj, jutro lecę do Maroka. Pomyślałam, że dobrze byłoby kogoś o tym powiadomić, na wypadek gdyby coś mi się stało.

Po drugiej stronie słuchawki zapadła pełna osłupienia cisza.

- Lecisz sama? - spytała w końcu z niedowierzaniem Alison.

- Owszem. Ale będę mieszkać w pięknym miejscu, w riadzie, dawnej rezydencji kupieckiej w stolicy kraju, Rabacie. - Podałam jej adres i dane kontaktowe. Rezerwując hotel, odbyłam długą rozmowę z jego właścicielką. Mówiła piękną, płynną francuszczyzną, przy której moja szkolna, nieporadna wypadła blado. Madame Rachidi była jednak bardzo miła i wyrozumiała. Obiecała załatwić przewodnika, który mnie oprowadzi po mieście. To jej kuzyn Idriss, dobrze wykształcony młody człowiek, który świetnie zna historię regionu i doskonale mówi po angielsku. Przy okazji zapewni mi to ochronę przed ewentualnymi zaczepkami.

- Ależ, Julio, to kraj muzułmański. Nie możesz tam jechać sama.

- A czemuż by nie?

- To niebezpieczne. Tamci mężczyźni... no wiesz, kiedy widzą samotną kobietę z Zachodu, uważają, że to łatwy cel, że sama się prosi. To strasznie pruderyjny kraj. Wszystkie kobiety chodzą zakryte od stóp do głów, a seks przed ślubem jest zakazany. Zachodnie turystki muszą dla nich wyglądać jak... prostytutki, wystawiając tak wszystko na pokaz. A ty w dodatku jesteś blondynką...

- Och, przestań! - zniecierpliwiłam się. - Straszysz jak dziennikarze w gazetach. W przewodnikach piszą, że wystarczy tylko trochę skromniej się ubierać i zachować rozsądek. Madame Rachidi zapewnia, że nic mi nie grozi.

- No pewnie, przecież potrzebuje twoich pieniędzy, nie?

- Poza tym, będzie mnie pilnował jej kuzyn Idriss.

- Julio, ty chyba żartujesz. Nawet go nie znasz. Przecież on może być uosobieniem problemu!

- Al, zadzwoniłam tylko, żeby dać ci znać - powiedziałam ze złością. - I żebyś sobie zapisała mój nowy numer komórki. Odezwę się, jak będę na miejscu, dobra?

Usłyszałam, jak wzdycha.

- Cóż, skoro nie dajesz się zniechęcić...

- Wylatuję jutro o dziesiątej. Późnym popołudniem powinienam być na miejscu.

- Inch'allah.

- Bardzo śmieszne.

ROZDZIAŁ 17

Catherine **Sierpień 1625**

Dni jej się dłużyły, od kiedy kapitan wydobrzył na tyle, by z powrotem objąć obowiązki dowódcy. Wstawał co rano o świcie, gdy tylko rozlegało się pierwsze wezwanie do modlitwy, odbywał rytualne ablucje w zimnej wodzie stojącej w naczyniu za ażurowym parawanem z mahoni, a następnie brał łaskę, którą zrobili mu jego ludzie i kuśtykając, wychodził na pokład. Nie wracał aż do zachodu słońca.

Na początku było jej trudno wypełnić ten czas. Leżała w półmroku, czekając, aż rozlegnie się pukanie do drzwi oznaczające, że przynieśli śniadanie: kawałek suchego chleba, oliwę, odrobinę miodu, nie rak ciemnego i ostrego jak ten, którym oczyszczała rany raisa, a czasem dziwny, mocno słodzony gorący napój o ziołowym smaku, który łapczywie wypijała do dna. W południe rozlegało się kolejne wezwanie do modlitwy, a potem jeszcze jedno, gdy słońce znajdowało się w zenicie, a raisa jak nie było, tak nie było. Po kilku dniach uświadomiła sobie, że tęskni za jego towarzystwem, i ten fakt bardzo ją zaniepokoił. Czyż nie powinna nienawidzić człowieka, który ją więzi, i życzyć mu śmierci? Pomyślała o krewnych i rodakach w ładowni, jacy byliby zdumieni, widząc luksus, w którym żyje, i to ją wpędziło w jeszcze większe wyrzuty sumienia. Przed kilkoma dniami zebrała się na odwagę i spytała raisa, czy pozwoliłby tu sprowadzić jej matkę, lecz on bez słowa odwrócił od niej swą

smagłą twarz i Cat nawet nie wiedziała, czy zrozumiał jej prośbę. Między nimi coś wisiało w powietrzu, coś kłępującego i niewypowiedzianego, jakies napięcie, którego nie potrafiła nazwać. Czasem myślała, że to dlatego, iż widziała go w chwili słabości i on teraz się wstydzi. Kiedy indziej znów odnosiła wrażenie, że z niewiadomych powodów się na nią gniewa. Siedział wtedy z ponurą miną i wpatrywał się w płomień świecy lub czytał małą książeczkę oprawioną w skórę, poruszając przy tym ustami, zupełnie ignorując jej obecność.

Często przechadzała się po kabinie zaintrygowana egzotycznymi przedmiotami, które tam zgromadził. Przesuwała dłonią po rzeźbionych stolikach, których blaty zdobiły inkrustowane wzory z mosiądzu, masy perłowej i kości słoniowej, dotykała metalowych lampionów z otworami w kształcie gwiazdek, bajecznie kolorowych gobelinów na ścianach. Leżała tam też para ciężkich, grawerowanych bransolet ze srebra, wysadzanych kamieniami i ćwiekami, otwieranych na zawiasie, a zamykanych za pomocą długich szpilek. Były tak duże, że Cat z łatwością nasunęła jedną na ramię, nawet bez otwierania, chociaż raiś nosił je na nadgarstku. Przyglądała się dziwnej, krystalicznej substancji w mosiężnym naczyniu stojącym na kociolku, którą raiś czasami po wieczornej modlitwie podgrzewał. Jej intensywny zapach rozchodził się w kabinie jeszcze następnego dnia. Całe ubranie Cat było nim przesycone, czuła go we włosach, nawet po umyciu. Robiła to od czasu do czasu, głównie po to, żeby zabić nudę podczas długich godzin oczekiwania. Kontynuowała też robienie zapisków, wypełniając każdą najmniejszą wolną przestrzeń na kartkach książki pismem tak drobnym, że sama ledwie mogła je odczytać. Wylegiwała się wśród poduszek i zastanawiała się, co za dziwni ludzie naszywają perły i koraliki na przedmioty mające służyć wygodzie. Pogryzała kawałki wędzonego mięsa i suszone owoce, które przynoszono jej na południowy posiłek. Zdążyła nawet zasmakować w oliwkach.

Dzisiaj, kiedy zapukano do drzwi, po otwarciu zauważyła oprócz jedzenia stertę białego płótna, a na niej starannie ułożony kłębek cienkiej czarnej włóczki oraz igłę żeglarską.

Zdziwiona zajrzała w górę schodów, lecz ktokolwiek przyniósł te rzeczy, zdążył się szybko oddalić, bosy i bezszelestnie. Podniosła je, zabrała do kabiny i przez całe popołudnie bawiła się, wypróbowując własne wzory haftu. Najpierw krzyżkami wyszyła szlaczek wypełniony zygzakami i zawijasami, a potem wyjęła ołówek i naszkicowała stylizowane liście, a wśród nich dwa ptaszki. Właśnie kończyła wyszywać drugiego, gdy wrócił rais, ale była tak zaabsorbowana pracą, że nie usłyszała, jak wchodzi. Kiedy podniosła wzrok, stał w drzwiach. Światło świec wyostrzyło jego rysy, podkreślając zwłaszcza wydatne kości policzkowe i pełne usta. Miał nieodgadniony wyraz twarzy, oczy tonęły w mroku, widać było tylko cienkie kreski białek pod źrenicami. Nie wiedziała, jak długo tam stał i obserwował, opierając dłoń o futrynę. Speszyła się i pośpiesznie odłożyła płótno, zakrywając *Skarbczyk hafciarki*.

- Mogę zobaczyć?
- Jeszcze nie skończyłam.

Wyciągnął rękę. Niechętnie podała mu serwetkę i patrzyła, jak ją ogląda ze wszystkich stron.

- U nas przedstawianie wizerunków żywych istot jest grzechem.
- Jak to, nawet roślin i ptaków?
- Nawet roślin i ptaków. - Zobaczył, że zrzęda jej mina i dodał nieco łagodniej: - Jest taka przypowieść, hadis. Według Aiszy, ulubionej żony Proroka, Mahomet wróciwszy pewnego razu z wyprawy do domu, ujrzał na ścianie gobelin, na którym Aisza wyhaftowała postacie ludzi. Od razu go zdjął, mówiąc: „W dniu Sądu Ostatecznego największa kara spotka tych, którzy próbują naśladować dzieło Boga”. Zganiona w ten sposób Aisza pocięła tkaninę i uszyła z niej poduszki.

Cat zrobiło się żal Aiszy. Jej mąż musiał być strasznie bogobojny. Zmarszczyła brwi.

- Ale ja wcale nie pragnę naśladować Boga, tylko przedstawię te rzeczy w uproszczonej wersji, tak jak ja je widzę.

- To właśnie jest przejaw pychy.

Zamyśliła się.

- A czy nie jest to jeszcze jedna forma wyrażenia podziwu dla boskiego dzieła? Interpretować je na swój sposób?

Rais zamknął oczy i przez chwilę rozważał jej słowa. Potem rzekł powoli:

- Na południu naszego kraju, w górach, skąd pochodzi plemię mojego ojca, kobiety, tkając dywany, wplatają w nie wizerunki owiec i wielbłądów. Ale to proste, nieuczzone chłopki.

Cat poczerwieniała.

- Ja nie jestem żadną chłopką! Tam, skąd pochodzę, umiejętność odtwarzania piękna otaczającego nas świata jest uważana za wielki dar od Boga.

A I - Andalusi przyjrzał się jej z uwagą.

- Bóg jest pięknem i sam kocha piękno. Wielbłąd jest bardzo pięknym stworzeniem, to prawda. Podobnie jak rozzłoszczona kobieta. Sam nie wiem, które mi się bardziej podoba.

- Uśmiechnął się i tak długo nie spuszczał z niej wzroku, aż się zmieszała i pochyliła głowę.

Nie wiedzieć czemu trzęsły jej się ręce. Pozbierała wszystkie rzeczy, przycisnęła je do piersi i spytała:

- Kiedy dopłyniemy do Sła? - Nauczyła się wymawiać nazwę portu tak jak on, choć w jej uszach brzmiało to nieładnie.

- Wczoraj minęliśmy Przylądek Świętego Wincentego. Przy sprzyjających wiatrach dotrzemy tam dziś wieczorem.

To wcześniej niż się spodziewała. Znacznie wcześniej. Poczowała pulsowanie w uszach.

- I co się wtedy ze mną stanie?

Zaległa ciężka cisza. Jakiej odpowiedzi oczekiwała? Że ją zatrzyma, by wymusić okup od rodziny? Nie wiadomo nawet, do kogo mógłby się zwrócić w tej sprawie, wszak matka i wuj byli razem z nią na statku. No i jak taki list miałyby dotrzeć do

Kornwali, która wydawała jej się teraz daleką krainą z innego świata i z innej epoki. Pozostawał jeszcze kuzyn Rob. Tylko jemu mogło zależeć na uwolnieniu Cat, lecz czy zdoła on nakłonić Lady Harris, by rozmówiła się na ten temat z mężem? A jeśli nawet, Cat nie wierzyła, aby Margaret mogło szczególnie zależeć na losie tej, którą w najlepszym razie uznawała za zwykłą pokojówkę, a w najgorszym za bezwstydną zalotnicę. Wątpiła też, czy Sir Arthur zechce przekazać tak ogromną sumę pieniędzy w ręce korsarzy, nie mając żadnej gwarancji, że dotrzymają słowa. Bo czemuż miałby wspierać fortuny wrogów, przed którymi przysięgał bronić *naszych* wybrzeży? O pozostałych możliwościach, a więc, że rais odłą ją w ręce człowieka, którego zwie sultanem lub sprzeda na targu niewolników temu, kto zaoferuje najwyższą cenę, bała się nawet myśleć. Jedną rzecz nie dawała jej spokoju: tego dnia, kiedy rais złapał ją za niezdarność, zasugerował niejasno, że rozważał wzięcie jej do siebie na służbę. Wiedziała, że nie wypada jej żywić nadziei na takie rozwiązanie, że wejście do domu barbarzyńskiego pirata, którego jedynym celem w życiu jest okradanie i mordowanie jej współwyznawców, człowiek cywilizowany uznałby za los niegodny pozazdroszczenia, lecz jeśli do jej obowiązków należałoby coś tak prostego jak uczenie miejscowych kobiet haftu, to chyba lepiej być służącą nawet w tym dzikim kraju, niż trafić w ręce obcego człowieka, który może ją wykorzystać w nie wiadomo jak nieczym celu. Poczula, że opuszcza ją odwaga i zaczęła drżeć.

- Nie wiem - odpowiedział. - Jeszcze nie zdecydowałem.

Zaskoczona podniosła wzrok. Rais intensywnie się w nią wpatrywał.

- Chodź ze mną, Catrin - rzekł nagle i chwycił ją za rękę. — Połóż ci, jakże gwiazdy świecą nad Afryką, zobaczysz księżyc wschodzący nad miastem, które jest moim domem.

Owinął jej głowę kawalkiem materiału, zostawiając tylko miejsce na oczy. Zasłonił jej twarz przed wzrokiem załogi. Zastanowiło to Cat, gdyż wcześniej nigdy tego nie robił. Tym razem,

kiedy przechodziła, piraci zamiast patrzeć na nią spode łba lub przyglądać się z ciekawością, składali tylko głowy i żaden jej nie zaczepił. Zesli z raisem z kasztelu i przeszli na dziób okrętu. Nad głową żagle z hukiem łapały wiatr - wielkie białe płachty, prostokątne na przednim i środkowym maszcie i trójkątne na tylnym. Na granatowym niebie zawisła ogromna ciemnożółta tarcza księżyca lekko zabarwiona czerwienią niczym krwią. W jej stronach nazywają go „Księżcem myśliwych” - pomyślała Cat. Ciekawe, jaką przyszłość jej zwiastuje. Gwiazdy były rozsiane po całym firmamencie i świeciły niezwykle jasno, a szczególnie jedna. Cat nie mogła od niej oderwać oczu, gdyż Kniła w oddali niczym srebrna łatania.

- Syriusz - rzekł cicho Al-Andalusi. - Al Shi-ra. Egipcjanie nazywali ją Gwiazdą Nilu i potrafili dzięki niej przewidywać powodzie. Rzymianie z kolei mówili na nią Psa Gwiazda. W dawnych religiach wskazywała drogę do nieba. Widzisz ten wielki gwiazdny most poniżej? - Cat wyteżyła wzrok i dojrzała pasmo mlecznej bieli, most łączący Ziemię z Niebem. - A tam - obrócił ją i pokazał palcem - na północy, świeci Al Quibla. Po jej położeniu możemy określić, w którą stronę jest Mekka, święte miasto Proroka.

- Ależ to Gwiazda Polarna! - wykrzyknęła Cat. Rob pokazywał jej ją tyle razy, że teraz sama bez trudu potrafi ją znaleźć.

- Znam ją. Nazywamy ją Gwiazdą Rybaków, bo wykorzystują ją do nawigacji.

- Żeglarze też - uśmiechnął się rais. - Wiele razy służyła mi za przewodnika, kiedy płynąłem do Valetty i Sardynii, Konstantynopola, Cabo de Verde, a nawet aż do Nowej Fundlandii.

Dla Cat były to tylko nazwy, lecz brzmiały bardzo egzotycznie. A teraz ona, która nigdy nie wyjechała z domu dalej niż na Jamak św. Bartłomieja do Truro, choć tak bardzo marzyły jej się szersze horyzonty, spoglądała na brzegi dzikiej Afryki.

Gwiazda Polarna została za plecami, a wiatr kierował ich w stronę ciemnych zarysów łąd wyłaniających się z południo-

wanych wód oceanu. Stali w milczeniu i patrzyli, jak ziemia coraz bardziej się przybliża.

- Oto jest Maroko. Jezirat al Maghrib, Wyspa Zachodzącego Słońca. Mój dom. - Cat dosłyszała w jego głosie coś, co kazało jej się odwrócić: błyszczące oczy raisa odbijały światło księżyca, lecz płonęły także od wewnątrz, nadając mu niemal demoniczny wyraz. Przeszedł ją dreszcz.

Brzeg nabierał coraz wyraźniejszych kształtów. Stopniowo ukazywały się zarysy klifów, kamienne nabrzeże omywane przez fale, wysoka wieża, której dach srebrzył się w blasku księżyca i rozległe ujście rzeki otoczone z obu stron olbrzymimi fortyfikacjami. Jakikolwiek były wyobrażenia Cat o pierwszym spotkaniu z nieznanym kontynentem, nie spodziewała się ujrzeć aż takiego przejawu kultury *wojennej*, tudzież czegoś tak odmiennego jak ta smukła wieża.

- Sla el Bali, czyli Stare Sale. - Kapitan wskazał zabudowania na lewym brzegu rzeki. - A po drugiej stronie Sla el Dje-did, Nowe Sale. Wszędzie mam krewnych, wśród hornacheros w Nowym Sale i zwolenników Sidi A1 - Ayyachiego w Starym. Stawia mnie to w wyjątkowo korzystnym położeniu i daje dużą przewagę w interesach. Ależ się ucieszą, gdy zobaczą, co im przywozłem! - Krzyknął coś do załogi i jeden z marynarzy trzykrotnie uchylił drzwiczki latarni. Odpowiedziały im błyski świateł na szczycie wieży.

- Już wiedzą, że to my - roześmiał się rais. - Dobrze znają ten piękny okręt. Poza tym nikt inny nie odważyłby się wpływać do rzeki nocą. Jest zdradliwa nawet w pełnym słońcu, choć nazywa się tak niewinnie: Bou Regreg. - W jego języku zabrzmiało to twardo i nieprzyjemnie jak krakanie kruk - bu-rak-rak.

- Co to znaczy? - zapytała Cat, z trwogą obserwując zbliżającą się twierdzę i mrowie ludzi w długich szatach kręcących się po blankach i wokół stanowisk armatnich.

Zastanowił się chwilę, marszcząc czoło.

- Yusuf Reis mówił, że w waszym języku to oznacza mniej więcej „lustrzana rzeka”, bo w bezwietrzny dzień, kiedy powierzchnia wody nie zakłóca najmniejsza fala, można w niej ujrzeć całe niebo. Nie wolno się jednak zapatrzyć, bo pod tą gładką taflą kryją się groźne piaszczyste łachy, które połamały już stępki tysiącom statków, a kolejnych tysięcy zatonięło w jej krętych zakolach. - Uśmiechnął się. - Wspaniale jest wrócić do domu po udanej wyprawie. - Zamknął oczy, przesunął rękami po twarzy, ucałował prawą dłoń i przyłożył ją do serca.

- Shokran li lah.

Udana wyprawa. Przywiózł statek pełen niewinnych ludzi, którzy, jeśli to prawda, co mówiono w ładowni, trafią na gale-ry lub na targ niewolników i będą wyzyskiwani, bici, torturo- wani i zmuszani do wyrzeczenia się wiary, a w końcu umrą na tej obcej ziemi. Cat poczuła, jak coś się w niej buntuje. Słowa same popłynęły jej z ust:

- Opowiada mi pan o straszliwych rzeczach, które Hisz-panie wyrządzili pańskiej rodzinie i że święta wojna przeciw chrześcijanom to tylko zemsta w imieniu innych wyznawców Proroka, ale jeżeli wasza religia daje wam prawo traktować lu- dzi tak, jak pan potraktował tych niewinnych mężczyzn, ko- biety i dzieci, którzy leżą w brudzie i smrodzie, umierając od chorób, to ja twierdę, że to nikczemna i okrutna religia, a wasz bóg nie jest moim bogiem!

Zobaczyła wściekłość w jego oczach. Zacisnął pięść, która aż zadrżała, kiedy się powstrzymywał, by jej nie użyć. Czas na chwilę stanął w miejscu. Cat patrzyła na raisa, czując, jak nogi się pod nią uginają. Nie była pewna, czy właśnie powiedziała coś głupiego, czego będzie żałować do końca życia, które teraz pewnie nie potrwa długo, czy też dotknęła ważnej kwestii, któ- ra da mu do myślenia. Niestety, w chwili gdy zaczynała mieć nadzieję, że może jednak to drugie, rais krzyknął i po kilku se- kundach znalazła się w rękach dwóch piratów, którzy przybie- gli na jego rozkaz.

- Nie mam czasu z tobą dyskutować, muszę wprowadzić statek do portu. Nie mam w zwyczaju kłócić się z kobietami. Dołączysz teraz do swoich pobratymców: ich los stanie się twoim losem. Nikt nie będzie obrażał mojej religii, mojego Boga ani mojej rodziny. Myślałam, że jesteś więcej warta, i nie mam tu na myśli pieniędzy. Ale ty się niczym nie różnisz od tej całej niewiernej hołoty. Mogłaś żyć jak królowa w najpiękniejszym domu w kazbie, a teraz trafisz na targ, jak wszyscy. - Skinął na podwładnych i odwrócił się od niej.

Lotnisko w Casablance sprawia oszałamiające wrażenie. Gdy tylko weszłam do hali przylotów, otoczyło mnie morze ludzi: podróżni w drogich ciuchach od europejskich projektantów, mężczyźni w ciemnych okularach i eleganckich garniturach, inni w powiewających dżelabach, kobiety z Afryki zachodniej we wzorzystych strojach i fantazyjnie zawiniętych turbanach, wieloosobowe rodziny z chmarą dzieciaków i wózkami bagażowymi, które uginały się pod ciężarem przepełnionych worków na śmieci, walizek owiniętych folią i kartonowych pudeł. Widziałam pomieszczenie pełne mężczyzn modlących się na matach, drużynę piłkarską w jednakowych dresach i niezliczoną liczbę ubranych po wojskowemu strażników uzbrojonych w ogromne pistolety. Słyszeć było wszystkie języki świata. Mój francuski nie wystarczał, by zrozumieć niewyraźne komunikaty z głośników przebijające się przez zgiełk ani napisy na tabliczkach. Kiedy odstałam godzinę w kolejce do odprawy, wydukałam odpowiedzi na pytania urzędnika imigracyjnego - „Vous voyagez seule, sans votre mari?” („Nie, nie mam męża...” Wbił we mnie wzrok.) „Et pourquoi visitez-vous le Maroc? Vous avez la famille ici, madame [nie mademoiselle, co zauważyłam z goryczą] ou vous faisez le business?” (Nie, przyjechałam pozwiedzać.) „Ou restez-vous, qu'est-ce que c'est »Dar el-Beldi«, c'est chez une famille que vous connaissez?” - zlokalizowałam swój bagaż i wytoczyłam się na zalaną słońcem ulicę, na postoju taksówek został już tylko jeden samochód. Mercedes. Ale nie było jaki - stara kilkumetrowa limuzyna. Spojrzałam z niedo-

wierzaniem. Pomyślałam, że czeka na jakąś miejscową gwiazdę, lecz w tym momencie wyskoczył z niego kierowca i złapał moje walizki. Z równą determinacją je przytrzymałam.

- Combien a la gate de Casa Port?

- J a kdla pani, madame, trzysta dirhamów - odpowiedział doskonałą angielszczyzną.

- Dam panu dwieście.

- Dwieście pięćdziesiąt?

- Dwieście.

Zrobił zbolałą minę. Spodziewałam się rzewnej opowieści o głodnych dzieciach czekających w domu, lecz on tylko wskazał na mercedesa.

- Taki piękny samochód. Jak mam go utrzymać za takie stawki?

Cóż miałam odpowiedzieć, wrzuciłam tylko ramionami i uśmiechnęłam się.

Westchnął.

- Pani ma takie piękne oczy. Dla tych oczu zawiozę panią za dwieście.

- Mam pociąg do Rabatu o piątej. Zdażymy?

- Inch'allah. Wszystko w rękach Boga.

Teraz już poważnie zdenerwowana patrzyłam, jak moje walizki znikają w czeluściach bagażnika. Usadoviłam się na tylnym siedzeniu. Gdy kierowca przywołał jakichś dwóch mężczyzn, wyjęłam komórkę gotowa zadzwonić do madame Rachidi, żeby poradziła, co robić w takiej sytuacji, albo przynajmniej wezwała w moim imieniu policję. Taksówkarz zasiadł za kierownicą, a koledzy zniknęli gdzieś za samochodem. Wyciągnęłam szyję w panice, ale okazało się, że poszli nas wypchnąć z parkingu. Za trzecim podejściem silnik zaskoczył.

Świetnie - pomyślałam - jestem zupełnie sama w obcym, i to naprawdę obcym kraju z człowiekiem, który zdażył już palnąć mi komplement, a teraz siedzi z przodu w towarzystwie dwóch kumpli, i jadę do nieznanego miasta autem, które w każ-

dej chwili może się rozkraczyć na środku drogi. A jeśli Alison miała rację? Dopadły mnie wątpliwości.

Przerodziły się w regularną panikę, kiedy dojechaliśmy do granic miast i kierowca wykonał gwałtowny manewr, przecinając trzy pasy ruchu, żeby skręcić na przedmieścia. Typowa monotonna nudna autostrada, którą z alarmującą prędkością wjeżdżaliśmy do miasta, nie dawała przedsmaku atmosfery kraju, do którego przybyłam, lecz nagle znaleźliśmy się w bidonvilles.

Kierowca musiał dojrzeć w lusterku moją minę, bo przy mniej więcej stu na godzinę, przewiesiwszy swobodnie rękę przez kierownicę, odwrócił się i rzekł wesoło:

- Zainstalowali kamery i teraz często stoi tu policja. Zawsze mnie zatrzymują. Strasznie dużo mnie to kosztuje!

Starając się nie myśleć o tym, co najgorszego może spotkać samotną kobietę w slumsach Casablanki, zaczęłam chłonać otoczenie, które przemykało za oknami pędzącego samochodu. Widoki jak z Trzeciego Świata: walące się lepianki i blaszaki, a między nimi uliczki z czerwonej ubitej ziemi, po których biegały kury, młode czarne kózki, wyliniałe koty i umorusana dzieciarnia. Przy domach rozklekotane samochody, zarosłe chwastami zardzewiałe szkielety rowerów, sznury z łopoczącą bielizną owiewaną przez kurz i pył, kolorowe dywany wywieszane na balkonach, dachy z blachy falistej pokryte lasem anten satelitarnych. Dwóch mężczyzn kucało przy słupie elektrycznym i grało w coś w rodzaju warcabów, używając do tego kamieni i plastikowych nakrętek od butelek; inni siedzieli na schodach, paląc papierosy i wpatrując się w dal. Jakaś kobieta otulona od stóp do głów w białą szatę prała w niewielkiej miednicy jakieś monstrialne ubrania. Kiedy przejeżdżaliśmy, podniosła głowę i spojrzała obojętnie, po czym jak gdyby nigdy nic powróciła do swego zajęcia. Najwyraźniej limuzyna jest częstym gościem w tej nieciekawej dzielnicy.

Nagle równie szybko znaleźliśmy się z powrotem na głównej drodze i slumsy zniknęły w kłębach kurzu. Po chwili mknę-

liśmy przez całkowicie nowoczesną metropolię. Mijaliśmy białe apartamentowce, witryny sklepów, billboardy i skrzyżowania ze światłami - nie żeby ktokolwiek zwracał na nie uwagę. Hałas klaksonów był ogłuszający: jakby każdy korek, przestój czy niefortunny manewr wynikał z czyjejs winy. Na każdym większym skrzyżowaniu dziesięć pasów ruchu splotało się w śmiertelnym węźle. Jeśli klaksony nie działały - a nawet jeśli działały - kierowcy wystawiali głowy za okno i chętnie udzielali innym cennych rad w zakresie podstawowych umiejętności prowadzenia pojazdu. Trójkołowe rowery z przymocowanymi z przodu wielkimi, nieporęcznymi koszami (pełnymi ryb, warzyw, zbożu) niebezpiecznie lawirowały między pojazdami. Czasami jacyś piesi-samobójcy wkraczali w sam środek tego pola bitwy, ale pędziliśmy za szybko, żebyśmy zdążyła zobaczyć, czy któryś przeżył. Mijaliśmy nowoczesne hotele, ekskluzywne butikiki, salony najdroższych marek samochodów, designerskie kuchnie projektowane na indywidualne zamówienie, płaskie telewizory. Trzech mężczyzn z przodu mercedesa również włączyło się w to uliczne przedstawienie: wykrzykiwali przekleństwa, wygrażali pięściami, wystawiali palce, a breloczki i amulety zawieszona na lusterku tylko kręciły szalone piruety.

Wolał Allaha było, abym dotarła na dworzec Casa Port w całości i do tego na czas, żeby zdążyć na pociąg do Rabatu. Mój kierowca, Hassan, okazał się prawdziwym skarbem. Wepchnął się na początek kolejki i kupił dla mnie billet simple, przekonał ochroniarza, żeby pozwolił mu wejść na peron, zaniósł mi bagaże do pociągu, odszukał moje miejsce i załadował walizki na półkę. Na pożegnanie energicznie potrząsnął moją dłońią.

- Bes'salama. Allah ihf'dek. Dieu vous protege. Z Bogiem.

Kategorycznie odmówił przyjęcia napiwku i odszedł, a ja gapiłam się za nim z otwartymi ustami, zdumiona i wdzięczna zarazem.

Towarzystwo w pociągu było głównie biznesowe, sądząc po liczbie aktówek i laptopów. Zaskakująco duży procent sta-

nowiły kobiety. Niektóre były ubrane całkiem po zachodniemu, inne w długie pastelowe suknie i hidżaby na głowach (część była bez), ale wszystkie miały dość mocny makijaż - podkład, puder, róż, szminka, podkreślone brwi, oczy obwiedzione grubą kreską, cienie na powiekach, a wszystko zrobione bardzo fachowo - oraz eleganckie buty na obcasach. Wymalowane oczy zerkały na mnie ukradkiem: „Biedaczka, podróżuje sama, żadnych dzieci, ani śladu obrączki i do tego ubrana byle jak. Trzeba nie mieć za grosz szacunku dla siebie, żeby wkładać stare dzinisy i brzydkie adidas. Nawet się nie upudrowała”. Choćby nie wiem jak szybko odwracały wzrok, od razu mogłam zgadnąć, co sobie myślą. Mężczyźni uprzejmie się do mnie uśmiechali. Może w ich oczach też zasługiwałam na współczucie. Jeden młody człowiek, chcąc się popisać swoją angielszczyzną, zapytał, czy pierwszy raz jestem w jego kraju, co o nim sądzę i czy mam się gdzie zatrzymać w Rabacie, bo jakby co, jego rodzina chętnie by mnie do siebie zaprosiła. Odpowiedziałam, że to moja pierwsza wizyta, na razie Maroko wydaje się fascynujące i chętnie poznam je bliżej, ale dziękuję, gdyż mam już załatwiony nocleg w Rabacie. Patrzyłam, jak mina mu rzednie.

- Gdyby pani potrzebowała przewodnika...

- Dziękuję, też już mam.

Popatrzył na mnie poważnym, zatroskanym wzrokiem.

- Tu w Maroku trzeba bardzo uważać na przewodników. Bywa, że okazują się kimś innym, niż się wydawali. Krótko mówiąc, nie należy im zbyt ufać, mogą naopowiadać dużo kłamstw. To może być niebezpieczne dla samotnie podróżującej kobiety.

Pasażerka z naprzeciwka spojrzała na mnie, chwilę popatrzyła i znów odwróciła wzrok.

- Dziękuję za radę - uśmiechnęłam się grzecznie. Aby dać mu do zrozumienia, że nasza rozmowa dobiegła końca, wyjęłam przewodnik i udałam, że czytam. Nerwy miałam napięte do ostatnich granic. Czułam na sobie jego natarczywe spojrzenie

i zaczęła mi cierpnąć skóra. Wmawiałam sobie, że tylko stara się być miły, troszczy się o moje bezpieczeństwo.

Wysłałam na korytarz i zadzwoniłam do Alison.

- Cześć, jestem.

- Gdzie jesteś?

- W pociągu do Rabatu. Za dwadzieścia minut dojeżdżamy.

- Wszystko gra?

Uspokoiłam się trochę, usłyszawszy jej głos i zrobiło mi się głupio z powodu mojej paranoi. Uśmiechnęłam się.

- Tak, jak najbardziej. Ludzie są tu sympatyczni i bardzo życzliwi. A co u ciebie?

- Dobrze. Miałam zamiar do ciebie dzwonić. Zdarzyła się niesamowita rzecz. Coś znaleźliśmy, w życiu nie uwierzysz. To ma związek z książką Catherine.

Z mrowieniem na karku czekałam na dalszy ciąg, lecz Alison powiedziała coś niedosłyszalnym szeptem.

- Co? Powtórz.

- Przepraszam. Powiedziałam, że Michael jest ze mną. Dam mu słuchawkę.

Chwila ciszy.

- Julia? - odezwał się znajomy głos z bardzo daleka.

Zamknęłam oczy, przypominając sobie nasze ostatnie spotkanie.

- Odczep się - powiedziałam cicho.

- Co mówisz? Strasznie słabo słyhać. Julio, musisz natychmiast wracać, zarezerwuj sobie samolot na jutro, ja i Anna zapłacimy za bilet. Ta książka jest nam koniecznie potrzebna. Nie uwierzysz, co znaleźliśmy...

- Odczep się - powtórzyłam i z bijącym sercem wyłączyłam telefon.

W hali dworca kolejowego w Rabacie czekał na mnie tęgi mężczyzna w średnim wieku ubrany w tunikę i szerokie spodnie.

W rękę trzymał tabliczkę z napisem „Mme LOVEIT”. Przeszłabym obok, gdybym w porę się nie zreflektowała. O mało nie wybuchnęłam śmiechem. Opanowałam się i wróciłam.

- Dzień dobry. Nazywam się Julia Lovat.

Na twarzy mężczyzny wykwitł szeroki, szczerbaty uśmiech.

- Enchanté, madame. Bienvenue, witamy, witamy w Maroku. - Podszedł do mnie kaczym krokiem, energicznie potrząsnął mi dłoń i od razu uwolnił mnie od bagażu.

- Czy pan Idriss el-Kharkouri? - spytałam. Wyglądał całkiem inaczej, niż się spodziewałam. Sądząc po dystyngowanym głosie madame Rachidi, wyobraziłam sobie, że jej kuzyn będzie eleganckim mężczyzną o wyglądzie inteligenta, który potrafi energicznym krokiem oprowadzić mnie po mieście, napełniając mi głowę tajemną wiedzą. Nie wyglądało na to, żeby Idriss szczególnie lubił spacerować, a gapiowaty uśmiech na jego twarzy też raczej nie zapowiadał bystrego intelektu fachowego przewodnika. Ale ja przecież nie mam pojęcia, co się może kryć za fasadami tutejszej kultury. Chyba nie powinnam formułować zbyt pochopnych sądów.

Mężczyzna patrzył na mnie z zakłopotaną miną, więc powtórzyłam pytanie, dodając:

- Idriss, le cousin de Madame Rachidi, mon guide?

Energicznie potrząsnął głową.

- Ah, non, non, non, desolé, madame. Idriss ne pouvait pas m'accompagner. Il est occupé ce soir. Moi, je suis Saïd el-Omari, aussi cousin de Madame Rachidi.

Jeszcze jeden kuzyn madame Rachidi, przetłumaczyłam sobie w myślach. Ruszyliśmy na parking, ja szłam za nim, a on z przodu taszczył moje walizki, nie zdając sobie chyba sprawy z ułatwienia, jakim są rączki i kółka, albo nimi gardząc. Na zewnątrz wepchnął je do bagażnika małego niebieskiego, rdzewiejącego peugeot'a z oficjalnym oznaczeniem taksówki. Po tem pomógł mi wsiąść, zapalił silnik, wykonał nieprzepisowy

nawrót i z dużą szybkością ruszył główną ulicą miasta, które wyglądało tak samo nijako i po europejsku jak centrum Casablanki: monumentalne budynki rządowe, ogromna siedziba poczty, rzędy nowoczesnych sklepów, ukwiecone skwery, biurowce, parkingi. Gdy za szybą przemykały typowe atrybuty nowoczesnej metropolii, pozwoliłam myślom zawisnąć na chwilę - niczym owad nad muchołówką - nad tą krótką rozmową z Alison i Michaeliem.

Cóż takiego ważnego znaleźli, że Michaelowi chciało się znowu przyjechać do Kornwalii, nie mówiąc o propozycji zafundowania mi biletu do domu? I ile - ścisnęło mnie w żołądku - zdołał opowiedzieć z tego wszystkiego Annie? Przed wyjazdem z Londynu, świadoma licznych zagrożeń czyhających na człowieka, który wybiera się w podróż, zaniósłam książkę do punktu ksero i starannie skopiowałam strona po stronie. Kładłam ją na szybko tak płasko, jak się tylko dało, oraz powłączałam wszystkie możliwe zaawansowane funkcje, żeby jak najdokładniej odwzorować drobne ołówkowe pismo. Nie obyło się bez kilku falstartów, zajęło mi to w sumie mnóstwo czasu i kosztowało prawie dziesięć funtów, ale było warto, choćby dla spokoju ducha. Ktoś bardziej przezorny zabrałby ze sobą kopię, a oryginał zostawił w domu, lecz ja stwierdziłam, że nie zniosę rozstania z książką, więc kopię zdeponowałam u notariusza.

Automatycznie włożyłam rękę do torebki, którą miałam na kolanach, i wymacałam skórzaną okładkę *Skarbczyka*. Często się zastanawiam, czy posiadacze domowych zwierzątek głaszczą je dla swojej czy ich przyjemności. Chyba jednak to pierwsze, bo na mnie w tej chwili obecności tej książki i dotyk aksamitnej cięłej skóry pod palcami podziały uspokajająco. Kiedy z nowoczesnego miasta wjeżdżaliśmy przez sklepioną bramę do medyny, przycisnęłam pamiętnik Catherine do piersi.

Z miejsca zapomniałam o dalekiej Anglii i zaczęłam rozglądać się gorączkowo. To był rzeczywiście zupełnie inny świat. Na uliczkach panował tłok i rozgardiasz, pełno zakapturzonych

starszych mężczyzn, kobiety z zasłoniętymi twarzami, nastolatki poubierane we wszelkie typy strojów, od wręcz średniowiecznych po współczesne workowate džinsy i złote łańcuchy. Powietrze drgało od dźwięków, tradycyjne północnoafrykańskie śpiewy mieszały się od czasu do czasu z pulsującym dudnieniem basu dobiegającym z głośników. Taksówka w ślimaczym tempie przeciskała się przez gęszcz ludzi na rowerach, motorach i wózkach ciągniętych przez osły. Dawało to świetną okazję do przyjrzenia się z bliska kramom wypełnionym towarami, wąskim uliczkom ograniczonym rzędami wysokich domów bez okien za to z ozdobnymi drewnianymi drzwiami okutymi żelazem, eleganckim minaretem uwieńczonym zielonymi kafelkami, ciężkim bramom, przez które można było wejrzeć na wewnętrzne dziedzińce z drzewkami pomarańczowymi i bugenwillą. Skręciliśmy za róg i nagle powietrze zadrgało donośnym, zawodzącym głosem muezina wzywającego do wieczornej modlitwy. Zamknęłam oczy i z dreszczem na plecach zaczęłam się wsłuchiwać. Allah akbar. Allah akbar. Achehadou ana illah illallah. Achehadou ana mohammed rasoul allah. Achehadou ana mohammed rasoul allah. Haya rala salah. Haya rala salah... Wtedy naprawdę poczułam, że znajduję się w samym sercu zachodniego islamu.

Kilka minut później czar prysł, kiedy Said wjechał gwałtownie na zniszczony chodnik, a silnik taksówki zatrząś się i zamilkł. Rozejrzałam się. Wszędzie już było ciemno, a zwłaszcza tutaj. Mrok rozświetlały jedynie niebieskawe iskry spawarki po drugiej stronie ulicy, gdzie jakiś człowiek naprawiał samochód. Rzucały wkoło groźne cienie jak wirujący derwisze. Kątem oka dostrzegłam jakiś ruch blisko ziemi. Szybko odwróciłam głowę i to coś nagle zatrzymało się w pół kroku: czarny, wychudzony kot. Spojrzałam na mnie oczami, w których odbijały się błyski spawarki, po czym machnął ogonem i zniknął w ciemnościach.

- Allez, madame, za mną. Do Dar El-Beldi par ici.

Szliśmy uliczką tak wąską, że swobodnie dotykałam rękami budynków po obu stronach. Domy były zbudowane z suszonej cegły, a wejścia znajdowały się w wyżłobionych w murze wnękach. W jednej z nich kucała na schodach stara kobieta. Kiedy podeszliśmy, uśmiechnęła się do Saida. Oczy miała pokryte bielmem i lśniące jak u tego kota. Wyciągnęła brązową, pomarszczoną dłoń.

- Sadaka all-allah.

Said, mimo że objuczony moimi bagażami, przystanął, wygrzebał z kieszeni dwie monety i wcisnął kobiecie do ręki.

- Shokran, shokran, Sidi. Barakallaofik.

Po chwili już pukał do wielkiej okutej żelazem bramy na przeciwko. Otworzyły się mniejsze drzwi i na ulicę wylał się strumień złocistego światła. Said zamienił z kimś kilka słów po arabsku, po czym dał mi znak ręką. Z nerwowym uśmiechem minęłam żebraczkę i czmychnęłam do środka.

*Jaśnie Wielmożny Pan Arthur Harris
Komendant St Micheal's Mount
Kenegie, Gulvall Hills
Kornwalia*

*24 sierpnia 1625 roku
Salé, Berbería*

Niech Bóg Pana błogosławi i w zdrowiu zachowa. Kłania się Pańska wierna służąca. Błagam, by w dobroci swej zachciał Pan zapłacić posłańcowi, który dostarczy ten list od nas, nieszczęśników więzionych w Salé przez okrutnych prześladowców, na których rozkaz piszę te słowa w obawie o swoje życie.

Ja oraz wszyscy niżej wymienieni reprezentujemy osoby porwane w czasie najazdu na Pen Sants, które do dzisiaj przeżyły, to jest wszystkich tych, którzy nie pomarli od trudów podróży czy innych chorób lub nie zostali wywiezieni w nieznaną. Sir, jestem zmuszona prosić o Pańskie wsparcie, albowiem nie mamy się do kogo zwrócić, żeby nas wykupił, a wiem, że z Pana dobry chrześcijanin, który nie chciałby patrzeć, jak jego rodacy są w niewoli zmuszani do apostazji. Nie ma dnia, żeby groźbą lub pochlebstwem nie próbowali nas nakłonić do przejścia na islam i lękam się, że co poniektórzy ze strachu przed galerami i losem niewolniczym w końcu ulegną. Dołączam listę

tych, których los jest mi znany, choć porwano ich znacznie więcej. Nie wiem jednak, co się stało z pozostałymi. Nie wiem też, co stanie się z nami przez te kilka tygodni, zanim Wielmożny Pan otrzyma tę przesyłkę. A oto i lista:

*Catherine Anne Tregenna, pokojówka - 800 funtów
Eleanor Chigwine, gospodyni (William Chigwine zmarł w drodze) - 120 funtów
Matilda Pengellye, służąca - 250 funtów*

Inni porwani z kościoła w Pen Sants:

*Jane Tregenna - moja matka/wdowa - 156 funtów
Edward Coode, sukiennik (100 funtów) i jego żona Mary (moi wujostwo) - 140 funtów. Obawiam się, że obaj ich synowie nie żyją.
John Kellynch, rybak z Market Jew (96 funtów), siostra Henrietta (125 funtów) i matka Maria Kellynch (140 funtów)
Walter Truran, pastor - 96 funtów
Jack Fellowes, parobek na farmie Alverton (96 funtów), żona Ann (180 funtów) oraz dzieci: dwunastoletni Peter i ośmioletnia Mary (280 funtów za oboje)
Alys Johns (250 funtów) i jej pięcioletni syn James (104 funty)
Ephraim Pengelly, rybak z Pen Sants - 80 funtów
Anne Samuels z Pen Sants, niezamężna - 80 funtów
Nan Tippet z Pen Sants, wdowa - 85 funtów*

Doprawdy nie mam pojęcia, sir, dlaczego cena, jaką za mnie wyznaczono, jest tak wysoka. Wiem, że nie jestem tyle warta.

Nie znam ceny wyznaczonej za pana burmistrza i Ann Maddern oraz radcę Polglase'a i jego żonę Elizabeth, ale podobno mają zostać wykupieni osobno.

Razem z nami są tu ludzie porwani z wielu różnych miejsc, głównie marynarze ze statków i portów zachod-

niego wybrzeża Anglii. Oni jednak będą występować we własnym imieniu, więc tym Pana kłopotać nie będę.

Przyjmij więc, Wielmożny Panie, do wiadomości, iż mużulmańscy korsarze żądają okupu w kwocie trzech tysięcy czterystu dziewięćdziesięciu pięciu funtów (lub siedem tysięcy hiszpańskich dublonów) za uwolnienie wszystkich, których tu wymieniłam. To straszna kwota i nie wiem doprawdy, skąd ją można uzyskać, lecz błagam Pana, iżby postarał się znaleźć jakoweś środki, aby nas wybawić z tej okrutnej niedoli. Mam nadzieję, że dostączy Pan nasze westchnienia i wzbudzą one w Panu litość i współczucie. Proszę nie zapominać o nas w modlitwie i uprzejmie pozdrowić ode mnie Lady Harris, której jestem wdzięczna co dnia za to, że była tak dobra i nauczyła mnie pisać. Proszę też przekazać pozdrowienia memu kuzynowi Robertowi. Jak mówi pastor Truran, dopiero teraz w pełni pojęliśmy przesłanie psalmu napisanego przez tych biednych Żydów w niewoli babilońskiej: „Nad rzekami Babilonu — tam myśmy siedzieli i płakali, kiedyśmy wspominali Syjon”. Och, Kornwalio, teraz, gdy siedzimy sfłoczeni w ciemnościach i brudzie, drżąc o swe życie i zdrowie, jakże nam tęskno za twymi zielonymi wzgórzami, czystym powietrzem, wolnością i uporządkowanym życiem, które niegdyś wiedliśmy.

Styszałam, że do Londynu zawijają okręty, które wciąż mają kontakty handlowe w tym regionie. Jeżeli dałoby się tą drogą, błagam o przesłanie odpowiedzi w ciągu miesiąca lub sześciu tygodni, bo inaczej niechybnie zginemy w tym strasznym miejscu.

Pozostaję z szacunkiem
Pańska uniżona sługa
Catherine Anne Tregenna

ROZDZIAŁ 20

Catherine **Sierpień 1625**

Cat odłożyła pióro i westchnęła. Tak naprawdę nie miała nadziei, że jej były chlebodawca w ogóle otrzyma ten list, a co dopiero zechce zareagować na jej prośby. Trzy tysiące czterysta dziewięćdziesiąt pięć funtów, z czego osiemset za wykupienie jej samej, to majątek. W Kenegie zarabiała jedynie osiem funtów rocznie, a jeszcze potrącano jej za pokój i utrzymanie. Matty dostawała zaledwie cztery. Kornwalia to biedny kraj; w skarbcu nigdy nie było nadmiaru funduszy. Ledwie wystarczało na podatki i dziesięcinę. Honoraria dla lekarzy to był luksus; wiele dzieci chorowało i umierało, ponieważ ich rodzice nie mieli nawet szylinga, żeby opłacić medyka. Koszt przyzwoitego pogrzebu był tak duży, że wiele rodzin musiało zdać się na łaskę parafii za cenę najprostszego pochówku. Cat sama widziała, jak owijano zmarłych w płótno workowe, a kiedyś nawet była świadkiem, jak jednego nieboszczyka błogosławił wędrowny mnich żebrzący w zamian za miskę kaszy, a potem miejscowy rybak zabrał ciało nocą na łódź, aby je wrzucić do morza.

- Skończyłaś? - zapytała gruba kobieta o groźnym spojrzeniu i wielkich łapskach, która teraz przejęła nadzór nad Catherine. Stała jej nad głową z rękami opartymi na rozłożystych biodrach i czekała z niecierpliwością.

Cat z lekkim ociąganiem przytaknęła.

- Skończyłam.

- Daj.

Podawała jej kartkę, a nadzorczyńni podejrzliwie jej się przyjrzała, obracając ją na wszystkie strony w swych sękatych palcach. Najpewniej nie rozumiała z tego ani słowa, ale mruknęła z zadowoleniem i zwinęła kartkę w rulon.

- Zaniosę Dżinowi.

Cat zmarszczyła brwi.

- Al-Andalusiemu?

W odpowiedzi nadzorczyńni syknęła na nią i szybko się oddaliła. Cat oparła się wygodnie na poduszkach i odchyliła twarz ku słońcu, którego promienie wlewały się przez pnącza jaśminu, uwalniając jego słodki zapach, który roznosił się w nieruchomym powietrzu. Siedziała przy stoliku w podcieniach wewnętrznego dziedzińca eleganckiej dwupiętrowej rezydencji, całego wyłożonego mozaiką. Wśród roślin, które pięły się po misternych trejżach sięgających galerii na piętrze świergotał jakiś malutki rudawy ptaszek. W jednym rogu dziedzińca rozpostarło swe gałęzie drzewko pomarańczowe; w rogu przeciwnym leżał nieduży dywanik, którego niegdyś bajecznie kolorowe wzory zdążyły spłowić od słońca. Na środku zaś tryskała marmurowa fontanna, w której pływały płatki róż. Spokój, światło, zapach i niezwykle piękno tego miejsca stanowiły taki kontrast w porównaniu z ciemną i cuchnącą odchodami zamorra, lochem, do którego wtrącono ją i resztę więźniów po przybiciu do portu, że Cat marzyła teraz tylko o jednym: móc tu zostać na zawsze, choćby to oznaczało przepisywanie tysięcy razy od nowa tego głupiego listu.

W lochu spędziła tylko trzy dni (sądząc po liczbie nawoływań muezina, bo do celi nie dochodziło żadne światło), lecz to wystarczyło, by zweryfikowała wszelkie dotychczasowe wyobrażenia piekła. Zamknęto ich wszystkim razem - mężczyzn, kobiety i dzieci - w tak nieludzkich warunkach, że najwyraźniej piratom było obojętne, czy przeżyją. Dziś wczesnym rankiem przyszło po nią dwóch mężczyzn. Wymówili jej imię

z tak dziwnym akcentem, że minęło kilka chwil, zanim ktokolwiek się zorientował, że chodzi o nią. Owinęli ją czarną szatą, zasłonili twarz, związali ręce i przywlekli wąskimi uliczkami do tego domu. Potykała się co chwila i cały czas mrużyła oczy przed słońcem. Potem wepchnęli ją do jakiegoś zimnego pomieszczenia i zatrzasnęli drzwi. Kontrast między oślepiającym słońcem ulicy a mrokiem panującym we wnętrzu na chwilę ją zdezorientował. Gdy ciszę przerwał znajomy głos, o mało nie wyskoczyła ze skóry.

- Witaj, Cat'rin Anne Tregenna. Jak ci się podoba wasza nowa kwatery? - I wybuchnął okrutnym śmiechem, aż dziewczynie zakreśliły się w oczach łzy. Pstryknął palcami i na ten sygnał ciemnoskóry chłopiec, który dotąd kucał cicho w kącie zerwał się i podbiegł otworzyć okiennice. Do środka wdarło się słońce, prześlizgując się po ścianach i oblewając bursztynowym blaskiem bogato zdobione wnętrze i mężczyznę, który siedział rozparty na otomanie.

A1 - Andalusi był ubrany w modrą szatę wyszywaną złotem, a na głowie miał biały turban. Wyglądał jak uosobienie pogodnego lata i przy nim Cat bardziej niż kiedykolwiek odczuła, jaką brudną, zaniedbaną i zawszoną dzikuską się stała w tak krótkim czasie.

- Napiszesz w imieniu swoich ziomków list z żądaniem okupu - oświadczył. Wyjaśnił, co ma się w nim znaleźć i jaką kwotę należy podać, ignorując okrzyk przerażenia, który wydobył się jej z ust. — Powiesz im, że przetrzymujemy was w straszliwych warunkach, niemiłosiernie bijemy i codziennie groźbą zmuszamy do wyrzeczenia się wiary...

- Odkąd opuściliśmy statek, nikt nikogo nie uderzył - zaprotestowała śmiało. - Nie pamiętam też, żeby ktoś nas próbował zmuszać do zmiany wyznania.

Groźny błysk pojawił się w oczach korsarza.

- B-a-s-t-i-n-a-d-o - przeliterował i kazał jej powtórzyć.
— Wiesz, co to jest?

Pokręciła głową.

- Każe się człowiekowi położyć na ziemi i wystawić stopy, a potem okłada kijem podeszwy, aż zsinieją. Podobno ból jest potworny. Nikt nie jest w stanie go długo wytrzymać. Szybko zaczynają krzyczeć, że wyrzekają się wiary w fałszywego Syna Bożego i przyjmują wiarę w Allaha. To też zawrzesz w liście.

- Nie rozumiem, czemu każe mi pan pisać takie rzeczy.
Rais się roześmiał.

- A dlaczego twoi rodacy mieliby płacić, gdyby wasze życie nic było zagrożone?

- I tak nie zapłacą. - Cat uniosła podbródek. Była wściekła. Z powodu oszustwa, okrucieństwa oraz wyraźnej przyjemności, jaką rais czerpie z tej całej sytuacji.

Patrzył, jak czerwienieje ze złości. W końcu wzruszył ramionami.

- W takim razie spędzisz resztę życia w Maroku.

List spełniał jego wymagania, niestety. Dwaj mężczyźni, który przyprawdzali ją z mazmorry, wrócili. Posłusznie dała się zabrać. Tego dnia coś z niej uszło. Miała okazję ujrzeć kawałek rajy, który zaraz zniknął niczym fatamorgana, wpędzając ją tylko w jeszcze większe przygnębienie. Przy wejściu do lochu zdjęto z niej czarną szatę, choć idealnie pasowała do jej nastroju, i znalazła się z powrotem w piekle.

- Znudziłaś mu się, co? - zawołał jakiś mężczyzna. W ciemności nie widziała jego twarzy.

- Pewnie ma tyle dziwek, że może przebierać - dorzucił kolejny.

- Cat nie jest żadną dziwką, Jacku Fellowes. Bodajby ci język usechł za te słowa!

Przez chwilę Cat myślała, że to matka się za nią ujęła, ale ona nigdy nie użyłaby zdrobniałej formy imienia. To musiał być ktoś inny. Oburzenie w głosie tej osoby chwyciło ją za serce. Kochana, poczciwa, zawsze lojalna Matty, która zachowała

jeszcze na ryle zdrowia, sił i buntu w sobie, żeby się przejąć, co mówią o jej przyjaciółce.

Rozpłakała się, po raz pierwszy od dnia porwania. Natychmiast podniosły się głosy. Jedni próbowali ją pocieszyć i uspokoić, inni rzucali obelżywe słowa i drwili z niej. Kucnęła, przyciskając kolana do piersi, i zatykając uszy rękoma, kołysała się w przód i w tył, próbując odciąć się od zgiełku. Ostatkiem sił woli przywołała w pamięci szczegóły pachnącego dziedzińca i chłodny spokój panujący w tamtym domu. Płatki róży w fontannie i ułożoną promieniście mozaikę w kolorach białym, niebieskim i złotym, lśniący owoc na drzewku pomarańczowym, misterne trejaże podtrzymujące płataninę słodko pachnących kwiatów i skaczące małe ptaszki. Dekoracyjny sufit z cedru w komnacie raisa, wzorzyste dywany i rzeźbione meble, wymyślny strój czarnoskórego chłopca i jego kędzierzawe włosy, kosztowną tkaninę, z której uszyty był ubiór raisa oraz błysk jego oczu w ciemności... Nagle jakiś wewnętrzny głos zapytał: Dlaczego, szukając pocieszenia, nie przywołujesz w myślach szczegółów życia w Kornwalii? Odpowiedziała mu, że za mało z niego pamięta, ale w głębi duszy czuła, że powód jest inny.

Nazajutrz wraz z nadzorczynią w więzieniu zjawili się dwaj strażnicy. Pierwszy raz oddzielono kobiety od mężczyzn, dzieci zostały przy matkach lub najbliższych krewnych. Najpierw zabrali kobiety z dziećmi i wyprowadzili je na ulicę, gdzie musiały zaciskać powieki przed bezlitosnym słońcem. Strażnicy szybko i sprawnie skuli je łańcuchami w szereg, uważając, by przypadkiem nie dotknąć ich niewiernych ciał, chyba że zimnym żelazem kajdan. Traktowali je równie obojętnie, jakby wieźli na targ stado spętanych kóz.

Cat stała tuż za Nan Tippet, która nie dość, że była niskiego wzrostu, to jeszcze spuściła głowę. Miała więc przed sobą niczym nie zakłócony widok na Salé. Aż trudno uwierzyć, że wczoraj tędy szła, nie poznawała otoczenia. Nic dziwnego, oślepiało ją słońce, była trochę zdeorientowana, a poza tym nie

przywykła do noszenia *zastony* na twarzy, więc nie zdołała wiele zauważyć. Teraz było inaczej. Zupełnie jakby miasto samo domagało się jej uwagi, jakby potrząsało przed nią swą egzotyka niczym cyganka tamburynem. Na ulicach, którymi je prowadzono, kwitło życie. Mijały mężczyźni ciągnących osły, których grzbiety uginały się pod ciężarem ładunków, a biegnące za nimi obdarte dzieciaki krzyczały i popędzały je kijami; sprzedawców wody w kolorowych nakryciach głowy, z przewieszonymi przez ramię skórami zwierząt; długobrodych mężczyzn o ciekawskich spojrzeniach; zebrzących ślepców, kuśtykające kaleki, okryte od stóp do głów kobiety taszczące na plecach olbrzymie kosze i przez wąskie szczeliny w nikabach przyglądające się z zaciekawieniem tej czeredzie jasnowłosych i bladokórych dzikusów w dziwacznych łachmanach.

- Imshi! Ruszać się!

Jeden ze strażników szturchnął Cat kijem, bo aż przystanąła z ciekawości. Na rogu jakiś człowiek grał na flecie przed wężem kołyszącym się w koszyku; jego kolega trzymał drugiego, pokazując grupce widzów, że nie jest groźny i nikogo nie ukąsi, lecz nikt nie miał odwagi wziąć go do ręki.

Było gorąco, w powietrzu unosił się kurz, latały muchy, panował straszny hałas i wszędzie roznosił się intensywny aromat przypraw. Słychać było pokrzykiwania, dźwięki instrumentów muzycznych, ryki osłów i gdakanie kur. Czasem zaleciało łajnem. W jednej z uliczek między wysokimi domami bez okien Cat zauważyła kozy poganiane przez gromadkę ciemnoskórych dzieci. Na każdym kroku coś atakowało jej zmysły.

Wreszcie skręcili w jakiś boczny zaułek i nadzorczym zaprowadziła je pod ogromne drzwi okute brązem. Otworzyła im chuda kobieta obleczona w granatową szatę, której brzegi zdobił geometryczny haft w kontrastowym kolorze. Catherine zatrzymała wzrok na jedynej znajomej rzeczy w tym obcym świecie. Jakiż prosty wzór, nawet siedmioletnie dziecko by to wyhaftowało. Przy tak dobrej jakości materiale, dysponując odpowiednim

wyborem nici, Cat mogłaby uczynić z tego naprawdę olśniewającą strój, mimo jego mało kobiecego fasonu.

Nadzorczyńni uściskała kobietę, pocałowała ją czterokrotnie w policzek i wdała w przyjacielską pogawędkę. Całą drogę je popędzano, szturchając kijem, gdy się któraś ociągała lub przystawała, a teraz nagle nikomu się nie śpieszyło. Gdy panie wreszcie skończyły się witać, niewolnice zaprowadzono do wysokiego pomieszczenia, gdzie pod ścianą siedziała za biurkiem jeszcze jedna kobieta ubrana w szatę z kapturem. Przed sobą miała kałamarz, a w rękę gęsie pióro, którym niecierpliwie stuknęła o blat. Noga obuta w szkarłatny pantofel poruszała się pod biurkiem w tym samym rytmie.

Uwolniono im nogi z kajdan i kolejno podchodzili do biurka, podając za pośrednictwem nadzorczyńni swoje nazwiska, wiek i stan cywilny, a urzędniczka zapisywała te obco brzmiące słowa tak, jak je usłyszała. Potem podzielono je na dwie grupy. Po jednej stronie pomieszczenia stanęły Jane Tregenna z bratową Mary Coode, Maria Kellynch, Ann Fellowes, Alice Johns, Nell Chigwine i Nan Tippet. Po drugiej Cat, Matty, Anne Samuels i dwójka dzieci, pięcioletni James Johns oraz mała Henrietta Kellynch, która odłączona od mamy przyłgnęła kurczowo do Matty.

Nadzorczyńni i chuda kobieta zaczęły się przechadzać wśród nich i nagle ta druga szturchnęła kijem Alice Johns.

- Rozbieraj się! - warknęła nadzorczyńni. Skubnęła palcami brudną suknię Alice i gwałtownie machnęła ręką.

Alice bez słowa gapiła się na nią.

- Rozbieraj się! Ale już! - Nadzorczyńni chwyciła ją za spódnice i chciała pociągnąć do góry, lecz Alice z piskiem ją przytrzymała. Chuda błyskawicznie zdzieliła ją po plecach długą, giętką witką, przez co Alice zaczęła krzyżeć jeszcze głośniej. Witka znów uniosła się w górę i opadła z głośnym świstem.

Przerażone kobiety spojrzały po sobie.

- Ściągaj! - Pod naporem razów i okrzyków Alice w końcu skapitulowała i kiedy ściągano z niej suknię przez głowę, stała

potulnie niczym zbesztane dziecko. Została tylko w poplamionej koszuli. W wieku dwudziestu pięciu lat, urodziwszy tylko jedno dziecko, Alice Johns wciąż była dorodną młodą kobietą, mimo brudu i nieczystości, które oblepiały jej ciało. Nadzorczy i jej koleżanka tręcały ją i poszturchiwały, trajkocząc w swoim dziwnym języku. Macały jej mięśnie, oglądały dłonie, stopy i zęby. Urzędniczka co jakiś czas konsultowała się z grubą księgą leżącą na biurku i zadawała pytanie, a nadzorczy z grubsza je tłumaczyła. Jeśli Alice z powodu złego akcentu lub dziwnej składni czegoś nie zrozumiała, dostawała baty, tym razem pod kolanami.

Kiedy zaczęły z niej zdejmować bieliznę, rozpłakała się.

- Nie - błagała. - Proszę, nie! - Ale na nic się to zdało. Koszula opadła i Alice stanęła przed wszystkimi naga, jak ją pan Bóg stworzył. Próbowwała zasłonić się rękami, kuliła się w sobie, jakby chciała się zapaść pod ziemię. Pozostałe kobiety wbiły wzrok w podłogę, odczuwając wstyd Alice tak mocno, jakby dotknął ich samych. Wiedziały, że za chwilę przyjdzie ich kolej przeżyć to upokorzenie. Cat miała pod suknią sakiewkę z ukrytym pamiętnikiem. Jeśli będzie musiała się rozebrać, znajdą ją i zabiorą.

- Murtafa-at - oświadczyła chuda i smagnęła Alice po rękach, żeby odsłoniła piersi, co nadzorczy skwitowała energicznym skinieniem głowy. Urzędniczka przy biurku zanotowała coś na kartce.

Wreszcie kazały Alice odejść i wyciągnęły z szeregu Marię Kellynch. Na ten widok mała Henrietta oderwała się od Matty, podbiegła do mamy i uczepliła się jej nogi jak pijawka.

- Puszczaj! - krzyknęła nadzorczy i próbowała siłą odciągnąć dziewczynkę, ale ona jeszcze tylko wzmocniła uścisk i zaczęła płakać. Podeszła do nich chuda. Z zaskakującą delikatnością jak na kogoś, kto przed chwilą okładał ludzi witką, pogładziła dziewczynkę po główce i powiedziała jej coś na ucho. Henrietta tak się zdumiała, że od razu przestała płakać i wielkimi oczami patrzyła na Marokankę.

- Eh-daa, a benti. Szs... - Z twarzy kobiety na chwilę zsunął się woal i Cat z zaskoczeniem zobaczyła, że jest uderzająco piękna. Miała duże ciemne oczy, ładnie zarysowane brwi, długie, prosty nos i lśniącą oliwkową cerę. Błyskawiczny ruch i znów była zasłonięta, jak gdyby wyczuła na sobie czyjeś spojrzenie.

Marię poddano tej samej procedurze, co biedną Alice Johns. Kobiety z niesmakiem dotykały fałdu luźnej skóry na jej brzuchu i obmacywały nieco obwisłe piersi. Nadzorczyzm pokręciła głową i powiedziała coś do urzędniczki, która zanotowała to w kolumnie na odwrotnej stronie kartki.

Następna była Nell Chigwine. Z wysoko uniesioną głową spojrzała nadzorczyzni prosto w oczy.

- Stanę przed wami naga, albowiem nie wstydzę się ciała danego mi przez Boga. Zdejmę odzienie, złożę u moich stóp i podepczę, jako uczynił Jezus, a wtedy ujrzycie dobrą chrześcijankę, której niestraszna jest wasza pogańska przemoc. - Zerwała z siebie potarganą suknię, koszulę i pantalone, i rzuciła je na ziemię, ukazując wszystkim blade, kościste ciało z kępkami jasnych włosów.

Ktoś cicho parsknął śmiechem. Nadzorczyzm wpadła w szal, zaczęła wrzeszczeć i okładać Nell rękami. W końcu wściekła schyliła się, podniosła z ziemi jej ubranie i cisnęła w nią.

- Nie kazałam ci się rozbierać! - krzyknęła. - Ty nie murtafa-at. Do niczego, za chuda!

Potem w ten sam sposób obejrzano Ann Fellowes, Nan Tippet i Mary Coode, aż wreszcie przyszła kolej na Cat. Chuda kobieta w granatowej szacie przyglądała się z ciekawością jej dzelabie. Pociągnęła za rękaw, pomacała materiał, a potem wzburzonym głosem zwróciła się do nadzorczyzni. Ta przybrała uważną minę, pokiwała głową i coś jej odpowiedziała. Serce Cat mocniej zabiło. „Pamiętnik - pomyślała - on nie może spaść w ich ręce”. Nagle stało się to kwestią życia i śmierci, jak gdyby między tymi skórzanymi okładkami zawierały się resztki jej tożsamości.

- Ściągać! - rozkazała nadzorczym.

Jak ukryć książkę przed ich wścibskim spojrzeniem? Cat wpatrywała się w nie, próbując zyskać jak najwięcej czasu na zastanowienie. W końcu zsunęła dżelabę z ramion, powoli i ostrożnie, tak że sakiewka wpadła jej w ręce, a później, przestępując przez fałdy tkaniny na podłodze, niepostrzeżenie upuściła ją za siebie.

Chuda od razu porwała dżelabę i zamachała nią wymownie przed oczami nadzorczym. Ta spytała Catherine:

- Skąd to masz?

- Dostałam - odparła, próbując zakryć swą nagość rękami i długimi włosami. Czuła się jak Ewa, kiedy pierwszy raz w raju zawstydziła się swego ciała. - Od kapitana Al - Andalusiego. — Zobaczyła, jak kobiety wymieniają oburzone spojrzenia, a potem ta chuda rzuciła dżelabę i doskoczyła do Cat, zasypując ją razami. Skóra paliła ogniem od uderzeń giętkiej witki. Niewolnice patrzyły na to ze zgrozą, lecz żadna nie odważyła się przyjść jej z pomocą. Osłabiona wielotygodniowym pobytem w zamknięciu Catherine nie zareagowała od razu, była jednak wyższa i lepiej umięśniona od Marokanki, poza tym gniew dodawał jej sił. Rzuciła się na napastniczkę i zdołała zerwać jej z twarzy zasłonę oraz sprawić, że ręka z witką zaplątała się w fałdy ubrania. Niestety już po chwili nadzorczyńi i urzędniczka znalazły się przy niej i powaliły ją na ziemię, dokładając siniaki do czerwonych pręg na białej jak porcelana skórze.

Chuda otrzepała się, poprawiła na sobie ubranie i celnie splunęła na odsłonięte plecy Cat, dodając do tego jeszcze wiązankę przekleństw.

To, co wydarzyło się później, pozostanie w pamięci Cat do końca życia jako chwila najstraszliwszego upokorzenia. Kobieta siłą rozsunęła jej nogi i zaczęła dokładnie oglądać jej miejsca intymne. Potem wdała się w dyskusję z nadzorczynią i ta w końcu odwróciła Cat na plecy.

- Dziewica? - zapytała.

Cat wytrzeszczyła oczy i przytaknęła, co wywołało kolejną ożywioną wymianę zdań. W tym czasie Cat ostrożnie podniosła się z podłogi. Kątem oka dostrzegła leżącą sakiewkę. Niektóre niewolnice spoglądały na nią z lękiem, spodziewając się chyba, że zaraz wyskoczy z niej coś strasznego. Cat błagała je w myślach, aby odwróciły wzrok to tylko kwestia czasu, aż zwrócą uwagę którejś z nadzorczyń. Zagamęła ją zwinnym ruchem i dołączyła do współtowarzyszek.

Przez chwilę myślała, że jej się upiekło, lecz chuda miała dobry wzrok. Rozległ się świst witki. Gdyby Cat się nie odwróciła, dostałaby tylko w plecy lub w głowę, a tak całą siłę uderzenia przyjęła na twarz i w wyniku szoku spowodowanego bólem upuściła sakiewkę. Chuda w mig ją podniosła, zamachała jej przed nosem i spytała:

- Co to jest?

Po twarzy Cat zaczęły płynąć łzy wywołane potężną mieszaną bólu, wściekłości i wstydu. Potrząsała tylko głową, nie mogąc wykrzusić słowa. Chuda otwarła książkę i zająła do środka. Tamte też do niej dołączyły i przyglądały się ze zdziwieniem zagłokowanym schematom opatrzonych notatkami.

Cat nagle oświeciło.

- To jest modlitewnik.

Nadzorczyń zmarszczyła brwi.

- Co?

Cat złożyła dłonie.

- Modlitwy.

Kobiety chwilę się naradzały.

- Do waszego boga? - spytała nadzorczyń.

Cat przytaknęła. Z ust Nell Chigwine wyrwał się zduszony odgłos, jakby chciała z oburzeniem zaprotestować. Chuda przewertowała książkę, wbiła palec w jeden z rysunków i rzekła coś do urzędniczki, która w odpowiedzi kiwnęła głową.

- Khadija mówi, że to bluźnierstwa - oświadczyła nadzorczyń. — Nie obchodzi jej, że to wasza religia, bo wasza re-

ligia jest fałszywa. Dżelaba, którą ukradłaś, i ta książka spłoną w ogniu, tak jak twoja dusza.

Wszystko, co się działo potem, Cat pamięta jak przez mgłę. Po pewnym czasie, który wydawał się trwać wieki, także biedną Matty poddawszy tym hańbiącym oględzinom (co ciekawe, starą pannę Anne Samuels już nie), wyprowadzono je z pomieszczenia i zagoniono labiryntem ciemnych i zimnych korytarzy pod drzwi, zza których buchały kłęby pary.

Jane Tregenna przystanęła w miejscu.

- Czy one zamierzają nas żywcem ugotować? - spytała.

- Imshi! Ruszać się! - Przy matce Catherine nadzorczyńni wydawała się olbrzymką. Cat wstrząśnięta dostrzegła nagle, jak mizerną i poszarzałą twarz ma jej matka. Dotąd bardzo starała się nie patrzeć niżej, lecz wystarczył jeden rzut oka, by dostrzec sterczące obojczyki i żebra, zapadnięty brzuch i chude kończyny. Matka zawsze miała kształtną figurę, podkreślaną zamaszystymi krynolinami i ciasno sznurowanymi gorsetami, lecz teraz wyglądała jak stara, schorowana kobieta, która stoi nad grobem. Z nich wszystkich tylko Cat nie zmoęła wyniszczającą podróż, ale ona jadła, gdy reszta głodowała, i spała w pościeli, gdy tamci musieli taplać się we własnych odchodach. Dzięki temu zachowała zdrowe, pełne ciało. Nic dziwnego, że wszystkie kobiety, w tym także Marokanki, były przekonane, że jest dziwką kapitana.

Nie było sensu opierać się nadzorczym, zresztą i tak nie miały dokąd uciec. Jedna po drugiej posłusznie weszły do zaparowanej izby. Tam otoczyła je czwórka młodych dziewcząt ciasno opatulonych w białe szaty i zaczęła je myć, aż skóra zrobiła im się czerwona. Catherine najchętniej szorowałyby się jeszcze mocniej, nawet do krwi, ale pewnie i to by nie wystarczyło.

- Nigdy w życiu nie włożę waszego pogańskiego stroju!
- rzekła hardo Nell Chigwine. Stała z rękami założonymi na piersi i patrzyła z nienawiścią na nadzorczyńnię. Twarz okalały jej siwiejące włosy posklejane w strąki, a bladą skórę pokrywały

brzydkie czerwone plamy. - Albo mi dacie przyzwoity chrześcijański przydzwiek, albo nic nie włożę!

Wszystkie na nią spojrzały, niektóre z niechętnym podziwem, inne ze strachem, że gotowa sprowadzić na nie jakąś karę.

Nadzorczytni słyszała to już setki razy, w setkach różnych języków. Przez jej ręce przechodzili niewolnicy z Hiszpanii, Wysp Kanaryjskich, Malty, Portugalii czy Francji. Traktowała ich tak samo jak nieszczęśników chwytyanych w niewolę w wyniku porachunków plemiennych czy lokalnych wojen Berberów z okolic i tych z gór, a także czarnoskóre kobiety, które przywożono karawanami z gorącego Południa. Egzystencja jej społeczności zależała od pieniędzy, które zarobią na sprzedaży tych ludzi na targu. Służyły one nie tylko finansowaniu świętych wojen prowadzonych przez takich korsarzy jak jej pan (przez jednych nazywany Dżinem, przez innych Człowiekiem z Andaluzji) — ale służy na odbudowę kazby, domów mieszkalnych i suków, naukę dzieci w porządnej medresie oraz utrzymanie świątyń. Z nich płaciło się jałmużnę biedakom, wdowom i kalekom. Dzięki nim wszyscy mogli żyć ku chwale Allaha. Ta praca była misją i nadzorczytni podchodziła do niej z całym zaangażowaniem.

Wszystko to zabrzmiało w jej głosie, a pewnie i w słowach, kiedy zaczęła złorzeczyć na Nell. Ona jednak była równie zawzięta w swoich przekonaniach i pchnęła nadzorczytnię na futrynę drzwi. Nadzorczytni była kobietą sporych rozmiarów, nie tylko zjadła dziś rano pożywne śniadanie złożone pewnie ze świeżego chleba z miodem z Meknes, jajecznicy z pomidorami i cebulą przyprawionymi kminem, ale żywiła się tak latami, do tego całe życie prała, dźwigała kosze, garnki i dzieci, aż wyrobiła sobie muskuły jak niejeden mężczyzna. Kiedy więc w rewanżu odepchnęła Nell Chigwine, starsza kobieta z miejsca straciła równowagę na mokrych płytkach i rozpaczliwie wymachując rękami, upadła, niefortunnie uderzając głową w misterną mozaikę na ścianie, po czym znieruchomiała. Do bieli i błękitów doszedł jeszcze jeden, rzadko spotykany kolor - czerwień.

Tego samego dnia po południu odbyła się licytacja. Z wysokości podestu Cat patrzyła na tłumy, które zgromadziły się na Souq el Ghezal. Plac targowy pełen był potencjalnych kupców i zwykłych gapiów, którzy przyszli tylko popatrzeć, co tym razem przywiózł Dżin z wyprawy na wrogie terytoria. Większość była ubrana w długie szaty, wielu miało brody i turbany, lecz krążyli wśród nich także inni, przypominający Catherine rene-gata z Plymouth, który przyjął islam i zmienił imię na Ashab Ibrahim. Mieli jaśniejszą skórę, byli ubrani po europejsku i kroczyli dumnie niczym panowie na włościach, przepychając się do przodu, jakby byli u siebie. Zdrajcy - pomyślała z gorczycą. Ludzie, którzy sprzeniewierzyli się własnemu narodowi, i to tylko dla pieniędzy. Wezbrał w niej gniew. Jak oni śmieją tu przychodzić, żeby się naigrywać i napawać widokiem poniżanych w ten sposób porządnych chrześcijan? Albo co gorsza, kupić sobie kobietę, której w uczciwy sposób nigdy by w swoim kraju nie zdobyli?

Kobiety z Penzance nie były jedynymi wystawianymi na sprzedaż w tym dniu. Po drugiej stronie placu prowadzono rzędy skutych mężczyzn. Paradowali dumnie niczym ogiery na wiosennym targu. Ubrani byli tylko w białe przepaski na biodrach, a każdy miał na piersiach wypisaną węglem cenę. Cat nie rozpoznała wśród nich nikogo, kto by podróżował z nimi w ładowni. Najwidoczniej i inne okręty korsarskie powróciły niedawno z wypraw do świata chrześcijańskiego i przywiozły własne łupy.

Prowadzący licytację kolejno zachwalał ich walory, zachęcając kupujących do składania ofert na tych, którzy najlepiej nadadzą się na galery, do prywatnych armii bądź do ciężkiej pracy w polu. Niektórych reklamowano jako skutników, żaglomistrzów i artylerzystów - za tych można było uzyskać najwyższą cenę. Większość to byli rybacy, twardzi mężczyźni o ogorzałych twarzach i żyłastych ramionach. Zainteresowani macali ich bicepsy, dotykali torsu i brzucha oraz zagłada-

li w zęby, żeby się upewnić, że rzeczywiście mają tyle lat, *ile* deklarował sprzedający. Potem przyprowadzono grupę kobiet o skórze prawie tak ciemnej jak liche suknie, w które je odziano. One miały wypisane ceny na plecach kredą. Cat z przerażeniem i zarazem fascynacją patrzyła, gdy jakiś mężczyzna zdarł z jednej ubranie i zaczął ją obmacywać, sprawdzając warstwę tłuszczu na ramionach i udach. Cat w życiu nie widziała skóry o tak hebanowym połysku, lecz potencjalny kupiec zdawał się być obeznany z taką egzotyką i chciał się tylko upewnić, że kobieta jest zdrowa i sprawna. Czyżby była w ciąży? Mężczyzna dotknął jej brzucha i pewnie posunąłby się dalej w swoich oględzinach, gdyby handlarz go nie odciągnął, bardziej z rozprawieniem niż złością.

- Jesteśmy dla nich tylko zwierzętami, niczym więcej - stwierdziła z rozgoryczeniem Jane Tregenna. - Dziela nas na te hodowlane i te pociągowe.

- Może ten list, który kazali napisać Cat, poskutkuje i Sir Arthur przyśle pieniądze, żeby nas wykupić? - wtrąciła Matty, ale Jane z miejsca na nią naskoczyła:

- Ty i twój ptasi mózdzek, Mathildo Pengelly! Naprawdę wierzysz, że pan Harris dysponuje nadmiarem pieniędzy, żeby je marnować na takich maluczkich jak my? A jeśli nawet znajdzie taką sumę, to że ci barbarzyńcy jej sobie nie zabiorą, zatrzymując nas i śmiejąc mu się w nos? Albo gdy nas sprzedadzą w różne miejsca, że komuś będzie się chciało nas odszukać i odesłać do domu? A i to pod warunkiem, że list w ogóle dotrze do Kenege, w co mocno wątpię.

Wszystkie skwitowały to milczeniem, bo też co było mówić. Po szoku, jakim była dla nich śmierć Nell Chigwine, ogarnęło je jeszcze większe przygnębienie w obliczu nowej, nieznannej przyszłości. Przecież, mogą zostać sprzedane nie wiadomo komu i do jakich celów albo wywiezione w głąb tego dzikiego kraju, gdzie przyjdzie im żyć z dala od rodaków, wśród pogan nieznających ani słowa po angielsku.

Wreszcie przyszła ich kolej. Jedna po drugiej schodziły z podiumu, licytator odznaczał je na liście, a potem zaczął wznosić okrzyki do tłumu, zachęcając do składania ofert. Jako pierwsza została sprzedana Maria Kellynch wraz z Henriettą, tuż po nich Ann Fellows i jej córeczka Mary. Nie było chętnych na Anne Samuels i Nan Tippet. Matty, Alice Johns oraz jej syna Jamesa kupił jeden człowiek - dostojnie wyglądający mężczyzna z długą czarną brodą natłuszczoną pomadą i ułożoną w loki, odziany w bogate szaty i obwieszony złotem. W rękę dzierżył ozdobne berło, a obsługiwali go dwaj chłopcy w liberiach, zupełnie jak lokaje w bogatych europejskich domach.

Przy Catherine licytator na chwilę się zatrzymał, po czym zaczął wykrzykiwać jeszcze głośniej i zdjął jej chustę, odśladając burzę rudych włosów. W tłumie z miejsca się zakotłowało, podniosła się wrzawa, wszyscy naraz krzyczeli i wymachiwali rękami, próbując jeden drugiego przelicytować. Cat dzielnie zacisnęła zęby, chociaż nogi miała jak z waty. Teraz, kiedy nadszedł ten moment, poczuła, że naprawdę się boi. Już wolałaby tkwić w brudnym lochu niż stać na krawędzi tej otchłani. W czyje ręce trafi? Grubasa o nalanej, chciwej twarzy? Groźnie wyglądającego chudzielca z haczykowatym nosem, ubranego w zgrzebne białe szaty, który nic się mówił, tylko dyskretnym ruchem ręki podbijał cenę? Dwóch młodych mężczyzn o lisich oczach, którzy stali na przedzie i dosłownie pożerali ją wzrokiem? Renegata z pokiereszowaną twarzą, który chwiał się na nogach od wypitego alkoholu i wisiał na ramieniu równie pijanego kompana? Myślała, że to Anglik, lecz kiedy krzyknął cenę, okazało się, że mówi w zupełnie nieznanym języku. Tym samym zgasła ewentualna nadzieja, że mogłaby spróbować przekonać kupca, by nie robił jej krzywdy do czasu - lub pod pretekstem - nadejścia okupu. Powiodła wzrokiem po ich twarzach i poczuła, że żołądek podchodzi jej do gardła. Wtem jeden z dwóch młodych mężczyzn wyrwał się do przodu i coś zabłysło mu w rękach.

Catherine ujrzała przed sobą ostrze sztyletu. Krzyknęła i chciała uciekać, ale krępowały ją kajdany na nogach, więc runęła jak długa, pociągając za sobą Nan Tippet i Matty. Zapanaował chaos: ludzie przepychali się i krzyczeli, jakaś kobieta wpadła w histerię. Cat podniosła głowę i zobaczyła, jak licytator okłada biczem młodzieńców, którzy ją zaatakowali. Sztylet zawirował w powietrzu, błysnął w słońcu i upadł, a zanim Cat zdołała się podźwignąć na nogi, napastnik i jego towarzysz zniknęli.

A potem, jak gdyby nic niezwykłego się nie stało, licytator wezwał do wznowienia aukcji, tłum napał do przodu i zaczęto się przerzucać ofertami. W pewnym momencie zapanował względny spokój i już się wydawało, że Catherine ktoś kupił, lecz nagle w głębi tłumy wysoka postać w granatowym turbanie uniosła w górę rękę. Wykonała skomplikowany gest palcami i licytator skłonił głowę, jakby na znak akceptacji. Rozległo się zbiorowe westchnienie, ludzie odwracali głowy, żeby zobaczyć, komu udało się dobić targu, lecz tajemnicza postać już się oddalała. Jęcząc i złorzecząc, zaczęli się rozchodzić, w większości niezainteresowani pozostałym towarem.

- On chciał cię zabić - wyszeptała przerażona Matty, kiedy je wyprowadzano, by w tym czasie dopełnić formalności finansowych. - Dlaczego?

Cat nie miała pojęcia. Bo niby skąd?

- Oni nas nienawidzą - rzekła Jane Tregenna. Była blada na twarzy. - Nienawidzą i najchętniej by nas wszystkich pozabijali. - Wyciągnęła dłoń i pogładziła córkę po twarzy. Cat nie przypominała sobie, aby kiedykolwiek zaznała tak czułego gestu od matki. - Możliwe, córeczko, że po już się nigdy nie zobaczymy. Pamiętaj, że jesteś dobrze urodzona. W twoich żyłach płynie krew znacznie szlachetniejsza, niż myślisz. Bądź dumna i staraj się zachować godność przed Bogiem w tym poańskim kraju.

ROZDZIAŁ 21

Pani pewnie jest madame Lovat? — Kobieta była drobnej figury, ubrana w elegancką ciemną suknię i jasny jedwabny hidżab.

- Tak, Julia Lovat. Czy madame Rachidi?

- Proszę, mów mi Naima. Pokażę ci pokój, bagaże możesz zostawić tutaj, Aziz się nimi zajmie. Podróż minęła spokojnie?

Zaprowadziła mnie długimi, delikatnie oświetlonymi korytarzami na wewnętrzny dziedziniec z centralnie umieszczoną kwadratową fontanną. Wokół stały stoliki i krzesła z kutego żelaza. Do basenu fontanny ktoś nasypał płatków róż. W rogach dziedzińca dekoracyjne lampiony rzucały na ściany wzorzyste światło. Na parterze znajdowały się podcienia z kolumnami, a na piętrze drewniane balkony obsypane białą jaśminu i bugenwili. Jakby dla dopełnienia kompozycji, w samym środku pustej, czarnej czeluści nad głową świecił sierp księżycy.

Westchnęłam z zachwytu.

- Jak tu pięknie.

- Barrakalofik, Julio. - Naima odwróciła oczy i skromnie się uśmiechnęła. Potem podeszła do podwójnych drzwi, otworzyła zasuwę i pchnęła je. Moim oczom ukazała się komnata wyjęta wprost z *Baśni tysiąca i jednej nocy*: wielkie łoże z baldachimem przykryte śnieżnobiałą pościelą i stertą jedwabnych poduszek, puszyste dywany na lśniącej kamiennej podłodze, stolik z mosiężnym blatem, a na nim taca z kolorowymi szklankami i karafką wody, lampiony, świece, dwa rzeźbione taborety. Przy

ścianie pod oknem wychodzącym na dziedziniec stała wyściełana ława. Przez ażurowe okiennice przenikał do wnętrza zapach róż i palonych kadzidełek. Naprzeciwko, za sklepieniem przejściem znajdowała się przepiękna łazienka z mozaikową posadzką, dwiema umywalkami z kutego złota, głęboką wanną z cze-goś, co wyglądało na marmur i osobną kabiną prysznicową. Wszystko oświetlone migoczącym blaskiem świec. Teraz mnie po prostu zatkało. Marzyłam, żeby mieć taką łazienkę w domu. Chybabym w niej zamieszkała. Potem chodziłabym z wiecznie pomarszczoną skórą.

- Milouda przyrządziła tadżin, gdybyś była zmęczona i wolała zjeść tu na miejscu - zaproponowała Naima Rachidi, stojąc w drzwiach.

Wyrwana z rozmyślań odwróciłam się.

- Dziękuję, chętnie.

- Nakryję ci do stołu na dziedzińcu. Za jakieś pół godziny, może być? Możesz się w tym czasie spokojnie rozpakować i wykapać.

- Bardzo dziękuję.

- Tan mirt. - Nachyliła głowę. - Marhaban. Witamy w naszych progach.

Uśmiechnęłam się do niej.

- Świetnie mówisz po angielsku. Obawiam się, że ja nie znam ani słowa po arabsku.

Naima się skrzywiła.

- Angielskiego nauczyłam się w college'u, ale ja i moja rodzina jesteśmy Berberami, wolimy się porozumiewać w naszym własnym języku. Jeśli chcesz, Idriss chętnie cię nauczy paru zwrotów.

Idriss. Prawie o nim zapomniałam. Czy sprostą poziomowi tej romantycznej sielanki, jaką tu stworzyła jego kuzynka? Może być trudno. Wypakowałam rzeczy, wzięłam prysznic, a potem wyszłam na dziedziniec i zasiadłam przy stoliku, gdzie Naima podała mi tadżin. Nie wiem, z czego był zrobiony ani jakich

wymyślnych przypraw doń dodano, ale smakował wyśmienicie. Jagnięcina rozpływała się w ustach, po przełknięciu trochę paliło w gardle, czuć było nutę cytrusów, chili, czosnku i jeszcze z tużin innych smaków. Kiedy Milouda - energiczna starsza pani w białych legginsach, chustce i powiewającej tunice do kolan przyszła posprzątać wyczyszczone do ostatka talerze, zapytałam ją o składniki. Wymieniła to, co sama odgadłam, a potem znacząco dotknęła palcem nosa.

- C'est magie - odparła i nie chciała zdradzić nic więcej.

Tej nocy spałam dobrze, ale nawiedzały mnie dziwne sny i o świącie, gdy rozległ się śpiew muezina, zerwałam się, nie wiedząc, gdzie jestem. Leżałam chwilę w półśnie, drżąc z przejęcia, że jestem zupełnie sama na tym obcym kontynencie, a jednocześnie czułam się dziwnie bezpiecznie. Zasnęłam więc znowu, a po czterech godzinach obudził mnie świergot ptaków i delikatny szum fontanny.

Zjadłszy śniadanie, rozsiadłam się wygodnie na dziedzińcu z filiżanką mocnej kawy, rozłożyłam przewodnik i jednym uchem łowiłam rozmowę francuskich turystów przy stoliku obok. Nagle nakrył mnie czyjś cień.

- Dzień dobry. - Angielszczyzna z leciutkim akcentem, którego nic umiałam zidentyfikować, ale mógł być amerykański. Podniosłam wzrok. Mężczyzna stał pod słońce, więc nie widziałam jego twarzy, a kiedy się przesunął, zaświeciło mi prosto w oczy, tak że musiałam się odwrócić.

- Co pani czyta?

Rozłożyłam przewodnik na stole.

- „Exodus Maurów wygnanych z Hiszpanii do Afryki trwał nieprzerwanie przez cały szesnasty wiek aż do roku tysiąc sześćset dziewiątego, kiedy Filip III postanowił ostatecznie wypędzić wszystkich muzułmanów z hiszpańskiej ziemi. W edyktie wydanym w styczniu tysiąc sześćset dziesiątego roku jednoznacznie zażądał, aby wszyscy muzułmanie, niezależnie od tego, czy

kiedykolwiek przeszli na katolicyzm, natychmiast opuścili kraj. Ta decyzja miała okazać się zgubna. Wcześniejsze wypędzenia w poprzednim stuleciu już i tak spowodowały gwałtowny rozwój piractwa na Morzu Śródziemnym. Ten radykalny krok jeszcze bardziej zmniejszył bezpieczeństwo żeglugi, przyczyniając się bezpośrednio do ponownego zasiedlenia Sale przez Maurów, którzy w ciągu kolejnych dwustu lat mieli się srać jednymi z najbardziej aktywnych spośród berberyjskich piratów”.

Mężczyzna tymczasem przysunął sobie krzesło i usiadł, zakładając nogę na nogę. Miał na sobie lniane spodnie. Czułam, że uważnie mi się przysłuchuje, a kiedy skończywszy, spojrzałam na niego, pokiwał głową.

- Nieźle podsumowanie, choć nie do końca ściśle i pozbawione paru istotnych szczegółów. - Miał surową twarz o wyrazistych rysach. Mógł równie dobrze liczyć trzydzieści, jak i pięćdziesiąt lat, a to ze względu na włosy ostrzyżone prawie do skóry i mądre spojrzenie. Długi prosty nos i wydatne kości policzkowe barwy polerowanej miedzi nadawały mu wygląd dzikiego łowcy, mniejszego od lwa i groźniejszego od wilka, lecz gdy nagle się uśmiechnął, moje pierwsze wrażenie natychmiast ustąpiło miejsca innym, mniej drapieżnym porównaniom.

- Pan też tu mieszka? - spytałam.

- Można tak powiedzieć. Bywam tu tak często, że to prawie mój drugi dom.

- Wydaje się pan sporo wiedzieć o Maroku.

Pochylił głowę.

- O tyle, o ile.

Jego czarne bystre oczy śmiały się ze mnie. Wtedy mnie olśniło.

- O, Boże, przepraszam. Pan Idriss, prawda? Myślałam, że jest pan... jednym z gości, zachowywał się pan tak swobodnie, zagadnął płynną angielszczyzną...

Czułam, jak się czerwienię, i to nie tylko na twarzy, ale także na szyi. Koszmar. Wzięłam go za turystę, bo dobrze mówi

po angielsku i w związku z tym na pewno nie może być Marokańczykiem. Co za wstyd.

Uklonił się.

- To ja powinienem przeprosić, że tak bezceremonialnie przerwałem pani petit dejeuner i na dodatek się nie przedstawiłem. Pani pozwoli. - I podał mi rękę przez stół. - La bes. Nazywam się Idriss el-Kharkouri. Marhaban. - Położył dłoń na sercu. - Witamy w Maroku.

Wymieniliśmy jeszcze parę uprzejmości, po czym on wyszedł, by przynieść dzbanek świeżej kawy i popielniczkę.

- Nie będzie pani przeszkadzało? Obrzydliwy nałóg, ale bardzo popularny wśród Marokańczyków. Wszyscy powinniśmy umierać na raka płuc, tymczasem to cukrzyca zbiera największe żniwo.

- Nie, proszę. - Poczęstował mnie, ale podziękowałam. - Dlaczego cukrzyca?

- Próbowała pani naszej whisky?

- Myślałam, że islam zabrania picia alkoholu - odparłam naiwnie.

Uśmiechnął się.

- T a k nazywamy miętową herbatę: „marokańska whisky”. Przez to mniej dotkliwe odczuwamy ten zakaz.

- Milouda zrobiła mi wczoraj jakąś herbatę. Była... - cofnęłam się myślami - dosyć słodka.

Zaśmiał się w głos.

- Dobrze, że pani nie widziała, ile cukru weszło do imbryka. Nigdy więcej by pani tego nie tknęła. Francuzki wpadają w histerię, kiedy sobie uświadomią, co tak beztrosko popijają przez cały urlop. Ale dla nas cukier to coś więcej niż substancja słodząca. To symbol gościnności, dostatku i szczęścia. Każda młoda para tradycyjnie dostaje w prezencie ślubnym głowę cukru. Cukier i sól były podstawą naszej gospodarki. Cukier sprowadzano z południa, a sól z Taghazy na Saharze i przewożono karawanami głównym szlakiem między Timbaktu a Marokiem.

Towary odprawiano potem w portach północno-zachodniego wybrzeża - Essaourrze, Safi i Anfie, a także tutaj w Rabacie i Sale - i wysyłano do wszystkich krajów Europy Wasza królowa Elżbieta, która pokonała Hiszpanów, prowadziła intensywną wymianą handlową z Marokiem. Nie chodziło tylko o cukier, lecz i saletrę do produkcji prochu, kość słoniową, srebro, złoto i bursztyn, a także miód z Meknes oraz wosk pszczoły. W zamian dostawaliśmy od niej broń do walki z Hiszpanami.

Zaczęła mi się podobać perspektywa zwiedzania miasta w towarzystwie tego człowieka. Mimo że groźnie wyglądał, był prawdziwą kopalnią informacji.

- Co więc się stało? Czemu piraci zaczęli grasować u naszych wybrzeży, skoro mieliśmy wspólnego wroga?

- A „wróg mojego wroga jest moim przyjacielem”, tak? Skinęłam głową.

- Stare arabskie przysłowie... - przerwał. - Interesuje się pani korsarzami z Sale, mogę spytać dlaczego? Nawet w naszym kraju to rzadko poruszany temat.

- T a k a tam rodzinna historia - odparłam wymijająco. - Ponoć moją przodkinię porwali berberyjscy piraci.

- To byli korsarze - poprawił mnie - nie piraci.

- A co za różnica?

- Piraci działają na własną rękę, napadają dla własnego zysku. Korsarze wracali z łupami do domu i dzielili je między załogę statku, jego właścicieli i miejscową społeczność. To był w pełni regulowany rynek. Korsarze z Sale wyruszali na wyprawy z upoważnienia rządu i byli nazywani al-ghuzat. Tak kiedyś tytułowano wojowników walczących u boku Proroka Mahometa. Okrzyknięto ich wojownikami religijnymi, którzy toczą na morzach i oceanach świętą wojnę przeciwko niewiernym.

Skrzywiłam się.

- Ale to im nie przeszkadzało nadal z nami, „niewiernymi”, handlować? Trać hipokryzją!

Idriss wzruszył ramionami.

- Proszę się rozejrzeć dookoła, poczytać gazety i pooglądać telewizję. Czy dzisiaj coś się zmieniło? Ameryka i Europa od dziesiątków lat sprzedają broń, czy to oficjalnie, czy na czarnym rynku, ludziom, których teraz nazywacie „terrorystami”. Wojna i biznes zawsze szły w parze, taka jest Realpolitik. Tak naprawdę nic się nie zmienia, człowiek pozostanie człowiekiem.

- I tak historia wciąż się powtarza, jak w jakimś błędnym kole chciwości, korupcji i wyprzedawania ideałów.

- Chodźmy - wstał. - Pokażę pani to, co przyjechała pani zobaczyć, a rozmowy o polityce zostawmy sobie na kolację.

Kolację? Nie jest on aby zbyt pewny siebie? Spojrzałam na niego z ukosa, ale on już zbierał naczynia ze stołu z wprawą, która wskazywała na lata praktyki w pomaganiu przy pracach domowych. Obrączki na palcu jednak nie zauważyłam. Widocznie u muzułmanów nic ma takiego zwyczaju, choć pewnie jest żonaty i ma gromadkę dzieci. A może ma więcej niż jedną żonę? W tej kulturze poligamia jest chyba nadal dozwolona. Zdałam sobie sprawę, jak mało wiem o muzułmańskich mężczyznach.

Na zewnątrz było gorąco jak w piekarniku. Od razu założyłam ciemne okulary i schowałam się pod słomkowym kapeluszem z szerokim rondem.

- Znajdujemy się teraz w medynie - wyjaśnił Idriss, prowadząc mnie wąską uliczką tuż obok riadu - czyli najstarszej części miasta. Osadnictwo istniało tutaj już w czasach Kartagińczyków i Rzymian. Od setek lat niewiele się zmieniło, jesteśmy społeczeństwem konserwatywnym, lubimy pielęgnować nasze tradycje.

U wylotu ulicy stała grupka kobiet w sukniach do ziemi i chustkach na głowie. Dźwigały kosze pełne warzyw i owoców, plotkowały, zaśmiewając się w głos i klaszcząc w dłonie. Gdy je mijaliśmy, zlustrowały mnie z góry na dół, ani na chwilę nie przerywając rozmowy. Skręciliśmy za róg, przemierzaliśmy kolejną krętą uliczkę i nagle wyszliśmy na otwartą przestrzeń,

którą przecinało sześć pasów ruchu, a zewsząd rozlegał się ryk silników i dźwięk klaksonów. Po drugiej stronie obwodnicy wyrastała potężna twierdza z rudego kamienia zwieńczona blankami. W murach nadgryzionych zębem czasu znajdowały się liczne otwory strzelnicze i łukowate bramy.

- Wygląda, jakby wiele przeszła.

- To kazba Udaja. W dwunastym wieku zaczął ją wznosić sułtan Abd-al-Mumin z dynastii Almohadów, żeby chronić miasto przed atakami od strony morza. Prace kontynuował jego syn, Jakub al-Mansur, który dobudował do istniejącego klasztoru te wspaniałe obwarowania. Od tego pochodzi też nazwa miasta Rabat, co znaczy „ufortyfikowany klasztor”. To stąd w średniowieczu islamscy mnisi wojownicy wyruszali na świętą wojnę do Hiszpanii, a później, w siedemnastym wieku, miasto stało się bazą wypadową floty korsarskiej prowadzącej świętą wojnę przeciw chrześcijaństwu.

- Zaczynam się czuć jak na lekcjach historii w szkole. Nauczyciel tylko dyktował nam daty i w sumie niczego się nie nauczyliśmy.

- Dobrze, dla pani postaram się to nieco ubarwić. - Powiedział to tonem na poły lekceważącym, na poły urażonym.

Nie wiedziałam, jak zareagować, więc dałam się wziąć pod rękę i przeprowadzić przez tę zabójczą autostradę pod same mury twierdzy.

Gdy przekroczyliśmy bramę, od razu doskoczył do mnie jakiś młody człowiek.

- Vous voulez un guide, madame? Moins cher...

Idriss rzucił w jego stronę kilka mocnych słów i chłopak uciekł.

- Na pewno nic miał złych zamiarów - powiedziałam, nieco zaskoczona tak ostrą reakcją.

- Nielegalni przewodnicy psują nam opinię wśród turystów. Są nachalni, a niektórzy tylko czyhają na samotne kobiety. Nie należy im odpuszczać.

- Prosiłam tylko o przewodnika, nie psa obronnego - żartowałam.

Spojrzał na mnie chłodno.

- Pies to według Koranu zwierzę nieczyste. Byłbym wdzięczny, gdyby mnie pani tak nie nazywała.

Już otwierałam usta, chcąc się pokajać, że nie miałam najmniejszego zamiaru go obrażać, ale zrozumiałam, że to może tylko pogłębić przepaść kulturową. Szliśmy jakiś czas w milczeniu, a potem skrzyliśmy za róg między wysokimi, kamiennymi murami i znaleźliśmy się w przepięknym ogrodzie. Sieć alejek dzieliła teren na części obsadzone kwiatami, ziołami, bananowcami i oleandrami, całość była niezwykle uporządkowana. W wielu miejscach rozstawiono drewniane trejaże dla pnączy, których gęste listowie dawało trochę osłony przez palącym słońcem. Na drzewach wisały pomarańcze, a wokół placu ciągnęły się arkady, oferując zacienione nisze, w których ludzie siedzieli i czytali lub kontemplowali spokojne otoczenie.

- Cudowny - westchnęłam. - Wygląda jak miniaturowa Alhambra.

- Nazwano go Ogrodem Andaluzijskim, choć tak naprawdę założyli go Francuzi w okresie kolonialnym. Wzorując się właśnie na Alhambrze.

- Ach tak.

- Ale widoczny za nim pałac, w którym teraz mieści się muzeum, został zbudowany w siedemnastym wieku przez sułtana Mulaja Ismaila. Możliwe, że pani przodkini była tego świadkiem, sułtan miał wielu niewolników z Europy. Kiedy została porwana?

- Według rodzinnej legendy stało się to latem tysiąc sześćset dwudziestego piątego. - Instynkt ostrzegł mnie, żeby nie wspominać o pamiętniku Catherine.

Idriss uniósł brew.

- O, to wcześniej, niż myślałam. Korsarze założyli republikę dopiero w tysiąc sześćset dwudziestym szóstym, a szczy-

towy okres ich działalności przypadł na drugą połowę siedemnastego wieku.

- Rozumiem. - Nagle znów ogarnęło mnie całe mnóstwo wątpliwości. - Może to faktycznie jest tylko legenda albo ktoś pomylił daty.

- Jeśli to panią poważnie interesuje, mam znajomego, który pracuje na uniwersytecie, możemy go zapytać.

Zareagowałam nerwowym śmiechem.

- Nie, nie trzeba. Byłam po prostu ciekawa.

Przyjrzał mi się uważnie.

- Przyjechała tu pani z tak daleka, sama, tylko po to, żeby zaspokoić ciekawość?

Weszliśmy w wąską ulicę, odnogę głównej alei, która wiała się stromo do góry między wysokimi domami i ogrodami otoczonymi murem, potem nagle skręciliśmy za róg i natknęliśmy się na grupkę dzieci stłoczonych wokół czegoś, co świeciło w słońcu jak złoto. Nachyliłam się, żeby zerknąć, co to takiego, a dzieciaki od razu się rozstąpiły z wielkimi uśmiechami na buziach. Było tam osiem świeżo wyklutych kurczątek, które kręcąc się chaotycznie jak popcorn na patelni, dziobały rozsypane na bruku ziarna.

Przykucnęliśmy. Idriss zamienił kilka słów z jednym z chłopców, a ten roześmiał się od ucha do ucha, pokazując szczerbate uzębienie. Potem bezceremonialnie chwycił mnie za rękę, odwrócił dłoń i postawił mi na niej kurczaczka. Ledwo się trzymał na swych wątych nóżkach, ważył tyle co nic, a jego jasny puch lśnił pod słońcem niczym dmuchawiec. Czułam trzepotanie malutkiego serduszka. Nagle Idriss położył mi rękę na ramieniu, a ja miałam wrażenie, jakby ktoś dotknął mojej skóry przewodem pod napięciem.

- Abdel mówi, że może go pani sobie wziąć.

Opadła mi szczeka. Taka hojność ze strony dziecka... Ale co powinnam zrobić w tej sytuacji? Idriss uśmiechnął się, widząc moje zakłopotanie. Odstawił pisklę na ziemię, wygrzebał z kieszeni kilka monet i dał je chłopcu, kładąc mu dłoń na krótko ostrzyżonej główce.

- Tanmirt, Abdellatif. Bes salama.

Ten epizod całkowicie odmienił resztę poranka, tak jakby wszystkie późniejsze wydarzenia czerpały z niego radość i magię. Przystałam myśleć o książce, o Michaelu, tylko poddałam się urokowi tego kraju i chłonęłam jego serdeczną, gościnną atmosferę, pełną egzotyki oraz obecnej na każdym kroku zawiłej i bolesnej historii.

Zresztą trudno, żeby było inaczej, ponieważ kazba odkrywała przede mną coraz to nowe wspaniałości: labirynty wąskich uliczek, niebiesko-białe domy z kutymi okiennicami i drzwiami ze zbielałego drewna nabijanymi ciężkimi nitami, oślepiające kaskady kwitnącego jaśminu i bugenwilli, pachnące gęstwiny pnących róż.

W końcu doszliśmy do ogromnego meczetu z wysokim minaretem i tu Idriss się zatrzymał.

- To Jamaa el Atiq, zbudowany w dwunastym wieku przez sułtana Abd Al-Mumina. Nie chciałbym pani zanudzać datami i suchymi faktami, ale warto wspomnieć, że jest to najstarszy meczet w Rabacie. - Spojrzał w górę. Słońce łagodziło jego rysy twarzy, a czarne oczy przybrały orzechowy odcień.

- Możemy tam wejść? - Widząc, jak okazałe wygląda z zewnątrz, byłam ciekawa jego wnętrza.

Idriss popatrzył na mnie z góry.

- Ależ skąd.

- Niby dlaczego? - zachnęłam się. - Bo jestem kobietą?

- Bo nie jest pani muzulmanką.

- Ach, rozumiem - zaśmiałam się. - Niewierna.

- Właśnie.

- No, ładnie.

- Chodźmy - chwycił mnie za rękę. - Pokażę pani, gdzie moi przodkowie przywozili pani chrześcijańskich przodków.

- Tak gwoli ścisłości - powiedziałam, maszerując za nim labiryntem ulic - nie wiem, czy pan wie, ale chrześcijanie też nazywali muzulmanów niewiernymi.

Przynajmniej zdobył się na uśmiech.

Na szczycie kazby weszliśmy na platformę sygnalizacyjną, ogromne stanowisko strzelnicze, z którego rozciągał się oszałamiający widok na ocean i zalane słońcem białe miasto leżące po drugiej stronie szerokiej rzeki.

- Bou Regreg, czyli lustrzana rzeka - wyjaśnił Idriss, siadając na murku. - Adekwatna nazwa, prawda? Nie wiem, kto pierwszy jej użył, ale ludzie osiedlali się na tych terenach od najdawniejszych czasów. Powstały tu trzy niezależne miasta-państwa. Tam za rzeką jest Sla el Bali, Stare Sale, główny port potężnego Królestwa Fezu. W siedemnastym wieku srał się ośrodkiem handlu niewolnikami, a także sercem radykalnego islamu. Na drugim brzegu pokazał za siebie - był Rabat, gdzie w końcu osiedlili się zamożni żydowscy i mauretańscy kupcy. My stoimy teraz w miejscu, gdzie znajdowało się Nowe Sale, Sla el Djedid. Kiedy w początkach siedemnastego wieku król hiszpański Filip wygnał Maurów z Andaluzji, wielu tu powróciło i przystąpiło do odbudowy porzuconego niegdyś miasta. Powitano ich z otwartymi ramionami: przywieźli ze sobą spory majątek, no i przede wszystkim utrwaloną nienawiść do chrześcijan, od których zaznali wielu prześladowań. Ówczesny władca, sułtan Mulaj Zidane, dał im pieniądze na wybudowanie murów obronnych i przydzielił oddział wojska, który miał strzec twierdzy, od tej pory nazywanej kazbą andaluzyjską. Odwdzięczali się w ten sposób, że z początku oddawali mu dziesiątą część złupionych towarów, ale szybko przestali płacić sułtanowi jakiegokolwiek podatki. Nie potrzebowali już jego pomocy ani ochrony. Sale jest strategicznie położone, niedaleko jest Cieśnina Gibraltarska. To takie wąskie gardło, przed które musiał się przeciskać cały transport morski. Korsarze nie mieli dużo roboty: wystarczyło tylko zaatakować pojawiający się statek. A że byli szybsi i doskonale znali tutejsze wody, mogli bardzo prędko uciec do najbardziej bezpiecznego portu. Widzi pani tę kipiela tam w dole?

Podążyłam wzrokiem za jego palcem i zobaczyłam spieniony grzbiet fali w poprzek ujścia rzeki. Kiwnęłam głową.

- Widzę .

- Pod powierzchnią kryje się mielizna. Tylko mała jednostka o niewielkim zanurzeniu może tędy przepłynąć, a jeśli to jej nie zatrzyma, zrobi to wąskie koryto. Tylko wytrawny żeglarz potrafi pokonać to przejście. Na dnie leży mnóstwo wraków zagranicznych statków.

- Dlaczego więc zaczęli porywać ludzi?

- Bo szybko się zorientowali, że mogą znacznie więcej zarobić, jeśli oprócz ładunku zabiorą także załogę i sprzedadzą ją na targu niewolników. Poza tym, kiedy się pływa galerami po Morzu Śródziemnym, potrzeba wielu silnych mężczyzn do wiosła, żeby móc dogonić cenne łupy.

- Ale po co im były kobiety?

- A jak pani myśli? Porywali je w tych samych celach, dla których mężczyźni robią to od wieków.

Zaczerwieniłam się. Biedna Catherine.

- Zgłodniałam - powiedziałam znienacka, żeby zmienić temat, i wstałam z murku. - Co tu można zjeść?

Pomyślał chwilę, czoło przecięła mu głęboka pionowa bruzda.

- Lubi pani ryby?

- Jasne.

- W takim razie mam pomysł.

Zeszliśmy na nabrzeże, gdzie cumowało kilka niebieskich, drewnianych łodzi o wysokich dziobach. Na prowizorycznym pomoście stała kolejka ludzi. Idriss wręczył przewoźnikowi dwie monety, potem przestawił mnie przez burtę i sam wsiadł. Śniady przewoźnik z bujną brodą, który przyglądał mi się z nieukrywana niechęcią, odcumował łódź, wypchnął ją na wodę i przenieśliśmy nas na drugi brzeg Bou Regreg do Starego Sale, gdzie znalazłam się w zupełnie innym świecie.

Jak okiem sięgnąć, sami mężczyźni w dżelabach z kapturami nasuniętymi na czoło i kobiety szczelnie okutane w nika-by - ani jednego Europejczyka. Już schodząc na brzeg, poczu-

łam się nieswojo, spięłam więc włosy w kok i schowałam pod kapeluszem. Mijaliśmy rzędy straganów oferujących dzisiejszy połów. Obok na stołeczkach siedzieli mężczyźni i sprawiali ryby, atakowani przez stada drących się mew. Tuniki mieli całe uwalane krwią i łuskami. Stąpając ostrożnie między cuchnącymi kałużami pełnymi rybich odpadów, nabierałam obaw co do naszego lunchu, lecz Idriss wziął mnie za łokieć i zaprowadził do knajpki pod gołym niebem, gilzie spożyliśmy iście królewski posiłek z najświeższych ryb, jakie w życiu jadłam. Podano je z masłem i oliwą oraz wielkimi plastrami cytryny, a do tego świeżo upieczony chleb. Pod koniec, oblizując zatłuszczone palce, policzyłam leżące przede mną na gazecie kręgosłupy. Było ich piętnaście. Nie wierzyłam własnym oczom. Zezartałam piętnaście ryb, i to wcale nie takich małych. Ale przed Idrissem leżała o wiele bardziej imponująca sterta, a jeszcze nie skończył. Konsumował w wielkim skupieniu, uważając, by nic się przypadkiem nie zmarnowało. Jak człowiek, który nie wie, kiedy będzie mu dane zjeść następny posiłek.

- Hm, może opowie mi pan coś o swojej rodzinie? — zagadnęłam niby od niechcenia. - A w ogóle, czy możemy sobie mówić na ty?

Spojrzał na mnie.

- Myślę, że tak. A co cię interesuje?

- Masz braci, siostry, rodziców... teściów?

- Teściów?

Nici z subtelności.

- Jesteś żonaty?

Pokręcił głową.

- Nie.

- I nigdy nie byłeś?

- Nigdy.

Niezbyt chętnie udzielał informacji.

- A czemu? - naciskałam.

Odłożył rybę.

- Jakoś się nie złożyło. - Zapadła cisza, zastanawiałam się, co powiedzieć, gdy on nagle spytał: - A ty?

- Też nie. Z tych samych powodów. - Czułam, że usta same mi się zaciskają, jakby wolały, aby bolesna prawda pozostała bezpiecznie uwięziona za kratami moich zębów.

Uniósł brwi.

- To mnie trochę zaskoczyłaś. - Przyglądał mi się z tym samym bezlitosnym skupieniem, z jakim rozprawił się z rybą. - Tutaj mamy takie powiedzenie, że „kobieta bez mężczyzny jest jak ptak bez gniazda”.

W tym momencie przechodziła kelnerka. Dałam jej znak, podeszła, ale nie zwróciła się do mnie, lecz do Idrissa. Zaczął grzebać w kieszeni, ale ja miałam już przygotowane dwadzieścia dirhamów.

- Proszę, to za mnie.

Kelnerka przeskakiwała wzrokiem z Idrissa na mnie i do brze wiedziałam, co sobie myśli, ale wtedy marzyłam tylko o jednym: posiedzieć sobie spokojnie na powietrzu i jak najszybciej zejść z tego grząskiego gruntu w rozmowie.

Brud i smród panujące na nabrzeżu nagle ustąpiły miejsca nowoczesnej zabudowie. Dalej ciągnęły się szerokie ulice z francuskimi willami kolonialnymi, a za nimi wyrastały mury koloru ochry - medyna.

Weszliśmy do medyny przez monumentalną bramę Bab Bou Haja i znaleźliśmy się na rozległym prostokątnym placu z ogrodem. Idriss zaprowadził mnie na drugą stronę, skąd wybiegała uliczka tak wąska, że domy po przeciwnych jej stronach prawie się dotykały. We wnękach murów ulokowały się maleńkie sklepiki oferujące wszystko: od narzędzi przez obuwie, biżuterię, artykuły spożywcze, aż po telefony komórkowe i części do komputerów - dziwnie wyglądały te symbole nowoczesności w średniowiecznej scenerii. W powietrzu unosiły się rozmaite zapachy: ryb, chyba wszechobecny w tej części

miasta, przypraw, smażonego mięsa oraz inne, nieznane mi. Skręciliśmy w ulicę, którą spowijał cień. Zadarłam głowę i zobaczyłam, że jest zadaszona czymś w rodzaju trzciniowej strzechy. Minęliśmy kolejny róg i znaleźliśmy się w samym środku suku, tradycyjnego bazaru. Sprawiał wrażenie mrowiska: falująca masa ludzi, hałas, muzyka, krzyki, śmiechy, skwierczenie potraw na ogniu, a wszystko to zamknięte w obrębie labiryntu tuneli i zaułków. Nie wiedziałam, w którą stronę patrzeć: nastąpiło totalne przeciążenie zmysłów, forowaliśmy sobie drogę przez rozpychający się tłum klientów, a towary wręcz wysypywały się ze straganów – kunsztowne wyroby ze skóry, buty i mieniące się cekinami kolorowe pantofle, odzież, przedmioty z mosiądzu, stopy świeżych owoców, oliwki i świece, girlandy suszonych fig i moreli. Przyprawy były usypane w idealne piramidy. Intensywny zapach wypełniał nozdrza, a barwy przyprawiały o zawrót głowy: czerwień sproszkowanego chili i papryki, intensywny brąz cynamonu i gałki muszkatołowej, nieco jaśniejszy kminu i imbiru, żółta ochra kurkumy, gwiazdki anyżu i goździki. Po chwili zapach zamienił się w fetor – doszliśmy do straganów z mięsem. Sprzedawano tam dość szokujące rzeczy: krowie racice, uszy, nosy, owcze i kozie łby, białe jadra pokryte żyłkami, sterty flaków.

– Fuj – złapałam się za nos.

Idriss zaśmiał się ze mnie.

– Zapomniałem, że wy na Zachodzie jesteście strasznie delikatni. Chodźmy tędy.

Ciekawych widoków było więcej: kobieta ze stadkiem gęsi, kaczek i królików, a wokół niej stłoczeni ludzie, którzy wybierali sobie produkt na obiad, zawieszane pod okapami pęki wysuszonych węzowych skórek, klatki z małpami i jakimiś dziwnymi gadami o ruchliwych oczkach i małych łapkach podobnych do ludzkiej dłoni. Przeszliśmy obok nich bardzo szybko, więc dopiero po kilku metrach się zreflektowałam.

– Czy to przed chwilą to nie były czasem kameleony?

- Możliwe. Niektórzy ludzie używają ich do odpędzania uroków.

- W jakim sensie „używają”?

- W dosłownym. Kiedy dręczy nas jakiś problem, wrzucą się kameleona do ognia. Jeśli wybuchnie, to znaczy, że problem zniknął razem z nim, ale jeśli tylko się rozpułynie - wzruszył ramionami - niestety.

- Żartujesz.

- My, Marokańczycy, jesteśmy bardzo przesądni.

- Anglicy też, ale nie sądzę, żeby komuś z nas przyszło do głowy wrzucać do ognia żywe stworzenie tylko z powodu przesądu.

- Nie? A co z czarownicami, które paliliście na stosach? Zdaje się, że królowa Elżbieta paliła nawet koty podczas swojej koronacji.

- Nieprawda! - Na myśl, że nasza rozsądna, stateczna monarchini mogłaby dokonać tak barbarzyńskiego czynu, rozśmiałam się w głos.

- Pierwsza królowa Elżbieta. Spaliła je na dowód, że czarną magię wypłeniono z terenów Królestwa.

Uniosłam brwi.

- Jesteś prawdziwą skarbnicą wiedzy.

Znów skręciliśmy za róg i trafiliśmy na ogromny plac targowy. Na samym środku stary człowiek ważył owcze runo na wielkiej mosiężnej wadze.

- To dawny targ wełny - wyjaśnił Idriss. - Souq el Ghezal. W siedemnastym wieku właśnie tutaj między innymi odbywały się aukcje chrześcijańskich niewolników.

Spojrzałam na tego mężczyznę: powiewająca siwa broda, kremowa dżelaba do kostek - wyglądał jakby wyszedł z tego samego tłumu gapiów, który wówczas przyglądał się sprzedaży korsarskich więźniów.

Ciekawe, jak prości, nieobcy mieszkańcy kornwalijskiego półwyspu, z których większość nigdy w życiu nie przekroczyła rzeki Fal, nie mówiąc o Tamar, zareagowali na ten kompletnie obcy

świat. Mnie nie przestawał zadziwiać na każdym kroku, a odwiedziłam z tuzin krajów na świecie, setki zaś innych widziałam w telewizji. Przerażeni i wyczerpani traumatycznymi przeżyciami oraz koszmarem podróży musieli się poruszać po tych uliczkach niczym w jakimś narkotycznym, psychodelicznym śnie.

Dotyk dłoni Idrissa wyrwał mnie z zamyślenia.

- Pokażę ci coś jeszcze. Myślę, że ci się spodoba.

Poprowadził mnie wzdłuż miejskich murów obronnych aż do monumentalnej bramy, która wznosiła się ponad sześć metrów nad naszymi głowami. Mimo ogromnych rozmiarów i bryłowanej formy, zachwycała pięknem. Łuk sklepienia zdawał się być zawieszony w powietrzu, jakby podtrzymywany tylko przez niewidzialne napięcie między bocznymi wieżami oraz ażurową ornamentacją składającą się z tajemniczych zawijasów i napisów.

- To Bab Mrisa - powiedział Idriss. - Mała Zatoka. W siedemnastym wieku, zanim rzeka się zamuliła i zmieniła koryto, korsarze wpływali do miasta prosto przez tę bramę. To właśnie wtedy wwieziono waszego Robinsona Crusoe. - W tym miejscu zacytował stosowny fragment książki.

Spojrzałam na niego zaskoczona.

- Cztery lata studiowałam anglistykę - wyjaśnił. - Jeden z wykładowców był miłośnikiem Daniela Defoe. Wszystko zaliczyłem: *Dziennik roku zarazy*, *Moll Flanders*, *Roksanę*.

Cóż, na Boga, człowiek wychowany w kulturze muzulmańskiej mógł sobie pomyśleć o takiej zuchwałej awanturnicy jak Moll Flanders? Nie umiem sobie wyobrazić.

- Jesteś bardziej odczytany ode mnie - zażartowałam, ale trochę niewyraźnie, bo zaczynałam podejrzewać, że to może być prawda. — A skąd ci się wziął ten lekko amerykański akcent?

Dotknął dłonią ust.

- Mówisz? - Zastanawiał się nad odpowiedzią podejrzanie długo. - Pewnie dlatego, że uczyłem się języka od kogoś, kto się wychował w Stanach.

- Musiał wywrzeć na ciebie silne wpływy.
- To była ona. - Odwrócił się i zaczął tak pędzić w stronę miasta, że musiałam podbiec, aby go dogonić.
- A czym się zajmujesz, kiedy nie oprowadzasz turystów po mieście? Też pracujesz na uczelni?
- jeżdżę taksówką.
- O. — Nie bardzo wiedziałam, jak zareagować. Dom jego kuzynki wygląda dostatnio, on jest najwyraźniej dobrze wykształcony i choć taksówkarz to z pewnością porządny i uczciwy zawód, jakoś nic tego się spodziewałam.
- A ty?
- Roześmiałam się.
- Dobre pytanie. W tej chwili niczym.
- A więc nie masz męża, pracy, dzieci pewnie też nie?
- Nie, nie mam.
- Czyli gdybyś zniknęła bez wieści w jakimś zapadłym marokańskim miasteczku, nikt by za tobą nie tęsknił? - Odwrócił się do mnie, ale że stał po słońce, dojrzałam tylko błysk w jego oczach.
- Trącił czułą strunę. Rzeczywiście, kto by za mną zatęsknił? Może kilkoro przyjaciół. Może Michael, ale tylko dlatego, że chce dorwać książkę. Na pewno Alison...
- Nagle oblał mnie zimny pot.
- Chcę już wracać, jestem bardzo zmęczona.
- Był zaskoczony, ale odparł:
- Oczywiście.

Kiedy dotarliśmy do riadu, było już późne popołudnie i naprawdę padałam z nóg. Bolały mnie stopy i plecy, a głowa puchła od natłoku obrazów i informacji. Przez całą drogę ze Starego Sale do medyny w Rabacie marzyłam o długiej, pachnącej kąpieli w wannie, która czeka na mnie w apartamencie.

Tymczasem w progu dopadła nas madame Rachidi. Powiedziała coś po berberyjsku do Idrissa, co go wyraźnie poruszyło. Potem zwróciła się do mnie.

- Był tutaj twój mąż, chciał się z tobą widzieć.

- Mój... mąż?

- Tak. Powiedziałam mu, że zwiedzasz miasto i będziesz dopiero wieczorem, więc stwierdził, że pójdzie się przejść i wróci później.

Czułam, jak moje oczy robią się coraz większe i większe.

- A h a . Dziękuję. A jak... jak on wyglądał?

Zmarszczyła brwi.

- J a k ? Zmęczony, trochę rozdrażniony, chociaż zachowywał się bardzo uprzejmie.

- Ale czy jesteś pewna, że to był mój... mąż? Możesz go opisać? Może to jakaś pomyłka?

- W średnim wieku, tak około pięćdziesiątki. Wyższy od ciebie, ale nie tak wysoki jak Idriss. Ciemne włosy, trochę przerezione w tym miejscu - dotknęła skroni - ciemne oczy, raczej drobnej budowy, trochę grubszy tutaj - Wskazała na brzuch.

Naima Rachidi była bardzo spostrzegawcza, choć nie sądzę, żeby Michaelowi spodobał się jej opis, zwłaszcza znaczne przeszacowanie wieku i zwrócenie uwagi na rosnącą oponkę na brzuchu. Powróciło uczucie wirowania w głowie, tym razem z towarzyszeniem okropnych nudności. Odetchnęłam głębok.

- Mówił, kiedy dokładnie wróci? - Niemal fizycznie czułam na plecach gniewny wzrok Idrissa.

Naima pokręciła głową.

- Nie, ale mówił, że zostawił w twoim pokoju liścik.

- W moim...!

- Przepraszam, miałam go nie wpuszczać?

- Nie, nie. W porządku. - Przetarłam twarz dłonią. - Dziękuję. - Odwróciłam się, bojąc się ujrzyć minę Idrissa, lecz śniada twarz mego przewodnika była nieprzenikniona. Zdołałam tylko wyksztusić: - Tobie też dziękuję, Idrissie. To był wspaniały dzień. - A potem uciekłam.

Mój pokój wyglądał jak po wybuchu bomby. W londyńskim mieszkaniu Michael robił wszystko, żeby zatrzeć najmniej-

sze ślady, a tu nawet nie próbował ukryć swej bytności. Skłębiona pościel na podłodze, walizka wywrócona do góry nogami na środku pokoju, drzwi od szafy otwarte na oścież, ciuchy wywalone byle gdzie. Nawet kosmetyki w łazience były porozrzucane, a ręczniki leżały w stosie na brzegu wanny.

Przycisnęłam torebkę do piersi. Kiedy rano wychodziłam, myślałam, żeby zostawić pamiątnik Catherine w riadzie, ale jakoś nie chciałam się z nim rozstawać. Czyżby zadziałał szósty zmysł? A może sama Cat kieruje moimi poczynaniami?

Na łóżku leżała koperta. Jakie to symboliczne - pomyślałam i z bijącym sercem wzięłam ją do ręki.

Widniało na niej moje imię nagryzmołone okropnym piśmem Michaela, więc nie było mowy o pomyłce. Jechał za mną całą drogą do Maroka i wytropił aż tutaj. Trzęsącymi się dłońmi otwarałam kopertę. W środku była złożona na pół kartka, a w nią wetknięta jeszcze jedna. Na tej pierwszej były słowa:

Musimy pogadać (patrz: załącznik)

Wrócę o 18.00

M.

Druga kartka to była kserokopia jakiegoś starego listu. Przebiegłam wzrokiem kilka pierwszych linijek:

Do Wielmożnego Pana Arthura Harrisa od jego sługi Roberta Bolitho, 15 października 1625 roku

Sir, piszę ten list, będąc w Londynie, w biurze przedsiębiorstwa Hardwicke & Buckle, agentów morskich na usługach Kompanii Tureckiej...

Nagle zaczęło mi być duszno w tym pokoju, serce mi kołatało. Włożyłam list z powrotem do koperty i starannie wsunęłam za okładkę pamiątnika Catherine. Ten z kolei schowałam głęboko do torebki. Następnie w przypływie paniki spakowałam

wszystkie swoje rzeczy i wytaszczyłam walizki na dziedziniec. Choć marzyłam o kąpieli, choć było tam cudownie, elegancko i komfortowo, nie mogłam zostać ani chwili dłużej.

- Uciekasz? - Idriss siedział przy stoliku z papierosem w dłoni. Smużka dymu unosiła się do góry i znikła wśród róż na balkonie. Jego ciemne migdałowe oczy ciekawie mi się przyglądały. - Pomyślałem, że będziesz potrzebowała pomocy.

- Skąd ta myśl?

- No wiesz, mówiłaś, że jest sama... a tu nagle pojawia się jakiś mąż, a ty robisz się blada jak ściana. Więc pomyślałem, że mógłbym się jakoś przysłużyć. - Spojrzał na walizki. - Choćby jako tragarz.

- Muszę znaleźć jakiś pokój, chociaż na jedną noc odparłam pośpiesznie. To prawda: najbardziej potrzebowałam teraz miejsca, w którym mogłabym się ukryć przed Michaelem. - Znasz jakieś hotele godne polecenia? Przykro mi zostawić na lodzie Naimę i oczywiście ureguluję wszystkie rachunki, ale nie mogę tu zostać.

Idriss zgasił wypalonego do połowy papierosa.

- Daj te bagaże. Naimą się nie przejmuj, porozmawiam z nią.

Kilka minut później siedziałam na tylnym siedzeniu małego niebieskiego peugeota z tabliczką „taxi”. Na lusterku wisiały rozmaite talizmany, które mocno się zakołysały, kiedy tylne zawieszenie jęknęło pod ciężarem moich bagaży.

- Dokąd jedziemy? - Byłam sama w Afryce. Teraz, gdy opuściłam riad, już nikt nie będzie wiedział, gdzie mnie szukać; nikt nie zatęskni, jeśli zaginę. Czy mogę ufać Idrissowi? Przypomniałam sobie tę chwilę grozy dziś po południu i znów naszły mnie wątpliwości i powrócił nieznośny ucisk w żołądku.

- Zabieram cię do siebie - odparł, nie odwracając głowy. Co mnie bynajmniej nie uspokoiło.

Robert

*Do Wielmożnego Pana Arthura Harrysa od jego sługi
Roberta Bolitho, 15 października 1625 roku*

Sir, piszę ten list, będąc w Londynie, w biurze przedsiębiorstwa Hardwicke & Buckle, agentów morskich na usługach Kompanii Tureckiej, aby Pana poinformować o wynikach mojej podróży. Podjąłem pewną ważką decyzję, która jak podejrzewam, nie spotka się z Pańską pochwałą...

Pogłoski o losie osób, które pamiętnego lipcowego dnia zniknęły z kościoła w Penzance rozeszły się po zachodniej Kornwalii lotem błyskawicy. Niektórzy obwiniali za to samego diabła, inni widzieli w tym rękę Boga, który się rozzłościł na to, co wygadawała obłąkana Annie Badcock, lecz Andrew Thomas przyznał ze wstydem, że widział piratów zawijających do zatoki, kiedy zamiast pójść do kościoła, został w domu z bólem głowy po zbyt długim wieczorze spędzonym w karczmie „Delfin”. Wtedy mu się wydawało, że alkohol zmaćił mu zmysły i dopiero gdy podniosły się krzyki, zrozumiał, że widok bandy śniadych mężczyzn w turbanach i z bułatami w rękach, wpadających do kościoła i wyprowadzających z niego dużą grupę jego współmieszkańców, łącznie z burmistrzem i radcą miejskim, to nie były halucynacje, lecz najprawdziwsza rzeczywistość. Trzy okręty, jak zeznał przed

radą miejską, płacząc, trzęsąc się i załamując ręce, jedna duża karawela i dwa inne, wyglądające na zagraniczne. Miały łańciskie ozagłowanie i otwarty pokład. Andrew znał je jako szebeki, lecz ostatnim razem widział je na Morzu Śródziemnym, a dawno już nie zapuszczał się w tamte rejony. Ten ostatni szczegół oraz opis załogi wskazywały na tożsamość najeźdźców. Byli to berberyjscy piraci słynący z zuchwałości i okrucieństwa wobec porywanych przez siebie ludzi. Najprawdopodobniej odpłynęli z nimi do Algieru lub Tunisu, a stamtąd może nawet na dwór samego sułtana w Konstantynopolu.

Wiadomość o liście Catherine zastała Roba, gdy przy stajni wpatrywał się bezmyślnie w część uprząży, którą trzymał w ręku, za nic nie umiając sobie przypomnieć, po co ją przyniósł ze stodoły. To do niego niepodobne, bowiem zawsze był człowiekiem praktycznym, byстрыm i czujnym, który całą uwagę poświęca każdej wykonywanej czynności. Właśnie wtedy podszedł do niego George Parsons. Trzy razy musiał powtarzać jego imię, zanim Rob się ocknął. Taki był rozkojarzony od dnia najazdu piratów. Jedna tylko sprawa zaprzętała mu głowę: co się stało z Cat i czy wciąż żyje. Trwał jakby w stanie zawieszenia, żył z dnia na dzień, czekał, aż się dowie, dokąd ją zabrali, żeby móc podjąć jakieś działania. Nie należał do osób, które lubią zaglądać sobie w duszę, więc wpływ, jaki wywarło na niego porwanie Catherine, sam w sobie był szokiem. Zauważył, że zastanawia się nad najprostszymi czynnościami, zamyśla w pół słowa, budzi się o dziwnych porach w nocy, nie wiedząc, kim jest i gdzie się znajduje. Dręczyły go koszmary. Przez jakiś czas nawet był przekonany, że opętał go zły duch, dopiero potem zdał sobie sprawę, że to jego własne poczucie winy go przesładuje. W głowie miał karuzelę myśli: to jego powinni byli zabrać piraci, nie Cat; trzeba było z nią zostać w kaplicy i obronić przed barbarzyńcami, a nie unosić się honorem z powodu paru przykrych słów. Tak mało w nim determinacji? Nawet nic zdołała jej przekonać, żeby przyjęła pierścioneł, czego teraz żałował

szczególnie mocno, jakby wierzył, że on mógłby ją ochronić, przypieczętować ich związek, a nawet w zaczarowany sposób sprowadzić ją do domu.

- Rob, Rob! Robercie Bolitho! Sir Arthur cię wzywa. Masz się natychmiast u niego zjawić.

Powoli podniósł głowę, jakby się wynurzał z głębokiego snu.

- Przepraszam, George, co mówisz?

- Przyszedł list od Catherine.

List? Jak to możliwe? List to cywilizowana forma komunikacji stosowana przez osoby światłe albo ludzi interesu, nie może pochodzić z jakiegoś zapchlonego pirackiego statku, który pływa po nie wiadomo jakich morzach.

Ale jego nogi już podjęły decyzję.

Arthur Harris siedział przy stole w salonie i trzymał w ręku postrzępiony kawałek papieru. Właśnie stan tego listu najbardziej wstrząsnął Robertem, ponieważ od razu było widać, że przebył długą drogę i jest autentyczny, a papier, na którym go napisano, jest grubszy i bardziej pożółkły od tego używanego w Kenegie.

- Dotarło to do nas zawiłymi drogami od Catherine. Przy najmniej na to wygląda. Czy to jej pismo?

Podsunał mu list, a Rob zaczął się w niego wpatrywać, jakby zawierał w sobie największą tajemnicę wszechświata. Dla niego w tym momencie na pewno. Zamrugał powiekami i rzekł:

- Tak, sir.

Kolana zaczęły mu drżeć. Pochylił się i oparł rękami o stół.

- Usiądź, Robercie. Posłaniec przywiózł go dziś rano z Southampton.

Chłopakowi podskoczyło serce.

- Catherine jest w Southampton?

Komendant uniósł dłoń.

- Nie, nie, pozwól mi skończyć. Przywiózł to z biura agenta morskiego. Kapitan statku „Merry Maid”, który przybił tam

do portu z towarem, opowiadał, że został zaczepiony przez okręt kupiecki pływający pod flagą Wielkiej Porty, a tamten z kolei dostał ten list od kapitana statku handlowego z północnej Afryki.

- Afryki? - powtórzył załamany Robert, tracąc nadzieję równie szybko, jak ją odzyskał. A więc wygląda na to, że sprawdziły się jego najgorsze obawy. Sir Arthur chyba dostrzegł przeobrażenie na jego twarzy, bo pokiwał głową ze smutkiem.

- Co gorsza, z miasta Salé, które z tego co słyszałem, jest gniazdem rozbójników morskich, siedzibą najbardziej fanatycznych i okrutnych piratów, jacy pływają po morzach. Z naszych wybrzeży porwano w tamte rejony tysiące rybaków i marynarzy, ale powiadają, że z Salé żaden chrześcijanin nie wraca żywy. Wielu z nich zmusza się torturami do apostazji, a oni ze strachu przed bólem, a nawet śmiercią, poddają się i przyjmują islam.

Rob zamknął oczy. Bał się już nie tylko o życie Cat; na myśl, że może być torturowana lub wykorzystywana w nieczny sposób, aż jęknął. Treść listu wcale go nie pocieszyła. Osiemset funtów? Skąd miałyby wziąć taką sumę? Od razu zaczął przeliczać w myślach: może poprosić o zaliczkę na wypłatę, sprzedać swój skromny dobytek, pożyczyć co nieco tu i ówdzie, skorzystać z hojności dobroczyńców. Ile zdoła zbierać? Przy dużym szczęściu jakieś pięćdziesiąt funtów. Jakiś głos mu podpowiadał, że powinien także przejmować się losem pozostałych porwanych - matki, wuja i ciotki Cat, ich zmarłych synów, Maty, Jacka, Henrietty i innych - ale to wszystko pozostawało gdzieś w tle, liczyło się tylko jedno: Cat żyje, a przynajmniej żyła, kiedy pisała ten list. Gdyby mógł zaprzedać duszę, aby ją uratować, zrobiłby to.

Tego dnia wyjątkowo szybko uporał się w wykonaniu wszystkich obowiązków na farmie. Potem poprosił o posłuchanie u Lady Harris, bowiem miał nadzieję, że jej serce okaże się wrażliwsze niż serce jej męża. Wezwała go do siebie od razu, więc poczuł nagły przypływ optymizmu. Niestety, okazało się,

że Sir Arthur już z nią rozmawiał i kiedy Rob poruszył wiadomy temat, ściągnęła usta.

- Przykro mi, Robercie. Wiem, że czyniłeś starania, by ją poślubić. Ale taka ogromna suma! Choćby Cat była najcenniejszą partią w całym Penwith, moja odpowiedź brzmiałaby tak samo. Osiemset funtów to okup za królową, nie za taką bałamutnicę jak Catherine Tregenna. Lepiej ułokuj swe uczucia gdzie indziej i znajdź sobie porządną żonę z porządnej rodziny. Poza tym, nie tylko Catherine spotkał ten los, musimy brać pod uwagę także innych mieszkańców naszego miasta. Nie możemy pozwolić, by myślano, że kogoś faworyzujemy.

Poczerwieniawszy gwałtownie, Rob jeszcze raz powtórzył prośbę, aż w końcu Lady Harris rzekła ze znużeniem:

- Skoro tak bardzo ci na tym zależy, najlepiej odszukaj jej ojca.

Rob zmarszczył czoło w konsternacji.

- Ależ, proszę pani, on nie żyje od wielu lat.

- Czyżby? Biedny John Tregenna był człowiekiem nieciekawym i nie bardzo w guście Jane, ale doprawdy nie zasłużył na to, by najlepsze lata życia tracić na wychowywanie nie swojego dziecka, a potem jeszcze umrzeć przedwcześnie na zarazę. Jeśli szukasz pieniędzy na wykupienie Catherine, powinieneś raczej odwiedzić Sir Johna Killigrewa w Arwenack.

Rob poczuł rosnący ucisk w gardle. Nie mógł wydusić z siebie słowa. Nagle ujrzał przed oczami obrazek sprzed kilku tygodni; dwie płomiennowłose postacie stojące bardzo blisko siebie na dziedzińcu. Od razu pojął, że Lady Harris mówi prawdę. Jakże jednak John Killigrew mógł nic rozpoznać w tej dziewczynie własnej córki?

- Masz.

Podniósł wzrok. Margaret dawała mu jakiś przedmiot. Dopiero gdy wziął go do ręki, zorientował się, że to sakiewka z pieniędzmi.

- Nie mów nikomu, że dostałeś to ode mnie. Mimo swoich wad, Catherine nadal jest mi droga i jeśli istnieje choćby

cień szansy na uratowanie jej i Matty, mam nadzieję, że zrobisz, co w twojej mocy, by je wykupić. Jesteś zaradnym mężczyzną. Może znajdziesz sposób, by jakoś wykorzystać w ich sprawie ten skromny wkład. Nie mogę znieść myśli, że dwie młode dziewczyny przebywają w rękach tak nikczemnych barbarzyńców.

Odwróciła się, lecz Robert zdążył dostrzec, że ma zaszklone oczy.

Posiedzenie rady miejskiej, któremu pod nieobecność burmistrza Johna Madderna przewodniczył Sir Arthur, nie doprowadziło do żadnych konstruktywnych wniosków. Dominowało przetrzucanie się odpowiedzialnością: dlaczego obserwatorzy nie zauważyli nadpływających statków? Dlaczego działa na zamku nie były w stanie ochronić miasta? Dlaczego wiceadmirał Kornwalii nie przewidział zagrożenia, jeżeli już wcześniej, jak donoszono, na wodach przybrzeżnych miało miejsce kilkanaście napadów? Dlaczego Lord Wielki Admirał, książe Buckingham, wysłał okręty wojenne, żeby wspierały kardynała Richelieu w wojnie z hugenotami, zamiast strzec ojczystych wybrzeży? I jaki jest sens tej całej gadaniny o wojnie z Hiszpanią, skoro mamy wojnę tuż pod nosem, wojnę przeciwko terrorowi z morza? Czy nowego króla nie obchodzi los poddanych? Niejeden z zebranych stwierdził ponuro, że Kornwalia leży za daleko od centrum wydarzeń, żeby ktokolwiek zaprzętał sobie głowę jej losem.

Zmarnowali w ten sposób dwie godziny, zanim przeszli do sedna, czyli zastanowienia się, czy mają jakąkolwiek szansę zebrać żądane trzy tysiące czterysta dziewięćdziesiąt pięć funtów, a jeżeli tak, to czy można mieć gwarancję, że porwani nadal żyją i rzeczywiście wrócą do kraju. Skarbiec miejski świecił pustkami, a to było, zanim nadeszły następne listy z Sale żądające okupu za burmistrza Madderna, radcę Polglaze'a oraz ich żony.

Rozesłano petycje i ogłoszono zbiórkę funduszy. Mieszkańcy Penzance, Market Jew oraz dalszych miejscowości Sancreed,

Madron, Newlyn i Paul wpłacali, ile mogli, nawet jednego pensa, jak wdowa Hocking, czy dwa groaty, jak stary ślepiec Simon Penrose. Choć w zbiorce wzięło udział siedemset osiemdziesiąt osób, udało się zebrać niewiele ponad czterdzieści sześć funtów, i to licząc pięć funtów od Sir Arthura i dziesięć od rodziny Godolphinów.

- Musimy wystosować petycję do króla - westchnął Sir Arthur - choć nie sądzę, żeby to przyniosło jakiś skutek. Parlament został rozwiązany. Król Karol tak bardzo nie ufa posłom, że nie wiem, kiedy znowu się zbiorą. On ufa tylko księciu Buckingham, a do niego nie mam dojścia. Jedyne, co nam zostało, to rozgłosić publicznie, w jakich tarapatkach znaleźli się nasi porwani rodacy, i liczyć na to, że wywoła to jakiś skutek. Ale czy napłyną za tym fundusze - wątpię. Budżet państwa jest napięty, a wojna z Hiszpanią będzie bardzo kosztowna. Sam od tylu lat nie mogę się doprosić o wsparcie Korony w dobrojeniu garnizonu na zamku. Może nasz protektor, hrabia Salisbury, mógłby nas wesprzeć, choć ten człowiek, mimo swego urodzenia i edukacji, nie wydaje się być zanadto poważny. Henry Marten może mieć dojście do króla, podobno to najbardziej wpływowy parlamentarzysta z naszego okręgu.

- A Sir John Killigrew? - zapytał Rob.

Brwi Sir Arthura powędrowały w górę.

- A cóż jego może obchodzić ta sprawa? Penzance nic dla niego nie znaczy. Oczywiście, możesz spróbować, ale dotąd nie słyszałem, żeby ten człowiek kiedykolwiek ryzykował pieniądze w interes inny niż swój własny.

- Jeszcze dziś wieczorem udam się do Arwenack.

- Nie zastaniesz go — prychnął Lord Harris. - Wyjechał do Londynu, ma na oku jakieś nowe przedsięwzięcie we współpracy, zdaje się, z Kompanią Turecką. Kiedy się z nim widziałem tydzień temu, usiłował mnie przekonać, żebym w to z nim wszedł. Akurat nie mam co robić z pieniędzmi, tylko marnować na jego szalone pomysły!

Po zasięgnięciu informacji ustalono, że choć Parlament nie obraduje, Sir Henry Marten przebywa w Londynie, gdzie tego lata zapanowała zaraza i zabrała kilka osób z rodziny jego żony, wywołując nieco zamieszania w sprawach spadkowych. Postanowiono, że Rob uda się niezwłocznie do stolicy i zawiezie listy polecające oraz petycje podpisane przez krewnych, sąsiadów i przyjaciół porwanych mieszkańców. Wyruszył godzinę później z trzema końmi, ale jeden okulał, jeszcze zanim dotarli do Gunnislake.

Londyn zrobił na nim odpychające wrażenie. Rob nie znosił nawet Bodmin w dzień targowy ze względu na tłum rozwrzeszczanych kupców, klekoczące wozy i kakofonię dźwięków wydawanych przez stworzenia zarówno dwu-, jak i czworonożne, ale tutaj było stokroć gorzej. Do tego stopnia nie był na to przygotowany, że gdyby się nie zobowiązał do wypełnienia misji, zawróciłby w te pędy i nie oglądając się za siebie, na własnych nogach przemierzyłby te trzysta mil do domu. Właściciel pierwszej gospody, w której się zatrzymał, ledwie na niego spojrzął, zaraz go odesłał. Rob całą drogę nocował w stodołach i pod krzakami, żeby zaoszczędzić każdego pensa, którego dostał od Sir Arthura. Konie też nie były w najlepszej formie. A ludzie wciąż bali się zarazy, niechętnie widzieli obcych. W kolejnej gospodzie panował taki hałas i smród, że Rob odwrócił się od progu i uciekł. Przy trzecim postoju gospodarz osądził po jego akcencie, że jest uczciwym człowiekiem, i pozwolił mu przenoćować w stajni. Jedna ze służących zlitowała się nad nim (zrobiła to dla jego niebieskich oczu, jak mu potem wyznała, aż się zarumienił) i zabrała do prania koszulę i spodnie. Później, gdy już spał, wślizgnęła mu się pod koc. Rob obudził się z krzykiem, a dziewczyna zatkała mu ręką usta i rzekła:

- Tu nie ma żadnego kota*. Bądź cicho i pocałuj mnie.

* Po angielsku kot to *cat*, więc zapewne wykrzykiwał przez sen imię Catherine [przyp. tłum.]

Wyjechał w pośpiechu jeszcze przed świtem. Ubierał się po drodze. Czuł się zbrukany jak nigdy w życiu, choć wszystkie rzeczy miał świeżo wyprane.

Gdy wypytywał o drogę do posiadłości, której szukał, większość ludzi wybuchała śmiechem.

- Ktoś z ciebie zakpił, młodzieńcze - powiedział pewien mężczyzna. - Oni nawet drzwi nie otworzą takiemu kundlowi jak ty.

Gdy jednak Robert pokazał mu list, tamten zaczął się do niego odnosić z większym szacunkiem i w końcu mu powiedział, którądy ma iść.

- Lepiej odwiedź golibrodę, nim zwrócisz się prośbą do lorda - poradziła jego żona.

Rob przesunął dłońią po brodzie. W pośpiechu nie zabrał ze sobą przyborów do golenia. Po tygodniu w podróży twarz pokryła się szorstką szczecinią. Niedługo będzie miał bokobrody. Odrzuciło go na tę myśl, pamiętał, jak Cat naśmiewała się z George'a Parsonsa, któremu twarz porastał rudy gąszcz, mimo że na głowie miał siwe włosy. Postanowił niezwłocznie oddać się w ręce fachowca.

Dwie godziny później z twarzą otartą od bliskiego spotkania z niezbyt ostrą brzytwą znalazł się wreszcie na ulicy Strand. Było to bardzo ruchliwe miejsce, po obu stronach wyrastały okazałe kamienice, a na poziomie chodnika w zadaszonych pasażach znajdowały się wytworne sklepy. Poszukiwany dom okazał się być najokazalszym ze wszystkich, przypominał raczej pałac, nieco odizolowany od świata przez ozdobny ogród, w którym uwijali się w pocie czoła jacyś ludzie. Jeden z nich gniewnym ruchem ręki chciał odpędzić Roberta i jego konie, gdy próbowali przejść przez bramę.

- Nie wolno tu wchodzić. Lord Salisbury nie przyjmuje żebraków.

Rob pokazał mu list od Sir Arthura. Mężczyzna przyjrzał mu się, mrużąc oczy.

- Nic mi to nie mówi - rzekł podejrzliwie. Zawołał chłopca, który trzymał grabie.

- Idź no po pana Burtona, tylko prędko.

Rob czekał, niecierpliwie przestępując z nogi na nogę. Po chwili, która zdawała się trwać całe wieki, ujrzał na ścieżce zmierzającego ku niemu ostrożnie siwowłosego mężczyznę w błękitnym kubraku i welwetowych bryczesach. Jego laska rytmicznie stukała o bruk.

- Kim jesteś i czego szukasz?

Rob pokazał mu list. Mężczyzna bezceremonialnie złamał pieczęć i przebiegi wzrokiem treść. Kiedy znowu spojrzął na Roberta, miał zupełnie inny wyraz twarzy. Oddał mu list i rzucił:

- Proszę za mną.

Szedł teraz dwa razy szybciej niż przedtem, postukując laską w rytm kroków.

Wprowadził Roberta do rezydencji przez ogromne drzwi i kazał zaczekać w holu, który był większy niż całe Kenegie. Na obitych drewnem ścianach wisały portrety mężczyzn o surowych obliczach, którzy groźnie spoglądali na niego z góry. Gdyby nie waga sprawy, przeprosiłby i czym prędzej stamtąd wyszedł, tak go bowiem onieśmielał ich świdrujący wzrok i złowrogie miny. Domyślił się jednak, że specjalnie każą petentom czekać w tym miejscu, aby dumne dziedzictwo możnego rodu uzmysłowiło im ich własne niskie pochodzenie. Zawsze spoglądali na niego władczo jedni z najznamienitszych obywateli tego kraju - Burghleyowie i Howardowie - obojętni wobec malarza, który uwiecznił ich wizerunki, jak również osób, które będą je później oglądać. Stał pod ogromnym portretem zmarłego ojca obecnego hrabiego, mężczyzny ubranego w skromny purytański strój mimo sprawowanego urzędu Lorda Kanclerza, i przyjrzał się tej chłodnej, powściągliwej twarzy o zmęczonym spojrzeniu, porośniętej rudą brodą. Mimo całego bogactwa i władzy, którą posiadał, nie wyglądał na szczęśliwego człowieka. Portrecista

postarał się ukryć słynne zgarbione plecy, jednak udało mu się uchwycić pewne napięcie malujące się w oczach - oczach szarej eminencji, człowieka, który widział zbyt dużo i zapewne przewidywał los, jaki go spotka kilka lat później: szybki i zaskakujący upadek, utratę prestiżu, wpływów i majątku, i wreszcie śmierć. W holu rozległ się odgłos kroków. Rob wyprostował się i odwrócił, spodziewając się ujrzeć obecnego rezydenta posiadłości, drugiego hrabiego Salisbury, Williama Cecila.

Ale w drzwiach stała kobieta, cudowne, delikatne stworzenie o ogromnych czarnych oczach i jasnej cerze, dodatkowo rozjaśnionej przez umiejętne użycie kosztownych kosmetyków, i z burzą loków na głowie. Miała na sobie obszerną różową suknię z jedwabiu, z prostokątnym wycięciem obszytym flamandzką koronką, ukazującym jedwabią gładką dekolte. Robert musiał się bardzo hamować, żeby nie wlepić w niego oczu. Skupił się na wspaniałym brylancie zawieszonym u jej szyi na czarnej aksamitce i wzorzystym kościanym wachlarzu, który trzymała w prawej dłoni. Nie sposób było odgadnąć jej wieku.

Przystanęła na chwilę, aby wyrzucić na gościciu stosowne wrażenie i zaobserwować jego reakcję, a potem podeszła i podała mu swą białą smukłą dłoń ozdobioną pierścieniami.

- Jestem hrabina Salisbury. A kimże ty jesteś, piękny młodzieńcze?

Pomny dobrych manier Rob skłonił się pospiesznie i tak nisko, że jeden szczególnie okazały rubin omal nie wybił mu oka.

- Jaśnie pani, nazywam się Robert Bolitho i przybywam z majątku Kenegie w Kornwalii. Wiozę list dla Lorda Salisbury od mego pana Sir Arthura Harrisa.

Catherine Howard uśmiechnęła się słodko.

- Mój mąż jest teraz zajęty. Może ja mogłabym rzucić na niego okiem? Andrew mówił, że jest tam mowa o berberyjskich piratach. Jakie to fascynujące! I jakie romantyczne!

- Obawiam się, że ta historia nie jest zbyt romantyczna. I chyba nieodpowiednia dla oczu takiej damy jak pani. - Od-

wzajemni jej uśmiech. Niedobrze się stało, że hrabiego nie ma, lecz spotykając jego żonę nie mógł lepiej trafić. Miał bowiem do wypełnienia jeszcze jedną, prywatną misję. - Ale rzeczywiście byłbym wdzięczny, gdyby zechciała pani łaskawie wysłuchać tej opowieści, gdyż dotyczy ona osoby, która jest pani znana. A właściwie jej prace - poprawił się.

Zaintrygowana hrabina zbliżyła ku niemu twarz i rzekła:

- Doprawdy? W takim razie zapraszam cię do siebie, napijemy się kawy i wszystko mi opowiesz.

- Sześćdziesiąt osób za jednym zamachem? - Lady Cecil zamrugała powiekami ze zdumienia. - Cóż za zuchwałość. - Nachyliła się do Roba. - A powiedz mi, przyjrzałeś się dobrze tym piratom? Czy mają groźne oblicza i noszą egzotyczne stroje? Wyobrażam sobie, że wszyscy mają płomienne oczy i szpiczaste brody jak Saladyn, i wymachują bułatami, wykrzykując imię swego boga.

- Ja ich nie widziałem, proszę pani - odparł Rob. - Razem z moimi państwem byłem w kościele w Gulwal.

Miała wyraźnie zawiedzioną minę.

- Och, quel dommage. A co oni zrobią z tymi nieszczęśnikami? Jak myślisz, oddadzą w niewolę sułtanowi? Podobno to istny potwór. Ma harem złożony z dziesięciu tysięcy kobiet, a jego pałac jest wyłożony złotem. Ach, Konstantynopol... Jakże chciałabym tam pojechać. Zobaczyć te kopuły, minarety, wstąpić do Sancta Sophia i powdychać starożytną atmosferę Bizancjum... Chociaż kobietom chyba nie wolno tam wchodzić, zwłaszcza chrześcijankom. Musiałabym się przebrać za muzumańskiego pielgrzyma! - Klasnęła w dłonie. - Pomalowałabym sobie twarz wyciągiem z kasztanów, doprawiła brodę i przywdziała długą szatę z zatkniętym za pas sztyletem, a na nogi założyłabym kolorowe skórzane pantofle. Wyglądałabym zupełnie jak ten wysłannik sułtana, który zeszedł wiosny przybył z wizytą do króla! - Znow klasnęła w dłonie, zachwycona

swoim pomysłem. - Przywiózł ze sobą lwy i tygrysy jako dar dla królewskiej menażerii. Cóż za miły gest. Ale on zupełnie nie wyglądał jak pirat. Prawdę mówiąc, był trochę za gruby...

- Lady Cecil, proszę wybaczyć, że ośmielam się prze-rwać...

Hrabina nie przywykła, by zwracać się do niej w tak bez-pośredni sposób. Rozdziawiła usta i zatrzepotała wachlarzem.

Rob wyjął z kieszeni mały pakunek i ostrożnie odwinął papier.

- Chciałbym, aby jaśnie pani na to spojrzała.

- Wielkie nieba! - zakrzyknęła hrabina, dotykając płótna, które Robert przed nią rozpostarł. - Jakie piękne.

W ostatniej chwili przed wyjazdem coś go tknęło, żeby wstąpić do pokoju Catherine. W progu zawahał się na moment, jakby ze strachu, że zastanie tam zjawę, która nie zdążyła się z powrotem zdematerializować. Wszedłszy do środka, poczuł się jak zu-chwały intruz. Wciąż odczuwało się obecność Catherine, jakby jakaś jej cząstka nadal tam przebywała. Rob niemal czuł jej zapach w powietrzu: delikatną woń piżma i róży. Bez trudu znalazł niedokończone antepedium; leżało pod łóżkiem, tam, gdzie zajął najpierw. Wetknął je za koszulę i pojechał. Cały czas trzymał je blisko ciała i dopiero po czasie się zorientował, że zaplamił je po-tem. A to przecież rzecz święta, zarówno w sensie przeznaczenia, jak i przez związek z ukochaną osobą. Nie chciał jej zniszczyć.

Teraz patrzył na dzieło, nad którym Catherine potajemnie pracowała w zaciszu swego pokoiku na poddaszu, i przypomniał sobie wycieczkę do Castle an Dinas w początkach lata, kiedy to Cat zdradziła mu, że pragnie wstąpić do cechu hafciarzy, a on próbował jej to wybić z głowy.

- Niezwykły projekt, wizjonerski. - Catherine Howard po-wiodła palcem po konturach węża owiniętego dookoła drzewa, dotknęła złotych włosów Ewy, czerwieni jabłka.

- Catherine sama go wymyśliła.

Hrabina spojrzała na niego zaskoczona.

- Sama? Sądziłam, że umówiliśmy się z Margaret, iż przysła jej mojego hafciarza, który zaznaczy wzór, a dziewczyna tylko go wypełni. Przyznaję, trochę z rym zwlekałam, ale dzieci i dom pochłaniają tyle czasu... - Znów skupiła się na detalach haftu. - Myślę jednak, że Christopher nigdy by czegoś takiego nie stworzył. Doprawdy cudowne. - Po chwili zapytała: - Ale czemu przywiozłeś mi takie nieskończone?

Rob przełknął ślinę.

- Catherine została porwana przez piratów. W Afryce kazali jej napisać list z żądaniem okupu. Zażyczyli sobie za nią ośmiolet funtów.

Dźwięczny śmiech Catherine Howard wypełnił cały salon.

- Osiemset funtów? Za pokojówkę? Nawet przy takim talencie to kwota zupełnie niepojęta. Wiesz, że za tysiąc można sobie kupić tytuł barona?

Rob zwiesił głowę.

- Przyrzekłem, że ją uwolnię.

Hrabina uśmiechnęła się wyrozumiale.

- Poczciwy z ciebie chłopak. Ile już zebrałeś?

- Prawie nic, jaśnie pani, ale jestem gotów pracować za darmo tyle, ile trzeba, żeby spłacić dług. Kornwalia to biedny kraj, a najbliższa rodzina Catherine trafiła do niewoli razem z nią.

Hrabina westchnęła.

- Tak szlachetne serce jest warte majątek. Gdybym tylko takowy posiadała. Ale to wszystko... - gestem wskazała na apartament, suknię i klejnoty - cóż, mój drogi, jest tylko na pokaz. Ten pałac nie należy do nas, jest własnością biskupa Durham. My mamy tylko to skrzydło. Mąż by mnie zabił, gdyby się dowiedział, że o tym mówię, ale wiedz, że mamy naprawdę ogromne długi. Ojciec Williama w chwili śmierci był winien przeszło trzydzieści tysięcy funtów, a jeśli chodzi o moją gałąź rodziny... - Rozłożyła ręce. - Byłoby wspaniale, gdybyś mógł u nas popracować i zarobić na wykupienie swojej Catherine, ale widzisz, jak to wygląda...

Widział. I słuchał tego z coraz cięższym sercem.

- Proszę, zostaw mi to antepedium — poprosiła przymilnie.

- Zatrudnię kogoś, kto je dokończy i umieścimy je w naszym kościele we Framlingham.

- Nie mogę - odparł Robert. - To wszystko, co mi po niej zostało.

Hrabina zacisnęła usta.

- Zaczekaj chwilkę. - Wyszła z pokoju i po kilku minutach wróciła, niosąc skórzaną sakiewkę. — Masz — powiedziała, wsuwając mu ją do ręki. - Za to nie wykupisz Catherine, ale od czegoś trzeba zacząć, a wydaje mi się, że to godziwa zapłata za pracę, którą dotychczas wykonała. Mój mąż jest prawdopodobnie zbyt pijany, żeby zauważył brak tych pieniędzy. A jeśli nawet, wmówię mu, że przegrał je wczoraj w karty.

W sakiewce znajdowało się prawie pięćdziesiąt funtów w złotych suwerenach i aniołach. Rob przeliczył je z bijącym sercem, stojąc pod kasztanowcem, który właśnie zaczynał tracić liście. Żal mu było antepedium, lecz dotyk dłoni Catherine jest stokrotnie cenniejszy niż najpiękniejsze nawet dzieło, które spod nich wyszło. Starannie ukrył złoto, dziękując Bogu za niespodziewaną łaskę, i ruszył w drogę wykonać następne zadanie: odnaleźć Sir Henry'ego Martena i przekazać mu petycję od mieszkańców Penzance. „Jedź do jego domu w Westminster” - poinstruował go Sir Arthur, zapisując adres na kartce. — „To człowiek szorstki w obejściu i nie znosi głupców, więc uważaj na to, co mówisz i zachowuj się grzecznie. Potrafi być irytujący, ale potrzebujemy jego pomocy”.

Po przepychu pałacu Salisburieskich Rob nie spodziewał się ujrzeć takiego niechlujstwa otaczającego siedzibę władz kraju. Ulice Westminster były zaśmiecone, a wszędzie unosił się odór zgnilizny i fekaliów. Flamandzcy kupcy łamaną angielszczyzną zachwalali swój towar, pijacy z kufłami piwa w ręku opierali się o ściany lub wymiotowali do przepełnionych rynsztoków. Ulicz-

ni kucharze oferowali mięso zapiekane w cieście, świńskie nóżki, języki morświna i smażone krowie uszy. Rob wolał prostsze menu: miał ze sobą kawałek solonego żółtego sera i mały bochenek chleba, które pogryzał, maszerując wzdłuż Long Acre.

Minał monumentalną kaplicę Św. Stefana, gdzie obraduje Parlament, oraz pałac królewski Westminster z siedzibą sądu, i doznał tego samego uczucia lęku pomieszanego z podnieceniem, jak wtedy, gdy pewnego dnia z Jackiem Kellynchem zapuścili się łodzią w okolice niebezpiecznych klifów wokół przylądka Gurnard's Head i był pewien, że za chwilę rozbiją się o skały. Budowle były nieprzyjazne, a ich skala zbyt duża, zbyt przytłaczająca. Wyszedł z ich cienia i przez chwilę stał oniemiały z zachwytu przed północną fasadą wspaniałego opactwa, podziwiając łukowate przypory, gotyckie wieżyczki, kolorowe witraże i misterne rzeźbienia. W głowie zakiełkowała mu szalona myśl i już się zbierał na odwagę, żeby wejść do środka, ale zrezygnował. Nie śmiał. Prosty człowiek jak on może nie znieść naraz tyle piękna. Poza tym od pewnego czasu plątał się za nim jakiś mężczyzna z pokiereszowaną twarzą i rozbieganymi oczami, który mu zaproponował pójście z nim do jego domu. Rob zrozumiał, jak bardzo musi odstawać od otoczenia. Od razu widać, że przyjechał z prowincji, kiedy tak stoi z rozdziawioną gębą i zaszklonymi z zachwytu oczami. Śmiesznie łatwy cel nawet dla początkującego oszusta czy kieszonkowca. Zresztą wielu podejrzanych typów kręcących się po wąskich uliczkach wokół kościoła taksowało go wzrokiem, ale chyba dochodzili do wniosku, że skórka niewarta wyprawki. Gdyby tylko wiedzieli! Rob chętnie by się uśmiechnął pod nosem, ale był zbyt zdenerwowany. Konie na szczęście zostawił w płatnej stajni przy Seven Dials, ale sakiewka z pieniędzmi ciążyła mu na piersi. Dobrze, że pomyślał i szczerlnie ją owinął, dzięki czemu monety nie brzęczały przy chodzeniu.

Dom Sir Martena znajdował się nieopodal Broad Sanctuary i tym razem na szczęście właściciel był w domu, choć w nie najlepszym humorze.

- I co ja niby mam z tym zrobić? - zagrzemiał, przejrzawszy list od Sir Arthura.

Rob, któremu nawet nie zaproponowano, żeby usiadł, zacisnął pięści.

- Sir Harris chciałby, żeby pan podniósł tę kwestię w gronie innych prominentnych osób, którym leży na sercu dobro Kornwalii, i złożył petycję do Tajnej Rady, abyśmy mogli się ubiegać o środki na wykupienie naszych rodaków.

- Wykupienie? Od kogo?

- Od porywaczy, sir. Korsarzy z Sale, którzy ich wywieźli do Afryki.

To są zwyczajni bandyci, a z bandytami się nie negocjuje! Sieją tylko postrach, przemoc i fanatyzm. Rząd Jego Królewskiej Mości nie będzie się hańbił rozpatrywaniem ich absurdalnych żądań!

- Oni porwali moją narzeczoną, Catherine Tregenna - powiedział cicho Rob. Żyły wystąpiły mu na szyi z napięciem, kiedy się powstrzymywał, by nie chwycić tego człowieka za gardło. - Przyrzekłem, że ją odzyskam. Zebrałem już ponad pięćdziesiąt funtów.

- To wspaniały wynik, chłopcze, ale obawiam się, że to pieniądze wyrzucone w błoto. Dając je tym bydlakom, tylko ich rozzuchwalasz. Poza tym, jeżeli ta twoja Catherine jest ładna, tak chętnie się z nią nie rozstaną. Na tamtejszym rynku kobiety są w cenie, można na nich dużo zarobić. Zgarną twoje pieniądze, a ciebie wyślą na galery i nikt się nawet o tym nie dowie.

- Rozumiem, co ma pan na myśli, ale z całym szacunkiem, sir, ja już podjąłem decyzję i nie przerwę starań.

Kornwalijski poseł westchnął.

- Nie dziwię się, że pragniesz uwolnić swoją ukochaną z brudnych łap tych barbarzyńców, ale zapewniam cię, że targowanie się z innowiercami nigdy nie kończy się dobrze. Zwłaszcza takimi, którzy toczą jakąś dziwną świętą wojnę przeciwko całemu chrześcijaństwu. To ludzie bez honoru, w nic nie wierzą,

i nie ma z nimi żadnej dyskusji. Jeśli już musimy pertraktować z poganami, to chociaż z kimś na odpowiednim szczeblu, słuchaniem czy kimś takim.

- A czy pan mógłby złożyć wniosek o podjęcie takich rozmów? Hrabina Salisbury wspominała o jakimś ich wysłanniku, który spotkał się z królem. Może jego dałoby się namówić...

Henry Morten wywrócił oczami.

- Ten oszust tylko wyciągnął pieniądze od kompanii handlowej, która mu opłaciła koszty pobytu i odpłynął ze statkiem pełnym „darów”. Chłopcze, oni tam przetrzymują w nieludzkich warunkach ponad dwa tysiące więźniów. Nie tylko w Salé, ale w Algierze, Tunisie...

- Dwa tysiące? - przeraził się Rob. - Skoro aż tylu naszych rodaków cierpi w niewoli, dlaczego nic się z tym nie robi? Nasze wybrzeża są słabo chronione. Wiem, że moi rodacy są biedni i w tak wielkich miastach jak Londyn ich los mało kogo obchodzi, ale to jest po prostu haniebane.

- Myślisz, że nie szukaliśmy sposobu, żeby ich uwolnić? Wyprawy uzbrojonych okrętów zakończyły się spektakularną klęską, więc wbrew rozsądkowi próbujemy to załatwić drogą dyplomatyczną. Założyliśmy konsulat w Algierze, ale jak dotąd po długich staraniach udało nam się osiągnąć tylko tyle, że zgodzili się wydać raptem czterdziestu nieszczęśników, w większości zresztą martwych. Salé w dodatku cieszy się większą autonomią niż inne miasta; to gniazdo żmij, nawet najwytrawniejsi dyplomaci niewiele potrafili wskórać. Daj mi tę petycję, dorzucę ją do pozostałych. Wracaj do domu i powiedz Arthurowi, że to strata czasu. Niech lepiej skieruje swoje wysiłki na ponawianie nacisków o dotację na dozbrojenie zamku. Może przynajmniej uda się zapobiec następnym takim tragediom.

Rob zacisnął zęby.

- Dziękuję, sir, że poświęcił mi pan swój czas. A kiedy pan wróci na łono rodziny, proszę pamiętać, że wśród porwanych

było osiemnaście kobiet i czternaścioro dzieci, w tym dwoje przy piersi, oraz trzy sędziwe wdowy. Z tego co pisała Catherine, dwoje z tych dzieci zmarło w drodze. Ilu jeszcze ludzi ma zginąć w niewoli, żebyśmy przestali siedzieć z założonymi rękami, odmawiając kontaktu z ich prześladowcami? Ufam, że uczyni pan wszystko, co w pana mocy, dla dobra swoich wyborców.

Kiedy doszedł do drzwi, odwrócił się. Sir Henry był purpurowy na twarzy.

- Może pan mi powie, gdzie znajdę siedzibę Kompanii Tureckiej? Szukam Johna Killigrewa, muszę się z nim rozmówić.

Twarz Martena spurpurowiała jeszcze bardziej. Wbił w Roba groźne spojrzenie.

- Jeśli zachowałeś resztki rozumu, wracaj prosto do Kornwalii. Londyn to nie miejsce dla porządnego młodzieńca, a Kompania Turecka to już najgorsi kanciarze.

Robert nie ruszył się z miejsca, więc Sir Henry w końcu westchnął.

- No dobrze. Nie wiem, czy oni mają jakąś stałą siedzibę, ale możesz popytać u któregoś złotnika na Cheapside, bo zdaje się, że wszyscy są zamieszani w ich machlojki. Tylko miej się na baczności, Robercie Bolitho, bo Killigrew to jeszcze większy łotr niż ci twoi berberyjscy piraci.

Godzinę później Rob wędrował szeroką, tętniącą życiem ulicą Cheapside. Wokół wyrastały domy, które miały po trzy, cztery, a nawet pięć pięter. Prostemu człowiekowi wydawały się za wysokie i niestabilne, więc Rob ze strachu, że zaraz się na niego zawala, szedł jak najbliżej jezdni. Tłok i harmider były nieznośne, więc gdy tylko pojawiła się możliwość, zszedł z głównej drogi i zanurzył w labiryncie otaczających ją zaułków. Tam można było znaleźć siedziby cechów wszystkich możliwych rzemiosł w kraju: ślusarzy i cieśli, bednarzy i rymarzy, krawców i szewców, kucharzy i sukienników. Piekarze ulokowali się na Baker Street, mleczarze na Milk Street, a sprzedawcy ryb na Friday

Street. Rob znalazł także złotników, którzy jak łatwo zgadnąć, mieli swoje warsztaty na Goldsmiths Row.

Chodził od jednego do drugiego i rozpytywał o Johna Kiligrewa, ale nikt o nim nie słyszał. Zastanawiając się, czy nie zarzucić tych bezowocnych poszukiwań, gapił się bezmyślnie na szyld Towarzystwa Krawieckiego, w którego herbie z jednej strony widniał Turek na dziwacznym stworzeniu podobnym do krowy z karykaturalnie długą szyją, a z drugiej Murzyn siedzący okrakiem na lwie, gdy nagle ktoś go szarpnął za rękaw. Był to przyszczaty czeladnik z jednego z warsztatów, który wybiegł za nim aż za róg.

- Ten człowiek, którego pan szuka - wysapał - miał się dziś spotkać z naszymi znajomymi kupcami. - I spojrzął wy-czekująco.

- Gdzie ich znajdę? - zapytał Robert.

Chłopak wystawił dłoń pełną oparzeń po odpryskach stopionego metalu - ryzyko zawodowe w tej branży. Rob westchnął i położył na niej jednego groata, ale czeladnik parsknął drwiąco i poczuł się usatysfakcjonowany dopiero, gdy Kornwalijczyk wyjął całe dwa pensy. Jednego mu dał, ale drugiego zamknął w dłoni.

- Resztę dostaniesz, jak mnie tam zaprowadzisz.

Czeladnik poblądł na twarzy, choć wydawało się, że bledszy już być nie może.

- Moja skóra jest warta więcej niż dwa pensy.

- Wątpię. Ale nie bój się, nie powiem mu, skąd mam informację.

Chciwość zwyciężyła strach.

Dotarli do jakiejś bocznej uliczki, Rob był już pełen wątpliwości, lecz widok rudej czupryny w oknie jednego z domów natychmiast je rozwiązał. Rzucił chłopakowi monetę i zapukał do drzwi. Wewnątrz zrobiło się podejrzanie cicho, ktoś wyjrzał przez okno, a po chwili w drzwiach pojawiła się ręka i wciągnęła Roberta do środka.

- Co to, u li... Znam cię skądś! - Killigrew zmarszczył brwi, grzebiąc w pamięci.

Roba trudno nie zapamiętać ze względu na jego słuszny wzrost i słomiane włosy: nie wyglądał jak chłopak z miasta.

- Robert Bolitho. Pracuję u Sir Arthura w majątku Kenegie. On mi powiedział, że znajdę pana w Londynie.

John Killigrew wykrzywił twarz.

- Niech go diabli. Szpieguje mnie czy co? Nikomu nic do moich interesów, robota tak samo uczciwa jak każda inna.

- Sir, przyjechałem tu sam, w osobistej sprawie. Chciałbym się z panem rozmówić na osobności w sprawie Catherine Tregenna i jej matki Jane. Jane Coode.

Wyraz twarzy nagle mu się zmienił. Spojrzał na towarzyszy, którzy przysłuchiwali się temu z ciekawością.

- Chodź - powiedział.

Pchnął Roba przed siebie i zaprowadził do sąsiedniego pomieszczenia, gdzie stało zaledwie kilka mebli pokrytych grubą warstwą kurzu. Zamknął drzwi i rzekł:

- Nic mnie z tą kobietą nie łączy. Dawno temu służyła w Arwenack, to wszystko.

- Prawie dwadzieścia lat temu. Ciekawe, że przypadkiem akurat tyle ma jej córka Catherine.

- A mnie co do tego? - rzekł zaczepnie.

- Proszę pana, wiem z wiarygodnego źródła, że jest to także pańska córka. Nie ma sensu zaprzeczać: odziedziczyła po panu ten sam charakterystyczny kolor włosów. Może pamięta pan... wasze spotkanie na dziedzińcu w Kenegie.

W jasnych oczach coś zaiskrzyło.

- Mam bękarty rozsiane po całym kraju. Dla tych, co mnie choć trochę znają, to żadna sensacja. A między mną a tą dziewczyną nic nie było. Jeżeli ona tak twierdzi, to kłamie, żeby ukryć własną nieroztropność.

- Obie z matką siedzą teraz zamknięte w jakimś śmierzącym lochu w Berberii i każdego dnia drżą o swoje życie.

- Korsarze z Sale byli w Penzance?

Rob kiwnął głową.

- W zeszłym tygodniu przyszedł list z żądaniem okupu. Oni chcą... ogromnej sumy pieniędzy za uwolnienie porwanych.

Killigrew wybuchnął śmiechem.

- I przyjechałeś do mnie, żeby zdobyć tę „ogromną sumę”? Jeżeli liczysz na czyjeś dobre serce, to trafiłeś pod zły adres, młodzińcze. Chyba znasz moją reputację, na którą zresztą długo pracowałem. A może chciałeś mnie szantażować? Zapewniam cię, że nie warto. Nie obchodzi mnie, co ludzie o mnie myślą. Co więcej, mam grzecz, co się stanie z Jane Coode i jej córką. Choć trzeba przyznać, że ta mała wyrosła na całkiem urodziwą dziewczkę. I co ty na to? - Wysunął wojowniczo brodę.

Rob przygryzł wargi. Żadne z dzisiejszych spotkań nie przyniosło spodziewanych efektów.

- Proszę mi wybaczyć, sir, że zabrałem panu czas. Widzę, że sprawa jest zamknięta i będę musiał poszukać innej drogi.

- Obrócił się na pięcie i już miał wychodzić, kiedy Killigrew zawołał:

- Czekał! Co bybyś w stanie zrobić, żeby ją uratować?

Rob spojrział na niego.

- Wszystko. Zrobiłbym wszystko, żeby tylko mogła wrócić bezpiecznie do domu.

- Pracujesz u Arthura Hamisa?

- Tak.

- Ale jesteś otwarty na inne propozycje?

- To zależy, czego by pan ode mnie oczekiwał i co bym z tego miał. Czy to legalne?

Killigrew zastanowił się chwilę.

- A to nie wszystko jedno?

Rob przelknął ślinę. Wychowano go tak, by lękał się Boga, kochał swój kraj i przestrzegał prawa, ale ani ten kraj, ani jego prawo jakoś nie potrafiły mu pomóc w ocaleniu Cat. Woła boska też bywa czasem nieodgadniona.

- Tak, sir.

- W takim razie, Robercie Bolitho, wygląda na to, że oszczędzisz mi długiej, męczącej i może nawet niebezpiecznej podróży.

- Podróży?

- Na wybrzeżu berberyjskim można zarobić fortunę. My mamy coś, na czym Maurom bardzo zależy, a oni mogą nam zaoferować dużo w zamian. Maroko to kraj bogaty w surowce. To głupie, że nie można otwarcie prowadzić interesów z ich... kupcami. Myślę, że możemy dopisać jeszcze jedną drobną rzecz do rachunku. Ale ostrzegam, to jest przedsięwzięcie handlowe, nie misja dobroczynna. Jeśli się zdecydujesz, musisz przyjąć moje warunki. Jutro wypływa statek do północnej Afryki, musimy zdążyć przez sezonem sztormowym. Jeśli mi udowodnisz, że jesteś godzien zaufania, możesz na nim zająć moje miejsce. A jeśli pomożesz memu prokurentowi ubić interes, przy okazji upieczesz swoją pieczeń. Ale mówimy tylko o uwolnieniu Catherine, słyszysz? Nikogo więcej!

- T a m jest jeszcze jej matka, przyjaciółka Matty... - zaczął Rob, czując gwałtowny przypływ wyrzutów sumienia. - I wielu innych biednych ludzi, którym moglibyśmy pomóc. Poza tym, nie mogę tak po prostu zniknąć, nie powiadamiając państwa Harrisów. Zawsze byli dla mnie dobrzy. Jeśli nie wrócę, będą się niepokoić, a Sir Arthur na pewno przyjedzie do Londynu mnie szukać...

- Uspokój się! Przejdziemy się do Hardwicke'a & Buckle'a, oni przygotowują tę wyprawę. Wyjaśnię im twoją rolę w całym przedsięwzięciu. Możesz u nich napisać list do swojego chlebo-dawcy, tylko nie wspominaj ani słowem o moim udziale w tej sprawie ani o charakterze wyprawy. Zgoda? - Wyciągnął rękę, a Rob uściśnął ją z bijącym sercem. Miał przecucie, że podaje dłoń samemu szatanowi, ryzykując nie tylko swoje życie, lecz i duszę.

ROZDZIAŁ 23

Dom, do którego przywiózł mnie Idriss, znajdował się na południowym krańcu medyny w wąskiej uliczce spowitej pomarańczową poświatą latarni sodowych. Minęliśmy grupkę dzieci, które przyglądały nam się ciekawie. Jakaś czarnooka dziewczynka podbiegła i pociągnęła mnie za rękaw:

- Baksheesh, madame. Please, danke schön.

Idriss rzucił kilka zdań po berberyjsku, a dzieciarnia z piskiem i śmiechem uciekła.

- Widzę, że nie pierwszy raz widzą turystów - stwierdziłam z ironią.

- Nieznośne urwisy. Wiedzą, że nie wolno żebrać, tyle razy im tłumaczyłem.

- Znasz je?

- Tak, to dzieci mojego brata Rachida i jego żony Aiszy.

Zatrzymał się przed drewnianymi drzwiami, na których niebieska farba była ledwie wspomnieniem, przekręcił klucz i wprowadził mnie do środka. W niczym to nie przypominało luksusowego Dar el-Beldi. Wąski przedpokój oświetlały gołe żarówki, a ściany były do połowy wyłożone tanimi kolorowymi kafelkami w geometryczne wzory. Z głębi dobiegały odgłosy rozmów w obcym języku i ryk telewizora. Idriss zawołał coś, przekrzykując hałas i w drzwiach pojawiły się nagle dwie kobiety, głośno trajkocząc jedna przez drugą. Obstały mnie, otaczając zapachem perfum, przypraw, ciepłym ciałem i kłębami falujących tkanin. Kilkakrotnie wyciągnęły mnie w oba policzki i uściśnięły dłoń.

- Marhaban, marhaban - powtarzała w kółko starsza.
- Witamy.

W końcu się odsunęły.

- To jest moja mama, Malika - Idriss wskazał na kobietę w nieokreślonym wieku, której twarz pokrywała się zmarszczek niczym mapa emocji całego życia. - A to moja belle-soeur, Aisza, żona Rachida.

Druga z kobiet uśmiechnęła się do mnie. Była młoda, chyba jeszcze przed trzydziestką, ubrana w tunikę i *dżinsy oraz* kolorową chustę, którą teraz nasunęła na głowę.

- Dzień dobry — przywitała się. — Idriss mówić pani z Anglii. Ja trochę znać angielski. Proszę, proszę, ja pokazać pokój. - I wzięwszy mnie za rękę, pociągnęła za sobą po schodach na piętro. — To pokój Idrissa - poinformowała radośnie. - Tu pani spać.

- A gdzie będzie spał Idriss? - zapytałam nerwowo.

- W salonie. Ja zaraz dać czyste rzeczy. - Zamaszystym ruchem ściągnęła z łóżka koc i prześcieradło i wyszła, zostawiając mnie samą. Rozejrzałam się po mojej nowej kwaterze: pojedyncze łóżko, stolik nocny, lampka, krzesło, szafa, regał z książkami, staroświecki świecznik, świeca wypalona do połowy. Na drzwiach wisiała długa granatowa szata ze szpiczastym kapturem, przypominająca habit zakonnika. To tylko wzmocniło wrażenie, że trafiłam do celi klasztornej.

Aisza wróciła z naręczem bielizny. Kiedy słałyśmy łóżko, zapytałam ją:

- Ty też tu mieszkasz?

- Oczywiście. Cała rodzina tu mieszkać: ja, mój mąż Rachid, nasze dzieci, Mohammed, Jamilla i Latifa, Idriss, jego matka Malika, brat Hassan i nasza babcia Lalla Mariam, kiedy nie być w górach. - Odliczała wszystkich na palcach. - Kiedy inna rodzina odwiedzać nas w Rabat, też tu mieszkać. Ty teraz jak rodzina.

- Dziękuję, jesteście bardzo mili.

Przyłożyła dłoń do serca.

- Barrakaliofik. To dla nas zaszczyt. - Zrzuciliśmy na posciel pasiasty koc. - Tu obok łazienka, możesz się umyć. Potem przyjdź na kolację.

O ile o sypialni Idrissa można powiedzieć, że była urządzo-
na po spartańsku, o tyle tu było po prostu jak na wsi. Wąziutka
klitka przylegająca do pokoju była wykafelkowana od podłogi
po sufit. Na dole po lewej stronie wystawał ze ściany kran, a wy-
soko nad nim wisiał plastikowy prysznic. Widoku dopełniały
wiadro, drewniany stołeczek, mydło i szampon, kubek z trzema
maszynkami do golenia, pęknięte lustro na drzwiach, mały bia-
ły ręcznik oraz groźnie wyglądająca dziura w podłodze. Mimo
woli wspomniałam z tęsknotą cudowny salon kąpielowy, który
zostawiłam w Dar el-Beldi. Szlag by trafił tego Michaela.

Zeszłam na dół i zastałam Idrissa w kuchni. Mieszał ręką miche
gorącego kuskusu, dolewając do niego jakiegoś aromatycznego
oleju. Otoczony kłębamii pary, wyglądał jak dżin wynurzający
się ze swej zaczarowanej butelki. Za nim jego matka wlewała
chochłą do glinianej wazy jakiś czerwony płyn, silnie pachną-
cy przyprawami. Oboje śmiali się i głośno rozmawiali w swo-
im języku. W pewnej chwili matka uniosła obie dłonie w górę
i Idriss z całej siły przybił jej piątkę, aż ziarenka kuskusu wzbiły
się w powietrze niczym złote iskry. Wybuchnęli śmiechem i po-
wrócili do rozmowy, zachowując się tak, jakby byli kolegami
ze szkoły, a nie matką i synem. Poczułam się trochę jak intruz,
więc się odwróciłam i chciałam odejść.

- Wchodź, wchodź. - Migdałowe oczy Idrissa błyszczały.
Nie przypominał tego mrukliwego, groźnego faceta, który oprow-
adzał mnie dziś po Sale. - Spróbuj. Nie za ostre? - Podsunął
mi łyżkę z czerwonym płynem. - Europejczycy nie zawsze
lubią, jak jest dużo chili.

Spróbowałam. Mieszanka smaków rozlała mi się po języ-
ku. Paliło, ale było bardzo smaczne.

- Nie, doskonała. Naprawdę. Jak jest „pyszny” po berberyjsku?

- Imim.

Dotknęłam ramienia jego matki.

- Imim - powiedziałam, pokazując na sos. - Imim, shokran.

Twarz pojaśniała jej z dumy. Uśmiechnęła się szeroko i rzekła coś do Idrissa, zezując w moją stronę. Idriss pokręcił głową i postukał łyżką w kłykcie, po czym natężenie ich rozmowy wzrosło o kolejny decybel. W końcu wygoniła go z kuchni, a Idriss zaprowadził mnie do małej jadalni z niskim okrągłym stołem otoczonym ławami.

- Co ci takiego powiedziała?

Zmieszała się.

- Mogę jej tłumaczyć tysiąc razy, a ona i tak myśli, że jesteś moją dziewczyną.

Teraz to ja się zmieszałam.

- Nie wiedziałam, że tutaj można mieć „dziewczynę”.

Spojrzał na mnie zdziwiony.

- Nie rozumiem.

Rozłożyłam ręce.

- Wybacz, właściwie niewiele wiem o waszej kulturze, ale przeczytałam w przewodniku, że seks przedmałżeński jest w Maroku zakazany. Zwłaszcza z cudzoziemcami.

- T o , że coś jest zakazane, nie znaczy, że się nie *zdarza* - odparł sztywno. - Ale istnieją pewne normy społeczne i ludzie starają się ich przestrzegać. To jest chyba główna różnica między naszymi kulturami. - Przerwał, jakby chciał ocenić, jakie wrażenie wywarły jego słowa, a potem dodał: - Moja mama powiedziała też, że jesteś bardzo piękna.

Poczułam, że się czerwienię.

- No nie. Tego to chyba jeszcze nigdy o sobie nie słyszałam - rzuciłam żartem, żeby zbyć niespodziewany komplement, ale w tej samej chwili sobie uświadomiłam, że to prawda. Nawet

Michael przez całe siedem lat naszego związku ani razu mi tego nie powiedział. Zwłaszcza Michael, równie oszczędny w komplementach i okazywaniu uczuć, jak i wydawaniu pieniędzy.

- W takim razie otaczałaś się ludźmi, którzy albo nie cenią prawdy, albo nie chcą jej dostrzegać. - I zanim zdążyłam cokolwiek odpowiedzieć, wyszedł.

Wrócił, niosąc wielki talerz kuskusu: kopiec żółtych ziarenek nadziany plasterkami cukinii, kawałkami marchewki, kabaczka, zielonym groszkiem i fenkułem, polany lśniącym, pikantnym sosem. Tuż za nim, jak za Flecistą z Hamelin, przywędrował cały tłum ludzi i wszyscy mówili równocześnie: Malika, Aisza, trójka dzieciaków (w tym dziewczynka, która zaczepiała mnie na ulicy), wysoki, poważny młodzieniec w garniturze, przedstawiony jako mąż Aiszy, Rachid, jeszcze jeden, wyglądający jak młodsza kopia Idrissa („mój brat Hassan, co po arabsku znaczy >przystojny< - pasuje, co?“), czarujący i cały w uśmiechach, z parą słonecznych okularów na czubku głowy, dwoje starszych ludzi („to moja ciocia i wujek“), mężczyzna w znożonej dżelabie oraz przysadzista, siwowłosa kobieta, która pozdrowiła mnie uprzejmym skinieniem głowy, a potem puściła do mnie oko. Wszyscy się rozsiedli wokół stołu na ławach lub skórzanych pufach, które przytargano z innych pokoiów, i od razu przystąpili do konsumpcji. Jedli palcami, wprawnym ruchem formując z kaszy kuleczki. Wuj utoczył szczególnie dużą i z odległości ramienia nonszalancko wrzucił ją sobie do ust, ku ogromnej ucieście dzieciaków, które próbowały go naśladować, dopóki Aisza ich nie upomniała.

- Mange, mange - zachęcała mnie mama Idrissa, dumna ze swej znajomości francuskiego.

Uśmiechnęłam się nieśmiało i poczułam na sobie wzrok Idrissa. Przyglądał mi się z ciekawością, jakby czekał, jak wybrnę z tej trudnej sytuacji. Zacisnęłam zęby. Nie zachowam się jak wydelikaccona Europejka, która prosi o talerz i widelec. Zanurzyłam palce w górze kaszy i prawie krzyknęłam, taka była

gorąca. Wtedy wpadłam na pomysł, żeby w charakterze łyżeczki użyć marchewki, i udało mi się nabrać spory kęs, nie rozsypując wszystkiego po stole.

Wczorajszy tadżin w Dar ei-Beldi smakował wybornie, ale to był kolejny krok w świecie nieznanych przypraw. Były subtelniejsze niż w kuchni tajskiej, bardziej złożone niż w indyjskiej i wymagające niż w chińskiej - w sumie niezapomniane przeżycie.

- Proszę - młodzieniec wyglądający jak Idriss podsunął mi kawałek dyni. - To jest najlepsze. Nazywamy to berberyjskim serem.

- Shokran.

Wszyscy pokiwali głowami z uznaniem dla mojej znajomości języka i po chwili każdy wyłuskiwał dla mnie najsmaczniejsze kąski i podsuwał mi je, aż nie mogłam więcej zmieścić.

Później, znacznie później, jak się zdawało - kiedy już odpowiedziałam na wszystkie pytania dotyczące życia osobistego, rodziny, przyjaciół, stanu cywilnego, mieszkania w Londynie, powodów przyjazdu do Maroka i okoliczności poznania Idrissa - znalazłam się na tarasie urządzonym na dachu domu i paliłam pierwszego od dwudziestu lat papierosa. Smakował ohydnie, ale się zaparłam. Moje nerwy tyle razy były dzisiaj wystawiane na próbę, że odczułam potrzebę zrobienia czegoś, co przełamie schemat.

Idriss opierał się o ścianę, a smużka dymu z jego papierosa wznosiła się prosto w górę w nieruchomym, wiecznym powietrzu.

- Powiedz mi, Julio, dlaczego się ukrywasz przed człowiekiem, który twierdzi, że jest twoim mężem?

Westchnęłam i zaciągnęłam się papierosem, żeby odwlec odpowiedź. Czekałam na to pytanie od chwili, gdy wyjechaliśmy z Dar el-Beldi, ale wciąż nie wiedziałam, co powiedzieć; czy mu zaufać i wyznać prawdę, czy obmyślić strategiczne kłamstwo. W dole po domem widniały pozostałości po targu spożywczym:

prowizoryczne stragany przykryte pasiastymi daszkami z brezentu, walające się śmieci, porozrzucane warzywa. Pośrodku tego bałaganu siedział kot i lizał łapkę, odzyskawszy na noc swoje terytorium. W końcu powiedziałam:

- Mam coś, na czym mu zależy. Coś cennego.

W ciemności trudno było stwierdzić, czy to co dostrzegłam w oczach Idrissa, to błysk chciwości, czy czystego zaciekawienia.

- Musi mu na tym bardzo zależeć, skoro przeleciał cały kontynent. - Rzucił niedopałek na ziemię i przydeptał. - Chyba, że zależy mu na tobie.

- Och, nie sądzę!

- Strasznie jesteś kategoryczna, a ja słyszę w twoim głosie pewną gorycz.

Łypnęłam na niego okiem.

- To rzeczywiście twój mąż? A może były?

- Nie, nigdy nie byliśmy małżeństwem. A w ogóle, czemu tak się tym interesujesz? Dopiero co się poznaliśmy.

- Julio, w życiu nie widziałem kobiety tak wystraszonej jak ty dzisiaj w riadzie. Z jakiegoś powodu boisz się tego człowieka, a to mi się bardzo nie podoba. Zapewniam jednak, że tutaj jesteś bezpieczna. Mój dom jest twoim domem i dopóki tu przebywasz, jesteś członkiem rodziny. Słowo honoru: nic ci tu nie grozi.

Łzy zakręciły mi się w oczach. Oparłam czoło o balustradę: metal mile chłodził rozpaloną skórę.

- Mówiłeś, że znasz jakiegoś specjalistę od historii koresarstwa?

Kiwnął głową.

- T a k . To mój znajomy, Khaled. Jest historykiem, wykłada na uniwersytecie.

- A dobrze go znasz, można mu ufać?

- To bardzo porządny człowiek, przyjaciel mojego ojca z dzieciństwa, kiedy jeszcze mieszkali w górach. Jest dla mnie jak wujek. Jak najbardziej można mu ufać.

- A myślisz, że moglibyśmy się z nim jutro spotkać?

- Rano ma wykłady, potem idzie do meczetu, ale może będzie miał czas po południu. Zadzwoń do niego, jeśli chcesz.

- Dziękuję. - Trochę mi ulżyło. Podniosłam głowę, ale Idriss nie patrzył na mnie. Patrzył na nocne niebo za moimi plecami.

- Spójrz!

Poczułam na ramionach ciepło jego dłoni, kiedy okręcił mnie, żeby mi pokazać spadającą gwiazdę.

- O! - W północnej części nieba, tuż nad horyzontem mignęła następna, potem jeszcze jedna. Ostatni raz obserwowałam to zjawisko w dzieciństwie, siedząc z ojcem na kamienistej plaży niedaleko naszego domu. Miałam wtedy siedem lat i przyszłość jawiła mi się jako źródło nieskończonych możliwości, pełna nadziei i tajemnicza.

- Piękne, prawda? Moja jeddah, to znaczy babcia, mawiała, że to diabeł puszcza fajerwerki. Ale to właściwie nie są gwiazdy, tylko meteory. O tej porze roku Perseidy. Kto je zauważy, będzie miał szczęście.

- To może nie będę musiała na razie palić żadnych kameleonów?

Śmiech Idrissa zawibrował w całym moim ciele. Czułam jego ciepły oddech na karku. Przez jedną straszną chwilę myślałam, że zaraz się odwrócę i go pocałuję. Targały mną emocje. W ułamku sekundy wyobraziłam sobie tę smagłą twarz w moich dłoniach, dotyk jego ust i smukłe palce wędrujące pod moją bluzką. Napięcie seksualne chwyciło nas niczym w kleszcze. Czym prędzej się odsunęłam.

- Chodź ze mną - powiedziałam, podjąwszy decyzję. - Coś ci pokażę.

- To jest właśnie ta rzecz, na której Michaelowi tak bardzo zależy, że przyjechał za mną aż do Maroka. - Wyjęłam z torebki *Skarbczyk hafciarki* i dałam Idrissowi. Potem usiadłam na łóżku,

a on przysunął się z krzesłem bliżej świecy. Z namaszczeniem pogładził skórzaną okładkę i ostrożnie otworzył książkę, jakby jej kartki były delikatnymi płatkami bardzo starego zasuszonego kwiatu. Długo przeglądał ją w milczeniu, po czym zaczął czytać na głos, miejscami sylabizując: „Lękam się o przyszłość, gdyż z powodu mego lekkomyślnego kłamstwa on wciąż sądzi, że jesteśmy zamożną rodziną, która będzie w stanie zapłacić sowity okup. Ale grozi też, że mnie sprzeda sułtanowi, który jak przypuszczam, jest w ich kraju kimś w rodzaju króla, bo mówi, że za białą dziewczynę o rudych włosach można dostać dobrą cenę na targu w Salé. Och, jak żałuję, że nie posłuchałam starej Annie Badcock i nie wróciłam z Robertem do Kenegie”.

- Przepraszam, mój angielski nie jest na tyle dobry, ale jak rozumiem, to jest pamiętnik kobiety wziętej do niewoli przez korsarzy?

Kiwnęłam głową.

- Autentyczny?

- Uważam, że to się zdarzyło naprawdę, ale chciałabym poznać opinię eksperta.

- Nadzwyczajne. Jeżeli to prawda, Julio, masz w rękach kawałek prawdziwej historii Maroka. To cud, magiczne okienko, przez które możesz zajrzeć w przeszłość. L'histoire perdue. Nigdy się z czymś takim nie spotkałem, w każdym razie nie z tak wczesnego okresu. I do tego pisane przez kobietę. C'est absolument incroyable!

Pocałował książkę, a potem, jakby chcąc naprawić niedopatrznie, podszedł i pocałował mnie. Cztery razy, w oba policzki. Nagle odskoczył.

- Przepraszam. Nie powinienem...

- Nic się nie stało - zaśmiałam się na siłę. - Prawda, że to niezwykle znalezisko?

- O, tak. Nie wiem tylko, co znaczą te rysunki? - Pokazał na jeden z wzorów przedstawiający parę ptaków ze splecionymi szyjami, w buduarze z liści i kwiatów.

- Wzory hafciarskie - wyjaśniłam, biorąc od niego książkę.
- Proste motywy roślinne, łatwe do skopiowania. Można sobie było ozdobić sukienkę albo, na przykład, obrus czy narzutę. Kobiety w Anglii od wieków poświęcały dużo czasu tej sztuce. Niektóre z nas nadal to robią. - Odłożyłam książkę i wyjęłam z torby moją ostatnią robótkę, szal ozdobiony w trzech rogach pawimi piórami. Myślałam, żeby w czwartym wyszyć coś innego, ale jeszcze nie mam pomysłu.

- Ty to zrobiłaś?

- Czemu cię to dziwi?

Uśmiechnął się.

- Nie, no... Myślałem, że takie kobiety jak ty są zbyt zabiegane i zbyt nowoczesne, żeby się zajmować czymś takim. To mogłaby wyhaftować moja babcia. Musisz jej to koniecznie pokazać, kiedy wróci od krewnych. Uwielbia pióra tego ptaka, paoni, u siebie w pokoju ma nawet kilka wazonie.

- Mówisz o pawiu?

- O pawiu, tak. Jeddah będzie tu jutro wieczorem albo pojutrze. Rachid jedzie po nią samochodem.

- Hm. Nie wiem, czy ja jeszcze będę. Jeżeli jutro uda się spotkać z twoim znajomym i posłuchać, co sądzi o książce, tak żeby wiedziała, z czym mam do czynienia, pewnie od razu wsiądę w pociąg do Casablanki, przenocuję, a rano polecę do domu.

Jakiś cień przemknął mu po twarzy.

- Poczekaj chwilę - powiedział i wyszedł.

Wrócił, niosąc jakieś ciuchy przewieszzone przez ramię.

- To ci się może jutro przydać, gdybyśmy tak przypadkiem natknęli się w mieście na tego twojego... Michaela.

Była to ciemnogrnatowa dżelaba, prosta, lecz uszyta z porządnej bawełny, chociaż haft na połach i mankietach był raczej nieciekawym, do tego zrobionym maszynowo. Komplet uzupełniała biała chusta w charakterze hidżabu.

- Przecież ja w tym będę wyglądać jak zakonnica - roześmiałam się.

Idriss takie.

- Z takimi oczami jak twoje, choćbyś się starała, to niemożliwe.

Nie wiedziałam, jak na to zareagować, więc nic nie powiedziałam. Idriss, widząc, że mnie zawstydził, skłonił głowę.

- Lepiej już pójdę, muszę jeszcze porozmawiać z Rachidem, zanim się położę spać. Chcę, żeby babcia zabrała coś ze sobą z wioski. Dobranoc, Julio. Timinciwin. Ollah. - Zakrył twarz dłońmi, potem je pocałował i przyłożył do serca. - Śpij dobrze. - I wyszedł.

Rozchyliłam okiennice i usiadłam na macie do modlitwy, żeby popatrzeć na księżyc płynący ponad dachami medyny. Nie wiem, jak długo tak siedziałam. Zabrzmiał śpiew muezina, gwiazdy przesuwały się po niebie, a ja rozmyślałam o Michaelu i zastanawiałam się, jak doszło do tak absurdalnej sytuacji, że on mnie ściga na innym kontynencie, aby odzyskać prezent, który miał przypieczętować koniec naszego romansu. Po jakimś czasie zauważyłam, że już nie umiem przywołać w myślach jego twarzy. Oczy, usta, kształt czaszki - z osobna tak, ale nie jako całość. Z kim ja byłam przez ostatnie siedem lat? Im bardziej starałam się o nim myśleć, tym bardziej mi umykał i wnet doszłam do wniosku, że to też jest wymowne: spędziłam te siedem lat, żyjąc w świecie własnych iluzji, grając rolę u boku człowieka, który wchodził i schodził ze sceny, kiedy chciał.

Z tymi myślami położyłam się spać. Dziwnie się czułam, leżąc w jednoosobowym łóżku, pierwszy raz od czasu, gdy byłam nastolatką. Dziwnie, ale i przyjemnie. Takie ograniczenie dawało poczucie bezpieczeństwa. Mimo to wierciłam się i przekręcałam na boki, sen zakłócały mi strzępy obrazów z dzisiejszego spaceru po Rabacie i Salé. Jakies zakapturzone postacie goniły mnie po labiryncie uliczek, a ja zabłądziłam i w żaden sposób nie mogłam się wydostać, co chwila natykając się na ślepy zaułek lub chowając za drzwiami, które potem nie chciały się otworzyć.

W środku nocy doznałam nieodpartego wrażenia, że ktoś śledził mnie całą drogę do domu Idrissa, dostał się do środka i wszedł do mojej sypialni. Zerwałam się z łana potem. Oczywiście nikogo nie było. Z walącym sercem położyłam się znowu i spróbowałam odprężyć, ale na próżno. Sen nie nadchodził.

W końcu zsunęłam nogi na podłogę, poczłapałam na drugi koniec pokoju i zapaliłam świeczkę. Niebo widoczne między listewkami okiennic było czarne jak atrament: do świtu jeszcze daleko. Postanowiłam trochę poczytać w nadziei, że to pomoże mi zasnąć. Postawiłam świecę na nocnym stoliku i sięgnęłam po torbę. Dłonie po omacku odnajdywały kolejne przedmioty: portfel, paszport, komórkę, szczotkę do włosów, kosmetyczkę, chusteczki, gumę do żucia. W drugiej przegródce znalazłam tylko szal, notes i długopis.

Ani śladu pamiętnika Catherine.

Oblał mnie zimny pot. Pierwsza myśl była taka, że mój sen nie był wcale snem. Ale to przecież bez sensu. Wstałam i przejechałam ręką po kocu na wypadek, gdyby się okazało, że pamięć mi szwankuje i zasnęłam wczoraj z książką w łóżku. Oczywiście jej tam nie było. Nie leżała też na podłodze, na krześle ani na regale. Zważywszy na skąpe umeblowanie, w zasadzie nie było już gdzie szukać, pozostała więc tylko jedna możliwość: ktoś - Michael? - zakradł się tutaj, kiedy spałam, i ją zabrał.

Zarzuciłam dżelabę na T-shirt i majtki i zesłam na dół przez pogrążony w ciszy i mroku dom. Złość niosła mnie przez dwie kondygnacje schodów, ale przy trzeciej zaczęła przegrywać z niepewnością. Na parterze serce mi na moment zamarło. Migotliwe światło tańczyło w przedpokoju, rzucając na ściany złowieszcze cienie. Mimowolnie przypomniałam sobie opowieści o dżinach z *Baśni z tysiąca i jednej nocy*, złośliwych duchach powstałych z czystego ognia, które pragną tylko niszczyć i zadawać cierpienie, i często wodzą na manowce ludzi naiwnych i nieostrożnych. Wzięłam głęboki oddech, odpędziłam te zabobonne lęki i ruszyłam w stronę źródła światła.

Dochodziło z otwartych drzwi salonu, gdzie paliła się samotna świeczka, oświetlając złotym blaskiem postać pochyloną nad książką. Moją książką. Pamiętnikiem Catherine.

Niczym kot, który przeczuwa zbliżającego się wroga, Idriss odwrócił się w momencie, gdy przekraczałam próg. Oboje odzwaliliśmy się jednocześnie:

- Co ty tu...

- Przepraszam...

Zamilkliśmy i spojrzeliśmy na siebie z konsternacją. Idriss kiwnął na mnie.

- Chodź, usiądź koło mnie i posłuchaj tego. - I pokazał stronę, którą właśnie czytał.

- „Postawiono mnie na podeście i rozchylono szatę, aby wszyscy mogli ujrzeć moje rude włosy i białą skórę. Dużą wagę przywiązywano do tego, że mam niebieskie oczy i jestem dziewicą, więc wielu mężczyzn się o mnie targowało, jakbym była jakąś rzeczą. W końcu ktoś mnie kupił i wyprowadzono mnie z placu. Tego dnia po raz ostatni widziałam matkę i ciotkę. To było straszne, lecz najbardziej przeżyłam rozstanie z moją kochaną Matty i gdy mnie zabierali, obie gorzko płakałyśmy”.

Catherine

Okryli ją od stóp do głów czarną szatą, posadzili na mule i ulicami Starego Sale wywieźli z placu targowego. Miała odsłonięte jedynie oczy, więc nikt nie widział, jak wygląda i kim jest. Była anonimową kobietą jadącą przez tłum na wychudzonym mule prowadzonym przez milczącego mężczyznę. Człowiek ów miał ponurą, zaciętą twarz, ogolona skóra głowy perliła się od potu w przymglonym popołudniowym świetle. Jego ręce były prawie czarne od słońca. Miał na sobie brudną białą szatę, którą podwinął między nogami i zatknął za pas. Kiedy Cat go zapytała, kto ją kupił i dokąd jada, nawet na nią nie spojrział. Gdyby nie dotyk sterczących kości zwierzęcia ocierających się o jej ciało, nie wiedziałyby, czy jeszcze żyje, czy jest już duchem.

Rozejrzała się na boki - jakież sens uciekać? Przecież nigdzie się nie ukryje, nikt jej nie pomoże. To straszne, że zostanie oddana w ręce obcego człowieka, ale jaki ma wybór? Wbiec między uliczki nieznanego miasta, żeby za chwilę dopadł ją mściwy tłum mówiący językiem, z którego nie rozumie ani słowa? Czy rzucić się z twierdzy do morza? Ta wizja przejęła ją dreszczem. Nie chciała jeszcze umierać.

Opuścili medynę i dotarli na brzeg rzeki, gdzie czekała na nich łódź. Przewoźnik stał oparty o wiosło, jego sylwetka rysowała się na tle ciemnych wód Bou Regreg. Wchodząc na pokład, Catherine przypomniała sobie opowieści Lady Harris o Charo-

nie, który dawno, dawno temu przewoził dusze zmarłych przez czarną rzekę do Hadesu - symboliczne przejście oznaczające oderwanie się od dawnego życia i początek nowej, ponurej egzystencji. Brakowało jej tylko monety w ustach i wymazania z pamięci wszystkich wspomnień. (Idy oddalali się od nabrzeża Slá el Bali, wpatrywała się w wodę, rozmyślając o swoim prostym życiu w Kenegie wśród ludzi, których może nie zawsze lubiła, ale przynajmniej w większości rozumiała. Wspominała zielono-złote krajobrazy Kornwalii, trawiaste wzgórza pokryte zaroślami kolcolistu, tamtejsze mżawki i rozproszone światło. Wspominała też bliskich, których straciła: zmarłego ojca i kuzynów, naga, wychudzoną i posiwiąłą matkę. Odpędziła od siebie ten bolesny obraz, przywołując w myślach kuzyna, Roberta Bolitho, którego uczuciem wzgardziła. Zastanawiała się, czy umiałaby kiedykolwiek się przyzwyczać do nudnego i nieciekawego życia, jakie jej oferował. To były jednak próżne rozważania, albowiem przeszłość minęła, a teraz czekało ją zupełnie nowe życie i nic nie mogła na to poradzić. Lepiej więc być jak ci umarli i zaakceptować zmiany, zamiast zadręczać się przypuszczeniami, które się nigdy nie ziszczą. Catherine zacisnęła zęby i spojrzała przed siebie na zbliżające się mury Slá el Djedid.

Na drugim brzegu także czekał na nią człowiek trzymający za uzdę zwierzę, lecz oni przedstawiali sobą zgoła inny widok niż para, którą pozostawiła w Starym Salé. Mężczyzna był wysoki i odziany w długą czerwoną szatę wyszywaną złotem oraz szkarłatny turban, okrywający mu głowę i niemal całą twarz. Za ozdobnym bandolierem miał zatknięty sztylet wysadzany klejnotami, a kiedy uniósł rękę, by pozdrowić przewoźnika, zabręczały na niej srebrne bransolety. Za nim stał koń delikatnej budowy o smukłej głowie i długich nogach. Rumak czystej krwi, który pewnie zostawiłby w tyle wszystkie konie ze stajni Kenegie. Czaprak pod siodłem uszyty był z karmazynowego sukna przetykanego złotem. Złote były także chwosty ozdabiające uprzęż. Jeśli ten mężczyzna i koń należą do człowieka, który ją

kupił - pomyślała Cat - musi to być ktoś bardzo bogaty i lubiący się z tym bogactwem obnosić.

Gdy przewoźnik wciągał łódź na brzeg, koń stuknął kopytem i zarzucił łbem, ale mężczyzna w turbanie pogłaskał go po nozdrzach i zwierzę się uspokoiło. Potem podszedł i położył na wyciągniętej dłoni przewoźnika monetę.

Aha - pomyślała ponuro Cat - oto zapłata za moją duszę.

Mężczyzna zbliżył się do niej, podniósł do góry, jakby wazyła tyle co dziecko, i usadowił ją na końskim grzbiecie. I tak jak jego odpowiednik po drugiej stronie rzeki poprowadził ją w milczeniu ulicami Nowego Sale, aż do monumentalnej bramy stanowiącej wejście do kazby Andalus.

Za bramą rozpoczynał się labirynt uliczek, gdzie stukot końskich kopyt odbijał się echem od kamiennych murów, jakby maszerowała cała kawaleria. Po chwili dotarli do szerokiej pustej ściany, w której znajdowały się tylko wysokie drewniane drzwi. Tu mężczyzna się zatrzymał i nie pukając ani w żaden inny sposób nie sygnalizując swojej obecności, otworzył je i przepuścił konia. Pałace słońce, kurz i kamienie ustąpiły nagle miejsca bujnej roślinności. Rosły tam palmy, drzewa owocowe, a z glinianych donic wylewały się kolorowe kwiaty. Podbiegł do nich czarny jak smoła chłopiec, ukłonił się mężczyźnie i przytrzymując uzdę, pomógł Cat zejść z konia. Z bocznych drzwi wysokiego domu wyłoniły się dwie kobiety i także ukłoniły się mężczyźnie. Cała trójka zamieniła ze sobą kilka zdań, które w uszach Cat brzmiały szorstko, gardłowo, po czym kobiety delikatnie chwyciły ją z obu stron za ręce i zaprowadziły do chłodnego budynku.

Następne trzy godziny upłynęły jak we śnie. W gęstym od pary pomieszczeniu kobiety ją wykapały, w następnym, wykafelkowanym na biało, opłukały i natarły wonnymi balsamami. Umyły jej także włosy, a czyjeś delikatnie dłonie natłuściły je słodko pachnącym olejkiem. Ktoś podał jej jedwabną koszulę, która była tak gładka i chłodna w dotyku, że Cat prawie się roz-

płakała. Do tego dostała haftowaną suknię i chustę, żeby mogła w nią zawinąć mokre włosy. Na koniec wsunęły jej na stopy czerwone pantofle z miękkiej skóry i zaprowadziły do wysokiego pomieszczenia, w którym stało łożo z baldachimem. Tam, rozłożywszy ręce w geście mówiącym: „Proszę, to wszystko dla ciebie”, zostawiły ją samą i cicho zamknęły za sobą drzwi.

Co teraz, zastanawiała się Cat. Została tak dokładnie umyta, natarta i wyperfumowana, że czuła się jak pieczeń przygotowywana na stół bogacza. Czy właśnie taka rola jej przypadnie? Zabawki, nałożnicy, damy do towarzystwa? Drżała w oczekiwaniu.

Nikt nie nadchodził. Po chwili więc zajrzała do wysokiej, rzeźbionej szafy, która stała przy ścianie po lewej stronie. W środku leżały starannie złożone bawełniane koszule, chusty, następne trzy suknie ze szlachetnych tkanin oraz jeszcze dodatkowa para pantofli. Zamknęła szafę z powrotem i zmarszczyła brwi. Czyżby tu mieszkała jakaś inna kobieta? Podeszła do okna. Przez ozdobne żelazne kraty dojrzała marmurowy dziedziniec. Jego geometryczne formy działały kojąco na zmysły: na środku znajdowała się ośmiokątna fontanna, od której odchodziły cztery kanały doprowadzające wodę do rogów oraz biegnące wzdłuż obwodu dziedzińca. Wokół fontanny stały donice wypełnione białymi i niebieskimi kwiatami, a we wszystkich czterech rogach na wzniesionych rabatach rosły drzewka pomarańczowe, których owoce odznaczały się jaskrawo na de błyszczących ciemnozielonych liściach. Trochę to przypominało miejsce po drugiej stronie rzeki, gdzie zaprowadzono Catherine, aby napisała list do Kenegie. Ten dom był jednak o wiele okazalszy.

I znów powróciło do niej pytanie: kim jest człowiek, który ją kupił? To, że jest bogaty, było widać jak na dłoni, ale Cat wiedziała, że w tych stronach majątek zdobywa się nie zawsze uczciwymi sposobami. Posiadanie złota i pieniędzy nie musiało się równać szlachetności charakteru. Jednak wystrój tego domu, stylowy i elegancki, świadczył o dobrym guście gospodarza.

Gdziekolwiek spojrzeć, widniały dowody niezwykłego kunsztu rzemieślników. Każda powierzchnia była w taki czy inny sposób ozdobiona, na przykład rzeźbiona sztukateria w miejscu łączenia ścian z kasetonowym sufitem z drzewa cedrowego. Ściany do połowy pokrywała mozaika ułożona w promieniste wzory; motyw ten powtarzał się także w płaskorzeźbie na drzwiach, w układzie płytek na posadzce, na blacie stołu i w dekoracjach stojących na nim szklanych naczyń. Cat musiała przyznać, że było to bardzo piękne więzienie, ale jednak więzienie.

W końcu wyczerpana położyła się i zasnęła. Obudziła się, kiedy słońce stało nisko nad horyzontem, i poczuła, że doskwiera jej głód. Podeszła do okna. Na dziedzińcu krzątały się trzy kobiety, w tym dwie, które ją kąpały. Jedna zamiatła, druga podlewała kwiaty w donicach, a trzecia wybierała z fontanny płatki róż. Spostrzegły ją i zawołały na dół. Cat podeszła do drzwi, pociągnęła za wielką żelazną obręcz i ze zdumieniem stwierdziła, że są otwarte.

Kierując się w stronę światła, zaczęła schodzić w dół krętymi schodami, potem wąskim korytarzem, aż znalazła się na dziedzińcu. Kobiety przerwały pracę i zaczęły wszystkie naraz mówić - niestety żadna w języku dla niej zrozumiałym. Przynajmniej było widać, że zląkły się z tego sprawę. Jedna przyłożyła palec do ust, naśladując czynność jedzenia. Cat skinęła głową. Tak, była głodna.

Przyniosły jej świeży chleb i miód, miskę lepkich daktyli i ciasteczek nadziewanych orzechami oraz słodką zieloną herbatę w srebnym dzbanku. Zjadła i wypila wszystko do ostatka. Kobiety bardzo się tym przejęły i zaczęły jej donosić jeszcze więcej jedzenia, aż zamachała ręką, że ma już dość. Wtedy usiadły razem z nią i rozlały drugi dzbanek herbaty do małych, delikatnych szklaneczek. Przedstawiły się: najwyższa miała na imię Yasmina, najmłodsza Habiba, a najgrubsza Hasna. Dużą trudność sprawiało im wymówienie imienia Catherine, więc pozostały przy Cat.

- Gdzie jest właściciel tego domu? - zapytała. Narysowała nad głową niewidzialny turban i przeszła się po dziedzińcu, naśladowując męski chód. Kobiety wybuchnęły śmiechem. Z ich odpowiedzi zrozumiała tylko, że wyjechał: jedna usiłowała naśladować konia, ale równie dobrze mogło jej chodzić o łódź. Marne z nich aktorki - pomyślała Cat. Dowiedziała się też, że ma duży majątek, jest kupcem i żołnierzem, co wywnioskowała po dłuższym czasie, obserwując odgrywanie scenki dobijania targu i walki na miecze. Podobno jest też przystojny, przynajmniej według Hasny, która mówiąc to, aż się zarumieniła, choć pozostałe machnęły lekceważąco ręką. Zbyt surowy, pokazała Yasmina, robiąc stosownie gniewną minę; za stary i za smutny, dodała Habiba, opuszczając kąciki ust.

- Kiedy wróci?

Nie wiedziały.

- Co mam *tutaj* robić?

Tego też nie wiedziały. Nazajutrz rano Cat znalazła jednak pod drzwiami czerwony koszyk, a w nim zwój białego płótna, z tuzin motków kolorowych nici oraz kilka igieł z hiszpańskiej stali wbitych w karnecik z czerwonego filcu. A więc rais musiał zareklamować jej talent hafciarski i kupiec postanowił go wypróbować. Może jednak nie ma zamiaru uczynić z niej tylko swojej nałożnicy.

Zeszła na dziedzińiec i zastała tam Hasnę w towarzystwie jakiejś kobiety. Ukłoniła się.

- Dzień dobry - przywitała się po angielsku nieznajoma.

- Pani jest Angielką? - spytała zaskoczona Cat.

- Nie, Holenderką, ale znam pani język na tyle dobrze, że pani właściciel wynajął mnie jako tłumaczkę.

Cat zauważyła, że kobieta lekko sepleni i połyka końcówki wyrazów. Wyciągnęła rękę.

- Nazywam się Catherine Anne Tregenna. Znalazłam się tu, ponieważ piraci napadli na moje miasteczko na wybrzeżu Anglii.

Tamta uśmiechnęła się szeroko, ukazując trzy złote zęby.

- Tak, wiem. A ja jestem Leila Brink i znalazłam się tu z powodu tego łajdaka, mojego męża. Niech mu ziemia lekka będzie.

- Och, tak mi przykro...

- Nie trzeba. Nikt go nie będzie żałował. Najmniej ja. - jej uczernione na tutejszą modłę oczy śmiały się. - Jak ci się podoba nasze miasto, Catherine?

- Sama nie wiem. Nie rozumiem waszych zwyczajów. Wszystko jest na razie takie obce, trudne do ogarnięcia. Na targu jakiś człowiek próbował mnie zabić. Rzucił we mnie sztyletem.

Leila uniosła brwi i westchnęła.

- Znowu. Tu jest wielu fundamentalistów, dla których obecność żywego chrześcijanina jest najgorszą obelgą. Proszę, nie osądzaj nas wszystkich na podstawie kilku szaleńców.

Przynajmniej jakaś pociecha.

- Czy możesz mi zdradzić, kim jest i jak się nazywa człowiek, który mnie kupił? Nie miałam jeszcze przyjemności go poznać.

Leila dziwnie na nią spojrzała.

- To Sidi Qasem bin Hamed bin Moussa Dib, człowiek bardzo szanowany, wielki dobroczyńca, choć nieco szorstki w obejściu i nieprzystępny.

- Podobno jest żołnierzem i trudni się handlem.

- To prawda. Ma nosa do dobrych okazji i umie pilnować swego interesu. Jest też wspaniałym mecenasem sztuki, bo nie mając żony ani dzieci, nie ma na kogo wydawać tego ogromnego majątku. Będzie cię dobrze traktował, jeśli zrobisz to, na czym mu zależy.

- Czyli?

- Podobno jesteś mistrzynią hafciarstwa.

Cat się zarumieniła.

- Zawsze o tym marzyłam, ale u nas, w Anglii, kobietom trudno się dostać do cechu.

- Ja też się trochę na tym znam. Mój ojciec był mistrzem cechu w Amsterdamie. Przez jego ręce przechodziły najznakomitsze europejskie wyroby.

Cat przygryzła wargi.

- Czego on ode mnie oczekuje?

- Chodź, sama zobaczysz.

Leila i Hasna zaprowadziły ją krętymi schodami do chłodnego, jasno oświetlonego pomieszczenia, w którym zebrało się kilkanaście kobiet i dziewcząt. Siedziały po turecku przed niskimi drewnianymi krosnami i naciągały na nie materiał. Na dużym okrągłym stole leżała bela grubego białego płótna, różnokolorowe jedwabne nici, kilka rulonów papieru i węgiel do rysowania. Wszystko było ułożone w idealnym porządku. Panowała cisza jak w szkolnej izbie.

Cat nieśmiało się uśmiechnęła i zajęła miejsce przy wolnym krośnie. Nie przywykła siedzieć w ten sposób, więc chwilę trwało, zanim znalazła najwygodniejszą pozycję. Krosno, które miała przed sobą, też było dla niej czymś nowym; w Kenegie zawsze używała drewnianego tamborka, małej obręczy z mechanizmem sprężynowym. Ten przyrząd był większy i bardziej prymitywnie zbudowany, ale jak się za chwilę miała przekonać, obsługiwało się go bardzo łatwo, i to mimo tej dziwnej pozycji. Catherine zdołała naciągnąć płótno, a gdy podniosła głowę, ujrzała na sobie wzrok wszystkich kobiet. Taksujący, wyczekujący.

Spojrzała z zakłopotaniem na Leilę.

- Czekamy na nauczycielkę?

- Ty nią jesteś - wyjaśniła Leila. - Te kobiety umieją wykonać tylko najprostsze, ludowe wzory. Sidi Qasem chce, żebyś poszerzyła ich repertuar. Będiesz dla nich kimś w rodzaju ma'allema, mistrzyni i nauczycielki, ale tylko haftu. Prawdziwa ma'allema zajęłaby się jeszcze ich edukacją moralną, ale tego twój pan oczywiście po tobie nie oczekuje. Ma inne plany.

- Plan? - powtórzyła jak echo Catherine, wciąż czując na sobie spojrzenie tych ciemnych, cudzoziemskich oczu.

- Królewskie miasto Fez co roku zarabia majątek na sprzedaży haftowanych wyrobów do Europy. Działa tam trzy tysiące specjalnych warsztatów, tiraz, w których masowo się je produkuje. To są przepiękne, tradycyjne wyroby, ale każdy tiraz wytwarza ciągle te same wzory. To nudne i traci walor świeżości. Twój pan chciałby, żeby Stare Sale pokazało Fezowi, że potrafi to robić lepiej, a ty nam w tym pomożesz. Te zajęcia to tylko początek. Nauczysz te kobiety nowych wzorów, a one potem same zostaną ma'allema i będą przekazywały zdobyte umiejętności innym. Jeżeli się sprawisz, zostaniesz kimś w rodzaju mistrzyni cechu. Sidi Qasem się wzbogaci, no i ty przy okazji też.

Cat zrobiło się słabo. W Kornwalii skarżyła się na mur ograniczeń, jaki wokół niej postawiono. Był wysoki, niewyobrażalnie wysoki. Kiedy zlecono jej przygotowanie antepedium, poczuła, jakby się wspięła o trzy, może cztery szczeble gigantycznej drabiny, która kiedyś być może pozwoli jej wystawić głowę poza ten mur. A tutaj jednym susem znalazła się od razu na samym szczycie. Tyle że zamiast świetlanej perspektywy ujrzała ziejącą w oddali wielką pustkę.

- A jeśli nie podołam? - spytała, czując suchość w ustach.

Leila wzruszyła ramionami.

- Lepiej się postaraj.

Cat dotknęła szyi i miała wrażenie, że serce trzepocze jej w piersi niczym skrzydła uwięzionego ptaka. Jaki ma wybór? Musi opanować strach i zmierzyć się z losem. A nuż uda jej się osiągnąć coś niezwykłego. Może odnajdzie tu życie, jakiego zawsze pragnęła, choćby i na innym kontynencie, wśród obcych ludzi. Wyprostowała się i rzekła:

- W takim razie proponuję zacząć od podstaw. Niech panie mi pokażą, jakich ściegów używają, a na jutro prosiłabym, żeby przyniosły próbki swoich dotychczasowych prac lub jakieś gotowe rzeczy, które mają w domu. Chcę się zorientować, jakie style tutaj obowiązują. Potrzebne mi też będą przykłady wyrobów z... Jak miasto się nazywa? Fez?

- Na pewno wszystko da się zorganizować. Ale ma'allema nie siedzi na podłodze razem z uczennicami. - Leila podała jej rękę i pomogła wstać. - Tam jest twoje miejsce. - I wskazała jej niskie rzeźbione krzesło stojące przed największym z krosien. - Powiedz mi dokładnie, co mają robić, a ja im to przetłumaczę.

Cat usiadła na krześle, bardzo szerokim, jakby przeznaczonym dla znacznie cięższej osoby i uniosła rękę.

- Mam na imię Catherine, przyjechałam z Anglii i będę was uczyła sztuki haftu. Na początek proszę, żebyście się kolejno przedstawiły, a potem omówimy kilka najprostszych ściegów.

Tak oto rozpoczęła się jej pierwsza lekcja.

Tego dnia omówiła z nimi podstawowe ścięgi i stwierdziła z ulgą, że nie wszystkie są im obce, choć używają na nie innych nazw. Doskonale znały ścieg satynowy, płaski czy cerowniczy. Zademonstrowała im jeszcze, jak się haftuje krzyżykami i łańcuszkiem, a one w zamian pokazały jej ścieg używany przez mistrzów z Fezu. Był to rodzaj dwustronnego ścięgu za igłą, który dawał w rezultacie wzór wyglądający identycznie z obu stron tkaniny. Cat pokręciła głową.

- Jest wspianiały, ale najczęściej to niepotrzebne marnowanie nici. Jeśli zastąpicie go ścięgiem płaskim, zobaczycie, że efekt będzie podobny, a i tak przecież widać tylko jedną stronę. - Pokazała im próbkę, ale skrzywiły się z niesmakiem. Cóż, stare nawyki trudno wyplenić.

Nazajutrz wszystkie poprzynosiły z domu rozmaite rzeczy. Jedna z nich tunikę haftowaną przy szyi, u dołu i na mankietach. Wzór nie był szczególnie ambitny, choć wykonany bardzo starannie.

- Bardzo ładna - pochwaliła Cat. - Możesz ją zapytać, co to za motyw?

Kiedy Leila przetłumaczyła pytanie, kobieta o orzechowej cerze, bez kilku zębów na przedzie zaśmiała się i cmoknęła,

a Cat się domyśliła, że zadając to pytanie wykazała się ignorancją cudzoziemki.

- Przedstawia bociany siedzące na drzewie — wyjaśniła Leila.

- Bardzo popularny motyw. Bocian to baraka, dobry znak.

Wspaniale, tylko co to jest bocian? Cat nie miała pojęcia.

Leila zanosła się śmiechem.

- Później ci pokażę. Na minarecie jest gniazdo.

Ach, więc to ptak. Zarumieniona Catherine raz jeszcze spojrzała na wór. Ptak z długim dziobem. Tyle mogła wywnioskować, ale niewiele ją to pocieszyło.

Inna kobieta przyniosła długie haftowane szarfy pokryte gęstym, skomplikowanym wzorem z wplecioną srebrną nicią, nieco już zmatowiałą.

- Nie pochodzą z naszych terenów - wyjaśniła tłumaczka.

- Są bardzo stare i stanowiły część wyprawy ślubnej jej prababki, a ta przybyła tutaj z Turcji. Natomiast to — wzięta do ręki szarfę o wzorze nieco prostszym, jednokolorowym - to część odświętnego ubioru męskiego pochodząca z rejonu gór Rif.

- Podoba mi się - rzekła Cat. - O wiele bardziej niż ta turecka. - Wzór był śmiały, geometryczny, wykonany pewną ręką przez osobę, która widać miała w tym duże doświadczenie. Jeszcze raz wzięta do ręki turecką szarfę i przyjrzała jej się. Srebrna nić nie była wszyta w tkaninę, lecz nałożona na powierzchnię i co kilka centymetrów przymocowana mocną nitką w neutralnym kolorze. - A, słyszałam o tej technice - uśmiechnęła się.

- Dzięki niej oszczędza się kosztowne nici, a tkanina nie robi się nadmiernie sztywna ani się nie zwija. Ale ja nigdy nie wyszywałam srebrem ani złotem.

- Będziesz miała okazję - powiedziała Leila. — Sidi Qasem ma wielkie plany i mnóstwo pieniędzy.

Wśród przyniesionych rzeczy były jeszcze wstążki i galony - mjadli, makatki - hyati oraz sou, śliczna ozdoba chusta do owijania głowy podczas kąpieli. Wszystkie one były ładne, ale wzory na nich zwyczajne, jednobarwne, niewymagające

szczególnej umiejętności. I wtedy Habiba nieśmiało wyjęła z konopnej torby płachtę ciemnego aksamitu, tak nieprzystającą do wszystkiego, co dotąd widziały, że kobiety aż zaniemówiły z wrażenia.

- To mój izar - wyjaśniła Habiba. - A właściwie jego część. Połowa ślubnego parawanu, który czeka na mnie, aż wyjdę za mąż. - I oblała się rumieńcem. Kobiety z namaszczeniem dotykały materiału i gładziły go rękoma, a nawet przykladały do twarzy. Trzy z nich wspięły się na otomanę, chichocząc i łapiąc równowagę, aby go zademonstrować w całej okazałości. Teraz Cat nie mogła się powstrzymać od okrzyku zachwytu.

Szła tego projektu o niebo przewyższała inne prace, które miała dziś okazję obejrzeć; ktoś był bardzo ambitny. Wzdłuż dolnej krawędzi biegła seria szalczków gęsto wypełnionych na przemian motywami geometrycznymi i roślinnymi, a nad nimi wznosił się przepiękny, *realistyczny* minaret zwieńczony kopułą.

— Nadzwyczajne - wyszeptala oczarowana Cat.

Habiba za pośrednictwem Holenderki wyjaśniła, że jest to wspólne dzieło jej matki i babki. Musiała je wynieść po kryjomu, ponieważ taki parawan to najkosztowniejsza rzecz w ich domu i matka byłaby zła, widząc, że ona tak się nim chwali, zwłaszcza przed obcymi. Ale po blasku w jej oczach można było poznać, jak bardzo jest z niego dumna. Na reszcie kobiet zrobił nie mniejsze wrażenie, bowiem głośno wyrażały swój podziw i spoglądały nań pożądliwie. Cat poczuła ukłucie ambicji. Gdyby miała możliwości, też by coś takiego wyhaftowała. Nawet ładniejsze. Przypomniało jej się antepedium pozostawione pod łóżkiem w Kenegie, zapewne już obrosłe kurzem i pajęczynami, i na moment zrobiło się jej żal, że nikt nie będzie miał okazji zobaczyć i pochwalić jej projektu. Ja im jeszcze pokażę, przyrzekała sobie w duchu, zrobię w tym nowym kraju coś znacznie wspanialszego.

Leili i Hasnie udało się zgromadzić kilka wyrobów pochodzących z Fezu i okolic, głównie gęste, jednobarwne desenie wy-

konane z niezwykłą starannością: szal wyszywany czerwienią, narzuta wyszywana błękitem i ciekawa makatka w odcieniach lila i fioletu, uzupełniona akcentami ze złota. Prezentowały się nieco lepiej niż poprzednie, bardziej amatorskie wyroby. Ściegi były równiejsze, detale dokładniej odwzorowane, a w dodatku całość była dwustronna, co wskazywało na spory kunszt tamtejszych rzemieślników.

Catherine spodziewała się, że te wyroby ją onieśmielą, że będzie się bała, iż są poza zasięgiem jej umiejętności, a zwłaszcza kobiet, które miała uczyć. Ale wystarczy dobre oko, starannie zaprojektowany wzór i solidne ćwiczenia, a każdy, nawet dziecko jest w stanie je wykonać. Brakuje im rozmachu i indywidualnego rysu - pomyślała, wspominając swój projekt Drzewa Poznania Dobra i Zła. Nawet w *Skarbczyku* znalazłoby się parę przykładów, którymi mogłaby zadziwić mistrzów z Fezu. Jakże żałowała, że nie ma już swojej książeczki. Ale zaraz skarciła się w myślach: trudno, ona była częścią dawnego życia, a teraz rozpoczyna się nowe. Nadal ma dwie zdrowe ręce i wyobraźnię, a to się liczy.

- Leilo - zapytała z nową determinacją w głosie. - Będę potrzebowała kilku rzeczy. Myślę, że nie będzie kłopotu z ich zdobyciem. - Wymieniła je, po czym sięgnęła po arkusz papieru i przystąpiła do rysowania jakiegoś prostego wzoru. Przypomniała jej się rozmowa z raisem i jego opowieść o żonie Proroka oraz jej nieszczęsnym gobelinie. Lepiej będzie unikać zbyt realistycznego przedstawiania żywych istot. Zresztą te kobiety wydawały się gustować w bardziej stylizowanych motywach. Naszkicowała więc z grubsza szlaczek z liści paproci poprzetykanych drobnymi kwiatkami.

Rysunek wzbudził zachwyt, rozległy się oklaski, jakby co najmniej wykonała magiczną sztuczkę. Narysowała więc kolejny wzór, tym razem złożony z gwiazd i półksiężyców, ale on nie spotkał się z takim entuzjazmem.

- To jest żydowska gwiazda - zwróciła jej uwagę Leila.
- Nasza jest ośmioramienna. - Pokazała jej jeden z wzorów

z Fezu, a potem taki sam motyw wkomponowany w ścienne kafelki. - Przedstawia pieczęć Sulejmana. To święty symbol.
- Złożyła dłonie.

Cat zaskoczył poważny ton Leili: nie sprawiała wrażenia osoby religijnej, a co dopiero zagorzałej muzyłmanki. Wzięła czysty arkusz i narysowała nowy wzór, tym razem z ośmioramiennymi gwiazdami - jedną dużą i dwiema mniejszymi po bokach - a całość ozdobiła szlaczkami z kwiatów. Wszystkim się spodobało, więc gdy wróciła Habiba, niosąc rzeczy, o które prosiła Cat - kawałek bawełnianego płótna, ostre szydło i sproszkowany węgiel drzewny - czekały z przejęciem, co też zamierza z nimi zrobić.

- Wybierzcie, który wzór wolicie wyszywać. Zdziwiła się, gdy dziesięć na dwanaście kobiet wybrało gwiazdy. Potem wysypała węgiel na rozłożone płótno i związała rogi. - To będzie tampon - objaśniła, sprawiając tym nieco kłopotu tłumacze.
- Przyjrzyjcie się uważnie, w jaki sposób przeniosę rysunek na wasze krosna.

Szydłem ponakłowała na papierze kontury wzoru, a potem podchodziła do każdej ramy, przykładając papier do płótna i delikatnie uderzała tamponem. Z początku wyglądało to bardzo nieestetycznie, proszek się sypał i rozmazywał, lecz po zdjęciu szablonu na płótnie pozostawała idealna kopia wzoru. Teraz już żadna nie miała wątpliwości, że Cat posiada zdolności magiczne.

- A teraz wybierzcie kolory, tylko postarajcie się, żeby nie były takie same jak u sąsiadki, bo w ten sposób może nam zabraknąć niektórych nici, a poza tym prace będą zbyt podobne do siebie. Wybierajcie odcienie, które ze sobą harmonizują. Macie szczęście, tyle cudnych kolorów. W moim kraju większość kobiet musi się ograniczać do nici, które same sobie ufarbują, na przykład w łupinach cebuli, więc kolory mamy raczej mdłe i zgaszone. Tylko bogate panie mogą sobie pozwolić na coś takiego. - Wzięła do ręki motek w jaskrawo niebieskim kolorze.
- Albo takiego. - Podniosła szkarłatny.

To im się bardzo spodobało. Zobaczyły, że mogą być w czymś lepsze od Europejek, które zawsze uważały za bogatsze i bardziej uprzywilejowane od siebie. Cieszyły się i klaskały w dłonie.

- Al hamdulillah - odezwała się któraś, a reszta zawtórowała.

Cat uśmiechnęła się. Poczuła się mądrzejsza i starsza niż na te swoje dziewiętnaście wiosen.

- Razem stworzymy wiele pięknych rzeczy - powiedziały i patrzyła, jak jej własna rodząca się pewność siebie odbija się w ich twarzach zwróconych ku niej niczym kwiaty ku słońcu.

Pod wieczór była bardzo wyczerpana. Zawsze uważała wyszywanie za zajęcie spokojne i odprężające, o wiele mniej męczące niż inne obowiązki, które musiała wykonywać jako pokojówka. Tymczasem bolała ją szyja, plecy i nogi, i to tak bardzo, jakby cały dzień ciężko pracowała fizycznie. Pewnie to wynik napięcia związanego z odpowiedzialnością. Nigdy wcześniej nikogo nie uczyła, chyba że liczyć pokazanie Matty, jak się sznurowuje trzewiki, co zajęło zadziwiająco dużo czasu. Ale była zadowolona. Dobry początek został zrobiony, a przy odrobinie praktyki wyrosną z tych kobiet przyzwoite hafciarki. Splotła ręce za głową i przeciągnęła się. Czuła, jak mięśnie powoli się rozluźniają.

Nagle spoczął na niej cień.

W drzwiach zobaczyła wysoką sylwetkę rysującą się na tle zachodzącego słońca. Przyjrzała jej się i serce zaczęło jej walić jak młotem. Mężczyzna wszedł do pokoju.

- Dobry wieczór, Cat'rin.

To był rais.

Patrzyli na siebie tak długo, aż Cat nie wytrzymała i odwróciła wzrok.

- Pomyślałem, że chciałabyś to odzyskać - powiedział rais, wręczając jej jakiś pakunek.

Był to niewielki przedmiot zawinięty w kawałek materiału. Cat zajrzała do środka, już wcześniej wyczuwając jego kształt.

Nie śmiała na to liczyć, a jednak: skóra na okładkach nieco się przytarła i pociemniała, lecz poza tym żadnych uszkodzeń.

Przycisnęła ją do piersi.

- Moja książka...

- Obawiam się, że jest trochę zwęglona. Khadija chciała ją spalić.

- Khadija?

- Moja kuzynka, którą przygotowuje mi niewolnice do aukcji. Powinnaś ją pamiętać. Ona ciebie zapamiętała. Niestety, dżelaba, którą ci dałem, nic przetrwała pożaru.

Catherine przypomniała sobie teraz szczupłą kobietę o królewskiej urodzie, która kazała im się rozbierać i poddawała upokarzającym oględzinom. Policzki jej zapłonęły. Spuściła wzrok.

- Pamiętam.

- Ona... chyba jest o ciebie zazdrosna.

Cat spojrzała z niedowierzaniem.

- Zazdrosna? Zazdrości mi, że porwaliście mnie z domu i sprzedali jak jakąś rzecz? Jak może być zazdrosna o kogoś, kogo potraktowała jak zwierzę? Nie, gorzej, bo żadne zwierzę nie jest świadome wstydu, kiedy jego obnażone ciało zostaje wystawione na spojrzenia obcych!

Rais uśmiechnął się pod nosem.

- Widzę, Cat'rin, że nawet ciężkie przeżycia nie zdołały ugasić w tobie ognia.

- Nie, jeszcze nie dałam im się złamać - odparła cicho.
- Więc jeżeli taki był pański cel, to przykro mi, nie udało się. Uważam wręcz, że miałam dużo szczęścia, ponieważ mój nowy właściciel okazał się być osobą wielkiej wrażliwości. Powierzył mi pracę, która daje mi dużo satysfakcji i już pomogła mi odzyskać szacunek do samej siebie i ufność wobec świata.

- To musi być jakiś niezwykły człowiek, skoro tak szybko udało mu się tyle osiągnąć.

- Z pewnością. Jeszcze nie miałam przyjemności go poznać.

- Hm, dziwne. Wydał na ciebie ryle pieniędzy i nawet się nie przedstawił.

Cat zaplotła ręce na piersiach i przemilczała to, choć trzeba przyznać, że w duchu myślała to samo.

- Mam nadzieję, że nowemu panu nie wydasz się tak niebezpieczna jak mnie.

- Niebezpieczna?

- Podobno Bóg stworzył człowieka z gliny, dzina zaś z ognia. Dziny są bardzo niebezpieczne, mogą opętać człowieka. - Wysunął kosmyk jej włosów spod chusty i zaczął się nim bawić. - A kim ty jesteś, Cat'rin, kobietą czy dżinem?

Wyrwała mu kosmyk i z powrotem wsunęła pod chustę.

- Jestem kobietą z krwi i kości - odparła ostro.

- Może to jest właśnie najbardziej niebezpieczne.

Po tych słowach ukłonił się teatralnie i wyszedł.

ROZDZIAŁ 25

Siedzieliśmy z Idrissem nad książką aż do świtu. Pierwsze promienie słońca wpadały przez szczeliny w okiennicach, rzucając pasiaste cienie na wszystko, czego dotknęły. Oparta na stole dłoń Idrissa wydawała się tak jasna i złocista, że niemal biała. Moja dłoń pozostawała w cieniu, zaś książka była podzielona na pół. Chciałam jakoś skomentować ten widok, bo wydał mi się wymowny, ale ze zmęczenia nie potrafiłam ubrać myśli w słowa i wyszło mi z tego tylko wielkie ziewnięcie.

- Dlaczego rais sprzedał ją temu kupcowi? - zastanawiałam się. - A może to on jest Qasemem? Ale wtedy po co miałyby za nią płacić, skoro i tak należała do niego. Nie rozumiem.

- Chyba jednak musisz się wyspać - stwierdził Idriss. Zamknął książkę i wręczył mi ją. - Zdrzemnij się z dwie godziny, a potem dokończymy czytać i zjemy śniadanie. Później pojedziemy do Khaleda. - Po chwili dodał. - A przy śniadaniu rzuć sobie okiem na to.

W rękę trzymał dwie pomięte kartki papieru. Nie mogłam dojrzeć, co to jest, więc chciałam po nie sięgnąć, lecz Idriss cofnął dłoń.

- Nie teraz.

Nagle poczułam nieprzyjemne ukłucie, bo dotarło do mnie, że to liścik od Michaela i ksero *listu*, które zostawił mi w riadzie. Złożyłam je wtedy, wsunęłam za okładkę i całkiem o nich zapomniałam. O Michaelu też. Boże, co ja mam zrobić z tą całą sytuacją?

- Oddawaj! - zawołałam.

Idriss wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Teraz wiem o tej historii coś, czego ty jeszcze nie wiesz — powiedział z tajemniczym błyskiem w oku. - Wielokrotnie zadawałem sobie pewne pytanie i z racji wątpliwości, jakie budziło, poważnie się zastanawiałem, czy ta książka nie jest fałszerstwem. No bo tak: skoro przepłynęła ocean i dotarła aż do Salé, to jakim sposobem znalazła się z powrotem w Anglii, a na koniec trafiła w ręce pewnej niezwyklej kobiety?

- I teraz już wiesz?

- Mam pewną teorię i jestem prawie na sto procent pewien, że to, co trzymasz w ręku, jest autentycznym znaleziskiem z przeszłości.

- I to wszystko wywnioskowałeś z tych listów?

- One sugerują coś... coś niezwyklego.

- Powiesz mi w końcu?

- Nie chcę ci psuć opowieści. - Uśmiechnął się. - Wszystko musi mieć swój porządek. Niczego cię nie nauczyły *Baśnie z tysiąca i jednej nocy*?

- Ale to nie jest bajka - odparłam chłodno. - Poza tym, listy są moją własnością, jakim prawem odmawiasz mi ich zwrotu?

Uniósł brwi.

- Skoro teraz masz taki zły humor, to co będzie, jeżeli się nie prześpisz? Ale nie bój się, u mnie są bezpieczne. — Spokojnie złożył kartki i wsunął je za koszulę. - Widzisz? Będę je trzymał na sercu. Poza tym ciągle brakuje nam jeszcze jednego ważnego elementu układanki, a żeby go znaleźć, będziesz musiała, tak jak twoja Catherine, podjąć poważną decyzję, tego zaś nie wolno robić, gdy człowiek jest niewyspany.

Znowu ziewnęłam rozdzierająco. Jeszcze chwila i głowa mi wyląduje tam, gdzie listy i zaraz będę chrapać przytulona do piersi Idrissa. A co w tym takiego strasznego? - podpowiadał zdradziecki umysł. Właściwie nic. Żeby nie palnąć ani nie zrobić czegoś głupiego, szybko wstałam i pobiegłam na górę. Sama.

Dopiero, gdy się wśliznęłam pod koc i wtuliłam głowę w poduszkę, przypomniałam sobie, co powiedział Idriss.

„...pewnej niezwykłej kobiety”.

Naprawdę tak uważa? Uśmiechnęłam się i otaczając się tą myślą jak ochronną bańką, zasnęłam.

Rob

Listopad 1625

Robert Bolitho zawsze uważał się za twardego mężczyznę, więc z zaskoczeniem i niejaką odrazą stwierdził, że jest słaby jak dziecko, gdy podczas pierwszej w życiu podróży statkiem dzień w dzień wymiotował żółcią.

- To tylko choroba morska, bracie - pocieszał go pierwszy oficer, śmiejąc się na widok chłopca jak dąb będącego w tak opłakanym stanie. - Od tego się nie umiera.

Ale Rob nie uważał tego za normalne. Przecież był Kornwalijszym, w jego żyłach płynęła słona woda. Musiała istnieć jakaś inna, bardziej ponura przyczyna.

Pod koniec drugiego tygodnia rejsu, gdy wciąż nie zanosło się na to, że koszmarne mdłości kiedykolwiek ustąpią, był nawet gotów rzucić się za burtę, byle tylko zakończyć te męczarnie. Jedynie myśl o Catherine, torturowanej i bitej przez barbarzyńskich oprawców, pozwalała mu jakoś przetrwać kolejne dni. „Cierpi jeszcze bardziej ode mnie” - tłumaczył sobie. - A jeśli ona potrafi to wytrzymać, to i ja mogę”.

Wreszcie przyszedł dzień, kiedy zdołał utrzymać w żołądku kawałek czerstwego chleba i parę kęsów suszonego mięsa. Potem czuł się coraz lepiej i lepiej, aż któregoś ranka wyszedł na pokład, spojrzął na połyskujący ocean, wystawił twarz do słońca i wdychając słoną bryzę stwierdził, że nie ma lepszego miejsca na świecie. Wiatr kołysał falami, nad głową łagodnie łopotały

żagle, a statek pruł przed siebie niczym wielki morski ptak. Oficer powiedział mu, że ma szczęście, bo rejs przebiega bez przeszkód. A potem zaczął go racyć opowieściami o sztormach, połamanych masztach, zatopionych statkach i krzykach tonących marynarzy, aż Robertowi znów zrobiło się niedobrze.

- A le to jeszcze nic. Najgorsi, bracie, są piraci — kontynuował, nieświadom wrażenia, jakie jego reminiscencje wywołują w słuchaczu. - To prawdziwa plaga. Dzisiaj mało który statek daje radę przepłynąć Cieśninę, żeby mu zaraz nie siadł na rufie jakiś diabeł morski z Sale albo Algieru. Mojego kumpla porwał niedaleko Wysp Kanaryjskich jeden renegat i sprzedał. Wsadzili go na galery na Morzu Śródziemnym. Takie rzeczy opowiadał, że byś się zesrał ze strachu.

Rob naprawdę nie miał ochoty tego wysłuchiwać, ale marynarz praktycznie przygwoździł go do burty.

- Goły, przykuty łańcuchem do ławki wiosłował dwadzieścia cztery godziny na dobę i obrywał batem aż do krwi. Do żarcia dawali im tylko chleb nasączony winem, żeby całkiem nie osłabli. Cały tuzin ich wykitowało. Przejeżdżali im batem po grzbietach, żeby sprawdzić, czy nie udają, a potem wyrzucali za burtę. Kumpel wytrzymał tak trzy lata. Potem ktoś go odkupił i wysłał na budowę koszar czy czegoś, koło Algieru. Mówił, że tam było niewiele lepiej: dzień i noc obrywał w skórę, ale przynajmniej mógł się od czasu do czasu wyciągnąć na czymś, co się nie kołysało i nie trzęsło. Czego on się tam natrzył! Ludzi okładanych po stopach (te bydlaki mówią na to bastinado), aż siniały i krwawiły. Po czymś takim już nigdy nie można normalnie chodzić. A jak który próbował uciec, to go łapali i końmi przeciągali po cierniach i kamieniach, aż się wykończył. Innego znów pocięli żywcem na kawałki: najpierw odcięli mu ucho, potem palec i tak po kolei, aż biedak umarł, krzycząc. Wszystko przez to, że nienawidzą chrześcijan jak psów ci mahometanie. Najprzyjemniej im, kiedy widzą, jak cierpią. Jednemu nawet udało się wyrwać, ale w czasie szamotaniny za-

bił nadzorcę. Jak go w końcu dorwali, to... Lepiej by dla niego było, gdyby się im postawił, bo by go od razu załtukli, a tak zrzucili biedaka z murów miejskich, a on, spadając, nadział się na jeden z wystających szpikulców, specjalnie po to tam wmurowanych, i tak wisiał z przebitym udem i bokiem, męcząc się straszliwie, bo nie mógł się ruszyć w żadną stronę. Wrony go dziobały, a do tego miejscowe kobiety zaczęły w niego ciskać kamieniami i śmiały się, jak któryś ranił go do krwi.

Przerwał, żeby nabrać oddechu i miał mówić dalej, gdy Rob, licząc, że uda się zamknąć temat, pośpiesznie wtrącił:

- Zaiste prawdziwi barbarzyńcy.

- A i owszem. Gwałtowną naturę mają i brutalną, a to przez gorącą krew i olbrzymi apetyt.

Rob zauważył, że przysłuchuje im się jeszcze jeden człowiek, który właśnie podszedł i oparł się o burtę, ostatecznie pozabawiając Roba jakiegokolwiek drogi ucieczki. Spotkał się z nim przelotnie u Hardwicke'a i Buckle'a, ale kiedy zaczęli poruszać z Killigrewem poważniejsze tematy, Roba wyproszone do innego pokoju. Nawet w tak krótkim czasie zdołał na nim zrobić niekorzystne wrażenie. Sam nie wiedział dlaczego, wszak na pozór był to człowiek wesoły i bezpośredni, ale w jego spojrzeniu było jakieś wyrachowanie, mimo że chętnie patrzył ludziom w oczy i skwapliwie deklarował przyjaźń. Nazywał się William Marshall. Rob się zastanawiał, czy nie jest jakoś spokrewniony z Johnem Killigrewem, ponieważ obaj mieli podobnie pociągłe twarze i te same chłodne, niebieskie oczy. Marshall był jednak starszy, chyba że szorstka, poorana bruzdami twarz to wynik wieloletniego wystawiania jej na działanie słońca i morskiej wody.

- Pan często podróżował w tamte strony, sir? - zagadnął go Rob, bardzo chcąc skierować rozmowę na nieco mniej dramatyczne tory.

- Odbyłem cztery czy pięć rejsów do Berberii i za każdym razem przysięgałem sobie, że to ostatni raz - odpowiedział, skubiąc siwą brodę. - Klimat paskudny, a mieszkańcy jeszcze

gorsi, ale można się dorobić majątku i ja zamierzam to prędzej czy później uczynić, zostawiając sobie jeszcze parę lat na to, żeby się nim nacieszyć. Tak, nawet wśród tych mętów Afryki, jak to ujął Marlowe.

- Marlowe?

Marshall łypnął wymownie na marynarza.

- On naprawdę nic wie, kro to był Christopher Marlowe, najwspanialszy dramatopisarz, jakiego wydała nasza ojczyzna?

Marynarz wzruszył ramionami.

- Chłopak jest młody, jak się rodził, Marlowe już dawno leżał w grobie.

Marshall westchnął.

- I co tu mówić o nieśmiertelności. - Odwrócił się do Roba i rzekł tonem mentora: — „Przeklęta zgraja piratów z Algieru, ten rój włóczęgów, te męty Afryki”* Dobrze to ujął nasz Kit. Poczytaj któreś z jego dzieł, jak ci wpadnie w ręce, dobrze ci to zrobi. — Przybrał wojowniczą pozę i zaczął melodyjnie recytować:

Na próżno, widzę, czci się Mahometa.

Miliony Turków wystąpiłem do piekła

Tym oto mieczem; zabijałem jego

Kapłanów, krewnych, przyjaciół, a przecież

*Żyję i nie tknął mnie nawet Mahomet**.*

I zamaszystym ruchem nabił Roba na szpic niewidzialnej szabli.

- Ech, ryle już lat nie występowałem na scenie - westchnął. - Cóż to były za czasy. Cudowne. Jakże oni klaskali, kiedy Tamerlan spalił świętą księgę mahometan i zatańczył na zgłiszczach!

* Cytaty z *Tamerlana Wielkiego* Christophera „Kita” Marlowe'a w tłumaczeniu J. Kydryńskiego, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1977.

** Ibid.

- U nas w Kornwalii ludzie nie czują potrzeby chodzenia do teatru - odparł sztywno. - Ale jestem pewien, że okazalibyśmy więcej szacunku dla świętego pisma, choćby było nie nasze.

- Boże uchroni, żebym kiedykolwiek trafił na prowincję! Nie dziwię się, że John większość czasu spędza w Londynie. Jeżeli wasze kobiety są tak samo święte jak ty, to nic tam po nim.

- Zawsze słyszałem, że wyżej ceniono Szekspira od Marlowe'a - wtrącił się marynarz, nie chcąc być wykluczony z rozmowy.

Marshall wykrzywił twarz.

- Stary Will był mięczakiem, zawsze się podlizywał tym, którzy akurat byli u władzy. A te sztuki - jakie przegadane! Przecież niektóre monologi... Nigdy nie mogłem spamiętać tych cholernych kwestii. Zawsze trochę improwizowałem.

- Wystawiali kiedyś *Tytusa Andronikusa* - przypomniał sobie marynarz. - Bardzo mi się podobało.

- Tutaj tylko próbował ogólnie uchwycić charakter tamtych czasów - odparł lekceważąco Marshall. - Nie, Kit lepiej sobie radził z ukazywaniem okrucieństwa. Jego *Tamerlan* czy *Żyd* nie mają sobie równych. Chociaż i Tourneurowi muszę oddać, że wiedział chłop, o co w tym chodzi. Kyd też miał dobre momenty.

- O tak, jego *Tragedia hiszpańska* była świetna - rozmarzył się marynarz - Ale zeszłego roku byłem obejrzyć *Renegata* i tak mnie znudziło, że po godzinie wyszedłem.

- To napisał Massinger, nie Kyd - sprostował Marshall znużonym tonem znawcy.

Rob miał coraz większy mętlik w głowie, ale wiedział, że jakoś trzeba się dogadywać z nowymi towarzyszami, więc wtrącił:

- Słyszałem, że w *Otelli* występuje Maur.

- A, tak - rozpromienił się marynarz. - Czarny jak smoła, ale poślubił białą dziewczynę. Zgodzicie się chyba, że to wbrew naturze. A potem dał sobie wmówić, że żona go zdradza, więc ją udusił.

- Jak to? - wzburzył się Rob. - Przecież to niesprawiedliwe!
- Niesprawiedliwe... - prychnął Marshall. - Takie jest życie, chłopcze. Pewnie już zdążyłeś się o tym przekonać przez te... Ile masz lat, dwadzieścia?

- Dwadzieścia trzy.

- No, to jesteś jeszcze młody, ale powinieneś już wiedzieć, że nie warto tracić głowy dla jakiejś panienki.

Rob zaczepnie uniósł podbródek.

- Co pan ma na myśli?

- John wspominał, że dołączyłeś do naszej wyprawy z szalonym zamiarem uratowania jakiejś dziewczki porwanej przez berberyjskich korsarzy.

- To nie jest żadna dziewczka - zaperzył się Rob.

Teraz marynarz się zainteresował.

- Opowiadaj, bracie! Coś mi się zdaje, że ta historia jest więcej warta niż te wszystkie teatralne bajki.

Marshall poczerwieniał aż po czubki uszu.

- Zajmij się lepiej swoją robotą - skarcił ostro marynarza.

- To temat dla dżentelmenów.

Tamten spojrzął na niego ze znaczącym uśmiechem

- E tam, gadanie. W tych sprawach wszyscy równi. Baby to suki, choćby i satyną, i jedwabiem okryte, a chłopcy to psy, które tylko patrzą, gdzie by tu wsadzić. Tak było, jest i będzie, ale skoro uważacie, że w mojej obecności nie czujecie się w pełni dżentelmenami, już mnie tu nie ma.

Marshall odprowadził go wzrokiem, po czym nachylił się do Roba.

- Na twoim miejscu dałbym sobie spokój. Te dzikusy mają nieokiełznany apetyt, zwłaszcza jak zobaczą kawałek białego mięska. I równie chętnie zadowolą się dziewczką, jak i chłoptasiem. Twoja narzeczona pewnie już dawno sponiewierana, więc po co ten rycerski gest? Chcesz wziąć udział w wyprawie, proszę bardzo. A jeśli dopisze nam szczęście i po drodze złupimy jakiś hiszpański galeon, dostaniesz nawet swoją dolę. Mamy listy ka-

perskie od króla, więc wszystko będzie jak najbardziej legalne. A potem będziesz sobie mógł kupić tyle urodziwych dziewczek, ile zechcesz, i wrócisz do domu jako bohater.

- To moja narzeczona - skłamał Rob, zaciskając zęby z wysiłku, żeby nie wybuchnąć i nie walnąć go w nos. - Przystałem, że ją uratuję albo zginę.

Marshall wzruszył ramionami.

- Prędeż to drugie.

- Zabierze mnie pan ze sobą, jak uzgodniliśmy z Sir Johnem?

- John widocznie miał swoje powody, żeby mi cię tu podrzucić. Przyłącz się, jak chcesz, ale nie oczekuj, że będę za ciebie nadstawiał karku. Będzie wystarczająco niebezpiecznie, żebym jeszcze musiał niańczyć jakiegoś gamonia.

Rob zmarszczył brwi.

- Skoro robicie interesy z tymi ludźmi, dlaczego nie możemy po prostu wpłynąć do portu?

Doświadczony kapitan uśmiechnął się, ale ten uśmiech nie obejmował oczu.

- Nie, młodzieńcze, to za duże ryzyko. Tam działa kilka zwalczających się nawzajem frakcji, więc duży brytyjski statek z cennym ładunkiem na pokładzie stanowiłby dla nich ogromną pokusę. Od czasu tej cholernej wyprawy Mansella na Algier, każdy statek z angielską banderą, jaki tylko pojawi się na tych wodach, staje się obiektem ataku. John Harrison, który przypłynął tu z wyprawą kilka miesięcy temu, musiał przybić aż do Tetouan, a potem przejść piechotą w ciężkim terenie pięćset mil w przebraniu muzułmańskiego pielgrzyma!

Rob nie miał pojęcia, kim byli Mansell i Harrison, ale pokiwiał głową, jakby to było oczywiste.

- I co, udało mu się dotrzeć na miejsce?

- Tak. Ten to ma zawsze szczęście. Chyba podpisał pakt z diabłem. Przypłynął z błogosławieństwem króla, żeby spróbować uwolnić choć część z około tysiąca angielskich niewolników przetrzymywanych w Sale, ale wrócił z pustymi rękami.

- Tysiąca? - Rob był przerażony.

Marshall spojrział na niego z ukosa.

- Turcy od wielu lat napadali na nasze kutry i okręty handlowe i porywali tych biedaków, ale nikt nie kiwnął nawet palcem, żeby coś z tym zrobić. Po wybrykach króla Jakuba w skarbcu zabrakło środków na zbudowanie porządnej floty wojennej. Jego syn jest nie lepszy, jeśli chodzi o gospodarowanie pieniędzmi. No, a teraz znowu marny kolejną wojnę z Hiszpanią, więc zmieniły się priorytety. Harrison to typ samotnego podróżnika, robi to dla własnej chwały, choć śmiem podejrzewać, że nieźle zarabia na boku dzięki łapówkom, „opłatom” i nie wiadomo czemu jeszcze. Ale zawsze powtarzam, że wojna stwarza dodatkowe możliwości tym, co mają głowę na karku. - Mrugnął do Roberta i stwierdził, że idzie do kambuza na kolację.

Tej nocy Rob nie mógł zasnąć. Skoro agent królewski nie był w stanie sprowadzić porwanych do kraju, to jakie on ma szanse? Wygląda na to, że pakuje się w sam środek piekła zamieszkanego przez stada potworów i fanatyków. Przeraziła go ta perspektywa. Jakże to różne od spokojnego życia w Kenegie, gdzie najgorsi kryminaliści, z jakimi można się zetknąć, to zdesperowany złodziej owiec próbujący wyprowadzić parę sztuk z zagrody albo wędrowny hochsztapler, który za pomocą swoich sztuczek usiłuje wyciągnąć od człowieka całą wypłatę w pubie. Rob nawet nie umie władać szablą, chociaż zabrał jedną ze sobą. W rolniczej Kornwalii taka umiejętność rzadko się przydaje. Jakby co, jest w stanie skutecznie się obronić gołymi pięściami albo kijem. A nuż Marshall, który wydaje się mieć dość sprytu i doświadczenia, pomoże mu dokonać tego, co nie udało się innym? Sięgnął do sakiewki, którą miał zawieszoną na szyi i wyjął pierścionek po babci, ten sam, który Cat wcisnęła mu z powrotem do ręki, mówiąc, żeby poczekał z tym na lepszy moment. A jakież może być lepszy niż ten, w którym odbije ją z rąk piratów? Jako wieczny optymista zacisnął pierścionek w dłoń i ukojony tą myślą zasnął.

Nazajutrz marynarze minęli po ciemku Sale i płynęli jeszcze kawałek przy brzegu, aż znikły ostatnie światła świadczące o ludzkiej egzystencji. Potem zarzucili kotwicę i Marshall poszedł obudzić Roberta.

- Wstawaj i natrzyj sobie tym twarz - polecił, podając mu garnuszek z jakąś cuchnącą mazią - a tym owiń głowę, żebyś zakrył te blond włosy. I trzymaj miecz w pochwie. Nie możemy pozwolić, żeby jakiś odblask nas zdradził. Teren, na który wchodzimy, jest pełen różnych rzezimieszków. Zabierz ze sobą tylko najniezbędniejsze rzeczy i zawiń w tobołek, który będziesz mógł nieść na plecach. Musimy się poruszać szybko i sprawnie.

Po tych słowach wyszedł, a Rob ze ściśniętym żołądkiem przystąpił do wykonywania poleceń. Papka z popiołu chrześcijała pod palcami, kiedy nacierał nią twarz, a materiał na turban uparcie nie chciał się poddawać jego niewprawnym dłoniom. W końcu jakoś go założył i wyszedł na pokład. Tam czekała na nich pierwszy oficer i jeszcze jeden marynarz. Razem z nimi wsiedli do szalupy, którą wcześniej spuścili na wodę i energicznie powiosłowali w stronę długiej fali przybojowej zmierzającej ku czarnemu, płaskiemu brzegowi. Rob wyczuwał ich strach; też mieli wrażenie, że zbliżają się do krainy szatana.

Zęby Marshalla błysnęły bielą w świetle księżyca, kiedy skrzywił się do Roba, mówiąc:

- Najgorsze to przybijanie do brzegu. Nienawidzę być mokry.

Dno łodzi zaszurało na kamieniach. Rob i Marshall wysiedli i ruszyli przed siebie. Ubranie od razu nasiąkło wodą, która była niespodziewanie zimna. Chwilę później Robert obejrzał się za siebie, ale pozostali dwaj mężczyźni już płynęli w stronę majaczącej w ciemności sylwetki statku. Nie było więc odwrotu. Spojrzał na wybrzeże Maroka, legendarnej krainy, o której słyszał tylko z ust starych wilków morskich, w gospodach w Penzance snujących opowieści o piratach i poganach, klnąc i spluwając na przemian.

Marshall sporo go wyprzedził. Brnął przez fale z opuszczoną głową, zipiąc jak dobijane zwierzę. Rob próbował dotrzymać mu kroku. Woda najpierw sięgała mu do połowy ud, potem do kolan, aż zamieniła się w płytkie rozlewisko, które ledwie przykrywało mu bury. Wreszcie wyszli nu suchy ląd. Kamienie na plaży chrzęściły pod nogami, z każdym krokiem wysyłając sygnał potencjalnym złoczyńcom, którzy być może czaili się na nich w ukryciu, schowani wśród skał lub za majaczącymi w oddali drzewami.

Nagle pas kamieni się skończył i przed nimi znów pojawiła się woda.

- Psiakrew! - zaklął Marshall. - Wysadzili nas po złej stronie tej cholernej rzeki! Z morza to wybrzeże wygląda wszędzie tak samo, zresztą ci durnie i tak nie umieją czytać map. Równie dobrze mogli nas wyrzucić za burtę, bo czy tu się utopimy, czy tam, to żadna różnica.

Laguna okazała się jednak płytka, bez przeszkód pokonała ją w bród. Dalej rozciągały się mokradła porośnięte trzcina. W ciszę nocy wdarł się brutalnie chór oburzonych żab i łopot skrzydeł spłoszonej pary siewek. To już zupełnie wyprowadziło londyńczyka z równowagi.

- Jasne - wycedził - powiedzcie wszystkim, że tu jesteśmy. Chryste Panie, jak ja nie cierpię takich miejsc! Zasypciez to ludzic piachem i zabudujcie! Co za pożytek z takiej ziemi, po której nie można przejść, żeby nie ugrzęznąć po kolana w błocie. I jeszcze jakieś niejadalne paskudztwa będą się wydzierać, że włazimy na ich teren.

Rob niemal całe dzieciństwo spędził, penetrując zarośnięte trzcina mokradła nieopodal Market- Jew. Wiedział, że istnieją miejsca znacznie gorsze. Na przykład mroczne zaułki Westminster. Znalazł kawałek deski i posługując się nią jako sondą, zdołał wyprowadzić ich z bagna. Grunt nadal był grząski, musieli przedzierać się przed gęstwiny sitowia i omijać cuchnące bajora zarośnięte glonami. Rob poczuł nagle bolesne ukłucie w łydce. Po chwili także z tyłu uda. Od razu wiedział, co jest przyczyną:

pijawki. Na szczęście przezornie zabrał ze sobą krzesiwo, ale nie mógł ich teraz przypalić. Nie tutaj. Od tej pory przy każdym kroku miał wrażenie, jakby całe stado tych stworzeń wczepiało się swymi miniaturowymi szczękami w jego skórę.

Mordowali się tak przez godzinę albo dłużej, potem musieli przemierzyć wielką, ponurą pustynię solną, aż w końcu, gdy na horyzoncie czerwieniły się pierwsze promienie wschodzącego słońca, dotarli do stromego skalistego wzniesienia porośniętego krzakami.

- Niech to diabli! - zaklął Marshall. - Musimy zdążyć się schować wśród drzew, zanim całkiem się przejaśni, bo inaczej nas wystrzelają jak kaczki. W lesie Marmora roi się od wszelkiego rodzaju wyrzutków i uciekinierów z niewoli, którzy bez pytania poderznąliby ci gardło.

Zaczęli się wspinać. Po wielu tygodniach bezczynności na statku nogi bolały w proteście przeciw tak brutalnemu traktowaniu. Rob czuł, jak od początku rejsu zwiotczały mu mięśnie z powodu marnego jedzenia i braku ruchu. Zaczął zostawać w tyle, więc przestał myśleć o bólu, o ciężącym na plecach tobołku, objijającej się o udo szabli, do czego nie był przyzwyczajony, i przyspieszył kroku. Gdyby zgubił Marshalla, straciłby szanse przeżycia, nic mówiąc o powodzeniu misji. Zorientował się, że od pewnego czasu maszeruje w rytm jakiegoś wierszyka z dzieciństwa, który cały czas chodzi mu po głowie.

*Kiedyś umrę, spocznę w grobie,
Kości w proch rozsypią się,
Więc zostawiam coś po sobie,
By ktoś czasem wspomniał mnie.*

Te proste rymy towarzyszyły mu całą drogę na szczyt. Dopiero później, gdy siedzieli pod drzewem, Marshall studiował prowizoryczną mapę, a Rob zdążył usunąć pijawki (siedem sztuk) oraz opróżnić buty z wody, chwastów i jednej zgniecionej

żaby, przypomniał sobie, skąd zna ten wierszyk. To Catherine jako mała dziewczynka wyhaftowała go na swoim wzorniku, uznając widocznie ten ponury temat za bardzo zabawny. Wiśnięł potem na ścianie w korytarzu obok jej pokoju w skrzydle dla służby w Kenegie. Ileż to razy stawał przed nim i wpatrywał się w te niewprawne, wykonane dziecięcą ręką ścięgi, zanim odważył się zapukać do drzwi? Ujrzał to teraz przed oczami tak wyraźnie, że prawie się rozpłakał z żalu.

- Czy mogę wiedzieć, jakiego rodzaju interesy łączą nas z tymi ludźmi? - zagadnął w końcu Marshalla.

- Nie - uciął krótko tamten. - To sprawa wyłącznie między przedstawicielami kompanii a naszymi partnerami handlowymi. Tobie nic do tego.

- A czy ja nie jestem także przedstawicielem kompanii, zważywszy, że pełnię funkcję konwojenta pana i dokumentów, które pan wiezie?

- Coś ci się pomyliło, młodzieńcze. Nigdy nie pojmę, dlaczego John uznał, że będę potrzebował ochrony jakiegoś wiejskiego przygłupa. Jeśli o mnie chodzi, jesteś tu zaledwie tolerowany, więc lepiej skończ z tymi durnymi pytaniami, bo osobiście cię zaszlachtuję i oszczędzę zbójom roboty.

Rob zamilkł i gapił się na swoje buty parujące w słońcu. W końcu nie wytrzymał.

- A mógłbym zadać jeszcze tylko jedno, ostatnie pytanie? W jaki sposób wydostaniemy się z Sale, jeżeli w ogóle dotrzemy tam w jednym kawałku?

Marshall westchnął.

- Za pięć dni „Róża” będzie krążyć u wybrzeży Sale, czekając na mój sygnał. Wtedy podpłynie najbliżej, jak się da, żeby można było wsiąść na pokład.

Rob musiał się zadowolić tą lakoniczną informacją. Marshall złożył mapę, wsunął ją do worka i kazał mu zakładać buty.

- Tutaj musimy się poruszać bezszelestnie, więc gęba na kłódkę. I patrz pod nogi, bo pełno tu dziur, pniaków i wszela-

kich pułapek. Ten rejon zamieszkują mało sympatyczni ludzie. Niektórzy tu mieszkają, inni szukają schronienia, a jeszcze inni, jak my, tylko tędy przechodzą. Wszyscy jednak mają powód, by się tutaj ukrywać, i najczęściej jest on natury, oględnie mówiąc, kryminalnej. W lesie nie obowiązuje żadne prawo, z wyjątkiem prawa przetrwania.

- Wydaje mi się - rzekł Rob, analizując słowa Marshalla - że mimo wszystko lepiej by było, gdybyśmy nie zważając na te różne frakcje, wpłynęli do portu na pełnych żaglach z armatami gotowymi do strzału.

- Robercie Bolitho, jesteś niezwykle naiwnym młodzieńcem. Spróbuję ci to wyjaśnić. Z wielu różnych powodów nie możemy być widziani w tym gnieździe piratów. Przede wszystkim dlatego, że gdyby ktoś tylko szepnął w Anglii słówko o naszych transakcjach, a tu nie brakuje takich, którzy mają rozległe znajomości w całej Europie, najpewniej wylądowalibyśmy na stryczku. Teraz rozumiesz?

Rob patrzył na niego w osłupieniu.

- Boże - powiedział. - W co ja się wpakowałem?

- Mówiłem, trzeba było dać sobie spokój i zostać w domu.

- Cóż, kiedy za późno. Jestem stracony - rzekł ponuro Robert.

ROZDZIAŁ 27

Cóż, *kiedy za późno. Jestem stracony - rzekłem do niego. Wtedy Jeszcze nie wiedziałem, jak bardzo źle to wszystko się skończy.*

- Ciekawe, do kogo to pisał - odezwałam się, odkładając kartkę na stół obok pozostałości po śniadaniu. Siedzieliśmy na tarasie przy starym, rozchwanym stoliku, który wstawił tam Idriss. Ogromny *wypłowiasty parasol* ogrodowy osadzony w betonowej podstawie chronił moją bladą angielską cerę przed porannym słońcem.

- A to nie jest pamiętnik?

- Wygląda raczej na fragment listu. Widzisz te poszarpane krawędzie na całym obwodzie? Nie ma też śladów zszycia ani zniekształceń tekstu jak przy kserowaniu książki. Dziwne. Użyto też innego rodzaju papieru niż na ten drugi list, do Arthura Harrisa. I pismo takie jakieś drobniejsze, staranniejsze.

- Może list do pracodawcy pisał w pośpiechu?

- Albo w młodości... - przygryzłam wargi. - Więc myślisz, że Robert Bolitho naprawdę popłynął do samego Maroka, żeby uwolnić Catherine?

- Na pewno miał taki zamiar. I widocznie mu się udało, bo inaczej książka nie znalazłaby się z powrotem w Anglii.

Westchnęłam.

- Jakie to romantyczne. To chyba jednak musiała być bajka.

- Jednego nie rozumiem - zmarszczył brwi Idriss. - Skoro osiągnął cel, to dlaczego napisał, że to wszystko się bardzo

źle skończyło? Pewnie poślubił Catherine, a ona okazała się być złą żoną i go unieszczęśliwiła. Może go zdradzała, była okrutna albo go porzuciła. W tej historii kryje się coś, czego jeszcze nie wiemy.

- Mhm - mruknęłam wymijająco, z niechęcią myśląc o implikacjach tego faktu.

Pamiętnik Catherine urywał się dość niespodziewanie wśród natłoku szczegółów opisujących codzienne życie w rezydencji. Przeczytałam, że „każdego dnia przychodziły do domu mieszkanki kazby i wspólnie wyszywałyśmy. Miałyśmy do dyspozycji jedwabne nici we wszystkich barwach, jakie znane są człowiekowi. Nigdy nie widziałam tylu cudownych kolorów, chyba że w ogrodzie Lady Harris w Kenegie”. Albo: „Hasna nauczyła mnie przyrządzać danie, które nazywają »ozdobioną twarzą«, cokolwiek to mogło być. Pisała o sukni, którą sobie **uszyła, o tym**, jak z kamienia kupionego na targu własnoręcznie zrobiła czernidło do oczu i jak nauczyła się pierwszych słów w ich języku. To były fascynujące informacje dla historyka, ale ja, co przyznaję ze wstydem, byłam głęboko sfrustrowana i zawiedziona. Brnąc przez te opisy naszpikowane obcymi słowami, doszłam do wniosku, że chyba jej się spodobał żywot niewolnicy w Sale. O ile rzeczywiście nią była, bo udzielanie lekcji hafu w bogatym zapewne domu, bez dodatkowych, uciążliwych obowiązków, stanowczo kłóciło się z moimi wyobrazeniami o życiu, jakie mogło czekać kobietę w jej położeniu. A najbardziej mnie zirytowało, że nie znalazłam tam ani słowa o tym, co się stało, gdy nagle pojawił się Rob, aby ją zabrać z powrotem do Kornwalii.

- Mam wrażenie - nie ustępował Idriss - że ten twój Michael może mieć w ręku brakujące elementy układanki.

Ja to wrażenie podzielałam i z tego powodu miałam mieszane uczucia. Kserokopie miały być wabikiem, Michael chce odzyskać książkę i wykorzystał listy Roberta, żeby mnie skłonić do spotkania. Nie chciałam mu oddawać pamiętnika, ale strasz-

nie chciałam poznać drugą stronę tej historii. Mimo wszystko jeszcze nie byłam na to spotkanie gotowa.

Zmieniłam temat.

- O której jesteście umówieni z Khaledem?

- Będzie na nas czekał o drugiej w kawiarni przy dworcu.

Spojrzałam na zegarek. Dochodziło wpół do jedenastej.

- A co będziemy robić do tego czasu?

- Pokażę ci targ, na którym być może bywała Catherine, i miejsca, gdzie się wychowywałam.

Włożyłam dzinsy i ciemnoniebieską dzelabę, którą Idriss przyniósł mi wieczorem, ale z chustą to już nie umiałam sobie poradzić. Zwyczajnie miałam za dużo włosów i nie chciały się pod nią zmieścić. Próbowałam wetknąć końcówkę z tyłu pod ubranie, ale wystarczyło, że poruszyłam głową, a wszystko się ześlizgiwało. W końcu *wyszedł* mi z tego jeden wielki supeł z wyłazającymi zewsząd włosami.

- Niech to szlag - mruknęłam ze złością i w rej samej chwili zobaczyłam w drzwiach jakiegoś obcego faceta w niebieskim turbanie i szarej szacie, który w milczeniu mi się przyglądał. Dobrze trzy sekundy zajęło mi uzmysłowienie sobie, że ta egzotyczna postać to Idriss.

- Pozwól, że ja to zrobię - powiedział, biorąc ode mnie chustę. - Mam kilka siostr, więc zdążyłem nabrać wprawy.

Poczułam muśnięcie jego dłoni na karku - nie wiem, czy przypadkowe - potem dotyk miękkiej bawełny, i po chwili moja głowa była zgrabnie owinięta materiałem.

Tak przebrana pokazałam się światu.

Medyna tętniła życiem; był to dziwny tygiel ludzi, zwierząt i pojazdów. W chwili gdy się wydawało, że wkraczamy w uliczkę tylko dla pieszych, zza rogu wyjeżdżał, trąbiąc, rozpędzony skuter i wszyscy musieli się rozpłaszczać na ścianach domów. Nie wiem, jak osły mogą znosić takie upokorzenia, ale one najwyraźniej podchodziły do tego ze stoicyzmem:

stały cierpliwie, trzymane przez właściciela na postronku lub przywiązane do słupa, podczas gdy dokładano im jeszcze więcej ciężarów na grzbiet albo do wózków.

Marokańscy obecni na targu nie podzielali tej filozofii. Mijaliśmy stragan, przy którym kobieta wydzierała się na sprzedawcę, ponieważ przed chwilą uciął z beli parę metrów materiału. Bałam się, że zaraz chwyci tę belę i mu przyłoży, bo gwałtownie wymachiwała rękami, a on się uchylał, jakby przez ciosem. Idriss zauważył, że się przyglądam.

- Drobne nieporozumienie co do ceny - zaśmiał się. - Stary numer: zrobić awanturę, kiedy materiał jest już ucięty, i rzucić winę na sprzedawcę. Teraz ona się obrazi i odejdzie, zostawiając biedaka z głową w dłoniach, a za kilka minut wróci i łaskawie zaoferuje mu połowę ceny.

- I on jej sprzeda? - Byłam zbulwersowana.

- Oczywiście. I tak zaśpiewał jej dwa razy więcej, niż to jest warte, więc oboje odejdą zadowoleni.

Pokręciłam głową. Moim zdaniem to bardzo stresujący sposób prowadzenia interesów, ale sporo mówi o charakterze tego narodu. W Maroku bowiem wszystko się opiera na bliskich relacjach międzyludzkich, w przeciwieństwie do powściągliwej Anglii, gdzie raczej króluje dystans. Nikt tu się nie wstydzi okazać uczuć. Widziałam, jak dwaj mężczyźni całowali się na powitanie, a potem szli, trzymając się za ręce.

- To są bliscy przyjaciele - tłumaczył Idriss - ale nie w takim sensie, jak rozumiecie to wy, Europejczycy. Tutaj bardzo ceni się przyjaźń. Kiedy ktoś cię pyta, jak się miewasz, to naprawdę chce wiedzieć, nie jest to tylko zdawkowa formułka.

Uśmiechnęłam się.

- A więc, jak się dzisiaj miewasz, Idrissie el-Kharkouri?

Staął w miejscu i spojrzał na mnie.

- Julio Lovat, zanim zadasz mi takie pytanie, upewnij się, że naprawdę chcesz usłyszeć odpowiedź.

Odwróciłam wzrok, oblewając się rumieńcem.

Przez jakiś nie odzywaliśmy się do siebie. Mijaliśmy stoiska pełne miejscowych produktów, stragany z rękodziełem, cukierki i kafejki. Skręciliśmy za róg i natknęliśmy się na starego człowieka, który wyłożył swój towar na czarnej płachcie. Wokół tłoczyła się grupka zaciekawionych mężczyzn. Wyciągnęłam szyję, żeby zobaczyć, co tam ma, a wówczas jeden z tych ludzi odwrócił się i spiorunował mnie wzrokiem. Kilku jego towarzyszy zrobiło to samo, aż w końcu Idriss odciągnął mnie na bok.

- Czemu się tak na mnie gapili? Myny mieli raczej groźne.
- Nie chcą, żeby kobieta poznała ich męskie tajemnice.
- Co on sprzedaje? — dopytywałam się. - Powiedz, chcę wiedzieć.

- Lekki na impotencję, afrodyzjaki, środki na przedłużenie... doznań. - Roześmiał się. - La merde de la baleine.

- Co?
- Odchody wieloryba. Wieloryby podobno mają bardzo duże... no wiesz. Ludzie przez analogię wierzą w ich działanie.

- Ale jak, u licha, zdobyć wielorybie... Ach, rozumiem. To naciągacz.

- Prawdopodobnie to zwykła glina, ale klientów chyba nie brakowało. Spryciarz. Al hamdullilah.

- I handluje tym tak otwarcie, w miejscu publicznym? Myślałam, że seks to u was temat tabu.

- Masz o nas jakieś dziwne pojęcie. Czy ty wiesz, że według Koranu mężczyzna ma obowiązek zadowolić swoją żonę?

- Naprawdę? Jaka fajna religia.

Po tej rozmowie atmosfera się rozluźniła i w dobrych humorach powędrowaliśmy dalej. Idriss pokazywał mi różne niezwykłe rzeczy na straganach: srebrne „dłonie Fatimy” służące do odpędzania uroków, spryskiwacze do wody różanej, piżmo i ambre. U pewnej starszej pani kupił mi kawałek granatowej skały z metalicznym połyskiem. Sprzedawczyni starannie go zawinęła w kawałek gazety.

- To kohl - wyjaśnił. - Ten sam, który pewnie kupowała tu Catherine. Moja siostra nauczy cię go używać.

Pokazał mi kolorową ceramikę wytwarzaną w Safi, innym portowym mieście, leżącym bardziej na południe. Sprzedawca, bezżębny starzec, serdecznie się z nim przywitał. Kiedy odeszliśmy kawałek, Idriss wyjaśnił:

- Jak byłem mały, przychodziłem tu co sobotę z samego rana i pomagałem mu odpakowywać talerze.

- T a k ci się podobały? Interesujesz się ceramiką?

Wyszczrzył zęby.

- Nie, tylko niektóre były zawinięte w kartki wyrwane ze starych komiksów, bandes dessinées. Ojciec nie pozwalał mi ich trzymać w domu. Był bardzo surowy. Uważał, że Koran to jedyna odpowiednia lektura dla sześciolatka. Na pewno nie spodobałyby mu się dekadentkie przygody Rodeo Ricka, Pifa czy Asteriksa i Obeliksa. Zasiadałem z tymi obrazkami na zapleczu stoiska i zapominałem o całym świecie, a moi bracia tymczasem musieli recytować w domu wersety ze świętej księgi.

Przy Rue des Consuls trafiliśmy na istne zagłębienie stoisk z dywanami. Bogactwo wzorów i kolorów przyprawiało o zawrót głowy. Patrzyłam, jak sprzedawca zamaszystym gestem rozwija kilka kobierców przed parą turystów, którzy nieopatrznie przystanęli, żeby pooglądać, a tymczasem znaleźli się w pułapce. Mnie jeszcze nikt nie próbował nic sprzedać, co w pierwszej chwili przypisywałam onieśmielającej obecności Idrissa, ale zaraz sobie przypomniałam, że mam na sobie dżelabę i hidżab, dzięki czemu mogę się swobodnie poruszać po bazarze przez nikogo nienagabywana. Z pewnym poczuciem wyższości obserwowałam, jak dwoje Europejczyków - ona w modnej sukience i sandałach od Prady, on z lekkim brzuszkiem, ubrany w jasne spodnie i błękitną letnią koszulę - usiłują się wywinąć niestrudzonemu kupcowi. Za chwilę włączył się w to zamieszanie drugi sprzedawca, rozrzucając przed nimi swoje dywany. Było ich chyba z dziesięć. I jak tu teraz odmówić? Jeden z dy-

wanów spadł na stopy kobiety, która gwałtownie uskoczyła do tyłu i łapiąc równowagę, uchwyciła się ramienia męża, jednocześnie zwracając ku niemu wystraszoną twarzą.

To była Anna.

A właściwie Anna i Michael, złączeni ze sobą w geście obronnym niczym symbiotyczna dwugłowa istota. Michael otaczał żonę władczo-opiekuńczym ramieniem, choć sprawiał wrażenie równie bezradnego wobec tej sytuacji.

Na moment odebrało mi oddech. Potem instynktownie zacisnęłam rękę na ramieniu Idrissa.

- Uciekamy stąd, szybko!

Obróciłam się i pociągnęłam go za sobą, aż znaleźliśmy się poza murami medyny przy ruchliwej i hałaśliwej obwodnicy.

- Co się stało?

Musiałam wyglądać nieszczególnie, bo wziął mnie pod rękę i zaprowadził do jakiegoś budynku. Drzwi były otwarte. W środku wyglądało to na opuszczoną recepcję małego hoteliku. Idriss podszedł do tylnych drzwi i zawołał. Po kilku sekundach zjawił się młody mężczyzna w dżinsach i koszulce Manchester United. Uściskali się.

- To kolejny z moich braci, Sadiq - uśmiechnął się szeroko Idriss. - A to jest Julia Lovat. Dobrze by jej zrobiła szklanka herbaty, z dużą ilością cukru. Da się coś zorganizować?

Sadiq spojrział na mnie z zachwytem, bąknął coś do brata i zniknął na zapleczu.

- Mówi, że masz oczy jak Lady Diana - powiedział Idriss, prowadząc mnie do ukrytej w kącie, słabo oświetlonej części holu, gdzie stały sofy i ława.

- Bez przesady. Po prostu są niebieskie.

Idriss przyglądał mi się poważnie przez chwilę.

- Nie. Tu chodzi o całą twoją angielskość. To bardzo... egzotyczne.

Egzotyczne? Do tej pory to ja tak o nim myślałam. Dziwnie jest sobie uświadomić, że to może działać i w drugą stronę.

- Ty bezwstydnym pochlebco - pogroziłam mu palcem. - Powinieneś sprzedawać olej z węża i wielorybie odchody razem z tym szarlatanem na suku.

- Wezmę to pod uwagę, jak mi się znudzi jeżdżenie tak-sówką.

Przyszedł Sadiq i przyniósł nam tacę z herbatą. Idriss z dużej wysokości rozlał do szklaneczek złocisty płyn, który wpadał do nich niczym miniaturowy wodospad, a następnie wypił jednym haustem, ani słowem nie skarżąc się na niezdrowe ilości cukru.

- A teraz mi wyjaśnij, dlaczego tak nagle uciekłaś. - Moja mina musiała wyrażać wszystko, bo zaraz dodał: - Idiota ze mnie. No jasne, zobaczyłaś Michaela.

Schyliłam głowę.

- T a k .

Zachmurzył się.

- Ale przecież się rozglądałem. Jak mogłem go nie zauważyć?

- Stał przy jednym ze stoisk z dywanami.

- Była tam jakaś para... Kobieta niewysoka, ciemne włosy, bardzo elegancka.

- To Anna. Jego żona. - Zobaczyłam, że moje ręce luźno oparte na kolanach zaczynają drżeć i wmówiłam sobie, że to na pewno efekt wzrostu poziomu cukru w organizmie.

Idriss pochylił się nad stołem i uniósł mi brodę.

- Julio, myślę, że powinnaś mi wszystko dokładnie opowiedzieć. Czuję, że w tej sprawie chodzi o coś więcej niż jakąś starą książkę.

I tak ze wzrokiem wbitym w stół wyrzuciłam to z siebie: opowiedziałam mu o przyjaźni z Anną, potajemnym romansie z jej mężem, ciągłej panice, że ktoś się o nas dowie, strachu przed porzuceniem i wreszcie o rym, jak ten związek wpłynął na ostatnie siedem lat mojego życia. Długa historia zdrad i moralnego tchórzostwa. Ani razu przez ten czas nie spojrzałam na Idrissa.

Nie byłam w stanie, bo do tego wszystkiego niespodziewanie sobie uświadomiłam, że bardzo mi zależy na tym, co ten człowiek o mnie myśli. Jak i kiedy to się stało? Zaraz jednak ogarnęła mnie przerażająca pewność, że po tym, co usłyszał, straci dla mnie wszelki szacunek.

Kiedy zakończyłam spowiedź, zaległa cisza. Poczułam, jakby między nami wyrosła gruba szklana ściana. Po kilku sekundach, które zdawały się trwać wieczność, zaryzykowałam i podniosłam wzrok. Idriss jednak nie patrzył na mnie, lecz chłodnym wzrokiem wpatrywał się w kolorowe szyby za moim plecami, jakby wolał być na zewnątrz, w gorącym, czystym morskim powietrzu, zamiast tkwić w tej gęstej atmosferze w towarzystwie kobiety, która zdradziła każdego, kto cokolwiek w jej życiu znał, i w konsekwencji straciła wszystko, łącznie z szacunkiem do samej siebie. Co sobie musi teraz myśleć? Człowiek, którego życie regulują jasne zasady, który zrezygnował z własnych egoistycznych pragnień (w moim kraju uchodzących za podstawowe prawa każdego faceta: kariery, zarobków, które mógłby przeznaczać na swoje zachcianki, żony i dzieci), aby pomóc owdowiałej matce i młodszemu rodzeństwu? Wedle standardów kultury, w której ja się wychowałam, posiadał niewiele, lecz jakże dużo we wszystkich sprawach, które naprawdę się liczą.

- Potwornie mi wstyd - odezwałam się po cichu.

Powoli skierował na mnie wzrok. Czy mi się wydawało, czy dojrzałam w jego oczach cień pogardy?

- Musimy już iść - powiedział obojętnym tonem. - Khaled na nas czeka.

Przez resztę popołudnia nie odezwał się do mnie ani słowem.

Kawiarnia, w której się umówiliśmy, mieściła się przy Rue de Baghdad, zaraz za dworcem głównym. Khaled okazał się być niskim, pulchnym człowieczkiem po pięćdziesiątce, o gładkiej, pozbawionej zmarszczek twarzy i roziskrzonych, pełnych pasji

oczach. Miał na sobie białą gandorę, a na głowie zupełnie niepasującą do niej zieloną bejsbolówkę z napisem ASS. Chwycił mnie za ręce i serdecznie nimi potrząsnął. Widząc, że mimowolnie zerkam na czapkę, zachichotał.

- Podoba się pani? Moja ulubiona - odezwał się doskonałą angielszczyzną, lekko tylko zabarwioną akcentem. - Noszę ją specjalnie, żeby konsternować swoich amerykańskich studentów. Uważają, że to bardzo zabawne. To skrót od Association Sportive de Sale. C'est rigolant, no?

Idriss zdobył się na wąty uśmiech, natomiast ja pokiwałam głową, wdzięczna za to chwilowe rozluźnienie atmosfery.

- Jak już wspominałem przez telefon - zaczął Idriss, jakby chciał czym prędzej przejść do rzeczy i załatwić sprawę — Julię interesuje twoja opinia na temat pewnej książki. - Przeszedł na arabski i zaczął mówić w szybkim tempie, a na twarzy Khaleda malował się coraz większy wstrząs. W swej paranoi wyobraziłam sobie, że Idriss powiedział mu, iż siedząca przed nim, niewinnie wyglądająca kobieta w hidżabie jest tak naprawdę niewierną cudzołożnicą, istotą pozbawioną moralności; że podejrzanym sposobem weszła ona w posiadanie skarbu, na który nie zasługuje; że powinni jej tę książkę odebrać, a ją samą odesłać do kraju, z którego przybyła i gdzie takie zachowania są na porządku dziennym. Czułam, że znów się czerwienię.

- Mogę ją zobaczyć? - zapytał Khaled.

Idriss odchylił się do tyłu, oparł na krześle i zapalił papierosa. Jego rola się skończyła.

Wydobyłam z torby *Skarbczyk hafciarki* i podałam Khaledowi. Na jego widok zaświeciły mu się oczy. Rozłożył na melaminowym blacie stolika serwetkę, jakby się bał, że wszystkie rozlane przez lata kawy, wysypany cukier i popiół wnikną przez osmozę między *stronice* i sprofanują zawartość. Potem z namaszczeniem położył na niej pamiątnik Catherine, niczym świętą relikwię. Dotknął skórzanej oprawy, przesunął palcem po grzbiecie, wreszcie otworzył go i zaczął czytać.

- Incroyable. - Cztery sylaby tego słowa zabrzmiały oddzielnie, a „r” dramatycznie zawibrowało.

- Czy to autentyk? - spytałam.

Przed prawie dwie i pół godziny siedziałam cichutko jak myszka. Starałam się nie patrzeć na Idrissa, tylko popijając nieznośnie mocną kawę, obserwowałam profesora. Czytając, co jakiś czas obracał książkę to w jedną, to w drugą stronę, raz wyjął lupę, innym razem podręczny słownik. Cmokał i pomrukiwał pod nosem, zdejmował czapkę i drapał się w głowę, mamrotał coś po arabsku, to znów po francusku, rzucił też kilka słów do Idrissa, ale ten mi nie przetłumaczył. Czasem się śmiał i cofał o kilka stron, jakby szukając odniesienia. Wreszcie spojrzął na mnie z szerokim uśmiechem.

- Pyta pani, czy autentyk?

- A może idealnie podrobiony falsyfikat?

- Mon cher Julia, ma pani w rękach prawdziwy zabytek.

- Przepraszam, czy może pan to rozwinąć?

- Z tego co się orientuję, nie istnieje na świecie, w żadnym języku, relacja kobiety porwanej przez korsarzy z Salé w tym wczesnym okresie ich działalności, zanim utworzyli niezależną republikę. A fakt, że najprawdopodobniej została spisana własnoręcznie, czyni z tej książki prawdziwy unikat. Sidi a l - Ayyachi to postać historyczna, dość dobrze udokumentowana, a sam w trakcie badań natknąłem się na wzmianki o jego namiestniku zwanym Qasem bin Hamed bin Moussa Dib, więc zobaczyć, że jest tu opisany, to doprawdy fascynująca rzecz.

- Jak się nazywał? - spytałam.

- Qasem bin Hamed bin Moussa Dib, nazywany w legendach Dżinem albo Szakalem (dib po arabsku to właśnie szakal albo lis), ewentualnie „Człowiekiem z Andaluzji”. Prawdopodobnie był jednym z hornacheros, czyli andaluzyjskich Maurów wygnanych z Hiszpanii przez Filipa III. Według przekazów, całą jego rodzinę wymordowała Inkwizycja, a on wrócił do Rabatu. Korsarskiego fachu uczył się po okiem samego Jana Jansza, sła-

wetnego Holendra znanego także pod imieniem Murat Reis, gdy ten był admirałem floty z Sale. Później zostały wybrany na raisa, czyli dowódcę floty, i walczył jako al-ghuzat, wojownik w świętej wojnie przeciwko wrogom Proroka. Ta książka zawiera informacje, o których nikt nie miał pojęcia, na przykład, że był bliżej związany z osławionym angielskim piratem Johnem Wardem niż z Janem Janszem, że poprowadził flotę ku brytyjskim wybrzeżom w tysiąc sześćset dwudziestym piątym i że był człowiekiem znacznie bardziej cywilizowanym i skomplikowanym, niż wynikałoby z legend.

- Mówi pan o nim z takim szacunkiem, a przecież to był okrutny pirat.

Khaled się uśmiechnął.

- To samo mógłbym powiedzieć o waszym Robin Hoodzie czy Francisie Drake'u. A już na pewno o Ryszardzie Lwie Serce. Ktoś, kto jest bohaterem w jednej kulturze, dla innej jest złoczyńcą. Wszystko zależy o punktu odniesienia. Historia to bardzo plastyczny materiał i zwykle piszą ją zwycięzcy.

- Jak zawsze wolałam Saladyna - stwierdziłam.

- Kolejny słynny al-ghuzat. I w przeciwieństwie do waszego Ryszarda, bywał miłosierny dla pokonanych.

- A jeśli chodzi o haft, czy jest możliwe, żeby Cat uczyła tej sztuki miejscowe kobiety?

Khaled rozłożył ręce.

- Obawiam się, że w tej sprawie nie jestem ekspertem. - Nachylił się. - Ten pamiętnik się jednak dość gwałtownie urywa. Zna pani dalsze losy Catherine Anne Tregenny?

- Historia ma swój dalszy ciąg. - Pokazałam mu kserokopie, które Michael zostawił w ryzdzie.

Khaled spojrział, przeczytał, odwrócił na drugą stronę.

- A gdzie reszta? Nie możecie mnie zostawiać w takiej niepewności. Ten młody człowiek przypłynął tu za nią i co? Udało mu się ją wykupić? Wróciła z nim do kraju?

- Nie wiem - przyznałam.

- No to musimy się dowiedzieć! Bardzo chciałbym przeczytać relację tego... - raz jeszcze zerknął na pierwszą kartkę - Roberta Bolitho.

- Oryginały listów ma mój znajomy.

- Ha, czyli sprawa jest prosta. Doskonale. Nie mogę się doczekać, żeby je zobaczyć. A tymczasem, pani Julio, zapytam **Z** ciekawości: co pani zamierza zrobić z tą książką?

Zawahałam się.

- Jeszcze nie wiem. A co powinnam, pańskim zdaniem?

Oczy profesora zapłonęły.

- To prawdziwy skarb, dający wyjątkowy wgląd w historię mojego kraju. Byłoby straszne, gdyby gdzieś zniknęła. Przyznam, że chętnie bym ją poddał dalszym badaniom, uczynił **te** matem publikacji naukowej, może nawet wydał książkę...

Przynajmniej był szczery.

- Na razie — powiedziała ostrożnie — mogę panu udostępnić kserokopię, dopóki nie postanowię, co z nią zrobić.

- Świetnie - rozpromienił się.

Znaleźliśmy punkt ksero niedaleko Ministerstwa Sprawiedliwości. Ja czekałam na zewnątrz, siedząc na chodniku w popołudniowym słońcu, a Khaled w tym czasie z niezwykłą ostrożnością człowieka, który ma na co dzień do czynienia ze starodrukami, robił odbitki. Idriss też wyszedł, oparł się o drzwi, wypalił nerwowo papierosa, zerknął na mnie i już chyba miał coś powiedzieć, ale zrezygnował i wrócił do środka.

Wreszcie Khaled oddał mi pamiętnik Catherine i podaliśmy sobie dłonie na pożegnanie.

- Pozwoli pani, że podam swój numer telefonu, żeby mogła się pani ze mną skontaktować, kiedy podejmie decyzję, dobrze?

- Dobrze - uśmiechnęłam się. Oboje wyjęliśmy komórki. Włączyłam swoją, jednocześnie dyktując Khaledowi mój numer. Na wyświetlaczu ukazało się logo operatora, a po chwili informacja, że mam siedem nieodebranych połączeń.

No to pięknie. Do tego były trzy SMS-y, dwa od Michaela, a jeden - serce mi zamarło - od Anny. Na razie je zignorowałam, wpisałam do pamięci numer Khaleda, zablokowałam klawiaturę i schowałam telefon do torby.

- Zadzwoń na pewno - powiedziałam i usunęłam się na bok, żeby panowie mogli się pożegnać.

Kiedy Khaled zniknął nam z oczu, Idriss odwrócił się do mnie i zniemacka spytał:

— Co teraz?

To były pierwsze słowa, jakie do mnie skierował, odkąd opuściliśmy miejsce pracy jego brata. Słońce prażyło niemiłosiernie i poczułam nieprzyjemne pulsowanie w głowie. Wyszliśmy na Aleję Mohammeda V i dopiero gdy się zbliżyliśmy do dworca, zdołałam poskładać w głowie odpowiedź.

- Wszystko schrzaniłam, przyznaję. I wiem, że teraz mną gardzisz, czemu się wcale nie dziwię, ale ja naprawdę zamierzam wszystko naprawić. - Zrobiło mi się dziwnie niedobrze.

Spojrzałam na Idrissa, ale stał pod słońce, więc nie mogłam dostrzec wyrazu jego twarzy. Następne co pamiętam, to że zakręciło mi się w głowie, zobaczyłam gwiazdki przed oczami i osunęłam się na ziemię.

- Julia!

Podniósł mnie i praktycznie zaniósł po schodach do hali dworcowej. Po chwili już siedziałam na pomarańczowym plastikowym krześle, a przede mną leżała wielka drożdżówka i butelka wody mineralnej.

- Ty dzisiaj nic nie jadłaś - powiedział z wyrzutem Idriss.

— Ty też nie.

- Ja jestem przyzwyczajony, do słońca też. Ale ty nie. Myślałem, że hidżab coś pomoże, ale dzisiejszy upał jest bezlitosny.

Prawie jak ty - pomyślałam, ale nie powiedziałam tego na głos.

Nadgryzałam drożdżówkę i na talerz posypało się kilka migdałowych płatków. Na tablicy za plecami Idrissa zobaczyłam,

że za kwadrans odjeżdża pociąg do Casablanki. Akurat zdążyłabym kupić bilet i uciec. Znowu. Kusząca myśl. Paszport i bilet na samolot miałam przy sobie, a w walizkach, które zostały w domu Idrissa, nie było nic, bez czego nie mogłabym się obejść. Przespałabym się w jakimś hotelu w Casablance, a jutro mogłabym odlecieć do Anglii i zaszyć się w nowym mieszkaniu. Tylko co potem? Moja przyszłość jawiła się jako wielka czarna dziura. Szczęściara z tej Catherine - pomyślałam. Miała kogoś, kto z miłości do niej przepłynął ocean, ryzykując życiem, aby ją odzyskać i poślubić. A nie ścigał ją przez pół kontynentu, w dodatku w towarzystwie swojej żony, żeby odebrać prezent, który jej podarował dla przypiecztowania końca romansu.

- Jestem ci winien przeprosiny - powiedziała nagle Idriss.

- To udar słoneczny - zaśmiałam się lekko. — Nie twoja wina.

- Nie o to mi chodzi. Chcę cię przeprosić za dzisiejszy dzień, za to, że się nie odzywałem, kiedy mi się zwierzyłaś. Powinienem być jakoś zareagować, ale nie wiedziałem, co powiedzieć. Obudziłaś we mnie pewne bolesne wspomnienia i zastydziłaś mnie swoją szczerością.

Przez chwilę myślałam, że zawiodła go znajomość angielskiego i chciał powiedzieć, że jest mu wstyd za mnie, ale zanim się zorientowałam, że jednak nie, Idriss zaczął wyrzucać z siebie słowa w takim tempie, że ledwie mogłam nadążyć.

- Kiedy Francesce skończył się kontrakt i musiała wyjechać, byłem załamany. Chciałem umrzeć. Przez jakiś czas wydawało mi się to najlepszym rozwiązaniem, ale jakoś dalej żyłem, jadłem, oddychałem. I choć jeszcze długo potem byłem cieniem człowieka, dzięki rodzinie nie rozsypałem się zupełnie. Po powrocie Franceski do Stanów byliśmy ze sobą przez jakiś czas w kontakcie. Mówiła, że ma zamiar rozwieść się z mężem i pytała, czy byłbym gotów wyjechać z Maroka i z nią zamieszkać. Poszedłem nawet do konsulatu dowiedzieć się o wizę, ale oczywiście powiedzieli, że nie mam szans. Samotny mężczy-

zna, muzułmanin, obywatel kraju, z którego pochodzi wielu radykalnych islamistów, chce nie wiadomo w jakim celu wyjechać do USA, i to tuż po wrześniowych zamachach? Sam bym sobie nic dał wiza. Oczywiście nie mogłem się nikomu przyznać do związku z Francescą. Była moim wykładowcą na uczelni, a poza tym mężatką. Podwójny skandal. Mogłem za to trafić do więzienia, a ona miałaby na zawsze zamkniętą drogę powrotu. No więc po tym wszystkim zrezygnowałem ze studiów i zacząłem jeździć taksówką, dzień w dzień od rana do wieczora. Żeby zapamiętać, ale też po to, żeby choć finansowo odwdziżyć się mojej rodzinie za wsparcie, jakie od nich dostałem. To było sześć lat temu. Sama widzisz, Julio, że bynajmniej tobą nie gardzę, bo sam doskonale wiem, jak to jest stracić dla kogoś głowę, i to w wybitnie niesprzyjających okolicznościach.

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Nie byłam specjalnie zbulwersowana, ale trochę zaskoczona, bo Idriss nie sprawiał na mnie wrażenia osoby, która może dać się ponieść namiętności. Wydawał się spokojny i powściągliwy, doskonale panujący nad sobą, pogodzony ze światem. Pozory jednak bardzo mylą. Zapominając, że znajdujemy się w miejscu publicznym, nachyliłam się nad stołem i położyłam mu rękę na ramieniu. Odkoczył jak oparzony.

Ludzie zaczęli się na nas gapić. Zaopiekować się omdłąłą kobietą to jedno, ale kiedy ta kobieta zaczyna publicznie wykonywać czułe gesty, to zupełnie co innego.

- Zanim zemdłałaś, powiedziałaś „zamierzam to wszystko naprawić”. Co miałaś na myśli?

Wyjęłam komórkę na stół.

- Nie mogę dłużej uciekać. Muszę stawić czoła pewnym sprawom i wynagrodzić ludziom krzywdy, jeśli to jeszcze możliwe.

Pierwszy SMS od Michaela brzmiał:

Czemu uciekałaś z hotelu? Gdzie jesteś? Odezwij się, proszę. M.

Drugi był bardziej gorączkowy:
Musimy pogadać. Pilne. Zadzwoń.

Oba usunęłam. Trzeci SMS był od Anny. Nie miałam ochoty go czytać, ale wiedziałam, że muszę. Przełknęłam ślinę i otworzyłam go:

Julio, wiem o wszystkim, ale ciągle jesteś moją przyjaciółką i koniecznie muszę się z Tobą zobaczyć. Mam Ci coś ważnego do powiedzenia i pokazania. Błagam, oddzwoń.

Pa, Anna

Łzy stanęły mi w oczach. Szybko je otarłam wierzchem dłoni. „Julio, wiem o wszystkim, ale ciągle jesteś moją przyjaciółką... Pa, Anna”. Czyli wiedziała. Wiedziała, że Michael ją zdradza i że robi to ze mną, a jednak po tym, co jej zrobiłam, zdobyła się na słowa, które bardzo *mną* poruszyły i przypomniały mi o dziewczętach, którymi kiedyś byłyśmy. Zrozumiałam, że przez cały ten czas bałam się nie tego, że Michael mnie zostawi, lecz że Anna odkryje, co jej zrobiłam. Mnie i Michaela trzymało przy sobie poczucie winy. Teraz, gdy wszystko już było jawne, dostrzegłam wyraźnie, jakie to były kruche podstawy. Nareszcie poczułam się wolna, jakby zdjęto ze mnie olbrzymi ciężar. Nie jestem bez winy, ale zrozumiałam, że zasługuję na coś więcej niż na faceta, który przez siedem długich lat potrafi się co rano uśmiechać do żony, potem wracać do niej wieczorem i kłamać, kłamać, kłamać...

Nie zwlekając, w obecności Idrissa zadzwoniłam do Anny i umówiłam się na spotkanie.

- Anna?
- Julia? Rany boskie, to ty?

Odruchowo dotknęłam hidżabu i szeroko się uśmiechnęłam.

- Ja . A to mój znajomy, Idriss.

Patrzyłam, jak Anna otwiera szeroko oczy, kiedy Idriss schyla się, by pocałować ją w rękę.

- Ravi de faire votre connassaince. Bienvenue a Rabat, madame - rzekł i zwrócił się do mnie: - Zaczekam w barze, dobrze? - I powiewając szatą, przemaszerował przez nowoczesne hotelowe lobby, wymieniając po arabsku przyjazne pozdrowienia z personelem. Wyglądał jak średniowieczny sprzedawca wielbłądów. Pokręciłam głową z uśmiechem. Czy on zna wszystkich w tym mieście?

Anna zamówiła dzbanek herbaty z dostawą do pokoju.

- Angielskiej - zastrzegła, zwracając się do mężczyzny za kontuarem. - Thé anglais, nie to miętowe świństwo. Najlepiej Twinings English Breakfast, jeżeli macie.

Potem wzięła mnie pod rękę i zaprowadziła na górę. Nie wiem dlaczego, ale podświadomie spodziewałam się tam ujrzeć Michaela. Na szczęście pokój był pusty. Uff.

- Co to za jeden? - zapytała Anna, zamykając drzwi. - Cholernie przystojny. Profil prawie jak męska Nefretete. Skąd go wytrzasnąłeś?

- Sam się wytrzasnął - bąknęłam wymijająco. Zapadła niezręczna cisza. W końcu się zmusiłam, żeby ją przerwać.

- Anno, posłuchaj, muszę to z siebie wyrzucić. Jest mi strasznie, strasznie przykro. Wiem, że po tym, co ci zrobiłam, same słowa nie wystarczą, ale mówię to szczerze.

- No tak, to nie jest coś, za co można po prostu przeprosić, prawda?

- Nie znajduję dla siebie usprawiedliwienia. Zniszczyłam naszą przyjaźń.

- Nie mówiąc o moim małżeństwie.

Zwiesiłam głowę.

- Julio, już to sobie wyjaśniliśmy z Michaeliem i szczerze mówiąc, nie mam ochoty do tego wracać. Rozumiem, że sprawa jest zamknięta?

Przytaknęłam skwapliwie.

- W takim razie nie ma sensu tego rozgrzebywać. Myślę, że czułam to od samego początku. Już wtedy, gdy go nakłaniałam do ślubu, miałam dziwne wyrzuty sumienia, jakbym ci go odbierała. Możliwe, że stworzylibyście szczęśliwszą parę. - Zaśmiała się gorzko. - Chyba nie byłoby trudno. Ale w końcu udało mi się wynieść coś pozytywnego z tej sytuacji.

- Druga szansa?

- Uhm. Można powiedzieć. Chociaż tak daleko bym się nie posuwała. Otóż, po wielu latach wreszcie udało mi się zająć w ciąży. Fizycznie mnie to kompletnie wykańcza, ale bardzo chcę tego dziecka, od dawna chciałam.

Przypomniałam sobie ją na dworcu w Penzance, bladą i wyczerpaną. A więc jest w ciąży. Z Michaelem. A on, wieczny tchórz, oczywiście nie miał odwagi wspomnieć mi o rym istotnym fakcie. O mało się wybuchłam śmiechem. Michael nigdy nie znosił dzieci, tego hałasu, bałaganu i nieustannego domagania się uwagi. Kiedy był ze mną, miał obsesję na punkcie antykoncepcji, Zawsze dokładnie sprawdzał prezerwatywy, a kiedy raz się zdarzyło, że nam pękła, zaciągnął mnie w środku nocy do apteki po tabletki awaryjne. Wredny głosik w mojej głowie podszepnął: „Dobrze ci tak”. Anna z typową dla siebie determinacją w końcu postawiła na swoim.

- Gratuluję, to wspinała wiadomość. - I mówiłam to szczerze.

- Odchodzę z wydawnictwa, zostanę wolnym strzelcem. Na razie podpisałam roczny kontrakt z pewnym czasopismem, a potem się zobaczy. Michael jest tym wszystkim przerażony.

- Kasa - rzuciłam, krótko i treściwie.

Zaśmiała się.

- T a k , w dużym stopniu.

- To dlatego chce odzyskać książkę. Podejrzewam, że można za nią dostać majątek, jeśli się zna odpowiednich ludzi.

- Nie, nie. Nie o to chodzi... - przerwało jej pukanie do drzwi. Poszła otworzyć. - Ach... to pan. - W jej głosie brzmiało zaskoczenie. - Dziękuję, nie trzeba było się...

- Ależ to żaden kłopot - odparł Idriss, wnosząc tacę z herbatą. Zerknął na mnie. - Chciałem tylko sprawdzić, czy wszystko w porządku.

Wysoki, w tym swoim stroju, wyglądał bardzo dostojnie. Posłałam mu uśmiech. W innych okolicznościach pewnie bym go uściskała. Dobrze, że Anna tam była.

- Nie masz powodu do niepokoju - powiedziałam.

Postawił tacę na stole.

- Obawiam się, że to Lipton, choć pewnie panią zapewniali, że Twinings. - Ledwo dostrzegalnie mrugnął do mnie, ukłonił się i wyszedł.

Anna odprowadziła go wzrokiem.

- Czy on tu pracuje? - spytała zaciekawiona.

- Nie - odparłam, szczerząc zęby w uśmiechu.

- Podejrzenie troskliwy.

- To bardzo... dobry człowiek.

- Julio, uważaj. Ciągłe słyszy się różne okropne historie o kobietach wiążących się z Marokańczykami, którym chodzi tylko o ich pieniądze i *brytyjski* paszport.

- Nie zawsze chodzi o pieniądze, Anno.

Przez twarz przebiegł jej nerwowy uśmiech.

- Wiem, przepraszam. Słuchaj, niech ta herbata sobie spokojnie naciągnie, a ja tymczasem coś ci pokażę.

Podeszła do stojaka na walizki i otworzyła swoją elegancką torbę podróżną firmy Mulberry. Rozsunęła zamek wewnętrznej przegródki i wyjęła zawiniątko opakowane w bibułkę. Położyła je na łóżku.

- Kiedy usłyszeliśmy od Alison, że w tej książce jest mowa o jakimś płótnie przedstawiającym Drzewo Poznania Dobra i Zła, przypomniałam sobie o pewnej pamiętce rodzinnej, którą odziedziczyłam razem z domem w Suffolk po siostrze mojej babci. Ona mówiła, że to było robione na zamówienie do kościoła św. Michała we Framlingham, ale nie zostało dokończone i nigdy nie było użyte. Chyba chodziło o to, że purytanie nie

przepadali za sztuką figuratywną ani jakimikolwiek ozdobami, które mogłyby odciągać uwagę wiernych od modlitwy. No więc pojechałam i przywiozłam...

Odwinęła bibułkę, ukazując pożółkłe białe płótno pokryte tu i ówdzie zgaszonymi barwami jesieni.

Serce podskoczyło mi do gardła, nie mogłam wydusić słowa. Ostrożnie rozwinęłam je do końca. Przede mną leżało niedokończone dzieło Catherine, rzecz nie z tej epoki, kontrastujące ze współczesną hotelową narzutą. Tylko część wzoru była wypełniona - misterny ornament ze splecionych liści i kwiatów, królik, para gołębi i jabłko, wszystkie przepięknie i realistycznie odwzorowane, a nad nimi samo drzewo pokryte listowiem oraz wąż owinięty wokół pnia z głową skierowaną ku Ewie, której długie włosy osłaniały smukłe nagie ciało. Po drugiej stronie widniała ledwie zaznaczona postać Adama. Tego już Cat nie zdążyła dokończyć. Mimo to całość robiła niesamowite wrażenie. Aż uklęknęłam.

- Antepedium dla hrabiny Salisbury...

- Jesteś pewna?

Wyjęłam z torby *Skarbczyk*. Otworzyłam go na stronie, gdzie znajdował się szkic projektu, i przyłożyłam do płótna.

Anna z rosnącym zachwytem spoglądała to na jedno, to na drugie. Delikatnie przesunęła palcem po konturach postaci Ewy na szkicu, a następnie na tkaninie.

- Fantastyczne. Niewiarygodne. A więc to rzeczywiście jest antepedium hrabiny. Oryginalny siedemnastowieczny gobelin.

- J a k się nie bałaś wieźć do Maroka tak cennej rzeczy w bagażu podręcznym!

Wzruszyła ramionami.

- Wiedziałam, że będę chciała cię prosić o pewną przysługę, a samo zdjęcie mogłoby nie wystarczyć, żebyś dała się przekonać. Poza rym wierzę, że los nade mną czuwa. Za dużo w tym było dziwnych zbiegów okoliczności.

- O co chcesz mnie prosić?
- Ty masz książkę, a ona stanowi świadectwo.
- Świadectwo?

- Świadectwo pochodzenia. Dla Muzeum Wiktorii i Alberta. Tego pragnęłaby ciocia Sappho. Mam koleżankę, która pracuje u nich w dziale wydawnictw i zna kogoś z działu tkanin. Bardzo się zapalili, żeby *to* obejrzeć. *Pomyślałam*, że byłoby dobrze, gdybyś pojechała tam ze mną i coś więcej im opowiedziała.

- Myślałam, że chcecie sprzedać książkę - powiedziałam powoli. - Michael stawał na głowie, żeby ją odzyskać. Wiesz, że przetrząsnął mi mieszkanie w Londynie? Potem pojechał za mną do Kornwalii i twierdził, że podarował mi ją przez pomyłkę, wreszcie wytropił mnie w Maroku i zostawił mi w hotelu groźnie brzmiący liścik...

- Przykro mi, nic wiedziałam. - Zacisnęła usta. - Co za wyczucie taktu. Dał ci ją „przez pomyłkę”? Typowe. Michael jest święcie przekonany, że dostaniemy mnóstwo pieniędzy za to antepedium, jeśli tylko udokumentujemy jego pochodzenie, a ja jakoś dotąd nie wyprowadziłam go z błędu. Mało tego, jeśli się potwierdzi, że to oryginał, obiecałam je przekazać Muzeum Wiktorii i Alberta za darmo, ale pod warunkiem, że je wystawią razem z dokładnym opisem historycznym. Michael, kiedy się o rym dowie, dostanie szału. - Zachichotała. Nagle do mnie dotarło, że równowaga w ich związku przechyliła się na stronę Anny i ona cieszy się każdą chwilą tej świeżo zdobytej władzy.

Coś jeszcze mnie tknęło.

- Anno, zawsze wiedziałam, że pochodzisz z dosyć zamożnej rodziny, ale... wiesz, to antepedium zostało podarowane Lady Williamowej Cecil, hrabinie Salisbury...

Roześmiała się.

- Lady Williamowej Cecil z domu Howard. Tak się składa, że to panieńskie nazwisko mojej mamy.

Wybałuszyłam oczy.

- Pochodzisz z Howardów? Tych Howardów? Jak Catherine Howard, księżę Norfolk i reszta?

- Tak, ale teraz to już piąta woda po kisielu. W swoim czasie byliśmy kimś, ale już nie jesteśmy właścicielami połowy Anglii. Mnie przypadł w spadku tylko ten dom w Suffolk po cioci Sappho, trochę pieniędzy i domek na wsi. Z tego co wiem, domek na St. Michael's Mount należał przez krótki okres do naszej rodziny, ale sprzedali go w czasie wojny domowej. Szkoda, pomieszkałabym sobie *nu* wypie.

- Więc jesteś bogata?

Delikatnie wzruszyła ramionami, nieco zażenowana moim pytaniem.

- Nie użyłabym tego słowa. Dobrze sytuowana, o tak.

- Czemu więc Michael tak się zawsze trzęsie o każdego pensa?

Spojrzała na mnie z zakłopotaniem i uśmiechnęła się.

- W naszej rodzinie nie wypada rozmawiać o takich rzeczach. To uchodzi za nieeleganckie. Michael niewiele wie o moim majątku.

Ten sknera był cały czas żonaty z dziedziczką! Roześmiałam się w głos.

- Wspominał, że macie kłopoty finansowe.

Teraz Anna wybuchła śmiechem.

- Michael jest przekonany, że dziecko nas zrujnuje. - Wzruszyła ramionami. - Powiedziałam mu, że jeśli jest tak źle, niech sprzeda mieszkanie w Soho. Był w szoku, nie podejrzewał, że o nim wiem. Ale ja wiedziałam od dawna. Wiele razy widziałam, jak wchodziliście i wychodziliście stamtąd. Na początku byłam załamana i nawet wpadłam w lekką paranoję. Śledziłam go.

Zamknęłam oczy.

- I nigdy nie pisałaś ani słowa.

Pokręciła głową.

- Mogłaś go rzucić, wyjść za innego, kogoś bardziej godnego siebie.

- Kawał drania z niego, co? Ale ja go kocham, Julio. Naprawdę. I nigdy nie przestanę. Nic na to nie poradzę, on jest moją piętą Achillesową, ale cóż, miłość nie wybiera, prawda?

Uśmiechnęłam się.

- Prawda.

Jeszcze raz pogładziłam dzieło Catherine. Było po prostu piękne, tym piękniejsze, że niedokończone. Pozostało zagadką, tajemnicą. Umysł zawsze będzie dręczyć myśl, co jeszcze mogło się tam znaleźć. Czy podobnie nie jest z miłością? Tak czy owak, jedną tajemnicę należało koniecznie wyjaśnić. Spojrzałam na Annę.

- Muszę wiedzieć, co się dalej działo z Catherine - powiedziałam.

W barze na dole Anna zamówiła drinki: po lampce wina dla siebie i dla mnie. Idriss zaskoczył mnie, prosząc o piwo.

- Znowu grzeszysz - zażartowałam, ale minę miał nietęgą.

- Wiem, dziś piątek. Może powinienem jednak wziąć mineralną?

W tym momencie do baru wpadł zdyszany i wkurzony Michael. Na błękitnej koszuli widniały wielkie ciemne plamy od potu. Prześlizgnął wzrokiem po dwojgu miejscowych siedzących przy stoliku i spostrzegł żonę stojącą przy kontuarze.

- Weź mi szkocką, najlepiej podwójną! - zażądał.

Barman najwyraźniej umiał rozpoznać człowieka w potrzebie, bo natychmiast odstawił butelkę z piwem, wziął whiskey i napełnił szklaneczkę.

- Buty mnie obtarły jak jasny gwint. Przeszukałem wszystkie hotele w tym pieprzonym mieście i nigdzie jej nie ma. Ani w...

- Cześć, Michael.

Obrócił się tak błyskawicznie, że połowa zawartości szklanki wychłapała mu się na buty.

- Dobrze ci zrobi na odciski — dodałam niewinnym głosem. Anna ledwo stłumiła śmiech.

Michael spojrział na mnie, potem na Idrissa i drwiąco się uśmiechnął.

- Widzę, że szybko się zaaklimatyzowałaś.

Idriss podniósł się z krzesła. Turban jeszcze dodawał mu wzrostu.

- Siadaj, Michael, i przestań robić z siebie widowisko - rzuciła ostro Anna. Potrafiłam sobie wyobrazić, jak zwraca się rym tonem do podwładnych, ale nigdy nie słyszałam, żeby zwracała się tak do męża. - To jest pan Idriss, znawca tego miasta i jego historii.

- Idriss el-Kharkouri - przedstawił się rzeczony. - La bes.
- Skłonił się i przyłożył dłoń do serca.

Michael przyjrzał mu się podejrzliwie, po czym odwrócił się do niego plecami.

- Gdzie jest książka, Julio? Specjalnie tu po nią przyjechałem.

- Julia i ja doszliśmy do pewnego porozumienia - oświadczyła spokojnie Anna. Podała mi kieliszek wina, a Idrissowi jego piwo, które przyjął ze słowami „shokran bezef”, dzielnie odgrywając rolę berberyjskiego przewodnika.

Michael zmrużył oczy.

- Jakiego znowu porozumienia?

- Gdzie są listy Roberta Bolitho? Nie mogę ich nigdzie znaleźć.

- Chyba nie myślałaś, że je zostawię na wierzchu w pokoju, żeby je jakiś Arab gwizdnął? Są bezpieczne w hotelowym sejfie. Zastrzegłem, że nikt oprócz mnie nie może ich wyjąć.

To był zupełnie nie ten sam Michael, którego jak mi się wydawało, znałam. Bardziej wredny i nerwowy. Ewidentnie zakłuło go, kiedy zobaczył mnie z Idrissem, i przyznam, że odczułam z tego powodu drobną, złośliwą satysfakcję.

- No to leć po nie - powiedziała Anna i odebrała mu szklankę z whisky, wycierając ją od spodu serwetką niczym butelkę z mlekiem dla niemowlaka. - Idź, idź. - Poczekała, aż po-

szedł, i nachyliła się do mnie: - Umówmy się tak: dam ci te listy, jeśli ty pozwolisz mi wziąć książkę, tylko na razie. Jutro mamy samolot do Anglii, a Michael bez książki nigdzie się nie ruszy. Obiecuję ci jednak, i niech pan Idriss będzie moim świadkiem, że pozostanie twoją własnością i będziesz z nią mogła zrobić, co tylko zechcesz. Jak wrócisz, znowu się wymienimy, ale pod warunkiem, że pojedziesz ze mną do muzeum potwierdzić autentyczność antepedium. Zgoda? - wyciągnęła rękę.

Idriss spojrział na mnie ostrzegawczo, ale uspokoiłam go nieznacznym skinieniem głowy. „Nic się nie bój, w porządku”. Potem uściśnęłam dłoń Anny.

- Zgoda.

Byłam w połowie kieliszka, kiedy sobie przypomniałam, że jeszcze o coś chciałam zapytać.

- A te listy... Gdzie jest właściwie znalazłaś?

- Na strychu u Alison. Ktoś je wsunął za okładkę kroniki rodzinnej. Zresztą, tam ich miejsce.

- Nie rozumiem.

- Jej mama jako panna chyba nazywała się Bolitho? Powinnaś wiedzieć, to twoja kuzynka. Zawsze mi się wydawało, że to dziwne nazwisko. Na studiach mieliśmy taką zabawę, wiesz którą: trzeba było stworzyć własną gwiazdę porno i dać jej imię po swoim pierwszym zwierzątku, a nazwisko po nazwisku panińskiego matki. Moja nazywała się Silky Pevsner, a jej Candy Bolitho. Nieźle, co? W każdym razie, nieważne, czy łączą ją, czy nie łączą z tym domem więzy rodzinne, postanowiła się wyprowadzić. Jest za duży dla jednej osoby.

Struchlałam. Pamiętam tę gęsią skórkę, kiedy pierwszy raz tam weszłam. Tę wszechogarniającą depresję. Wtedy myślałam, że jestem przesadna i wyczuwam obecność ducha Andrew, ale co, jeśli tam był ktoś jeszcze? Aż się wzdrygnęłam, nie chcąc już o tym myśleć.

- To gdzie będzie mieszkać?

- Zamierza odkupić ode mnie domek w Mousehole. Zakochoła się w nim i zawarłyśmy umowę: ja jej go sprzedam ta-

nio, a ona da mi listy. - Uśmiechnęła się łobuzersko. - Na razie wprowadziła się tam jako najemca, dopóki nie dopełnimy wszystkich formalności i nie dokończymy remontu.

Nie zdążyłam zapytać o nic więcej, bo zjawił się Michael z kopertą w rękę. Wyglądał na jeszcze bardziej zmordowanego niż przedtem.

- Boże, ci ludzie nie znają słowa po angielsku.

- Dlatego, kochanie, że wszyscy mówią po francusku. Słuchaj, Julia zgodziła się wymienić książkę na listy.

Michael spojrział na mnie zaskoczony.

- A, to dobrze. - Sterczał chwilę nad stołem, zdezorientowany, jakby ktoś wytrącił mu nagle broń z ręki. Potem usiadł, otworzył kopertę i wyjął z niej kilka kserokopii oraz plik pożółkłych i poplamionych kartek pokrytych starannym charakterem pisma. Nawet z daleka rozpoznałam drobne pismo Roberta Bolitho.

- No to dawaj - powiedział, oddzielając kopie od oryginałów i podsuwając mi te pierwsze.

Anna cmoknęła z niezadowoleniem. Sięgnęła ręką i zabrała mu papiery, oryginalne listy wsunęła do koperty, kopie złożyła i oddała mu z powrotem, a kopertę wręczyła mnie.

- Co ty, do cholery, wyprawiasz! - ryknął Michael.

- Uczciwa transakcja - uśmiechnęła się słodko. - Teraz poproszę o książkę, Julio.

Ze smutkiem sięgnęłam do torby i wyjęłam *Skarbczyk hafciarki*. Czule pogładziłam jego delikatną okładkę, przesunęłam kciukiem po tłoczeniach na grzbiecie, dotknęłam delikatnego przebarwienia z tyłu, które powstało, gdy kuzynka raïsa próbowała go spalić.

- Zegnaj, Catherine - szepnęłam.

- Au revoir - poprawiła mnie Anna.

Uśmiechnęłam się do niej.

- Do zobaczenia w Londynie. Wracam za kilka dnia. Zadzwoń do ciebie.

Ścisnęła mnie za rękę.

- Koniecznie, moja droga.

I odsunęła się, przyciskając książkę do piersi jak tarczę.

Podniosłam się z krzesła. Idriss podał dłoń Annie, a ona obdarzyła go uśmiechem.

- Było mi bardzo miło pana poznać. Mam nadzieję, że się jeszcze kiedyś spotkamy.

- Enchante, madame. A la prochaine, inch'allah.

Potem zwrócił się do Michaela swoją najlepszą angielszczyzną:

- Mam nadzieję, że podobał się panu ten krótki pobyt w hotelu mojej kuzynki i że wizyta w Maroku czegoś pana nauczyła. Nasza kultura szczyci się swoją gościnnością i życzliwym podejściem do innych, ale mamy prawo domagać się obcięcia języka każdemu, kto nastanie na nasz honor bądź honor kogokolwiek z naszej rodziny. - Nikły uśmiech, który przemknął mu przez twarz, nie dosięgnął oczu.

Może to kwestia oświecenia, ale wydawało mi się, że Michael lekko pozieleniał na twarzy.

Kiedy wyszliśmy na zewnątrz, zmrużyłam oczy przed słońcem i spojrzałam na Idrissa.

- To prawda z tym ucinaniem języka? Wiem, że w Arabii Saudyjskiej, gdzie obowiązuje szariat, obcina się ręce za kradzież, karze się chłostą za picie alkoholu, kamieniuje kobiety za cudzołóstwo i robi inne okropne rzeczy, ale sądziłam, że Maroko jest bardziej liberalne?

Idriss zaciągnął mnie w boczną uliczkę, nachylił się i pocałował mnie w usta, bardzo krótko, ale bardzo intensywnie.

- Za to mógłbym zarobić miesiąc więzienia - powiedział.

Wcale nie wiedziałam, czy żartuje, czy mówi poważnie.

ROZDZIAŁ 28

Rob
1625

Ten las był dziwny. W Kornwalii Rob znał każde drzewo i każdy krzak, wiedział, jak się nazywają, jak wyglądają ich kwiaty i kiedy pojawiają się owoce. Tutaj kora na drzewach była rudawa, chropowata, pokryta pionowymi bruzdami i szczelinami. Drzewa te tworzyły gęste, rozłożyste korony nieprzepuszczające zbyt dużo światła, więc podszycie było skąpe. Ale to oznaczało mniej miejsc, w których mogliby się czać złoczyńcy.

Szli jeden za drugim, Rob w ślad za Marshalllem. Pół dnia marszu minęło spokojnie. Pojedli sucharów i suszonego mięsa zabranych ze statku, popili wodą ze strumienia i dalej szli w milczeniu. Myśli Roba błądziły w rozmaitych kierunkach. Przypomniał sobie ostatnią rozmowę z Sir Johnem, niezbyt przyjemnie zakończoną.

- Dwie i koniec. Jak przywieziesz więcej, sam je sprzedam do niewoli! - krzyczał wściekły Killigrew, kiedy Rob jeszcze raz usiłował go przekonać, że powinni spróbować uwolnić tylu więźniów, ile zdoła pomieścić statek. Nie dał się przebłagać. Co powiedzą mieszkańcy, kiedy Rob wróci do miasta tylko z Catherine i jeszcze jedną osobą, kiedy porwano ich tak wiele? Wiedział z listu, że matka Catherine, Jane, nadal żyje, i czuł, że to właśnie ją powinien uratować oprócz swojej ukochanej, lecz im częściej o tym myślał, tym ciężiej mu było na duszy. Nigdy specjalnie nie lubił tej kobiety. Chłopakowi we dworze na pew-

no by z niego szydzili, że taki głupi i przywiózł sobie teściową heterę, która przy każdej okazji będzie go strofować i poniżać. Lecz co będzie, jeśli Catherine nie zechce płynąć bez niej? Nigdy nie uważał, żeby ich stosunki były nadmiernie zażyłe, ale jak to mówią, bliższa koszula ciału... O wiele bardziej wolałby uratować pocziwą, głupiutką Matty. Czyż nie nakazuje tego logika? Wszak Jane Tregenna nie jest już młoda, a przed Matty całe życie. Mogłaby je spędzić w porządnym chrześcijańskim kraju i wydać na świat dzieci, które jej Pan Bóg przeznaczył. Oczyma wyobraźni ujrzał ściągniętą, niezadowoloną twarz Jane i porównując ją z rumianym licem Matty, podjął decyzję. Ale wyobraźnia posunęła się jeszcze dalej: kiedy już będzie po wszystkim, Cat zapewne całym sercem zapragnie go poślubić, wdzięczna za to, że poświęcił się dla niej niczym rycerz z opowieści, którymi się zaczytywała. Sumienie go jednak gryzło. To grzech traktować cudze uczucia jak zapłatę. Jeżeli z takim celem przystąpił do wyprawy, to musi być wielkim niegodziwcem, bo wiem samo uwolnienie Catherine z pogańskiej niewoli winno być wystarczającą nagrodą. Zawładnęły nim znów opowieści o bohaterach: czyż nie mógłby się uznać za krzyżowca, który w imieniu świata chrześcijańskiego zadaje cios niewiernym? O, tak. To znacznie lepszy wizerunek i jego będzie się trzymał. Jeżeli będzie postępował jak człowiek bogobojny i kroczył ścieżką Pana, na pewno zasłuży sobie na nagrodę w niebie.

Nagle z korony drzew wyfrunął ptak, złowieszczo skrzecząc i wymachując długim ogonem.

Sroka: ptak, który wszędzie na świecie wróży coś niedobrego.

Marshall się odwrócił, złapał Roba za ramię i pociągnął na ziemię. Schowali się za powalonym pniem drzewa. Dało się słyszeć czyjeś głosy. Przez las cienkich, cuchnących grzybków wyrastających ze spróchniałego drewna, w odległości mniej więcej dwudziestu stóp Rob dojrzał poruszające się sylwetki. Nie było to łatwe, bo ich wzorzyste ubrania zlewały się z plamami słoń-

ca wpadającego przez listowie. Ale zwierzęta, które prowadzili, już nie miały takiego kamuflażu. Były to muły ciągnące wozy załadowane drewnem.

Rob po raz pierwszy widział tubylców. Na pierwszy rzut oka nie przypominali wcale potworów, nie wyglądali nawet na przestępców. Kiedy się zbliżali, po gestach i głośnych wybuchach śmiechu poznał, że opowiadają sobie sprośne żarty, jak to większość mężczyzn w swoim towarzystwie. Skórę mieli o kilka odcieni ciemniejszą niż Rob, lecz już niewiele ciemniejszą od rybaków, z którymi spotykał się w pubie w Market- Jew. Ci wydawali się tylko chudsi. Był trochę zawiedziony: prawdę mówiąc, spodziewał się dzikich czarnoskórych olbrzymów odzianych w dziwaczne *stroje* i wymachujących zakrzywionymi sztyletami, a to byli zwyczajni leśnicy, jakich można znaleźć wszędzie na świecie. Biedni ludzie, którzy muszą zarobić na życie i wykarmić rodzinę.

Przetoczyło się obok nich sześć wozów w towarzystwie piętnastu mężczyzn. Czterej ostatni trzymali miecze i zachowywali się czujniej niż reszta.

Marshall i Rob patrzyli za nimi, a potem londyńczyk odezwał się ciężkim głosem:

- Znaczy, że wiosną ruszą ku naszym wybrzeżom dwa następne pirackie okręty. Chodź, bracie, zbieramy się.

Zapadła noc, a końca lasu nie było widać. Rob leżał w prowizorycznym szałasie zrobionym z liści oraz patyków i śnił o Cat. Cat pobita do krwi. Cat martwa, wskutek choroby, głodu, wyczerpania, po szaleńczej próbie ucieczki. Cat leżąca w kałuży nieczystości. Cat z obciętą głową, a obok niej półnagi dzikus dzierzący w ręce szablę ociekającą krwią. Cat wleczona po ziemi przez parę koni, aż stała się nierozpoznawalna. Cat zwisająca na kolcu sterczącym z muru, roniąca w milczeniu krwawe łzy.

Obudził się o świcie i dalej wędrował za Marshalllem przez ten sam niekończący się, monotony krajobraz. Po południu

londyńczyk w pewnej chwili podniósł rękę i pokazał na lewo. Rob spojrział w tamtym kierunku. Na małej polance w plamie słońca drzemali dwaj mężczyźni owinięci po same głowy pelerynami. Zamiast oddalić się po cichu, Marshall skinął na Roba, aby szedł za nim. Potem się odwrócił i szczerząc zęby, wymownie przeciągnął palcem po szyi.

Robert z przerażeniem uświadomił sobie jego zamiar, lecz nim zdążył zaprotestować, londyńczyk zanurzył ostrze w ciele pierwszego mężczyzny, po czym wysunął je i wbił w drugiego.

- Popołudniami lubią sobie pospać - stwierdził zadowolony. - Leniwy naród.

Rob opadł na kolana. Jeszcze nigdy nie był świadkiem zabójstwa człowieka, co dopiero dwóch, i to z zimną krwią, popełnionym na śpiącym. Żółć wypełniła mu usta i musiał się odwrócić, żeby wymiotować.

Marshall wytarł ostrze miecza w pelerynę pierwszego z mężczyzn i schował do pochwy. Potem ściągnął z niego ubranie przez głowę, ukazując parę chudych nóg i posiwiałe przyrodzenie.

Rob spojrział z obrzydzeniem na Marshalla.

- To było morderstwo.

- Za delikatny jesteś do tej roboty, co? Lepiej, żebyś się szybko uodpornił. Pamiętaj, że oni nie mieliby skrupułów, żeby to samo zrobić tobie. A teraz wytrzyj głowę i pomóż mi. Zabierzemy im ciuchy i co tam się tylko da. - Przechylił głowę na bok i przyjrzał się zwłokom. - Weź lepiej tamtego, jest wyższy. W chałat byś się zmieścił, wszystkie takie same, ale w buty już nie.

- Nie włożę rzeczy po zmarłym — zaprotestował Rob.

- J a k chcesz. Przed wieczorem wyjdziemy z lasu na otwartą przestrzeń. Przy odrobinie szczęścia ujdiesz może milę, zanim dorwą się miejscowi i ukamienują. Twój wybór.

I tak po jakimś czasie z gęstwiny lasu Marmora wyłoniły się dwie postacie na mułach ubrane w długie szaty i turbany. Przed nimi rozciągały się dzikie, półpustynne tereny.

Rob uparł się zostawić pod spodem własną koszulę, więc pocił się niemiłosiernie i już zaczynał czuć pełzające po skórze i wgryzające się w ciało pchły i wszy, ale znosił te udręki z dużą satysfakcją. Stał obok i nie zrobił nic, kiedy dwóm ludziom odbierano życie, czuł się więc zbrukany na ciele i duszy.

Zdziwiło go, że po drodze nie zwracano na nich większej uwagi, bo miał wrażenie, że jego poczucie winy płonie na nim niczym pochodnia. Ale poza grupą obdartych dzieciaków, które obrzuciły zwierzęta pestkami z oliwek, kiedy przejeżdżali przez mały zagajnik, ludzie rzadko nawet odwracali głowy.

- Przekłete szczeniaki - warknął Marshall. - Ci ludzie mnożą się jak króliki, a potem wypuszczają bachory samopas na pole bez żadnej dyscypliny. Co się dziwić, że później wystają na darmożjadów i złodziei. Ryba zawsze psuje się od głowy. W tym zgniłym kraju brakuje porządnej władzy.

- Sir Henry Marten mówił, że mają tu jakiegoś sułtana, Mulaja... - odezwał się z wahaniem Robert. - Podobno król Karol miał wyprawić do niego swego wysłannika, żeby zabiegał o uwolnienie porwanych.

Marshall wybuchnął śmiechem.

- Mulaj Zidane. Nieudolny i słaby. Jego ojcem był Al-Man-sur zwany Zwycięskim, bo udało mu się przegnać z Maroka Portugalczyków, przy okazji wybijając im sześćset tysięcy wojska. Syn jest nikim w porównaniu z ojcem. To człowiek pozbawiony moralności, nie ma żadnego szacunku u poddanych, nawet wśród własnych korsarzy. Przestali mu oddawać należną część łupów i przy każdej okazji robią sobie z niego pośmiewisko. Dlatego my robimy interesy z tymi, którzy sprawują tu prawdziwą władzę.

- To znaczy, że ci piraci mają własnego króla? Wybrali sobie kogoś w miejsce sułtana?

- Ho, młodzieńcze - zmrużył oczy Marshall. - Piractwo to nie takie proste zajęcie. Rzekłbym, moralnie złożone.

- A cóż jest moralnie złożonego w rabowaniu i niewoleniu ludzi?

- Oni to postrzegają w nieco innych kategoriach. *Sidi* Mohammed a l - Ayyachi to bardzo charyzmatyczna postać, człowiek cieszący się powszechnym szacunkiem i posłuchem. Zdołał zebrać wokół siebie wielu podobnie myślących zwolenników. Stworzył potężną siłę bojową, opierając się na ludziach z różnych zakątków świata: renegatach z każdego niemal morskiego kraju Europy, fanatykach religijnych, zamożnych hornacheros, moryskach wygnanych z Andaluzji i Grenady przez króla Filipa - właściwie wszystkich, którym świat chrześcijański w jakiś sposób się naraził. Bardzo sprytnie to rozgrywa: pod szyldem świętej wojny kusi ich perspektywą zbicia majątku. Przecież złupić chrześcijański statek oznacza zwrócić bogactwa tej ziemi islamowi, na chwałę ichniego boga. A jeśli przy okazji paru chrześcijan zginie albo zmieni wiarę, to tym lepiej. Cel uświęca środki. Gdybyśmy w Anglii mieli takiego króla jak on, teraz pół świata należałoby do nas. On ma tysiąc razy więcej charyzmy niż ten dureń Jakub i jego nadęty syn razem wzięci. Stara królowa na pewno by doceniła a l - Ayyachiego. Pod wieloma względami są do siebie podobni: oboje świetnie znali się na ludziach i potrafili wykorzystywać ich słabości, żeby nimi manipulować jak pionkami w grze o wielką stawkę.

- Co to za potwór ten ich bóg, skoro żąda ofiar tak krwawych i kosztownych?

Marshall spojrzał na niego z politowaniem.

- Jak to? Ten sam co i nasz, bracie, Bóg Wszechmogący. Oni go tylko inaczej nazywają i inaczej czczą. Poza tym naszych religii wiele nie dzieli, prócz tysięcy lat rozlewu krwi!

Tego już było dla Roberta za dużo. Poczuli się, jakby ktoś wyrócił jego świat do góry nogami.

- Ale skoro służymy temu samemu bogu, to czemu ciągle toczymy ze sobą wojnę?

- A skąd się biorą wszystkie wojny? Z chciwości i żądzy władzy. I chęci narzucenia innym swojej wizji świata. Mnie to wszystko guzik obchodzi, oddałbym cześć i diabłu, gdyby to

miało służyć moim interesom, ale tobie dobrze radzę: jak już się znajdziemy w tym gnieździe piratów, lepiej trzymaj głowę spuszczoną i choćby nie wiem jak cię prowokowano, nie okazuj gniewu ani nie ujawniaj swoich poglądów. Inaczej za jednym zamachem stracisz z głowę, i narzeczoną, a wtedy to nawet ja ci nie pomogę.

Jechali dalej w prażącym słońcu. Dopiero później, kiedy przekraczali ogromne połacie skalistych nieużytków usianych rzadkimi kępami wyschniętej roślinności, niebo pokryły chmury i spadł delikatny deszcz. Po jakimś czasie ujrzeli przed sobą zbiorowisko niskich czarnych namiotów. Na skraju obozowiska pasł się uwiązany inwentarz, w tym stado dziwnych garbatych stworzeń, wielkich i brzydkich, z długimi szjami i chudymi kończynami. Przy namiotach siedziały kobiety i zajmowały się dziećmi, tkwały kolorowe sukna albo tłukły ziarna na kamieniach. Jedna z nich zauważyła parę wędrowców i ruszyła biegiem w ich stronę, podzwaniając bransoletami na rękach i nogach. Pasowała do wyobrażeń Roberta o egzotyce, odziana od stóp do głów w wielobarwne tkaniny poupinane broszami i szpilami ze srebra. Oczy miała obwiedzione grubą czarną kreską, co dodawało jej spojrzeniu ostrości. Na brodzie i czole miała tatuaże, a dłonie i stopy pokrywały misterne brązowe wzory.

Jedną z tych dłoni wystawiła do Marshalla jak po jałmużnę i coś zaczęła mówić. Ku zdumieniu Roba, Marshall wcale jej nie odpędził ostrym słowem, lecz wydobył z sakiewki jedną z monet, które zabrał zabitemu, i jej dał. Co jeszcze bardziej niezwykle, odezwał się do niej w dziwnym, chrapliwym języku, a ona mu odpowiedziała.

- Chodź - rzekł, schodząc z muła. - Dzisiaj się porządnie najemy i wyśpimy, a jutro wjedziemy do Sale.

- Kim są ci ludzie? - spytał wystraszony Rob. - Skąd pan wie, że nas w nocy nie pozabijają i nie zostawią wronom na pożarcie? I co to za paskudne garbate stworzenia?

Marshall klepnął go po plecach.

- To tacy sami wędrowcy jak my, nomadzi z pustynnych terenów na południu. Z całym dobytkiem przemierzają na wielbłądach pradawne szlaki karawan, sprzedając to, co wyhodują i wytwarzą, a i różne błyskotki, które uda im się zdobyć po drodze. Widziałeś, ile ta kobieta miała na sobie srebra? Nic się nie bój, gościnność to u nich kwestia honoru. Korzystaj, póki możesz. To ostatni przyzwoici ludzie, jakich tu spotkamy.

Rob obserwował złotą kulę zachodzącego słońca, które pozostawiało za sobą fioletowy słup światła sięgający ciemniejącego nieba. Bardziej na południe zaś chmury czerwieniły się, jakby rozpalone wewnętrznym ogniem, który stopniowo przygasał i szarzał, aż wreszcie zapadł zmrok i wzeszły gwiazdy. Rob miał brzuch pełen smacowej potrawy z duszonego mięsa - koziego, jak podejrzewał, lecz w niczym nieustępującego najlepiej nawet przyrządzonej baraninie. Do tego podano im miękkie, czarne owoce, które po pierwszym zaskoczeniu z każdym kęsem stawały się coraz smaczniejsze, oraz podpłomyki pieczone na kamieniach w ognisku. Słuchając śpiewów i śmiechu nomadów, Rob po raz pierwszy od opuszczenia Kornwalii odczuwał spokój i optymizm. Wygląda na to, że nie wszyscy cudzoziemcy to diabły, życie może być piękne, a dopóki on i Catherine żyją, wciąż jest nadzieja, że wszystko dobrze się skończy.

Nazajutrz rano wyruszyło wraz z nimi do Sale czterech pasterzy, którzy wieźli ze sobą spętane kozły przerzucone przez siodła jak worki. Inni podążali za nimi niespiesznie, ciągnąc resztę dobytku i towary na sprzedaż. Rob podejrzewał, że Marshall musiał im sypnąć groszem - grupa nomadów wjeżdżająca do miasta nie zwróci na siebie aż takiej uwagi jak dwóch samotnych podróżników, z których jeden jest wyjątkowo wysoki i ma niebieskie oczy.

W ciągu godziny ruch na szlaku znacznie się zagęścił. Pojawiały się wiejskie kobiety dźwigające na plecach ogromne kosze pełne ziół, rolnicy ciągnący wózki wyładowane warzywami, ubrane na czarno dziewczęta na osiołkach, siedzące bokiem na

cienkiej derce przerzuconej przez grzbiet. Od czasu do czasu nadeżdżali zbrojni na koniach i krzykiem nakazywali usunąć się z drogi, co też wszyscy czynili i to tak skwapliwie, że raz nawet jednemu przewrócił się wózek i wpadł do rowu. Cały ładunek rzepy i ziemniaków wysypał się na ziemię. Gdyby coś takiego zdarzyło się w Anglii, ludzie wyśmialiby nieszczęśnika i poszli sobie dalej, tutaj zaś wszyscy, mężczyźni, kobiety i dzieci, rzucili się na pomoc, pozbiali warzywa i z uśmiechem odłożyli je rolnikowi na wózek.

W miarę jak zbliżali się do miasta, krajobraz coraz bardziej się zmieniał. Suche, półpustynne tereny ustąpiły miejsca polom uprawnym i bujnej roślinności. Wzdłuż drogi siedziały kobiety obok wielkich piramid owoców, które Rob widział pierwszy raz w życiu.

- To są granaty, synu - objaśnił mu Marshall. - Owoc życia. I przyczyna zguby Persefony! - Lecz Robertowi nic to nie mówiło.

Jeden z jeźdźców oderwał się od reszty i po chwili wrócił z owocem w rękę. Marshall rzucił go Robowi.

— Masz, spróbuj. Będziesz miał zajęcie na jakiś czas.

Rob odważnie wbił w niego zęby i za chwile usta wypełnił mu wstrętny, gorzki miąższ. Skrzywił się niemiłosiernie, wzbudzając ogólną wesołość wśród nomadów. Przynajmniej teraz widział, jak ów owoc wygląda w środku - pełen rubinowych ziarenek połyskujących w słońcu. Wydłubał kilka i rozgryzł. Eksplozja słodyczy na języku tak go zaskoczyła, że niemal wypadł z siodła. Granaty. Ciekawe, czy urosłyby w Kornwalii? Jeśli tak, przyrzekł sobie nigdy więcej nie wziąć do ust jabłka.

W końcu ujrzeli przed sobą potężne mury w kolorze ochry - dotarli do bram miasta. Ruch i hałas się zwiększył, a do tego pojawiły się chmary much. Droga prowadziła przez szerokie łukowate wrota strzeżone przez mężczyzn w przykurzonych błękitnych tunikach i szerokich spodniach wsuniętych do butów. Biel ich turbanów aż raziła w oczy.

- Zrób to co ja i schyl głowę - ostrzegł po raz kolejny Marshall.
- I żebyś mi się pod żadnym pozorem nie odzywał. - Owinął turbanem twarz tak, że widać mu było tylko oczy. Rob uczynił to samo.

Kiedy się zbliżali, tylko raz uniósł wzrok i dojrzał szereg ogromnych spiżowych armat tkwiących między blankami muru i wycelowanych w morze. Kosztowna broń, raka sama jakiej używają w Europie. A więc to jest to słynne gniazdo piratów, miasto, do którego przez cały ocean wieziono Catherine. Gdy znaleźli się w cieniu bramy, Rob skulił ramiona, aby ukryć swoją posturę, i wbił wzrok w przykurzoną sierść na karku muła. Nomadzi zagadnęli strażników, a potem dali znać ręką, że można jechać. Za murami był zupełnie inny świat: chaos, gwar, smród i tysiące ludzi zdążających ze wszystkich stron na targ.

Tutaj pożegnali się z towarzyszami. Rob żałował, że muszą się rozstać i patrząc, jak odjeżdżają sprzedawać swoje kozy i wymieniać towary, prawie im zazdrościł.

Zostawili muły przy korycie z wodą, uwiązane do słupów jak setki innych zwierząt i wtopili się w tłum płynący krętymi uliczkami suku przykrytymi strzechą z trzciny, która rzucała pod nogi wzorzyste cienie.

- To Kissaria - wyjaśnił Marshall. - Zadaszony targ. Jestem z kimś umówiony po drugiej stronie. Trzymaj się blisko mnie. Jeżeli choć na chwilę się odwrócisz i tłum nas rozdzieli, w mig się zgubisz.

Rob rozpychał się więc łokciami, obijał o przechodniów, byle tylko dotrzymać kroku Marshallowi, który niczym szarżujący byk ze spuszczoną głową torował sobie drogę wśród tłumu. W końcu schwycił go za ubranie i trzymał się kurczowo jak dziecko matczynego fartucha. Targ jawił się jako ciąg surrealistycznych obrazów: wąsate ryby, kolorowe przyprawy, skrzynie pełne kurczaków, jaszczurek i węży, bele jedwabiu, worki z wełną, brąz, szkło i srebro. No i ten wszechobecny nieludzki język, z którego Rob nie rozumiał ani słowa. Od nadmiaru wrażeń kręciło mu się w głowie i przewracało w żołądku.

Wreszcie czmychnęli w lewo, w jeden z bocznych zaułków i szli dotąd, aż hałas targowiska całkiem się oddalił. Wtedy Marshall nieco zwolnił. Rob zauważył, że ciężko oddycha i bardzo się spocił. Strach: ten zapach rozpozna zawsze. Nie można powiedzieć, żeby go to podniosło na duchu.

- I co teraz? - zapytał.

- Teraz złożymy wizytę pewnemu człowiekowi, który zna kogoś, kto nam może załatwić wizytę u Sidi a l- Ayyachiego. Robiliśmy już razem interesy, ale nie będzie zadowolony, że przyszedłem z kimś, zwłaszcza tak wyróżniającym się w tłumie. W razie czego powiem, że jesteś moim nierozgarniętym młodszym bratem. Kiedy każe ci pokazać twarz, wywal język i zrób zeza. Jeżeli uznają, że stanowisz dla nich jakiegokolwiek zagrożenie, zadżgają cię bez żadnych skrpułów.

Tak jak pan tych dwóch nieszczęśników w lesie - pomyślał Rob, ale nie odezwał się słowem. Kiwnął głową i przecwiczyl minę.

Marshall się rozpromienił.

- Świetnie. Mógłbyś robić za wiejskiego głupka.

Zastukał w obite ćwiekami drzwi. Po chwili uchyliło się małe kwadratowe okienko i mignęła w nim śniada, pomarszczona twarz. Marshall powiedział kilka słów i drzwi stanęły otworem. Szturchnął Roberta w plecy.

- Właz. Szybko.

Rob znalazł się nagle oko w oko ze śniadym mężczyzną, który bacznie mu się przyglądał. Od razu zsunął turban z twarzy i zrobił najobrzydliwszą minę, jaką potrafił. Mężczyzna się cofnął i zamachał ręką, jakby odpędzał złe moce. Podniesionym głosem wymienił kilka zdań z Marshalllem i wreszcie londyńczyk rzekł:

- Dobra, wystarczy, zadanie wykonane. Chodź za mną.

Zaprowadzono ich do chłodnej izby, gdzie czarnooka kobieta o nieufnym spojrzeniu podała im herbatę i uciekła, zanim Rob zdążył ją nastraszyć grymasem twarzy.

Siedzieli tam dobre kilka godzin. Za każdym razem, gdy Rob próbował się odezwać, Marshall kładł palec na ustach i pokazywał na drzwi. „Szpiedzy” - mówił bezgłośnie. Rob zakrył więc twarz, oparł się o ścianę i drzemał.

Wreszcie z korytarza dobiegły jakieś głosy. Marshall zerwał się z miejsca. Do izby wkroczył mężczyzna, młodszy niż ten, który ich wpuszczał, i znacznie groźniejszy z wyglądu. Miał bledszą skórę i sterczącą czarną bródkę. Za pasem nosił i miecz, i sztylet, jak zauważył Rob, i wyglądał na takiego, co umie z nich zrobić użytek. Nie nastąpiło żadne formalne powitanie. Mężczyzna zachowywał się nerwowo i nieufnie. Trącił Roberta nogą.

- Siadaj, Rob - przykazał Marshall. - To mój nieszczęsny obłąkany brat - wyjaśnił przybyłemu. - Nie miałem go z kim zostawić.

Mężczyzna nachylił się i jednym ruchem ściągnął Robertowi turban. Ten był tak zaskoczony, że zapomniał wykrzywić twarzy. Kiedy to zrobił, było już za późno. Dostał silny cios w szczękę i zdębiał z wrażenia i oburzenia.

- Hassan bin Quakrim ma chyba zdolności magiczne - powiedział mężczyzna do Marshalla. - Już nie wygląda na obłąkanego. - Wydobył sztylet i przystawił Robertowi do piersi. - Kto to jest i co tutaj robi? Nie kłam, że to twój brat, bo ma jasne włosy i skórę różową jak prosiak. I oczy niebieskie jak u diabła. Mów prawdę, albo go załatwię.

- Nazywa się Robert Bolitho. Przyjechał odzyskać swoją kobietę, którą korsarze porwali latem z Kornwalii.

- A, wiemy, wiemy - zaśmiał się bin Quakrim. - Triumfalna zdobycz a l - Andalusiego! To był widok, kiedy białe chrześcijanki sprzedawali na targu w Gazelle jak bydło!

Rob z całej siły zacisnął pięści, aż mu kostki pobielały. Bardzo się starał, żeby nie stracić panowania nad sobą.

- Mogę mówić za siebie - oświadczył możliwie spokojnym głosem. - Wśród tych kobiet była moja narzeczona, Catherine Anne Tregenna. Ma długie, rude włosy, dotąd... - Zaznaczył

ręką. - O, takiego koloru... - Pokazał palcem pleciony skórzany pas, który tamten miał na sobie.

Sztylet ze świstem przeciął powietrze, raniąc Roba w dłoń. Chłopak zawył z bólu.

- Łapy przy sobie, niewierny psie! Pod ścianę, już!

Tłumiąc gniew, Rob posłusznie się cofnął. Marshall obrzucił go wściekłym spojrzeniem zwężonych oczu.

- Wybacz mojemu towarzyszowi ten brak manier. To młodzian, w gorącej wodzie kąpany. Przypłynął tu aż z Anglii w nadziei, że porozumie się z waszym czcigodnym panem w sprawie uwolnienia swojej ukochanej. A i ja mam pewną osobistą sprawę do Sidi. Chcę mu zaproponować transakcję, która go na pewno zainteresuje. Schowaj, człowieku, ten sztylet i obgadajmy sprawę jak bracia.

Hassan bin Quakrim zmierzył go hardym spojrzeniem i wsunął sztylet do pochwy.

- Macie szczęście, że trafiliście na mnie. Inni zabiliby was obu. Nie mam zwyczaju bratać się z niewiernymi kundlami, ale wiem, że Sidi był bardzo zadowolony z interesu, jaki ubiliście zeszłej wiosny. Chodźcie.

Sidi Mohammed a l - Ayyachi wcale nie wyglądał na przywódcę groźnych piratów, przynajmniej wedle wyobrażeń Roba. Ani jego dom nie był tak okazały, jak na kogoś, kogo ludzie ograbili z bogactw tysiące zagranicznych statków, a ich załogi sprzedały do niewoli za grube pieniądze. Przeciwnie, był stary i zniszczony przez czas jak jego właściciel, choć nieskazitelnie czysty. Zastali gospodarza w chwili, gdy zasiadał do obiadu w małej izbie, w której była tylko pojedyncza ława i mata z trzciny na podłodze. Sidi miał na sobie długą szatę z tkaniny białej jak jego falująca broda, więc jedynymi barwnymi akcentami w całej postaci były poorane zmarszczkami twarz i dłonie oraz bystre czarne oczy. Na widok gości podniósł się zwinnie jak młody mężczyzna i nisko się skłonił. Przywitał się z Marshalllem, który

ku zdumieniu Roberta pochylił się i pocałował go w rękę. Co jeszcze dziwniejsze, starzec uściskał byłego aktora, jakby byli dobrymi przyjaciółmi.

- Salaam, Sidi Mohammed. Pokój z tobą.

- Niech Allah błogosławi tych, którzy wyznają nauki Pro-roka. Chwała Allahowi, że pozwolił ci bezpiecznie do nas po-wrócić, Williamie. I twemu młodemu kompanowi. - Łaska-wym gestem wskazał na Roba, a ten w odpowiedzi sztywno skłonił głowę.

- Powiedz no mi - zaczął, nachylając się do Marshalla i wbijając w niego badawcze spojrzenie - jakież to skarby mi przywozłeś tym razem? Następnym chrześcijan do naszych przedsięwzięć? Z tego co widzę, ten młodzieniec bez trudu po-radziłby sobie z wiosłem. Ba, z taką posturą to pewnie i sam jeden pociągnąłby galerę! Czy on jest częścią łupów?

- Niestety nie, panie. Ten młodzieniec to Robert Bolitho z Kornwalii, skąd twój dzielny kapitan Al - Andalusii sprowadził tego lata liczną grupę niewolników.

- Ach, nasz sługa Qasem bin Hamed bin Moussa Dib. Dzielny wojownik. Oby Allah jak najdłużej mu sprzyjał i utrzy-mywał go w dobrym zdrowiu, aby cały kraj mógł korzystać z owoców jego świętych czynów, inch'allah. Chwała Allahowi. Al hamdulillah.

- Allah akbar - przytaknął Marshall, chyląc głowę. - Chwa-ła Najwyższemu i jego sługom. Ale zdaje się, że przerwaliśmy ci posiłek, panie. Pozwól, że opuścimy cię na chwilę, byś mógł go w spokoju dokończyć.

Starzec potrząsnął głową z irytacją.

- Nie, Williamie. Siadaj i zjedz ze mną. Ty także, Rober-tie Bolitho. Usiądźmy przy jednym stole jak bracia. Hassanie, poproś Miloudę, niech przyniesie wszystkim chleba i wodę dla gości, żeby mogli się umyć.

Po chwili kobieta wniosła miskę, dzbanek i dwa płóciene ręczniki do wytarcia rąk. Sidi własnoręcznie nalał gościom

wody różanej. Zaczekał, aż Milouda odniosła miskę i wróciła z chlebem, oliwkami oraz dużym glinianym naczyniem. Zajrzał pod pokrywę i twarz owiały mu gęste kłęby pary.

- O, kurczak z cytryną. Allah jest dziś dla mnie łaskawy.
- Przesunął koszyk z chlebem w stronę Marshalla i Roberta.
- Proszę, częstujcie się. Jak się miewa twoja rodzina, żona, synowie, matka? Wszyscy zdrowi?

Rob się zdumiał. Spędzili ze sobą tyle czasu, a Marshall ani razu nie wspomniał, że ma rodzinę. Sądził, że jest kawalerem lub wdowcem, podejrzewał nawet, że sierotą.

Marshall udzielił marabutowi obszernej odpowiedzi, a potem odwzajemnił pytanie.

- Jeszcze się jakoś trzymam, inch'allah, choć w twoim kraju jest pewnie wielu takich, którzy by woleli, żeby było inaczej. Najbardziej chyba pokrzyżowałem plany panu Harrisonowi, kiedy *tu* był *ostatnio*. No, *ale...* — *rozłożył* ręce *nie* przywiózł mi tego, na co liczyłem, choć wiele ofiarowałem mu w zamian. Może pora nie była sprzyjająca i Allah postanowił inaczej.

Przez chwilę jedli w ciszy, potem Marshall zagadnął:

- Słyszałem, że w tym roku połów niewolników był bardzo udany.

Sidi oderwał wzrok od kurzego udka, które trzymał w palcach.

- Owszem. Allah przezornie wyposażył nas w świetnych dowódców i dzielne załogi oraz zesłał dobrą pogodę dla statków. Pozyskaliśmy dla naszej sprawy czterystu dwudziestu trzech chrześcijan.

Marshall się uśmiechnął.

- Dobra robota, Sidi. Ale czy sprawa bardzo by na tym ucierpiała, gdyby ich było tylko czterystu dwudziestu jeden czy dwóch?

- Jakże to? Przecież czterysta dwadzieścia jeden ani czterysta dwadzieścia dwa to nie to samo, co czterysta dwadzieścia trzy. Bilans by się nie zgadzał. To poważny błąd, który nie spodobałby się Allahowi.

- A czy spż i żelazo mogłyby ewentualnie wyrównać tę różnicę?

Sidi zrobił pauzę.

- Panie Marshall, jak można przeliczać wartość człowieka na surowce? To tak, jakby stawiać na jednej wadze pierze i ołów.

- Być może, ale tona pierza to to samo co tona ołowiu.

- Wagowo tak, ale nie jeśli chodzi o wartość.

- A gdyby ten spż pochodził z najlepszych europejskich odlewni, a żelaza było tyle, że starczyłoby na cały rok?

A1- Ayyachiemu drgnęły usta. Zębami ostrymi i żółtymi jak u szczura zdarł z udka ostatni kawałek mięsa.

- Zależy, jakiej jakości jest ten spż i żelazo, no i co jeszcze miałyby się znaleźć na drugiej szali.

Marshall wydobył zza pazuchy zwinięty pergamin i podał go marabutowi. Ten najpierw dokładnie wytarł palce w ręcznik i wymamrotał pod nosem krótką modlitwę, a dopiero potem wziął go do rąk. Z niewzruszonym obliczem przebiegł wzrokiem treść.

- Wprawdzie w naszej kulturze świętym obowiązkiem jest się targować, ale mnie to nuży. Wasza oferta w pełni mi odpowiada. Mamy pod dostatkiem hiszpańskiego złota, angielskiego też, jeśli tak byłoby wygodniej twojemu mocodawcy, ale przed podpisaniem umowy muszę oczywiście mieć pewność, że towar jest w należyтым stanie.

Marshall pochylił głowę.

- Będzie tak, jak sobie życzysz, Sidi.

- Inch'allah. Wasz statek jest... gdzie dokładnie?

- Może w każdej chwili podpłynąć na mój znak. Wyślesz wtedy, panie, łódź z zaufanymi ludźmi, a oni wszystko sprawdzą.

Marabut zwrócił się do stojącego pod ścianą Hassana bin Quakrima i przez chwilę z nim rozmawiał w swoim języku. Potem powiedział:

- Hassan mówi, że chłopak, który jest z tobą, przyjechał, żeby odzyskać żonę.

Rob poruszył się nerwowo, starając się ukryć podniecenie. Marshall wzruszył ramionami.

- To nawet nie jest jego żona, to zwykła służka, w której się zakochał i umyślił poślubić. Nie wiem, na co mogłaby się wam przydać. Gdyby dało się ją jakoś ująć w rozliczeniach, chłopakowi kamień spadłby z serca.

- Jeszcze Matty - dodał pospiesznie Robert. - Matty Pengelly.

Marshall przeszył go wzrokiem.

- Zamknij się, durniu - syknął.

Sidi był zbulwersowany.

- Chłopak chce handlować ludźmi? Powiedz mu, żeby lepiej zostawił to zajęcie starszym i mądrzejszym od siebie. Poza tym ja robię interesy wyłącznie z tymi, których znam na tyle, że mogę im ufać. Z bólem serca odmawiam spełnienia twojej prośby, Williamie, ale jak mnie poinformował Hassan, dziewczyna o włosach jak ogień już została sprzedana pewnemu człowiekowi, który zapłacił za nią tyle, że ciebie nie byłoby nawet stać na wykupienie.

Rob zerwał się na równe nogi. Natychmiast doskoczył do niego Hassan, kładąc dłoń na rękojęści sztyletu.

- Mam pieniądze! - krzyknął Rob. Wyjął sakiewkę ze złotem i cisnął ją z brzękiem na stół.

Marabut miał wzrok, jakby Rob rzucił mu właśnie zdechłego psa.

- Rozumiem, że chłopak jest młody i nieokrzesany, ale to ty, Williamie, odpowiadasz za jego maniery, a tych mu stanowczo brak. Czuję się urażony. Zastanawiam się, czy nie powinienem was obu zakuć w kajdany, a Hassana z Al - Andalusim wysłać, żeby sprowadzili wasz statek razem z załogą. Ciekawe, o ilu niewiernych powiększyłby się nasz rachunek? Sześćdziesięciu, osiemdziesięciu, stu? Ja i moi korsarze oddaliśmy dotąd w ręce szatana dusze siedmiu tysięcy sześciuset czterdziestu trzech chrześcijan. Chciałbym przed śmiercią zaokrąglić tę liczbę do

dziesięciu tysięcy. Al hamdulillah. - Przerwał, przesunął dłońmi po twarzy, ucałował je i przyłożył do serca. - W tym domu jest wyjątkowo piękny dziedziniec, pełen harmonii i spokoju. Idealne miejsce, żeby odpocząć od problemów świata zewnętrznego i zwrócić się ku prostocie prawd duchowych. W samym jego sercu stoi fontanna zbudowana z czaszek nazarejczyków. Lubię sobie na nią popatrzeć codziennie rano po modlitwie, pozachwycać się tą subtelną zależnością między formą a funkcją. A jak pięknie szumi woda, kiedy przepływa przez oczodoły czaszki niewiernego. Niezwykle przyjemny dźwięk, drogi Williamie. Może chciałbyś go pokontemplować razem ze mną? Myślę, że w środkowej części znalazłoby się miejsce na jeszcze jedną czaszkę.

Marshall był błąd jak ściana.

- Nie, panie, błagam. Zostawmy te niewolnice, to poboczna sprawa. Dostaniesz cztery armaty oraz tyle kul i prochu, ile będzie trzeba. Są znakomitej jakości, sam się przekonasz; daję na to moje słowo. A najciekawsze jest ich pochodzenie. Nie uwierzysz, ale wyprodukowano je z funduszy królewskich z przeznaczeniem na wzmocnienie obrony wybrzeży Kornwalii. Miały trafić do zamków w Pendennis i na St. Michel Mount. Sir John Killigrew przekazuje je, życząc korsarzom udanych wypraw.

Sidi Mohammeda I - Ayyachi głęboko skłonił głowę.

- Rzeczywiście, cóż za ironia losu. Przekaż ode mnie podziękowania Sir Johnowi. - Przyłożył rękę do piersi. Potem sięgnął po sakiewkę Roberta i dokładnie zważył ją w dłoni. - Coś mi się zdaje, że tu jest w sam raz tyle, ile kosztuje jedna chrześcijańska dusza. Zatem dobijmy targu. - Rzucił Marshallowi sakiewkę z siłą i szybkością atakującej kobry.

Zaskoczony, nie zdążył jej złapać. Złoto rozsypało się po podłodze, połyskując w promieniach słońca, które wlewały się do izby przez wysokie okna.

- Cztery armaty, roczny zapas amunicji i ten silny młodziwiec na galery.

Pod Robertem ugięły się nogi.

- Co? Nie!

Spojrzał na Marshalla okrągłymi z przerażenia oczami,
już klęczał na ziemi i pośpiesznie zbierał monety.

ROZDZIAŁ 29

W ciągu dwudziestu trzech lat swego życia Robert Bolitho ani razu nie chorował. Ominęła go ospa, dżuma, szkarlatyna. Lata ciężkiej pracy na gospodarstwie sprawiły, że nabrał tężyzny i z chudego wyrostka przeistoczył się w dorosłego mężczyznę. Mając sześć stóp i pięć cali wzrostu, górował nad innymi, a ze swymi niebieskimi oczami i płową czupryną prezentował najwspanialszy wzorec Adama, jaki można sobie wyobrazić.

W berberyjskiej niewoli te atuty szybko okazały się przekleństwem.

Rozebrano go do naga i poddano dokładnym oględzinom, łącznie ze sprawdzeniem stanu uzębienia. Potem wręczono tobolek, w którym był koc, krótkie okrycie z kapturem, koszula i para luźnych, szerokich spodni. Spisano jego nazwisko i umieszczono w rejestrze. Następnie został wtrącony do lochów, mazmorra, gdzie spotkał jeszcze ponad setkę takich nieszczęśników jak on, ściśniętych na małej powierzchni w ciemnościach, brudzie i smrodzie. Jedni lamentowali, inni załamani kucali na ziemi bez słowa, a jeszcze inni złorzeczyli w dziesiątkach różnych języków. W środku nocy wraz z resztą nowo przybyłych więźniów został obudzony i zabrany do kowala, który zakuł im prawe nogi w żelazne obręcze, nie przejmując się zbytnio, czy uderza młotem w metal czy kość. Jeden z mężczyzn nie wytrzymał i zaczął spazmatycznie szlochać: kajdany ostatecznie odbierały mu godność.

Nazwisko Roberta Bolitho, o czym wówczas nie wiedział, zostało zarejestrowane w rubryce z kandydatami na przyszłych

galerników, ale ponieważ sezon wypraw łupieżczych jeszcze się nie rozpoczął, na razie wysłano go do kamieniołomów. Była to ciężka próba, którą mogli przetrwać tylko najsilniejsi. Nadzorcy zwrócili na niego uwagę już pierwszego dnia.

- Ten to wytrzyma i ze trzy miesiące - stwierdził jeden.

- Jeśli przeżyje, masz u mnie kurczaka - odparł drugi.

Pierwszy spojrzął na niego chłodno.

- Koran zakazuje hazardu, Ismaelu. Pilnuj się, bo dołączysz do nich.

Minęły ponad cztery miesiące, odkąd Robert rozpoczął pracę w kamieniołomach, wyrabując ogromne głazy i ciągnąc je dwie mile dalej na wybrzeże za pomocą sań i lin, a wbrew wszystkiemu wciąż żył.

Widział, jak mężczyźni tuzinami padali z wycieńczenia i niedożywienia, umierali pobici do krwi albo doprowadzeni do obłędu przez palące słońce. Jeden dostał szału i chciał zamordować strażnika. Natychmiast został ukarany: bezceremonialnie obcięto mu głowę. Ciało w makabrycznym odruchu przeszło jeszcze dwa kroki, a potem runęło na ziemię. Głowa potoczyła się po zboczu. Nikt się po nią nie pofatygował. Niektórzy mężczyźni umierali od zakażonej wody, a inni ze wstydu lub rozpacz.

Przez cały ten czas, choć konopne liny boleśnie wbijały się w ciało, zostawiając sączące się rany, ciężkie kajdany ocierały się o poranione kostki, plecy puchły od pejcza, mięśnie krzyczały w proteście, kiedy zamachiwał się młotem na nieustępliwą skałę, we włosach i na skórze lęgło się robactwo, Robert nie dał się złamać. Kiedy już myślał, że dłużej nie wytrzyma, przypominał sobie Cat siedzącą z rozwianymi włosami na starożytnym tronie w Castle an Dinas i siłą woli zmuszał się do życia.

Bywały dni, kiedy nie potrafił sobie przypomnieć widoku z okna we dworze w Kenegie, miejsca, które przecież tak kochał. Dni, kiedy nie pamiętał, jak się nazywa. Nigdy jednak nie zapomniał koloru oczu Catherine Anne Tregenny ani kształtu jej uśmiechniętych ust.

Wtedy zabrali mnie z domu marabuta i wtrącili do lochów, co w ich języku zwą się mazmorra. Mieszczą się pod ziemią i światło wpada do nich tylko przez wąski otwór. Tam zastałem prawdziwy obraz nieszczęścia i ludzkiego cierpienia: w brudzie i smrodzie siedziało ze stu nieszczęśliwych w podartych łachmanach, niektórzy wiotcy jak robaki, wycieńczeni od chorób, bicia i braku pożywienia.

Wstrząśnięta odłożyłam list i spojrzałam na Idrissa.

- Czy oni naprawdę byli przetrzymywani w tak nieludzkich warunkach?

- Chyba tak. Niewolników było tak wielu, że gdyby byli zdrowi i silni, mógłby wybuchnąć bunt. Iego się pewnie obawiano.

- Co za okrutne czasy; dzicz, nie ludzie.

- Dzisiaj oczywiście nikt by się nie ośmielił tak traktować więźniów, drastycznie łamiąc prawa człowieka. Nie wspomnę o Guantanamo ani o brutalnym niewoleniu Afrykanów przez Brytyjczyków, Hiszpanów, Portugalczyków, Amerykanów...
- wyliczył na palcach.

- Dobra, zrozumiałam - powiedziałam, wymuszając uśmiech.

Siedzieliśmy w przepięknej restauracji znajomych Idrissa urządzonej pod gołym niebem. Przed chwilą zjedliśmy pastillę z gołębia, szaszłyki z ryb i opróżniliśmy na spótkę butelkę lokal-

nego różowego wina. Albo ono, albo treść tych listów sprawiła, że trochę szumiało nam w głowach.

- Khaled będzie zachwycony, gdy to zobaczy - powiedział Idriss. - Od lat bada postać a l - Ayyachiego, ale chyba jeszcze nie trafił na dokumenty, które pokazywałyby go od strony prywatnej.

- T e n człowiek musiał być potworem.

- Wszyscy bohaterowie i złoczyńcy są tak naprawdę potworami - uśmiechnął się. Wyjął z paczki nieodłącznego marlboro i trzymając go w dłoni, chwilę mu się przyglądał. Potem włożył go z powrotem, zamknął paczkę i odsunął ją na bok.

- Pora rzucić ten głupi nałóg.

- Tak po prostu?

- Tak po prostu.

- I myślisz, że ci się uda?

- Są takie rzeczy w życiu, których *jestem* pewien. - Spojrzał na mnie w taki sposób, że aż zakręciło mi się w głowie.

W tym momencie jeden z kelnerów stracił wazon i zrobiło się małe zamieszanie. Ktoś rzucił się ratować różę, ktoś inny zaczął ścierać podłogę, a jeszcze ktoś pobiegł po zmiotkę i szufelkę.

- Powinniśmy się zbierać. - Spojrzałam na zegarek. Było po jedenastej, choć mojej zmęczonej głowie wydawało się, że jest trzecia nad ranem.

- Nic chcesz dokończyć listów?

- Nie mam siły. Jutro skończymy. Albo pojutrze, jeśli pozwolisz mi jeszcze trochę u was zostać. - Poza tym, że byłam zmęczona, miałam potrzebę pobyć trochę sama i na spokojnie przemyśleć dzisiejszy dzień. A był niezwykły i pełen wrażeń. W krótkim czasie sporo się wydarzyło. No i ten pocałunek w ulicze.

Idriss się rozpromienił.

- Szczerze mówiąc, na to liczyłem. Nasz dom jest dla ciebie otwarty, jak długo zechcesz.

Wracaliśmy przez opustoszałą medynę skapani w srebrnej poświacie księżycy. Wychudzone koty czmychały na dźwięk naszych kroków. Spłoszyliśmy też sforę zdziczałych psów węszącymi wśród śmieci pozostałych po targowisku. Nie warczały na nas, lecz po prostu wtopiły się w mrok i czekały, aż sobie pójdziemy. Nagle w górze rozległ się ptasi śpiew. Tęskne wołanie, które zawisło w nieruchomym powietrzu.

- Andaleeb - powiedział Idriss. - Nie wiem, jak brzmi ich angielska nazwa, ale to chyba rodzaj skowronka. Tutejsi ludzie wierzą, że to głosy rozdzielonych kochanków. Jeśli gwiazdy im sprzyjają, za chwilę powinna się odezwać jego druga połówka. Posłuchaj.

Staliśmy więc pod murem medyny i czekaliśmy. Sekundy dłużyły się w nieskończoność.

- Chyba go wystawiła - zażartowałam, lecz Idriss położył palec na ustach.

- Czekaj.

I rzeczywiście, nagle w ciszy rozległ się kolejny trzask, tym razem bardziej z lewej strony.

- Siedzi na minarecie - uśmiechnął się Idriss. - Teraz już zawsze będą razem.

Znalazłszy się w swoim pokoju, usiadłam na brzegu łóżka i wyjęłam z torby kopertę. W środku znajdowała się cała prawda o innej parze rozdzielonych kochanków. Obiecałam Idrissowi, że nie dokończę lektury listów bez niego, ale nie mogłam się powstrzymać, żeby chociaż nie zerknąć.

„Ręce i nogi okute zimnym żelazem” - przeczytałam. A dalej: „często i brutalnie bici, aż do krwi”. Przeskoczyłam na dół strony i w oczy rzucił mi się fragment: „to straszne, co zrobili Jackowi Kellynchowi, nie zasłużył sobie na tak okrutną śmierć”. Biedna Matty - pomyślałam. Swoją drogą, ciekawe, co się z nią stało. Wiedziała o losie Jacka, czy może już została sprzedana jakiemuś człowiekowi, który ją od rana do wieczora zaganiał do

pracy w kuchni, a może co gorsza, wykorzystywał w sypialni? Wstałam, zdjęłam dzelabę, chustę i rozczesałam przyklepnięte włosy. Potem wzięłam krótki, chłodny prysznic i wskoczyłam do łóżka. Już miałam chować papiery - naprawdę - ale kiedy brałam je do ręki, akurat zobaczyłam zdanie: „Nasz statek wpłynął do Penzance dwudziestego trzeciego lipca 1626 roku i nigdy wcześniej widok wybrzeży Anglii nie sprawił mi takiej radości”. No proszę. Zajęło mu to prawie rok, ale dopiął swego - mimo trudności i tylu koszmarnych przeżyć Robert Bolitho zdołał w końcu sprowadzić Catherine do domu. Bardzo mnie ciekawiło, w jaki sposób udało mu się wydostać z niewoli i wykupić Cat, ale żeby się tego dowiedzieć, musiałam się uzbroić w cierpliwość. Najpierw należało się wyspać.

Niestety, to nie było łatwe. Długo przewracałam się na łóżku, nie mogąc znaleźć wygodnej pozycji. Przysięgłabym, że w pewnej chwili usłyszałam pohukiwanie sowy za oknem, ale to przecież niedorzeczne: byłam w samym środku afrykańskiego miasta, nie w kornwalijskim lesie. Mimo to gdy wreszcie zasnęłam, śniła mi się oczywiście Catherine.

Catherine

1625

Ku zaskoczeniu Cat, dni mijały jej bardzo szybko i zanim się obejrzała, nadszedł koniec roku. Iam jednak nikt nie mówił o Bożym Narodzeniu: nie było śniegu, wieńców z ostrokrzewu nad kominkiem - ba, nie było nawet kominka - grzanego wina z korzeniami, pasterki w kościele w Gulval, podczas której wszyscy przytupywali z zimna, a w czasie modlitwy ukradkiem chuchali w dłonie. Minął styczeń, potem luty i pojawiły się pierwsze oznaki wiosny. Czy tęskniła za Kenegie? Starła się nie myśleć o dawnym życiu, ale od czasu do czasu jakieś wspomnienie wkradało się w jej umysł, kiedy była zajęta czymś innym: na przykład, gdy kobiety siedziały pochylone nad krosnami, a ich trajkotanie brzmiało zupełnie tak samo jak rozmowy mleczarek w oborze, plotkujących, kto kogo zaprosił na wiejską potańcówkę; gdy była z Leilą na szczycie twierdzy i z góry obserwowała fale rozbijające się o skały, zupełnie jak w Market- Jew; gdy obierała rzepę albo budziła się rano, nie wiedząc, gdzie jest i kim jest.

Jej życie wyglądało zupełnie inaczej, niż sobie wyobrażała, płynąc do tego obcego kraju. Było skromne, ale nie surowe, czasem niełatwe, ale nigdy okrutne. Wprawdzie sporo czasu w ciągu dnia schodziło na modlitwy, ale niemal tyle samo poświęcano parzeniu i podawaniu herbaty. Kobiety przerywały wtedy pracę i ucinały sobie pogawędki. W Kenegie na coś ta-

kiego by im nie pozwolono. Prawdziwym odkryciem okazały się kąpiele w hammanie. Szybko przestały być męczącym obowiązkiem, a stały się niecierpliwie wyczekiwaną przyjemnością. Posiłki nie służyły wyłącznie temu, żeby się najeść, zawsze były jakoś pomysłowo przyprawione i elegancko podane. „To musi być uczta zarówno dla oka, jak i podniebienia” - tłumaczyła Habiba, wrzucając kolorowe warzywa do tadżinu. Hasna nauczyła ją robić czernidło do oczu ze specjalnego kamienia z granatowym połyskiem, takim samym, jaki mają skrzydła sroki w słońcu. Kupiły go na suku. Pokazała jej, jak się go ściera na proszek, robi papkę, a potem nakłada na powieki za pomocą patyczka, tak aby oczy nie zaczęły łzawić i tusz nie spłynął strugami po policzku.

W miarę poznawania języka coraz lepiej się orientowała w swojej sytuacji. Okazało się, że Sidi Qasem bin Hamed bin Moussa Dib to istotnie ten sam człowiek, którego znała pod imieniem Al - Andalusi, kapitan pirackiego okrętu. Ale kobiety nie wypowiadały się o nim z lękiem, lecz z szacunkiem i podziwem. Usłyszała od nich, że to wielki dobroczyńca, zdolny kupiec i prawy człowiek. To, że handluje ludźmi, wydawało im się czymś normalnym, tak jakby handlował końmi czy wielbłądami. Po jakimś czasie nawet Cat zauważyła, że zaczyna na to patrzeć z innej strony. Właściwie trudno ją było nazwać niewolnicą, nic czuła się tam nawet służącą. Jej pan rzadko bywał w domu, a te nieliczne obowiązki, które miała, oprócz nadzoru nad pracowni hafciarskiej, wcale nie były uciążliwe. Miała też więcej czasu dla siebie niż w Kornwalii i ze zdumieniem spostrzegła, że zamiast się złościć, wręcz czeka na to, by móc pozamiatać dziedziniec czy podlać kwiaty, nawet gdy nikt jej o to nie prosi. Odkryła w sobie wewnętrzny spokój, którego istnienia nigdy nie podejrzewała.

Pewnego dnia, niemal po siedmiu miesiącach, odkąd zamieszkała w domu nowego pana, rais zjawił się niezapowiedziany

i zastał ją na dziedzińcu, gdy siedziała oparta na miotle z zamkniętymi oczami i twarzą zwróconą ku niebu.

- Wyglądasz jak róża - rzekł łagodnie - której płatki chłonna promienie słońca.

Wystraszona otworzyła oczy. Wstając, nadepnęła na miotłę i o mało się nie przewróciła. Korsarz zdołał ją pochwycić i posadzić z powrotem.

- Dziękuję, Sidi Qasem - wymamrotała zmieszana.

- Samo Qasem wystarczy.

- Qasem. - Dziwnie było zwracać się do niego w ten sposób. Do Sir Arthura nigdy nie powiedziałyby „Arthurze”. Sam pomysł był niedorzeczny.

- Dlaczego się uśmiechasz?

- Przypomniał mi się mój poprzedni pan.

- Czy był do mnie podobny?

Uśmiechnęła się jeszcze szerzej. Sir Arthur, stateczny, z dużą brodą, do bólu angielski - nie mogli się bardziej różnić.

- Ani trochę!

Chyba nie wiedział, jak to potraktować, bo zmienił temat.

- Podoba ci się mój ogród?

- Przepiękny. Tu jest tak spokojnie i cicho. Idealne miejsce do rozmyślań.

Pojaśniał na twarzy: ostre rysy złagodniały, a zmarszczki na czole stały się płytsze.

- To chahar bagh - powiedział - tradycyjny ogród islamski stworzony na wzór ogrodów Edenu. Nasze życie wzięło tam swój początek i tam też trafimy po śmierci. A to - wskazał na kanały wyprowadzające wodę z fontanny - symbolizuje naszą podróż, ponieważ my, tak samo jak woda, jesteśmy w ciągłym ruchu, dążąc do szczęścia, wiedzy i wiary. Koran mówi, że w raju płynęły cztery rzeki: wody, mleka, miodu i wina. Ja w moim prywatnym, ziemskim raju ukrytym przed światem muszę, jak widzisz, zadowolić się tylko wodą. Ale to mi wystarcza, bo kiedy tu jestem, czuję się szczęśliwy.

Wyciągnął rękę i zerwał kwiat z różanego krzewu oplatającego kolumnę podcieni.

- Doskonałość natury. Bóg kocha piękno i stworzył ten kwiat, żeby zakwitł w pełni właśnie dzisiaj. Jego płatki są czyste, nietknięte przez owady; jeszcze nie zaczęły więdnąć. A jego zapach to zapach niebios. Od jutra niestety zacznie stopniowo umierać. Dlatego zrywam go już dziś i wrzucę płatki do fontanny, która jest źródłem jego życia, aby dał się zapamiętać w swej najdoskonalszej formie.

Zbliżył różę do policzka Catherine. Poczuła jej woń i dotyk aksamitnych płatków na skórze. Choć rais nawet jej nie musnął, po całym ciele przebiegł jej dreszcz. Jakby poraził ich piorun i na chwilę odebrał jej oddech. Potem rais zgniótł kwiat w dłoni, podszedł do fontanny i rozsypał płatki na wodzie.

Cat zamknęła oczy. Kiedy je ponownie otworzyła, jego już nie było.

Po tym zdarzeniu, ilekroć wchodziła na dziedziniec, wyczuwała jego obecność, jakby stał gdzieś za kolumną i ją obserwował. Czasem wydawało jej się, że dostrzega jakiś ruch na galerii, ale ilekroć szła sprawdzić, nikogo nie znajdowała, oprócz trznadli ćwierkających wśród jaśminu. Ich rude piórka jaskrawo odznaczały się na tle białych kwiatów.

Kobiety pilnie szlifowały pod jej okiem swoje hafciarskie umiejętności i zachwycały się postępami. Kiedy przebywała z nimi w warsztacie, zajęta wyszywaniem lub projektowaniem nowych wzorów, nie potrafiła myśleć o niczym innym. Koncentrowała się całkowicie na skrupulatnym liczeniu krzyżyków czy rozważnym doborze kolorów. O jeden za dużo i wzór będzie zbyt krzykliwy, za mało, to znowu nadmiernie przypominać będzie hafty z Fezu lub staroświecki haft czarny, który dobrze знаła z Anglii. Teraz przy okazji licznych w tym kraju świąt kobiety przystrajały się w jakąś rzecz, którą ozdobiły własnoręcznie: a to przepaskę, a to chustę, to znów obszyty haftem kaftan. Wieść szybko się rozeszła i wkrótce do drzwi zaczęło pukać coraz więcej

chętnych na lekcje haftu u cudzoziemki, żeby także móc nosić piękne ubrania, na które normalnie nie byłoby ich stać.

Leila kręciła nosem.

- To wszystko jest bardzo ładne, ale na tym twój pan się nie wzbogaci, a i my również.

Cat spojrzała na nią zdziwiona.

- Nie rozumiem.

Holenderka najpierw się zarumieniła, a potem wzruszyła ramionami.

- Właściwie mogę ci powiedzieć: Sidi Qasem założył niedawno kompanię kupiecką i był łaskaw włączyć mnie w grono współników. Zyski będziemy dzielić po równo i każdy się zobowiązał wpłacać piątą część na specjalny fundusz na potrzeby naszej społeczności. Sama więc rozumiesz, że pojedyncze ubranko dla dziecka czy od czasu do czasu jakaś chusta nie jest w stanie przynieść nam godziwych dochodów i ucierpi na tym dobro wspólne.

Raczej twoja kieszeń - chciała powiedzieć Cat, ale ugryzła się w język.

- To co mamy robić?

Leila wyjęła listę.

- Czapraki i derki dla koni, szaty i tkaniny ceremonialne, wszystko z dużą ilością srebrnych i złotych nici, ozdób, frędzeli i galonów...

- Kosztowne wyroby dla bogatych ludzi.

Leila uśmiechnęła się niewyraźnie.

- Jak uważasz. Ale im więcej pieniędzy uzyskamy od bogaczy, tym więcej się znajdzie we wspólnym funduszu, a tutejsi ludzie będą o tobie częściej pamiętali w swych modlitwach.

- Czemu mieliby się za mnie modlić?

- Jesteś innowierczynią, a nawet gorzej, kafir*. Trafisz do szóstego kręgu piekieł, gdzie zmuszą cię do zjedzenia kolcza-

* Koran określa tak osobę, która nie tylko nie wyznaje islamu, ale z nim walczy [przyp. tłum.]

stego owocu drzewa Zakkum, który spotęguje twoje męki, gdy będziesz płonęła w wiecznym ogniu. Kobiety modlą się, żebyś zrobiła shahada i przeszła na naszą religię.

- Shahada?

- To bardzo proste. Wystarczy, że powiesz: „Nie ma Boga prócz Allaha, a Mahomet jest jego prorokiem”, i od tej chwili stajesz się muzułmanką.

- Tylko tyle?

Leila nachyliła się do niej konspiracyjnie i chwyciła za ramię.

- Tylko tyle. I będziesz wtedy jedną z nas. To nic trudnego, a uszczęśliwisz tym wiele osób.

- Ileż może być warte takie nawrócenie... - odparła sztywno Cat.

Holenderka chytrze się uśmiechnęła.

- Muzułmanka nie może być niewolnicą. Zyskałabyś wolność. Poza tym mężczyzna muzułmanin może pojąć za żonę tylko muzułmankę. - Przerwała, dobierając słowa, by zrobić jak największe wrażenie. - Słyszałam, że kuzynka Sidiego Qasema, Khadija, zamówiła sobie ślubny welon.

Cat spojrzała jej prosto w oczy.

- Gratuluję.

- Choć oczywiście nadal może utrzymywać stosunki intymne z niewolnicą, nawet gdy już poślubi kobietę własnego wyznania.

Cat wyrwała jej listę z rąk.

- Czeka mnie dużo pracy. Nie mam czasu na pogaduszki, zwłaszcza na takie tematy. - Spłoniła się.

Do końca dnia nic jej nie wychodziło, popełniała błąd za błędem. Kobiety obserwowały ją kątem i z niepokojem kręciły głowami. Chora czy co? Policzki jakież rozpalone. „Może się zakochała?” - zasugerowała z błyskiem w oku Hasna i wszystkie się roześmiały.

Nell Chigwine dopiero miałyby używanie - pomyślała Catherine, gdy skończywszy malować oczy, przyglądała się sobie

w lustrze. W czarnej oprawie błękit źrenic wydawał się jeszcze bardziej intensywny, w uszach kołysały się srebrne kolczyki, a kunsztowny haft przy szyi i na mankietach ozdabiał i tak już piękny szkarłatny kaftan.

Nagle sobie przypomniała, że Nell nie żyje, i zrobiło jej się wstyd.

To był bardzo ważny dzień. Sidi Qasem zaprosił do rezydencji grupę kupców, żeby omówić z nimi nowe przedsięwzięcie. Kobiety od samego rana sprzątały reprezentacyjny salon. Pryskały poduszki wodą różaną, ścierały z mebli kurz, trzepały dywany, polerowały mosiężne okucia. Co ważniejsze, dokonały ostatnich poprawek przy kilkunastu nowych wyrobach, które rais będzie chciał zaprezentować kupcom. Przez ostatnie dwa miesiące prawie nie wychodziły z warsztatu, żeby zdążyć z ich przygotowaniem. Przedstawiciele konsorcjum pokażą je w kilku miastach - w Meknes, Fezie, Larache, Safi, a nawet Marakeszu - gdzie mają nadzieję zebrać zamówienia. Stworzyły, na przykład, przepiękny paradny rząd dla konia: czaprak haftowany złotą nicią i obsyty frędzlami, równie bogato zdobione pokrycie siodła oraz złocona uzda i popręg. Były też elementy tradycyjnych strojów odświętnych, parawany ślubne i welony, pasy, galony i makatki. Rais bardziej niż zwykle interesował się postępem prac, często odwiedzał warsztat i udzielał porad w kwestii doboru tkanin czy kroju czapraka. Cat wciąż miała w pamięci ten dzień, gdy czekał na nią na brzegu Bou Regreg, dostojny i milczący, obok pięknie przystrojonego konia.

Pod pretekstem rozwieszenia bielizny wyszła na taras i czekała, aż pojawi się w zasięgu wzroku. Rzeczywiście już po kilku minutach zobaczyła w dole grupę mężczyzn w długich szatach i turbanach. Jej wzrok odruchowo powędrował ku najwyższemu z nich. Kroczył majestatycznie, z uniesioną głową, wyróżniał się. Stając przy bramie, spojrzął w górę i złowił wzrok Catherine. Pośpiesznie cofnęła głowę, przestraszona niespodziewanym Trzepotem serca w piersi.

Kiedy później mężczyźni odpoczywali w salonie, paląc fajkę i tocząc dysputy, to właśnie ona przyniosła im na tacy srebrny imbryk z herbata, szklanki i migdałowe ciasteczka, które rano upiekły razem z dziewczętami. Zauważyła, że rais nie spuszcza z niej wzroku, robiąc coraz większe oczy, i już wiedziała, że osiągnęła swój cel. Ukłoniła się delikatnie i skromnie spuściwszy głowę, wyszła z salonu. Ale wieczorem u siebie w pokoju nasłuchiwała pukania do drzwi i nie zawiodła się.

- Znosi się na to, że dzięki tobie będę jeszcze bogatszy - powiedział, opierając się o futrynę.

Cat odłożyła czytaną książkę i spojrzała na niego. Żrenice miał rozszerzone od ziół, które palił wraz z gośćmi. W lewej ręce trzymał islamski różaniec i wywijał nim tak, że lśniące paciorki stukotały o siebie.

- Spodobał im się czaprak? - spytała uradowana. - A może weselna tunika?

Uśmiechnął się.

- Hossein Malouda zaoferował mi ogromną sumę. Za ciebie.

Zbladła.

- Za mnie?

- Mówi, że wyroby są piękne, lecz najpiękniejsza jest ich autorka. Trzeba przyznać, że prezentowałaś się dziś równie efektownie jak twoje dzieła.

Poczuła, jak krew pulsuje jej w skroni. Popełniła głupstwo, myśląc, że tylko on zwróci na nią uwagę. Z tego wszystkiego całkiem zapomniała, że wciąż jest niewolnicą, towarem, który można kupić i sprzedać.

- I co mu pan powiedział?

Ostatni raz podrzucił różaniec, po czym zamknął go w dłoni i włożył do kieszeni.

- Na razie nic.

- Dlaczego? - wyrwało się jej. Czuła, jak oblewa ją gorąco, jak krew uderza jej do głowy.

- Dlatego, że jeszcze nie zdecydowałem, co z tobą zrobić.
Nie on jeden oferował mi za ciebie dobrą cenę.

- Ktoś jeszcze próbował mnie kupić?

- Kilka miesięcy temu, ale niestety nie przyszedł bezpośrednio do mnie, tylko najpierw odszukał Sidiego a l - Ayyachiego.

- Niestety?

- Sidi zaproponował mu innego rodzaju transakcję.

- Wam wszystkim się wydaje, że możecie mną handlować jak jakimś... wielbłądem!

Roześmiał się.

- Och, Cat'rin. Żebym ja w życiu widział tak pięknego wielbłąda. Chociaż... - Podrapał się po brodzie. - Był taki jeden, pamiętam. A właściwie ona. Miała wielkie, czarne oczy i temperament, który budził lęk u każdego, kto jej dosiadał. Z byle powodu pluła i gryzła. Ty mi ją przypominasz. Ale w końcu dała się poskromić.

Cat spojrzała na niego ze złością.

- Ja się nigdy nie dam poskromić. Nie jestem zwierzęciem, któremu może pan narzucić swoją wolę. Ani pan, ani żaden inny mężczyzna.

Czerwone światło zachodzącego słońca zamigotało w jego oczach i przez moment wyglądał tak demonicznie jak ten dżin, o którym mówiły kobiety. Potem zrobił krok w tył i blask zniknął. Kiedy wychodził na galerię, rzekł cicho:

- Za to właśnie cię kocham, Cat'rin.

Lecz wiatr porwał jego słowa i uniósł daleko ku ciemniejącemu niebu.

Nazajutrz rano Cat i Leila wybrały się na suk poszukać kobiety, która wyrabia i sprzedaje taśmy z chwostami potrzebne im do obszycia końskiej uzdy. Cat uwielbiała te wyprawy. Miała okazję z bliska przyjrzeć się światu, w którym teraz żyła. Mogła wdychać jego zapachy, chłonać barwy i udawać, że jest wolną kobietą, która ma tyle pieniędzy, by sobie kupić, co chce.

W dżelabie, z zasłoniętą twarzą, nie zwracała na siebie większej uwagi, chyba że ktoś miał powód, by zerknąć na jej blade dłonie lub zajrzeć w niebieskie oczy. Wówczas najczęściej pochylano głowę z uśmiechem, choć niektórzy posyłali jej lodowate spojrzenie, a inni się odsuwali.

- Niektóre starsze osoby uważają, że *jesteśmy* przeklęte - powiedziała Leila. - bo mamy kolor skóry jak u świni. Myśla, że *jesteśmy* splamione, dotknięte przez szatana. Ale ty masz niebieskie oczy, a to szczęśliwy kolor. Mogą cię nawet ocalić. - Nie wyjaśniła, co ma na myśli.

Kobietę znalazły na zapleczu skromnego kramiku w samym środku medyny. Niestety taśmy nie okazały się być tak dobrej jakości, jak obiecywano, więc Cat zrezygnowała z zakupów. Nie wprawiło jej to w najlepszy humor. W budce było tak duszno i gorąco, że rozbolała ją głowa. Udały się więc prosto w stronę *fontanny, która* stała obok niedużego białego mauzoleum jakiegoś miejscowego świętego. Cat usiadła na murku i rogiem chusteczki zamoczonej w wodzie zwilżyła twarz i dłonie. Już zaczynała się czuć lepiej, gdy nagle rozległ się donośny krzyk i świst bicia. Na drodze stała grupa skutych niewolników, jeden z nich klęczał na ziemi, a nadzorca okładał go z całej siły po głowie i ramionach.

Cat tak się skupiła na bitym nieszczęśniku, że dopiero po chwili zauważyła tego, który stał obok. Zmrużyła oczy przed słońcem. „*Ależ* to niemożliwe...”

Zapominając o bólu głowy, poderwała się na nogi, lecz wokół więźniów zdążył się zebrać tłum gapiów i zasłonił jej widok. Nie miała jak sprawdzić, czy to było tylko przywidzenie. Podbiegła bliżej i zaczęła się przepychać, ale ktoś w tym momencie złapał ją za rękę i odciągnął.

— Co ty wyprawiasz?

Catherine zawsze myślała, że Leila towarzyszy jej jako tłumaczka i przewodniczka, ale teraz zdała sobie sprawę z własnej naiwności: ona ma jej pilnować.

Wyszarpnęła rękę.

- Ja go znam! Tego wysokiego, o tam!

Ale nadzorca już podniósł mężczyznę z ziemi i kolumna więźniów ruszyła dalej. Cat widziała tylko ich poranione plecy i żebra sterczące pod skórą jak u wygłodzonych osłów. A potem zniknęli. Stała jeszcze chwilę z ręką na ustach, aż tłum się rozpieczęł. Musiało jej się pomieszać w głowic: przez moment myślała, że widzi wśród niewolników swojego kuzyna. Ale to przecież niemożliwe, Robert Bolitho jest dwa tysiące mil stąd, w Kornwalii.

„A co, jeśli... - podszeptował jakiś wewnętrzny głos - jeśli korsarze znów zaatakowali miasto?” Podzieliła się tym z Leilą, na co ta zareagowała śmiechem.

- O tej porze roku nikt nie wypływa z Sale. Wieją tak silne wiatry, że nie dałoby się wrócić do portu. Do maja nie będzie żadnych wypraw.

Mimo to Cat nie potrafiła wyrzucić z głowy obrazu tego człowieka, którego poza, sposób trzymania głowy i wysoka, barczysta sylwetka były aż nadto znajome. Choć nie widziała dokładnie jego twarzy, narastało w niej przekonanie, że się nie pomyliła. Wizja skutego w kajdany i skatowanego Roba prześladowała ją dniami i nocami.

Tydzień później, kiedy w domu znów pojawił się rais, sama do niego podeszła.

- Czy możemy porozmawiać? - spytała z oczami wbitymi w podłogę.

Zaprosił ją do salonu i tam mu opowiedziała, co zobaczyła na suku. Kiedy nie zareagował, pomyślała, że pewnie już zgadł, o co chce go poprosić. Podniosła wzrok i ujrzała zaciśnięte usta i syjące się z oczu iskry. Znów wyglądał jak tamten człowiek, który na statku rozkazał przypalić stopy pastorowi Truranowi.

- Mógłby się pan dla mnie czegoś dowiedzieć? — wyrzuciła z siebie czym prędzej, póki jeszcze miała odwagę. - Czy wśród przywiezionych z Anglii niewolników znajduje się człowiek o nazwisku Robert Bolitho?

Nawet się nie poruszył. W końcu rzekł bardzo wolno:

- Dlaczego miałbym to robić? Kim on jest dla ciebie?

- To mój kuzyn.

Sidi Qasem oparł się o ścianę i zmrużył oczy jak kot. Potem machnął lekceważąco ręką.

- Nie mieszam się w cudze sprawy. - Sięgnął po fajkę wodną i z wielką celebrą wyczyścił ją, napełnił i wreszcie zapalił.

- Proszę — powtórzyła Cat. Serce biło jej tak mocno, że z trudem mogła wydobyć głos.

Rais nie raczył nawet na nią spojrzeć, więc po chwili wstała, odwróciła się i wyszła.

Minęło kilka dni wypełnionych pracą i pogaduszkami, a rais ani raz nie pojawił się w domu. Nadeszły zamówienia, które dostarczył jeden z jego niewolników służących w domu po drugiej stronie rzeki. Cat odniosła wrażenie, że Qasem jej unika i potraktowała chłopca oschle, odsyłając go z powrotem bez żadnego, nawet skromnego poczęstunku. Zlecono im przyozdobienie haftem tuniki na całej długości, odnowienie starej i podniszczonej, acz niegdyś wspaniałej makaty oraz uszycie ślubnego welonu, z zastrzeżeniem, by użyć do tego najlepszej jakości batystu i jedwabiu. Czyżby to miał być welon dla Khadiji? Cat wciąż miała w pamięci słowa Leili.

Tunikę dała do wyhaftowania swoim trzem najlepszym uczennicom, makatę powierzyła Habibie, Latifie i Jasminie, a welonem zajęła się sama. Leila poszła na targ poszukać białego batystu, a Cat usiadła z Hasną i dwiema starszymi kobietami, żeby naszkicować wstępny projekt.

- A może owoc granatu? - zapaliła się Hasna. — Wyobraźcie sobie: złoto z czerwienią na białym tle!

Wdowa Latifa spojrzała na nią z politowaniem.

- Dziewczyno, przecież granaty wyszywa się przy pierwszym dziecku! Chcesz, żeby panna młoda spaliła się wstydu na własnym ślubie?

Panie wybuchły gromkim śmiechem, a Hasna oblała się rumieńcem. Wtem do warsztatu wszedł Sidi Qasem w towarzystwie jakiegoś mężczyzny. Cat siedziała tyłem do drzwi, więc tylko cisza, która nagle zapadła oraz pośpieszne przykrywanie twarzy przez kobiety zaalarmowało ją o obecności przybyszów. Sama też nasunęła na twarz zasłonę i odwróciła się.

Robert Bolitho ujrzał przed sobą niezwykle widok: tuzin miejscowych kobiet w trakcie spotkania jakiegoś kółka krawieckiego, wszystkie szczelnie zasłonięte poza wąską szparką na oczy. Tylko jedna właśnie odsłoniła twarz. Twarz, którą tyle razy oglądał w snach, dla której przepłynął ocean i której obraz przywoływany w pamięci pozwolił mu przetrwać katorgę, jakiej potem zaznał. To była jej twarz, a zarazem jakby kogoś innego. Te oczy, zdumiewająco błękitne, niby znajome, nie należały do dziewczyny, którą zostawił pod kościołem w Penzance. Nie chodziło nawet o ten egzotyczny czarny kosmetyk, którym je pomalowała - coś się zmieniło w ich spojrzeniu. Było niepokojąco obce. Nagle ogarnął go lęk, jakiego nigdy przedtem nie czuł.

Cat spojrzała na kościstą postać w łachmanach, która stała obok raisa. Mężczyzna miał wychudłą twarz zbrązowiałą od słońca, zapadnięte policzki i dziwnie przekrzywiony nos. Po bujnej płowej czuprynie pozostała tylko nieładna, stercząca szczecina przypominająca ściernisko. Oczy miały jednak wciąż ten sam niebieski odcień kwiatów kukurydzy. Duże, szczerze oczy chłopca, którym zawsze tak okrutnie pomiatała.

- Och, Rob... Co oni z tobą zrobili? - Wstała. - Ciebie też porwali?

Zaśmiał się gorzko.

- W pewnym sensie, ale to nie odbyło się tak, jak myślisz. Zostałem niewolnikiem dopiero tutaj. W Anglii udało mi się nawet uzbierać trochę pieniędzy na twój wykup. Część dała Lady Harris, a hrabina kupiła twoje antepedium. Wybacz, Cat,

wiem, że nie było gotowe i w ogóle, ale nie wiedziałem, co robić. Niestety, kiedy tu dotarłem, wszystko mi zabrali, nawet pierścionek... - Głos mu się załamał.

- To prawda, Cat'rin - wtrącił się **rais**. - Przypłynął tu na angielskim okręcie, żeby negocjować twoje uwolnienie, ale został oszukany. Anglicy to naród zdrajców - stwierdził suchym, bezbarwnym tonem człowieka, który dobrze kontroluje swoje emocje. Popatrzył po nich. - Znalazłem go w lochach dla niewolników, ale już tam więcej nie wróci. Kupiłem mu wolność, a teraz także i tobie daję ją w prezencie. Nie należysz już do mnie, jesteś wolna i możesz z nim odejść, jeśli chcesz. Musisz dokonać wyboru.

Catherine czuła wwiercający się w nią wzrok raisa, lecz sama nie była w stanie na niego spojrzeć. To było dla niej za dużo. W głowie jej zawirowało, miała wrażenie, jakby opuściła własne ciało i oglądała tę scenę gdzieś z boku: nieustraszony kapitan piratów, okrutny i pewny siebie, a teraz zmuszony trwać w wyczekującym milczeniu, wychudły Anglik nerwowo załamujący ręce w charakterystyczny, znajomy sposób, dziewczyna, którą niegdyś była, odmieniona nie do poznania przez ten egzotyczny strój i kohl - wszyscy troje schwytani w niewidzialną sieć przeznaczenia.

Cat przestała być sobą. Nie było jej w tym pomieszczeniu, w tym domu, w tym mieście-twierdzy, ani nawet w tym obcym kraju.

Przed nią wyrastało Drzewo Poznania Dobra i Zła. Korzenie tkwiły głęboko w ziemi, potężny pień przesłaniał światło, a ramiona konarów wznosiły się ku niebiosom. W górze wisiał księżyc i krążyły konstelacje gwiazd. Choć nie było ich widać, Cat wiedziała, że częścią tego obrazu są też Adam, Ewa i wąż - anonimowi, ponadczasowi, nieskończenie zmienni. Czuła ich przemożną i nieuchronną obecność w sobie, a zarazem poza sobą. Wirowało jej w głowie, czuła na przemian zimno i ciepło, miękkość ciała i szorstkość kory - po chwili nie umia-

ła powiedzieć, gdzie kończy się ona, a zaczyna tamto. Była Ewą czy Adamem, węzem czy drzewem? Poczwała, jak niczym soki wzbiera w niej mądrość. Nagłe uderzenie krwi, które wywołało łomot serca i pulsowanie w skroniach. Upadła na ziemię i ogłuszający szum ustał.

Pierwszy zareagował rais. Zawołał coś po arabsku, wzięła na ręce bezwładne ciało Catherine i wyniósł na zewnątrz. Habiba i Hasna pobiegły za nim, zostawiając Roba w towarzystwie rozszechotanych cudzoziemek, które zerkały na niego ukradkiem, chowając uśmiechy za zasłonami. Odwrócił wzrok. Nagle dostrzegł leżący na podłodze przedmiot, który wyglądał znajomo. Podniósł go, przypominając sobie dokładnie chwilę, kiedy trzymał go w ręku po raz ostatni, w dniu, kiedy wręczył go Catherine na urodziny.

Odchylił okładkę i zobaczył napis: „Drogiej kuzynce Cat, 27 maja 1625”. Nawet rok nie minął, a jemu się zdawało, że to była cała wieczność. Łzy zaszczypały go pod powiekami. To chyba coś znaczy, skoro udało się jej przechować książkę, mimo tego, co przeszła. Przewertował ją i ze zdziwieniem zauważył, że niemal każda strona pokryta jest pismem Cat, znacznie drobniejszym i staranniejszym, niżby się spodziewał, znając jej charakter. Oglądał rysunki i schematy, obracał książkę w różne strony, i od czasu do czasu rzucało mu się w oczy zdanie zawierające jego imię. „Rob kazał mi przysiąc, że nie pisnę słowa o Turkach i piratach”, „zostanę żoną tego nudziarza Roberta...”. Niemożliwe, żeby tak naprawdę myślała... Zaczął się pocić, „i na zawsze utknę w Kenegie. Będę mieszkała w chałupie za oborą, co rok wydając na świat dziecko, dochowam się gromady bachorów i umrę w zapomnieniu. Nawet myśleć o tym jest mi ciężko. Muszę się stąd wydostać”. Przerzucił stronę: „Moja matka niedomaga, a ja nijak nie mogę jej pomóc. Nie mamy dostępu do światła i świeżego powietrza...” Tu przynajmniej trafił na znajomy grunt, miał przecież podobne doświadczenia. Był ciekaw, czy Jane Tregenna

przeżyła, ale nie znalazł więcej wzmianek na jej temat. Znalazł za to: „Och, jak żałuje, że nie posłuchałam starej Annie Badcock i nie wróciłam z Robertem do Kenegie...” W tym momencie oddech mu się nieco uspokoił. Jeszcze nic straconego. Szukając dalszych potwierdzeń, cofnął się o kilka stron i w oczy rzuciło mu się zdanie: „Leżę teraz w kabinie kapitana.

Z hukiem zatrzaskała książkę i wsunął ją za koszulę. Nikt nie może tego zobaczyć - pomyślał oszalały ze strachu. Kiedy już zabierze stąd Cat, spali tę książkę albo wyrzuci ją do morza i po ślubie już nigdy więcej nie będą o niej rozmawiać. Podszedł do drzwi, odpychając Latifę, która stanęła mu na drodze i coś do niego mówiła.

- Masz, napij się.

Chłodna woda dotknęła jej ust. Catherine zamrugała powiekami i otworzyła oczy. Zobaczyła przed sobą czyjąś twarz, lecz była zbyt blisko, żeby rozpoznać jej rysy. Widziała tylko śniadą cerę i oczy jak węgielki. Czyjeś dłonie delikatnie gładziły ją po czole, muskały policzki.

- Cat'rin, Cat'rin, wróć do mnie.

Gdzie była? Co się z nią działo? W głowie wirowały dziwne obrazy: morze, jakiś statek płynący ku zielonym wybrzeżom, u steru Robert, który zabiera ją do domu.

Próbowała usiąść, chwytając się kurczowo dłoni, która dotykała jej twarzy.

- Nie każcie mi jechać, ja nie chcę... - jęknęła płaczliwie, jakby znów miała sześć lat, a rodzice zmuszali ją do wizyty u nielubianej ciotki.

Dłoń mocniej zacisnęła się na jej ręce. Ktoś ucałował jej palce.

- Och... - odwróciła się w stronę źródła tego pocałunku i zanim cokolwiek pomyśleć odwzajemniła go, usta w usta.

W niczym nie przypominało to pocałunku, który wymusił na niej Sir Killigrew. Tamten kojarzył jej się z kłującym zaro-

stem i mieszanią oparów tytoniu i piwa. Ten pachniał mięta i ziołami, i wcale nie chciała, by się skończył.

Wreszcie rais odsunął ją od siebie.

- Co ty mówisz, Cat'rin? Oprzytomniałaś czy jeszcze majaczysz?

Teraz wyraźnie zobaczyła jego zatroskaną twarz. Złożyła ręce na kolanach i spuściła oczy. Myśli goniły w głowie jedna za drugą. W całym swoim życiu jeszcze nigdy z własnej woli nie pocałowała mężczyzny. Nie spodziewała się, że to może być tak doniosłe przeżycie. Ochłonęła, pozbierała myśli i rzekła:

- I nie jestem już pańską niewolnicą?

- Nie. Jesteś teraz panią samej siebie i sama musisz dokonać wyboru. - Po chwili dodał: - Obawiam się, że to ja stałem się twoim niewolnikiem.

Cat znowu spuściła oczy, starając się ukryć uśmiech. Nagle zamarła.

- Jeśli zostanę, będę musiała przejść na islam?

- Jeśli zostaniesz moją żoną, tak. Ale możesz też pozostać wolną kobietą, mieszkać pod moim dachem i kontynuować swą pracę, zarabiając na siebie. Obiecuję, że nawet cię nie dotknę.

- Pan chce mnie poślubić?

Qasem kiwnął głową.

- Całym sercem.

- Tylko mnie?

- Jedna żona w zupełności wystarczy.

- Sądziłam, że zamierza się pan ożenić ze swoją kuzynką Khadiją.

Roześmiał się.

- Ona sama musiała rozpuścić te plotki. — Przyłożył dłoń Cat do swej piersi. Poczowała mocne bicie jego serca. - Cat'rin Tregenna, czy zechcesz za mnie wyjść?

Otworzyła szeroko oczy. Jeżeli się zgodzi, będzie musiała przyjąć jego wyznanie, a wówczas według zasad własnej religii zostanie potępiona. Stanie się apostatką, heretyczką, innowier-

czynią. Wybór był tak naprawdę iluzoryczny: wcale nie była pewna, czy w sercu wciąż czuje się chrześcijanką. W czasie tej podróży i późniejszej niewoli chyba coś utraciła. Wiedziała, że aby nie podejmować pochopnej decyzji, powinna wziąć pod rozwagę wszystko, co przyniósł jej dzisiejszy dzień - Roba, wolność, serce tego obcego mężczyzny, perspektywę zostania mistrzynią haftu - i spędzić wiele godzin na analizowaniu wszelkich za i przeciw.

Powinna, ale nie była w stanie. Oszalałaby od myślenia. Nabrała powietrza w płuca i bardzo szybko wyrzuciła z siebie:

- Zostanę tu, Qasem, i wyjdę za pana.

W tym momencie na dziedziniec wszedł Robert Bolitho. Nie słyszał ostatnich słów Cat, ale poza dwóch postaci klęczących przy fontannie była jednoznaczna. Poczuł, że wkracza w czyjąś intymność, której widok był nie do zniesienia. Wmurowało go w ziemię, a ciało przeszły tępy ból. Jeszcze nie zdążył się odezwać, a cały jego świat wywrócił się do góry nogami.

- Catherine!

Patrzył, jak odskakuje od korsarza i obraca się w jego stronę. Oczy jej płonęły, a twarz oblewał rumieniec, jak u upadłej kobiety, którą się stała.

- Catherine, ja cię uratuję, pozwól mi na to. Wróc ze mną do domu. Cokolwiek ten człowiek ci naopowiadał, nie musisz się z nim wiązać.

Podniosła się z kolan. Chusta zsunęła jej się z głowy i odsłoniła włosy, które powiewały wokół niej niczym języki ognia.

- Nikt mnie nie musi ratować, Robercie Bolitho. Sama za siebie decyduję, więc kiedy wrócisz do Kenegie, możesz im wszystkim powiedzieć, że postanowiłam tu zostać dobrowolnie. Z wielu powodów, których pewnie nigdy nie zrozumiesz.

- Och, rozumiem aż nadto - rzekł z goryczą, spoglądając na klęczącego pirata. Następne zdanie wypowiedział bardzo głośno, tonem, jakiego Cat jeszcze u niego słyszała: - Nie wiem, czy jeszcze kiedyś zobaczę Kenegie, a jeśli nawet, to czy wciąż

będę mógł tam pracować. Wyjechałem bez zgody Sir Arthura. Skorzystałem z pierwszej nadarzającej się okazji, choć już wtedy zdawałem sobie sprawę, że mam do czynienia z łajdakami, którzy mogą mnie zwyczajnie obrabować, a potem moje bezimienne zwłoki wyrzucić za burtę. Kiedy pomyślę, co musiałem potem przejść, żałuję, że tego nie zrobili! Zabrałem ze sobą pierścionek mojej babci. Obiecałem sobie, że kiedy cię odnajdę, założę ci go na palec jako talizman, żeby już nigdy nie spotkało cię żadne niebezpieczeństwo, ale... - głos mu się załamał. - Ale i to mi ukradli. Razem z pieniędzmi i wolnością. Cat, całe życie cię kochałem i wiem, że ty też mnie kochasz. To nic, że dałaś się uwieść, wezmę cię taką, jaka jesteś. Ożenię się z tobą i będę cię szanował. A jeśli przyjdzie na świat dziecko i będzie miało ciemną skórę, przyjmę to z pokorą i będę niośł ten krzyż. Przemyślałem to wszystko. Nic ma już we mnie dumy i nieważne, co on ci zrobił, nieważne, co się wydarzyło, ja ci wybaczam.

Dłonie Cat zacisnęły się w pięści.

- Jak możesz proponować mi małżeństwo z litości! I nie potrzebuję twojego wybaczenia, bo nie zrobiłam nic, czego miałabym się wstydzić. Zachowujesz się, jakbym cię zdradziła, ale prawda jest taka, że nigdy cię nie kochałam. Przykro mi to mówić w takich okolicznościach, Rob, ale lepiej, żebyś o tym wiedział.

Zaległa między nimi nieznośna cisza, ciężka od wzajemnych pretensji i nieporozumień. W końcu Rob krzyknął:

- Jak możesz tak stać i spokojnie patrzeć, jak cierpię! Nie masz żadnych wyrzutów sumienia? Nell miała rację, jesteś cyniczna i bezwstydna. Wybrałaś sobie mężczyznę bogatszego ode mnie, na dodatek poganina. Straciłaś rozum, Catherine Anne Tregenno, i duszę też!

Na te słowa korsarz poderwał się na równe nogi.

- Qasem, nie.

Sposób, w jaki położyła dłoń na ramieniu tego człowieka, jego wzrok i to, jak posłusznie się wycofał, przelały czarę gory-

czy. Gniew, który do tej pory utrzymywał go na powierzchni, opadł i Rob przestał się kontrolować. Ciałem jego wstrząsnął potężny szloch, a z ust wydobyło się stłumione wycie.

- Widzę, że uważasz mnie za osobę okrutną i bez serca - rzekła Cat ze łzami w oczach - ale naprawdę doceniam, co dla mnie uczyniłeś, ile cię to kosztowało i ile ryzykowałeś. Przykro mi z powodu tego, co cię spotkało. Sama nigdy nie śmiałabym cię o to prosić. Wykazałeś się bezgraniczną odwagą...

Machnął ręką; nie potrzebował jej współczucia.

- Nieważne, nie robiłem tego tylko dla ciebie, są jeszcze inni, którym trzeba pomóc. - Było to wierutne kłamstwo, pierwsze tak poważne, świadomie wypowiedziane kłamstwo w jego życiu. - Mam nadzieję, Cat, że znajdziesz tu swoje szczęście. - A to było drugie. Zobaczył, jak jej twarz się zmienia. Co to było, zaskoczenie? Ulga? Rozczarowanie? W niczym nie przypominała tej dziewczyny, za którą przemierzył ocean. Tamta dla niego umarła. Przeniósł spojrzenie na mężczyznę.

- Sidi Qasem, chciałbym pana prosić o przysługę.

- Słucham.

- Jeśli by się dało, chciałbym ocalić jeszcze jedną dziewczynę. Złoto, które odebrał mi Sidi Mohammed, powinno starczyć za okup.

- Kogo mam szukać? — spytał nieco zaskoczony korsarz.

- Nazywa się Matty Pengelly, porwana tego samego dnia w Penzance. To prosta, uczciwa dziewczyna, zasługuje na lepszy los niż bycie niewolnicą w tym kraju.

Sidi Qasem skłonił głowę.

- Jeśli to tylko będzie możliwe, postaram się spełnić twoją prośbę. Masz moje słowo. Znajdę ci też miejsce na statku płynącym do Anglii i wydam list, który zapewni ci ochronę, gdybyś przypadkiem wpadł w ręce innych... kupców. Czy coś jeszcze mogę dla ciebie zrobić?

Ten człowiek aż promieniał od środka, zauważył Rob. Zupełnie jakby w duszy świeciło mu słońce, tak widoczny był jego

triumf. Odwrócił się, bo zbyt wielki ból sprawiało mu patrze-
nie na mężczyznę, który okradł go z marzeń.

- Nie - rzekł obojętnie. - Nie zależy mi już na niczym.

ROZDZIAŁ 32

I tak się stało, że poślubiłem Ciebie, Matty. Byłaś mi dobrą żoną przez te wszystkie lata i wspinałaś matką dla naszych synów. Ja jednak nie byłem dla Ciebie dobrym mężem. Zdradzałem, urządzałem awantury, zbyt często topiłem w alkoholu moje żale i frustracje. Za to wszystko z całego serca Cię przepraszam. Ale najbardziej przepraszam Cię za to, że nie dostrzegłem w porę, w jakim kierunku zmierza moje życie i nie zdecydowałem się iść tą drogą sam, zamiast ciągnąć Cię ze sobą. Teraz masz okazję ułożyć sobie życie od nowa. Wyjedź z Kenegie, to smutne i przytłaczające miejsce. Uciekaj, póki możesz; ratuj się. Znajdź sobie kogoś i niech moje życie - i śmierć - nie będą Ci więcej ciężarem.

Oby Bóg miał Cię w swojej opiece i obdarzał miłością, bo ja nie potrafiłem.

*Twój grzeszny mąż
Robert Bolitho*

Idriss podniósł wzrok znad kartki.

- Smutne zakończenie niezwykłej historii.

Siedzieliśmy w kawiarni Cafe Maure wewnątrz kazby Uda-ja z widokiem na szerokie ujście rzeki Bou Regreg. Ostre słońce wlewało się do środka przez ozdobne kratownice, a wietrzyk od morza przywiewał do nas zapach róż. Kiedy Idriss czytał po cichu list, ja obserwowałam małego kotka polującego na listek między nogami stolików. Ja nie byłam w stanie mu go prze-

czytać. Czułam, że jest przesiąknięty złą mocą i jeśli wypowiem na głos ostatnie słowa Roberta Bolitho, to na któreś z nas, lub oboje, spadnie jakieś nieszczęście.

- Wierzysz w duchy? - spytałam znienacka.

- Oczywiście. Ifryty* i inne złe duchy cały czas krążą obok nas. Niechętnie o nich mówimy, bo to je rozzuchwała.

Opowiedziałam mu o Andrew Hoskinie, o potwornie depresyjnej atmosferze, jaka zapanowała w domu, oraz o panice, która mnie ogarnęła, gdy wyciągałam na strychu rodzinną kromkę Alison. Właśnie tę, w której były ukryte listy Roberta.

Potem sobie przypomniałam, gdzie ją znalazłam: w zakurzonym pudle, ewidentnie od lat nieotwieranym. Skąd więc w liście pożegnalnym Andrew, który nigdy nie wykazywał literackich zapędów, znalazły się całe ustępy jakby żywcem zaczerpnięte z listu Roberta? Wzdrygnęłam się, czując na karku chłodny dotyk czasu.

- Khamsa oukhmiss - odpukał Idriss w drewniany blat. Stara, uniwersalna metoda zapobiegania wszelkim nieszczęściom.

- Cieszę się, że Anna wzięła ode mnie tę książkę. Zaczynam nabierać przekonania, że nad tym wszystkim ciąży jakaś klątwa. Tak jakby tocząca się historia chwytała kolejne osoby w sidła i wyciskała z nich życie. Tregennowie, Pengelly'owie, Bolithowie - zdaje się, że cała moja kornwalijska rodzina jest w to uwikłana.

- Habibi - powiedział Idriss, biorąc mnie za rękę - istnieją tysiące powodów, dla których ludzie odbierają sobie życie i tak samo na świecie istnieją tysiące rodzajów ludzi. Owszem, pewne sytuacje się powtarzają, ale nie jesteśmy wyłącznie niewolnikami losu. My wierzymy, że człowiek dostaje w życiu tylko taką porcję nieszczęść, z jaką jest się w stanie uporać.

* Ifryt (a. afrit) - w tradycji muzułmańskiej duch osoby zmarłej, najczęściej nagle lub zamordowanej; uważany za szczególnie złośliwego [przyp. tłum.]

- Ja k widać, nic sprawdziło się to w wypadku biednego Roberta. Ani Andrew. - Usiadłam z głową w dłoniach i zadumałam się nad ich smutnym losem. Po chwili powiedziałam:

- Myślisz, że musimy pokutować za grzechy swoich przodków?

Idriss odwrócił moją dłoń i powiódł palcem po liniach papilarnych.

- W islamie nie istnieje pojęcie grzechu pierworodnego. Każdy człowiek rodzi się czysty, niczym nieobciążony. Zdarzył się upadek w raju, ale to zostało odpuszczone. Bóg wysłał Adama i Chawę do ziemskiego raju Jena, aby go strzegli i właśnie tam szatan nakłonił ich do skosztowania owocu z drzewa zakazanego. Ale według Koranu winę ponosili za to oboje i kiedy okazali skruchę, Bóg im wybaczył i wysłał w świat jako równych sobie i nakazał uprawiać ziemię. Ich dzieci nie były już naznaczone grzechem rodziców; nikt nie umarł za zbawienie naszych dusz. Przeszłość to przeszłość, coś się wydarza, cierpimy, ale potem ruszamy dalej, w stronę światła.

Wydmuchałam nos.

- Głęboko ludzkie podejście.

- Ciągłe obwinianie siebie lub innych do niczego nie prowadzi. Tylko zżera człowieka od środka i rujnuje mu życie. Wierzę, że można odbudować wszystko od nowa i odnaleźć szczęście. Jestem tego nawet pewien.

Po południu zostawiliśmy za sobą stare miasto i przeszliśmy się szerokimi, zalanymi słońcem alejami nowoczesnej części Rabatu. Zaglądaliśmy do księgarni i kafejek, a na koniec odwiedziliśmy sklep z ubraniami pełen bajecznie kolorowych chust i kaftanów.

- Powinnaś mieć coś, co mogłabyś zabrać ze sobą do Londynu - stwierdził Idriss. - Żeby ci przypominało o Maroku.

Pomacałam jedną chustę. Była cała z jedwabiu w odcieniach turkus, błękitu i złota, jak letnie morze.

- Bardzo ładna - powiedziałam.

Idriss przyłożył mi ją do twarzy.

- Bardzo.

Kosztowała jakieś śmieszne pieniądze, ale on i tak długo i zażarcie się targował z biedną sprzedawczynią, aż oboje byli tym wykończeni. W końcu dostałam zawiniątko do ręki, zapłaciłam, podziękowałam i chciałam wychodzić, ale Idriss złapał mnie za rękę.

- Poczekaj, to jeszcze nie wszystko. - Idriss i kobieta za ladą wymienili porozumiewawcze uśmiechy.

- A co? - Zmarszczyłam brwi.

- Imane ci pokaże.

Kobieta zaprowadziła mnie do przymierzalni na tyłach sklepu i zostawiła. Stałam w jaskrawym świetle jarzeniówki skazana na oglądanie własnego odbicia w wielkim lustrze. Wyglądałam jak trup: skóra blada, włosy wypłowiałe i worki pod oczami. Z ulgą więc przeniosłam wzrok na sprzedawczynię, gdy wróciła po chwili, niosąc na ręku płachtę turkusowego materiału.

Strzepnęła go. Był to tradycyjny jedwabny kaftan do ziemi z długimi, rozszerzonymi rękawami. Z góry na dół zapinany na małe guziczki z pętelkami i ozdobiony ręcznym haftem w srebrne i złote półksiężycy i gwiazdy. Taki sam wzór ozdobił mankiety.

Westchnęłam z wrażenia.

- J a k i piękny! Fabuleuse.

Imane z uśmiechem pomogła mi go założyć, a potem stała obok mnie przed lustrem i razem podziwialiśmy widok.

- Ça vous vraiment convenir, mademoiselle. C'est votre couleur. Allez montrevotre mari!

- To nie jest mój... - zaczęłam, ale w sumie po co się wdawać w jakieś skomplikowane i niezręczne wyjaśnienia. Uśmiechnęłam się tylko.

Idriss stał w drzwiach i wyglądał, jakby miał wielką ochotę zapalić. Usłyszawszy szelest kotary, odwrócił się i zrobił wielkie oczy.

Okazało się, że już wcześniej zapłacił za kaftan, stąd to targowanie się.

- Chciałbym, żebyś go czasem włożyła i pamiętała o Maroku.

- Jakże mogłabym zapomnieć?

To był hojny gest i czułam się trochę niezręcznie. Nie wiedziałam, co powiedzieć. Już i tak wisiało między nami w powietrzu coś niewypowiedzianego, cień napięcia, który mącił całe popołudnie. Wieczorem następnego dnia miałam samolot do Londynu. Z jednej strony nie chciałam wyjeżdżać, ale z drugiej bardzo potrzebowałam przestrzeni dla siebie, żeby przemyśleć parę rzeczy i podjąć parę decyzji.

Przechodziliśmy przez piękny park, gdzie przy małych stolikach przed kawiarnią mężczyźni grali w szachy, a obok na chodniku bawiła się gromadka dzieci, grając w jakąś skomplikowaną grę z użyciem kapsli i kamyków. W pewnej chwili wyszedł właściciel i wystawił miskę z jedzeniem. Natychmiast otoczyły ją trzy chude koty, które dotąd wylegiwały się w cieniu i zaczęły systematycznie opróżniać ją z resztek kurczaka.

- Podobno sam Prorok przysiadł kiedyś w tym ogrodzie i oddał się rozmyśleniom - powiedział Idriss, kiedy przyglądałam się kotom - ale gdy nadeszła pora modlitwy i chciał wstać, okazało się, że jego kot Muezza zasnął mu na rękawie. To ten sam kot, który go kiedyś ocalił przed ukąszeniem węża. Nie chcąc go budzić, Mahomet po prostu odciął rękaw i poszedł.

Uśmiechnęłam się. Koty skończyły wylizywać miskę i oddaliły się z podniesionymi ogonami. Sympatyczna historia. Fajnie jest być kotem i mieć tę pewność, że ktoś się zawsze o ciebie zatroszczy.

W tym momencie Idrissowi zadzwonił telefon. Odebrał i cały roześmiany zaczął mówić bardzo głośno do słuchawki. Gdy skończył, oczy mu błyszczały.

- Jeddah wróciła z gór. Nie może się doczekać, żeby cię poznać.

Nie wiem, czego się spodziewałam po babce Idrissa, ale kiedy ją zobaczyłam w salonie, myślałam, że to jeszcze jeden gość, który ich odwiedził. Idriss zaraz rozwiązał moje wątpliwości:

- Poznaj Lallę Mariam - powiedział z dumą, po czym padli sobie w objęcia i zaczęli trajkotać po berberyjsku. Z morza niezrozumiałych dźwięków wyłowiłam tylko dwukrotnie powtórzone słowo „Julia”.

Następne, co pamiętam, to że nagle znalazłam się w jej ramionach. Oj, nie jest to krucha staruszka - pomyślałam, łapiąc oddech. „Marhaban, marhaban” - przywitała się ze mną i wyrzuciła z siebie potok słów w języku berberyjskim, z którego nic nie zrozumiałam. Potem wyszła z pokoju i usłyszałam żwawy tupot nóg na schodach, brzmiały niczym odgłos kopyt górskiej kozicy.

Spojrzałam na Idrissa.

- Twoja babcia to wulkan energii! Ileż ona ma lat?

Wzruszył ramionami.

- Nikt nie wie. Rzadko się o tym rozmawia, a tam, gdzie się urodziła, nie było ani metryk, ani żadnych rejestrów. Chyba nawet ona sama nie ma o tym pojęcia. My nie przywiązujemy do tego takiej wagi jak wy na Zachodzie.

- A twoja mama ile ma lat? Bo to jest mama mamy, tak? — naciskałam.

Kiwnął głową, ale też musiał chwilę nad tym pomyśleć. Czekaając, zastanawiałam się nad ogromnymi różnicami, które dzielą nasze kultury: u nas każdy artykuł w gazecie obok nazwiska bohatera podaje także jego wiek, choćby to nie miało żadnego związku z tematem.

- Chyba... sześćdziesiąt trzy.

- A ile ma rodzeństwa?

Policzył na palcach.

- Dwanaścioro. Mama była siódma.

Obliczyłam to z grubsza. Czytałam, że kobiety z rejonów górskich często wychodziły za mąż bardzo młodo, ale nawet

jeśli wziąć pod uwagę to oraz ewentualne przerwy między ciążami, to by znaczyło...

- O, kurczę. Ona musi mieć co najmniej osiemdziesiąt pięć lat!

- Niesamowita, prawda? Chodź na górę, przywiozła tę rzecz, którą chciałem ci pokazać. - Wziął mnie za rękę i poszliśmy.

Drzwi naprzeciwko pokoju Idrissa były uchylone, a ze środka dochodził kobiecy śpiew. Zatrzymałam się na schodach, nie chcąc przeszkadzać. Po chwili Idriss bez cienia skrępowania też zaczął śpiewać, zaskakując mnie swym melodyjnym tenorem, który doskonale się uzupełniał z wyższym i cieńszym głosem starszej pani. Przypomniały mi się ptaki nawołujące się przez mury medyny.

- O czym śpiewaliście? - zapytałam, kiedy skończył.

Bóg podzielił piękno na dziesięć części i rozdał je.

Henna, mydło i jedwab — to były pierwsze trzy.

Pług, zwierzęta i ule z pszczołami -

To już sześć.

Słońce, gdy wschodzi nad górami -

Siedem.

Księżyc na niebie, cienki jak chrześcijański miecz —

Osiem.

Konie i książki - to razem dziesięć.

Przyłożył moją dłoń do ust.

- Zaraz pokażemy ci ryle piękna, że wystarczy ci na długo, kiedy wrócisz do tego swojego szarego miasta. - Otworzył drzwi. - Kafran już masz, Jeddah przywiozła z południa trochę mydła arganowego, a moja kuzynka Hasna pomaluje ci później dłoń henną...

Nawet nie słyszałam, co do mnie mówił. Światło z odsłoniętych okien padało prosto na Lallę Mariam, która stała wy-

prostowana jak trzcina i oglądała rozpostarty kawałek błyszczącego materiału. Ale nie on przykuł moją uwagę, lecz twarz tej kobiety, kiedy na mnie spojrzała. Na dole w półmroku salonu wydawało mi się, że widzę dostojną starszą panią z siwymi włosami okalającymi pociągłą, śniadą twarz. Teraz słońce przyświeciło prosto na nią, a ja wstrzymałam oddech.

- Śliczna, prawda? - powiedziała Idriss. - Wiedziałem, że ci się spodoba, jest tak kunsztownie wykonana. Jeddah jest bardzo z niej dumna, uwielbia się nią chwalić...

Oderwałam wzrok od twarzy kobiety i spojrzałam na to, co trzymała w rękach. Był to ogromny prostokąt białego jedwabiu. Dwa przeciwległe brzegi zdobił niezwykle piękny wzór: ślimakowate liście paproci rozwijające się ku niewidocznemu słońcu, tu i ówdzie poprzetykane maleńkimi różowymi kwiatuskami oraz nieco większymi, w kolorze złocistożółtym. Paprocie były rozmieszczone regularnie, niemal geometrycznie, tworząc rodzaj ramy, w którą wplatały się pędy róży. Ale to złote kwiaty na kolczastych gałązkach sprawiły, że nogi się pode mną ugięły.

- To kolcolist - wykrztusiłam, przypominając sobie wianek, który Robert upłócił dla ukochanej dziewczyny. Pąki i kwiaty były wyhaftowane tak bardzo realistycznie, że niemal czułam ten ich cukierniany zapach.

- Kolcolist?

- Te żółte kwiatki. To dziki, kłujący krzew rosnący w całej Kornwalii, bardzo rzadki motyw w hafcie.

Idriss przetłumaczył to babce. Wysłuchała w spokoju, cały czas mi się przyglądając. Potem wdała się w ożywiony dialog z Idrissem.

- Jeddah mówi, że po pierwsze, ten krzew można spotkać także tutaj na wybrzeżu Atlantyku. Po drugie, ta chusta, a dokładniej ślubny welon, jest u nas od pokoleń, ale nikt nic wie, skąd się wziął ani kto go zrobił, chociaż w naszej rodzinie zawsze były jakieś kobiety, które miały smykałkę do tych rzeczy. Wreszcie po trzecie, ten styl nosi nazwę aleuj i jest mieszanką

tradycyjnych motywów berberyjskich, gęstych i geometrycznych, z europejskimi, które mają łagodniejsze linie i są bardziej realistyczne. W klasycznym arabskim aleuj znaczy „obcy” lub „cudzoziemiec”, ale może też oznaczać „ten, który przeszedł na islam”. Najstarsze zachowane przykłady pochodzą z siedemnastego wieku.

Jeddah coś jeszcze dodała i powtórzyła to z naciskiem trzy razy, żeby Idriss dobrze zrozumiał.

- Babcia mówi, że w Rabacie żyła kiedyś kobieta, mistrzyni haftu, która nazywała się Zahrat Chamal.

Widząc moje puste spojrzenie, dodał:

- To nie jest prawdziwe imię, tylko przybrane. Oznacza „Kwiat Północy”.

Czyżby Catherine została Zahrat, kiedy przeszła na islam i poślubiła raisa? Czy „Chamal” oznacza północ Maroka, czy jeszcze dalej? Czy Zahrat Chamal to muzułmańskie imię, które przyjęła po zmianie wiary, jak Will Martin, który stał się Ashabem Ibrahimem? Może jednak Cyganka mówiła prawdę, kiedy jej wróżyła, że nigdy nie wyjdzie za mąż jako Catherine? Spojrzałam jeszcze raz na welon: delikatny satynowy ścieg, bardzo staranny i równy, identyczny jak na antepedium dla hrabiny Salisbury. Nie żeby to czegokolwiek dowodziło, wszyscy stosują ten ścieg, nawet ja. Wyobraziłam sobie Cat okrytą tym welonem jak kobiety, które widziałam na zdjęciach. Na głowie ma berberyjską koronę ze srebra obszytą koralikami okalającymi jej jasną twarz. Błękitne, roziskrzane oczy z dumą wpatrują się w wybranka odzianego od stóp do głów w szkarłat i złoto. Zobaczyłam, jak rais bierze ją za rękę i prowadzi do tronu znajdującego się za pięknym parawanem, który jej uczennice wyhaftowały specjalnie jako prezent dla Sidi Qasema bin Moussy Diba i jego cudzoziemskiej żony.

A kiedy znów spojrzałam na Lallę Mariam, zobaczyłam, że ma łązy w oczach. Tak jak ja.

ROZDZIAŁ 33

Alison raz po raz obracała moją dłoń, przypatrując się tatuażowi.

- A to? - spytała.

- Chyba róża pnąca, raka z płaskimi płatkami. Natomiast ten kwiat na lewej ręce... nie mam pojęcia, co to jest.

Przesunęła palcem wzdłuż konturu liści, które wyglądały jak łańcuch serc biegnący przez całą dłoń aż do czubka palca wskazującego.

- Śliczne. A to? Kupiłeś w Rabacie? - dotknęła starego pierścionka, który miałam na serdecznym palcu prawej ręki. Tam, gdzie założył go Idriss, kiedy się żegnaliśmy w taksówce przed lotniskiem. „Należy do Jeddy - powiedział uroczystym tonem. - Zastrzegła, że tylko mi go pożycza, ale mam ci go dać, bo wtedy na pewno wrócisz do Maroka”. Potem zamknął go w mojej dłoni i namiętnie mnie pocałował, zasłaniając rolety w taksówce, żeby się schować przed wścibskim wzrokiem przechodniów. Kiedy przechodziłam przez bramkę, wciąż miałam nogi jak z waty. Od tamtej pory codziennie rozmawiamy ze sobą przez telefon, więc wygląda na to, że wakacyjny romans zamienił się w regularne staroświeckie zaloty. Gadamy o wszystkim, od francuskiej poezji po fatalne występny naszych narodowych drużyn piłkarskich. Czuję, że wiem o nim więcej, niż zdołałam się dowiedzieć o Michaelu przez cały okres naszej znajomości.

- Jak długo to się utrzyma?

- Słucham?

- Ten tatuaż, głupia.

Henna już zdążyła zblaknąć. Ognisty pomarańcz, który tak mnie zaskoczył, kiedy rano w dniu wylotu spłukałam zaschniętą pastę pod prysznicem, przeszedł w jasny brąz, taki jak moje piegi. I tak jak one stał się częścią mnie. Nie chciałam, żeby zniknął.

- Idriss mówi, że około miesiąca.

- Oznaczył cię jako swoją własność, co? - zażartowała.

- Nieprawda! - obruszyłam się. - To stary zwyczaj: kobiety malują tatuaże z henny, żeby się chronić przed złymi duchami.

- Po tych słowach obie zamilkłyśmy.

Wróciłam z Maroka dwa tygodnie temu i od tego czasu dużo się działo. Czekwały na mnie trzy oferty kupna mieszkania oraz nowe, potencjalnie intratne zamówienie. Zaskoczyło mnie, jak to wszystko zgrabnie się ułożyło, zupełnie jakby los popychał mnie w określonym kierunku. Dużo też czasu spędziłam z Anną. Wspólnie odwiedziłyśmy jej znajomą z działu publikacji Muzeum Wiktorii i Alberta, elegancką, elokwentną panią po pięćdziesiątce, która z kolei zabrała nas do koleżanki z Działu Tkanin Angielskich. Widok zachwytu na ich twarzach, kiedy pokazałam im dzieło *Cat*, i okrzyki podziwu, kiedy oglądały rysunki, które naszkicowała w *Skarbczyku*, były wystarczającą nagrodą. Oczywiście spytały, czy nie podarowałabym im książki, żeby mogły ją umieścić w gablocie obok antepedium, ale szczerze odpowiedziałam, że jeszcze nie wiem, co z nią zrobić. Miny im trochę zrzedły, ale zaraz ustaliłyśmy, że im ją wypożyczę do skopiowania i w końcu wszystkie rozstałyśmy się w dobrych nastrojach. Anna wyglądała promiennie i nie omieszkałam jej tego powiedzieć. „Nie masz pojęcia, jaka jestem szczęśliwa, że mogę to zrobić dla mojej rodziny, no i, hm, dla potomności, jeżeli to nie brzmi zbyt patetycznie. - Zapewniłam ją, że nie. - No i dzięki Bogu przestałam wymiotować, najgorszy okres minął, a na USG wszystko wygląda dobrze...” „Chłopczyk czy

dziewczynka?" „Nie pytałam. Jakie to ma znaczenie? Uczę się przyjmować życie takim, jakie jest". - Uśmiechnęłam się. Anna nie była tą samą kobietą co kiedyś. Chyba wszyscy się zmieniliśmy.

- Gotowa? - spytała Alison, wrywając mnie z zamyślenia.

- Chyba tak.

Siedziałyśmy na kamienistej plaży nad oceanem i patrzyłyśmy w stronę wyspy St. Clements.

- Jeżeli robisz to dla mnie, to nie musisz, naprawdę. Ja nie zamierzam więcej przekroczyć progu tego domu. Te listy wystraszyły mnie jak cholera. Na pewno chcesz to zrobić?

- Muszę. Wiem, że to brzmi idiotycznie, ale czuję, że to moja powinność.

Kwadrans później stałyśmy przed jej domem w Kenegie. Akurat zaczynało zachodzić słońce.

- Masz wszystko?

Miałam ze sobą: latarkę, zapalniczkę, świeczkę, chleb, sól i wodę. A także oryginały listów Roberta Bolitho związane piękną wyszywaną wstążką, którą dostałam od Lalli Matiam. Kiedy powiedziałam Annie, co mam zamiar zrobić, wyśmiała mnie, ale zgodziła się odstąpić od umowy. „Zostaw mi kopie, tylko skseruj porządnie - przykazała. - To tylko dodatkowo wkurzy Michaela". Wstążka była wyhaftowana tą samą ręką, co welon; widniał na niej charakterystyczny dla Cat motyw. „Czymś takim prawdopodobnie związywała włosy podczas kąpieli w łaźni" - wyjaśniła mi za pośrednictwem Idrissa jego babka. W ramach skromnego podziękowania za tę wspaniałomyślność sprezentowałam jej swoją wyszywaną chustę z pawimi piórami i obiecałam, że ją dokończę, ale sama musi wybrać, co ma się znaleźć w czwartym rogu.

Zostawiłam Alison przy samochodzie i weszłam do domu. Odgłos kroków odbijał się echem w pustych pomieszczeniach. Po drodze włączałam wszystkie możliwe światła. U podnóża schodów na strych przystanęłam.

Po chwili zacisnęłam zęby i weszłam na górę.

Oczywiście, jak można się domyślić, było to jedyne miejsce w całym domu, gdzie światło nie działało. Zapaliłam świeczkę i postawiłam ją na biurku Andrew. W migotliwym blasku rozłożyłam chleb, sól i butelkę wody święconej z kościoła w Gulval. Ciepło, woda i pożywienie: wszystko, czego brakuje zmarłym. Tak mawiała moja mama, opowiadając mi w Halloween historii o duchach. Na końcu położyłam listy Roberta.

Nabrałam powietrza i powiedziałam:

- Robercie Bolitho, jeżeli tu jesteś, mam nadzieję, że mnie słyszysz. Nazywam się Julia Lovat. Być może łączy nas jakieś dalekie pokrewieństwo, nie wiem. Ale to nieważne. Ważne, że przyniosłam ci oddać listy. Wybacz, że zakłóciliśmy ci spokój, no i że wzięliśmy te listy. Wiem, że w dopisku prosisz Matty, żeby je spaliła, ale jak widać, nie zrobiła tego. Ja ją rozumiem: kobiety lubią się przywiązywać do rzeczy, nawet takich, które sprawiają im ból. Źle zrobiła, pozwalając, by dostały się w ręce innych, ale nie można jej za to winić. Ani nas, że je przeczytaliśmy. Znam treść twych listów, Robercie, więc wiem, że jesteś dobrym i odważnym człowiekiem. Mimo to nie powinieneś być robić tego, co zrobiłeś Andrew Hoskinowi. Może byli też inni, o których nie wiem. Może cierpisz tak bardzo, że jest ci obojętne, kogo tym cierpieniem zarażasz. Wykazałeś się ogromną odwagą, idąc za głosem serca i ryzykując życiem dla uratowania Catherine Anne Tregenny...

Nagle nie wiadomo skąd zrobił się przeciąg i płomień świecy zadygotał, rzucając po ścianach długie, strzępiaste cienie. Objęłam się ramionami, patrzyłam jak blask płomienia tańczy na srebrnej powierzchni obrączki, którą dał mi Idriss, i starałam się uspokoić walące serce.

- Nic tak nie boli jak nieodwzajemniona miłość, ale Catherine postanowiła zostać w Maroku nie tylko dlatego, że nie chciała za ciebie wyjść, czy dlatego, że się zakochała w swoim korsarzu. - Dotknęłam wstążki na listach. Srebrny haft mienił

się w blasku świecy, ukazując wszystkie ulubione motywy Cat: liście paproci, róże i kolcolist. - Spójrz, Robercie. Wspaniałe, prawda? Twoja kuzynka była obdarzona ogromnym talentem. Widzisz tę dziką różę, ten kolcolist? Pamiętasz, jak uplotłeś dla niej wianek? Ona nie zapomniała. Przez cały ten czas nosiła w sercu Kornwalię, ale gdyby tutaj została, jej talent by się zmarnował. W Maroku osiągnęła to, o czym zawsze marzyła: została mistrzynią haftu. Naprawdę masz jej złe, że spełniła swoje marzenie?

Przerwałam.

- Nie wiem, po co ja tyle gadam. Pewnie po darmo. Albo mówię sama do siebie, albo ciebie nie obchodzi nic poza własnym cierpieniem. Rozumiem cię, Rob, przynajmniej w jakimś stopniu i domyślam się, że to co przeszedłeś, było straszne, ale czy ty nie widzisz, że uratowałeś Matty Pengelly? Kochaną, pocziwą Matty, która pewnie myślała, że już na zawsze zostanie w tym obcym kraju. Ocaliłeś ją i założyliście rodzinę, mieliście synów. Zrobiłeś nadzwyczajną rzecz i jestem z ciebie dumna.

Wyczerpały mi się pomysły. Siedziałam po ciemku, czekając nie wiadomo na co, i czułam się jak idiotka. Za oknem dostrzegłam pas czerwieniącego nieba. Za chwilę zrobi się całkiem ciemno.

- Pójdę już. Co miałam powiedzieć, powiedziałam. Chciałam ci tylko oddać te listy i uczcić twoją pamięć — dodałam cicho i wstałam.

Jestem pewna - dam sobie głowę uciąć - że podnosząc się z krzesła, nawet nie musnęłam biurka, a jednak świeczka się przewróciła, jakby pchnięta palcem lub pod wpływem grawitacji, i potoczyła się po blacie, zatrzymując obok pliku listów. Natychmiast zajęły się ogniem. Wrzasnęłam i upuściłam latarkę. Patrzyłam, jak palą się czerwonym płomieniem, który potem zamienił się w pomarańczowy, złoty i wreszcie prawie biały. Przez głowę przebiegły mi tylko dwie myśli: że powinnam

ratować haft Catherine oraz że za chwilę cały strych łącznie ze mną może spłonąć. Ale w tej same chwili ogień zgasł i pokój zatonął w ciemnościach.

Schyliłam się i trzęsącą się ręką macałam w poszukiwaniu latarki, spodziewając się w każdej chwili zimnego dotyku na karku. Nic takiego jednak nie nastąpiło. Powietrze było nieruchome, zrobiło się jakby cieplej. Wreszcie znalazłam latarkę, włączyłam ją i postawiłam na biurku pełna strachu, jaki obraz zniszczeń zaraz ujrzę.

Listy zniknęły, została po nich tylko kupka zimnego, szarego popiołu. Na niej leżała nietknięta wstążka Catherine. Delikatnie wzięłam ją w palce, ale nie była nawet ciepła, mimo wplecionych metalowych nici. Jak to możliwe? Mój racjonalny umysł podpowiadał, że po prostu jest dużo trwalsza od papieru, zwłaszcza takiego, który ma czterysta lat, ale jednak... Dygocząc z nerwów, pokropiłam wszystko wodą święconą, a świeczkę postawiłam z powrotem. Następnie zrobiłam coś, z czego byłaby dumna moja mama: na wszelki wypadek sypnęłam solą przez lewe ramię.

Kiedy zeszałam na dół, wciąż szczykałam zębami i drżałam od nadmiaru adrenaliny. Alison tylko mnie zobaczyła, od razu zdjęła kurtkę i zarzuciła mi na ramiona.

- Zadanie wykonane?

- Chyba tak - uśmiechnęłam się blado. Któż to może wiedzieć?

Siedząc w ogrodzie otulona ramieniem kuzynki, wpatrywałam się w ocean pomalowany ostatnimi promieniami zachodzącego słońca. W dali romantyczna sylwetka St. Michael Mount wyłaniała się z wód zatoki tak samo jak tego feralnego dnia w lipcu tysiąc sześćset dwudziestego piątego roku, gdy flotyła A1 - Andalusiego pod piracką banderą przepłynęła obok niej przez nikogo niezatrzymywana.

Zamknęłam na chwilę oczy, ogarnięta wspomnieniami. A potem się uśmiechnęłam.

Ja także za niecałe trzy tygodnie, akurat gdy tatuaż z henny
zdaży zupełnie wyblaknąć, powrócę do Maroka - mojej własnej
Krainy Zachodzącego Słońca.

Inch'allah.

Podarunek z przeszłości to fikcja literacka, choć oparta na historycznych wydarzeniach.

Trwające z przerwami ponad dwa stulecia, szesnaste i siedemnaste, najazdy berberyjskich piratów na południowe wybrzeża Anglii, są ostatnio coraz lepiej udokumentowane, choć w czasach gdy dorastałam w Kornwalii, o tym się nie mówiło, a i dziś większość mieszkańców nie ma pojęcia o tym krwawym rozdziale angielskiej historii.

Głównym celem korsarskich ataków był transport morski, zarówno statki handlowe, jak i rybackie. Dla zmylenia ofiar wywieszali obce bandery, a prawdziwą tożsamość ujawniali dopiero w ostatniej chwili, kiedy już nie było szans uciec ani się bronić. Zuchwałe grabieże ładunków i porywanie załóg, a w konsekwencji sprzedaż jeńców do niewoli to powszechne wówczas zagrożenia na morzach. Nie była to wcale wyłączna domena muzułmanów i renegatów napadających na brytyjską flotę: wielu możnych ówczesnej Anglii zbiło swe fortuny, łupiąc zagraniczne statki, czy to legalnie na mocy listów kaperskich (deklarując zyski i dzieląc się nimi z Admiralicją, podobnie jak to organizowali u siebie korsarze berberyjscy), czy jako piraci dla własnego zysku. Berberowie jednak okazali się odważniejsi od innych, docierając aż do Nowej Fundlandii, Islandii, Irlandii i południowej Anglii. Poza tym działali u wybrzeży Hiszpanii, Portugalii i na Morzu Śródziemnym.

Historia korsarzy z Salé jest szczególnie fascynująca. W krajach basenu Morza Śródziemnego piractwo było jednym ze spo-

sobów zarabiania na życie, zwłaszcza że rozkwit wymiany handlowej między Dalekim Wschodem a Europą oznaczał bogate łupy i łatwe cele. Ale ta rozproszona i czysto przedsiębiorcza działalność wkrótce stała się zorganizowanym, ideologicznym ruchem, odkąd król Filip III zabrał się za jednoczenie katolickiej Hiszpanii i na mocy edyktu wypędził ze swego królestwa wszystkich Maurów. Wielu z nich straciło dorobek całego życia i znalazło się na marokańskim wybrzeżu bez pieniędzy i dachu nad głową, żywiąc za to szczerą nienawiść do Hiszpanów i tym samym całego zachodniego chrześcijaństwa. Sprzymierzeni moryskowie, hornacheros, fanatycy religijni i renegaci z krajów europejskich ufortyfikowali Rabat i Sale i stworzyli sobie bazę, z której rozpoczęli prowadzenie świętej wojny przeciwko wrogom.

Kierowani religijnym ferworem zapuszczali się bardzo daleko, do tego stopnia, że wczesnym latem 1625 roku pewnej flotyli okrętów udało się wywiesić czarną flagę z trupią czaszką i skrzyżowanymi piszczelami w rejonie wyspy Lundy na Kanale Bristolskim. Stamtąd przeprowadzili liczne ataki na statki u południowo-zachodnich wybrzeży oraz portowe miasta.

Nie wydaje się, aby historyczny dokument przytoczony na wstępie powieści, czyli list napisany wiosną 1625 roku przez burmistrza Plymouth do Tajnej Rady Królewskiej, ostrzegający nie tylko przed potencjalnymi atakami na statki (które latem stawały się regularnym zagrożeniem dla żeglugi), lecz po raz pierwszy także na przybrzeżne miejscowości, przyniósł skutki w postaci zwiększonego bezpieczeństwa. Pewnie jak zawsze przeszkodziła biurokracja.

Opis najazdu na kościół w Penzance oparłam na znalezionej w oficjalnych dokumentach wzmiance o wydarzeniu z lipca 1625 roku, kiedy to „sześćdziesiąt osób, w tym kobiety i dzieci zostało porwanych z kościoła *Munnigesca* w Mounts Bay” (celowo użyłam kursywy). Do dzisiaj nikt nie wie, o jaki kościół chodziło; niektórzy spekulują, że to ten na St. Michael's Mount,

ale wątpię w to, ponieważ to by znaczyło, że Sir Arthur Harris, wówczas komendant zamku na Mount, i jego rodzina musieli się znajdować w tej sześćdziesięcioosobowej grupie, bo tylko wtedy taka liczba byłaby prawdopodobna, a nic takiego ich nie spotkało. Sir Arthur zmarł w Kenegie w 1628 roku; jego testament spoczywa w archiwach miejscowej parafii. Jedynymi innymi miastami, które miały w owym czasie dostatecznie dużą liczbę mieszkańców, były Marazion, zwane wówczas Market-Jew (zniekształcona forma Marghasewe), oraz Penzance. Zdecydowałam się na kaplicę w Penzance, która stała w miejscu, gdzie dziś wznosi się kościół pod tym samym wezwaniem, na cyplu nad zatoką. Doskonale widoczna z morza, była z pewnością atrakcyjnym celem ataku. Ciekawe, że straż na Mount nie zauważyła korsarzy i nie strzelała do nich (w protokołach z posiedzeń kornwalijskiego parlamentu nie ma wzmianki o jakiegokolwiek próbie obrony), ale prawdą jest, że Sir Arthur od kilku lat ubiegał się o fundusze na dobrojenie zamku.

Wątek przemytu do Afryki czterech armat dla Sidi al-Ayyachiego jest moją inwencją, choć jeśli wziąć pod uwagę, jakim typem człowieka był Sir John Killigrew oraz jego przodkowie, nie było to chyba wielkie nadużycie.

Choć nie jestem specjalistką w dziedzinie hafciarstwa, starałam się jak najdokładniej poznać ówczesne techniki i style. Niesłychanie pomogły mi w tym książki Caroline Stone. Nigdy w życiu nie dorównam jej wiedzą o hafcie północnoafrykańskim, a zwłaszcza marokańskim.

Bardzo się rozczarowałam, kiedy odkryłam, że w Maroku nie zachowały się żadne dokumenty o niewolnikach przywiezionych przez korsarzy z Salé w 1625 roku. Wprawdzie przetrwały nieliczne relacje z pierwszej ręki opisujące nieszczęścia i cierpienia Anglików, ale niewiele pochodzi z tego wczesnego okresu i autorami są wyłącznie mężczyźni. Przeczytałam jednak dużą część tych zapisków i dla zwiększenia autentyzmu pozwoliłam sobie zapożyczyć kilka detali, choć podeszłam do nich ze

zdrowym dystansem, wbrew wymogom komercyjnym i pokusie ubarwienia takich opowieści drastycznymi szczegółami, które w siedemnastym wieku były równie silne.

Poniżej wymieniłam kilka najważniejszych publikacji, które okazały się cennym źródłem wiedzy w pracy nad powieścią. Muszę też podziękować pewnym osobom, bez których nigdy by ona nic powstała. Po pierwsze, mojej mamie, za to, że mi przypomniała tę zakurzoną rodzinną legendę; po drugie, mojemu partnerowi wspinaczkowemu, Bruce'owi Kerry'emu, który towarzyszył mi podczas pierwszej i najważniejszej wyprawy do Maroka, kiedy zbierałam materiały do książki; po trzecie, Emmie Coode, współpracownicze i przyjaciółce, która dzielnie czytała ten tekst na bieżąco, w miarę jego powstawania, nie szczędząc mi słów zachęty. Pragnę też podziękować moim wspólnym wydawczyniom, Venetii Butterfield i Allison McCabe, za nieocenioną pomoc i wskazówki. I na koniec osoba najważniejsza: mój mąż Abdellatif Bakrim, który jest dla mnie absolutnym ekspertem, jeśli chodzi o historię, obyczaje i język Maroka, Berberów i całej kultury arabskiej. Pomógł mi w tłumaczeniu niektórych dokumentów historycznych i weryfikował wszystkie materiały na temat Maroka. Był także, zanim go dobrze poznałam, inspiracją dla postaci raisa. Teraz jednak nie umiem sobie wyobrazić, że mógłby być okrutnym piratem i fanatykiem. **1** za to też jestem głęboko wdzięczna.